



JOZEF IGNACY
KRASZEWSKI
POWIEŚĆ
HISTORYCZNA



JASZCZYŃSKA

JACOBSON & CO. DEUTSCHES VERLAGS-GEWERB

VERLAG, BERLIN, KÖNIGLICHE STRASSE 10

VERLAG, BERLIN, KÖNIGLICHE STRASSE 10



VERLAG, BERLIN, KÖNIGLICHE STRASSE 10



JASZKA ORFANEM
ZWANEGO
ŻYWOTA I SPRAW PAMIĘTNIK

JASZKA ORFANEM

ZWANEGO

ŻYWOTA I SPRAW PAMIĘTNIK

(Jagiellowie do Zygmunta)

przez

J. I. Kraszewskiego

TOM I.

WARSZAWA
NAKŁADEM M. ARCTA.
1913.



BGZs 58452



58452
2814-3

W imię Trójcy Przenajświętszej. Amen.

Przyrodzone jest każdemu człowiekowi, złego i dobrego w tym życiu zażywając, a na lepsze pracując—pożądać, aby po nim pomiędzy ludźmi pamięć na ziemi została. Przeto się kładną grobowe kamienie i piszą księgi, z których każda niczem innem nie jest ino człowiekiem, a że człowiek z wieku swego wyszedł, jak kurczę z jaja, więc zarazem księga jest i czasem, o którym daję świadectwo.

Ja też maluczkie stworzenie, słabości tej czy praw ulegając, z żywota mojego długiego, wielu przygodami niepoślednimi odznaczonego, sprawę zdać pragnę, jakom na ten mizerny świat przyszedł i jak z pomocą a za miłosierdziem Bżem, acz nie bez grzechu i błędów, po nim szedłem ku temu kresowi, który pewnie już dziś jest blizkim.

Małym ci i nieznaczącym byłem i jestem, a żywot mój do wielu innych podobien, alem to szczęście miał, żem się ocierał o wielkich i znaczących, na nich prawie nieustannie patrzałem—znajdzie się więc o czym pisać, nie o samym sobie.

Niemalę też przeciąg dał mi Pan Bóg przeżyć na tym padole, gdzie jak na pobojuwisku, codzienniemal widziałem obok mnie padających, codzienniemal sam paść się spodziewałem i cudem prawie doszedłem późnej starości.

Ilu ich było, mój Boże, co mieli i sił nade mnie więcej i prawa do życia, a w kwiecie lat kosą podcięci padli, gdy ja jako łopuch i pokrzywa pod płotem stojąca, ocalałam!...

Aby świat ten zrozumieć, chyba nie z niego patrzeć potrzeba na sprawy ludzkie i losy — przecież wierzyć musimy, iż to, co się dzieje sprawiedliwem i dobrem być musi. Nim więc pisać rozpocznę,—naprzód przyznać muszę urzeczyście, że jako za życia fałszem ust moich nie zmazałem nigdy, tak i kart tych nim nie zbruczę, pisząc prawdę czystą, choćby się do niej przyznać wstyd było. Nie będę fałszem przodków sobie wymyślał żadnych, ilem wiedział, tyle wyznam, a nie wszystko w życiu własnem było dla mnie jasnem. Takie było już przeznaczenie moje.

Od tego więc poczynać muszę, ani się sromam wyznać, że ani roku urodzenia mojego, ani rodziców moich nie znam. Wina w tem nie moja, żem na ten świat przyszedł pono jako gość nieproszony. To tylko zaznaczyć mogę, iż żywot rozpocząłem w tych leciech, gdy wielkim księciem był Kazimierz, Jagiełłowy syn wtóry, za panowania w Polsce Władysława, który zginął—nieodżałowane panie—pod Warną walcząc z pogany.

Z dzieciństwa mojego mało co mi się w pamięci zostało, a to, co sobie przypomnieć mogę, dlatego się może w umysł młody wraziło, że te pierwsze lata życia nie płynęły mi jednostajnie, a było już w nich dla dziecka wiele zagadek i niespodzianek.

Kobieta uboga, prosta mieszcanka, której imię było Sonka, a po mężu ją Gajdysową mianowano, opowiadała się matką moją, chociaż, jak się potem okazało, nią nie była. Mąż jej, Gajdys miał zajęcie na zamku około stajen książęcych, był nad niemi starszym dozorcą, przyczem i młodsze żrebce ujeżdżał. Człek był dobroduszny, jako to najczęściej bywają siłacze i olbrzymy, którym Pan Bóg daje krew zimną, gdy małym i słabym kipi ona w żyłach. Mówił mało, śmiał się rzadko, jadł dużo, pił chętnie.

Mieszkali Gajdysowie we dworze pod zamkiem dolnym u furty, od której dozorca klucz miał, tak że zrana wstawszy, mógł zaraz do stajen przejść, od których nawet

rzenie koni po nocach nieraz słyhać było. Domostwo, choć drewniane, wygodne było i zaciszne, a że Gajdys zółd miał dobry, przyczem zboże, sukno, płótno i skóry mu ze skarbu co rok wydzielano, a podarki trafiały się często, działo się im więc dobrze.

Krom mnie, mieli Gajdysowie tylko o parę lat starszą córeczkę Marychnę. Jam też zwał się ich własnem dzieckiem, a nie mogę powiedzieć, tylko, że Sonka tak się ze mną obchodziła, takie dla mnie miała serce, jakbym wistocie był jej synem. Później się to dopiero okazało, że Gajdysowie przez miłosierdzie mnie wzięli i jak dziecko własne hodowali, bo snąc rodzice moi przyznać się do mnie czy nie mogli, czy nie chcieli. Nie będę ich sądził, ani im tego wyrzucal.

Wychowywałem się więc z prostą, nie nawykając do pieśczęt i wykwintów żadnych, na chlebie razowym, mleku i kluskach, ani też do zbytku od chłodu i soty strzeżony, za co Panu Bogu dziękuję, bo później niejeden mi trud, niewygodę, niedostatek łatwiej było znosić, zawczasu się obyszy z niemi.

Ale nieawsze jednakowo bywało. Powszednich dni Gajdysowie tak się ze mną, jak z Marychną obchodzili, a niekiedy zjawiały się dla mnie jakby świąteczne i słoneczne doby. Nadchodziły one niespodzianie, gdy w różnych porach we dworku się zjawiała nagle kobieta młoda, cała szatami otulona, z twarzą osłoniętą, którą, gdy odkryła, ukazywało się oblicze dziwnej piękności i blasku. Naówczas do chaty jakby z nią razem wpadał promień słoneczny.

Gajdysowa, ledwie rękę jej pocałowawszy, śpieszyła zaraz drzwi na skobel zasunąć, i choćby kto się dobijał, to go już nie wpuszczano.

Przybyła pani rzucała się na mnie, porywała, sadzała na kolanach, okrywała pocałunkami, przyciskała do piersi, śmiała się razem i płakała.

Nawykły tak byłem do tego, iż mi przynosiła słodycze, zabawki dziecięce, przyodziewek różny, wygodny a nie bijący w oczy, żem za nią tęsknił, a gdy odchodzić miała, trudno mnie od niej było oderwać. Nieraz sam nie wiem, jak się to działo, ale pieśczętami jej utulony, objaw-

szy ją za szyję, na kolanach jej usypiałem, a słodsze-
go snu w życiu nad ten nie było dla mnie.

Niekiedy kilka czasu upływało, a widać jej nie było,
to znowu przez kilka dni z kolei wracała ciągle i przesia-
dywała dłużej; nie można było odgadnąć, ani kiedy się
ona zjawi, ani na jak długo. Wpadała czasem, jak po ogniu,
a ledwie miał czas objąć ją i przytulić—uchodzić musia-
ła.

Gajdysowa i mąż jej oboje byli dla niej z wielkim po-
szanowaniem, ona też im łaskawą i wielce dobroczynną.
Nie odchodziła nigdy prawie, coś dla nich, dla Marychny
i dla mnie nie zostawiwszy.

Gdym mówić począł, nieznajoma pani kazała mi zwać
siebie matką; Gajdysową też tak mianowałem i miałem ich
naówczas dwie, a Bóg widzi nie wydawało mi się, aby było
nadto.

Ta matka, którą rzadziej widywałem, psuła mnie
i pieściła, gdy Gajdysowa surowszą daleko będąc, napra-
wiała, co tamta zepsowała. Prostej kobiecie serce rozumu
dodawało. Znała ona to dobrze, iż losy moje przyszłe nie-
pewne były, więc zmięknąć mi nie dopuszczała. Owszem,
umyślnie na chłód i na słotę, do roboty mnie pędzała, cią-
gle to powtarzając, że Bóg jeden wie, co mnie czeka. Więc
jak skorom chodzić począł, razem ze starszą Marychną
boso musiałem w podółku z podwórka trzaski obmokłe
przynosić, drób zapędzać, małe posługi w domu spełniać,
więcej dlatego, abym się nazwyczał do wszystkiego,
niżby gwałtowna była potrzeba.

Dla starszej córki swej Sonka bywała często surową,
nieraz się jej kuksaniec dostał, mnie też bywało połaje,
popelnienie czasem, gdym szedł leniwo, ale nie uderzyła
nigdy. Jeżeli bym co zbroił, a przewinił srogo, wówczas
brzozowy winnik, jakich do łaźni używano, z za pieca do-
bywała i nim mi groziła, ale na plecach moich nigdy on
nie postał.

Sam Gajdys w domu siadywał mało; jam też z nim
niewiele miał do czynienia, ale i on dobrym dla mnie był,
a zdala mi się uśmiechał. Wychodził z domu zwykle o świ-
cie, potem jeść powracał dwa razy we dnie, a wieczorem

bywało i tak, że napity przyszedł. Wówczas już prosto
się kładł i zasypiał.

Pani ta, która mi się matką nazywać kazała, dopókim
młodszym był, przychodziła częściej, a potem coraz rza-
dziej... Wówczas niekiedy długo na osobności rozmawiała
z Gajdysową, płakiwała, trzymając mnie na kolanach,
tak, że ciepłe jej łzy dobrze po dziś dzień na twarzy mo-
jej pamiętam.

Bywało, że mnie usmolonego, nieumytego zastała,
ale i chwili nie chcąc stracić, takim brała na kolana, ja-
kim byłem, nie dawszy nawet Sonce ręcznikiem mnie
otrzeć.

Pamiętam i to, com naówczas ledwie mógł zrozumieć,
że ciągle do ucha jedno mi powtarzała:

— Nie zapomnisz ty o mnie? Nie zapomnisz?

Tak razu jednego przybywszy poruszona, smutna,
błada, płacząc, powiesiła mi na szyi, na mocnym sznurku
krzyżyk błyszczący, nalegając a przykazując mocno, abym
go nigdy a nigdy nie zrzucił i nie stracił.

Do dziś też dnia ostał się on cudem na piersiach mo-
ich.

Długi potem czas nie wrdzałem jej wcale, a gdym się
o nią tęsknie dopytywał, Sonka mi odpowiadała, że odje-
chała daleko i nikt nie wie, kiedy znowu przybyć będzie
mogła.

Rosłem tak dziko jak one pokrzywy i łopuchy pod
płotem i pospolita dziatwa wiejska i miejska, zabawiając
się z rówieśnikami, ich językiem mówiąc i obyczajem przy-
mując.

Do kościoła zamkowego stara Gajdysowa mnie i Ma-
rychnę czasami tylko na święta prowadziła, a we dni
powszednie, choć niedaleko do niego było—boso i w koszu-
linach nie ważyliśmy się. Nauczono nas tylko żegnać się,
pacierza trochę, i gdy księdza spotkamy, w rękę go ca-
łować.

Małym jeszcze byłem, gdy pamiętam jak się dnia je-
dnego na zamku strasznie zawieruszyło i w mieście, bo
strach jakiś poszedł po ludziach, że nam naszego Wielkie-
go księcia Polacy chcą sobie odebrać na króla. Jednak do

tego nie przyszło na razie i Kazimierz pozostał w Wilnie. Odjeżdżał tylko parę razy, ale powracał wprędce. Utkwiło mi to w pamięci, bo gdy wyjeżdżał, ludzie go przeprowadzali, a powracającego witali z radością wielką, jak ojca choć młody był bardzo.

Potem nagle w zamku się zrobiło pusto. Gajdys około stajen nie miał tak dalece co robić, bo w nich mało co koni zostało. Siadywał w domu a biedował, bo na próżniactwo był skazany.

Znowu lat kilka tak upłynęło. Pani owa, o której dobrze pamiętałem i dopytywałem o nią, bardzo rzadko i na krótko pokazywała się u Gajdysów. Nie zapomniała jednak o mnie, bo Sonka dając mi z odzieży, obuwia coś nowego, powiadała, że to wszystko miałem z jej laski.

Jednego dnia Sonka stara, która cały dzień chodziła posępna, n.ruczając sama do siebie i wdychając, jak miała we zwyczaj, gdy jej co dolegało, siadłszy wieczorem na ławie przy piecu, do siebie mi przyjść kazała. Poglaskała mnie i pocałowała, bo miała macierzyńskie dla mnie serce, i zaczęła coś mówić, czego z początku zrozumieć nie mogłem, zapowiadając mi, że wkońcu trzeba będzie mi gdzieindziej jechać i Gajdysów opuścić.

Rozpłakałem się mocno, wołając, że nie chcę i nie dam się stąd wziąć nikomu. Stara mnie uściskała i uspokoiła, więcej już nie chcąc mówić nic... Utkwiła mi groźba ta w pamięci i strach ogarnął, ale przeszedł wkrótce, gdy potem nie zmieniło się nic i przez czas dosyć długi mowy o tem nie było.

Naraz jednego dnia Sonka, nic mi już nie powiadając, zabrała się do mycia i czesania od rana, przyodziła mnie, jak na święto, choć dzień był powszedni, i na zapytanie, co to znaczyć miało, oznajmiła, że z Gajdysem mi pozwoli pójść patrzeć jak Kazimierz, który już królem był, ale oni go tu zawsze Wielkim księciem nazywali, do Trok na łowy jechać będzie.

Nauczyła mnie, ażebym, gdy nade drogą, którą ma przejeżdżać staniemy—jak tylko ujrzę orszak pański, zaraz czapkę zdjął, a gdy się zbliżywszy, głową do ziemi przypadł pokłonem.

Ciekawy byłem, jak każde dziecko, więc gdy potem Gajdys mnie za rękę wziął prowadzić, choć się trochę obawiałem, szedłem rad zobaczyć tego Wielkiego księcia, którego tylko zdaleka widywałem, bo my dzieci uciekaliśmy i kryliśmy się przed obcymi... Powiadano nam, że przed nimi przodem jadą ludzie z biczyskami, którzy gawiedź i dzieci precz smagają.

Dnia tego, choć stary jestem i mógłby mi być wyjść z pamięci, nie zapominałem dotąd, a stoi on tak żywo przed oczyma mojemu, jakbym go wczoraj oglądał... Staliśmy nade drogą u zamkowej bramy, a było nas ludu dosyć. Gajdys przecie tak siebie i mnie umieścił, ciągle za rękę trzymając, żeśmy w pierwszym rzędzie byli.

Przez otwarte wrota w podwórze zamkowym widać było dwór pański, który się szykował; jedni ze psy, drudzy z sokołami, z oszczepami, dzidami, panowie konno, wozy pod zwierzynę za nimi.

Mogłem nawet rozróżnić łatwo Polaków od naszych Litwinów po odzieży i kołpakach, bo Polacy strojnijsi byli i śmielsi, niż nasi. Kilkoro paniąt, co na króla czekali, tak bez mała wyglądali, jakby też książętami byli albo królewiczami. Choć się to na łowy wybierało, ale stroje mieli błyszczące od złota i srebra, a szable, kołczany i łuki lśniące całe.

Po tłumie jakby drzenie poszło. Tsy! tsy! — stawali wszyscy, cisnąć się naprzód, odkrywały się głowy, orszak z zamku wyruszać począł.

Szła naprzód czeladź ze psy i sokołami, z sieciami, z różnym rynsztunkiem, psiarze, łowczowie, dwór, a dopiero za nimi ukazali się panowie. Przodem jechał król, koło którego tuż u boku postępowało jakieś książątko, tak konia wstrzymując, aby królewski przodem szedł zawsze. Siedział na koniu gniadym, pokrytym suknem zielonem ze złotem, w sobolowem futerku, bo jesień była, w kołpaczu też z kun, czy z sobola, z mieczem u boku, a drugim u kolana, twarz rumiana, ciemna i jakby opalona, z żywemi oczyma czarnemi śmiała się wesoło, bo wiadomem było, że tak, jak ojciec łowy lubił, a nie miał dnia szczęśliwszego, jak gdy ruszył w lasy ze psy na myśliw-

stwo. Długi, ciemny włos spadał mu na ramiona, a postawę miał pańską taką, że nie potrzeba było palcem nań ukazywać, iż on tu panem. Każdy w nim poczuł króla.

Śmiała mu się twarz, gdy coś rozповідаł, jadącemu tuż przy sobie książęciu, ale pomimo to coś w niej było surowego i poważnego i trwogę obudzało. I tegom później zawsze doświadczał, często się zbliżając do Kazimierza, iż choć dobrym, szczodrym, łaskawym się okazywał, majestat jakiś otaczał go zawsze, a groza i smutek z oczów jego patrzyły.

Czapczynę moją zawczasu z głowy zdjawszy, przypałem głową też do ziemi, już na zbliżających się patrzeć nie śmiejąc, aż Gajdys mnie podniósł i kazał prosto stać, a śmiałym być.

Gdy oczy podniosłem ku Kazimierzowi, postrzegłem, że on w Gajdysa począł się wpatrywać, i jakby czegoś przy nim szukać oczyma, aż jego oczy we mnie pilno wlepione zobaczyłem i uląknę się tak, że mi się na płacz zbierać zaczęło, i gdyby mnie Gajdys za rękę nie trzymał, uszedłbym pewnie.

W tej chwili właśnie król zwolna podjechał tuż ku nam, przystanął nieco i odezwał się do tego, którego ojcem nazywałem:

— Gajdys, syn to twój?

Z pokłonem niskim potwierdził to dozorca stajenny, król w milczeniu długiem przypatrywał mi się, twarz mu spoważniała, nie rzekł już nic, koniowi ostrogę dał i ruszyli dalej.

Lżej odetchnąłem dopiero, gdy się oddalili, a Gajdys krótko coś pomówiwszy z tymi, co go otaczali do domu mnie poprowadził.

Zaledwieśmy tu przyszli, gdzie Sonka oczekiwała na nas niespokojna już w progu, i Gajdysowie coś z sobą pocichu szeptać poczęli. Ja zaś ośmielony a dumą przejęty, żem tak blisko króla był, począłem Marychnie opisywać orszak i panów i wszystko, com tam oglądał.

Tegoż dnia wieczorem Gajdys na zamek poszedł i dożyć tam długo zabawił, a gdy wrócił, pocichu się naradzali z żoną.

Nazajutrz Sonka się znowu wzięła do umywania i czesania, a gdym zapytał, czy z ojcem gdzie pójdziemy — odpowiedziała pomyślawszy:

— Czas się tobie uczyć; ojciec cię zaprowadzi do wikarego, co przy kościele zamkowym mieszka, ten ci nauczycielem będzie.

Struchlałem, słuchając, bo nie mogłem pojąć, do czego mi jaka nauka służyć miała i co to znaczyć mogło. Uczulem też, że to groziło utratą tej swobody, której dotąd używałem i zacząłem płakać.

Nauka stawała mi w myśli z różgą razem. Nie wiem już, jak Gajdys mnie zaciągnął na kanonię i za łzami w początku nie widziałem nic, głos tylko nad sobą usłyszawszy w izbie sklepionej, do której weszliśmy.

Napróżno opierałem się, kryjąc po za Gajdysem, popchnięto mnie naprzód gwałtem; dwie duże, suche, kościste ręce pochwyciły i schyłona tuż siwa głowa zaczęła głosem łagodnym uspokajać mnie razem i śmiać się.

Nie wielem rozumiał, co do mnie mówił nauczyciel ów przyszedłszy; lecz po chwili trochę ochłonawszy, ciekawość mnie wzięła przypatrzeć się temu nowemu panu, któremu mnie na pastwę dać miano. Siedział przede mną człek stary, wzrostu słusznego, kościstej budowy, chudy, z głową i twarzą pociągłą, w sukni długiej czarnej i przypatrywał mi się, rękami coś ukazując, szepcząc coś niezrozumiałego, ale łagodnie i uspokajająco brzmiałego.

To wiem, że ze mnie dnia tego słowa dobyć nie mógł, choć i po głowie głaskał, i po ramionach klepał. Dał mi więc pokój, do Gajdysa mówić coś zaczął, z drugiej izby chłopaka wywołał trochę starszego nade mnie i razem z nim odpuścił mnie do domu, zapowiadając, iż nauka pocznie się rano nazajutrz.

Rozumnie to bardzo uczynił ksiądz wikary Łukis, że za towarzysza mi dał chłopię, którego choć nie znałem bliżej, widywałem je w ulicy. Z tem porozumienie się było łatwiejszem.

Otóż w jaki sposób naukę moją rozpocząłem u wikarego, który po kilku dniach całkiem mnie do siebie

ośmielił i dzikość moją ugłaskał. Niech Bóg miłościw będzie duszy jego, wiem mu ja winien i modłę się codziennie za niego. Na nauczyciela dziełek stworzony był ks. Łukis, bo ukochał je, a cierpliwości był świętej i można powiedzieć nadludzkiej. Z uśmiechem dobrotliwym na ustach pokonywał krnąbrności nasze, lenistwo i ociężałość umysłu, nieznudzoną swą łagodnością a wytrwałością niesłychaną.

Ze mną stało się to, czego pewnie ani on się nie spodziewał, ani ja sam po sobie. W początku do tej nauki jakiegś najmniejszej nie miałem ochoty, wstręt i obrzydliwość; postanawiałem opierać się tak jak koń, który ujeździć nie daje, bo wie, że potem na sobie ciężar dźwigać będzie musiał. Tymczasem nagle obudziło się coś we mnie: ciekawość, ochota, pragnienie i z dnia na dzień zupełnie się odmienił. Co to było i jaka mnie tknęła dusza Boża—nie wiem.

Od tej chwili nauka poczęła mi iść z taką łatwością, jak gdybym tylko przypominał sobie to, co umiałem dawno i zabyłem... Zdumiewał się ks. Łukis i cieszył niezmiernie, całując mnie w głowę, a nad miarę chwalać. Niedawno ostatni, wyprzedziłem innych uczniów, i taka mnie brała gorąca żądza jakaś wszystko umieć, widzieć jak najwięcej, żem i zabaw wszelkich i pustot się wyrzekł dziecięcych.

W drugim roku potem ks. Łukis począł przebąkać, że mnie do innej szkoły dać potrzeba, ale rok cały potem zostałem jeszcze przy nim.

Życie moje całkiem się przez tę naukę zmieniło i w domu inaczej się ze mną obchodzono, patrzano na mnie inaczej. Sonka była smutna, Gajdys milczący, z Marychną na dawne zabawy czasu wcale nie miałem. Powoli się oswajając z tą myślą, że mi gdzieś indziej jechać przyjdzie, gotowałem się do podróży. Ks. Łukis mówił mi o Krakowie, jam też teraz obawy nie miał, ale ciekawość i pragnienie wielkie. Żał mi było Gajdysów i Wilna, bom się do moich przybranych rodziców przywiązał, ale obiecywałem im i sobie, że w Krakowie się wyuczywszy, powrócę nazad.

Od lat kilku opiekunki tej nieznajomej, która mi krzyżyk na piersi zawiesiła, już nie widywałem. Mówiła Gajdysowa, że odjechała daleko. Od czasu do czasu tylko przychodziły od niej podarki i pozdrowienia, a gdym pytał, czy ją kiedy widzieć będę, stara Sonka głową pokręcając, odpowiadała wątpliwie:

— Bóg to wie, moje dziecko.

Trzeciego roku nauki mej u ks. Łukisa nadjechali jacyś panowie na zamek z Krakowa, dla narady z wojewodą, i ks. Łukis, ściskając mnie, oznajmił, że zapowiedział, że zapewne ja z niemi do Krakowa się teraz dostanę, iż takie były rozkazy.

Ale czyje one były, kto je dawał, kto się mną opiekował, nie mówiono mi. W chacie Gajdysów poczęły się smutne przygotowania do tej mojej wyprawy w świat. Oboje oni, nawykłszy do mnie, roztawiali się ze mną z boleścią, chociaż przyrzekłem im, że do nich powrócę.

Ja sam nie wiem, czy więcej bolałem nad tem, że ich i Wilno opuszczę, czym goręcej pragnął do Krakowa się dostać. Młody umysł każda nowość zaprzęta, a mnie więcej jeszcze chciwość tej nauki, o której ks. Łukis powiadał zawsze, że jest studnią niezgłębioną, ciągnęła urokiem wielkim.

Wyznać jednak muszę, że choć naówczas byłem chłopięciem, w którego wieku mało się jeszcze troszczyć zwykło o siebie i losy swe, mnie jednak niektóre przygody życia dawały już wiele do myślenia. A gdym, nie rozumiejąc ich dobrze, Gajdysowej o wytlumaczenie ich pytał, odpowiedzi jej jeszcze bardziej ciekawość mą drażniły.

Gajdysowa długo bardzo milczeniem mnie zbywała, gdym dopytywał o tę panią, która mi się matką naprzód nazywać kazała, a potem nagle opuściła, i o tych, co się mną opiekowali teraz, i to, do czego mnie w przyszłości przeznaczano.

Dopiero, gdy Gajdys zapowiadać coś zaczął, że mnie bodaj przybyli panowie polscy do Krakowa z sobą zabiorą, stara, co mnie wychowała, płacząc a ściskając, lamentować nad tem poczęła i usta się jej rozwiązały.

Prawda, że też ja przez tych parę lat nauki u ks. Łukisa, obcowania z nim i ze starszymi uczniami bardzo nad wiek mój dojrzałem, stałem się aż nadto poważnym i dochodzącym przyczyn wszystkiego.

Rozumiała to dobrze Gajdysowa, że teraz ze mną, jak ze starym mówić może, a nad losem moim bolejąc chciała mi dać naukę i przestroge... nie spodziewając się, aby mnie już widzieć mogła, co też na nieszczęście moje się sprawdziło.

Więc gdy przyszło do przygotowań ku tej podróży, która we mnie strach i pożądlivość obudzała, a Gajdysowa to mi męstwa dodając, to go łzami swemi odejmując, więcej, niż kiedy, krzątała się koło mnie, wieczorem jednym przyszło do otwartej z nią rozmowy.

Matką ją zwał, na co wzdychając, odpowiedziała:

— Wiesz to, Jaszku mój, że chociażem cię, Bóg widzi, kochała i kocham jakbym była rodzoną, przecież nią nie jestem...

A gdym żywo zapytał:

— Więc któż mi ojcem, a kto matką? — naprzód płakać poczęła, długo mówić nic nie chcąc, a potem się odezwała:

— Taka dola twoja, że ty ani matki twojej, ani ojca nigdy znać nie będziesz... Sierotą przyszedłeś na świat, ani pytań, ani dochodź!...

Oburzyło mnie to, bo już wprzód chłopcy prześladowali mnie nieraz, żem z pod płota, sroce z pod ogona wypadł... i nieraz się o to biłem z nimi; począłem więc gorąco bardzo.

— Póki żyw, matko Gajdysowo — rzekłem — nie przestanę śledzić i dochodzić ojca i matki... Niech się dzieje, co chce.

Stara przestraszona tulić mnie i uspokajać poczęła.

— Ani się waż, ani myśl, ani sobie tem głowy zaprzątaj — rzekła. — Wyszłoby ci to na złe i życiem-byś może przypłacić musiał... Póty spokoju i opieki nad tobą, dopóki ty jesteś sierotą. Co Bóg ci przeznaczył, to przyjm z pokorą, dochodź darmo, bo niczego się nie dowiesz... a na siebie gniew ściągniesz i zemstę.

Ale mnie, dotknąwszy tej struny bolesnej, niełatwo uchodzić było... a im Gajdysowa więcej uspokoić i nasstraszyć chciała, tem mocniej mnie podrażniła. Wspomniałem jej o tej drugiej matce, której choć bardzo dawno nie widziałem, przecieżem ją pamiętał i czułem, że ona prawdziwą być musiała.

— Spotkam-li ją gdzie w życiu — dodałem — choćby nie wiem ile lat na to czekać przyszło, poznam ją, a ona mnie wyprzeć się nie może.

Na co stara Gajdysowa odparła:

— Wyprzeć się musi, ty tego nie rozumiesz; a no, żebyś ją spotkać mógł, albo miał, niech ci się nie śni, nie może to być.

Chwilę podumawszy, dodała żywo:

— Ona umarła, niema jej już na świecie...

Dłaczegom ja tym słowem nie uwierzył, tego nie wiem, ale mi był prawie pewnym, że umyślnie to powiedziała, aby mi z głowy wybić szukanie matki.

Nadszedł potem stary Gajdys i rozmowa się przerwała, ale poszedłszy na mój siennik spać, oka zmrużyć nie mogłem, ciągle myśląc o tem, że ojca sobie i matki szukać powinienem, a upomnieć się o swe prawa... Wiedziałem od dziecka, że się rodzice opiekowali tymi, których im Bóg dał, za cóż ja miałem być wydziedziczony.

Nazajutrz i przez tych kilka dni, pókiśmy się do drogi gotowali, Gajdysowa, przestraszona tą rozmową ze mną, ciągle wracała do niej, starając się wmówić we mnie, że chcę-li być szczęśliwym, powinienem sobie z głowy wybić rodziców, bom ich nie miał... ale im więcej to pragnęła mi wpoić, tem w duszy mojej rodziło się większe pragnienie odkrycia tej jakiejś tajemnicy, która moje pochodzenie okrywała.

Ażeby matka tamta w jedwabnych szatach, piękna owa niewiasta młoda umrzeć miała, jak zapewniała Gajdysowa, temu wierzyć nie chciałem.

Ile z tego wszystkiego w dziecinnej głowie się snów i marzeń naroiło, co się nigdy ziścić nie miały, policzyć zaprawdę trudno.

Tymczasem do podróży się wszystko przysposo-

biało, a Gajdys jednego dnia przyniósł z zamku wiadomość tę, że nazajutrz ma mnie zaprowadzić i ukazać temu duchownemu panu, który z sobą do Krakowa zabrać obiecywał.

Gdy się Gajdysa ośmielił zapytać, kto to tem rozporządzał i mnie stąd wysyłał, groźnie spojrzał na mnie.

— A tobie, gołowąsie, co do tego? — zawołał. — Woli swojej nie masz, co ci każą, powinienesz czynić i nie pytać. Ja ci jestem ojcem, uprosilem o to, i tak się stanie, jak postanowiono.

Wiedziałem, że z nim się sprzeczać nie było można; milczeć musiałem.

Nazajutrz, jak zapowiedział, poprowadził mnie na zamek dolny, do izby, w której zastaliśmy księdza, w sukni prawda takiej, jak oni wszyscy nosili, ale postawy, gdyby dopiero się ze zbroi wywłókt, rycerskiej.

Ten, zobaczywszy mnie, a śnać już o mnie wiedział wprzód, namarszczył brwi i twarz mu się wykrzywiła, ale z za stoła wstał i zbliżył się ku mnie, a jał w milczeniu jakimś smutn m przypatrywać.

Potem wyszedłszy z zadumy, zadał mi pytań kilka.

Chociaż dosyć wyglądał groźnie, niebardzo się uląkł i odpowiadałem śmiało.

Śluchał uważnie, a wkońcu spytał:

— A uczyć się chcesz?

Żywom to potwierdził.

— To dobrze — rzekł, klepiąc mnie po ramieniu — bo sierotą jesteś i nie masz na świecie nikogo, a to, co sam sobie pracą zarobisz, to twoje... Ludzie są miłosierni, ale na miłosierdzie zasłużyć potrzeba.

Znowu mnie to sieroctwo do żywego ubodło. Wtem ksiądz ów, jako się później dowiedziałem, Jan z Rzeszowa, co później biskupem był, ode mnie się odwróciwszy, zcichu zapytał Gajdysa, jak mnie zwano? Oprócz tego imienia Jaszka nie miałem innego, ksiądz nie wiem czemu Gajdysem mnie mieć nie chciał i dodał:

— Orfanem go nazwiemy.

I ot jakim sposobem przyszedłem do tego imienia.

które mi na całe życie pozostało, bom do innego prawa nie miał nigdy.

Nie będę opisywał, jakem się z pocziwymi przybranymi rodzicami rozstawał we łzach wielkich, i jak Gajdysowa, fartuchem łyzy ocierając, przeprowadzała mnie, jak mogła najdalej.

Panowie polscy, którzy z sobą zabierali sierotę, jechali dosyć dwornie. Wszyscy oni, nie wyjmując duchownych, konno podróż odbywali; ale wozów szło za nami sporo, bo nie było takich gościńców i gospód, ani gęstych osad, aby się można obejść bez zapasu dla ludzi i koni.

Jechało z nami dwu księży kanoników, więc z prawa do plebanii i klasztorów zajeżdzać mogli, o gościnę prosząc, ale na Litwie podówczas probostwa, kościoły, ba, nawet wsie nie były gęste. Często przychodziło w lesie popasać, czasem i nocować pod wozami i małymi namiotkami, któreśmy mieli z sobą. Nie pamiętam już spelną, jaką drogę do Krakowa obrano; to tylko wiem, że księża i panowie chcieli koniecznie do cudownego miejsca i obrazu się dostać, który nie tak dawno Władysław, księżę opolski, z Bełza sprowadziwszy, oddał pod straż zakonników Paulinów.

Wiele już wówczas o obrazie tym cudownym rozpowiadano, o czem się w drodze nasłuchiwałem, iż na tym stole malowanym być miał, przy którym Rodzina święta zasiadała, a nie kto inny, jak Łukasz święty z pomocą anielską go malował, wpatrując się w oblicze Matki Bożej.

Opowiadano, jako się tam cuda działy wielkie w miejscu tem, i tłumy ludu zbiegały dla uczczenia go i uproszenia łask... Więc i ja w duszy postanowiłem w cudownem miejscu dopraszać się Matki Bożej, aby ona mi wróciła matkę i ojca.

Nie pamiętam już, ileśmy dni do Częstochowy jechali, a to wiem, że zrazu wsadzony na wóz, gdy się potem naparł jako i drudzy do konia, dano mi go. Nieprzywykły do tak długiej podróży na niewygodnej, a twardej kulbace, straszne męki wycierpiałem, ale mi wstyd było na wóz z powrotem iść i śmiechu napytać.

Więc choć kości czułem jak połamane w sobie, a na nocleg przybywszy, padałem gdyby ubity, wytrzymałem do końca, nie skarżąc się.

W podróży, krom księdza Jana z Rzeszowa, który na mnie oko miał, nikt się nie troszczył i nie myślał o sierocie. Dwór panów rad był podrwać z wyrostka, a choć krzywdy mi nie czynił, szczególnych też nie miałem względów.

Stanęliśmy nareszcie w Częstochowie, którą ja sobie wyobrażałem całę inaczej. Kościół był naówczas niewielki, klasztor przy nim niedokończony, murów dużo porozpoczynanych. Miasteczko dokoła drewniane i ubogie mi się zdało.

Nazajutrz rano wszyscy byliśmy już przed obrazem na nabożeństwie i klęczeliśmy, wpatrując się w owo cudowne malowidło, a jam gorąco się modlił, prosząc, by mi Królowa niebios ojca i matkę oddała.

Nie jednej, ale kilku mszy tu wysłuchawszy, ponieważ konie i ludzie wypoczynku potrzebowali, staliśmy przez ten cały dzień, słuchając niesporów i litanii w kościółku. Ludu było dosyć... ścisk wielki!

Mnie ksiądz Jan kazał nocować przy sobie na korytarzu, gdzie dla nas kilku słomy rzucono.

Po niesporach i wieczerzy, gdym legł, natychmiast ogarnął mnie sen głęboki, ale mimo to zdawało mi się, że czuвам i widzę, co się koło mnie dzieje. We śnie tym ujrzałem przed sobą obraz cudowny, ale z niego jakby żywe oblicze Matki Bożej na mnie patrzyło, i zdało mi, że słyszę głos łagodny:

— Przyjm z pokorą, co ci Bóg przeznaczył, a nie buntuj się, albowiem matki i ojca odzyskać nie będziesz mógł i nie powinienes się starać o to, chceszli być spokojnym i szczęśliwym.

Rozpłakałem się przez sen, wyrok ten słysząc; ale gdym się rano przebudził, tak mi się serce ścisnęło potem, iż w sen ten uwierzyć nie chciałem i lekceważyłem go sobie.

Zrana pierwszej mszy świętej jeszcze słuchaliśmy

wszyscy u obrazu, poczem zaraz na koń siadać było potrzeba i w dalszą wyruszać drogę.

Piaszczyste i puste gościńce wiodły nas ku Krakowu i lasom, które ławą szeroką z tej strony go opasywały. Rzadko gdzie spotykaliśmy ubogie osady, lub zdala je dostrzedz było można.

Dla tego starego obyczaju, którego i teraz się odyczć nie umiała szlachta i urzędnicy, że we wsiach samowolnie podwody, konie, ludzi, przewodników i obroki wybierali — uciekały wioski od gościńców wielkich w lasy, a i gospody były rzadkie i biedne.

Najczęściej szopa wielka, z chróstu pleciona, nie zawsze wrotami zamknięta, a przy niej chałupa z dwojgiem starych ludzi, u których czerstwego chleba, a czasem kwaśnego cienkusu dostać było można — zwała się gospodą. Konie od słoty i zawiei schronić się mogły, ludzie przytulić, ale pokarmić nie było czem. Studnia tylko i wodopój musiała się znaleźć koniecznie, ale i ta często zapuszczona, zgniłej wody dostarczała.

Prawda też, iż za postójne w gospodzie mało co lub nic się nie płaciło. Po takich gospodach ostatnia biedota się tylko osiedlała, bo tu łatwiej było guza, niż grosza, napytać. Rzadko dworno jadący ludzie zapłacili co.

Jużeśmy się zbliżali, przebywszy srogie piaski, ku lasom, i ludzie ks. Jana zapowiadali lepszą gospodę u skraju puszczy, aleśmy pobłądzili i późno tu na nocleg przyciągnęli.

Oprócz ks. Jana, drugiego kanonika i pana wojewody sandomierskiego, był z nami podkanclerzy, a każdy z panów prowadził z sobą służbę i dworzan miał kilku, tak, że wszystkich nas zliczywszy, poczet był znaczny i samych żłobów dla koni dosyć potrzebowaliśmy, bo się czeladzi nie chciało za każdym razem koły wbijać i płócienne podróżne żłoby rozpinąć.

Tymczasem, gdy się nam we mroku gospoda owa ukazała, zobaczyliśmy przed nią stojącą ogromną kolebkę pańską i ludzi około niej dosyć. Zapowiadało to, że my już pewnie nie będziemy się mieli gdzie pomieścić i że nam na jesiennym chłodzie obozować przyjdzie, bo

w gospodzie, jak we młynie, kto pierwszy zajeżdża, ten zajmuje... Kolebka zaś oznajmywała, że niewiasty pewnie jakieś jechać musiały i znacznego rodu, bo dwór widać było liczny.

Wszystkim to na przekór było, a naszym dworskim tak markotno, że gotowiby byli zadrzeć się i noclegujących precz wygnać, lecz podkanclerzy i nasi księża żadnej burdy dopuszczać się nie pozwalali i karali ją srodze.

Zbliżywszy się do gospody, przez okna ujrzeliśmy rozpalone w niej ognie, służbę krzątającą się, ludzi tłum, niewiast też nie mało, zbrojny poczet okazały, słowem, dwór pański.

Słyszałem, jak ks. Jan zapytał stojącego zbrojnego czelaka: kto to był — a ten mu odpowiedział, że Nawojowa z Tęczyna od ojca na Litwie, do męża powracała.

Ja, com nigdy o panach z Tęczyna nie słyszał, nie wiedziałem też, jaki to ród był wielki i możny, ale mi się prawie królewskim dwór Nawojowej wydał.

Podkanclerzy i księża, posłyszawszy kto był, obóz w pobliżu na polanie rozbijać kazali, sami nawet do gospody się nie zbliżając. Zbrojny ów mąż, który ochmistrem dworu był, zapytał naszych ludzi o podróżnych, dowiedział się jadących, ale nie zbliżyło to jednych do drugich. Owszem, postrzegłem, że Tęczyńscy z naszymi koso na siebie patrzyli.

Wydał zaraz surowy rozkaz podkanclerzy, ażeby do gospody się nie wpierano. Myśmy też z niej nic nie potrzebowali, bo na wozach żywności było pod dostatkiem, a studnia mogła wody dostarczyć dla wszystkich.

We mroku z ciekawością spoglądałem ku oknom, przez które się ukazywały głowy niewiast, jeszcze, jak z podróży przybyły, białymi namitkami i zasłonami poobwijane.

Ustąpiliśmy zaraz w bok, tak, że od gospody szeroki gościniec nas dzielił. Rada nierada czeladź, choć klnąc, musiała dla panów rozbijać dwa namioty, żłoby stawić i jak należało obóz zakładać. Po gościach naówczas napasćienne i nocne nie były żadną osobiwością i każdy się na baczności mieć miał, ba, nocą nawet straż stawić.

Mnie, gdyśmy się już rozłożyli, a robić nie było co, bo jeść nierychło mieliśmy dostać, i krupnik dla nas dopiero w kociolkach nastawiano, wzięła wielka ciekawość tych niewiast i dworu.

Podkradłem się więc pod otwarte okna gospody, bo ich okiennicami nie zasunięto dla dymu, który izbę napęniał i wychodził niemi.

Widok dla mnie był ciekawy i nowy tylu pań różnego wieku, postrojonych bogato, choć w podróży, i otoczonych sprzętem różnym, jakiegom w życiu mojem nie widywał.

Służba na stole, okrytym obrusem, poustawiała podróżne dzbany, kubki, misy kruszczowe, błyszczące. Woń jadła, korzeniami zaprawnego, dochodziła mnie przez okna.

Za stołem siedziały dwie niewiasty, z których jedna starsza, ku mnie zwrócona, twarz miała bladą, długą, wychudłą, z zapadłemi oczyma czarnemi, dokoła rąbkami białym opasaną. Wydała mi się bardzo poważną i surową. Druga, której twarzy stąd widzieć nie mogłem, młodszą być musiała, ruchy miała żywsze i na głowie oprócz białych rąbków, czepiec szyty bogato, z pod którego włosy ciemne się wymykały.

Reszta służby żeńskiej przynosiła misy, chodziła około stołu i pilno tym dwom podawała kubki i ręczniki. Błask od ognia rozpalonego w kominie i grubych świec woskowych na stole, padał na niewiasty, przy nim siedzące, tak, że najmniejsze rzeczy dobrze widać było. Z ciekawością wielką, pochyliwszy się, przypatrywałem się temu widokowi, gdy młodsza pani odwróciła się do sługi i twarz jej oblana światłem ukazała się mi nagle.

Jakby piorun mnie raził, zdretniałem, zobaczywszy ją i dobrze, że mi nie krzyknął. Poznałem bowiem w tej kobiecie tę, co mi się matką nazywać kazała.

Chciałem, ochłonąwszy cokolwiek, biedz zaraz do niej, nie wątpiąc, że i ona mnie poznać musi, a nie odepchnie od siebie, ale mnie strach ogarnął jakiś. Ciągnęło coś i odpychało.

Przyszedł wreszcie na pamięć sen, który miałem w Częstochowie, rady Gajdysowej i nie wiedziałem, co począć. Łzy mi w oczach stanęły.

Gdybym był słuchał pierwszego popędu, pewniebym wpadł do izby i rzucił się do tej kobiety. Lecz nuż mnie oczy zwodziły? nuż to nie ona była, a inna do niej podobna?

Mówiło mi serce, że to nie mogło być, żem się nie mylił, a jednak obawiałem się.

Stałem u okna, jakbym w ziemię wrosnął, nie mogąc ni odejść, ni oczów odwrócić, choć twarzy już nie widziałem. Teraz głos jej do mnie dochodził, a ten potwierdzał jeszcze, że ona była, nie inna, bo mi brzmiał znajomym, serdecznym dźwiękiem.

Tak, był to głos tenci sam, choć inny razem, ostrzejszy, dumniejszy, surowszy, a jam go pamiętał miękkiem, łagodnym i żalźwionym.

Nie wiem, jak długo bym był u tego okna pozostał, gdyby nagle silna dłoń nie chwyciła mnie za kark i nie rzuciła precz na gościniec, tak, że o mało twarzą na ziemię nie padłem.

Krzyk mi się z ust wyrwał, i nie wiem, czy znuzenie podróżą, wzruszenie, uderzenie to, czy jaka inna przyczyna o mdłość mnie przyprawiała. Pamiętam, że ręce wyciągnawszy, zachwiałem się, w oczach mi się zaćmiło i już nie wiem, co się stało ze mną.

Poczulem potem chłód na twarzy, a gdym powieki podniósł, postrzegłem światło luczywa nad sobą i pochylone dwie twarze niewieście, które mi się przypatrywały. Dokola stała gawiedz dworska, opowiadając, jak mnie u okna złapała.

Mnie nic to wszystko nie obchodziło, bom oczy miał wlepione w tę, w której matkę poznałem. Schyłona była nade mną, brwi ciemne miała groźnie ściągnięte i usta zapadłe, wyraz niemal gniewu i strachu na twarzy.

Gdy mnie omdlałego cucono i rozpinano, krzyżyk, który na szyi nosiłem, dobył się na wierzch, a ja w obawie, aby go nie stracić, sięgnąłem ręką po niego. Kobieta, stojąca nade mną, nie mogła go nie widzieć i nie

poznać, bo był zupełnie inny od tych, jakie pospolicie noszono. Sądziłem, że mnie po nim pozna, ale zamiast uczucia na jej twarzy, odmalowała się odraza, trwoga i gniew. Czarne jej oczy zdawały mi się grozić.

Nie śmiałem więc ust ani otworzyć, ani się ruszyć. Wtem od naszego obozu nadbiegł kleryk księdza Jana niespokojny, bo się opatrzył, że mnie nie było, a tu jakieś zbiegowisko postrzegł.

Gdy się zbliżył, posłyszałem, jak starsza niewiasta rozpytywać zaczęła, kto jechał, skąd, jak się duchowni zwali, a młodsza głosem porywczym spytała, kto-bym ja był.

Kleryk jej odpowiedział, że mnie ks. Jan wioził z Wilna do Krakowa dla nauki, bo mu to polecone było przez kogoś, ale nie mówił przez kogo.

Podniosła się i wyprostowała dumnie ta, w której ja matkę upatrywałem, i ostrym głosem zaczęła wyrzucać klerykowi, że bez dozoru puszczano mnie pod okna się podkrać i ludzi podpatrywać.

Ani słowem, ani wejrzeniem nie dała mi poznać, żeby się domyślała we mnie swego dziecka. Ja byłem pewnym, żem się nie omylił, ale też i tego, że ona znać mnie nie chciała. Puściły mi się dziecinne łzy z oczów, wstałem o swej mocy, i nie dając klerykowi rozmawiać dłużej, pociągnąłem go z sobą do naszego obozu.

Tu od ks. Jana musiałem wysłuchać nauki, że ciękawość pierwszym stopniem do piekła, że niegodziwą to naturę zdradzało podpatrywanie niewiast zwłaszcza i złodziejskie takie podkradanie się.

Anim się myślał tłumaczyć, poszedłem płakać na moją wiązkę słomy. Okrucieństwo tej kobiety, która we mnie choćby po krzyżku dziecko swoje poznać musiała, było mi tak bolesnem, iż o wszystkim dla niego zapomniałem. Nic mnie nie obchodziło.

Prawdę więc mówiła Gajdysowa, że ja matki mieć nie mogłem, a ona się przyznać do mnie. Ja, com ją tak kochał, powiedziałem do niej żal, który prawie w gniew przechodził. Nawykły do modlitwy i do zwracania się ku Bogu, pytałem Go, dlaczego mnie jednemu los

taki przeznaczył, bo mi się zdawało, że chyba nie było w świecie drugiego, którego by się własna wypierała matka.

W tych łzach i męczarni usnąłem potem takim snem głębokim, że mnie nazajutrz rano kleryk zbudził dopiero, gdy już do drogi wszystko było gotowem.

Oczy otworzywszy, mimowolnie napróżd ku go spodzie spojrzałem, ale już przed nią ani kolebki wczorajszej, ani dworu, ni śladu niewiast nie było.

Ludzie mówili, że o brzasku pośpiesznie wyruszyli, z czego radzi byli, bo izba próżna stała i ognisko w niej gotowe.

Nazajutrz, choć wczorajszy wieczór miałem przed oczyma, o białym dniu ostygłszy, gdym wszystko sobie znowu rozważać zaczął, chciałem wmówić w siebie, iż ta kobieta nie mogła być matką moją. Ale i głos, i twarz, i coś, co się opisać nie daję, za tem świadczyło.

Drugiego dnia potem nad wieczorem ujrzelśmy przed sobą Kraków, który mi się po Wilnie już zdaleka wydawał tak dziwnie wspaniałym, wielkim, iście królewskim grodem, że mi to trochę odjęło wrażenie boleści.

Im bardziej zbliżaliśmy się ku miastu, tem ono większy we mnie budziło podziw. W Wilnie ani tych wież, ani kościołów, ani połowy okazałych murów nie było. Dwa zamki, okólne mury z wieżycami, kościół zamkowy, kilka ledwie kamienic w mieście w oczy wpadały, reszta wszystka prawie drewniana była i przy ziemi siedziała.

Tu już zdała ogrom murów i wież zapowiadał miasto, jakiego na całej Litwie nie było; a gdyśmy Floryańską bramą w ulicę ku Rynekowi ciągnęli, oczów nie mogłem oderwać od osobliwego widoku, jaki mi się przedstawiał.

Choć wieczór już był i dzień powszedni, na mieście więcej ruchu, wrzawy i ludzi znaleźliśmy, niż w Wilnie czasu targów i jarmaków. Domy, choć dużo drewnianych było, bielone i malowane tak ozdobne były w ganki, dachy i daszki, a na każdym niemal z nich jakieś

godło rzeźbione i złożone tak oczy pociągało, że się ich napatrzyć nie mogłem do syta. Wszystko cudnem mi się wydawało.

I przechodzący też ulicami, od mieszczan wileńskich ze staroświecka poodziewanych, wcale byli różni. Strojów osobliwych spotykaliśmy co niemiara, bogatych, pańskich, zamorskich jakichś i do naszych niepodobnych. Rycerstwo uwijało się w rynku konno, ciągnęły ogromne wozy kupieckie, popod domami szli mieszczanie w bławatach, łańcuchach i kolpakach wspaniałych.

Przytem, że wieczór był, więc i dzwony na różne głosy odzywały się po kościołach i z otwartych niektórych słychać było śpiewy wieczorne.

Jechałem upojony i zachwycony, widząc teraz, że wszystko, co o Krakowie opowiadał ks. Łukis, wcale przesadzonem nie było... ale jak tu mnie, biednemu sierocie, którego się wypierali wszyscy, niemającemu opieki, przebić się było i nie zginąć ściśniętym w tym tłumie!

Wzdychałem ku Bogu tylko, stawszy się pobożniejszym jeszcze:

— Tyś Ojcem wszystkich, a szczególnie tych, co ojca ni matki nie mają.

Pierwszego wieczora tego tylkośmy się o zmroku przesunęli ulicami, więc ciekawość obudziła się raczej, niż zaspokoila.

Kleryk ks. Jana, który mi dosyć życzliwym było kilka lat tylko starszy ode mnie, zapowiedział że nazajutrz, ponieważ dzień był na spoczynek, przeznaczony, a on wolny, więc mnie po mieście poprowadzi i ukaże, co w niem było najpiękniejszego.

Mnie się to wszystko cudownem zdawało!

Ks. Jan z nami stanął gospodą w domu przy ulicy św. Anny, inni nasi towarzysze podróży na zamek i po domach swoich się rozjechali.

Widok pięknego i wielkiego miasta trochę zatarał we mnie smutne wrażenie owego noclegu, ale cokolwiek mi go na pamięć przywodziło, a szczególniej mój krzy-

żyk, gdy go dotknąłem, znowu mi boleść pierwszą powracał.

Kleryk nazajutrz dotrzymał słowa. Poszliśmy na miasto i do kościołów, jakich ja w życiu moim nie oglądałem, do P. Maryi, do kilku zakonnych, do Bożego Ciała i co ich było w pośrodku miasta, bośmy za mury nie wychodzili.

Dziwiłem się bogactwom i wspaniałościom, liczbie duchowieństwa, nabożeństwowi okazałym; jedno mnie tylko raziło, że oprócz mowy polskiej, prawie tyle, co jej, słyszeliśmy dokoła szwargotu niemieckiego. Stroje też mieszczan dużo pomiędzy niemi różnych Niemców domyślać się kazały, ale i z innych narodów około Sukiennic kręciło się dziwnie postrojonych kupców i podróżnych niemało, a tu języków się było można nasłuchiwać osobliwych.

Rynek i kamienice około niego wspanialsze były, niż książęcy zamek wileński. Ratusz z wieżą, sklepy ogromne, a dalej domy wysokie, całe malowane i rzeźbione, podobały mi się bardzo.

Na niektórych święci patronowie stali ponad bramami jakby żywi, na innych wyglądały wizerunki królów i rozmaity zwierz, jakby skamieniałe jelenie, lwy orły, barany, kruki. Śmiał się kleryk, gdym stawał przypatrywać się tym niewidzianym rzeczom. Każdy bowiem dom w rynku szczególnie miał coś, czem się odznaczał od innych i po czem odróżnić go było można.

Wszystko to świeże, lśniące, pomalowane wytworzenie, gdyby żywe stało. Cóż dopiero powiedzieć o sklepach jakich ja i śnić nawet nie mogłem, bo pełne były towaru, o którym nigdy nawet nie słyszał. Kleryk z dumą mi to wszystko ukazywał i tłumaczył.

Przeszedłszy parę ulic, w głowie się mąciło od tego, co się tu widziało. Co chwila stawałem, bo ciągle było na co patrzeć i o co pytać. Na zamek jechały poczty rycerstwa, kapiące od złota, z zamku powracali panowie ze służbą i zbroją dla mnie niewidzianą. Rusinów, Tatałów, Turków, Węgrów nauczyłem się dopiero rozróżniać.

Pytałem nieustannie, a dziwiłem się bez miary.

Wreszcie kleryk, zmęczysz się, nazad mnie do kamienicy odprowadził i tu samego zostawił.

Jaki mnie tu los czekał w tem obcym zupełnie mieście, wśród ludzi, co mi nie byli niczem, nie wiedziałem spełna.

Mówiono mi, że się uczyć miał, ale gdzie i jak — głucho było.

W Wilnie przy Gajdysach czułem się jakby w rodzinie, tu wszyscy obcy i straszni się wydawali. Co kogo mógł obchodzić taki, jak ja, sierota?

Kleryk mi zawczasu powiadał, że do Krakowa takich, jak ja pauprów, bez ojca, bez matki, sierot napływało bardzo dużo, że sobie przy pomocy dobrych ludzi dawali rady i z głodu nie marli; krzepił mnie, ale w taki sposób jakiś, iż słuchając go, większy jeszcze strach mnie ogarniał.

Nie będę się nad temi mojemu laty pierwszymi rozszerzał zbyt, bo i bez tego wiele nam do powiedzenia o losach i przygodach moich; powiem tylko, że choć o mnie ks. Jan nie zapominał, przez kilka dni czekałem, gdyż nic postanowionego nie było. Nie pytano mnie o nic, woli swej nie miałem; ale kto mną rozporządzał, nie mówiono mi też.

Czwartego czy coś dnia rano ks. Jan, ze mszą idąc do kościoła zamkowego, za sobą mi iść kazał, zapowiadając, iż do mszy służyć mu miałem.

Szedłem więc dosyć tem dumny, a zwłaszcza mi się podobało, gdy mnie w zakrystyi ubrano w piękną, białą komeżkę ze wstęgą liliową.

Msza była nie pierwsza, ale wotywą zwana, w kościele ludzi dosyć, a w tem miejscu, które mi kleryk pokazywał, że tam król zwykł był słuchiwać mszy, ujrzałem go wistocie i poznałem zaraz. Z trwogą jakąś spoglądałem ku niemu tem większą, że ile razy zwróciłem oczy, zawsze spotykałem wejrzenie jego ku mnie skierowane.

Przypatrywał mi się tak, iż mnie coraz większy strach ogarniał.

Od tego czasu, gdym go nie widział, wydawał mi

się zmienionym. Młody jeszcze i przystojny, twarzy rysów regularnych i wcale pięknej, miał na niej wyraz smutku jakiegoś i troski, który z niej nie schodził. Długie włosy spadały mu na ramiona.

Aż do końca mszy ks. Jana siedział tak, słuchając, jej, patrząc na mnie, a po benedykcji, gdyśmy do zakrystyi powracali, zniknął.

Ks. Jan, kazawszy mi iść do domu samemu, udał się na zamek.

Nie było go do obiadu, który on tu razem z dwoma kanonikami jadał, a co zeszło ze stołu ich, temeśmy z klerykiem się żywili. Nie było głodu, ale i wymysłów też żadnych, bo się księża prostym stołem obchodzili, a we dni postne mało nawet co jedli.

Pod wieczór zawołano mnie do ks. Jana. Biło mi serce dobrze, bom przeczuwał, że się musiał mój los rychło rozstrzygnąć. Tak się też stało. Zapowiedział mi ks. Jan, że uczyć się powinienem być, i nic lepszego nie mam do wyboru, tylko się tak przygotować, ażebym później godzien był przyoblec suknię duchowną.

Począł się nad tem szeroko rozwodzić, jakim to było szczęściem zostać wybranym i kapłanem Bożym, dodając, że on sam rycersko wprzód służywał, przecież wczas przejrzał i obrał sobie lepszą część. Radził mi więc zawczasu na duchu się gotować i sposobić do stanu tego, który wymagał wiele; bo niedosyć było nauki, niedosyć mądrości, ale świętości, pokory i wszelkich cnót do niego nabyć potrzeba było.

Zapowiedział mi w ostatku, iż będę dany w opiekę mężowi świątobliwemu, chodzić mam do szkoły, a jemu posługiwać, na niego się zapatrywać i być mu we wszystkim, jak ojcu, posłusznym.

Czekałem z obawą wielką, modląc się, jaki mnie los i opiekun spotka.

Nazajutrz ks. Jan, węzelek mi rozkazawszy zabrać z sobą, niedaleko stamtąd dowiódł do Collegium, gdzie w samych prawie drzwiach do maleńkiej celi zapukał. Weszliśmy. Stał nieopodal ode drzwi, jakby na nas oczekując, mężczyzna w samej wieku sile, z twarzą piękną,

nią, pogodną i niemal promienistą, dobrocią uśmiechającą się a rozumną.

Od pierwszego wejrzenia nań nie można się było powstrzymać, aby ku niemu jakieś czci nie powziąć. Dzieckiem byłem, ludzi nie znałem, przecie mąż ten na mnie takie uczynił wrażenie, jakbym nie pospolitego przed sobą człowieka widział, ale jakąś istotę wyższą i doskonalszą.

Gdy mi nieśmiało wsuwał się za ks. Janem, oczy stojącego wlepione były we mnie pilno, a miały wyraz takiej miłości, jakby chciały mówić owo: *Sinite parvulos venire ad me.*

Dodał mi otuchy wejrzeniem.

— Oto jest chłopak, o którym mówiłem — dodał, kłaniając się, wchodzący. — Sierota, dano mu też imię Jaszka Orfana. Daj Boże, aby godzien był wam służyć.

Gdy to mówił, stojący naprzeciw patrzył na mnie, a ja z natury trochę dziki, tak dziwnie byłem tym wzrokiem ośmielony, tak mi on błogo jakoś do duszy mówił, że się odważyłem postąpić i rękę jego ujawszy, ucałowałem ją.

— Księżu Janie mój — odezwał się głosem jasnym i dźwięcznym — sierotą też zaopiekować i obowiązkiem jest i rozkoszą, alem ja, wiecie, nie tak swobodny, abym mógł się tego podjąć. Siedzę tu w Krakowie, mam co czynić w Akademii i w domu, a wiecie, iż pielgrzymuję często. Znowu mnie ciągnie do Rzymu potrzeba duszna, cóż naówczas z nim pocznę? Rychło a nie ujrzycie mnie — dodał z uśmiechem. — Pieszko chęć do grobu apostołów.

Ks. Jan po chwili namysłu rzekł:

— Na ten czas zwierzyłbyś go ojciec osobie swojego wyboru, a choćby niewiele czasu miał szczęście przy was pozostać, te chwile wiele mogą.

Westchnął, nic nie mówiąc, przyszedł mój opiekun zadumał się. Szepnął coś, pochylając się ku niemu, ks. Jan. Zaczęli mówić po cichu. Los mój się rozstrzygał.

Siedziałem tu, prawda, ze strachem wielkim, ale teraz, gdy zobaczyłem tego, któremu miał służyć, lękałem się tylko, aby mnie nie odepchnął. Siłą jakąś wielką

ciągnął mnie ku sobie. Każde jego spojrzenie było jakby lekarstwo jakieś, uspokajające duszę.

W czasie, gdy dwaj księża po cichu rozmawiali z sobą, starałem się błagającym wzrokiem pozyskać sobie tego człowieka, który tak cudowne wywierał na mnie wrażenie. Czyniłem się łagodnym, pokornym, chciałem się wydawać dobrym. Pocichu odmawiałem Zdrowaśkę na tę intencję, abym przy nim mógł pozostać.

Nigdy w ciągu długiego później życia mojego nikt na mnie nie uczynił takiego wrażenia, a gdym dojrzawszy, zastanawiał się nad tem, nie mogłem go porównać z niczem, chyba z tą potęgą Chrystusa Pana, który też jednym wejrzeniem i słowem za sobą ciągnął tłumy. Ten też tą samą Chrystusową mocą na ludzi działał.

Nie wiem, co ks. Jan, który mnie tu przyprowadził, powiedział o sierocie, czem go skłonić się starał, aby go przyjął w służbę swoją, uważałem tylko w oczach duchownego malującą się litość, i wkońcu zwrócił się ks. Jan do mnie, rozkazując mi dziękować. Przypadłem do nóg nowemu opiekunowi, który mnie podniósł i pobłogosławił.

Pozostałem odtąd przy ks. Janie Kantym, jako zaraz opowiem. Mąż to był uczony wielce, pracowity niesłychanie, a cały żyjący w Bogu, ale nad wszystkie jego cnoty górowała niezrównana dobroć, łagodność i wyrozumiałość dla ludzi.

Dla siebie samego katem był, bo postami, umartwieniami, biczowaniem ciało swe dreczył nieustannie, względem drugich zaś anielską miał dobroć i miłosierdzie. Szanowany przez wszystkich, bo swojego czasu Akademia nie miała nad niego uczeńszego męża — pokorę miał dziecięcą. Nigdy go nie widział ani zniecierpliwionym, ni gniewnym — widok nieprawości zasmucał go, do łez rozbolewał, ale nie burzył. Dusza była spokojna i ubłogosławiona taką potęgą nad sobą, że krew nie mogła przeciw niej nic.

Tuż w bramie kolegium mieliśmy parę izdebek szczupłych, w których ks. Jan się mieścił z książkami swemi i sprzętem ubogim, bo można było powiedzieć,

że dla siebie nic prawie nie potrzebował. W jednej z nich miałem ja swój sienniczek na podłodze i pomieszczenie. Służba przy nim nie była ciężką, prawie żadną, bo on, modląc się, sam sobie służył, a często do stajni w podwórzu kolegium ze dzbankiem chodził, aby mnie snu nie przerwać.

Jednej chwili spoczynku w życiu jego nie było. Czytał, pisał, albo klęcząc się modlił. Wzywano go też często na poradę i przychodzono do niego, aby jej zasięgnąć. Cisnęli się oprócz tego ubodzy, którym nieraz od ust odjęte jedzenie i ostatni płaszcz oddawał, jeśli nic innego nie miał. Grosz też u niego nie przeleżał jednego dnia — mówił, że go nie potrzebował. A co najdziwniejsza, przy ciągłych umartwieniach, pracy, znużeniu, nie widział go nikt nigdy zmęczonym, nigdy smutnym i chmurnym. Twarz wypogodzona uśmiechała się, dawał otuchy i męstwa drugim, a sam mądry, z prostaczkami tak mówić umiał, iż go każdy rozumiał, a słowo jego szło prosto do serca.

Po wyjściu ks. Jana zajął się mną zaraz z niewysłowioną dobrocią, a naprzód wziął mnie na konfesatę, dopytując się o życie przeszłe.

Mówiłem już, jakie na mnie świątobliwy mąż ten uczynił wrażenie, nie dziw też, iż ja, dosyć w sobie dotąd zamknięty, przed nim wypowiadałem się ze wszystkiego, co mi na sercu leżało. Więc i ten mój najdroższy ból sieroctwa, żem ojca nie miał, matka się mnie zaparła... i że nadewszystko pragnąłem o nich się dowiedzieć, ich odzyskać.

Bardzo łagodnie począł mnie naówczas przekonywać, iż powinienem być się poddać woli Bożej, przeciwko niej nie buntować i pokorą sobie wyjednać miłosierdzie. Na łzach się to skończyło... ale, gdy mnie przeżegnał i pobłogosławił, uczułem, jakby pokój jakiś wstąpił we mnie.

Następnych dni począłem chodzić do szkoły. Nie szło mi trudno, a około mojego opiekuna nie było usługi, któraby czas zabierała. Gdym umiółł i wody przyniósł, wieczorem zapalił światło, płaszcz czasem wytrzeptał,

mogłem potem siedzieć z książką i papierem, a tego tylko pilnowałem, aby nauka modlitwie nie przeszkadzała.

Obyłem się tak powoli ze szkołą i Krakowem, a jak ziarno w piasku utonąłem w tych tłumach młodzieży, które naówczas po szkołach i kolegiach nauki szukały.

Począwszy od dzieciaków do ludzi pod wąsem, uczących się było bez miary, tak że w kolegiach największe sale nie starczyły, i często przy drzwiach otwartych, ci, co się wewnątrz nie mieścili, z korytarza słuchali. I nie było jednej ziemi polskiej, z którejby się tu nie ściągała młodzież, co łatwo się poznawało po wymowie, jako też i stanu, któryby uczniów nie dostarczał. Szlachta, panowie, mieszczenie—synowie kupców, ba! nawet sołtysów wiejskich i dzieci prostych kmieci tu się gromadziły. Większa część ubogich i biedniejszych do stanu duchownego się sposobiała, bo choć beneficja większe tylko szlachcie się dostawały, po klasztorach, wikaryach, po oddalonych ziemiach i plebejusz kawałek chleba z ołtarza mieć mogli.

Do tego też dodać potrzeba, że nigdy może do nauki ludzie nie mieli takiej ochoty i gorączki, jak czasu onego. Coś ich tu pędziło, jakby przeciw własnej woli, często o głodzie i chłodzie. Była też w powietrzu, rzecz można, pobożność wielka i gorącość ducha, bo nigdy tylu świątobliwych mężów ziemia polska nie wydawała, co podówczas. Prawda, że z drugiej strony hussytyzm czeski się wkradał i jako zły wrzód nabierał, że obok świętych siła było warcholów i zbójów nawet między najprzedniejszymi, lecz dobre przemagało.

Oprócz nas, z Polski, Litwy, Rusi i dalekich ziem ode wschodu, co dziwniejsza, napływali Czesi, Serbowie, Niemcy i siła Węgrów, z tych ziem, które Turcy zawojowali, a które słowiańską mowę, jak my, mają. Chociaż w Niemczech nie zbywało też na szkołach, a w Pradze mieli Czesi swoją, do Krakowa ciągnęła ich sława nauczycieli tutejszych.

Słynęli nietylko teologowie tutejsi, ale astrologowie i matematycy szczególnie, tak, że ci, co w gwiazdy

patrzyli, pokoju nie mieli, horoskopy i karty urodzenia spisując, z czego grosz płynął, a tego nikt do zbytku nie posiadał, bo Akademia szczupło była wyposażoną.

Pisząc to ze wspomnień lat moich młodych, w których rozeznania wielkiego nie miałem jeszcze, oczywiście, że tylko ogólnemi wyrazy mogę zaznaczyć, co pamiętam. Wiele rzeczy mocno się w pamięć wraziło, lecz wiele później zatarło, bo ludzka pamięć jest jako tablica owa, na której w szkołach piszą: zamazuje się ona cała naprzód, a potem ściera się z niej dawne, gdy przychodzi nowe, i ślad ledwie gdzieś pozostaje.

Z tych ludzi, którzy najwięcej z ks. Janem obcowali, a najulubieńsi mu byli, pamiętam kilku, później, jak on sam, świątobliwością słynących.

Jakem wyżej rzekł, nigdy tak wielu ludzi pobożnych nie miała Polska i Kraków, co tego czasu. Pomnę z nich, naówczas już starego, ale do bardzo późnego wieku dożywającego Izajasza Bonera, zakonnika OO. Eremitów, Augustyna świętego, który rzadko sam bywał u nas, ale często go ks. Jan nawiedzał, mówił o nim i był dlań ze czcią wielką.

Żył on u św. Katarzyny na Kazimierzu w takiej celce maleńkiej, jak mój dobroczyńca, tak ubogo, jak on. Boso chodził zawsze latem i zimą, sypiał na gołej ziemi i nigdy więcej nad trzy lub cztery godziny. Pomimo wieku, nieraz, gdym do niego księgi nosił, bo sobie je z ks. Janem często posyłał, zastawałem go zamiatającego klasztorne korytarze, wynoszącego śmiecia. Innym razem znajdowałem go klęczącym przed obrazem N. Panny, ale w takim zachwycie i zatopieniu, że, nie śmiejąc przerywać, godzinami czekać musiał, aż się przebudził z tego marzenia i wrócił do życia.

Świątobliwy mąż ten wcale do mojego ks. Jana nie był podobnym. Wychudły, skóra a kości, żółtkły, z oczyma palającemi tylko, zdawał się duchem i myślą na innym już świecie przebywać. Często kilka razy powtarzać było potrzeba z czem przyszedłem, nim rozumiał i odpowiedział, tak zatopiony był w sobie. Czasu rozmowy, gdy przychodził do kolegium, nieraz mil-

knął, zapominał się, oczy mu zachodziły łzami, drżał, ręce składał jak do modlitwy i dopiero po chwili do siebie przychodził.

Dzień w dzień widzieć go było można odprowadzającego pielgrzymkę od św. Katarzyny do grobu św. Stanisława na Wawel. Naówczas mogło się sobie na ulicy dzieć, co chciało: nie widział nic, nie słyszał nic, gdy szedł cały w swej modlitwie.

Starcem już był, bo się w przeszłym wieku rodził, jak mówiono, żywot prowadził anachorety, nie szczędził siebie, a cudowna siła go trzymała. W wielkim tygodniu, powiadano, krom wody, nic do ust nie brał.

Cale znowu innym był drugi, a na pierwsze wejście tak niepoczesnym, że się w nim ani świątobliwego, ani tak mądrego człeka, jakim był wistocie, domyslać nie było podobna. Rzadko kiedy z ust mu się słowo dobyło. Zwał się Świątosławem, a wszystkim wiadomem było, że nim do Krakowa przyszedł i misyonarzem został, był prostym szewcem w Sławkowie i swe rzemiosło sprawiał.

Blady, mały, przygarbiony, z rękami długimi, nogami trochę krzywymi, z głową dużą, na której włos krótko postrzyżony się jeżył, miał przecież coś w twarzy wyjątkowej, co poszanowanie dla niego budziło. Pokora w nim była nadzwyczajna.

Kochał go mój opiekun i troskał się o niego, bo on sam o sobie nie pamiętał. Cudem było słowo z niego dobyć. Mówiono, iż ślub jakiś milczenia uczynił, ale nie, bom go przecie słyszał mówiącym, tylko nie lubił się rozszerzać ze słowem.

Co osobliwsza, rozpowiadano o nim, że kapłanem zostawszy, jako żywo dawnego rzemiosła nie porzucił; Miał do niego słabość, czy też postanowienie takie uczynił, dosyć, że w celi wszystek przyrząd rzemieślniczy chował, a w wolnych godzinach obuwie męskie, jakie naówczas jeszcze niektórzy nosili, z nosami długimi, ozdobnie wyszywane, wyrabiał bardzo kunsztownie, tak, że mu za nie płacono drogo, a on ten wszystek grosz zarobiony obracał na kupienie ozdób i sprzętów do kościołów.

Chodził tak a podpatrywał, gdzie czego brakło. Siadał na swym stołeczku i pobożną pieśń śpiewając, szyl buty lub trzewiki, dopóki na ampułki, na lichtarze, na lampę jaką do zawieszania przed obrazem nie starczyło.

Chociaż prostym człowiekiem był i z rodziców ubogich narodzonym, nie mniej go wszyscy szanowali, bo mu więcej, niż szlachectwo, dała świątobliwość.

Jakim sposobem zaś z owego prostego szewca w Sławkowie, do kapłaństwa doszedł, słyszałem, jak sam opowiadał, jak pobożnym będąc do św. Stanisława we śnie widzenie miał, aby wstał i do Krakowa szedł. Posłuszny temu głosowi, udał się do Krakowa, gdzie do szkoły chodzić zaczął, potem suknię kleryka wdział i stan duchowny obrał, do czego przeszkody żadnej nie miał; a nie pragnął też więcej nic, tylko służyć ołtarzowi.

Czasu też tego, gdym był przy księdzu Janie, przybył do Krakowa młody jeszcze nowicusz Augustyanów z Bystrzycy na Litwie, o którym mówiono wiele i słynął jako człowiek wielkiej pobożności.

Obok tego szewca ze Sławkowa stał oto ze krwi książąt litewskich, potomek rodziny możnej, brat Michał Giedroń.

Ktoby nie wiedział, iż był dzieckiem krwi tej sławnej, pewnieby się w tym pokornym biedaku książęcia nie domyślił. Bardzo małego wzrostu, trochę na jedną nogę nalegający, chudy, szczupły, twarzy niepięknej, ale milej i słodczą okraszonej — brat Michał nie czuł się nawet godnym kapłaństwa i nie kusił o nie. Chciał i pozostał prostym braciszkiem.

Przybywszy z generałem zakonu swego do Krakowa, który dla wielości kościołów, relikwii i nabożeństwa wielce sobie upodobał — pozwolono mu zostać przy zakrystyi.

Jakiś czas chodził do kolegium na naukę, gdzie go widywał w sukni mocno wyszarzanej, ubogiej, z wielkim drewnianym krucyfiksem na piersi, na prostym sznurku zawieszonym, jak w ostatniej ławce w kącie się tulił, oczu ludzkich unikając.

Rozpowiadano o nim też, jak o Świętosławie i o żywocie jego rzeczy dziwne, które że prawdziwemi były, nie miałem wątpliwości.

Celkę miał małą przy zakrystyi, w niej kominek, przy którym sam sobie biedną strawę warzył, post najściślej zachowując. Z zakrystyi zaś wyprosił sobie klucz do kościoła, gdzie więcej czasu spędzał, niż w celi, krzyżem leżąc godzinami na modlitwie. We dnie czasami tylko godzinę jaką zabawiał się pracą ręczną, wyrabiając z drzewa puszcзки na Wiatyk, bardzo misternie, a te kapłanom po kościołach rozdawał.

Od tego też, jak od Świętosława, niewiele było można posłyszeć, bo rad milczał lub modlił się, a w rozmowy nie wdawał, czas na nich spędzony uważając za stracony.

Wszyscy go naówczas już, gdy jeszcze dość młodym był, za świętego niemal uważali, choć on sam za ostatniego tylko ze sług i w klasztorze i na świecie chciał uchodzić. Dlatego i z pochodzeniem swem książęcem się tał i nigdy inaczej, jak bratem Michałem lub zakrystyanem nie pozwalał się nazywać.

Późniejszych nieco czasów, jak opowiem, do tych mężów przybyło jeszcze wielu, gdy pobożność rozgorzała po weselu króla i nawiedzinach świątobliwego Włocha, o którym niżej pisać będę.

Jakim sposobem, wśród tych ludzi żyjąc, na nich codziennie patrząc i o nich się ocierając w wieku do naśladowania i przejścia się przykładem najskłonniejszym ja naówczas, choć pobożnym byłem, do stanu duchownego nie nabrałem skłonności... wytłumaczyć nie umiem. Ciągnęło mnie właśnie tam, dokąd nie miałem iść prawa. Najmilszem dla mnie było w ulicę zbiedz, gdy rycerstwo na koniach jechało, gdy turniej się na zamku wyprawiał, gdy w Rynku szlachta wytwornie zbrojna i strojna się zbierała. Do nich mi serce biło... koń a kord, o tem tylko marzyłem, choćby przyszło jako pacholikiowi lub giermkiem służyć. Ale o tem ani śmiać mówić, ni tego dać po sobie poznać.

Badał mnie ks. Jan, bo widać było, iż życzył sobie

tego, abym sukienkę kleryka później wdział, a nie tał przede mną, iż to było życzenie tych, co się mną opiekowali, ale przed nim kłamać nie mogłem, ani było podobna. Święty mąż tak czytał ludziom myśli z oczów, a miał taką siłę dobywania z nich prawdy, że mu fałszu powiedzieć nikt nie śmiał. Ja też milczałem, a on to rozumiał dobrze; i nie nakłaniał mnie ani zbytecznie nastawał. Powiadał spokojnie:

— Różnemi drogami Pan Bóg do siebie prowadzi. Módl się, moje dziecko!

Modliłem się też, lecz natura przemagała, do stanu duchownego żadnego powołania nie czułem. Nauka była mi pożądaną, piłem ją chciwie i łatwo. Szło mi dobrze, ale z nią nie przychodziło usposobienie zmiany stanu. Zresztą o przyszłość się nie troszczyłem bardzo, rojąc zawsze po dziecinnemu, że rodziców wyszukać muszę, że się oni o mnie upomną, a że rodem i bogactwy musieli być znaczni, o tem nie wątpiłem. Snułem takie marzenia, z których mnie nikt wyleczyć nie mógł dlatego, iż o nich nie wiedzieli nawet najbliżsi.

Te moje sny na jawie, któremi się karmiłem, sprawiły, że się nauczyłem w sobie zamykać i od ludzi stronić. Wiedziałem, że wyśmianoby to, co mi było najdroższem, gdybym się z tem wydać ośmielił.

Drugiego roku mojego pobytu w szkołach i na służbie u świątobliwego ks. Jana — to, co przepowiadał, zawczasu spełniło się. Gorąco pragnął znowu odbyć pielgrzymkę do Rzymu, i do niej się sposobił. Naprawdę żadnych przygotowań nie potrzebował, gdyż pieszo, o kiju odbyć ją zamyślał, tak, jak poprzedzające, których już dwie wprzód dokonał.

Pielgrzymów takich nie mało naówczas się napotykało, pojedynczo i gromadkami do miejsc świętych wędrujących. Przyjmowały ich wszędzie i karmiły klasztory, duchowieństwo, a tam, gdzie brakło stancyi, obchodzili się suchym chlebem i wodą, które zawsze z sobą nosili. Tykwa u kija wysokiego lub baryłeczka u pasa pełną była, a w torbie, przez plecy suchar się znalazł.

Niektórzy pielgrzymowali, ślub uczyniwszy, bosy.

Gdy o podróży ks. Jan mówić zaczął, a do mnie odwróciwszy się, oznajmił, że ma już kogoś, któremu mnie do powrotu swojego chce powierzyć — rzuciłem się mu do nóg, nie namyśliwszy nawet, bo mnie coś tknęło, abym mu towarzyszył. Począłem go prosić o to, aby mi dozwolił iść z sobą. Zdumiał się nieco i zamyślił. Począł potem refleksować mnie, że nauk przerywać nie powinienem, a niewygód i znużenia podróży długiej nie niosę.

Nie ustępowałem jednak, po rękach i po nogach go całując, aż zmiękł nieco. Ani mi się przeciwiał, ani obiecywał.

Szpiegując go teraz, zmiarkowałem, że sam nie chciał o tem stanowić i czyjejs rady co do mnie musiał zasięgnąć. Przekonywałem się z tego, iż był przecie ktoś, co się losem moim zajmował, a to jeszcze marzenia moje niedorzeczne o przyszłości rozkołysało.

Nagle potem jednego dnia, jak sam bardzo ochotczy i wesoło się do tej podróży gotował, z wielką serca gorącością, tak i mnie, głoszącąc po brodzie, rzekł:

— Gotuj nogi do drogi, ale pamiętaj, jak mi omdlejesz gdzie, to cię w klasztorze jakim zostawię.

— Na kraj świata pójdę za tobą, ojcie — zawołałem, do nóg mu się rzucając.

Myślałem, że oszaleję z radości, gdy mi ks. Jan towarzyszyć sobie dozwolił.

On sam, jak skoro to postanowił (a była wczesna wiosna i sama Wielkanoc, kiedy się to stało), po odbyciu spowiedzi i przyjęciu komunii, wyruszył tak wybrany, jakom mówił. Suknia jedna, płaszcz, kij, tykwa, sakwa i grube trzewiki. Jam też podobnie był odziany. Obciążać się niczem na drogę nie było można, a ks. Jan brewiarz tylko z sobą wziął.

Dzisiaj, po latach tylu, jużbym tej pielgrzymki opowiedzieć ani opisać nie mógł. Przesuwało się codziennie tyle nowych widoków przed oczyma mojemu, że ciągle był jakby we śnie gorączkowym. Po Wilnie Kraków mi się wydawał miastem takim, jakiemu równego chyba na świecie nie było, a gdyśmy podróżować zaczęli

przez miasta niemieckie, nawiedzając olbrzymie kościoły, patrząc na zamki, pałace i grody ogromne, co chwila słupiec było potrzeba z podziwu.

Oprócz tego sam świat, któryśmy przebywali, wcale od naszego inny, cudownym razem i strasznym się wydawał. W górach zdawało się, że się świat kończy śniegami zasypany, a tu dopiero, przebywszy je, gdyśmy weszli jak do zaczarowanego ogrodu, miły Boże, człowiek zrazu zmysły postradał.

Ja, co te cuda po raz pierwszy oglądałem, siedłem oczarowany niemi. Ks. Jan mało na nie patrzył, modlił się albo rozmyślał. Nie pominęliśmy żadnej figury, kaplicy ani kościoła bez modlitwy.

Przygód wielkich Pan Bóg nam szczędził jakoś, jak gdyby szczególną opieką ks. Jana osłaniał. Nieraz na burzę się zbierało, nieraz obłąkać się mogliśmy, a i zbójstwa po drogach było dosyć: wszystko nas pomijało. Stawaliśmy zawsze w porę po klasztorach na noclegi, nigdzie nas nie odepchnięto.

Za górami już pielgrzymów spotykało się dosyć, ale ks. Jan wołał iść samotnie.

Tu, choć z Krakowa wyszliśmy chłodną wiosną, zaskoczyły nas skwary okrutne, tak, że we dnie prawie iść nie było podobna. Szliśmy więc wieczorami i rankami. Lato było najśliczniejsze, a dla mnie dziwnie tu wszystko, bo nie było prawie trawy, drzewa, kwiatu podobnego do naszych. Rajem się to wydawało, chociaż słońce paliło jak w piekle.

Ostatnich dni, gdyśmy się zbliżali do Rzymu, którego wcale nigdzie widać nie było — zaskoczyło nas suche wiatrzysko, przy olowianem niebie, z tumanami kurzu takimi na pustyni, iż mnie po raz pierwszy strach ogarnął.

W górach nieraz trwoga brała, patrząc na przepaście i szczyty śniegiem okryte, na których znaku żywota nigdzie widać nie było, jakby tu państwo śmierci się rozciągało; ale na tej płaszczyźnie wyschłej, pustej, bezludnej, po której wiatr szalał, unosząc pyłu tumany, groza ogarniała większa jeszcze.

A przecież Bóg miłosierny, aniśmy zblądzieli, ani zginęli, a ks. Jan szedł tak pewnym krokiem, choć przed nami nic widać nie było, jakby mu kto palcem drogę wskazywał. Raz jeden tylko znaleźliśmy nad gościńcem naszym kamienny słupek w ziemię wklęsły, który zdawał się coś oznaczać.

Rzym zobaczyliśmy dopiero, gdyśmy, most murywany jakiś przebywszy, do kupy murów się zbliżyli. Tu, wszedłszy jak do labiryntu, wśród domów, kościołów, ruin, powalonych gmachów, olbrzymich wież... trudno się było pokierować. Ale na wstępie samym, jakby na nas czekał, znalazł się kleryk młody, który do gościnnego zaprowadził klasztoru.

W ciągu całej podróży wiedziałem to i czułem, że się z nami działo coś niezwykłego, jak gdyby niewidzialna moc jakaś czuwała nad nami i odwracała niebezpieczeństwa, bośmy często cudem ich unikali i zdumiewali się ludzie, widząc nas całych i zdrowych, wychodzących z takich miejsc i niebezpieczeństw, w których kości trzeba było zostawić. Ks. Jan szedł zawsze i prowadził mnie z sobą, rzec mogę, jak, gdyby inny wzrok miał, dalej sięgający i pewność tę, iż nigdy się nie obłąka, a wszelkiego zła uniknie.

Po drodze też modlił się wesół, śpiewał pieśni pobożne albo stawał wśród rozkosznych i pięknych widoków, sam się ciesząc niemi i mnie te cuda prawicy Bożej ukazując, a chwałę Stwórcy głosząc.

W Rzymie też tak się przygodziło, iż tu jakby na nas czekano, choć na świecie nikt wiedzieć nie mógł, ani się domyslać, kiedy przybędziemy.

Kleryk ów, którego w bramie zaraz napotkaliśmy, cudem znowu jakby okazał się Polakiem, nowicuszem od Dominikanów, z klasztoru tego, w którym nasz Jacek święty niegdyś z Dominikiem przebywał. Był ów klasztor, acz niezbyt rozległy a wielki, podówczas jakby polskich pielgrzymów przytułkiem i gospodą. Kleryk też zaraz nas, niewielu słowy się rozmówiwszy, począł do niego prowadzić.

Nie będę ani próbował onego Rzymu, na który

w osłupieniu patrzałem, starać się opisać, gdyż to jest nad siły moje. Ruin, kolumn, nawpół obalonych gmachów olbrzymich, budowli pogruchotanych przez wieki, polepionych na nowo, innych świeżo wzniesionych przebywaaliśmy, do klasztoru dążąc, jakby las cały, wśród którego krętych labiryntów tylko człowiek obeznany z tem miastem ogromnem, mógł się pokierować bezpiecznie.

Co chwila nam prowadzący nas to kościół jakiś, to ruinę z pogańskich jeszcze czasów pochodzącą ukazywał. Dowiedzieliśmy się też od niego, iż jak nigdy tak i teraz na pobożnych pielgrzymach polskich w stolicy apostołów nie zbywało.

Było tak wistocie zawsze, iż nie jeden, to drugi z duchownych naszych wędrował do Rzymu w poselstwie od króla, od biskupów i kapituł. Rzadko ów dominikański klasztor i inne stały próżne bez polskich gości. Oprócz tego młodzież, która uczęszczała na nauki do Bononii i Padwy, a tej zawsze dosyć było, wkońcu do Rzymu dążyła, aby choć zobaczyć wiekuiste miasto, i na całe życie pamięć o niem zachować.

Byłoby zaprawdę ciekawem opisać, jak wyglądał Rzym ówczesny, ale się ja na to porywać nie mogę, bom w nim widział tylko małą częśćkę tego, co do oglądania było... a dziś i pamięć nie starczy, aby opowiedzieć o wiecznem mieście. To tylko wiem i pomnę, że co chwila słupiec musiał i dziwować się jednemu światu powalonemu na ziemię, i temu, który na gruzach jego wyrastał.

Tak samo, jak Polaków, widzieć tu i spotykać było można i pielgrzymów ze wszech stron świata, językami różnemi niezrozumiałemi mówiących i chwalaących Boga, a w Rzymie tym każdy znalazł tłumacza i gospodę, bo to była i jest stolica świata.

W klasztorze św. Dominika, który ani wielkością, ani wspaniałością się nie odznaczał, przeor przyjął ks. Jana wielce uprzejmie i nazaczył mu celę, przy której w korytarzu u drzwi miałem na noc posłanie, bom do brodziejowi memu w jego modlitwach i rozmowach z Bogiem nie chciał przeszkadzać.

Jak się rzekło, znaleźliśmy tu już Polaków; był jeden ksiądz z Gniezna, od arcybiskupa posłany, a oprócz tego gromadka rycerska, jakem się dowiedział, pana Jędrycha z Tęczyna, który dla pobożności wędrował do Loretu, Rzymu i miejsc świętych.

Z tymi zaraz dnia pierwszego przy gościnnym stole (rozumie się ja z czeladzią tylko, bom do panów przystępu nie miał), zabrałem znajomość. Młodzieży było kilku, Krakowian i Sandomierzanów.

Szeroko się rozpisywać nie będę nad tem, jakośmy z ks. Janem, bo ten mnie z sobą wszędzie prowadził, obchodzili miejsca, w których relikwie złożone były, modląc się i oglądając. I nie tylko groby i kości męczenników, w każdym kościele i ołtarzu obfite, ale daleko droższe tu znajdowaliśmy pamiątki: drzewa krzyża świętego całe sztuki, słup, przy którym Chrystus był biczowany, gwoździe, jakimi Go na krzyżu przybito, suknie i szaty, które On i Matka jego nosiła. Anibym zliczyć mógł tych skarbów i świętości.

Ukazywano nam też owe miejsca, w których się krew męczeńska lała, jak to stoi w złotej legendzie i żywotach; więzienie Piotra świętego głęboko w ziemi, jako studnia wykute, gdzie źródło od tych czasów się sączy; miejsce, kędy Piotra, z Rzymu uchodzącego, Chrystus Pan spotkał i t. p.

Ale nadewszystko, com w życiu kiedy widział, podziwieniem i grozą przejął mnie ów niesłychanej wielkości gmach, w którym dziesiątki tysięcy ludzi mieścić się mogły, niegdyś służący do walk z dzikimi zwierzęty, którym chrześcijanie na łup bywali dawani. Mury te, jakby nieludzką dźwigniętą ręką piętrzące się do góry, niby ze skały wykute, z głazów ogromnych spojone, już naówczas rozpadać się zaczynały i tak jak z innych, z nich też wywożono kamienie na nowe kościoły i domy.

Po ulicach i pustych rynkach, trawą pozarastałych, co było leżących, pokruszonych i całych kolumn z marmurów, jakich u nas sztuczka mała drogo się płaci, wyliczyć trudno. Można rzec, że tu stopa nie dotykała zie-

mi, nie potrącając o coś świadczącego, jaka to potęga legła w gruzy, aby chrześcijaństwu oczyścić pole.

W Krakowie, gdym tam po raz pierwszy przybył, zdumiewały mnie liczne konwenty, bractwa i siła mnichów, ale to nie mogło iść w porównanie z Rzymem, gdzie tysiącami zakapturzonych, długimi szeregami ciągnących przez ulicę, spotykać było można. A kto modlić się chciał i trwać na modlitwie, choćby i noc całą, znalazł zawsze kościół lub kaplicę otwartą, lampę gorejącą, przed Najświętszym Sakramentem czuwających księży i pielgrzymów.

Niektórzy z nich, snadź grzesznicy wielcy, czy też ludzie wielkiej świątobliwości, na kolanach się czołgając od kościoła do kościoła wędrowali, innych można było spotykać krzyżem leżących po całych dniach na zimnej posadzce.

Następnych dni zaraz czeladź szlachecka pana Jędrycha z Tęczyna ze mną się pobratała i poznała. Starsi też, nie śmiejąc ks. Jana wypytwać, bo ten próżnych rozmów unikał, u mnie się o niego i o Kraków dowiadywali. Ale ja więcej, słuchając rozmów ich, nauczył się od nich, niż oni ode mnie, bo u ks. Jana przy celi siedząc a do szkoły chadzając, poza ulicę św. Anny mało co wyrzalem, i oto, co się działo w świecie niewielem się troszczył.

Nie wystrzegano się mnie w refektarzu, gdy się na jedzenie zbierali wszyscy, panowie u przedniego stołu, my w kącie; miałem więc zreczność nasłuchiwać się tu rzeczy o Polsce, o jakich wprzód wcale wyobrażenia nie miałem, o czem rozpowiem zaraz, bo dla mnie to było dziwnem nad miarę i zdumiewajacem.

W Wilnie byłem wychowany i nawykły żyć wpośród ludzi, którzy króla, a W. księcia litewskiego miłowali i szanowali go, a nigdy słowa uwłaczającego mu nie słyszał. Ja też, choć mało Kazimierza widziałem, czciłem go i uważałem jakby wyższą jakąś istotę nad wszystkimi. Jakież było osłupienie moje, gdy wpośród Polaków, którzy się tu zgromadzili około pana Jędrycha, usłyszałem po raz pierwszy wyrzekania przeciwko

królowi, odgróзки, zarzuty i takie słowa, z których gniew tryskał. W początkach mi to było wcale niezrozumiałem i strasznem, jak świętokradztwo, sądzę, że dopiero później pojąłem lepiej, z czego to płynęło i do czego dążyło.

Nie ukrywali się z tem ci, co się obracali około pana z Tęczyna, a między nimi było i wielu duchownych, że króla Kazimierza obawiali się i mieli ku niemu niechęć wielką. Co więcej ja, którym się wychowałem wśród Litwy, ród swój książęcy czczący wiernie, a miłością go otaczającą wielką, dowiedziałem się tu dopiero, iż znaczna część Polaków po swoich Piastach utulić się nie mogła. Jagiełłowego rodu niecierpiała, a nawet go się pozbyć zamierzała. Duchowni też polscy wtórowali temu prawie wszyscy, na tem się opierając, iż Zbigniew, biskup krakowski, najgorzej o Kazimierzu wróżył, głosząc go wrogiem kościoła i władzy duchownej.

W Krakowie jeszcze niewielem częstą zręczność spotykania biskupa Zbyszka, który jako zwierzchni opiekun Akademii, czynnie się nią zajmował i często w niej ukazywał. Widziałem też później następców jego na krakowskiej stolicy, ale żaden nigdy taką powagą i majestatem nie był okryty, jak on. Mógł stać obok króla z dworem swoim, z mnogą liczbą familiantów i klientów, a niekiedy wystawą i uroczystością wystąpień swych króla gasił. Wszyscy Tęczyńscy, Oleśnicy z Sieny i z Dębna, Melsztyńscy i inni krakowscy panowie za nim szli, jako za wodzem.

Jakem się później przekonał, na sejmach i zjazdach, panom i szlachcie nie tylko krakowskiej, ale innych ziem on rozkazywał, przodował, dawał znaki, co mówić i jak postępować mieli.

Nie miałem jednak, przebywając tu, ani pojęcia o tem, ażeby biskup przeciw królowi co knował i był mu przeciwnym; tu się z tem nie tajono i mówiono głośno.

Mój też ks. Jan, o którym trzymałem, że stanie w obronie króla, wprawdzie nie potępiał go, jak inni, ale też niebardzo bronił. Wszystkich to oburzało, że Kazimierz z potwierdzeniem przywilejów polskich bar-

dzo się ościagał, a jawnie Litwie swej więcej sprzyjał. Posądzano go, że taką władzę Witoldową, jaką miał w Wilnie, chciał i w Polsce zaprowadzić, najwięcej zaś oburzano się tem, że już w początkach panowania, gdy stolice biskupie zostały opróżnione, nie dopuszczał kapitułom wyboru pasterzy, ale posyłał do nich i swoich im narzucał ludzi, nalegając, aby tych a nie innych naznaczano.

Pan Jedrych z Tęczyna, owdowiały, bezdzietny, możny pan, człek już niemłody, pobożny bardzo, choć głównie odbywał wędrówkę dla pokłonienia się miejscom świętym, nie taił się z tem, że miał od biskupa Zbyszka zleczone uskarżać się na króla w Rzymie.

Tu mu też, jak się zdaje, ucho dawano, bo papież albo chciał zachować kapitułom prawo wyboru biskupów, lub sobie mianowanie pasterzy wprost z Rzymu. W tem choć się może różniono w zdaniach w Krakowie i Rzymie, na teraz szli wszyscy zgodnie, byle króla nie dopuścić.

Tych wszystkich rozmów o sprawach Polski w początku, słuchając, niewielem rozumiał, i nierychło mi się oczy otwierać zaczęły. Przyłożyło się do tego, iż w orszaku pana Jedrycha trafił mi się Litwin, niejaki Sliziak, człek już letni, który się przez pobożność do niego przyłączył, choć był sługą innego Tęczyńskiego. Ten mnie naprzód po moim sposobie mówienia przeciągłym i śpiewającym poznał, że na Litwie też chować się musiał.

Sliziak ten wcale osobliwie wyglądał i gdy się w ulicy lub w kościele pokazał, zwracał oczy wszystkich na siebie. Starzec był kościsty, silny, ogromny, a tak włosom obrosły cały, że na twarzy mało co policzków, nosa i czoła z pośrodku ich wystawało. Na ustach nawet i na nosie porastały mu włosy choć rzadkie. Z rąk tylko dłonie nagie były. Nad oczami brwi spuszczone tak zwiślały, że ich mało co z pod nich świeciło. Głos miał gruby i zachrypły. Ale choć tak dziko i strasznie wyglądał, złym nie był, a pobożności nadzwyczajnej: gdy się jednak rozgadał, rozgrzał, czuć było, że w nim w średzinie

ogień musiał gorzeć wielki. Kiedy milczał, to jak pień, oczy w ziemię wlepiwszy, a gdy począł mówić i rozrzucał się, buchało z niego.

Sliziak ten, ledwie słowo z ust moich zasłyszawszy, gdy Litwina we mnie wytropił, spokoju nie miał, dopóki, wzięwszy na spytki, nie dobył ze mnie i tego, com chciał i co nierad byłem zwierzyć. Nie przyszło to odrazu, ale zwolna mnie tak ugłaskiwał, potrosze wyciągał, a za serce chwytał tem, że moje Wilno, które ja wspominałem zawsze z miłością wielką, tak, jak ja, kochał, a znał lepiej ode mnie.

Okazało się też, że widywał i oboje Gajdysów, wiedział o nich, a co dziwniej, o mnie nawet słyszeć musiał. Gdy się dowiedział, kto byłem, żem się tam na podzamczu wychował, nie wiem czemu, ale go to tak poruszyło, a do mnie uwiązało, żem po całych dniach musiał z nim gwarzyć i rozpowiadać o sobie. Nie porzucił mnie już, czemu zresztą rad byłem.

Całe to niespodziane dla mnie sieroty spotkanie było dziwniejsze jeszcze, że się on mną tak bardzo zajmował. Sliziak zresztą, czemum się dziwował, choć Litwin, tak, jak Polacy króla nie lubił i z tymi trzymał, którzy na niego rzeczy niebываłe lub straszne wymyślali. Jam milczał lub bronić się starał. Sliziak mi tem gębę zatykał, iż gołowąs jestem i rzeczy tych a spraw pełna nie rozumiem.

Mocno mnie to dziwiło, że stary się tak do mnie, chłopięcią obcego, przywiązał, a bardziej jeszcze zdziwiłem się, gdy po jakimś czasie począł mnie do stanu duchownego namawiać mocno, dowodząc, że jako sierota, najlepiejbym uczynił, gdybym, dostawszy się do Rzymu, tu do nowicyatu wstąpił i nigdy do kraju nie powracał.

Naówczas tegom sobie nie umiał wytłómaczyć, dlaczego tak był rad się zaopiekować mną, od ks. Jana oderwać i obiecywał nawet, iż pan Jędrych—by mi powagą swą wyrobił przyjęcie do nowicyatu u Dominikanów.

Choć pobożny, nie miałem nigdy powołania szcze-

gólnego do zakonu, ani nawet do stanu duchownego, a wiek też mój za wczesnym był, aby o całym życiu rozstrzygać; opierałem się staremu, co nie przeszkadzało, że mi tem ustawicznie dokuczał. Naówczas wyznałem mu to, com na sercu nosił, iż postanowiłem koniecznie nieznanym mi rodziców szukać i znaleźć.

Tu już opowiedzieć muszę, jak wyznanie owo moje przyjął. Zerwał się, niemi jakby przerażony i oburzony, choć nie pojmowałem, co go mój los miał tak obchodzić, i począł zaklinać gniewnie, ostro, wyrzucając mi opór przeciwko woli Bożej, odwodząc od tego abym głupią myśl tę porzucił. Poruszonym był tak, jakby go to osobiście zabolalo i dotknęło, czem mnie bardzo zdumiał i niemal przestraszył. Nie rozumiałem bowiem, jakaby to zbrodnią z mej strony być miało, że rodziców szukać chciałem.

— Przecież tyle rozsądku, choć młokos jesteś, mieć musisz — rzekł, — iż rozumiesz to, że gdy rodzice ciebie nie szukają, snąc znać cię nie chcą i nie mogą! A i o tem wiedzieć powinieneś, że kusisz się o to, czego nigdy dokazać nie potrafisz, bo oni pewnie mają więcej rozumu i siły, niż ty; poddać ci się więc trzeba woli Bożej, a na świecie rodziny nie mając, szukać jej w rodzinie świętych Dominika lub Franciszka, którzy radzi przygarniają sieroty. Matką ci będzie kościół, ojcem patron, braćmi współzakonnicy, a szczęśliwszego żywota, jak w zakonie, nigdzie nie znajdziesz.

Ale Sliziak nietylko mnie tak starał się nawrócić, postrzegłem, że się umyślnie do ks. Jana z tem dostał i miał z nim długą rozmowę o mnie, usiłując go namówić, abym tu w nowicyacie był umieszczony.

Kto inny, nie ks. Jan mój, z tego pośrednictwa wnosićby był mógł, że ja sam, nie śmiejąc o to prosić, Sliziaka do niego posłałem, aby mi wyjednał, czego sobie życzyłem. Ale ten miał dar osobliwy czytania w myślach ludzkich, i coby innego w błąd pewnie wprowadziło, świętego człowieka obalamucić nie mogło.

Tegoż wieczora, gdym przyszedł po błogosławień-

stwo i rozkazy a w rękę go całował, rzekł mi, uśmiechając się:

— Cóż to ten Litwin stary oplekuje się tak waszcią i chce was koniecznie do Dominikanów oddać? Gdybyś wistocie powołanie miał, o czym zgola wątpię, juściiby lepiej przystało u nas u św. Trójcy, między swoimi szukać sobie braterstwa i przyjęcia.

Naówczas ja gorąco bardzo zaprotestowałem, że jako żywo do żadnego nowicyatu się nie napierałem, jak najdlużej pragnąc w usługach jego zostawać i do kraju powracać z nim, a tam czekać, co mi Bóg natchnie.

I ks. Jan, milcząc, głową tylko dał znak, że nie był temu przeciwnym.

Nie poprzestawszy na tem, Sliziak innych jeszcze środków zażyć próbował, aby mnie Dominikanom oddać. Z pomocą więc pana Jedrycha samych tutejszych księży ujął, ażeby mnie ku sobie przygarniali.

Wszystko to we mnie obudziło jakieś dziwne podejrzenie, chociaż wytłumaczyć sobie nie umiałem wcale, jakieby pobudki Sliziaka czyniły tak gorliwym o mnie i przyszłość moją?

Gdy się nareszcie przekonał, iż wszelkie starania te na niczem spełznąć muszą, bo ks. Jan, któremu zdany byłem, nie sprzyjał im, Sliziak jedno mi już w głowę starał się wbijać, abym tego nierozsądnego poszukiwania rodziców wyrzekł się koniecznie. Przyszło do tego w ostatku, że mi nawet grozić począł.

— Jasna rzecz, że rodzice twoi, jeżeli żyją, znać cię nie chcą; narzucać się im rzecz niebezpieczna, boć łatwo się pozbyć mogą.

Tego ja spełna nie rozumiałem, bo mi się w głowie pomieścić nie mogło, aby rodzice dobrowolnie dziecka i miłości jego się wyrzekali. Przypisywałem moje osierocenie jakiemuś wypadkowi albo zabiegom nieprzyjaciół.

Sliziak, jeżeli chciał mnie uspokoić i rozbroić, niezręcznie się wziął do tego, gdyż przeciwnie podrażnił mnie i zapomnieć nie dał, com sobie przyrzekł.

Wśród tych rozmów z nim, ponieważ umiał do-

bywać ze mnie wszystko, mowa też była i o krzyżyku, który na piersiach nosilem. Sliziak mi inny, bodaj złoty i większy za niego ofiarował, chcąc dostać ode mnie, alem mu go tknąć nie dał.

Wspominałem mu i o tem, jakom z Wilna do Krakowa jadąc, po drodze matkę spotkał i poznał — czemu on najgwałtowniej zaprzeczał, wyśmiewał mnie i długo nie dawał pokoju, usiłując wmówić, że mi się to przywidziało, że osób do siebie podobnych niemało bywało na świecie, a moja matka pewnie oddawna już nie żyła.

Wkońcu temi naleganiami stary Sliziak tak mi się stał naprzykrzonym, że go unikał, uchodził, zobaczwszy i zbywał milczeniem. Nic to nie pomogło: gonił za mną i pokoju mi nie dawał.

Z mowy mej mógł to wymiarkować, że ja z Wilna wywiózł miłość i cześć wielką dla króla Kazimierza. Z osobliwą też natarczywością usiłował mnie ku niemu zniechęcić, wszystko, co najczarniejsze, na niego wymyślając. Ani wiem, jak to na młodociany i wrażliwy umysł mój nie podziałało, alem to często w życiu mojem na sobie i drugich wypróbował, że gdy zbyt naciśniano w jedną stronę, serce i głowa w przeciwną się przerzucaly.

Takim był ów pobyt mój z ks. Janem w Rzymie, który, choć trwał niezbyt długo, wpłynął wielce na mnie, młodzieniaszka, głowę mi otworzył i świat rozjaśnił. Wcale innym powracać miałem, o samym kraju przywołując z zagranicy wyobrażenia nowe i wiadomości, których nie miałem wprzód.

Nawykły do szanowania duchowieństwa, ale razem i do czczenia króla, którego na Litwie niemal bałwochwalczo wszyscy wielbili, znalazłem się w dziwnej sprzeczności z samym sobą, pogodzić tego nie umiejąc, czego duchowni wymagali, a król się przeciwil i opierał. Zrodziła się we mnie wątpliwość, czy wistocie Kazimierz, pan nasz, miał słuszość, gdy przeciwko niemu był Rzym, ojclec święty, biskupi i niemal całe duchowieństwo.

Z drugiej strony okazywało się i to, że część du-

chownych z królem trzymała, jego popierała, i że w kościele też było rozdwojenie.

Na moją ciasną głowę wyrostka wszystkiego tego było za wiele i powstał w niej zamęt wielki. Sprawy to były mi obce, nie obchodzące mnie, ale zawczasu umysł miałem już taki ciekawy i niespokojny, który szczęścia nie daje. Takim mnie Pan Bóg stworzył!

Ks. Jan cały czas nasz pobytu w Rzymie spędzał na nabożeństwach i na szukaniu ksiąg, których nam było potrzeba. Tych i tu we Włoszech, choć na klerykach kopistach nie zbywało za tanie pieniądze dostać było trudno. Sprzedawano rękopisy, przepisywane szybko, ukradkowo, dla zysku; gdy się w nich ks. Jan rozpatrywał, okazywały się tak błędnie i niedbale kopiowanymi, iż z nich nie można było spodziewać się pożytku.

Naówczas to ks. Jan, wzdychając i ukazując mi je, pierwszy raz myśl tę poddał, abym się kaligrafii uczył, ale nie miałem do tego ochoty wielkiej, ciągnęły mnie zawsze więcej rycerskie i dworskie sprawy, koń i zbrojczka, niż pulpit, pióro i pergamin.

Ks. Jan też dla nabożeństwa trafił do Rzymu w porę, bo go było dosyć każdego dnia, a nowych też relikwii znajdowała się siła, którym cześć oddawano, ale na kupowanie rękopisów czas nie był dobry.

Prawda, że ich ze wschodu Grecy, uciekając przed Turkami, przywozili do Rzymu bardzo wiele, ale Ojciec święty, Mikołaj V, który na Stolicy Apostolskiej naówczas siedział, wszystko co się gdzie nastęrczało do nowej biblioteki watykańskiej zagarniał, zazdrosnym był i nikomu się podkupić nie dawał.

Znoszono też zewsząd, co kto miał i składano Ojcu św. który po całych dniach, jak powiadano, w pismach tych się rozpatrywał i cieszył nimi. Nie broniono z nich i drugim spisywać kopii, ale o kaligrafów nawet po klasztorach było ciężko.

Grecy do Rzymu przybyli, jak Jerzy z Trebizondy, Teodor z Gazy, Demetrius i inni, których imiona zapamiętać mogę, przywieźli z sobą pono więcej greckich manuskryptów, niż łacińskich; mało kto naówczas je-

zyka greckiego był świadomym i żeby z nich korzystać, wprzód je tłumaczyć należało, co też papież nakazywał uczonym, którzy go otaczali.

Mnie się to naówczas o uszy obijało dlatego, że ks. Jan wiele o tem mówił z księżmi, a troszczył się, inni też z powodu, że Ojciec święty miał tę wielką miłość ksiąg, także naśladować go, w nich się kochali. A że niejeden sowiec nagrodzony został za to, iż papieżowi w darze złożył rękopisy, poszukiwanie za nimi było pilne.

Wielkiego więc plonu mój opiekun z Rzymu wiecześnie nie mógł, ale rad był i z tego, co Bóg dał. Inne znowu zamówił sobie i dla kolegów krakowskich, które ich potrzebowały.

Takeśmy czas najgorętszy przebywszy w Rzymie, wiele nabożeństwa zażywszy, wiele się nasłuchawszy, ja szczególnie, który po raz pierwszy byłem na takich godach, poczęli się zbierać do wyjazdu.

O sobie to tylko powiedzieć mogę, że mi się tu na wiele rzeczy pierwszy raz otworzyły oczy. Radbym był wielce tej podróży, pomimo niewygód i niewczasów, jakich zażyliśmy, gdyby nie Sliziak i nie jego zbyt nie opiekowanie się. Dawało ono do myślenia i do domysłania się wiele, a potwierdzało mnie w tem, że jakaś tajemnica do urodzenia mego i losu przywiązana być musiała.

Nie darmo przecie, dowiedziawszy się, kto byłem, Sliziak tak się do mnie przypił, tak nagle przystał do sieroty i w Rzymie go chciał na wieki za górami pomieścić, aby o nim więcej nie było ani wieści, ani słyhu. Pewny byłem, że ten człowiek, który na Litwie bywał i Wilno znał, o Gajdysach wiedział, o mojem też pochodzeniu musiał coś mieć, a taił się z tem. Jawnem było, że mnie się ze świata, a przynajmniej z oczów pozbyć chciano.

Serce mi gorącą zapływało, gdym myślał o tem, a choć mały i słaby, mówilem sobie, że mroki przebić muszę i dojść do rodziców, jeżeli żyją, a gdyby ich na świecie nie było, choć do świadomości o nich. Utrapienie

to moje, myśli z którymi się kryć musiałem, przyczyniły się do tego pewnie, że nad wiek mój spoważniał i dojrzewał.

Gdy się zbliżyła godzina, w której nareszcie Rzym opuścić było potrzeba, ks. Jan podwoił nabożeństwa, a ja z nim, alem podolać temu, co on, nie mógł. Choć we dnie skwar był okrutny, czasem taki, że w ulicy i psa nawet nie było widać, bo się wszystko chowało po kątach i w cieniu, nocami chłód przejmujący doskwierzał; a ks. Jan noce spędzał często na modlitwie, krzyżem leżąc.

Z tego czy z wody, której się piło dosyć, fig i owoców kładając, pod koniec dostałem febry srogiej, która mnie kilka dni w łóżku trzymała, a gdy aptekarz Dominikanin jakimś lekarstwem gorzkim i krzyżem świętym ją przepędził, została mi po niej słabość taka wielka, iż zdawało się, że zostać będę musiał w Rzymie, bo nie wytrzymam podróży. A niczemom się tak nie lekkał, jak tego, bom koniecznie do kraju pragnął powracać i modliłem się o to do ks. Jana, który miał litość nademną.

Szczęściem dla mnie złożyło się tak, iż pan Jędrych z Tęczyna z Rzymu też do Polski powracał. Jął więc namawiać ks. Jana, aby wedle uczynionego ślubu pieszo podróż odprawivszy, z nim razem na wozie lub na koniu do Krakowa jechał, na co opiekun mój w końcu przystał, nie tak dla wygody, jak dla pośpiechu, gdyż tęsknił za Krakowem, kościołem swym i ulicą św. Anny.

Mnie też na wozie przeznaczono miejsce, i Panu Bogu-bym za to dziękował, bo mi się na nogach długo jeszcze utrzymać było trudno, ale mi strach było Sliziaka, który już namowami swemi srodze mi dojadł i dokuczył.

Nie zdoławszy mnie w Rzymie porzucić, teraz jedno kładł w uszy ciągle, żebym nadziei niedorzecznych i starania o wyszukanie rodziców wyrzekł się, bo inaczej zgotuję sobie zgubę i gniew Boży.

Opuściliśmy tedy Rzym, progi apostolskie ucałowawszy, a wyznać muszę, że choć mi z powrotem pilno

było, przecież zrodził się żal za temi miejscami świętymi.

Słyszałem tam opowiadających, iż była woda jedna w Rzymie, która taką własność miała, iż kto się jej raz napił, miał wieczne jej pragnienie.

Oglądaliśmy się też, z miasta wyciągnąwszy, za niem choć prędko znikło nam z oczów i otoczyła nas ta równina pustynna, przez którą tylko szlak, kamiennymi płytami wyłożony przed wieki, prowadził, a po obu jej stronach, jak pagórki, stały rumowiska, które pogańskimi grobami opowiadano.

Drugiego dnia wieczór jużemy z pustyni, okalającej Rzym wjechali w góry bardzo piękne a wąwozy, gdzie trzeba było jechać bacznie a zbrojno, bo po drogach rozbijano, a mijaliśmy niemało mogił i krzyżów, które o tem świadczyły.

Choć pan Jędrych z Tęczyna towarzyszył nam, w powrocie też nie mijaliśmy żadnego kościoła, miasta, klasztoru bez nabożeństwa, więcej po klasztorach stając na noclegi, niż po gospodach. Podróż wistocie mniej trwała, niż gdyśmy pieszo z ks. Janem te przestrzenie przebywali, a nie wiem czemu wydała mi się ona teraz dłuższą i przykrzejszą, choć na niczem mi nie zbywało.

Późną jesienią, nie wiem ile razy przez strome grzbiety gór się przedarłszy, za każdym coraz chłodniejsze znajdując powietrze, znaleźliśmy się w kraju języka słowiańskiego, i czuć było, że się do Polski zbliżamy. Jam czuł radość wielką, choć w Krakowie oprócz kilku towarzyszków nie miałem ani brata, ani swata, ani żywej duszy, którąbym swoją mógł nazwać. Ale człowiek, gdy nie może do ludzi, do kamieni się przywiązuje, taką ma potrzebę serce coś miłować.

W miarę, jakemy się ku Krakowu zbliżali, już mi moja izdebina, kollegia i ulica i towarzysze szkolni tak żywo w oczach stali, że o nich śnił nocami.

Do granicy się zbliżywszy, pan Jędrych z Tęczyna nawrócić musiał do swoich majątności, nam zaś resztę drogi przyszło odbyć pieszo, ale mnie już sił wróciło trochę, a radość ich dodawała.

Gdy z noclegu rozstawać się trzeba było z Tęczyńskimi ludźmi, Sliziak mnie wziął jeszcze na stronę. Wiedziałem, co mi prawie będzie. Wistocie począł stary od tego, iż ze łzami w oczach, gorąco bardzo naprzód usiłował mi dowieść, że dla mojego własnego dobra tak się troszczy o mnie.

— Chcesz-li spokojnym być, a życia sobie nie zatruć — rzekł mi, — słuchaj rady mojej: rzuć próżne starania o dochodzenie tego, czego wiedzieć nie powinienieś. Masz przecie rozumu tyle, aby rozumieć, że jeśli rodzice się ciebie wyrzekli, to nie bez słuszych powodów. Zadałbyś im przykrość i boleść może, odkrywając, co oni chcą mieć zatajonem.

— Miły panie — odpowiedziałem mu, — mało rozumu mam, młody jestem, to pewna, ale tyle wiem, że obowiązkiem rodziców dzieci nie opuszczać. Nie obwiniam ja ich o to, że się mnie tak okrutnie pozbyli: sprawa to jest złych ludzi, ich nieprzyjaciół, Bóg wie! Którażby matka dziecko własne mogła odtrącić?!

— A! al! Jaszku mój! — odparł Sliziak, — zielono u ciebie w głowie, zielono! Świat ma wiele tajemnic, które dopiero później ci się odsłonią. Bądź baczny, jesteś na dobrej drodze przy wielce świątobliwym człowieku, do stanu duchownego powinieś się gotować i szukać szczęścia w Bogu.

— Tak — odparłem śmieiej, — jabym też nie pragnął nic, tylko powołania tego stać się godnym, alem nie winien temu, że mnie koń, zbroja i rycerstwo pociąga więcej, niż klasztor.

Oburzył się na to Sliziak.

— Roisz to sobie — krzyknął — a wmawiasz. Co cię czeka w rycerskim rzemiośle? Pacholikiem i służką będziesz musiał być przez życie całe, tarcze lub miecz za drugimi nosząc, bo rodziców nie znając, szlachectwa nie masz.

— Albo się go to na polu bitwy dorobić nie można? — odparłem. — Słyszałem przecież nie o jednym, którego królowie w bitwie rycerzem pasowali. A bez szlachectwa — dodałem — wy to wiecie, jako ja, iż w sta-

nie duchownym daleko zajść nie można. Dla szlachty tylko są dostępne beneficja i prelatury.

— A w klasztorze źle? — zawołał Sliziak. — Pralaci i biskupi brzemiona mają nie do pozazdroszczenia.

Nie chciałem się sprzeczać z nim, alem przy swoim pozostał; tak rozstawszy się niemal u wrót Krakowa, szliśmy dalej, a nigdy ks. Jana tak wesołym i dobrej myśli nie widziałem, jak tych dni ostatnich. Troszczył się tylko, żebym nie pogubił sakw, w których parę ksiąg niosłem, a oczy mu się śmiały w stronę ku miastu swojemu poglądając.

W Krakowie się nas pono tak rychło nie spodziewano.

Szliśmy naprzód z dziękczynieniem do grobu świętego Stanisława, przy którym się pomodliwszy, ks. Jan z wesołą twarzą do swej celi pośpieszał. Lecz już w ulicach, kto go ujrzał, biegł do ręki i do błogosławieństwa, a zobaczywszy, radowali się wszyscy tak, że za nim szli i nimeśmy do collegium podążyli, cały sznur ciągnął za nami.

Był już naówczas mój ks. Jan w takiej sławie świątobliwości wielkiej, że go za życia błogosławionym uznawano, powracał z Rzymu uświęcony jeszcze pielgrzymką i błogosławieństwem apostolskim, więc choć skraj sukni jego każdy chciał dotknąć, choć słowo z ust jego posłyszeć.

Przybywszy do collegium, ledwie miał czas uklęknąć przed obrazem Chrystusa, gdy wieść po Krakowie się rozchodząca o wracającym z podróży, zgromadziła do celi, do sieni, do drzwi profesorów, kanoników, kollegiatów i ludzi wszelkich tyle, że się ani docisnąć mogli do niego. Całowali go wszyscy po rękach, witali, pytaniami zarzucali, a cieszyli się, że cały i zdrów powracał tu, gdzie po nim tęsknili.

Łzy widziałem w oczach jego, bo mało co mówić zrazu mógł, tak był poruszony.

Mnie też dawni towarzysze opanowali, abym im prawił o podróży, dziwując się, żem się opalił, schudł, a drudzy powiadali, żem urosł. Chociaż z Rzymu pobło-

gosławionych medalików, paciorków i różnych świętości dosyć się przyniosło, ale niemi nastarczyć nie było sposobu.

Znużenie drogą mnie się następnych dni tak mocno dało uczuć, żem pokładać się musiał, a na księdzu Janie nic nie było widać, krom wielkiej pociechy, że ślub swój spełniwszy, do celi powrócił. Nazajutrz dawny swój tryb życia rozpoczął, na jeden włos nie odstępując od niego.

Cieszyło mnie to, że pytany o mnie, świadczył, żem w podróży zawałał mu nie był i dobrze się sprawował.

Przez dość długi czas potem żadnej zmiany w życiu mojem nie było. Uczyłem się pilno, bo choć stan duchowny nigdy mi nie smakował, do nauki wstrętu nie miałem, i owszem, ciekawość wielką.

I to mi ks. Jan przenikający myśli nagał, właśnie powiadając, że nauka dobrą tylko jest, gdy Bogu służy i dla niego się nabywa, a złą, gdy syci próżną ciekawość i od Boga odwodzi.

Dnia jednego, gdym ulicą przechodził podle dworca biskupiego, około którego, jak na zamku, zawsze tłumno było i gwarno, bo ks. Zbyszek wysoko stał i z królem na równi się niemal liczył, postrzegłem znajomych mi ludzi pana Jedrycha z Tęczyna, których w podróży mieliśmy z sobą. Ci mnie jednak nie widzieli, czy nie poznali. Może przykre wspomnienie Sliziaka, czy nie wiem już co, tak mnie pogiębiło, żem do kolegium powrócił z obawą jakąś i złem przecuciem.

Samem to sobie wyrzucał, bo cóż był za związek między mną a ludźmi tymi i czegom się miał lękać? Ale niejedną raz w życiu trafiało mi się już zło, którem groziło przecucie.

Aliście drugiego dnia ks. Jan, powróciwszy do celi swej z miasta, zawołał mnie do siebie. Znalazłem go z twarzą posepną przechadzającego się po izdebce.

Zobaczywszy u progu stojącego, podszedł naprzód ku mnie i po głowie pogłaskał. Niezwyczajna to była pieszczota i uląkłem się jej trochę, czując, że coś nie-

dobrego ulagodzić miała. Drżałem, rękę jego całując.

Ks. Jan stał, z politowaniem jakimś patrząc na mnie, jakby mu do słowa przyjść było ciężko.

— Dziecko moje — zaczął zwolna — dziecko moje, woli Bożej a rozporządzeniom starszych opierać się nie potrzeba. Nie jesteś takim sierotą, jak ci się zdaje; li- tościwi ludzie opiekują się tobą.

Sluchając, serce mi biło, jak młotem.

— Pasterz nasz przewielebny, a znaczny w kościele i Rzeczypospolitej mąż, ks. Zbyszek, zasłyszal o tobie. Pochwalono cię przed nim, a młodzieży na dworze potrzebuje. Chce cię wziąć do siebie, odrzucać tego się nie godzi.

Stałem osłupiały.

— Niechętnie się z tobą rozstaje — dodał ks. Jan, uderzając mnie po głowie, — ale rozkazowi biskupa opierać się nie mogę. Później, któż wie? zmienić się to może. Na dworze pasterza, w jego kancelaryi wiele się możesz nauczyć i skorzystać, a gdy on zechce się zapiekiować, łatwo dojdiesz do wszystkiego.

Opierać się nie mogłem, ale lzy mi się puściły z oczów; oświadczyłem wreszcie, iż radbym przy nim pozostał i że nie pragnę teraz nic więcej.

— Posłusznym być powinienes — dodał ks. Jan — pierwsza to w młodym cnota, a i w starych ona dobra. Składa się tak, musi w tem być wola Boża. Biskup mi polecił, abym cię przysłał i abyś się do marszałka dworu jego, Doliwy starego, zgłosił, który młodzież ma pod swym dozorem. Nie zamęczą cię tam pracą, bo biskup ma dwór i ludzi wielu.

Plakałem ciągle, łez nie mogąc powstrzymać, wkońcu nogi jego ucałowawszy, błogosławieństwo otrzymawszy, widząc, że niema innej rady nad posłuszeństwo, węzelek mój wzięwszy, z oczyma jeszcze od łez zaczerwienionemi siedłem do dworca biskupiego.

Świat tu inny był, a po spokojnej celce księdza Jana zrazu w tym gwarze rozpoznać się i oprzytomnieć było trudno.

Żaden z dawniejszych i późniejszych biskupów nie dorównał Oleśnickiemu ani rozumem i powagą, ani splendorem i potęgą. Ci, co go nie znali i za tych nie żyli czasów, z trudnością mogą sobie o tem uczynić jakie wyobrażenie..

Za panowania Jagiełły i pierwszego syna jego — mocarzem był, drugim królem, przed którym sam król drżał nieraz. Nie lękał się nikogo i nikt mu się sprzeciwiać nie śmiał, a kto się porwał, ten był nielitościwie zgnieciony. Co miało Krakowskie i wszystkie kraje sąsiednie mężnych panów, słuchało Zbyszka i szło za nim. On kierował wszystkimi i wszystkimi. Około niego też zawsze gromadniej bywało, niż nieraz przy królu samym. Miał straż swoją zbrojną tak odzianą i utrzymaną, że z królewską szła o lepszą, miał urzędników swych i kancelaryę, kanclerza, kapelanów, marszałka, podczaszego, siła urzędników, a całe duchowieństwo, można powiedzieć było wojskiem pod jego rozkazami. Poza granice dycezyi przez rody możliwe, sięgał wpływ jego do skrajów Polski na obczyźnie.

Stał król postów do Rzymu, wyprawiał ich Zbyszek. Pieniędzy mu nie zabrakło nigdy, bo ich nawet pożyczał Warneńczykowi, w zastaw biorąc całe księstwo.

Słowem potęga to była, która nawet tronem zadrząść mogła.

Jakem się tu znalazł wśród zupełnie obcych ludzi z początku onieśmielony i drżący, jak mnie Doliwa stary przyjął, opisywać nie warto. Musiałem pod wieczór z nim razem iść przedstawić się biskupowi, który o losie moim miał stanowić.

Dworzec biskupi, choć na zewnątrz wspaniałym nie był i niewiele obiecywał, w środku po książęcemu i wspaniale był przybrany. Nigdy w życiu nic podobnego nie widziałem, a ten przepych i złoto w pierwszej chwili olśniły mnie tak, że głupszym się wydać musiał, niż byłem wistocie.

Komnat było wiele, bo ks. Zbyszek zawsze przyjmował garnących się i codzień u niego przepełnione były stoły i izby.

Na ścianach obicia, na podłogach kobierce, stoły świecące, obrazy złociste, naczynia srebrne i wyzlacane, służba, wszędzie czekająca rozkazów, uniżoność, z jaką się do biskupa zbliżano, we mnie chudzinie musiały wyrzucić wrażenie przygniatające.

Ujrzałem nagle przed sobą mężczyznę dosyć słusznego wzrostu, pełnego ciała, z twarzą piękną, ale surową, z majestatem takim, iż nie we mnie tylko trwogę wrażał. Spojrzenie jego przeszywało.

Doświadczyłem tego, że i ks. Jan czytał w duszy, ale wzrok jego schodził w głąb człowieka, jak promień słoneczny, grając i żywiąc: biskup zdawał się człowieka w proch obracać.

Gdym wszedł, ciągnąc powoli za Doliwą, do izb, w których już było ciemno i woskowe tylko świece na stole mrok rozpraszały, ks. Zbyszek w milczeniu mi się jął przypatrywać długo. Kazał mi stanąć nawet tak do światła, aby twarz mógł widzieć. Zmarszczony groźnie, chmurny, ustami poruszając, a nie mówiąc nie, dumiał długo. Naostatek odezwał się głosem potężnym, powoli.

— Ty to jesteś, coś się wychował w Wilnie, sierota?

Ledwie umiał coś przebaknąć.

— Tak, sierota jesteś — dodał z naciskiem — i dlatego chcę się losem twoim zająć, aleś na to zasłużyć powinien... niecierpię u mnie krnąbrności!

Nie odpowiadałem nic. Dorzucił po chwili:

— Sukienkęby ci duchowną oblec należało! Umiesz co?...

Z moich słów niewiele się pewnie biskup mógł nauczyć, płątałem się i jąkałem, wejście jego przerażało mnie. Musiał widzieć, że drżałem cały. Pomimo to kłamać nie chciałem i tłumaczyłem się, że sam siebie nie znałem jeszcze.

— A przecież pielgrzymkę pobożną z ks. Janem odbył i chwalił cię — rzekł biskup.

Nie mogę już dziś spełna przypomnieć rozmowy tej, wiem tylko, że Doliwa się też do niej mieszał i że

koniec końcem biskup mnie do kancelaryi swej kazał przyłączyć dodając:

— A co później będzie, i do czego się okaże przydatnym, zobaczymy.

Podał mi odchodzącemu rękę do pocałowania i pobłogosławił. Nie groził mi, nie straszył, nie rzekł złego nic, przecież, gdy z Doliwą z tego posłuchania powracał, pot mi się lał z czoła i czułem trwogę niewypowiedzianą.

Tak się rozpoczął pobyt mój i służba na dworze ks. Zbyszka. W kancelaryi, gdzie nas było kilku, gdy mi się popisywać kazano z kaligrafią, okazało się, że jak kura grzebał i omyłki robił, nie zdałem się na nic.

Po kilku dniach przesadzono mnie do służby bocznej w izbie i przy biskupie. Nie gniewałem się za to, bom wolał być pod władzą Doliwy i za stołem a pulpitem nie siedzieć, a miałem też zręczność przypatrywać się tu wszystkiemu, gdy z kancelaryi niewiele było widać.

Zaprawdę, nie do wiary to być może, co powiem, że na tak wielkim a poważnym dworze, jakim był Oleśnickiego błaznów i trefnisiów, lub obowiązki ich pełniących było więcej, niż gdzieindziej. Prawda, że ani na królewskim, ani na możnych dworach innych ich nie brakło, lecz po surowym a poważnym biskupie trudno się było domyślać, ażeby on takimi swawolnemi słowy, a ladajakimi wymysły wartogłowów mógł się zabawiać. Przecież powszechnie to było znanem i wyrzucano nawet biskupowi Zbyszkowi, iż się błaznami rad otaczał. Ale bliżej poznając życie jego, dziwić się temu nie było można.

Większą część dnia spędzał on na naradach, w księgach, na poważnych rozmowach, często na nużących sporach, bo sprawy, nieraz gorzkie przychodziły codziennie; pod koniec więc dnia, przy jedzeniu, gdy błaznowano około niego, a trefnisie do śmiechu pobudzali, choć tem się mógł cokolwiek rozweselić i wypocząć.

Niejednen człek poważny, choć niebardzo mu się śmiać chciało, znając to usposobienie biskupa, silił się, aby błaznować; ale na dworze było dwu i obaj szlachce,

tylko, że się do swych szczytów i nazwisk nie przyznawali, którzy obowiązki dworzan pełniąc, choć błazeńskich cepów i dzwonek nie nosili, pełnili funkcje ich. Zwano jednego Kołkiem, a drugiego Sroka, ale to były przewiska, nie imiona, o które nawet Kołkowie z Czeluśnicy, szlachta, gniewali się na pierwszego.

Kołek był mężczyzna słuszny, chudy, gibki, zręczny, średnich lat i nie do wiary, ale prawda, z natury swej człek ponury, tetryk, który gdy sam na sam z sobą pozostał, siedział, mało nie płacząc, a gdy błaznował, równego mu nie było. Potem się zamknawszy w izbie, gdy służba przeszła, przystępu do siebie nie dawał. Zły bywał. A czasu obiadu lub wiecerzy przed biskupem i słowem i ruchami i twarzą, którą wykrzywiać umiał, jak nikt, najsmutniejszych do śmiechu serdecznego pobudzał.

Sroka mały, okrągły, jak baryłka, ani rozumu tyle co pierwszy, ani dowcipu, jak on, nie miał, ale złość i zgryźliwość okrutną. Nie darował nikomu. Podpatrywał wszystkich, szpiegował, tropił i miał największą przyjemność, gdy mógł publicznie zawstydzić i upokorzyć; ale wiedział, kogo zażyć, nie zaczął nigdy tych, co u biskupa byli w łaskach, a jeżeli im się dostało, to tak lekko, że gniewać się nie mieli za co... niemiłych zaś panu ściagał nielitośnie, a i swoim osobistym nieprzyjaciołom nie przebaczał.

Oprócz Kołka i Sroki, których już wszyscyśmy znali, że od tego byli na dworze, aby zabawiali ks. Zbyszka, ponieważ cały świat wiedział o tem, że podczas gdy go błazeństwa zabawiały, inni też ważyli się często u stołu i po stole występować z konceptami i takimi płochościami, które rozśmieszyć mogły.

Zaprawdę naszemu dworowi i obyczajowi dawało to osobliwszą cechę, bo pół dnia ważyli się tu sprawy znaczenia największego, rozstrzygały losy Rzeczypospolitej, składały narady, na które zjeżdżali się najwyżsi urzędnicy i głowy rodów, schodziło się duchowieństwo po rozkazy, rozstrzygały kościelne interesy... a gdy to wszystko się skończyło, biskup w rozrywce dziecinnej szukał wytchnienia i tak się śmiał, trzymając za boki,

jak gdyby rano nie piorunował i nie był najsurowszym z sędziów.

Ludzie tacy, jak był Oleśnicki, nie rodzą się na kamieniu i nie wiem, czy Polska rychło ujrzy drugiego, podobnego mu. Stworzony bowiem był do panowania nad umysłami, a miał w sobie przekonanie o tem, że nie do czego innego był przeznaczony, szedł więc śmiało a butnie, niczego się nie lękając.

Za Jagiełły jeszcze, kiedy się z husytami zadarł, grozili mu śmiercią; przestrzegano go, że na ranną mszę zimą idącego do katedry napadną i zabić się sprysięgli. Za nic to sobie ważył i jak chodził z jednym klerykiem wprzód, który przed nim latarkę nosił, tak i potem więcej nikogo nie brał. Nie ważył się na niego nikt.

Na dworze biskupim, jakem już mówił, panował ruch i zajęcie takie, że chwili spoczynku nie miał nikt, a on sam najmniej. Dodnia wstawał na modlitwę, mszy świętej słuchał, potem sam ją odprawiał, a ledwie się nabożeństwo skończyło, czekali już księża, dowiadywali się panowie i senatorowie, kiedy przypuszczonými być mogą.

Nie od czego innego się poczynwały czynności, tylko od spraw kościelnych, bo Zbyszek mówić był nawykł:

— Naprzód jestem sługą Bożym i pasterzem w kościele, potem dopiero senatorem i radą.

Więc księża, klerycy, akademia, duchowni, zakonicy cisnęli się tu z różnemi potrzeby i prośbami. Biskup też budował, fundował, starał się o pomnożenie liczby domów Bożych, i o tem więc nawet wiedzieć musiał, gdzie zabrakło cegły albo drzewa na wiązanie.

Później dopiero schodzili się panowie rady, senatorowie, liczna rodzina biskupa, brat, bratanki, powinowaci, których miał między pierwszymi rodami krakowskimi. Tych on był prawdziwą głową i wodzem, a co rzekł, to się lepiej spełniało, niż rozkaz królewski.

Mnie, zem między pokojowymi był, jak i innych domowników wcale się nie wystrzegano, czego też biskup nie lubił, bo z niczego tajemnic nie czynił. Szedł jawnie przebojem.

Mnie, który z Wilna wyniosłem cześć wielką i miłość dla panów naszych, a szczególnie dla króla Kazimierza, poraziło to, jak piorunem, gdy się znalazł na tym dworze, na którym inaczej, jak ze wzgardą, gniewem, z pogroźkami, z lekceważeniem nie mówiono o nim. Nie mieściło się w mej młodej głowie, jak mogli ludzie ważyć się na tego, który był panem, nastawać tak jawnie, zemsty się jego nie lękając.

Po raz pierwszy poczęły się obijać o uszy moje wszelkiego rodzaju zarzuty przeciw Kazimierzowi. O ile go na Litwie kochano i czczono, tu nienawidzono... a naprzód mu to zadawano, że sercem z Litwą był, że Litwie sprzyjał i przezywali go Litwinem.

Ks. biskup Zbyszek, choć na tron synów króla Jagiełły prowadził i królowej matce pomagał do tego, ażeby się utrzymali na nim, teraz głośno mówił, że źle uczynił, że potrzeba było naówczas, gdy Kazimierz się opierał, gdy już Bolesława Mazowieckiego okrzyknięto królem, Piasta utrzymać, bodaj przyszło stracić Litwę.

Ja, w sercu czując się Litwinem, choć naówczas mało co rozumiałem tych spraw, bolałem i burzyłem się, słuchając tego. Nigdy mi w głowie nawet nie powstało to, o czem się teraz tu dowiadywałem. Biskup wprost zbierał około siebie ludzi, z którymi miał na króla przy pierwszych zjazdach napadać, gotował się go tak znęcać i do posłuszeństwa zmusić, jak nieboszczyka Jagiełłę.

Wieczorami nieraz słuchałem, jak śmiejąc się i tryumfując, opowiadał te swoje zwycięstwa, jak Jagiełło poczynął od stawienia mu czoła, od pogroźek, od dąsania, od buntu i jak potem w kilka dni pokornie go przepraszać musiał, a czynił to, eo mu Zbyszek nakazał. Toż samo sobie obiecywał z nowym panem, skarżąc się tylko na zauszników, na zdrajców duchownych, którzy Kazimierza młodego i niedoświadczonego do oporu podzegli.

Z "przestrachem przekonałem się, że się tu na formalną wojnę przeciwko królowi gotowano. Biskup już w małych rzeczach oporem Kazimierza rozdrażniony,

odgrażał się, że go nazad na Litwę odeśle i z tronu obali, jeżeli praw kościoła szanować nie zechce.

Zadawano młodemu królowi, że choć nieśmiało, ale stolice biskupie opróżnione wedle swej myśli chciał obsadzać. Biskup Zbyszek na samą myśl tę się wzdrygał.

— W Polsce nie król, ale rada i duchowieństwo panują! — wołał. — A my, jak chłopska Litwa, samowoli nie ścierpimy. Niech Kazimierz o tem pamięta!

Przyznaję się, że słuchając tego wszystkiego niemal codziennie, przerażony byłem, a nie wiem, co się działo z sercem mojem, bo ono brało stronę króla, choć go nie znałem prawie. Żał mi było biednego i lękałem się o niego!

Każdego prawie dnia któryś z Tęczyńskich, z Melsztyńskich, z Oleśnickich przynosił nowe jakieś obwinienie króla, nową plotkę i burzyło się wszystko, a biskup piorunował.

W Krakowie podówczas z początku Kazimierza nie było, bo na Litwie przebywać i półować lubił — ale, chociaż się na zamku zjawił, nie odmieniało się nic. Tak samo głośno i jawnie nastawano na niego.

Króla Kazimierza dotąd mało co widywałem, chociaż twarz jego z Wilna dobrze mi się wbiła w pamięć... rad więc byłem, gdy po powrocie jego do Krakowa, Zbyszek, naradziwszy się ze swymi, dnia jednego z katedry na zamek się udał, a my też, jako dwór, z nim ciągnęliśmy.

Ks. Zbyszek miał z sobą Jana z Tęczyna starego i Dobka z Oleśnicy, a że na zamku chciał się pokazać w całym blasku swoim i potęgze, dnia tego ciągnął z nim dwór postrojony, urzędnicy, czeladź. On sam w biskupich sukniach uroczystych, poprzedzany krucyferem, otoczony tą świetną gromadą, poszedł z katedry na zamek, gdzie się śnać spodziewano go.

Wyszli urzędnicy królewscy na powitanie biskupa aż do przedniego ganku, ale król dopiero w sali u progu na niego czekał. Dwór pański był też wspaniały i liczny, a tego dnia z szat nowych widać było, że się nie chciał dać zaćmić.

Król Kazimierz, przystojny, poważnego oblicza męczyzna, młody jeszcze, z włosiem długim, płci śniadawej, stawiał się z poszanowaniem, ale jak na pana przystało... Choć w młodym, widać było majestat, który i przed biskupim się nie ugiął.

Ks. Zbyszek tem śmieiej, a można powiedzieć zuchwalej, poczynął sobie z królem, niewiele mu okazując uszanowania. Prawda, że od dziecka go znał i w pieluchach widział, ale dziś on starym był, a król w sile wieku i władzy.

W drugiej izbie oczekiwała królowa matka, która się tam znalazła pewnie, aby między biskupem a synem nie dopuścić waśni. Widziałem ją tylko zdala... Niemłoda już, osiwiła, strojna bogato, miała jeszcze czarne oczy królewskie... Drzwi się potem za nią zamknęły, i tylko z za nich czasem słyszeć było wywoływania głośniejsze, które zdradzały Zbyszka.

Trwało to posłuchanie przeszło godzinę, w czasie której dwór też królewski z dworem biskupim w anty-kamerze tak na siebie spoglądali, jakby się na rękę wyzywać chcieli. Nikt jednak nikogo zaczepiać nie śmiał inaczej, jak oczyma i postawą, bośmy mieli rozkazy, aby do żadnego sporu nie dawać powodu. Królewscy też, choć szeptali i drwili, robili to tak cicho, iż tylko domyślać się mogliśmy, że to z nas.

Wystawszy tak czas niemały, gdy biskup, zimno przez króla pożegnany, nazad ruszył, my za nim w porządku poszliśmy i w milczeniu. W podwórzu dopiero ks. Zbyszkowi i nam się usta otworzyły. Nikt się tam pewnie naówczas tak pilno królowi nie przypatrywał, jak ja, bom czuł się ku niemu pociągniętym wielce, ale z twarzy jego mało co mogłem wyczytać, krom powagi nad wiek i siły wielkiej, a twardego zamkniętego w sobie charakteru.

Wszyscy o nim lekceważąco powiadali, że do ojca Jagielly podobnym był bardzo, jak on rozrzutnym, jak on zapalonym łowcem, a z tego pono ciągnęli wniosek, że słabym być musiał, jak ojciec. Ale mnie się to nie zdało.

Boże mi przebac, iż go posądzam, a zda mi się, że właśnie biskup Zbyszek za to na niego gniewnym był i niechętnym, że spodziewając go mieć sobie posłusznym i słabym, twardym go znalazł.

U nas dobrego słowa o królu posłyszeć nie było można. Słuchałem i milczałem, nie śmiejąc bronić, bo i tak mnie Litwakiem dla mowy przezywali. Ale com czuł i jak bolałem, sam nie wiem czemu, wypowiedzieć mi trudno.

Teraz biskup między innemi zawczasu zapowiadał, że Kazimierz pewnie zechce wojować z Krzyżakami, że na to szlachta mu poboru, akcyzy nie da... i że pewnie sięgnie do dóbr, a nawet do skarbców i sreber kościelnych.

Tu gotowano mu się ostateczny stawić opór.

Niewiele naówczas rozeznania miałem i rozumu, ale mi na myśl przychodziło, iż biskup radby był śmiółemu wystąpieniu króla, aby z nim wojnę rozpocząć. Słyszałem niejeden raz wieczorami, gdy sam na sam byli ze starym Tęczyńskim, jak ks. Zbyszek powiedział wyraźnie:

— Nałamać go potrzeba koniecznie, inaczej na kiel weźmie i ani rady, ani nas, duchowieństwa, nie poszanuje. Tak było w początku ze starym Jagiełłą, gdy tylko co przybywszy do Polski, chciał się tu rządzić po litewsku i mazowieckiemu szwagrowi swemu nadał ziemię, nie pytając o to nikogo. Aleśmy naówczas wnet pohamowali go i później na pasku chodzić musiał. Opiera się i ten młokos, a no złamać, go musimy i pęty walczyć z nim, aż się podda. Pókim ja żyw, nie ustąpię mu kroku; gdy mnie nie stanie, pamiętajcie wy naówczas, żebyście sobie jarzma litewskiego na szyję włożyć nie dali.

Naówczas stary Tęczyński wywodzić zawsze począł, jak to oni stali na straży swobód duchowieństwa i przywilejów rycerstwa i wiedzieli, że powinni byli strzedz ich, jak oka w głowie.

— Pamiętajcie to — dodawał biskup, — że podbijają-li nas, a kościół sobie poddadzą, mianując biskupów.. wówczas i rycerstwu skończy się swoboda, a nie-

wola zacznie. Wyście powinni duchowieństwa bronić, a duchowni was; inaczej zaprzęgą i orać będą wami, jak zechcą, tak jak na Litwie i Rusi.

Przez długi czas w mojem położeniu na dworze tym nic się nie zmieniło. Mnie tu uważano za obcego i przybłędę; jam do nikogo przystać nie mógł, ale miałem tę ślimaczą naówczas naturę, żem, czując niebezpieczeństwo, rogi chował i zamykał się w skorupie mojej. Służba nie była ciężka, choć nieustannie na nogach, pilnowałem się, aby mi nic zadać nie mogli; zresztą mało kto na mnie zważał i dbał o mnie.

Dworzanie biskupa, wszyscy niemal Krakowianie lub Sandomierzanie, Litwinem mnie prześladować, za coś pośledniego mając, odstręczali od siebie tak, że z nikim nawet przyjacieli nie zawiązałem.

Ks. Jana widywałem zrzadka. Stawał dobry mój opiekun, spotkawszy się ze mną w ulicy, uśmiechał mi się, wypytywał, pocieszał, bo czuł to dobrze, on, co w duszach ludzkich tak czytać umiał, że mi na dworze tym, nie szło po myśli. Skarżyć mi się nie dawał, bo jak sam był zawsze uśmiechnięty i anielskiej cierpliwości, tak i drugich w tę cnotę rad wdrażał.

Tego czasu, jakem już pisał, wielka pobożność i świętobliwość życia nie tylko w Krakowie, lecz pono i po całym panowała świecie. Wyprzedzali się ludzie w służbie Bożej, zapominając o sobie... Nie zbywało u nas na takich mężach, o których kilku już rozповідаłem, jako o księciu Michale i szwecu Świętosławie, alisci gruchnęła nagle wieść, że się zjawił mąż taki święty, który ognistym słowem tłumy i rzesze nawracał, a prowadził, kędy chciał.

Święty ten człek w prostej odzieży, sznurem przepasany, przechodził kraje, a wszędzie po sobie jakby drogę ognistą zostawiał... Biegli ludzie na głos jego do nowych klasztorów reguły św. Franciszka, do której i on należał, szli na wojnę przeciw poganom, odprowadzali pokuty publiczne. Z papieskimi listami, polecającemi go, przebiegał on tak różne kraje, a jednego dnia biskupowi doniesiono, iż na Morawie miał gościć.

Naówczas Zbyszek uniósł się bardzo, ręce składając i wołając, że trzeba go koniecznie do Krakowa sprowadzić, że listy pisać będzie i u króla je wyprosi, a chce mieć świętego męża tu, gdzie wiara słabła i było powinnością rozbudzić ją.

Wistocie cuda o tym włoskim mnichu, Sycylijszku, którego zwano Janem Kapistranem, rozpowiadano.

Pomnę, że gdy się o tem rozmowa wzięła, a biskup unosił bardzo, Kołek, który na pokojach był, ośmielił się uczynić uwagę, że języka naszego nie znając, choćby najwymowniejszym był, u nas tylko niewielkiej liczbie wybranych będzie zrozumiała.

Zgromił go ks. Zbyszek.

— Duch święty daje — rzekł — dar języków apostołom, ale i ludziom też, gdy na to zasługują, dar pojmowania nawet niezrozumiałej im mowy. Cuda czyni gdzieindziej, jeśliśmy warci, staną się i u nas cuda.

Nie miał tedy pokoju biskup, obawiając się, aby Jan Kapistran nie wyminął Polski, aż w kancelaryi wystosować do niego kazał list, którego sam dopilnował, a potem do króla pobiegł, domagając się też pisma. A wyrobił to przez królową matkę, która rada była biskupa zjednać i przejednać, więc póty syna namawiała, aż posłuchał jej i wyprawiono list zapraszający, który powiózł ulubiony biskupowi kapelan jego, a zalecono mu było z największą pokorą stanąć przed mężem światobliwym i błagać go a nakłaniać, ażeby nie omijał Polski.

Był też, jakem się dowiedział później, Kapistran przez papieża mianowanym wielkim inkwizytorem, i wszelkie kacerstwo miał prawo dochodzić i karać. Biskup rad był postrach rzucić na tu i owdzie jeszcze w Polsce błąkających się husytów, o których i w Krakowie rozpowiadano, że się potajemnie zbierali na jakieś świętokradzkie nabożeństwa i komunie pod obydwoma postaciami swoim wiernym rozdawali.

Długo żyjąc na świecie, wiele widziałem i byłem świadkiem różnych przygód, wszelakiego w tłumach poruszenia, gorączki, która się w nich tak, jak choroba, z jednego do drugiego przeschepia, ale takich nagłych

rozgorzeń w umysłach, że z dnia na dzień tysiące ludzi się nawraca i napelnia trwogą albo nadzieją, nie widziałem.

Jaka tego przyczyna, czy to sprawuje siła Boża, czy podczas siła nieczysta — któż to może zbadać i powiedzieć? Patrzymy się jednak oczyma własnymi na to, jak czasem dosyć słowa, tchnienia, powiedziałbym, wiatru jakiegoś, aby w szalę wprawić tysiące ludzi, a im więcej ich nim rozgrzeje, tem potem coraz łatwiej doznają upojenia inni, i z tym prądem lecą wszyscy.

Otóż tak było, nie już gdy Jan Kapistran przybywał do Polski, ale gdy o nim dopiero zasłyszano.

Rozpowiadano o nim cuda, iż słowo jego miało taką potęgę, wzrok taką siłę, iż najzatwardzialszego nawracał grzesznika, że gdy mówił do zbiegających się, do słuchania go tysięcy, ci nawet, których głos jego nie dochodził, na twarz patrząc, czuli w sobie moc jakąś, która w nich wchodziła i miękczyła ich, a utapiała, jako wosk.

Jeszcześmy nie wiedzieli, czy mąż święty skłoni się na prośby króla i biskupa do tego, aby Kraków odwiedził, gdy już wszyscy byli jakby gorączką jakąś opانونani. Nie mówiono tylko o nim, nie myślano, tylko o tym nowym apostołe, nie oczekiwano nic, tylko jego przybycia.

W klasztorach na intencję tę, aby nie minął Polski, odprawiano nabożeństwa. We dworze biskupim od rana do nocy słychać było tylko o nim. Rozpowiadano, że gdziekolwiek był dłużej, wszędzie tylu mu się do jego zakonu i reguły wpraszało ludzi, iż nowe klasztory powstawały, jako grzyby.

Słyszałem, jak biskup mówił:

— Daj Boże, aby się u nas też znaleźli ochotnicy, natychmiast plac, do brata mego należący, pochwyć, choć mocy do tego nie mam, i klasztor im w mgnieniu oka wystawie.

Niepewność zrazu była wielka, zechce-li przybyć, bo go na wsze strony rozrywano. Kapelan posłany nie powracał. Wyglądano, czekano, aż naostatek przyjechał i radość była nie do opisania, gdy się zaraz po mieście

rozeszło, że Jan Kapistran przybycie swe obiecywał rychło.

Było to zwycięstwo biskupa, które go tak na chwilę uszczęśliwiło, że o niechęci swej dla króla zapomniiał. Jużciż zaprzeczyć nie można, że o chwałę Bożą troskliwym był, jak mało kto, ale i to go cieszyło, że on pierwszy zażądał tego i sprowadził.

Król też, choć na Litwę miał jechać, uczynił to, że się wstrzymał i na przyjazd świętego męża chciał czekać, aby go z królową matką razem przywitać.

Wnet się poczęły zawczasu przygotowania. Po kościołach i klasztorach ruch, porządkowanie, jak nigdy na uroczystość największą. Ale mało tego wszystkiego było, bo co znaczył kościół szczupły głoszącemu dla tysięcy słowo Boże!

Kapelan, powracający z Brna, opowiadał, że wszędzie, gdzie Kapistran kaził do ludu, stawiano przy murze zewnątrz kazalnicę, aby lud na placach i rynkach się gromadząc, mógł go słuchać. Dodawano zaś świętemu mężowi, mówiącemu po łacinie, tłumacza, który natychmiast od kazalnicy słowa jego tłumaczył i głosił. Kapelan, który po dwakroć słyszał Kapistrana, ze łzami rozpowiadał, że kamienieby gorąca wymowa jego zmiękczyć mogła.

Na Morawie młodzieży też wiele natychmiast oblokło siermięgi zakonne i sznurami się popodpasywało. Krążyły wieści o cudach, iż ręki dotknięciem, błogosławieństwem i modlitwą uzdrawiał chorych, a najwięcej ztwardziały bezbożników do pokuty skłaniał.

Jeszcześmy nie wiedzieli na pewno, kiedy do nas przybędzie, a już Kraków ogromnem zbiegowiskiem pobożnych i ciekawych napełniać się zaczął.

W dworcu też biskupim ciasno być poczynąło, bo coraz to ktoś przybywał z rodziny i powinowatych, którym ks. Zbyszek gościnę u siebie dawał. W mieście o nią było trudno tak, że Tęczyńscy, co kilka swoich dworów mieli, u mieszczan najmowali.

Duchownych zjeżdżało mnóstwo, a stół biskupi większą część ich żywicię musiał, ale pomimo to nigdy ks.

Zbyszka naszego nie widziałem tak rozpromienionym, wesołym i dobrej myśli.

Na przyjęcie Kapistrana on tu był gospodarzem, i król przy nim mała a znikła, on rządził i rozporządzał wszystkim.

Gdyśmy tak z dnia na dzień oczekiwali oznajmienia, a gości się coraz więcej ściągало, wieczoru jednego, stojąc w antykamerze, posłyszałem pokojowych, którzy mówili, że Tęczyńska Nawojowa przybyła się biskupowi pokłonić.

Tknęło mnie nazwisko, wyjrzałem.

Wistocie kolebka pańska stała u ganku ze służbą, a z niej właśnie wysiadała niewiasta lat średnich, którą gdy spostrzegłem, rażony zostałem, jak piorunem, bo w niej postrzegłem tę, którą miałem za matkę moją, tę samą, com ją raz ostatni na drodze z Częstochowy spotkał.

Niewiele była zmienioną od tego czasu i jeszcze piękną a bardzo bogato przystrojoną; ale twarz jej okryta była smutkiem jakimś i jakby tajonym a tłumionym gniewem: patrząc na nią zdawało się, że chyba nigdy uśmiechnąć się nie mogła i rozjaśnić. Szła dumna, obojętna, zamyślona, a za nią postępowało dwu Tęczyńskich. Mnie na drodze jej stać przyszło, a takem drżał, iż myślałem, że się z nóg zwalę.

Wśród dworu Nawojowej, w sieni u drzwi zobaczyłem — Sliziaka... Już nie wiem wcale, co się ze mną działo, jak mnie idąca pani pominęła, czy widziała... w oczach mi się zaćmiło i nie rozjaśniało, aż poczułem, że ktoś mnie gwałtownie za rękaw ciągnie.

Zobaczyłem zdała Sliziaka, który stał w progu, znaki mi dając. Choć z zarostej jego twarzy mało co widać było, czytałem na niej zadziwienie i pomieszanie wielkie.

Sam nie wiem, kto mnie popchnął ku niemu. Pociągnął mnie zaraz do kąta... Z głosu pomiarkowałem, iż poruszony był mocno, bo ledwie mógł mówić.

— Skądże ty tu? Boże miłosierny! Skąd ty tu się wziąć mogłeś i po co?

Odpowiedziałem mu, że nierad opuściłem ks. Ja-

na, ale gwałtem mnie oddano biskupowi. Zadumał się zdziwiony i zafrasowany, a po chwili uspokoił nieco.

Chciał wiedzieć, kto to sprawił, że mnie na dwór ten przeniesiono, ale tego mu powiedzieć nie umiałem, bom sam nie wiedział. Badać się mnie zdawał, jak się domyślałem, czym poznał w przybywającej pani tę, o której mówiłem mu, ale spytać o to nie śmiał. Ja też nie miałem ochoty zwierzać mu się, bom w nim czuł jakby nieprzyjaciela.

Poruszony był mocno, usta mu dygotały, oczy biegały, a choć sam mnie na rozmowę wywołał, wrędcę mówić nie miał co. Ja też milczałem i pożegnałem go, nie strzymując, zapytawszy tylko, czy w Krakowie długo bawić mieli.

— Albo ja wiem! — odparł z niechęcią — wszyscyśmy się tu zbiegli dla tego świętego czleka, któregośmy mieli oglądać, a słyszę, że niepewna jeszcze rzecz, czy przybędzie i kiedy...

Pobieglem się rozpytać, bom o tem nic nie słyszał jeszcze i dowiedziałem się, że tego dnia właśnie przyniesiono wiadomości, że Kapistran zamiast przybyć do Polski, pochwycony został przez niemieckich książąt, którzy go sobie wrywali i miał wprzód kazać Sasom, potem na Śląsku, a niewiedzieć kiedy potem przybyć do Krakowa.

Biskup nasz wielce był tem przybity i umartwiony, ale nie poprzestał zabiegów i listy za listami słał do Kapistrana, nalegając, aby Polskę i Ruś nawiedził. Wyprawił też, mówiono, listy do papieża, aby on powagą swą nakłonił apostoła do przybycia do Polski.

Niepewność wielkie uczyniła wrażenie w mieście, bo wszyscy byli gorączkowo chciwi oglądać cudotwórcę i słowa jego posłyszeć. Biskup Zbyszek pocieszał, jak mógł, i ręczył, że starań doloży, a skłoni i ubłaga świętego męża.

Z tych tłumów, które się już były zbiegły na odgłos o Kapistranie, wiele się potem rozproszyło i do domów popowracało, ale inni zostali, ufając słowu Zbyszka,

który do tego ludzi wdroył, że co raz postanowił, stać się musiało nieochybnie.

Tom wiedział, że z kancelaryi biskupa listy za listami wyprawiano do różnych miejsc, w których apostoł mógł podczas przebywać: do Meissen, Drezna, Lipska i na Śląsko.

Sliziaka potem już tak jak nie widziałem, a panią jego też tylko zdaleka, bo ta zaraz pono, gdy o zwłoce oznajmiono, nazad na swój gród w górach powróciła.

Nie wiem, czy jakimś potajemnemu staraniu tego Sliziaka, czy innym jakim niezrozumiałym przyczynom przypisać to miałem, że wkrótce potem Doliwa mi półgębkiem zapowiedział, iż biskup może mnie do Sandomierza wyprawi, bo dwór swój chce zmniejszyć, a czasby też był, abym ja do seminaryum wstąpił i suknie obłókt.

Gorąco bardzo odparłem mu, że ja do tego powołania nie czuję, i do stanu duchownego się sposobić nie myślę. Doliwa spojrzał na mnie ukosem i rozśmiał się.

— Cóż ty myślisz, że ciebie się o to pytać będą? Dzieckiem jesteś, słuchać powinienes, a ty sam nie wiesz i nie masz prawa rozsądzać o tem, co z ciebie będzie.

Gdym się jednak rozplakał i wypraszać zaczął, a po nogach go całować, aby mnie obronił, poruszył się stary, machnął ręką i poszedł.

Nie wiem, co i jak uczynił, ale potem przez czas jakiś spokojnym zostałem i o Sandomierzu mowy nie było.

Unikałem, o ilem mogłem, następczania się na oczy biskupowi i przypominania mu, że tu był, tuliłem się po kątach, i gdy inni starali się o to, aby ich ks. Zbyszek widział, a przysługiwali mu się, jam się wcale nie dobijał o to.

Tymczasem sprawa przybycia do Krakowa Jana Kapistrana ciągle jeszcze gorąco wszystkich zajmowała, tak, że nawet o blizkiem małżeństwie królewskim, o którym się rozeszły wieści, nie mówiono prawie.

Słyszałem tylko, iż ludzie się dziwili temu niepomału, że miało przyjsć do skutku małżeństwo to z Elżbietą, które już raz, lat dziesięć temu, zeswatanem było i roz-

chwiało się... Teraz sądzono je przeznaczonem i nieuchronnem.

Lecz mało kogo ono obchodziło, bo tylko o Kapistranie słyhać było, i każdy jego krok, słowo po Krakowie sobie rozpowiadano, rozbierano, coś z nich wrózano.

Na usilne bardzo nalegania biskupa skończyło się na tem, że ks. Jan Kapistran, sam dając się zaciągnąć do Sasów a stamtąd na Śląsko, dla pocieszenia ks. biskupa naszego wyprawił mu tymczasem Władysława Węgrzyna, mnicha swojego zakonu, i dwóch z nim towarzyszków do Krakowa.

Przybyli oni tu i biskup ich przyjął wdzięcznie, a król na żądanie jego wyznaczył im klasztor przy św. Krzyżu tymczasowo, ale prawdę rzekłszy, nie wszyscy im radzi byli. Wrózano z tego, że Kapistran sam do Polski przybyć nie zechce i zbędzie ją tymi pomocnikami, którzy, choć ludzie świętobliwi, ani jego ducha, ani powagi, ani łaski z nieba takiej, co on, nie mieli.

Drudzy w tem upatrywali przeciwnie, porękę, że za swemi towarzyszami przybędzie i Ojciec Jan. Rozbijały się zdania. Biskup miał mocną wiarę, że Kapistrana sprowadzi, ale też krzątał się około tego z troskliwością, z gorliwością nadzwyczajną. Gdy kto przy nim wyraził wątpliwość—przerzywał gorąco:

— Przybędzie! Nie może to być.. Polska nasza tak pokrzywdzoną nie zostanie, aby ją pominął; choćbym sam miał jechać po niego... ściagniemy go tu!

Tymczasem, choć nie z wielkim do zbytku rozgłosem, czyniły się powoli przygotowania do małżeństwa króla z Elżbietą. Mówiono o wyprawionych posłach, o rozpoczętych układach.

Biskup niebardzo sprzyjał temu małżeństwu, bo i do króla serca nie miał, a zarzucał mu to, że uchowaj Boże, wciągając on może Polskę kiedyś w zatargi o węgierską i czeską koronę.

Słyszałem to ówczas z ust jego, co jakby wieszczęm przepowiadał duchem.

— Udało się Jagiellonom Polskę pochwycić, łakną teraz coraz większych zaborów—nienasyceń. Przypłacili już życiem jednego koronę węgierską, starej królowej śni się

ciągle i Praga i Buda dla synów, a młody król radby i zakon krzyżacki precz stąd na jaką wyspę wysadził. Chciwi są niepomieranie coraz większych ziem, gdy i tych, co są, utrzymać trudno... Daj Boże, by chciwości tej drogo nie przypłacili.

Naówczas tego nie rozumiałem tak dobrze, choć słowa jego zapamiętałem.

Na zamku, w którym dotąd dosyć bywało cicho, bo i stara królowa rzadko tu przebywała i młody król częściej na Litwie, w Wilnie i Grodnie, albo-li po lasach przesiedywał, zaczęło się teraz poruszać i zaludniać.

Codzień prawie za biskupem chodząc na Wawel, mogliśmy się temu przypatrzeć zdaleka. Mury w niektórych miejscach z tynków obnażone, na nowo bielono, podwórca oczyszczano, w stajniach i dworcach przybyło koni i ludzi.

Jednego dnia, kiedym przypadkiem w podwórzu biskupiego dworu stał u ganku z drugimi pacholikami, spostrzegłem u bramy człeka, który ostrożnie wewnątrz zaglądał, wniósł nie śmiejąc. Wszyscy wraz ze mną widzieli to, a na odzież jego spojrzawszy, przyczyny się łatwo domyśliłi.

Naówczas już tak królewskiego dworu ludzie, jak i biskupiego i innych możnych panów łącznie po tak zwanej barwie rozpoznawali. Prosta tego była przyczyna, że tak król, jak biskup i inni, swoją służbę odziewając, zakupywali u sukienników sukno flamskie jedno dla wszystkich, jedni krawce suknie im szyli. Królewscy ludzie mieli barwę granatową, a bramowanie przy niej czerwone, po czem ich każdy poznawał.

Długą też opończę taką miał na sobie człek we wrotach stojący, który w dziedziniec wniósł nie śmiał. Z królewskich ludzi do biskupa naówczas mało się kto ważył, chyba był posłanym, bo między służbą zamkową i biskupią tak jak między dworem naszym a Wawelem, jakby obrus rozrzesany był. Ciekawym będąc człeka tego, sam nie wiem jak, pełnięty cześć, podbiegłem ku wrotom, a nie dochodząc do nich, małym nie krzyknął z radości wielkiej.

Poznałem w tym czleku Gajdysa mojego, a wątpię nie mogłem, że się on tu nie do kogo skradał, tylko do mnie,

Byłbym mu się na szyję rzucił zaraz, ale i on mi dał znak i ja się uląknęłam, że się na nas ludzkich oczu tyle patrzyło, poszedłem więc spokojnie i miałem tyle mocy nad sobą, że mu po południu przy kościele św. Anny czekać na siebie polecił. Późem Gajdys się śpiesznie oddalił, a ja, powróciwszy do służby biskupiej, na zapytanie jej powiedziałem, że nieznajomy ten pytał o kogoś, na dworze biskupim niebywałego.

Poczęli się wszyscy z królewskiego sługi wyśmiewać, drwić i na tem się skończyło.

Mnie piekło już co najprędzej na ulicę św. Anny zbiedz i z Gajdysem się zobaczyć. Nie pojmowałem, co on tu robił, jak i po co się do Krakowa dostał, a widok jego tak mnie poruszył, tyle przypominał, iż serce z piersi zdawało się dobywać.

Przyszły mi na myśl owe czasy, których inaczej, jak szczęśliwemi, nazywać nie mogłem, gdy mam matkę miał, gdy mi było tak dobrze i swobodnie w ubogim dworku ich...

Wprawdzie teraz byłem niby na szerokim gościńcu żywota, lecz szedłem, sam nie wiedząc dokąd, gnany jakąś siłą niewidzialną, popychany, celu nie mogąc przewidzieć.

Wprędem się potem potrafił wyrwać i wyprosić, i strzałą pobiegłem pod kościół. Gajdys tam już na schodach siedząc, czekał na mnie, a pochwywszy w silne swe objęcie, spłakał się, całując, jakby wistocie własne dziecko odzyskał.

Dowiedziałem się od niego, iż z Wilna sprowadzono ich wielu ze stajen wielkoksieźnych, gdyż na wesele królewskie i koni i ludzi było potrzeba.

Gajdys, choć stary, nastęrczył się z drugimi, pomyslawszy, że mnie też zobaczy.

Pytałem go o matkę i o Marychnę, i o tych, których w Wilnie znałem. Żyli wszyscy, ale się skarżył, iż miasto teraz opustoszało, na zamku rzadko kto przebywał; a wszyscy się domagali i pragnęli, aby mieć swojego wielkiego księcia, którego im król nie dawał.

Gajdys po raz pono pierwszy był w Krakowie, miasto wielkie i ludne w podziwienie i strach niemal go wprawiło.

Poszliśmy od kościoła precz za miasto, gdzie nie tak łatwo mógł nas kto podpatrzeć i siedliśmy na kłodzie pod płotem w małej uliczce; dopiero Gajdys powiadać zaczął, jakie go tu szczęście spotkało, że dwa dni temu, gdy z końmi przyprowadzonemi około stajen się zajmował, nadszedł sam król, z koniuszym i marszałkiem, a zobaczywszy go, poznał zaraz, głową mu dał znak, potem na bok go odprowadził, wypytując się o Wilno.

— Myślisz—dodał,—że on o tem zapomniał, iż ty u nas byłeś na wychowku?

— Jakto?—przerwałem z radością,—alboż król wie o mnie i pamięta?

— A jużci—rzekł Gajdys, gładząc wąsa.—Począł mnie rozpytywać, co się z tobą teraz dzieje i czy widziałem wychowanka? Musi być u któregoś z księży przy collegium na naukach. Pójdźże do niego, zobacz, rozpytaj go, a potem mi powiesz, co z chłopięciem się stało. Rad-liś temu?

Ostupałem z podziwienia i radości, słysząc to, bo mi w myśli nie postało, żeby król o mnie miał wiedzieć i pamiętać. Gajdys się tem cieszył więcej może, niż ja.

— Cóż mam powiedzieć?—zapytał.

Musiałem długo i szeroko Gajdysowi wszystko, co ze mną zaszło, rozpowiadać, jakem się do ks. Jana dostał, jak z nim do Rzymu wędrowałem i szczęśliwie powróciłem, i że mi przy pobożnym człowieku dobrze było, a radbym był z nim pozostać, gdy nagle biskup zażądał i musiałem iść na dwór jego. Nie tailem tego przed Gajdysem, że mi tu było nie tak dobrze, nadewszystko przez to, iż między nieprzyjaciół króla dostalem się.

Gdy się skarżył, aż mi tzy z oczów się puściły.

— Król co zechce, to uczyni—rzekłem—gdyby mnie na swój dwór wziął, szczęśliwymby był! Ale się to stać nie może!

Gajdys też głową potrząsł i milczał. Takeśmy sobie rozpowiadając wzajem, co nam dolegało, zasiedzieli się do wieczora, i biegiem później musiałem wracać na dwór biskupi, aby mnie nie karano.

Obiecuyaliśmy sobie zejść się na Wawelu, gdy na

nabożeństwo z biskupem tam przybyć się trafi, a Gajdys mi opowiedział stajnię, około której go mogłem znaleźć.

Całą noc potem i dnie następne o tem tylko myślałem, że sam król wiedział o mnie i pamiętał, a obiecywałem sobie w razie ostatecznym, gdyby mi bardzo źle na świecie było, uciec się pod jego opiekę.

Co się w dziecinnej głowie na takim wątku mogło utkać, łatwo się domysleć. Miłość też, którą dla króla miałem zawsze, wzmogła się tem jeszcze, a niechęć, jaką ku niemu wszyscy biskupi słudzy okazywali, jeszcze ją wzmacniała.

Kilka dni upłynęło, nim się mogłem wysunąć z kościoła do stajen królewskich dla widzenia z Gajdysem. A chociaż mi powiedział dobrze, gdzie go szukać, gdy wpadł pomiędzy szopy, stajnie, odryny, śpichrze, których tam moc była, zupełnie się zbłąkał i ledwie dopytałem Litwina.

Poszliśmy z nim na ubocze ku wałom.

— Widziałeś króla?—spytałem go.

— A jakże — odparł Gajdys — mało nie codzień go spotykam; Bóg łaskaw, dobrym jest dla mnie. Gdyby nie to, między Lachami, którzy nas wyśmiewają i nie lubią, przepadałby przyszło, ale widzą, że król dla nas życzliwy, boją się więc zadzierać.

— No — dodał, uśmiechając się, Gajdys — nie tylko widział króla i mówił z nim, alem się sprawił z tego, co mi polecił, bo o tobie mu powiedziałem.

— Cóż król? — zapytałem.

Nie wiem sam, co to ma znaczyć — mówił dalej Litwin, — gdy się dowiedział, że was do biskupa wzięto, twarz mu się zmieniła i jakby gniewem zapłonęła... Namarszczył się, nogą tupnął, ale wnet się pomiarkował. Mówiłem królowi, że radbyś jemu służyć. Głową potrzaskał, pomyślawszy. Poczekawszy, rzekł: niechaj cierpliwy będzie. Teraz nie można... później; — kto wie?

Pytał nawet, jak wyglądasz i czy przystałbyś na pachołę do dworu?.. Mówiłem, żeś wyrósł na chłopaka niczego, przystojnego.

Wszystko to, co mi Gajdys rozpowiadał, choć z jednej strony pociecha było dla mnie, z drugiej bolało, bo nie obiecywano mi nic tak rychło, a mógłże król o mnie, biedaku pamiętać później i któżby mu miał przypomnieć? A tu groźba wyprawy do Sandomierza wisiała nade mną.

Szczęściem wszyscy byli naówczas tak zaprzątnięci: jedni Janem Kapistranem, na którego oczekiwano, drudzy królewskim weselem, do którego się przysposabiano, że o nim nikt nie pomyślał, ani spojrzał na mnie.

Biskup znowu tryumfował, choć z królem wojna na dobre trwała. Zajątrzyło ją to, że król, jak postanowił był, tak po śmierci biskupa przemyskiego kapitulę następcy wybierać nie dopuścił, a sam nazaczył nowego.

Widział dobrze Zbyszek, iż gdy raz się ten obyczaj utrzyma, wtedy biskupów swoich mając, król w kościele się tak rządzić będzie, jak w kraju... Zarządził biskup zjazd w Sandomierzu, gdzie miał swojego Oleśnickiego wojewodą, podburzając rycerstwo i duchowieństwo, aby królowi wypowiedziało posłuszeństwo.

Król miał po sobie tylko Wielkopolan... W Krakowie na radzie, gdy Zbigniew ponowił przeciw niemu wyrzuty i groźby, mówiono, że je zimną krwią zniósł, ale nie ustąpił.

Słyszałem sam, gdy biskup nieraz powtarzał:

— Nie dożyję ja tego, ale wy z tym królem tak łatwo, jak z ojcem jego, nie dojdziecie do końca. Milczy, a uparty jest... Choć ustąpi na pozór, co postanowił, to w sercu chowa. Biada nam, żeśmy Piasta nie wzięli i królowej matce ubłagać się dali, gdy już Bolesław Mazowiecki był okrzyknięty.

Na tem się nie skończyło, bo tak samo jak w Przemysłu król biskupa mianował, tak teraz po śmierci arcybiskupa w Gnieźnie, posłał do kapituły, nakazując, aby Jana ze Sprowy obrała.

Nasz biskup, widząc, że go nie zmógł ani zastraszył, pałał ku niemu nienawiścią. Nie nawykł był do tego, aby mu taki zacięty opór stawiano.

Miedzy zamkiem więc a naszym dworem gorzej stało wszystko, niż kiedykolwiek było. Jedno tylko spodziewa-

ne przybycie Jana Kapistrana zdawało się jakąś słabą czynić nadzieję, że wpływ tego świętego męża króla może zmiekczy, a wspólne z biskupem staranie o przyjęcie go w Krakowie zbliży ich ku sobie.

Ks. Zbyszek jednak na zamku nie bywał wcale, posyłał tylko, króla unikał; dwa razy gwałtownie a napróżno przeciwko niemu wystąpiwszy, już więcej nie chciał się narażać na walkę z tym, jak go zwał, młokosem.

Małom ja naówczas Kazimierza znał, a tylko z tego, co o nim we dworze u nas prawiono, wyobrażałem sobie, jakim był. Przecież nawet w moim niedojrzałym umyśle król się przedstawiał jako mąż mocy wielkiej, gdy występował do walki ze Zbyszkim, z tym, którego ani Jagiełło, ani Widold zmóć nie potrafił.

Zarzucał mu stary Tęczyński, krakowski wojewoda, że milczący był, zamknięty w sobie, a żelaznego uporu. Mówiono, iż królowa matka zaklinała go i prosiła, aby z biskupem się pojednał, a choć nad nim wielką władzę miała—nie potrafiła nie!

Tyle wymogła, że król Polakom potwierdzenie ich przywilejów zapewnił, chcąc sobie pozyskać rycerstwo, ale w sprawie biskupstw na jeden włos nie ustąpił.

Dwu już swoich miał na biskupich stolicach a u Zbyszka powtarzano to codzień, jakoby się miał przed Lutkiem z Brzeziany wygadać z tem, iż ani jednego na przyszłość kapitułom nie da wybierać, ani sobie z Rzymu narzucić.

Myśmy tedy czekali na obiecanego Kapistrana, który podczas się miał na Śląsku znajdować. W biskupie niecierpliwość rosła, aby go koniecznie ściągnąć do Polski, tak że nawet spór z królem został na pozór zawieszony.

Małżeństwem króla ks. Zbyszek nie zajmował się wcale, ale nie przykładając się do niego, rokował zle następstwa.

Zbliżyły się ostateczne układy. Król do nich nieprzyjaznego sobie Oleśnickiego nie wezwał... Jan biskup wrocławski i Jędrzej poznański, i kilku panów wyznaczonych było, a z tych, co Zbyszkowi sprzyjali i z nim szli, wojewoda krakowski tylko.

W wigilię tego dnia, gdy wojewoda do Wrocławia miał

wyjeżdżać dla zawarcia kontraktu, przybył na wieczerzę do dworca biskupiego.

Byłem na służbie w izbie, gdy Zbyszek pośpieszył ku wchodzącemu głośno wołając:

— Wojewodo mój, czy królowę nam sprowadzicie czy nie, czy posag jej sto tysięcy czerwonych złotych, czy połowę tylko wynosić będzie, dla mnie to marna rzecz... ale, jeżeli wy mi z sobą Kapistrana tu nie przyprowadzicie, chyba mi się nie pokazujcie na oczy! We Wrocławiu jest, dosyć już Ślązaków nawracał; zaklinajciego, uproszcie, wymódlcie, aby z wami razem przybywał... Zabierzcie go z sobą, a gdy pewni będziecie, że się da wziąć, gońca mi przyslijcie, abyśmy świętego męża godnie przyjęli.

— Król mi i królowa matka toż samo zlecili—odparł wojewoda.—Mam w Bogu nadzieję!

— Niech Jan z Czyżowa, Jan z Koniecpola i Dzierżek z Rytwian nad kontraktem i umową ślubną siedzą, a Kapistrana mi pozyskajcie—dodał biskup.—Powiedźcie mu, z jaką my go pożądlivością oczekujemy. Dusze się rwą ku niemu... Chcę dożyć tego dnia.

A po chwili dorzucił wzruszony:

— Król im dał przytułek u św. Krzyża... ale ja klasztor wystawię, kościół mu zbuduję... Niech tylko przybywa!

Z takim zleceniem wyjechał pan wojewoda do Wrocławia i wziął je do serca. Dziesiątek dni nie upłynęło, gdy nadbiegł do biskupa goniec z doniesieniem od wojewody, że Jan Kapistran z posłami razem napewno do Krakowa przybędzie.

Znowu tedy taż sama, a może większa jeszcze gorączka i niecierpliwość oglądania tak długo oczekiwanego, opanowała wszystkich. A że od miesięcy dwu już gościli w Krakowie towarzysze Kapistrana, z Władysławem Węgrzynem, którzy siła o nim opowiadali, że się rozgłosiły cuda, rozeszły powieści o wielkiej mocy z niebios mu danej—więc z większem jeszcze upragnieniem czekano tego szczęśliwego dnia i godziny, kiedy stopa jego dotknie naszej ziemi.

— Na zamku, w mieście, we dworcu u nas, po kla-

sztorach wszędzie sposobiono się na uroczyste przyjęcie Kapistrana, szczególnie zaś zakony św. Franciszka, do których reguły należał, chociaż ją obostrzył i ściślej uczynił.

Dominikanie, którzy zawsze byli we współzawodnictwie z synami św. Franciszka, bo jeden i drugi zakon patrona swojego słauił i wynosił, także się przygotowywali witać Kapistrana, jako wielkiego inkwizytora, którego obowiązki dotąd spadkiem do ich zakonu należały. Nie wyłączał się nikt, bo w nim i błogosławionego meża i jakby legata a misyonarza apostolskiego widziano. Sława taka go poprzedzała, iż nikt obojętnym być nie mógł.

Nadszedł nareszcie dzień pamiętny ten, we wtorek, w samo święto Augustynowe, gdy całe miasto od rana się poruszyło i można powiedzieć, że kromi tych, co w łózkach leżeli i ruszyć się nie mogli, nikt z chrześcijan w domu nie został. Jedni za miasto i bramy, drudzy powychodzili na rynki i ulice—mieścił się każdy, jako mógł.

Żydzi z obawy, aby przy tem rozkołysaniu umysłów, jak się to nieraz trafiało, młodzież szkolna i swawolne czeladzie na nich się nie rzuciły, wcześniej się po swych domostwach pozamykali. Żadnego z nich nigdzie najrzeć nie było można.

Dzień był jesienny, ponury i pochmurny, ale spokojny. Wszystkie zakony z chorągwiami, z krzyżami, cechy miejskie, duchowieństwo świeckie, akademie, kapituła, biskup z całym dworem swym, w uroczystych szatach wyszły ku bramom na spotkanie.

Królowa też stara i król wyjechali dosyć okazale i dworno. My z biskupem Zbyszkciem czekaliśmy nań na Kleparzu.

Choć oznajmiono było, iż napewno przybywał, czekało się dosyć długo; a starzy ludzie powiadali, że nie pamiętali wjazdów królewskich tak uroczystych i tłumnych.

Ale na twarzach wszystkich nie można było dojrzeć radości, lecz jakby trwogę, gdy sędzia na winowajców przybywa.

Cicho było, oczy się zwracały na gościniec, którym oczekiwano przybycia, aż poszedł szmer, podniosły się gło-

wy, królowa wstała z siedzenia w kolebce, młody król z konia zsiadł. Pokazał się wóz czterema końmi zaprzężony pana Jana z Tęczyna, bo jemu się dostała cześć towarzyszenia świętemu mężowi. Za nim jechali inni posłowie z dworami swemi.

Zobaczywszy króla i królowę, wojewoda dał znak woźnicy, aby stanął i spostrzegłem szybko wysiadającego z wozu człowieka średnich lat, ciemnej pici, z długą szyją obnażoną, w sukni prostej, grubej, brunatnej, z kapturem powrozem podpasanej, u którego wisiał prosty drewniany z dużym krzyżem różaniec. Nogi miał bosa w trepkach drewnianych, a ręce niemal do kolan długie.

Inaczej ja go sobie wyobrażałem, ale takim, jakim był, wydał mi się do innych ludzi wcale niepodobnym. Przynajmniej od naszych różnił się bardzo i widać było, że z innych krajów pochodził, bo i rysy twarzy i oczy, i postawa osobliwe były i dziwne. Poruszał się prędko, wejrzenie miał śmiałe i ogniste, ale obejście się z ludźmi pokorne.

Królowę i króla pozdrowiwszy, gdy go w rękę całować chcieli, obie ręce na piersiach złożył i poklonił się nisko. A gdy potem podniósł głowę a spojrzał dokoła, kogo oczy trafiły, ciarki po nim przeszły, coś takiego przejmującego miał we wzroku.

Cisnęli się wszyscy do rąk, do nóg, a on błogosławił, podniósłszy potem prawą rękę do góry i modlitwę szeptał.

W tej siermiędze prostej, z twarzą niepiękną, surową, czarną, wychudłą, bosa, biedny, stał w tej chwili ponad tłumami, jako król i wódz. A nic go nie trwożyło, nie pomieszało, ani orszak ów wspaniały, ani ludu tysiące, ani oznaki czci, które odbierał. Pozostał nieporuszony zupełnie, i gdy biskup przy nim idący dał znak, ruszyło się wszystko w procesyi do kościoła, księża poczęli śpiewać pieśń i wszyscy pieszo za Kapistranem i biskupem poszli do Panny Maryi.

Dla niego i dla towarzyszków, których z sobą miał, bo mu nietylko na nich nie zbywało, ale mu co chwila nowi przybywali, opróżniono umyślnie w rynku kamienicę Jerzego Sworca, z której można powiedzieć, że klasztor zrobiono.

Wygód ci nowi zakonnicy nie potrzebowali wcale, bo na gołej ziemi sypiali, posty bardzo surowo zachowywali mało nie codziennie, w piecach sobie nawet opalać nie pozwalali, a zaraz oratorium urządzili i klauzurę. Izba pierwsza, przy której służbę postawić musiano, bo ludzie się jęcząc i płacząc cisnęli, służyła do przyjmowania tych, których do Kapistrana przypuszczano.

Ponieważ biskup go przyjmował, a jam służbę u niego pełnił, mogłem i miałem zręczność się przypatrzeć życiu i obyczajowi świętobliwego męża.

Nawykliśmy byli wszyscy do niezmordowanej pracy naszego biskupa, który od rana do nocy prawie nie spoczywał, ale czem to było w miarę żywota tego człowieka, który wszystek czas swój trawił jakby w pobożnej gorączce! W nocy ledwie parę godzin zasypiał, odpowiadając w różnych terminach modlitwy z braćmi, a przez cały dzień kazał, spowiadał, nauczał, przyjmował ludzi, każdą chwilę wolną wnet obracając na modlitwę.

Czasu modlitwy mienił się zupełnie, twarz wyjaśniała, oczy zdawały się powiększać, drżał w uniesieniu jakimś i zdawało się że zapominał, porwany duchem do niebios, iż był jeszcze na tym świecie.

Nawyklm będąc do mojego świętobliwego ks. Jana Kantego, zdumiewałem się, jak dwaj ludzie pobożni równie, tak mogli być do siebie niepodobni. Albowiem mój Jan spokojny był i łagodny jak baranek, i w modlitwie zatapiał się, nie upajał ją; Kapistran zaś jakby uniesiony, rozgorzały, przybierał postać, wrażającą trwogę i grozę.

Następnych dni postawiono przy kościele św. Wojciecha, na tem miejscu, gdzie wedle podania apostoł też ten do ludu przemawiał, ambonę drewnianą, którą obwieszono kobiercami i oponami kosztownymi, ale Kapistran te ozdoby wszystkie pościagać kazał.

Tuż przy nim stał jeden z kolegiatów naszych i w miarę, gdy mówił, tłumaczył nam słowa jego.

Blżej ambony były siedzenia i klęczniki dla królowej, króla, dworu, duchowieństwa i panów. Dalej rynek, jak zażreć, był pełniusieńki, a panowała wśród tych na-

bitych i ściśniętych ludzi taka cisza, iż zdawało się, że muchyby przelatującą posłyszeć można.

Mamże się ja kusić o to, abym opowiedział, jak słowo jego działało, i w jaki sposób? Tego ani ja, ani nikt nie potrafi. Działo się bowiem coś cudownego. Mało ludzi mogło dosłyszeć co mówił, inni niespełna rozumieli, przecież mowa jego poruszała serca, wyciskała łzy, nawracała, pociągała.

Nie widziałem kaznodziei tak mówiącego, jak on: rzucał się niespokojny, ręce ku niebu wyciągał, padał, chodził, zniżał do ziemi, bił w piersi; sam dźwięk jego mowy brzmiał tak, że się robiło około serca trwożno, łyż cisnęły się do oczów.

Ci, co wcale go nawet nie rozumieli, przejęci, przestraszeni łkali i mdleli.

Posłannik to był Boży i mocą Jego obdarzony, ale nie przynosił miłosierdzia i pokoju, tylko groźby straszne, wołanie pomsty za grzechy, katuszy piekielnych odgłosy. Ja to przynajmniej tak czułem, a ze mną innych wielu.

Dopóki mówił, trzymał tak na uwierzy wszystkich i tylko łkania i wykrzyki boleści przerywały mu czasem, potem gdy kończąc, zwrócił się do krzyża i padł przed nim, ręce wyciągając ku Chrystusowi, padało z jękiem na ziemię w proch, co żyło.

Nie było człowieka, coby zimnym odszedł z oczyma suchemi.

I działy się cuda. Szli ludzie do spowiedzi gromadami, młodzież rzucała szaty rycerskie i przywdziewała odzież zakonną. Od pierwszego dnia poczęli się jawić do zakonu ludzie, padając do nóg Kapistranowi i O. Władysławowi aby ich przyjęto.

Lecz nie dźwgnemy to było może, iż pospolity lud tak czuł to słowo Boże, którego z ust natchnionych a płomienistych, jak te nie słyszał nigdy. Patrzałem, stojąc na biskupów, naszego pana i innych, na starszych duchownych, na tych, co kaznodziejów wielu w życiu słuchali; nie było jednego, któryby nie doznał tego, co prostaczkowie. Płakali i oni. Mąż był w tych chwilach natchniony, tak, jak tylko apostoł, namaszczonej przez Boga być może.

Od pierwszego tego dnia poczęło się takie wszego ludu uniesienie pobożne, iż można było powiedzieć, że niemal spraw powszednich zapomniano. Gdzieś przyszedł, coś usłyszał, wszędzie tylko kaznodzieja i apostoł był przedmiotem rozmów i podziwu.

Wyniść w ulicę nie mógł, żeby tłumy nie ciągnęły za nim. Znoszono mu do drzwi chorych, przywożono chromych czatowano, aby dotknąć kraju szaty jego.

Zaraz tedy z młodzieży co było pobożniejszych poabrało sukienki zakonne. Jednym z pierwszych był młodziuchny Szymon z Lipnicy, który później wślawił się świętobliwością życia i pokorą.

Razem z tym wstąpił do zakonu Rafał z Proszowic i Stanisław Kaźmirczyk, a wielu i wielu innych, nie licząc panów takich, jak Melsztyński. W samym Krakowie stu trzydziestu naliczono tych, którzy sukienki wdziali i po całym potem kraju węglę tę rozsiłali.

Wieczora jednego już późną jesienią, gdy kazał Kapistran, począł mówić przeciw kosterstwu, płochym grom i zabawom, stratę czasu, obrazę Bożą, zgorzenie ludzkie ukazując z tych igrzysk, które często mężobójstwa i krwią się kończyły.

Poruszył i przeraził tak słuchaczy, iż nazajutrz od świtu pod kazalnicę znosić poczęli ludzie, co kto miał do gry jakiej służącego: warcaby, kości, kubki, karty, kule i kregle, niektórzy nawet cytry i narzędzia muzyczne, choć one i do chwały Bożej służyć mogły.

Gdy potem apostoł wszedł na kazalnicę a ujrzał ogromną tę kupę, bo nie do wiary się tego gromada nazbierała, gdyby góra wpośród rynku, dał znak, aby te narzędzia szatańskich pokus zapalono.

Rzucili się posłuszni z pochodniami i natychmiast ogień podłożono. Ogromnym płomieniem zajął się stos suchy we mgnieniu oka, a że Kapistran kazał i na niego wszyscy się patrzali i płakali, nie postrzegł się nikt, gdy ów stos buchnął ogniem i zrywający się wiatr zarzewie i węgle, a iskry począł unosić na najbliższe dachy, tak, że się na kamienicach gonty już zajmowały. Rzucili się dopiero ludzie na ratunek, uderzono w pożarny dzwon u Pan-

ny Maryi, a święty mąż żegnać zaczął ów pożar poczynający się, który szczęśliwie natychmiast ugaszono.

Wolał jednak, iż tylko miłosierdzie Boże grzesznemu miastu, jak Sodomie i Gomorze, spopielić nie dało, pokuty i poprawy oczekując.

W takiej to gorączce przebyliśmy, powiedzieć można, cały ów czas kilkomiesięczny, który Kapistran u nas spędził. Dla zakonników jego i nowej reguły, pod zawołaniem Bernardyna świętego, biskup założył na gruntach brata klasztor i kościół, nie dopuszczając, aby z królewskiej łaski przy świętym Krzyżu zostali.

Budowano tymczasowo z pośpiechem takim, że żadne pono domostwo za pamięci ludzkiej tak prędko nie stanęło, jak ta fundacya biskupia.

Ks. Jan z biskupem i innymi duchownymi z Krakowa czynił też wycieczki do miast bliższych, a gdziekolwiek się ukazywał, wszędzie toż samo działo się, co w Krakowie.

Jam też dusznie pewnie korzystał z tego wzmożenia się pobożności, bo nie byłem ostyglym, ani obojętnym, a oprócz tego rad byłem że o mnie zapomniano trochę wśród tego zajęcia nabożeństwa. Mogłem niepostrzeżony czasem się wyrwać do mojego Gajdysa i z nim chwilę swobodniej pomówić. Spotkało mnie też szczęście to, że gdym raz z nim stał na poufnej rozmowie, a nie bardzośmy zważali, co się koło nas działo, aniśmy się spostrzegli, gdy król nadszedł.

Zrazum uciekać chciał, ale mi nogi w ziemię wrosły. Tymczasem zbliżył się miłościwy pan szybkimi krokami, nawołując Gajdysa.

— Toż syn twój?—pytał.

A gdy Litwin się skłonił milczący, król jeszcze podszedł ku mnie i czulem, jak mi się przypatrywał; głowę miałem spuszczoną. Kazał mi ją podnieść i patrzeć śmiało. Choć z trwogą wielką, byłem posłusznym.

Ujrzałem naówczas wielce dobrotliwe spojrzenie królewskie skierowane ku mnie; patrzył Kazimierz i milczał. Spytał potem, jak mi u biskupa było, na co milczeniem odpowiedziałem i nie nalegał już.

— Ucz się a sprawuj uczciwie—rzekł potem—ja o dzie-

ciach sług moich nie zapominam, i o tobie też pamiętać będę.

Padłem mu do nóg. Zdał się mocno poruszony, i sięgnąwszy do kaletki, którą zawsze u pasa nosił (był to obycaj ojca jego), dobył garść pieniędzy i wsunął mi je w rękę. Mnie ona tak drżała, że poupadały na ziemię i Gajdys je podnieść musiał, a teraz dopiero spostrzegłem, iż były sztuki złota. Król się bardzo prędko oddalił.

Było tego daru pańskiego sztuk dziesięć i chciałem się niemi podzielić z Gajdysem, ale się obruszył, pogniwał, złoto w węzełek zawiązał i kazał mi go, nie ruszając, strzedz, jak oka w głowie.

Ale fraszką było złoto owe, mnie wejrzenie królewskie niewypowiedzianie miłosierne, droższem nad nie było! Zdawało mi się czytać w niem, że istotnie litość mieć będzie nade mną i wyrwie mnie z tej niedoli i niebezpieczeństwa, w jakim byłem. Obawiałem się bowiem bardzo, aby mnie siłą do seminaryum nie wzięto i w suknię kleryków nie obleczono.

Dlaczego do tego stanu ochoty w sobie nie czułem, sam zaprawdę nie wiem, ale Bóg znać powołać mnie nie chciał do siebie, inne gotując mi losy.

Tak się skończył ten rok, który żałobą okrył całe chrześcijaństwo, bo poganie owdągnęli Konstantynopolem i moc ich urosła, a krzyżowi świętemu zagrażała. Przeto i Jan Kapistran tę klęskę ukazując, jako karę Boską, nie tylko do pokuty wzywał, ale i do zbrojenia się i do ciągłego przeciwności poganom, a połączenia wszystkich sił narodów chrześcijańskich.

Pomiędzy biskupem a królem nie przyszło pod ten czas do żadnego porozumienia i zgody. Stały przeciwko sobie dwa nieprzyjacielskie obozy, jak przedtem, a gdy następnego roku przybyli posłowie pięćdziesięciu sześciu miast pruskich z prośbą do króla, aby ich z pod jarzma krzyżackiego wyzwolił i pruskie kraje, które niegdy do Polski należały, zajął w moc swoją, biskup nasz zamiast królowi do tego być pomocą, wystąpił przeciwko połączeniu Prus. Rokował z tego długą wojnę, kosztowną, wycieńczającą a bezskuteczną, z czem napoty miał tylko słu-

szność, wojna bowiem wistocie utrapioną była i długą, ale skończyła się szczęśliwie odzyskaniem Prus choć w części.

Dawniej nieprzyjaciel zakon, biskup Zbyszek, czy to, że za nimi z Rzymu się wstawiono, czy na przekorę królowi, teraz prawie za nimi przemawiał. Nie pomogło to wszakże nic, gdyż i królowa matka i król, i znaczna część panów rady była za tem, aby garnących się Prusaków nie odpychać.

Tymczasem zbliżał się naznaczony termin weselny króla, a na zamku, pomimo największego pośpiechu jeszcze nie wszystko było gotowem. Królowa matka i młody król zarówno nie chcieli młodej pani ladażako przyjmować, ani się okazać nieprzysposobionymi. Wesele chciało obchodzić z wielką okazałością, a zamek tych czasów dosyć był opuszczony i wszystko w nim odnawiać musiano.

Za Jagiellowych czasów król w nim mało przesiadywał, później też królowa Sonka po innych zamkach mniejszych, w Sanoku i na swych posiadłościach częściej przebywała. Kazimierz także rad polował i mieszkał na Litwie. A choć byli urzędnicy, którzy murów i izb a wszelkiego ochędóstwa w nich doglądać byli powinni, zaniedbano wielce się i teraz dopiero okazało się, iż na przyjęcie dostojnych gości sprzętu brakło.

Pracowano więc dniami i nocami, com na oczy swe widział, do Gajdysa zaglądając.

Przed dniem nawrócenia św. Pawła król już był w Krakowie, gdzie sposobiono najprzedniejszej młodzieży rycerskiej dwa tysiące koni, które naprzeciw młodej pani wyjechać miały i towarzyszyć jej do Krakowa.

Mnie się serce rwało patrząc na nich, tak im zazdrościłem pięknej postawy i swobody, jakiej zażywali.

Jeszcze królowa nie przybyła do Krakowa, a nawet posły po nią nie wyjechały, gdy ta stłumiona wojna między kardynałem Zbyszkim a królem na innem polu znowu się zajęła. Choć król na pozór wcale się nie mieszał do tego między arcybiskupem gnieźnieńskim, wiernym i miłym Kazimierzowi a naszym Zbyszkim spór się wytoczył o to, kto będzie koronował królowę.

Składał się odwiecznem prawem swoim arcybiskup,

a nasz pan, jako ksiązę kościoła, po papieżu najwyższą dostojność kardynalską piastujący, nikomu się nie chciał dać posiąść.

Król stał na uboczu, nie rozstrzygając tego, bo sprawa była kościelna.

Kardynał miał za sobą świętego męża Kapistrana, a naówczas zdanie jego nad wszystkie przeważało. Przewidzieć więc było można, kto zwycięży. Sami nawet przyjaciele kardynała naówczas przyznawali to, że podchodząc w lata, a czując, że nie miał tego, co za Jagiellę zachowania i przewagi, coraz zgryźliwszym, popędliwszym był i dumniejszym.

Gdy przed weselem namnożyło się w kancelaryi kardynała listów różnych mnóstwo i pisanie wszelkiego a skrybentów zewsząd ściągano, ktoś niepoctciwy, niech mu Bóg nie pamięta, i mnie nastreczył, że musiał za stół sięść i do pióra się brać, do którego podówczas nie miałem ni chęci, ni wprawy. Przewodził tu nad nami wszystkimi ulubiony kardynał, prawa ręka jego, ks. kanonik Jan Długosz, który się wslawił pismami swemi, pracowitością i pobożnością. Przy biskupie Zbyszku mało nie od dzieciństwa ciągle zostając, najlepiej ze wszystkich rozumiał go, odgadywał i tak myślał a czuł, jak on. Więcej tylko może miał jeszcze do króla Kazimierza a do wszystkich Jagiellonów niechęci i wstrętu, tak samo i królowej matki niecierpiał, na nią się krzywił, a słyszałem go naówczas prorokującego, że król Kazimierz na tyrana urośnie. Lecz mąż to był niepospolity, choć namiętny, żywy, gorączka i ludzi czarno widzący, a podejrzewający łatwo. Pracowitszego nad niego trudno było znaleźć, bo i dziesięciu razem rozpoczętych robót się nie uląkł. W kancelaryi miał jeden stół, w izbie biskupiej drugi, a u siebie w domu całe izby zarzucone księgami i pergaminami tak, że przejść nie było można i u drzwi stać musiał, kto tu do niego przybywał.

Wszystkie te folianty porozkładane, ponaciskane kamieniami, zakładkami poznaczone, stosami się i kupami dokoła pulpitu wznosiły, z których on potem swoje kroniki wybierając, spisywał. Śpieszył się zawsze, niecierpliwił, gdy go kto dla marnej sprawy zatrzymywał.

— Nie znasz to wartości czasu!—wołał.—Cóż nań niego droższe, a ty mi go marnujesz i wydzierasz!

To też on i chwilkę nie stracił. Przybywszy do domu, gdy miał ćwierć godziny wolnej, nie spoczął i siedł do pulpitu, albo pisać dalej, lub napisane poprawiać. W ulicy nigdy powoli nie widziałem go idącym, biegł mimo wieku i ciała swego zdyszany, rzadko z próżnemi idąc rękami, bo książkę albo papier jakiś zawsze prawie niósł z sobą.

Dla akademii wielce wylanym, gorliwym był i młodzieży opiekunem troskliwym, lecz zarazem srogim dla niej, surowym i nieprzebaczącym.

Z urzędu i położenia przy biskupie często mu wypadało na zamku się znajdować, ale unikał tego, wymawiał się i od króla a dworu uciekał.

Kochali go razem ludzie i obawiali się, gdyż słowo i pióro miał ostre, a nie szczędził nikogo i prawdy w sobie zamknąć nie umiał.

Ja u niego łaski naówczas nie miałem, chociaż nie zawiniłem w niczem mu. Wyrzucał mi ciągle to, że sukienki wdziąć nie chciał, choć kardynał sobie tego życzył, o czem Długosz wiedział, bo dla niego biskup tajemnic nie miał żadnych. Był to może jedyny człowiek, który całe jego zaufanie posiadał.

Oprócz innych zalet, kardynał go z tego wynosił, że była to biblioteka chodząca. Pamięć bowiem wistocie miał nadzwyczajną i rzadko go ona zawodziła.

Szczęściem, że przy obrzędach ślubnych i koronacyjnych kardynał musiał występować z całym dworem i wobec przybywających książąt, nie chciał pośledniejszym od nich się okazać, odebrano mnie więc z kancelaryi do pokojów. Książęta śląskie z Raciborza i Oświęcimia mieli przybyć na wesele, spodziewano się i innych dostojnych panów.

Naostatek owe dwa tysiące rycerstwa, tak ślicznie uzbrojone i przyodziane, że na nich jak na kwiatki patrzeć, a patrzeć było można, wyciągnęli po królowę. Wszyscyśmy powychodzili się im przyglądać, a było na co. Wziął każdy co miał najlepszego, najdroższego, żeby się przed Niemcami w Cieszyńie popisać, więc konie jak najślicz-

niejsze, zbroje szmelcowane i złożone szyszaki z piórami farbowanemi, które na ramiona spadały, ladrowania przy koniach osobliwe, a kity i tarcze sadzone kamieniami, kołczany szyte srebrem i złotem, szable świecące od opraw bogatych. Mógł król z dumą na nich spojrzeć, bo mało królowi panujący dwa tysiące takiej młodzieży-by postawił, chłop w chłopa.

Jechał z nimi po królowę, choć królowi krzyw był, wojewoda krakowski Jan z Tęczyna, bo z kardynałem trzymał, on i inni z rodu jego, którego był głową. Ten się nigdy od posług nie wymawiał, boć jako wojewoda pierwszy był też do nich obowiązany, i nie chciał dać drugim ubiegać siebie. Z nim byli Stanisław Ostroróg kaliski i Piotr z Szamotuł, wojewoda poznański, ludzie, jak ich zwano królewscy, bo ci zawsze z panem byli i Jan z Tarnowa z żoną, aby była niewiasta do towarzystwa młodej pani. Pomnę dobrze te dni, które poprzedziły przybycie Elżbiety, co później tak długo i szczęśliwie z panem naszym żyła, i muszę tu zapisać, że naówczas, jako było we zwyczaju ze wszystkiego prorokować, we wszystkim widzieć znaki przyszłości, u nas na biskupim dworze duchowni, astrologowie, kto żył, głosili najsmutniejsze horoskopy dla małżeństwa królewskiego.

Kardynał też, Kazimierza nie lubiąc, przewidywał to co mu życzył.

I to prawda, że wszystko się jakoś składało na opak, utrudniało, nie szło. Królowa już, już na granicach była i jechać a przybywać miała, a na zamku jeszcze w dwu przednich izbach podłogi nie były pokładzione. w innych tynki nie poosychały.

Nikt się pewnie tem tak nie poruszał do gniewu i nie narzekał więcej, nad starą królową matkę, Sonkę. Pani ta zawsze do gniewów była skłonna i bardzo zapalczywą, a gdy szło o jej dzieci i godność rodu, gotowa była poświęcić, co miała. Król Kazimierz znosił zwłoki po swojemu, milcząco i cierpliwie, pani matka krzyczała, biegała i oskarżała winnych i niewinnych, że naumyślnie na przekór czyniono jej i synowi.

Królowę młodą wieziono, odebrawszy w Cieszynie

przez Pszczyn, Oświęcim i Skawinę i już jechała, gdy z Krakowa posłać musiano do pana wojewody, aby trzy dni jeszcze w drodze zmarudził, bo na zamku gotowości nie było.

A tu złym wróżbitom na pociechę, zawzięta się pluła, ślota, wicher, jakby naumyslnie, aby drogi popsuć, miasto błotem napęlić i uroczystemu wjazdowi odebrać całą świetność.

Kardynał przypisywał to też gniewowi Bożemu przeciwko króla, który porывał się na Kościół i przywłaszczał sobie władzę nad biskupami.

Stało się, jak przepowiadano, bo gdy młoda królowa przybyła we czwartek po świętej Dorocie, a naprzeciw niej król młody wyjechał na koniu, którego rząd cały drogłami kamieniami sadzony, od złota i szmelców różnobarwnych, na czterdzieści tysięcy złotych szacowano, on i drużyna w złotogłowach, w jedwabiach, królowa matka w kolebce pozłocistej—deszcz lał jak z cebra. Nie ustał ani na chwilę, gdy młoda pani się do kolebki matki przesiadała i gdy potem z procesją, z muzyką, przy odgłosie trąb i kołtów na zamek powoli ciągniono.

Obmokło wszystko, osłizło, a kolebka, choć w osiem koni zaprzężona, chwilami musiała stawać, tak koła głęboko zapadały.

Król i dwór, któremu szat bardzo kosztownych żał było, jechali gniewni, żli, smutni, a owo wesele przy ulewie do rozpaczki niemal starszą panią przyprowadziło.

My z kardynałem czekaliśmy do późna na przybywającą w kościele na Wawelu; czekali i czekali, bo orszak, który miał tu stanąć z południa nie przywłókł się po błocie aż o dobrym mroku.

Zaraz nazajutrz rozeszła się u nas pogłoska, że przyjechała królowa Elżbieta bardzo była piękną, że król, zobaczywszy ją, okazał ku niej niechęć wielką, aż go matka musiała zaklinać, aby jej nie objawiał i nieprzyjaciółom pociechy tej nie czynił.

Prawdą-li to było, czy nie, nie wiem tego, alem później od nich słyszał, co patrzali na pierwsze dni pożycia państwa młodych, że choć król zrazu chłodnym się okazywał,

Elżbieta umiała swą wesołością, wymową, obejściem się tak go ująć bardzo prędko, iż sercem i duszą do niej przystał.

Patrzyłem potem na długie obojga królestwa pożycie i nie wiem, czy kiedy spotkałem dwoje ludzi, coby tak, jak oni dla siebie stworzeni byli. Król miał serce dobre i rozumu nie mało, ale królowej to przyznać należy, iż nie tylko mu nie ustępowała, ale umiejętnością obejścia się z nim, przypodobania się o wiele go przechodziła.

Poznali się na niej ludzie wkrótce. Pani była, acz młoda, rozumu i nauki niemalej, niepiękna, ale miła, przenikająca ludzi, bystra i obchodząca się z każdym tak, że go sobie ująć musiała. Poważna, haczna na siebie, nigdy się z pochmurnem czołem ani królowi, ani dworowi nie pokazywała. Twarz miała zawsze jasną, myśl swobodną, uśmiech na ustach a im król zakłopotany chmurniej wyglądał, tem ona starała się być weselszą, aby te chmury z czoła jego rozpuściła.

Jakom rzekł, że się to małżeństwo w początku nie wiodło i przychodziło z trudnością, tak aż do końca tych obrzędów i uczt a uroczystości ciągle je coś mąciło.

Gdy przyszło do koronacji, a arcybiskup z kardynałem, ani jeden, ani drugi ustępować nie chcieli, postanowiono, aby ślub dawał Kapistran, a bodaj i koronę wkładał. Ale to nie mogło być. Przy ślubie nieumiejący języka mnich musiał kardynała wezwać na pomoc. Przeciągnęły się nabożeństwa i koronacja dopiero w nocy się odbyła.

Nie mówię już o tysiącu pomniejszych przekorach i kłopotach, które króla na każdym kroku spotykały. Po nim, jak on zawsze bywał surowego i spokojnego oblicza, niewiele poznać było można, ale ludzie biskupi na dwór przynosili każdą plotkę, wiedząc, że kardynał się tem cieszyć będzie.

A co Kołek i Sroka i inni nadrwili się z młodej pani, z jej służby, ze strojów, z obyczaju tego na wołowej skórce bym nie spisał.

Musiałem słuchać, usta przygryzając, gdy mnie to w mojej miłości dla króla więcej jeszcze umacniało, widząc go niemal prześladowanym i zagrożonym. Bo kardyna-

nal, jak był nieprzyjacielem, tak pozostał nim, a im więcej się przekonywał, że króla nie zmoże, tem zapalczywszym się stawał.

Jednego wieczora u drzwi stojąc na straży, słyszałem gdy mówił do Tęczyńskiego:

— Bóg mi więcej dał, niż zasłużyłem, wyniósł mnie łaską swoją do najwyższej dostojności kościelnej, przez długie lata władzę mi nad królem nieboszczykiem złał, uczynił panem tego królestwa i wszystko to dziś na starość u schyłku zatrute tem, że jednego młokosa, któremu sam na tron ten wyniósł, pożyć nie mogę i dziś upokorzony, patrzeć jestem zmuszony jako się rządzi po swej głupiej myśli.

Pocieszał go wojewoda tem, że godnie walczył, że nie ustępował, że zwyciężyć się nie dał, ale pociecha była mała, bo kardynał nie tylko sam panować chciał, ale rodzinie swej, synowcowi też panowanie chciał zapewnić.

Ze wszystkiego co mówił, wnosić było można, iż występując przeciw królowi tak gwałtownie, biskup Zbyszek miał na celu do niecierpliwości go przyprowadzić, do wybuchu, do porwania się jakiegoś zuchwałego przeciwko sobie i duchowieństwu. Rachował na gorącą krew młodego pana, ale się omylił, bo Kazimierz płonął i błądł, jak ludzie mówili, ale taką zimną krew zachowywał, iż nią kardynała w pasyę wprawiał.

Postanowiono w tym roku poddanie się Prusaków przyjąć, do Prus ciągnąć, czemu kardynał był także przeciwnym i opierał się całą siłą napróżno.

Mało tego, że sam królowi na zawadzie stawał, ale z nieustannego publicznego narzekania na króla, iż Bóg za niego i grzechy jego Polskę klęskami nawiedza, w umysłach ludzi przekonanie się to ugruntowało.

Przyszła mór na bydło, na ludzi, nieurodzaj, głód, wszystko to na króla składano. Kazimierz winien był wszystkiemu. Od przybycia Kapistrana już w umysłach wziął się niepokój i trwoga opanowała ludzi.

Święty mąż w rynku Krakowa każąc, przepowiadał Polsce, że Turcy ją najadą, zajmą i że na tym samym rynku wielbłądy ich stać będą wkrótce. Świeże zdobycie Kon-

stantynopola, o którym opowiadano, bo Greków dużo się naówczas po świecie rozproszyło, co na szturmów i na śmierć pobożną Konstantyna patrzyli, i na Polskę rzucało trwożę.

Więc przepowiadali i inni straszny koniec a pomstę Bożą. Pobożny mąż, Sędziwój Sadek, modlący się przed obrazem Męki Pańskiej z wielką gorącością ducha, nagle miał widzenie straszne przyszłości i pieszo we włosiennicy poszedł do Brześcia, gdzie król podczas był, a tam w kościele, wobec Kazimierza po polsku kazanie prawił, nie wahając się królowi czynić wyrzutów, karcąc go jak najwinniejszego, okrutną pomstę Bożą jemu zapowiadając, a z nim krajowi całemu. Nietylko panu, ale potomstwu jego groził, a kazanie to, gdy się po kraju rozeszło, że mąż był światobliwy przeciwko królowi ludzi podniosło.

Zdawało się, że tak ściśnięty i prześladowany Kazimierz ustąpi, zwłaszcza, iż pobożnym był zawsze a bogobojnym, przecież nic się nie zmieniło. Sędziwój Sadek powrócił do Krakowa, płacząc nad zatwardziałością króla.

Zbyszek kardynał, coraz więcej czując to, iż nie mógł złamać uporu Kazimierza, choć mu się w Prusiech nie wiodło i długa wojna zapowiadała, począł chorzeć, niedomagać i na siłach upadać. Już go nawet błaznowanie owo Kolka i Sroki nie zabawiało, zadumany siadywał, jakby nie słyszał, co się wkoło działo.

Jakby umyślnie, aby go rozdrażnić więcej, król naówczas żydom, którzy prosili o potwierdzenie dawnych swoich przywilejów, a jak mówiono znaczny za to podarek ofiarowali, wistocie dawne ich wolności na nowo przypieczętować kazał.

Znowu więc na niego urosła wrzawa i przepowiadano pomstę Bożą.

W wielkim poście, jak często był zwykł kardynał od zgielku dla nabożeństwa się usuwać, i w Sandomierzu cichszym czas jakiś na modlitwie spędzać, tak i teraz się tam wybrał. Brał ze sobą zwykle dwór niewielki, i jam spodziewał się, że mnie podróż ta ominie, o co Pana Boga prosiłem. Stało się inaczej.

Strwożyłem się wielce, gdy stary Doliwa, posławszy

po mnie, wyraźnie mi zwiastował, iż wola była kardynała samego, abym z nim do Sandomierza jechał.

Strach mnie ogarnął nie bez przyczyny, bo mi do seminaryum w Sandomierzu zapowiadaniem było. Jeśli więc wieziono mnie tam, myślałem sobie, to nie dla czego innego, tylko, aby zamknąć i do przyobleczenia sukienki zmusić. Ani chorobą, ani niczem w świecie od wyraźnego rozkazu takiego wymówić się nie było można.

Posłusznym być musiałem, alem sobie w duchu rzekł, że gdy do ostateczności przyjdzie, raczej ucieknę w świat, niż się dam zamknąć do niewoli.

Dokąd mogłem się schronić, nie wiedziałem sam. Do Wilna bodaj, na dwór króla, któryby mi może opieki swej nie odmówił? Zresztą świat był szeroki, a ja w węzélku miałem zaszytych na piersi owych dziesięć sztuk złota, które mi się wydawały skarbem tak wielkim, jakby na całe życie starczyć mogły.

Zaczynało puszczać, gdyśmy z Krakowa wyruszyli do Sandomierza, małemi dniami, po złych drogach, a jak to naówczas na najnniejszą rzecz zwracano uwagę, widząc w niej prognostyk jakiś, tak i przed tą podróżą dosyć nieszcześliwych wróżb było. Gdy kolebka biskupa z wrót podwórza wyciągała, padł jeden koń, a tylne koła o próg zawadziwszy, wstrzymały wóz tak, że ludzie go podnosić musieli. Dalej, czasu podróży wszyscy widzieli, że stado kruków po prawej ręce naszej leciało ciągle i jakby towarzyszyło pochodowi.

Kardynał w drodze milczący był i nie domagał. Przybyliśmy dniem później, niż naznaczono, do Sandomierza, bo w kolebce pasy się porwały, koło rozsypało.

Mnie, com nigdy tu nie bywał, miasta i okolicy nie znał i nie widział, wydał się Sandomierz niewymownie smutnym i pustym. Mało co wypocząwszy, poczęliśmy przygotowywać się do spowiedzi wielkanocnej, gdyż do palmowej niedzieli tydzień tylko pozostawał.

Więcej czasu schodziło na służbie Bożej, niż na posłudze około kardynała, który też niemal cały dzień spędzał w kościele. Zrana msza po mszy wychodziły do południa, potem śpiewanie pieśni i nieszpory do wieczora starczyły.

Ksiądz biskup, choć widocznie cierpiący, smutny, słaby nie uwalniał się od kościoła. Wstawał z rana do modlitwy i trwał na niej do nocy, przed niedzielą palmową jednak zaniemógł tak, że doktor powołany, w łóżku kazał mu pozostać. Siły go nagle opuszczały.

Do ostatniej chwili jednakże nie zaniedbał swych kapłańskich obowiązków. Msza się odprawiała w drugiej izbie tak, że jej z łóżka mógł słuchać. Posłano po synowców i brata, dano znać do Krakowa. Lekarz milczał, ale z twarzy jego wyczytać było można, iż się strwożył. Wiek sam a wielkie trudy, jakie podejmował ksiądz Zhyszek, siły wyczerpały.

Już się z łóżka nie ruszał, gdy Doliwa z rozkazu wyrażnego pana przyprowadził mnie do niego. Szedłem, jak na ścieżce. Odwrócił się ku mnie, popatrzył długo i odezwał się głosem zmienionym:

— Przywiozłem cię tu, abyś do szkoły duchownej wszedł i sukienkę wdział. Sierotą jesteś bez ojca i matki, bez rodziny, nie masz nic lepszego do uczynienia, a Bogu podziękować powinienes, że cię do siebie powołuje. Co na świecie lepszego spodziewać się możesz? W opiekę cię zdam ucz się i módl.

To mówiąc i ani słuchać chcąc, czym co miał odpowiedzieć, rękę podniósł, pobłogosławił i snać dał znak Doliwie, bo ten mnie natychmiast wziął pod pachę i uprowadził. Za progiem łoży mi się puścili dopiero.

Doliwa zaraz chciał mnie odprowadzić do regensa, ale po rękach go całując i prosząc, wyjednałem to, ażebym do Wielkiejnocy przy dworze pozostał, na co, choć niechętnie, wreszcie zezwolił.

Nie zostawało mi nic nad jedną ucieczkę i uczyniłem najmocniejsze postanowienie uchodzić.

Tymczasem przygotowywał się pogrzeb zmarłego Koniecpolskiego, ludzie i duchowieństwo byli nim zajęci, choroba kardynała niepokoiła też i zaprzętała. Mało na nas zwracano uwagi.

Opatrywałem i obmyślałem środki, jakby się wymknąć stąd niepotrzeżonym i ująć pogoni, którą niechybnie wysłać za mną musiano. Nie znałem ani ludzi, ani kra-

ju, anim nie miał najmniejszego doświadczenia. Bogu się potrzeba było polecić.

W niedzielę kwietnią kardynał zachorzał mocniej, okazało się jawne niebezpieczeństwo. W poniedziałek nie polepszyło się, owszem doktor znalazł, że zbliżała się ostatnia godzina.

We wtorek po kwietniej niedziel, gdyśmy w kościele byli i właśnie pasyę śpiewano, postrzegłem wchodzących kilku tych, co przy kardynale byli i z zakrysty krzyż i lichтары biorących szybko, a żywo coś między sobą szepczących.

W kościele, gdzieśmy stali, z ust do ust podawano sobie: kardynał nie żyje!

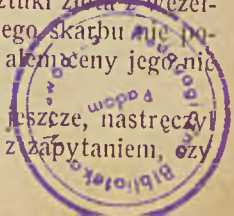
Gdym to usłyszał, zabrzmiało mi ono w uszach, jakby wyrok na mnie wydany. Nigdy się nie mogła nastęrczyć lepsza zręczność do ucieczki, gdyż wszyscy zajęci byli przygotowaniami do pogrzebu i wielkim żalem, jakby ogłuszeni, na mnie zważać nie mieli czasu.

Upadłszy przed wielkim ołtarzem na kolana i pomodliwszy się gorąco do Boga, a rozplakawszy nad losem moim, wymknąłem się z kościoła przez zakrystę i wprost szedłem do izby, którą nas trzech zajmowało razem.

Tu jedną opończę tylko na siebie zarzuciwszy, innej odzieży nie biorąc, bom się lękał obciążać, wśród zamieszania i gwaru, jaki powstał w podwórzu, bo się już ludzie cisnęli, posłyszawszy, że w dzwony pogrzebowe bity, wysunąłem się w ulicę i sam wcale nie wiedząc dokąd idę, na miasto się puściłem. Nieprędko ochłonałem tak, żem myśli mógł zebrać.

Ucieczka pieszo wydawała mi się trudniejszą jeszcze niż gdybym konia miał, ale do niego potrzeba było kulbaki, uzdy i rzędu jakiegoś, a potem karmić go też po drodze. Chętniebyłem był jedną lub dwie sztuki złota z wieszka gdzieś pokryjomu dobył, aby mojego skarbu nie pokazywać i ważyłbym na kupno konia, ale mieny jego nie znał i nie wiedział, gdzie go szukać.

Gdym tak pośpiesznie ulicą szedł jeszcze, nastęrczył mi się mieszczanin, człek letni o kiju, zapytaniem, czy nie z zamku idę.



Odpowiedziałem potakująco.

— Prawda to, że kardynał umarł?—zawołał, przystępując do mnie.

Błysnęła mi myśl jakaś i odpowiedziałem prędko:

— Tak jest, a jam właśnie z tą wiadomością posłany do Krakowa, ale konia ani podwozy mi nie dali i szukać ich muszę. Za podwoję najętą bym zapłacił, ano mi jej śpieszno bardzo potrzeba.

Zawrócił się skinąwszy na mnie stary i rzekł:

— Chodźcie za mną.

Tak na kłamstwo się odważywszy, dalej już w niem biegałem, nie zważając na to, że choćbym podwoję do Krakowa dostał, na gościńcu wielkim łatwo mnie ułapić mogą. Ale mi się w głupiej głowie przewracało.

Mieszczanin w drugą uliczkę zawróciwszy, do dworka mnie zaprowadził, głośno wołając w podwórzu:

— Kulas! Kulas!

Ze stajni wyszedł na głos ten człek mały, z głową ostrzyżoną krótko, nakuliwając na jedną nogę. Twarz miał plamistą, niedobłą, oczy niespokojne i wargę obwisłą, która go straszliwie brzydkim czyniła.

Począł mu mój mieszczanin o podwodzie prawić, a jam jedno tylko powtarzał. Składałem się tem, że o śmierci biskupa potrzeba było zaraz dać znać.

Kulas tymczasem konie swe chwalił i powiadał, że niemi bez popasu gotów po najgorszej drodze pięć mil robić.

— Na gościńcu—dodał—puściło do gruntu, alem nie głupi nim jechać. Ruszymy małemi drożynami, które ja znam, gdzie jeszcze zamróz trzyma i droga trwała. Ani się opatrzyć, gdy w Krakowie lotem staniemy.

Przyszło do targu, a jam wcale ceny pieniędzy i podwozy nie znał. Spróbowałem tylko cenę zniżyć. Wdał się mój mieszczanin jako pośrednik, zgodziłem się na to, co postanowił, alem wnet zaprzęgać kazał.

Miałem groszy kilka białych, które dałem w zadatku. Wóz zaraz wyciągnięto i smarować go wziął się Kulas, a ja pod pozorem, że nocnem czuwaniem strudzony był, sia-

na sobie nasławszy, rzuciłem się na wóz, opończą nakryłem i... czekałem już, co Bóg da.

Kulas mój, wnet parę koni wyprowadził, a mało poczekawszy, ruszyliśmy.

Gdy się znalazł w polu, na gościńcu, sam jeden, na łasce Bożej, nie wiedziałem, czy się radować, trwożyć czy rozpaczać.

Kulas popędzał; mnie, choć leżałem, sen wcale nie brał. W początku wozy, ludzie konni, pomijali nas, a że w głowie miał pogoń i strach okrutny, przypadałem na wóz, aby mnie jak najmniej widać było.

Strach to był próżny, gdyż, jakem się później dowiedział, nie opatrzone się o mojej ucieczce, aż późno w noc, gdy się skończyło nabożeństwo i wieczerza postna, do której mnie nie stało.

A nawet gdy hukano, wołano i szukano mnie napróżno, sądzono, że się gdzie w miasteczku obłąkał wybiegłszy, nie przypuszczając nawet, bym mógł uciekać. Jeden Doliwa, jak mi mówiono, głową potrząsał znacząco, ale jak gdyby nie miał ochoty zbytniej ścigać mnie, nie mówił nic.

Kulas tymczasem wioził mnie ku Krakowu bocznemi drogami; pierwsze trzy mile konie szły dosyć rażno, ale ujechawszy je, popasać musieliśmy już, a dalej, choć wóz nica krzyczał, poganiał, wiele obiecywał, wlekliśmy się bardzo powoli.

Obwiniął o to drogę i porę, bo według niego konie były zawsze najslabsze na wiosnę, przez to, że leniały, a i ludzie też słabli w tych miesiącach, dla czego im krew puszczano. Jechał powoli, ale zato mówił dużo, i gdybym był słuchał, wielebym mógł się nauczyć od niego, alem w głowie co innego miał.

Słowo się rzekło—do Krakowa, a dopiero teraz rozmyślanie przyszło: gdzie ja się tam podzięję, co z sobą pocznę, jak się ukryję, kto mnie przyjmie? Jakiś głos wewnętrzny naówczas szepnął mi, że bym się na dwór królewski i pod opiekę pańską udał. Jeśli nie sam, przez Gajdysa mogłem się przypomnieć, a gotówem był bodaj w stajniach przy-koniach królowi służyć, niż gwałtem klerykiem zostać,

coby mi wszelką nadzieję znalezienia rodziców odjęło.

Wiedziałem dobrze, iż suknię duchowną wdziawszy, posłuszeństwo ślubowawszy, już panem siebie być nie mogłem. Wreszcie, dlaczego to uczynił, co mnie popychało, sam pono wów czas dobrze nie wiedziałem. Zrządzenie to było Opatrzności i losu mego!

Com się nasluchał opowiadań przeróżnych Kulasa, bo mu się gęb a nie zamykała, tego nie spałem dziś, a no wiem, że śmiertelnie mi się długą wydawała droga, z temi końmi, co tak miały być nieznurzone, a potem co chwila dla nich stawać było potrzeba, to żeby coś naprawić, to poić, to wytchnąć, to nakarmić, to, by jakąś wątpliwość w uprząży wyrozumieć.

Naostatku ukazał się, Bogu niech będą najwyższemu dzięki, Kraków, a jam ręce do modlitwy złożył. Zdawało mi się, że już ocalony.

Kulas zajechał do gospody na Kleparzu, gdzie zwykle stawał i tu go opłacić przyszło, a z owej sztuki złota, którą osobno miałem przygotowaną mało co zostało.

Przybyliśmy późno wieczorem tak, że wątpliwem było, czy na zamku nie zastanę bram zamkniętych; przenocowałem więc na wozie w gospodzie, a jak dzień, nimby się ruch począł w mieście, wyszedłem, postanowiwszy wprost udać się na zamek do Gajdysa.

W ulicach jeszcze ledwie się zaczynało ożywiać, gdym bramy przeszedłszy, naprzód do kościoła wstąpił, aby Bogu podziękować i prosić go o opiekę.

Wiedziałem, że zwykle o tej porze księża i wikaryusze, którzy na zamku nie mieszkali, udawali się na nabożństwo, musiałem pilno się oglądać, aby który z nich mnie nie zobaczył i zawczasu nie wydał. Udało się szczęśliwie wrota przebyć i wprost podążyłem ku stajniom, ale z sercem bijącym, bo nie był pewien, czy Gajdysa tam znajdzie.

Znali mnie już tam niektórzy woźnice i od nich się dowiedziałem, że wprawdzie Gajdys był na miejscu, ale od wielu już dni leżał chory i źle o nim wrócono. Wska-

zano mi izbę małą, ciemną, gdzie na sianie stękał, wojłoka mi obwinęty biedaczysko wybladły i wynędzniały.

Poznawszy mnie, z radością wielką się poruszył. Naówczas gdy na twarz mu światło od drzwi padło, przestraszyłem się, zobaczywszy tak zmienionym, że ledwie go poznałem. Żółty był, jak воск, skóra mu się pomarszczyła i oczy tylko strasznie połyskiwały. Nie dając mi mówić, począł, jak w gorączce prawić, jak był nieszczęśliwy, że mu to przyszło między obcymi chorzeć, a może i umierać. Płakał za Litwą swoją i Wilnem, za dworkiem, a tu mu wszystko wydawało się złe: powietrze, chleb, woda, ludzie! Mówił, że gdyby tylko mógł tam powrócić, napewno by wyzdrowiał.

Nieruchło mi pozwolił przyjść do słowa i z kolei opowiedzieć, co się ze mną stało. Przestraszył się bardzo i załamał ręce. Wstać i do króla iść prosić za mną nie mógł ani myśleć, bo się na nogach nie trzymał, użyć kogo za pośrednika powiadał, że nie było można, że on sam musiał mówić o tem z panem.

— Trzeba czekać—dokończył, wzdychając.—Jeżeli Bóg da, że on tu zajrzy do koni i stajen, bo codzień chodzi do psów swoich, może się zwłokę do drzwi. Tymczasem siedź tu i czekaj, rady innej niema.

Zostałem więc na usłudze przy chorym i w jego izbie sobie kul słomy położyłem, na co nikt nie zważał. Gajdysowi przy jakim takim dozorze, gdy było komu przynieść wody, ciepłej strawy, posłanie poprawić, okryć go ciepło, zrobiło się lepiej. I to pewnie pomogło, że miał z kim mówić o Litwie, bo teraz tylko o niej myślał, a Boga prosił, żeby tu nie umierać.

Po mojej podróży i strachu, jakiego doznałem, dwa dni leżałem u Gajdysa, jak kłoda, gdy on mnie nie potrzebował.

Króla widać jakoś nie było. Chodził wistocie na myśliwskie swe ogary patrzeć, bo te bardzo lubił, a do naszych stajni nie wstępował. Sądziłem już, że mi przyjdzie ważyć się samemu zastąpić mu drogę, paść do nóg i prosić, aby wziął mnie w swoją opiekę, aż czwartego dnia, Gajdys, który głos jego dobrze znał, posłyszawszy, zerwał się

i ku drzwiom pobiegł w samą chwilę, gdy król przechodził.

Zobaczywszy go tak okropnie wymizеровanym, król stanął. Gajdys się powłókł ku niemu i ostatkiem sił począł coś szybko mówić, do kolan się schylając. Pocziwy człek prosił tak za mną. Z za drzwi uważałem, jak Kazimierz się zarumienił mocno, zadumał, poruszył ramionami, stał jakby niepewny, co postanowi. Naostatek ręką zamachnął.

— Gdzie on jest?—spytał.

Gajdys zawołał mnie. Przybiegłem, płacząc do nóg jego. Nie dał mi mówić twarz przybrała wyraz surowy.

— Chodź za mną!—rzekł krótko.

Wprost od stajen odszedłszy ku zamkowi, król skinął na stojące pacholę w barwie.

— Burczaka mi tu daj!—zawołał.

Staliśmy w pośrodku podwórca, król, oglądając się dokoła obojętnie, ja za nim.

Z zamku wybiegł z siwą głową mężczyzna, starszy nad pokojowymi króla, Burczak, z twarzą czerwoną, która od włosów posrebrzonych odbijała dziwnie.

Wskazał mu król na mnie.

— Weźmiesz to chłopię—rzekł—do moich pacholąt, pod szczególną opiekę. Sierota jest, którego ojciec mi niegdy służył!

Burczak się skłonił.

— Nie daj mu krzywdy czynić—dodał król—pamiętaj.

Burczak spytał nawpół mnie, wpół jakby woli królewskiej, pod jakim imieniem ma mnie zapisać. Odwrócił się pan do mnie.

— Jaszkiem mnie zwano—zamruczałem,—więcej nie wiem.

Na tem się skończyło, bo król już, jakby mu tego dosyć było, odwrócił się, a Burczak mnie z sobą ciągnął. Do rejestru mnie wpisali, nadając imię Orfana, co miało znaczyć sierotę.

Jakie były początki mej służby dworskiej opisywać nie warto. Wszędzie człowiek, nim się z nim oswoją, i nim się on z ludźmi obędzie, musi przebyć wiele; tak też było

i ze mną. Chłopcy w usługach króla, którzy tu już dawniej byli we dworze, obyczaj znali, kazali mi się wkupić różnemi posługami we względy swoje. Z początku nawet szło ciężko, aż gdy Burczak za mną się parę razy ujął, a i król dobre słowo rzucił, powoli się poprawiło.

Z królem, a czasem za królową młodą chodziliśmy do kościoła, gdzie mnie poznali klerycy i księża z biskupiego dworu. Moja ucieczka była już głośną, ale gdy się okazało, że m do dworu został przyjęty, nie dochodzono, jak się to dokonało. Obawiać się nie było już czego. Kardynał nie żył, nikomu jak mi się zdawało, nie szło o to, czem ja będę i gdzie się pomieszcze. Roić więc sobie mogłem, że się dostanę choć za giermka później pomiędzy rycerstwo, do którego naówczas serce mnie ciągnęło.

Zdawało mi się, iż ze śmiercią kardynała skończy się ta wojna, którą on prowadził przeciw królowi, ale duch jego, który tak długo przewodził kościołowi, przeżył go. Tęczyńscy, Melsztyńscy i wielu z panów, wielu prałatów i kanoników tak samo się stawili opornie, nieufnie i zacięcie, jak za życia biskupa Zbyszka. Oleśnicy, rodzina jego połączona z nimi węzły mnogimi, przejednać się nie chcieli.

Król tak samo jak w Gnieźnie i Przemyśle na biskupów zalecił wybierać po swojej myśli, po śmierci kardynała też do krakowskiej kapituły słał, aby Strzępińskiego obwołała. Stało się tak, ale na tym Kazimierz się zawiódł.

Gdyby i śmielszy od niego po kardynale wziął krakowskie biskupstwo, byłoby mu je dźwigać ciężko. Kapituła była Zbyszkowska, w niej opór już się narowem stał. Biskup nowych dróg sobie torować nie mógł. Dlatego później trochę, gdy król od wszystkich kościołów zażądał sreber na wojnę przeciwko Prusakom, Strzępiński choćby je może był rad dał, jak inni, oprzeć się musiał, stanął twardo i wydania sreber odmówił.

Samo zaś to żądanie królewskie, aby duchowieństwo i kościoły przyczyniły się do obrony kraju, nowych mu tylko nieprzyjaciół przyczyniło. Poszło już we zwyczaj wszystko na króla zwać, obwiniać go o każdą klęskę i co się złego stało, przypisywać jemu.

Po śmierci kardynała, gdy dzwon, zwany Zbyszkciem, urwał się i spadł, zaraz to wzięto za wróżbę pomsty Bożej, a gdy potem ów pożar, co się począł z domu płatnerza Tomasza w popiół obrócił ulicę Grodzką i Kanonną, kościoły śś. Piotra, Jędrzeja, Marcina i Magdaleny, kolegium jurystów i z górą sto domostw, powiadano, iż król był temu winien, bo żydom nadał przywileje.

Czasu tego pożaru mieliśmy i my na zamku strach niemały, bo gorzało silnie, a wichler niósł na zamek pozrywane kawałki dachów, i pilności trzeba było wielkiej, aby uchronić drewniane budynki, od którychby się i inne zajęły.

Trudno to spisać i opowiedzieć, na co się owych czasów patrzyło i jak wiele młody król miał do przeniesienia, a z jaką mocą ducha i cierpliwością wszystko pokonywał, nigdy się nie skarżąc. Miał przy sobie małą gromadkę wiernych, która szła posłuszna mu, gdzie wskazał, ale przeciwko sobie możnych panów, rycerstwa i duchownych daleko więcej.

Podporą i pociechą dłań była właśnie ta pani, o której czasu wesela głoszone, że król jej nie podobał sobie i narzekał, iż mu ją wyswatano. Trzeba było na nią patrzeć, jak ona umiała, nie rozdrażniając go, nie jątrząc ku nikomu, pocieszać, rozweselać, odwagi dodawać i jaki na umysł jego wpływ wywierała.

Gdyśmy z królem podróżowali nieraz, jeździli na zgromadzenia szlachty do Piotrkowa, do Brześcia, na Litwę, a napojono go żółcią i octem, aż litość brała, dopiero, gdy się z królową połączyli i ona mu otuchy dodała swem męstwem, odzyskiwał weselsze usposobienie. Pani była uczeńsza może, niż niejeden kleryk, księgi czytała chętnie, z ludźmi mądrymi rozmawiać lubiła, a miała dar taki ujęcia sobie wszystkich, iż jej nikt nie był nieprzyjacielem. Do spraw krajowych nie mieszała się wcale na pozór, nie mówiła o nich, choć pono więcej ważyło jej milczenie niż starej królowej matki namowy i prośby.

Ta bowiem pokoju synowi nie dawała, gorąco wszystko biorąc do serca, plotki wszelkie zbierając, podejrzewając ludzi, budząc trwogi, nakłaniając to do zgody, to do po-

msty. Umysł miała taki i krew gorącą, która jej nigdy nie dawała spocząć. A ponieważ swojego czasu wiele czyniła i nawet kardynała umiała nakłonić na swą stronę, zdawało się jej, iż i teraz powinna królowi przewodzić. Szanowała ją Kazimierz i słuchał gdy mógł, ale był człowiek taki, którego przeciw jego przekonaniu nikt nie popchnął. Zmilićzał a swoje zrobił.

Zręczniejsza daleko młoda królowa, wiedziała co można i trzeba, a że kochała męża, myśli też jego podzielała.

Król jednego dnia nie spróżnował nigdy, a jeśli miał spocząć jechał zaraz na łowy, bo je bardzo lubił. Najmilszem mu było, gdy się mógł na Litwę dostać, ale go stamtąd zaraz zazdrośni Polacy odwoływali. Wrywano go sobie, bo Litwa już oskarżała, że nadto Polsce się oddawał, a tu znajdowano, że za mało.

W tym roku po zjeździe w Korczynie, gdyśmy z królem i z królową na Litwę jechali, przyszła wiadomość, że na Węgrzech zmarł pobożny Jan Kapistran, po którym żał był wielki, i zaraz go świętym okrzyknęto.

W Krakowie rzucono na króla potwarz nową za sprawę, do której on się nie mieszał wcale. Mikołaj z Turska, który się zwał scholastykiem krakowskim, z bratem swym stryjecznym, Mikołajem z Gnojnik, też kanonikiem, zadarli się z kupcami tutejszymi. Mieszczanie im dowodzili, że sobie potajemnie aksamit i pieniądze jakieś przywłaszczyli. Sprawa się stała głośną; mieszczanie, wiedząc może, iż król z duchownymi w wojnie był, więcej sobie pozwalali, niż kiedy. To być może! Odgrazano się na duchownych tych, a zamiast się udać z nimi do sądu duchownego, postanowiono obu obwinionych ułapić.

Oba Mikołajowie ci, w klasztorze św. Franciszka przebywający, zasłyszawszy o tem, uciekli. Poczęto ich szukać śledzić i 14 lutego w poniedziałek ujawszy w kryjówce, publicznie na ratusz zaprowadzono.

Zuchwali sędziowie na stan i suknię nie zważając, wnet na męki ich dali, aż się do pieniędzy i aksamitów przywłaszczonych przyznali.

Dowiedziała się kapituła, gwałt uczyniono ogromny, aby ich odzyskać. Króla w mieście nie było.

Mieszczanie ani słuchać chcieli posłańców kapituły. Zbyli ich ni tem ni owem. Ani się śniło nikomu, ażeby się ważono karę domierzyć. Tymczasem, gdy kapituła woła i protestuje, rajcy nazajutrz rano do bramy Floryańskiej wyprowadzić kazali obu i mistrzowi ich ściąć, a tamże w miejscu pogrzebać.

Nigdy tak zburzonego miasta nie widział, jak tego dnia, gdy się to dokonało. Zuchwalstwo mieszczan było bezprzykładne, zmyślono więc, że król sam rozkazał ściąć winowajców, choć się on do tej sprawy nie mieszał, a mieszczanie się tak zawinęli żywo, że czasu nie było coś począć. Nikt też nie przypuszczał, ażeby się na to wazyli.

Zaledwie się to stało, pod wieczór już biskup kazał zamknąć wszystkie kościoły na mieście, popieczętować, dzwony umilkły, nabożeństwa ustały. Na rajców, ławników i mieszczan rzucono klątwę.

Dopiero się oni pomiarkowali, ochłódłszy, iż popełnili przestępstwo wielkie i że duchowieństwo przebłagać należało. Osobliwie niewiasty nabożne, chorzy, do których spowiednika nie można było uprosić, ani chrztu, ani wesela, ani na śmierć wiatyku, poczęli lamentować. Miasto przybrało żałobną postać.

Gdy król potem powrócił, a rajcy szli do niego z prośbą, aby się przyczynił za nimi, rzekł im krótko:

— Samiście piwa tego nawarzyli, musicie go wypić. Ja, jakom o tem nie wiedział wcale, tak i wiedzieć nie chcę! Wiem, iż mnie też oskarżają o współnictwo z wami, nie chcę, aby się ta potwarz potwierdziła.

Musieli więc mieszczanie sami do biskupa iść, ale ten z nimi mówić nie chciał. Dopiero nierychło w poście, gdy rajcy zjednali sobie panów i króla, a duchownych ujęli i skrucę okazali, interdykt zdjęto i kościoły otworzono. Dnia tego, choć w poście, radość była wielka i świątynie wszystkie ludem się przepelniły.

Pod koniec roku jechaliśmy na Litwę z królem i kró-

lową, już po narodzinach pierwszego syna Kazimierzowego, z którego przyjścia na świat radość była wielka.

Piękniejszego dziecięcia, jak powiadali wszyscy, oczy ludzkie nie oglądały, a gwiazdciarze, którzy zaraz wróżyli z tego, w jakim się znaku i koniunkturach narodził, powiadali, że miał panować szczęśliwie nad wielu krajami, co się po części sprawdziło. Dano mu imię Władysław, tak dla dziada, jak dla brata.

Odprowadziliśmy na Litwę króla, a gdy do Gdańska miał jechać, nas, dwór swój większy, nazad do Krakowa wyprawił.

Jam był tak szczęśliwy, że uzdrowionego Gajdysa odwiózł i znowu ten dworek zobaczył, w którym mi moje dzieciństwo upłynęło, tak mi ono żywo przed oczyma stało, i ta matka, która mnie tu dzieckiem do łona swego przyciskała, iż z Gajdysem mało nie codzień mówiłem o niej, twierdząc, iż jeśli jest żywą, nie mogła się tej miłości dla dziecka swego wyrzec i upomni się o mnie pewno.

Pamiętam, że stary naówczas głową potrząsając, odpowiedział mi:

— Zawiedziesz się na tem... Nic ja nie wiem, ale jeśli żywą jest, więcej się ona dziś może lęka ciebie i radaby pozbyć, niż myśli miłować... Ale ty tego rozumieć nie możesz... Tyle ci powiem, abyś jej nigdy nie szukał i o nią nie pytał... Nawet macierzyńska miłość może się zmienić w nienawiść.

Nie czując się winnym w niczem, zakrzyknąłem, iż to być nie może, a nie przeczuwałem tego, co mnie wkrótce miało czekać i spotkać.

Tu ze smutkiem i boleścią przychodzi mi przystąpić do opowiadania terminu życia mojego, który gdyby nie był prawdziwym, wydałby się mnie samemu do prawdy niepodobnym. Wszystko to jednak, co mam spisać o owych czasach, nietylko zmyślonem nie jest, ale w pamięci mej słabiej się dziś maluje, niż było.

Z Wilna część dworu odprawiwszy, król nas też pachołat kilka wysłał z Burczakiem. Pilno nam w powrocie nie było, więc małemi dniami ciągnęliśmy, niekiedy

przystając i odpoczywając. A że Burczak wcale dla nas surowym nie był, nam zaś w głowach młodych szalało, całą więc drogę tak przebyliśmy wesoło, ochoczo przy porze pięknej, że rozkosz była o niej wspomnieć, a gdyśmy się ku Krakowu zbliżyli, niemal się serce ścisnęło.

Na zamku znaleźliśmy pustki wielkie, robić też nie było co, mogliśmy się zabawić w podwórcach, uganiając, dziuryty rzucając, z łuku strzelając, koni próbując, a swawole młode wyprawiając.

Burczak podczas i na miasto nas puszczał, z tem tylko, abyśmy powracali, nim wrota zaprą, z czego ja korzystałem, znajomych moich odwiedzając, czasem do ks. Jana zachodząc, bom go, jak ojca, miłowałem.

Dnia jednego, gdym powracał już na zamek pod wieczór, patrząc naprzeciw mnie kroczy Sliziak, którego dla niedźwiedziego zarostu byłbym w piekle poznał, a wstręt miałem do niego. Byłbym go rad uniknął i minął, ale zobaczywszy mnie, drogę zaparł.

— Jam was już na zamku szukał! — odezwał się, witając mnie i przypatrując mi.

— Dziękuję wam za to — rzekłem wesoło — jeżeliście się chcieli dowiedzieć, jak mi się powodzi, pochwalić się wam mogę, że Bogu dzięki do najlepszego pana się na dwór dostałem i mam trochę łaski u niego.

Jeszcze nie dokończyłem opowiadania, gdy na zamku otrąbywać zaczęto zamykanie wrót; pożegnawszy go więc, pobiegłem co żywo.

Nazajutrz Sliziak na zamek się przywłókł do mnie jakoś pod wieczór. Zasiedział się, zagadał i gdy już mrok padał, namawiać mnie począł, abym go do gospody odprowadził i wina się z nim osłodzonego napili.

Tak natrętnym był i nalegającym, że mi się wkońcu zgodził na to, nie zważając na późną godzinę. Zeszliśmy na miasto do jakiejś gospody aż na Kleparzu, do której przybywszy, to tylko dostrzegłem, iż wóz kryty jeden stał zaprzężony, a konie posiodłane, jakby Sliziak się wybierał pod noc w drogę.

Weszliśmy do izby, gdzie nam wina zasłodzonego wistocie podano we dwu kubkach. Choć słodczyć czulem

w nim, ale z jakimś smakiem takim zmieszaną, że mi nie szło przez gardło. Sliziak pił i koniecznie mnie zmuszał. Wychyliłem prędko kubek mój, nalał mi drugi, próżnom się wypraszał.

Jeszcze go nie dokończyłem, gdy poczułem w głowie zawrót jakiś i senność, aż mi się wstyd zrobiło. Czoło pocierałem rękami, oczy otwierałem siłą, kleiły mi się dziwnie. Wkońcu straciłem przytomność zupełnie i anim już wiedział, co się ze mną działo. Kamiennym jakimś snem usnąłem.

Gdy mi znowu zmysły powracać zaczęły, dziwnem mi się to wydało, że mój, iż leżę, a że leżę ze mną na różne strony się przewala i waży. Z trudnością powieki nieco otworzyłem. Ciemność panowała dokoła. Chciałem ręce podnieść i uczułem, że były mocno skrępowane.

Strach nadzwyczajny mnie ogarnął, nie wiedziałem, co się dzieje ze mną, ani gdzie jestem. Nie mogłem przypomnieć sobie, jak się tu dostałem. Powoli do przytomności powracając, dorozumiewałem się, że mnie wieziono skrępowanego na wozie, a i usta miałem zawiązane tak, abym oddychać tylko mógł, nie krzycząc.

Wóz zewsząd szczelnie zamknięty nie dopuszczał widzieć nic... przy mnie nie było nikogo. Słyszałem tylko tętent kilku koni, które zdawały się iść tuż, dokoła otaczając kolebkę.

Przypomniałem sobie okrutny ból głowy, czując coraz mocniej, jak mnie niepocziwy ten Sliziak ściągnął z zamku do swej gospody i winem poił.

Co ze mną potem uczynił i dlaczego związał i wiozł... tego pojąć nie mogłem. Byłem pewnym, że na śmierć mnie wieziono, aby się pozbyć... i przyszły na myśl przepowiednie starych Gajdysów.

Na odwadze i sile mi nie zbywało, aby się ratować, lecz popróbowawszy więzy targać, przekonałem się, iż tego nie dokażę. Byłbym je może zębami rozgryźć się starał, ale usta miałem zawiązane.

Krzyknąć chciałem, ale chusta głos mój tłumila.

Jak dawno wywieziono mnie z Krakowa i jak długo podróż ta trwała — wyobrażenia nie miałem. Przez

skóry, które wóz zewsząd osłaniały, przeciskało się bledsze, jakby wieczorne albo ranne światelko dnia. Głowę miałem rozbolełą i ciężką, ale sen już mnie nie brał, a łzy się z oczów lały.

Po jakimś czasie wóz stanął, rozsunęły się skóry nieco, doszło mnie powietrze świeże i głowa w żelaznym hełmie pochyliła się nade mną. Nie był to Sliziak, ale człek nieznan mi zupełnie. Zobaczywszy, że oczy mam otwarte i twarz od krwi nabrzęklą, pogroził mi naprzód zmarszczywszy brwi, a potem chustę mi od ust odjął.

— Milczeć! — rzekł groźnie — a nie, to cię ubiję!

Zawołałem, prosząc wody, ale głos miałem tak słaby, że ledwie dosłyszał. Zasunął skóry znowu, powtórzywszy mi, abym milczał i poszedł. Wkrótce powrócił z kubkiem wody i napił mnie, nie rozwiązując... Zacząłem jęczeć i narzekać... kazał milczeć. Ułitowawszy się jednak, na rękach mi cokolwiek sznurków popuścił.

Wóz stał, snać konie popasały. Zdało mi się, że nad ranem być musiało. Ludzi kilku krzątało się dokoła, słyszałem rzenie koni.

Po jakimś czasie ten sam, który mi wodę podawał, wrócił... zajrzał znowu do mnie i spytał, czy jeść nie chciałem. Nie myślałem wcale o jedzeniu, czułem się chory i znękany, nie pojmując, co się stało ze mną i co mnie czekało.

Zacząłem go pytać... ale wnet mi usta zamknął, nakazując milczeć i grożąc.

Po krótkim wypoczynku usłyszałem, jak zaprzęgano znowu konie i wóz ruszył. Jechaliśmy tak cały dzień następujący, a ja ze zmęczenia, strachu i smutku uczułem się tak chorym, że pod wieczór stracił przytomność. Przypominam sobie tylko, że ludzie się około mnie krzątali, rozwiązali, położyli wygodniej, mówili coś do mnie, poili wodą, podnosili głowę, która straszliwie bolała, a wkońcu jeden z nich na wóz siadłszy, trzymać mnie musiał, bo mi się w gorączce rzucał i wyrwał.

Jak przez sen widziałem nieznane twarze wąsate, ludzi jakichś... potem ciemności tylko i boleści pamiętam wielkie.

Gdy przytomność odzyskiwać poczynił i otworzywszy oczy, mógł rozpoznać, co się ze mną działo, znalazłem się na łóżku w małej izbie sklepionej. Stara kobieta z kądzielą w ręku, przedząc i drzemiąc, siedziała nade mną.

Izba, w której się znajdowałem, dosyć czysta, otoczona ławami, w ścianach murowanych miała mnóstwo szaf i półek. Przy łóżku mojem był stół, a na nim miski, kubki i garnuszki. Naprzeciw spostrzegłem kilka wschodów, idących w górę ku drzwiom wysoko w mur wpuszczonym. Jedno okno zakratowane wysoko wpuszczało światło.

Dokoła cisza była grobowa, tylko wrzeciono w rękach staruszki, siedzącej przy mnie, chwilami warczało.

Zwolna zaczęło mi się w głowie wyjaśniać, przypomniało coś... porwanie, podróż Kraków! Westchnąłem mocno.

Natychmiast baba siedząca przy mnie odstawiła kądziel, wzięła kubek i chciała mnie poić... ale odepchnąłem napój.

Schylona przypatrywała mi się długo, mruczając coś. Po chwili zapytała, czy głodu nie czułem. Ja sam jeszcze nie wiedziałem w tem przebudzeniu do życia czego mi było potrzeba.

Zacząłem od pytania — gdzie byłem, co się ze mną działo, bo to najpilniejszym było. Nie dała mi mówić nic, a odpowiadać wcale nie chciała. Z kolei podawała kubek, przyniosła z komina w kącie miskę z polewką mięsną i chleb, pokazując mi je... a widząc, że nie chcę nic, siadła spokojnie prząść, nie spuszczając mnie z oczu.

Po krótkim namyśle jednak, postawiwszy kądziel, wdrapała się na wschodki ku drzwiom i wyszła, zamykając je za sobą. Zostawszy sam, śmieiej się zacząłem rozpatrywać po izbie, spróbowałem się podnieść nieco, ale był tak osłabły i zboleły, że zaraz nazad na łóżko opadłem.

Baba po jakimś czasie wróciła kusić mnie znowu jedzeniem tak, że nareszcie polewki się napiłem trochę co mnie pokrzepiło; ale potem sen przypadł znowu, i nie wiem, jak długo spałem.

Zdawało mi się, że czasu tego snu szeptano nadę mną i pochylano się, ale nie przebudzić się nie mogłem.

Nieruchło dopiero otworzyłem oczy, czując się silniejszym nieco i głodnym. Stara baba owinięta w płachtę opodał siedząc, spała w kącie, a przy niej stał garnek z łyżką. Przez okno otwarte wchodziło świeże powietrze i wesoły promień słońca. Za nim słyszałem świergotanie ptaszków.

Podniosłem się na łóżku. Wtem i stara się przebudziła, oczy przetarła, a zobaczywszy mnie siedzącym, przyszła pośpiesznie. Nie opierałem się już teraz jedzeniu i przyjąłem miszkę mi podaną z polewką i trochę mięsa. Chleb też mi smakował.

Stara pogłaskała mnie po głowie, wskazała, ażebym leżał, i na kilka moich pytań tylko niezrozumiałem odpowiedziała mručeniem.

Sily mi teraz, jakby cudem, powracały, ale straszny niepokój i nieświadomość mojego losu dręczyła.

Ani dnia tego, ani następnego, oprócz starej, co mnie pilnowała, nikt nie przychodził. Od baby nie się dopytać nie było można. Służyła, karmiła, poila, pilnowała, ale na pytania odwracała głowę i niecierpliwie nakazywała milczenie.

Po tych dniach zapragnąłem wstać z łóżka. Baba się nie sprzeciwiała, sama zaś wyszła precz i słyszałem, jak drzwi za sobą na zamek spuściła.

Przyodziałem się pośpiesznie, chcąc wyrzeć, aby zmiarkować, gdzie się znajdowałem... okno jednak tak było wysoko, że do niego się dostać nie mogłem. Izba choć nie tak była nędzną, jak w więzieniu, ale czyniła mi wrazenie więzienne.

Za co mnie tu zamknięto, jak to długo trwać miało? Bóg jeden wiedział. Siadłem płakać na wschodkach do drzwi zamkniętych wiodących, gdy te się otworzyły i w nich pokazał się Sliziak.

Wstałem, wpuszczając go i rzuciłem się nań, wybuchnąwszy płaczem.

— Coś ty zrobił ze mną? za coś ty mnie niewolnikiem uczynił? Co ja ci winienem?

We wzburzeniu tem począłem mu nawet grozić.

— Ty nie wiesz, że sam król się mną opiekował, że miał u niego łaskę wielką. Szukać będą za mną i nie ujdiesz bezkarnie.

Sliziak moich wymówek słuchał zupełnie spokojnie.

— Hm — rzekł — tyś sobie sam tego nawarzył, ty sam. Więcej ci nie powiem, bo to do mnie nie należy. Sługą jestem, robię, co mi kazano. Nie burz się nadaremnie i nie zrywaj, bo to nic nie pomoże. Siedzieć tu musisz, taka twoja dola.

A po chwili dodał szyderczo, jakby nawpół sam do siebie.

— Kto to wie? Może dlatego właśnie, że król na ciebie łaskaw, spotkała się ta niewola. A no... siedz i nie rwij się darmo, bo wyjść nie możesz. Mury grube.

Zacząłem płakać, rzuciwszy się na ławę. Nic to nie pomogło. Sliziak obojętnie patrzył i powtarzał:

— Głupi!

Wyszedł wkońcu, ale za sobą drzwi nie zasunął. Zmiarkowawszy to, zaledwie miał się czas oddalić, rzuciłem się ku nim. Otworzyły się. Za niemi był korytarz półciemny, z małemi okienkami, jak strzelnice, a obok izby, w której ja siedziałem, dwie do mojej podobne. Z korytarza wyjście znalazłem zaryglowane i to mi wytłumaczyło, dlaczego drzwi moich Sliziak na klucz nie spuścił.

Z tych izb sklepionych, jak moja, jedna leżała wyżej, druga niżej. W pośrodku znajdowała się ta, w której mnie osadzono. Z wyższej, pustej, że okno w niej niższe było, wychyliwszy się, mogłem zobaczyć cokolwiek. Mur był z kamieni i cegły bardzo wysoki, spadający w głąb zarosłą krzakami, między którymi przeblyskiwała woda. Głębina ta ciągnęła się szeroko a naprzeciw widać było brzeg kamienisty, odarty, nagi, drzewami góry jakiejś zarosłej. W prawo i w lewo mur tego zamku, gdyż poznałem, że to było zameczysko wielkie... rozciągał się daleko, a potem zaginął i na rogu sterczała jakby wieżyca, której tylko stopy mogłem dojrzeć.

Pod oknem, jak przepaść czarna, wydawał się ów

przekop, w którym mruczenie płynącej wśród krzaków rzeczki dosłyszeć było można. Na brzegu przeciwnym las gęsty, piękny, stary nie ukazywał ani śladu ludzkiej stopy. Puszcza jakaś była dzika. Gdym oknem wydobywszy głowę, przysłuchiwałem się, czy na tym zamku nie pochwycę jakiego głosu, znaku życia, ruchu... oprócz szneru rzeczulki w dole, nic nie mogłem usłyszeć. Głuche, straszne milczenie panowało dokoła.

Ponieważ z mojej izby do okna nie było przystępu, a tu przynajmniej choć drzewa mogłem widzieć i kawałek nieba, nie chciało mi się oderwać od tego widoku.

Tu mnie zwieszonemu w oknie otwartem zastała baba i gwałtem do izby pierwszej odprowadziła, choć prosiłem się jej, abym tu mógł pozostać.

Ten tylko pojmie, co to jest niewola w młodych latach, kto był jej w tym wieku pozbawiony. Być skazanym na bezczynność i milczenie, napół dziecku, nawykłemu do biegania i do wesółych towarzyszków, śmierci się równa.

Stara, pilnująca mnie, czy z natury była milcząca, czy też miała sobie nakazaniem, aby nie rozmawiała ze mną, na natrętne pytania odpowiadała znakami niecierpliwości, gniewu i groźbami.

Służyła chętnie, ale potem zatapiała się w swej kądzieli i wpatrzona w nią, zdawała się do niej coś szeptać, z nią się pieścić. To jej starczyło.

Sliziak też nie przychodził; siedząc po całych dniach drzemiąc i płacząc, zdawało mi się, że tak marnie zczeznę w tem więzieniu. Miałem nożyk u pasa, który się znalazł, począłem z drzewa przynoszonego do komina strugać, ale com wyrzeźbił, tom ze złości kruszył. Baba nawet do drugiej izby, do okna, gdym się jej prosił, nie puszczała.

Przeszło tak dni kilka. Przyszedł wreszcie Sliziak. Mnie z tej rozpaczki myśli najróżniejsze po głowie się snuły. Z nudów mi się przypominało, jakem w Rzymie u Dominikanów widział braciszków kaligrafujących i malujących rękopisy. Naówczas patrzyłem na to ich zatrudnienie z politowaniem, ale teraz zdawało mi się, że szczęś-

liwy byłbym, gdybym choć to mógł robić, a czemkolwiek dni długie, jak wieki, skrócić.

Wpadłem na Sliziaka zaraz, że jeśli mnie uśmiercić nie chcą, choć oknem na świat powinni mi pozwolić wyglądać z drugiej izby, a potem zażądałem inkaustu i choć papieru, aby z nudów nie zdechnąć. Stary mruczył tych moich prośb cierpliwie, nie odpowiadał nic, popatrzył na mnie, znajdując, że mi zdrowiej patrzyło z oczów... i poszedł, nic nie przyrzekając.

Znowu dzień upłynął, jak pierwsze. Sliziak dopiero trzeciego nadszedł. Izby zamienić nie chciał, ale czasem do okna pójść pozwolił. Nie było niebezpieczeństwa, bo pod niem głębina okrutna się znajdowała, a w niem sterczała krata wmurowana w kamienie, gruba i mocna. Najwięcej mnie jednak uradowało, że inkaust i papier obiecywał, a nawet księgę jakąś do przepisywania. Ale kiedy to miało przyjść, nie mówił.

Nigdy wielkiego ani do ksiąg, ani do pisanja, ani do siedzenia za stołem pociągu nie miał... ale teraz, com mógł czynić?

Na tę obietnicę Sliziaka długo czekać musiałem... ani skutek jej, ani on się nie pokazał. Natomiast przygodziło mi się coś takiego, co mnie i strachem i ciekawością o mało znów nie przyprowadziło o chorobę.

Nie mając co czynić, po całych dniach na ławie siedząc, to na łóżku polegiwając, często drzemałem godzinami, a gdy przyszła noc, sen albo mnie odbiegał, albo był tak niespokojny, że lada najlżejszy szelest rozbudzał.

Wśród tych milczących pustych murów, gdy przyszły ciemności, nadeszła noc, trwogi się budziły czasem nieopisane jakichś zjawisk, o których się nieraz nasluchało. Przywidywało mi się, że słyszał jęki, że mnie dochodził dźwięk kajdan z głębi tego parowu, który widziałem z okna. Budziłem się, krzycząc i lękając jakichś widm, szatanów i upiorów. Dopiero nad ranem, gdy świeża, zasypiałem snem twardym.

Jednej nocy, kiedym leżał w tych męczarniach, zdawało mi się, że wistocie w korytarzu słyszę chód, potem u drzwi szelest, widzę światelko. Otwierają się

one. Na wschodkach postrzegłem wysoką, całą obwieszoną zasloną postać, w sukni długiej z lampką w ręku.

Krzyknąłem przeraźliwie, baba się zbudziła i zerwała; postrzegła wchodzącą i przybiegłszy do mnie, zasłoniła mi usta ręką.

— Milcz! milcz! — poczęła groźno.

Wolnym krokiem widmo to poczęło się zbliżać ku mnie. Lampkę postawiło na stole.

Nie mogłem rozpoznać ani twarzy, ani nawet postawy, bo cała była owinięta chustami, a głowę miała tak osłoniętą, iż rysów wcale widać nie było.

Drżałem cały ze strachu. Baba dawała mi znaki a sama stanęła jakby na straży. Widząc, że ta stróżka moja w zjawisku nic nadzwyczajnego nie widziała i ja się uspokoiłem nieco. Zwróciłem oczy na zakwefioną niewiastę, gdyż ze wszystkiego widać było, iż nią być musiała.

Nic nie mówiąc, podniosła ona lampkę ze stołu i oświeciła nią twarz moją popatrzyła długo i zerwała się z jakąś grozą i oburzeniem. Chwilę trwało to... widziałem ją, stojącą jakby w osłupieniu.

Ochłonawszy nieco, dopiero teraz zmiarkowałem, że może ta niewiasta straszna los mój miała w swym ręku. Nie odzywała się do mnie.

Wyciągnąłem ręce i począłem jęczeć.

— Za co mnie więzicie? za co zabijacie? Nikomum w życiu złego nie uczynił nic. Com wam winien?

Tupnęła na to niecierpliwie nogą. Nagle jakby jej myśl przyszła jakaś, rzuciła się ku mnie, na mnie. Chwyliła za gardło i nim się mogłem zasłonić rękami, porwała na szyi wiszący krzyżyk, dany mi przez matkę, usiłując go zerwać.

Był to największy w świecie skarb dla mnie, którego bodaj życiem bronił. Zaledwie się domyślił czego chciała, gdy tak gwałtownie oparłem się jej i począłem odpychać, że nareszcie ustąpić musiała.

W czasie tego krótkiego pasowania się ze mną, na które przestraszona baba patrzyła z zalamaniami

rękami, słowo się z jej ust nie wyrwało. Czułem tylko oddech gorący i jakby zgrzytanie zębów.

Wyrwawszy się z rąk jej, uciekłem w przeciwny kąt izby. Popatrzyła na mnie, chwyciła lampkę i wyszła trzaskając drzwiami.

Długo potem przełękły uspokoić się nie mogąc, nie szedłem do łóżka. Obawiałem się jakiej zdrady, podstępny, gwałtu, a krzyżyka mojego postanowiłem bronić, choćby życie stracić przyszło. Rozedniało jednak, nie zjawiał się nikt i nocna owa przygoda wydała mi się po dniu, jak zmora jakaś senna.

Następnego dnia przyszedł Sliziak. Niósł z sobą co przyobiegał: papier, inkausty, pióra i gruby rękopis, do którego podskoczyłem ciekawością zdjęty. Były to objawienia św. Brygitty, które już u ks. Jana widywałem.

Ledwie począł się skarżyć Sliziakowi na napaść nocną, gdy mi wnet zamknął usta.

— Śniło ci się—rzekł—milcz!

Nie dał mi nic mówić, wyszedł precz.

Następnej nocy anim się kładł, anim myślał spać; na kominku przyłożyłem ognia, aby się cokolwiek świeciło i siedziałem w trwodze, czy to straszne widmo znowu mi krzyżyka nie przyjdzie odbierać. Ale noc długa przeszła spokojnie. Wrażenie strachu tego z wolna się zacierało zaczęło.

Wziąłem się do czytania naprzód objawienia św. Brygitty. Nie szło to łatwo, bo rękopis był drobnymi głoskami pisany ze skróceniami, a jam wprawdy wielkiej nie miał. Ale już po kilku dniach postrzegłem, że mi zaczęło iść coraz lepiej.

Z papieru miałem tę korzyść tylko, że zamiast pisać na nim, przypomniawszy sobie pisane w Rzymie rysunki, które młodzi mnisi na marginesach barwami różnemi i złotem wykonywali, choć nie miałem innych farb, oprócz rubrum i inkaustu, i ja też próbować począłem piórem nakreślać. Niezgrabnie to szło, ale ptaszki i kwiatki po dziecinnemu mazać próbowałem. Czas przechodził. W rękopisie objawień było kilka liter mało-

wanych, a każda księga w nagłówkach miała malatury i marginesy. Siedziały też na nich ptaszki na gałęziach i kwiaty różne się plątały, razem z godłami Męki Pańskiej. Wziąłem się do naśladowania tych rysunków.

Ja, com się tak dawniej wszelką kancelaryjną robotą brzydził, teraz Panu Bogu za nią dziękowałem. Czytanie też św. Brygitty przeniosło mnie jakby w świat inny. Uczułem się lichym i małuczkim, choć nieszczęśliwym, lecz gdybym najwięcej cierpiać, nie godziło mi się narzekać na dołę moją, porównyując ją z męczeństwem samego Boga. Poznałem naówczas, jak wielkiem dobrodziejstwem może być księga. Sliziak, dawszy mi raz, o co prosiłem, ani się pokazywał więcej. Zjawisko też owo nocne nie powróciło.

Miałem na myśli teraz, gdyby stary przyszedł, odezwać się do niego z tem, że przecie winowajcom nawet Mszy św. słuchać i spowiadać się pozwalają, za cóżbym ja miał być tej pociechy pozbawionym? Obrachowywałem sobie, że do kościoła jadąc, czy idąc, mógłbym sobie radzić, a księdzu na spowiedzi skarżyć się na ucisk.

Lecz Sliziak się nierychło zjawił. Zdawało się, jakby o mnie zapomnieli wszyscy. Stara nawet, która mi postugiwała, na klucz mnie zaparłszy, szła precz, a jedzenie tylko przynosiła. Nocą zaś w innej izbie się kładła od niejakiego czasu.

Nadeszła zima. Nic się nie zmieniło. Ale jak człowiek do wszystkiego w świecie nawyka, na wszystko powoli obojętnieje, tak i ja w tej niewoli mogę powiedzieć, odrętwiałem.

Zjawił się wkońcu Sliziak o kiju zgarbiony, jakby z choroby ciężkiej dopiero wstał. Prawie go z radością powitałem, choć nienawidziłem człowieka tego, widząc w nim przyczynę wszelkich nieszczęść moich. Zaledwie siadł, gdym rozpoczął to, do czego się przygotowywałem, żądając kościoła i księdza. Było to tak słusznem i naturalnem, iż słowa przeciw nie umiał znaleźć. Gdym naglił i naciskał, zamruczał:

— Jam tu nie pan, ja robię, co mi każą; nie mogę nic.

— Powiedzcież o tem tym, co mogą! — zawołałem. — Zabić na ciele może kto się Boga nie boi, ale na duszy zabijać straszniejsza odpowiedzialność jeszcze; za to rozgrzeszenia niema.

Stary zbył mnie milczeniem.

Zdaje się, że wysłanym był, aby odemnie rękopis objawień odebrać, ale mi powiedział wręcz, że nie dam póki innego mieć nie będę.

Sliziak, który, jak sam się przyznał, wistocie z choroby powstał dopiero, obojętnym jakimś był, zastygłym, nie sprzeczał się. Wysłuchał, com mówił, głową trząsł, poziewnął kilka razy i wyszedł.

Znowu długi czas go nie było. Obawiałem się już, aby nie zmarł, bo możebym nikogo potem nie widział. Z babą stróżką rozmówić się nie było sposobu, nie mówiła nic, a zmuszona, krzyczała parę słów i uchodziła.

Tymczasem na mnie i odzież potargana w podróży zaczęła padać i zużywać się, hom ją we dnie nosił, a na noc się okrywał. Nikt na to nie zważał, nie pytał nikt.

Nie morzono mnie głodem, prawda, żyć mogłem tem, co mi przynoszono, ale strawa była licha, nędzna, zastygła, a nikt o mnie starania nie miał najmniejszego. Baba, której musiano zakazać rozmawiać ze mną, obawiała się, patrzyła z ukosa i uciekała; Sliziak przychodził jakby po to tylko, aby się przekonać, czy jeszcze żyję.

W tem opuszczeniu i nędzy mojej, zostawiony sam sobie, czytając tylko księgę pobożną a znękanym będąc, całym duchem zwróciłem się ku Bogu, wzywając jego ratunku. Zdawało mi się, że modlitwy niewinnego prześladowanego stworzenia przebijają niebiosy i cud jakiś sprawić muszą. Wymyślałem więc sobie, przypominając, com po świecie widział, w podróży z ks. Janem, w Rzymie, nabożeństwa osobliwe, posty i umartwienia.

Zrobiłem sobie krzyżyk z prostego drzewa i powiesiłem nad łóżkiem. Zrana klękałem na modlitwę i znaczną część dnia spędzałem na klęczkach. Przycho-
dząca baba najczęściej mnie znajdowała na ziemi

leżącego krzyżem, albo przed krzyżem moim na gorącej modlitwie.

Wkońcu tak mnie całego objęło to nabożeństwo i w niem taką znajdowałem pociechę, że prawie nic więcej nie robił, tylko powtarzał pacierze i modlitwy, jakie umiałem, a nawet sobie sam nowe układałem i potem starałem się spisywać. Ale po polsku nikt nas wówczas pisać nie uczył, więc, gdy przychodziło, co się mówiło, przenosić na papier, szło i źle i trudno.

Za każdym razem, gdy Slizak przychodził, dopominałem się o kościół i księdza; nic mi nie odpowiadał.

Tak upłynęła zima, i ku wiosnie się brało, ale maj już dni i miesiące zgubił, a widząc, gdy się czasem wyrwał do górnej izby, przez okno drzewa w pączkach i wierzb w kotkach, domyślałem się, że Wielkanoc, to wesołe święto wiosenne zbliżało się.

Jednego dnia, gdy właśnie krzyżem leżałem na modlitwie i płakałem, otworzyły się drzwi i na wschodkach zobaczyłem wychudłego, jak szkielet, człowieka, w długiej czarnej sukni. Z czapki i różańca w ręku poznałem w nim duchownego.

Nie był on bardzo stary, ale nigdy w życiu nie widział nikogo, coby, jak on, miał tylko skórę i kości. Z pod skóry pomarszczonej i obwisłej żyły tylko nabrzmiałe widać i policzyć było można. Tak samo twarz niemal do trupiej głowy była podobna, bo zębów nie miał, usta szeroko zapadłe, a oczy głęboko osadzone.

Uradowałem się wielce, zobaczywszy go, jakaś nadzieja w serce mi wstąpiła, lecz gdy oczy podniosłem ku niemu, takim mnie przeszył wzrokiem, że odrętwiał. Pocałowałem go w rękę; siadł na ławie spokojnie i długo mierzył mnie oczyma. Zdawało mi się, że go wzruszę i obudzę w nim litość, opowiadając mu o sobie.

— Ojciec mój! — zawołałem — zlitujcie się nademną, ratujcie mnie! Niewinnego mnie porwano gwałtem, więżą i każą bezprawnie!

Nie dał mi mówić więcej, namarszczył brew.

— Cicho! — rzekł. — Co ty wiesz? Azali ci, co cię więżą, prawa nie mają? Większe może, niż kto inny.

— Ojciec, to być nie może! Król jest moim opiekunem! Ja jestem sługą jego!

— A! król! król! — chmurno począł ksiądz — ten bezbożnik, ten sługa Baala, ten świętokradca, co duchownym chce rozkazywać i kościoły ograbia... król! Wkrótce on nad nikim i żadnego prawa mieć nie będzie, pójdzie boso z postronkiem na szyi całować stopy tych biskupów, którym swoją wolę tyrańską narzuca.

Z wielką namiętnością i gniewem wyrzeczone słowa te usta mi zamknęły, rozlałem się we łzy i niemęsko płakać zacząłem. Ksiądz patrzył na mnie z obojętnością tych ludzi, co przywykli patrzeć na cierpienia, już się nawet nie litując nad niemi.

Tak upłynęła chwila. Rzuciłem się całować go po rękach, które mi wrywał, i począłem błagać go, aby się wstawił za mną, by z niewoli tej ratował.

— To nie w mocy mej — odparł. — Skazał cię Bóg na los ten, znoś go cierpliwie, obróć cierpienie na zbawienie.

Potem widząc, że się utulić nie mogłem, modlitwę odmawiać zacząłem, rozkazując mi ją powtarzać za sobą. Gdy się ta skończyła, znowum powrócił do błagania go. Dał mi mówić długo.

— Wolnym chcesz być? — odparł. — A wiesz - że ty, czybyś nim zostawszy, nie był potem zaklą i przyczyną wstydu i sromu, a nieszczęścia dla tych, którym życie winienesz? Mówisz, że rodziców swych chcesz znać, bo ich nie znając, miłujesz, a wiesz ty, czy ta miłość nie byłaby dla nich potępieniem i nieszczęściem? Jeżeli miłujesz ich, toś się rzec powinien i ani myśleć szukać ich na świecie. Masz ojca w niebiesiech.

Gdy na to milczałem, ksiądz powoli mówić zaczął.

— Jeżeli kiedy wolnym być możesz, to nie inaczej, aż na krzyżu, przyjmując ciało i krew Pańską poprzysiężesz, iż z kraju się oddalisz na zawsze, nigdy nie powrócisz do niego i zapomnisz nawet młodości i pochodzenia swojego.

Spojrzał mi w oczy badająco, ale nie odpowiedział

nawet, Takiej przysięgi złożyć nie chciałem. Głową potrząsałem.

— Danoby ci na środki, abyś precz z Polski mógł wyjść i do klasztoru wstąpić — mówił dalej. — Rozmyśl się. Gdy przysięgę złożysz... któż wie? zmiękcza się może serca, zjednasz litość.

Odwrociłem rozmowę, dopraszając się już tylko spowiedzi i komunii świętej, wysłuchania mszy świętej.

Nie przyrzekł mi nic i nie odmówił, zdało się jednak, jakby litość go poruszyła nieco. Słowa były surowe, ale głos łagodniejszy. Mówił jeszcze o poddaniu się woli Bożej, potem wstał, przeżegnał mnie i wyszedł.

Zostałem sam. Nie wiem już jak i skąd w moim ucisku i niedoli wzięła się we mnie moc taka, żem przysięgą żadaną nie chciałem okupić swobody. Ale gdy po wyjściu księdza pomyślałem o tem, że musiałbym się w kraju obcym zagrzebać w klasztorze, takim więzieniu, jak to, w którym siedziałem, wołałem już niewolę tę, bo w niej mi zawsze jakaś nadzieja wyzwolenia cudem błyskała.

W kilka dni ksiądz powrócił. Mówił mi prawie to samo, co wprzód; nie odpowiedziałem mu prawie. W końcu spowiedzi mnie wysłuchawszy, obiecał, że nazajutrz dodnia mszy świętej słuchać będę i komunię otrzymam.

Zasnąć nie mogłem tej nocy, tak nadzieja wyjścia choć na chwilę z tego więzienia przejmowała mnie radością jakąś. Była to w mem życiu jednostajnem zmiana przynajmniej chwilowa.

Zaledwie na brzask się miało, gdy zaszłapały kroki czyjeś pode drzwiami; otworzył je Słizak, niosący kaganek w rękę i zawołał:

— Chodź a pamiętaj, że jeśli się poważysz krok zrobić ode mnie i zechcesz uciekać, ubiję cię na miejscu.

Z kurytarzyka wyszliśmy na powietrze, ale droga prowadziła chodnikiem pod murem wysokim okólnym ze strzelnicami. Z drugiej strony stała wysoka, bez okien ściana zamkowa. Minęliśmy furt kilka, nareszcie Słizak

otworzył jedną, wszedł sam naprzód w bramę ciemną, wpuścił mnie, zarygłował ją i pociągnął z sobą w podwórzec zamku, ciasny, jak studnia, wysokimi otoczony murami, piętrzącemi się do góry. Żywej duszy tu widać nie było.

Po wschodkach kazał mi z sobą iść na górę.

Drzwi znalazłszy otwarte, weszliśmy do małej zakrystyi, w której nie było nikogo, oprócz znajomego mi księdza. Ten klęczał przed krzyżem i modlił się. Gdyśmy weszli, dokończył modlitwę, odwrócił się i spytał, czy do mszy służyć umiem.

Nie mogłem o tem wątpić, bo w każdej szkółce przecie od tego się niemal poczynano, że nas ministrantury uczono. Zamiast odpowiedzi, przykląkszy, wziąłem się zaraz pomagać mu do ubrania.

Przez drzwi ciasne z zakrystyi widać było ciemną, sklepioną, wysoką małą kapliczkę, z jednym ołtarzem w głębi, nad którym wisiał na krzyżu ukrzyżowany Chrystus czarny, tylko duża srebrna korona świeciła mu na skroni i srebrne serce na przebitym boku. Przy ołtarzu stały już ampułki i paliły się dwie żółte świece woskowe.

Chciałem pociągnąć za dzwonek, gdyśmy z zakrystyi wychodzili, ale sznurka nie było. Kaplica stała pusta, czarna, jak grób. W drzwiach zakrystyi klął tylko Słizak. Mimowolnie potem oczyma potoczyłem po ścianach.

Tuż przy ołtarzu dwa grobowce kamienne wystawały ze ściany. Na jednym leżał wykuty mąż we zbroi sparty na rękę, z brodą długą, na drugim była niewiasta z nogami na psie spartemi, z różańcem w rękę. Gdym się ukradkiem przypatrywał im, nad pomnikiem grobowym postrzegłem okno, ale nie musiało ono wychodzić na podwórze, bo stało ciemne. Mignęło mi coś za nim, jakby białe zawicie głowy niewieściej.

W kaplicy panowała cisza taka, że ksiądz mszę odprawiający i ja nie śmieliśmy jej przerywać odzywając się głośniejsze. Dzwonek, który znalazłem pod ręką, dźwięczał zaledwie.

W czasie podniesienia dał się słyszeć jakby z tych grobowych kamieni płacz i lkanie, a jęk gwałtowny.

Widziałem, jak ksiądz drgnął. Slizak się zerwał na nogi, a ja wylekły przypadłem do ziemi. Skąd to szlochanie przejmujące pochodziło — nie wiem, ale nagle urwane i stłumione jakby siłą ucichło.

Dziwnym sposobem płacz ów z grobów mnie też do łez pobudził. Pochylony na stopniu ołtarza płakałem tak, nie mogąc się utulić, że gdy ksiądz się do mnie z komunią obrócił, musiałem twarz oblaną całą ocierać.

Skończyła się msza, wróciliśmy do zakrystyi, w której drzwiach stał Slizak, a gdy księdza rozebrał, skinął na mnie i wyprowadził z sobą.

Dzień się był większy w czasie mszy zrobił. Mogłem się teraz przypatrzeć lepiej murom, ścianom, kamieniom, bo więcej nic do widzenia nie było.

Głazy te przed wieki musiały być niegdyś wmurowane w ściany wysokie, bo na nich pleśń, mech i mniszami trawy rosły. Wąskie okna z kratami, otwory czarne, na podwórzu kilka ogromnych kul kamiennych, więcej nic nie zobaczyłem.

Taż samą drogą Slizak słowa nie mówiąc, zaprowadził mnie do więzienia mojego i zamknął w nim.

Zapewne litościwemu wstawieniu się księdza za mną winien byłem, że tego dnia jedzenie przyniesiono mi lepsze, chleb bielszy, którego nie widział dawno.

A potem — poszło znowu wszystko trybem swoim.

Ponieważ bawiłem się ciągle około papieru i rękopisu, który mi dano, a z okna w górę umieszczonego światła mało padało, poczęłem się prosić do drugiej izby, w której okno było niżej, abym tam choć we dnie mógł siedzieć. Baba sama na to pozwolić nie chciała, ale drugiego dnia zgodziła się.

Miałem tu tę pociechę, że w oknie siedząc, przez kraty mógł patrzeć na las, na drzewa, które właśnie zielenieć poczynają. Mało co tu widać było, ale dla mnie starczyło tego. Wiało powietrze, dochodziła woń liści i trawy, mruczała woda, przelatywały jaskółki, świergotały wróble. Czasem, gdy dalej odszedł, ptaszyna jaka siadała na zrębie okna, a to mi taką sprawiało radość, jakby ona z dobrą jakąś przychodziła wieścią.

Najczęściej jednak w oknie przesiadywałem, głowę między kraty wsadzając, aby dalej wyjrzeć i odetchnąć powietrzem.

Oprócz drzew i ptactwa nie było tu nigdy innego widoku. Las na przeciwnym brzegu stał głuchy i pusty. Wiosna spóźniona, teraz z dnia na dzień się żywiej zielenieć śpieszyła. Witałem liście. Wieczorem, gdy zmierzchało, baba przychodziła po mnie i zabierała nazad do izby pierwszej, z której nic widać nie było.

O południu jednego dnia, a była niedziela, bom to mógł poznać po stróżce mojej, która wdziewała na święto bieliznę świeżą i zawiązywała głowę chustą czerwoną, siedziałem, jak zwykle, osłupiały, oknem patrząc na brzeg przeciwny i drzewa, gdy — cud! mignęło mi, jakby się tamtędy dwu ludzi przeciskało gąszczami.

Wychyliłem się cały z ciekawością niewysłowioną, z sercem bijącym. Nie myliłem się. Wistocie nad samym brzegiem, powoli szło dwóch ludzi, oglądając się na zamiek pilno.

Przekop i rzeczka nie były bardzo szerokie, a ja miałem wzrok zawsze doskonały. Dostrzegłem zaraz, iż nieproste chłopcy to były, ale jakby myśliwi, co się zabłąkali. Prawie jednostajnie ubrani z miecznikami u boku, w czapkach takich właśnie, jakie u dworu noszono, wydali mi się młodymi i jakby obcymi tu, bo szli wolno, rozglądając się pilno, stojąc, naradzając, ukazując na mury.

Myślałem, że mi się śni, czy w oczach dwoi, gdy lepiej się przypatrując im, zdało mi się, że poznaję obu dworzan królewskich, których widywałem codzień i byłem z nimi najlepiej.

Byłbym przysiągł, iż nie kto inny był, tylko Zadora z Bnina i Maryanek z Borów. Ale jak i skądby się oni tu wziąć mogli, Boże miłosierny!

Sam nie wiedząc, co czynię, nie tylko głowę, ale iłem mógł piersi wychylić przez kratę, wysunąłem za okno i huknąłem.

Przestraszyłem się potem sam, gdy głos ten mój

odbity od murów rozległ się po okolicy. Zadora i Maryanek stanęli nad samym brzegiem, oczyma szukając, skąd głos pochodził. Zdaje się, że Borowski mnie pierwszy zobaczył i ręką wskazał w tę stronę, na co ja też odpowiedziałem.

Ale w tejże chwili usłyszałem chód w korytarzu i ledwie miał wydobyć się z kraty, przypaść do stołu i za papier pochwycić. Baba weszła, oczyma przestraszona patrząc na mnie, jakby krzyk mój posłyszła, ale zobaczywszy siedzącego spokojnie i schylonego nad stołem, przeżegnała się tylko i odeszła.

Gdym potem wrócił do okna, już tych dwu na przeciwnym brzegu nie było.

A tu muszę słowo o nich powiedzieć, bo na dworze pańskim nie miał Kazimierz ludzi, coby mu byli oddani tak, jak oni. Zadora takim był, że nigdy nie pytał, co król chciał, dlaczego i czy on temu podołać mógł, dość było, aby skinął a szepnął — szedł w ogień i wodę!

Zaś Maryanek, który głowy takiej, jak pierwszy nie miał, i samby może wielkim rzeczom nie podołał, trzymał się Zadory, nie odstępując go na krok. Nierozdzielni byli, gdzie jeden tam i drugi, z tą różnicą, że pierwszy rozkazywał, drugi słuchał, a tak byli do siebie nawykli, iż spojrzawszy sobie w oczy, rozumieli się. Maryanek mężny był, silny jak żubr, zapamiętały — Zadora przebiegły i zręczny.

Niehardzom był pewnym, czy wistocie oni to byli, ale gdym na tę myśl wpadł, zdało mi się: nuż król ulitował się i kazał mnie szukać, nuż trop jaki znaleźli, nuż mnie oni wywołają!

W gorączkę mnie to wprawiło taką, żem chodził, jak pijany.

Nazajutrz znowu do wyższej izby wpadłszy, pobiegłem zaraz do okna, ale nie zobaczyłem nic. Na przeciwnym brzegu nie było nikogo.

Bojąc się, aby w wypadku, gdyby znów przyszedł, nie ominęło mnie widzenie się i przekonanie, czy wisto-

cie Zadora był, nie odchodziłem od okna ani na chwilę. Daremniem wysiadywałem, nikt nie przyszedł.

Znów więc mnie rozpacz ogarnęła, a po tej nadziei nadaremnej jeszcze mi boleśniej było, niż przedtem.

Minęło dni kilka. Prawiem już do okna zaprzestał chodzić, gdy jednego dnia oparłszy się tu o kratę, poczułem, jakby się ugiwała pod ręką. Lepiej się przypatrując, postrzegłem, że była podpiłowana i tyle się tylko trzymała, aby nie było widać, co się z nią stało.

Byłem najpewniejszy, że niedawno musiano kratę piłować. Na murze postrzegłem ślady świeżo zdrapanie. Znowum oszalał bez mała. Tegoż dnia uparłem się, z babą posprzeczawszy, że spać będę w tej izbie. Mówiłem, że mi w niższej zaducha dokuczała.

Sprzeczała się długo, przystała nareszcie; siennik mój rzuciłem na ziemię.

Noc była ciemna; miałem jakieś przeczucie, że coś się stać musi, że ktoś myśli o mem uwolnieniu. Ale nawet wyłamawszy kratę i wydobywszy się z okna, spuścić się z muru w dół nie widziałem sposobu, a drabiny skądby mieli dostać! W tych myślach tom się kładł na posłanie, to zrywał do okna. Mówiło mi coś, że wolność odzyskam.

Tej nocy jednak czekałem napróżno i znowu nad ranem zasnawszy, narzekać począłem i rozpaczać. Ale trzymałem się izby górnej i siedziałem w niej ciągle. Dwie noce przemęczyłem się tak i już mnie nadzieja opuściła, gdy trzeciego dnia ledwie ściemniało, a jam leżał na moim barłogu, w oknie zobaczyłem jakby głowę ludzką.

Rzuciłem się ku kracie.

— Jaszko? — spytał głos cichy, w którym poznałem Maryana.

— Ja! ja! — wyjęknąłem, pochylając się ku niemu.

— Żywo... krata się ino trzyma, wyłam ją na izbę a sam leż, jest drabina ze sznura. Skręcisz kark, jam temu nie winien. Dwóch nas postronki nie zniosą.

Usłyszałem potem drapanie po murze i ucichło. Jakom sobie naówczas rady dał, jeden Bóg wie.

Z kratą nie było wiele zachodu, wykruszyła się zaraz tak, że ledwie ją pochwycił, aby z brzękiem nie padła. Jak stałem, wysunąłem się przez okno, o resztki żelaza w murze kalecząc, alem tego ani czuł. Nogami naprzód poczęłem szukać sznura, potem rękami. Drabina się ugiwała i chwiała. Spuszczałem się, trzymając co sił, ciągle oglądając, kiedy stanę na ziemi, ale mur wysoki był i osłabłem niemal ze strachu i tego mocowania się, gdy naostatek poczułem, że mnie ktoś pochwycił za barki.

Pod nogami pluskała woda.

W przekopie ciemno było tak, że ja ich a oni mnie widzieć nie mogli, a gdyśmy drabinę urwawszy poczęli iść, żeby się z tego dołu wydobyć, omackiem trzeba było, chwytając gałęzie i krzaki, przebijając się na brzeg drugi; miejscami mieliśmy wody po kolana.

Zadora i Maryan nie odzywali się prawie słowa.

Drugi brzeg urwisty niełatwy też był do wdrapania się, a Maryanek kłął cicho, że nie trafił na wodowycje, którymi w dół schodzili. Pięliśmy się do góry i zsuwali, nim naostatek dostaliśmy się na górę i w las. A i tu po nocy do koni swoich Zadora i Maryanek ciężko drogi szukać musieli, na ludzi huknąć nie mogąc, aby się nie zdradzić.

Zaczynało już dzień, gdyśmy znaleźli konie, stojące na polance, a ludzi uśpionych. W mgnieniu oka wszystko było w pogotowiu. Dla mnie też koń stał osiodłany, czapkę mi znaleźli, bom jej nie miał, więc na siodła i w drogę. Było było czasu ani się rozmówić, ani pytać, ani dziękować. Jak na koniu dosiedzialem ostabły i odwykły od niego, sam nie wiem. Jechaliśmy klusem i czwalem prawie do poludnia, a drogami takimi, że na nich pogoni się nie było co obawiać. Kraj był górzysty i leśny; dopiero pod koniec spuściliśmy się na płaszczyzny i we wsi, która u podnóża gór stała, na popas stanęliśmy. Gdym z konia zszedł rozbity, zatoczyłem się na nogach i padłem. Wodą mnie i winem, które Zadora miał, musieli ocucić i krzepić.

Gdym się podniósł, poczęłem im dziękować. Zadora śmiał się, a tak szczęśliwy był, że mało nie dziękował sam za to, że mu się mnie uratować udało.

— Boże miłosierny — zawołałem, przejęty wdzięcznością — ale jakżeście wy na ślad trafili?

— Nie potrzebowaliśmy go szukać — odparł Zadora. — Posłuchaj, jak to było: król, gdy się dowiedział że ciebie zabrakło, a śledzić kazał z kim chodziłeś i gdzieś bywał, z początku zagniewał się tylko mocno. Ale ma on dosyć spraw na głowie, szczególnie z tymi Prusakami, aby mógł myśleć o wszystkim. Nierychło potem przypomniał sobie ciebie. Bodaj jakiś Litwin mu coś szepnął. Kazał mnie zawołać do siebie.

— Nie pytaj o nic — rzekł — zrób, co powiem; na grodzę cię dobrze.

— Miłościwy panie — rzekłem — i bez nagrody życie stawię.

— Jaszka Orfana porwano — mówił dalej pan. — Szkoda chłopca. Jeżeli żyw jest, to nie gdzieindziej się znajduje (doniesiono mi), tylko w Nawojowie na zamku. Zamek stary i warowny, trudno się do niego dostać — mówił król dalej, — ale od czegoż masz rozum i ręce?

— Popatrzył król na mnie — ciągnął Zadora, — a ja mi się do kolan mu kłaniając, uśmiechnąłem.

— Miłościwy panie! — rzekłem, — kiedy wiem, kędy go szukać, spodziewam się, że Jaszka dalibóg dostanę, ale proszę o to, abym Maryanka z sobą wziąć mógł. Jak nas dwu będzie, nie sposób, żebyśmy oba przepadli.

Król palec położył na ustach.

— Bierz i jedź, a o tem wszystkim nie gadać mi, ani dokąd, ani po co, i powróciwszy, jeżeli Jaszko żyw, żeby mi on się nie ważył pleść, co się z nim stało, gdzie był kto go ratował. Patrzajcie, bo gniewny będę.

— Dał mi pan podskarbi na drogę pieniędzy poddostatkiem — dokończył Zadora.

Jam słuchając, jedno miał tylko na myśli, że król o mnie przecie dbał, dowiadywał się, łaskaw był na mnie i chciał ratować. Miłość moja dla niego wzrosła jeszcze i zawolałem, w piersi się bijąc:

— Dziej się wola Boża, będę żył tylko dla niego. Niewolnikiem jego chcę być, ostatnim sługą.

— Pamiętaj tylko jedno, gdy powrócimy — do-

rzucił Zadora, — abyś o swoim losie, o tem, co się z tobą stało, milczał. Król przykazał, rozumiesz.

— Gęby nie otworzę — rzekłem — choć, Bóg świadek, nie wiem i nie rozumiem, za co mnie, biednego sierotę kto prześladować może. Com ja komu winien? Co szkodzi, że po świecie chodzę?

Takeśmy popasając, rozmawiali, niebardzo śpiesząc się z dalszą jazdą, bo może nietyle Zadora i Maryanek, ale ja byłem złamany i zbolący tak, że sam nie wiedział, jak dłużej na koniu wysiedzę. Gdy się z tem odezwał, rzekł Zadora:

— Trzymaj się choć zębami kulbaki, a my tu nocować w pobliżu gór i Nawojowa nie możemy. Kto wie, co się gotuje? Jeżeli tam im, tym zbójom, tak bardzo o to chodzi, aby ciebie trzymali pod kluczem, mogą nas nagonić. Tu oni tak, jak w domu, wioski i gospody do nich należą; krzykną — to im ludzie w pomoc przyjdą, a nam nikt. Nas dwóch, pachółków czterech, to sześć głów i sześć kordów, a twojego ja nie liczę, bo tobie się wprzód odgryźć trzeba, nim zaczniesz wojować.

Ledwie tych słów domawiał, gdy koło gospody za tętniało. Maryanek wyleciał, jak kamień z procy. Zadora się pochylał do okna i począł liczyć, ilu nadciągnęło, mnie się serce rozkołysało. Z izby słyszeliśmy tylko, jak Maryanek czeladzi się kazał do kupy ściągnąć.

— Cztery konie — odezwał się Zadora — jeżeli ich niema więcej, a nie nadciągnie, nie obawiam się.

Wpadł do izby z oczyma zaiskrzonymi Maryan.

— Wielu?

— Czterech.

— No to niema co się płoszyć.

Ledwie skończył mówić, gdy na progu zobaczyłem Sliziaka. Głowę wsunąwszy przez pół otwarte drzwi, oczyma po izbie szukał, pewno mnie. Jam w ciemnym kącie siedział za Zadorą i widać mnie nie było. Uderzyłem go łokciem i szepnąłem:

— Ten, co mnie porwał!

Zadora Maryankowi dał znak głową i zrozumieli się. Sliziak tymczasem stał w progu niepewny czy ma

wejść, czy nie. Siedzący przy mnie zasłonił plecami tak, że nie byłem na oczach.

Zawahawszy się nieco, stary niedźwiedź, pochwalwszy Chrystusa u progu, ociężałym wsunął się krokiem. Ciarki po mnie chodziły. Rozglądał się, nic nie mówiąc, dokoła izby.

— A skąd to Pan Bóg prowadzi? — hardo spytał Zadora.

— Z okolicy — odparł Slizak — a wy?

— My z pod Krakowa — rzekł mój towarzysz.

Slizak położył czapkę na stole i wyciągnął się. Siadł na ławie, a tak mu przypadło, że mnie zobaczyć nie mógł.

Piwa sobie kazał dać szynkarce. Znali go tu widać, bo mu zaraz usłużono.

— Nie jechał kto dziś tędy? — zapytał gospodyni.

— Soltys z Brzezan i dwu kmieci z Nawojowa.

— A obcych?

— Pierwsi ci oto, co przed wami tu zaciągali.

Siedziałem, jak na węglach, bo mi się zdawało, że co chwila wilczemi swemi oczyma mnie wypatrzy i rzuci się, jak na swą ofiarę. Pośepny Sliziak pił piwo. Zadora mu się przypatrywał, jakby zawczasu mierzył siłę jego, na wypadek, gdyby się z nim potykać przyszło.

Porozumieli się oczyma z Maryankiem, jak to oni umieli że im słowa na to nie było potrzeba. Maryan drzwi do stajni uchylił, aby zobaczyć, czy ludzie byli w pogotowiu. Tymczasem ci, co z Sliziakiem przyciągnęli, posiadali, koniom uzdy zdjęli i poprowadzili je do żłobów. Zadora to wszystko musiał obrachować i wyczekawszy nieco, wstał, za rękaw mnie biorąc. Potem zaraz chwycił rękojeść szabli i kołpaczek nałożywszy, postąpił ku środkowi izby. Kiwnął głową Sliziakowi, ukazując na mnie.

— Bywaj zdrow, stary! — zaśmiał się.

Dopiero mnie zobaczywszy, niedźwiedź ów rzucił się, jakby go oszczepem przebito. Chciał na nas biedz, ale Maryanek mu z pochwę jego własny kord wychwycił i z nim stanął naprzeciw,

— Ani mi się rusz, bo łeb rozpłatom! — krzyknął.

Myśmy z Zadorą we drzwiach już byli, widziałem tylko, jak się Sliziak za głowę pochwycił oburącz. Wdrapaliśmy się na konie, gdy Maryanek ze zdobytą szablą nadbiegł i na swoją szkapę skoczył. Puściliśmy się kłusem wyciągniętym. Gdym mimowolnie odwrócił głowę, zobaczyłem tylko na progu karczmy ludzi ze Sliziakiem stojących, ale gonić nas nie myśleli. Było nas młodych siedem głów, a ich czterech.

Jak to młodym wesoło zawsze, gdy im cokolwiek los pofolguje, tak i my, ledwie odetchnawszy z postrachu, aż do wieczora jadąc, ciągleśmy tylko żarty stroili. Ja najnniej, ale Zadora i Maryanek śmiali się, cieszyli, że się im tak udało, obiecywali sobie złote góry, trochę przedrwiwali ze mnie biednego, śpiewali, świstali, hukali, i tak nareszcie już po nocy zajechaliśmy do małej miejsciny, której nazwiska nie pamiętam. Stanęliśmy na targowicy pustej, bo już ludzie się po domach pozamykali i mało się nawet gdzie świeciło. Zadora upatrywał tylko, dokądby zajechać. Wtem żyd wyszedł z jednych wrót i począł zapraszać do siebie. Niewiele myśląc więc, zaciągnęliśmy do niego. Szopa była próżna.

— No, tu już bezpiecznie się wyspać możemy i niczego obawiać nie potrzebujemy — rzekł Zadora, — a jutro przy pomocy Bożej w Krakowie będziemy.

Mnie, żem jeszcze niezupełnie ze strachu ochłonął, coś tknęło, że nimeśmy wjechali do gospody, tąż samą drogą, którą myśmy przyjechali, nadbiegł konny jakiś, stanął w rynku i z konia zsiadłszy, rozglądał się. Nikt na to nie zważał.

Zajechawszy do gospody, postawiwszy konie, Zadora poszedł sam za strawą, bo głodny był, a tu, o tej godzinie w gospodzie, oprócz chleba, jaj, piwa i miodu, nie znalazł nic. Kazał więc jajecznicę smażyć, lóżka słać, miodu przynieść i jak tylko nam misę podano, którąśmy w mgnieniu oka sprzątnęli, rozebrał się na siano spać.

Mnie było nie do snu.

— Słuchaj — rzekłem. — Choć to miasteczko i choć się tobie zdaje, że już nie mamy się tu czego, obawiać jabym na noc straż postawił.

Zadora i Maryanek śmiać się ze mnie poczęli. Zawstydzilem się mojego tchórzostwa trochę, ale powiedziałem sobie w duchu, że spać nie będę.

Jeszcze pacierzy wieczornych nie dokończył, gdy moi towarzysze chrapać poczęli. I mnie sen brał, ale ta myśl, że się mogę znowu dostać w ręce Sliziaka, który pewnie mnie żywić nie będzie, trwogą mnie przejmowała. Modliłem się, siedząc na posłaniu.

Wśród tej ciszy nocnej, przerywanej tylko pianiem kogutów, najmniejszy szelest słychać było, ale oprócz głosów zwierząt i czasem zrywającego się wiatru, który po rynku się miotał, ucho nic nie pochwyciło.

Liczyłem sobie do dnia godziny, bo wiosenna noc krótka. Nad ranem samemu mi się już poczęło zdawać, żem niepotrzebnie się trwożył, gdy naprzód tętet głuchy, a wnet potem stąpanie około domostwa słyszeć się dało. Okiennice były pozamykane, ale szpary w nich takie, że wyjrzeć mogłem przez jedną. W mroku spostrzegłem na targowicy koni ze dwadzieścia, z których ludzie zsiadali i zdawali się zcicha ku naszej kierować gospodzie. Niewiele myśląc, zbudziłem Zadorę, który miał taki sen szczęśliwy, że się z niego zrywając, ledwie co oczy przetarłszy, był przytomnym.

— Koni i ludzi ze dwudziestu — szepnąłem mu — domostwo osaczają!

Skoczył, jak był, rozdzielony do okna i spojrzał. Wistocie przybyła kupa rozstawiała się cichusieńko pod gospodą.

W mgnieniu oka zbudziliśmy Maryanka i wybiegli do sieni. Tu już ja spełna nie wiem, jak i co się z nami działo; uczułem, że na koniu siedzę. Zadora w pół ledwie odziany oklep z jednej strony, Maryanek z drugiej, wrota się zcicha otwierają, wyjrzelismy. Na tyłach nie było nikogo. Naprzeciw opłotkami biegła wązka uliczka, do-

brze, że piaszczysta, wiodąca ku zaroślom. Puściliśmy się nią.

Byliśmy wszyscy bezbronni, i gdyby nas napadli, chyba trzebaby było kółki z płotów wyciągać; ale dostaliśmy się do krzaków i zaszyli w nie, nie dostrzegłszy za sobą pogoni.

Ludzie, broń, odzież reszta koni pozostała w gospodzie. Zadora tu dopiero pokazał, jaki rozum miał i jak sobie wszędzie i zawsze radę dać potrafił. W zaroślach i w lesie był jak w domu, bez drogi się puściliśmy, a on tak kierował na pewno, jakby Kraków widział już przed sobą. Przytomności nie stracił na chwilę, strachu nie okazał najmniejszego, ledwie że można było sądzić, że mu to pociechę sprawiało, iż się tak musiał wywijać a pokazać, co umie.

W drodze przez las zrobił się naprzód ranek półjasny, potem dzień. Jechaliśmy nieprędko, bo gąszcze były wielkie; ale we cztery godziny kawał drogi musieliśmy zrobić. Oba towarzysze moi milczeli, dopiero nierychło Zadora odezwał się:

— Wściekłem głodny! — Wczorajszą jajecznice przespałem i na koniu wytrzymałem, żeby choć kawał chleba.

Ale co tu było mówić o chlebie, kiedy my ledwieśmy koszule mieli na sobie, głowy odkryte, nogi bose.

— Trzeba szukać ludzi — dodał Zadora i tak, jak pies kiedy wietrzy, na różne strony nosem począł pociągać. Potem konia w lewo zawrócił i jechaliśmy, milcząc, znowu.

W pół godziny trafiliśmy na gościniec. Zadora z konia zszedł, ażeby się w śladach na nim rozpatrzyć. Jechaliśmy znowu, aż w lesie gospoda stoi.

Tu, jak nas ludzie we wrotach popasający zobaczyli obdartych, bez czapek, bosych, wybiegli aż ku nam. Zadora zsiadł, ale tak dobrej myśli, jakby z turnieju powracał.

— Co się gapicie? — zawołał — zbóje na nas napadli w śpiączki, musieliśmy uciekać, niema czego wielkich oczu wyropiać. Nie nowina to u nas i w białej dzień.

Spytajcie kupców, co z Krakowa do Lublina jeżdżą mimo Pieskowej Skały!

Weszliśmy do izby, a Zadora na gwałt jeść wołał.

Znalazł się na popasie szczęściem człowiek, choć nieznanym nam, ale na dworze bywały, Dzierżek z Bani. Jechał we cztery konie do Krakowa, do króla. Zadora się z nim w niewielu słowach rozmówił i nie zwierając mu nic, powiedział tylko, że był z królewskiego dworu i jeździł z polecenia pańskiego, a zbóje go napadli.

Dzierżek miał z sobą dosyć odzieży i obuwia, aby nas okryć jako tako. Zmówiliśmy się razem z nim jechać.

— Mnie się widzi — rzekł Zadora, — że nasi ludzie z końmi kędyś na drodze się znaleźć muszą i że cało wyjdą.

Nie tłumaczył, jak się to stać mogło. Dzierżek rażny i wesół, kazał kur kilka zarznąć i krupniku z nich zgotować. Wina baryłeczkę miał z sobą, bo był człek dostatni, i na popasie ochota się wzięła taka, jak gdybyśmy biedy i strachu nie zaznali.

Konie popasały, myśmy się pookrywali, no i dalej w drogę ku Krakowu. Ale już tego dnia stanąć ani było myśleć, nałożyliśmy spory kawał, zmarudzili czasu wiele, trzeba było w mil jakich dwie nocować.

Ziściło się proroctwo Zadory, bo pod wieczór w gospodzie znaleźli się ludzie nasi i rzeczy, które odbiedz musieliśmy. Powiadali, że strachu się najedli niemałego, bo ledwieśmy z gospody wyskoczyli, już do niej włamali się jacyś ludzie i zobaczywszy ciepłe jeszcze posłania, nie przypuszczając ucieczki, całe domostwo od wyżek do lochów strzęśli. Klęli i grozili, na męki chcieli brać, tumult się zrobił w miasteczku i dopiero nadciągający jacyś zbrojni zmusili napastników do ucieczki.

Pachołek Zadory opowiadał, że widział tego samego obrosłego starca, który na popasie się z nami spotkał. Slizak więc to był ze swoją jakąś gromadą, który się tak zawiązał na mnie.

Tym razem jednak niebezpieczeństwo zdawało się zażegnane, zwróciliśmy pożyczoną odzież Dzierżkowi, i tak się szczęśliwie moja przygoda skończyła.

Nazajutrz rano stanęliśmy w Krakowie, a ja jakom był, z konia zsiadłszy ledwie, wprost poszedłem do kościoła Panu Bogu dziękować.

Króla podówczas na zamku nie było, wyjechał na lowy, królowa tylko sama. Miałem czas wypocząć dobrze, a potrzebowałem wczasu tego, bo dopiero, gdy się uczułem bezpiecznym, musiałem leżąc na łóżku i odchorować. Choróbko jakby czekało na to, chwyciło mnie dopiero w Krakowie tak, że leżałem bezprzytomny w gorączce i musieli pilnować i trzymać, bo się zrywał jak opętany.

W tej chorobie mojej doświadczyłem tego, co mi się nieraz w życiu potwierdziło, że człowiek przywiązuje się do tego, komu wyświadczyć mógł dobrodziejstwo, więcej może, niż ten, któremu ono było wyświadczone, do swojego dobroczyńcy. Tak ten Zadora a z nim Maryanek, którzy wprzód dosyć byli dla mnie obojętni, teraz gdy z ich łaski swobodę odzyskałem, jak rodzeni bracia przystali do mnie. Pilnowali mnie z kolei, lekarza królewskiego przywoływali, poili, karmili, czuwali. Nigdy nie było nikogo tak pielęgnowanym nie był. Wdzięczność też im wiekujątą porzysiągłem.

Króla po powrocie zaraz widzieć nie mogłem, a wkrótce potem, gdy mnie choroba powaliła, on do Prus jechać musiał i tak się ściągnęło do jesieni.

Wstawszy potem choć siły odzyskiwałem, nie-rychło mi one powróciły. Włosy mi wypelzły z głowy, i choć je potem odzyskałem w części, ale już one nigdy takie bujne, jak przedtem nie były. W sobie też sanym na duszy czułem wielką odmianę. Dawna młodzieńcza buta i odwaga, owo śmiałe patrzeć na świat, nadzieje jakieś wielkie przyszłości, losów świętnych, wszystko gdzieś w chorobie wywietrzało. Została pobożność cicha i potrzeba żywota spokojnego. Do rycerstwa już zbytniej nie miałem ochoty. Jednemu pragnął, aby mi król dozwolił z łaski swej zostać przy sobie, a cobykolwiek mi nakazał i przeznaczył, pragnąłem spełnić, byłem mu słuszny i pod jego opieką mógł się tulić.

Jawnem to było dla mnie, że byli tacy, co mnie ze

świata sprzątnąć chcieli, którym ja zawadzałem, a nie mogąc trzymać w niewoli, gotowi byli i życia pozbawić. Ta ciągła groźba nade mną, ta obawa podstępów, zasadzek nowej, czyniły mnie nieśmiałym i trwożnym. Przez czas długi prawie nie wychodziłem z zamku, a gdy się potem ważyłem do ks. Jana Kantego, którego widzieć pragnąłem bardzo, zmówiłem się z Zadorą, aby mi do kolegium towarzyszył i z powrotem zabrał.

Rozkaz króla spełniając, gdy przed moim dawnym opiekunem stanąłem, całując go po rękach, a on mnie dopytywać zaczął, co się ze mną działo, że tak wynędzniałego i schorzałego widział — nie powiedziałem mu więcej nic nad to, że ciężką przebyłem chorobę.

Później dopiero ośmieliłem się wyznać przed nim, że król mi nakazał milczeć o tem, co mnie spotkało. Ale święty mąż bodaj nie potrzebował słów, czytał on nawskroś w człowieku. Nie dopytywał mnie więcej o nic, tylko o stan mojej duszy, a potem błogosławił i kazał mieć w Bogu nadzieję.

W Krakowie mało co znalazłem zmienionem. Spodziewałem się zawsze, iż ze śmiercią kardynała, który królowi nieprzyjaciół przyczyniał, serca się nawrócą ku niemu. Znalazłem w duchowieństwie i u panów tę samą niechęć, co dawniej. Wyrzucano mu i to, co czynił, fałszywie tłumacząc, i to, o czem wcale nie myślał.

W tym roku narzekano na przeciągającą się wojnę pruską, która się dosyć nieszczęśliwie wiodła, i na to, że król po śmierci Władysława węgierskiego i czeskiego, słusznie się upominał o dziedzictwo nań przypadające obu tych stron. Rycerstwo nie było przeciwko wojnie, bo ono na niej zyskiwało i próżnować nie lubiło, ale ziemianie, którzy pobory, akcyzy i grosz musieli dawać, sarkali. A że król wymagał ofiar i od duchowieństwa, ono więc najgłośniej wołało, iż świętokradzkie to były zamachy.

Zarzucano królowi, że jego myncarze bili złą monetę, że kraj dla jego ambitnych zachcianek zubożał, że skarby wszystkie pochłaniała wojna, a naostatek posą-

dzano go o zamachy na tych, co ważyli się przeciwko niemu występować.

Słuchając tego, co na zamek z miasta, zwłaszcza od Tęczyńskich przynoszono, bo tam zbierały się wszelkie schadzki niechętnych, żal brał biednego pana. Na burzę się zanosilo.

Gdy król powrócił do Krakowa, a jam już trochę sił odzyskawszy, włóczyć się zaczął, alem mu sam się na oczy nastreczać nie śmiał, zapytał raz Zadory, co się działo ze mną. Odpowiedział mu, że po chorobie już wydobrzył nieco. Nie wołał mnie do siebie, tak więc pozostało jak było. Jadłem, piłem i nie robiłem nic. A że na zamku właśnie malarz wówczas najlepszy krakowski, Jan Wielki, ściany w dwóch izbach malował, nie mając co robić, siadałem, godzinami mu się przypatrując i rozmawiając z nim.

Mistrz to był w swojej sztuce, który wprzód po Niemczech i podobno aż po flamskich krajach, przypatrując się jej i ucząc, wędrował. Potem, powróciwszy, osiadł w Krakowie, gdzie okazawszy, co umiał, do cechu się wpisał a teraz w nim już starszym był i można powiedzieć jedynym. Nikt tu mu nie sprostął, nietylko w obrazach Matki Boskiej i Chrystusa bolejącego, ale w takich, do których wiele osób wchodziło. W tych on umiał tak ustawić ludzi, takie im dać twarze, że zdało się, jakby ich czarodziejstwem jakimś przeniósł na płótno.

Człowiek był ubogi, a dziwnie wesoły i niedbający o grosz a zarobek. Gdy malować poczynął, aż mu się twarz śmiała i ręce trzęsły z radości. To było całe szczęście jego. Na twarzy ospowaty, blady, brzydki, gdy się ożywił przy robocie, prawie się pięknym stawał.

Korzystali z tego ludzie, że on niebardzo dbał o siebie. Była postawiona przez cech cena za obrazy, tyle za Matkę Boską, tyle za Chrystusa ze złoceniem, z wyciskaniem ozdób albo bez nich; tyle z rękami, lub bez rąk. A chciał kto aniola mieć albo dwu, musiał osobno dopłacić. Ale on, gdy mu się aniola podobało namalować, robił darmo i śmiał się.

— Co mi to znaczy ta marna zapłata? — mówił. — Ja, kiedy malując, Pana Boga chwale, tak mi w duszy ciepło a w sercu wesoło, że tego żadne skarby świata nie oplacą. Więc obraz daję tanio.

Widywałem go malującym i duże czasu siedzącym nad deską; potem jednego dnia rano machnął po swej robocie i zmazał.. poszła wniwecz. Mnie żal było okrutny.

— Ale ba — wołał — nie godzi się w świat puszczać tego, co człowiek widzi niedobrem. Póki mam nadzieję, że mi myśl moja na deskę wypłynie, póty pracuję; gdy zrozpaczę, trzeba ścierać i na nowo próbować. Człowiek jest tak słabem stworzeniem, że nie każdej chwili to może, czego chce. Gdy momentu nie dopilnuje, nie robi nic.

Ze ścianami zamkowemi Wielki miał ogromną pracę tak, że niemal wątpił, czy jej podoła; ale razem ochotę do niej tak wielką, że byłby darmo malował. Na jednej z nich król chciał mieć turniej odmalowany, na drugiej koronację.

Było nad czem myśleć, gdzie tyle różnych postaci musiał malarz ustawić, a każdą wiedzieć, jak odziać, jak uzbroić i dać jej twarz osobną, ludzką. Więc brał Wielki wprost z tych, na których codzień patrzył i ubierał nieraz po rycersku pacholków, a żebraków po senatorsku. Jak mu twarz czyja przypadła do myśli, brał prątek ołowiu i na papierze ją sobie zapisał, a potem z niej na ścianę przenosił. Gdy mu dobrze wypadła, śpiewał i śmiał się.

Patrzeć nań i słuchać go pociecha była. Gdy czasem sam pozostał, a zająć go było niepostrzeżonemu przy robocie, kto go nie znał, mógł posądzić, że szalonym był. Do swoich obrazów śmiał się, rozmawiał z niemi, bawił się, jak z dziećmi. Niekiedy przed własnem malowaniem klękał i modlił się.

Przytem był to najmilszy w świecie człowiek dla czeladzi cechowej i dla cechowych panów braci. Nigdy się z niczyjej pracy, choć najlichszej, nie naśmiewał i w każdej wyszukał i podniósł coś dobrego.

Swoje za to roboty bardzo surowo sądził. Raz gdy namalował Matkę Boską karmicielkę z dzieciątkiem Jezus, a była bardzo piękna i jam się nad nią unosić począł, rzekł mi smutnie:

— Co z tego, co z tego, że ona piękna jest, ale po ludzku... taka sobie mieszczańeczka pocziwa i bogobojna, a tej Boskiej macierzy, którą ja w niebiosach widuję, gdy się modłę, na ziemię ściągnąć nie mogę, bośmy oglądać jej nie godni. Albo i Chrystus, Pan mój, co rozwartą ukazuje ranę w boku, cierpi on, ale jakby człowiek cierpiał, nie Bóg.

Raz przy mnie młody, ledwie co wyzwolony malarz cechowy, Siedlak, przyszedł do niego, prosząc, aby mu przeprucha swojego pozwolił do Matki Boskiej.

— Masz — rzekł Wielki, — ale ci się to na nic nie zda, bo ty twój własny przepruch w duszy mieć powinienieś, a jak go tam niema, pożyczyć go nie można.

W tych właśnie czasach, gdy ja nie mając nic do czynienia, przesiadywałem, przypatrując się jak Wielki malował, przybył burzą zapędzony aż tu do Polski niejaki Basilides, Greczyn, który też sztukę, co nasz malarz w Konstantynopolu uprawiał, i był onego czasu w mieście a nawet w kościele św. Zofii, gdy sułtan konno wjechał w ściśnięty tłum. Cudem się on naówczas ocalił i zbiegł na wyspy, skąd go wenecka galera zawiozła do Włoch, a stamtąd do nas przywędrował.

Ten z sobą miał rękopis nieoszacowany o malowaniu wszelkich obrazów, z którego Wielki też uczył się i chwalił go, choć powiedział, że na zachodzie w Europie wiele rzeczy inaczej już czyniono a swobodniej. Greckie owo malowanie, mówił, piękne było, ale sztywne i chłodne, a losy nieszczęśliwego kraju w niem się odbijały, bo wszystkie ich święte obrazy grozy były pełne i srogości.

Wielki zaś powiadał, że Chrystusa i świętych inaczej jak miłosierdzia i dobroci pełnych malować się nie godziło, aby miłość obudzali.

Miał też i on rękopis mnicha niejakiego Teofila, z którego się uczył wiele rzeczy i bardzo go szacował.

Tak mi przy nim dosyć znośnie czas schodził, a gdym mu się przyznał, że ja też kaligrafując, próbowałem marginesy rysować w kwiatki, powiedział mi, że to była też niemała i inna sztuka, niepośledniejsza od malowań na deskach, której się uczyć trzeba było, a mało kto w niej dochodził do doskonałości.

Czasami ów Basilides, Greczyn, który też po słowiańsku umiał i zrozumieć go mogliśmy, siadał w izbie, a podparłszy się na rękę, opowiadał nam o tych strasznych dniach ostatnich Konstantynopola, na których wspomnienie łzy mu się lały.

Gdy począł mówić, przypominać, opisywać, od chwili pobudowania przez Turków zamku Laemocopia (Bogaz-Kesse), który cieśninę uczynił jakby zamkniętą, aż do tych ostatnich dni majowych, gdy Konstantyn padł, nie chcąc przeżyć zdobycia stolicy, a potem i Notarasa święto, wszyscyśmy z nim płakać musieli, taką boleścią tchnęło każde jego słowo po straconej ojczyźnie, grobach ojców, domostwach rodziny i całej przeszłości w gruzach.

Basilides mówiąc o tem, drżał cały, narzekając na to, że Wenecyanie, Genuieńczycy, papież, całe chrześcijaństwo opuściło ostatniego z Cezarów greckich i dało go na łup tej dziczy.

Z tego jednak, co o Konstantynopolu przed zdobyciem jego nam opowiadał, widać było, że zguba jego długimi wiekami przygotowywana, była nieuchronną, a całe męstwo i poświęcenie Konstantyna losu nieprzeblaganego odwrócić nie mogło.

Nie pomnę, aby cokolwiek w życiu na mnie uczyniło takie wrażenie, jak boleść tego człowieka, który utracił ojczyznę i poszedł na tułactwo, wszędzie i zawsze nosząc się ze wspomnieniem niepowetowanej straty.

Basilides malował małe obrazki złożone i bardzo kunsztownie barwione, które na Ruś szczególnie sprzedawał. Mógł łatwo żyć z tego, ale od łez, które wylewał ciągle, wzrok mu słabł i ślepotą groziła.

W tej to izbie, która i później się malowaną zawsze nazywała, gdy raz pod wieczór po wyjściu Wielkiego,

stałem, zapatrując się na jego robotę, otworzyły się drzwi i wszedł niespodzianie król z ks. Lutkiem z Brześcia.

Poznawszy mnie, podszedł żywo i naprzód gdyś w rękę całował, pogłaskał mnie po głowie. Twarz mu spośpinała.

Ks. Lutek odstąpił ku ścianie, a król łaskaw począł się po cichu mnie wypytywać:

— Cóż? zdroweś to już?

A gdyś odpowiedział, że czekam na rozkazy i rad-hym służbę począc, zamyślił się.

— Duchownym ty być pono nie chcesz — rzekł — między rycerstwem jako sierota bez domu a bez szczytu nie przebijesz się... co z tobą począc? Ucz się — dodał po chwili — dzieci moje podrosną, będziesz je kiedyś może dozorował, byleś statecznym był. Ale i baka-larzować im przyjdzie. Mówię ci, ucz się Służba na dworze przy mnie nie ciężka. Zwolni cię ochmistrz od niej, staraj się czegoś nauczyć i dla siebie i dla mnie. Sierotą jesteś, a gdy mi nad tobą opieka przypadła, nie porzucę cię. O tem, co ci się przygodziło, nie rozpowiadaj, nie pomoże rozgłos, a zaszkodzi. Teraz ci się już nic stać nie może, a co było, trzeba puścić w niepamięć. Ojca i matki próżnobyś szukał, gdy oni ciebie nie chcą lub nie mogą wziąć, a ja ci opiekunem będę — powtórzył i dodał raz jeszcze:—Ucz się!

Tak byłem przejęty miłością moją i wdzięcznością dla niego, żeś się, nie zważając na świadka rzucił do nóg zaklinając, iż życie gotówem dać dla niego i jak pies być mu wiernym.

O psie wzmiankę posłyszawszy, król się mimowolnie rozśmiał.

— O! mój Jaszku — zawołał — to darmo; psu w wier-ności żaden człowiek nie dorówna!

Zwrócił się potem do ks. Lutka i zapytał:

— Nieprawdaż, ojczu?

Tamten skinieniem głowy potwierdził. Zaczem król począł rozpatrywać malowanie Wielkiego, osobliwie rycerzy turniejowych i ich uzbrojenie, dziwując się, że

prosty człek ów Wielki tak dobrze rozumiał użycie wszelkiego oręża, i twarze malował jak żywe.

Ks. Lutek ukazywał niektórym na ścianie podobnych do ludzi znanych i znajdował to niewłaściwem, że się oni poznać tu mogli, ale król chwalił.

Gdy się oni tak przyglądali, a ja na uboczu stałem, król mając już odchodzić raz jeszcze się zbliżył do mnie i powtórzył mi to, co wprzód, abym się uczył i dobrej był myśli, bo on sług wiernych potrzebował, mając wielu niedobrych, na dworze siedzących tylko, aby nieprzyjaciołom królewskim donosili, co się tu działo.

Tego dnia powiedzieć moge, skończył się pierwszy peryod żywota mojego, który o przyszłości stanowił.

Dojrzałem w niewoli owej i przejrzałem że przeciw losowi memu i przeznaczeniu płynąć nie powinienem był, ale się mu poddać, dziękując Bogu za to, że mi w potężnej prawicy króla a pana dał opiekę, za którą stać mogłem bezpieczny, jak za szczytem.

Król naówczas już dwu synów miał: Władysława i Kazimierza, a córkę, jeśli dobrze pomnę, jedną, Jadwigę. Co roku też przybywały dzieci, te co były, rosły, miałem już wyznaczone przyszłe miejsce moje około dozoru nad niemi. Począłem więc myśleć, jak się do tego usposobić, nimby chłopcy podrosły. Do kilku lat musieli oni być na niewieścich rękach u królowej, ja zaś miałem czas nauczyć się i pomyśleć nad tem, jakby mi potem służył.

Ochmistrzem ani nauczycielem nie mogłem sobie pochlebiać, aby mnie uczyniono. Na to wybierano zwykle poważnych, starszych i uczonych ludzi, ale towarzyszem i niańką, a stróżem pewnie być mi przeznaczono. Czuwać, aby się im złego co nie stało.

Sobie samemu nie ufając, chociaż od przygody mojej ze Sliziakiem nie rad wychodziłem sam na miasto, postanowiłem udać się do ks. Jana mojego i rady zasięgnąć, a wypowiadać mu się ze szczęścia, jakie mnie spotkało.

Nie zapisałem bowiem tu jeszcze, że nazajutrz potem, gdy król mnie w malowanej izbie znalazł i prze-

mówił, marszałek i ochmistrz oznajmili mi o wyznaczeniu dla mnie stałego jurgieltu, utrzymania dla dwu koni, sukna na odzież, kozucha i wszystkiego, co dworzanie starsi pobierali.

Ochmistrz zaś objawił i to, że mogłem czasu zażywać, jakom chciał dla nauki i do kolegów chodzić, języków się uczyć, gdyż do żadnej służby nie byłem obowiązany, krom do stawienia się każdego wieczora na zamek.

Kończąc to, dodał łagodnie: Patrzajże, iż szczęście własne masz w ręku, a teraz ono od ciebie samego zależy.

Szedłem tedy do ks. Jana, znając obyczaj jego w tej godzinie, gdym był pewien, że go na modlitwie i rozmyślaniu znajdę przed ukrzyżowanym Zbawicielem. Tak się stało; czekałem, aż wstał, a choć się mnie spodziewać ani wiedzieć nie mógł, że przyjdę, zwrócił się ku mnie tak, jakby się znaleźć spodziewał. Niejeden raz przekonałem się, iż miał takie przeczucia wszystkiego, co go spotkać miało. Twarz jego pogodna i jasna, nigdy podziwienia, nigdy niepokoju żadnego nie zdradziła.

— Cóż chłopcze? — rzekł — czy ci się śmieją? odżyłeś już.

A gdym go w rękę całował, on zaś mnie błogosławił, dodał:

— Przyniosłeś mi co nowego?

— Rady prosić przyszedłem—odparłem zcicha.

— U mnie zawsze jedna—rzekł ks. Jan — *ora et labora*, módl się a pracuj. To wszystko.

Chciałem i musiałem się mu wypowiadać ze wszystkiego, słuchał cierpliwie. Nietylko dla mnie miał on tę świętą wyrozumiałość, że się wygadać dał zawsze z tem o czem dawno wiedział i czego się mógł łatwo domyśleć. Widywałem go tak w ulicy słuchającego cierpliwie żebraków, skarżących się bab, stojącego w otoczeniu żaków.

— Bogu dziękuj! — rzekł spokojnie wkońcu. — Drogę masz wyznaczoną. Ucz się, pracuj, staraj godnym się stać zaufania króla, a pamiętaj, jeżeli cię kiedy

Bóg uczyni blizkim ucha i serca tego pana, abyś wiernym mu będąc, pochlebstwem i fałszem dla pozyskania łask się nie skaził. Posługują się czasem królowie i złymi ludźmi, ale nimi pogardzają. Cnota tylko trwale daje poszanowanie, wiarę i powodzenie.

Radził mi potem do kolegów uczęszczać, pilno słuchać, zapisywać to, co z katedry wygłaszają, a czasu drugiego młodości nie marnować.

Przerwał ową rozmowę nadchodzący O. Jan z Dukli, pobożny i świątobliwy mąż, który należał do tych, co się wymową Kapistrana ująć dali do nowej jego reguły. Był on już dawniej w zakonie tym św. Franciszka i starszym się liczył, gdy Kapistran kazał w Krakowie.

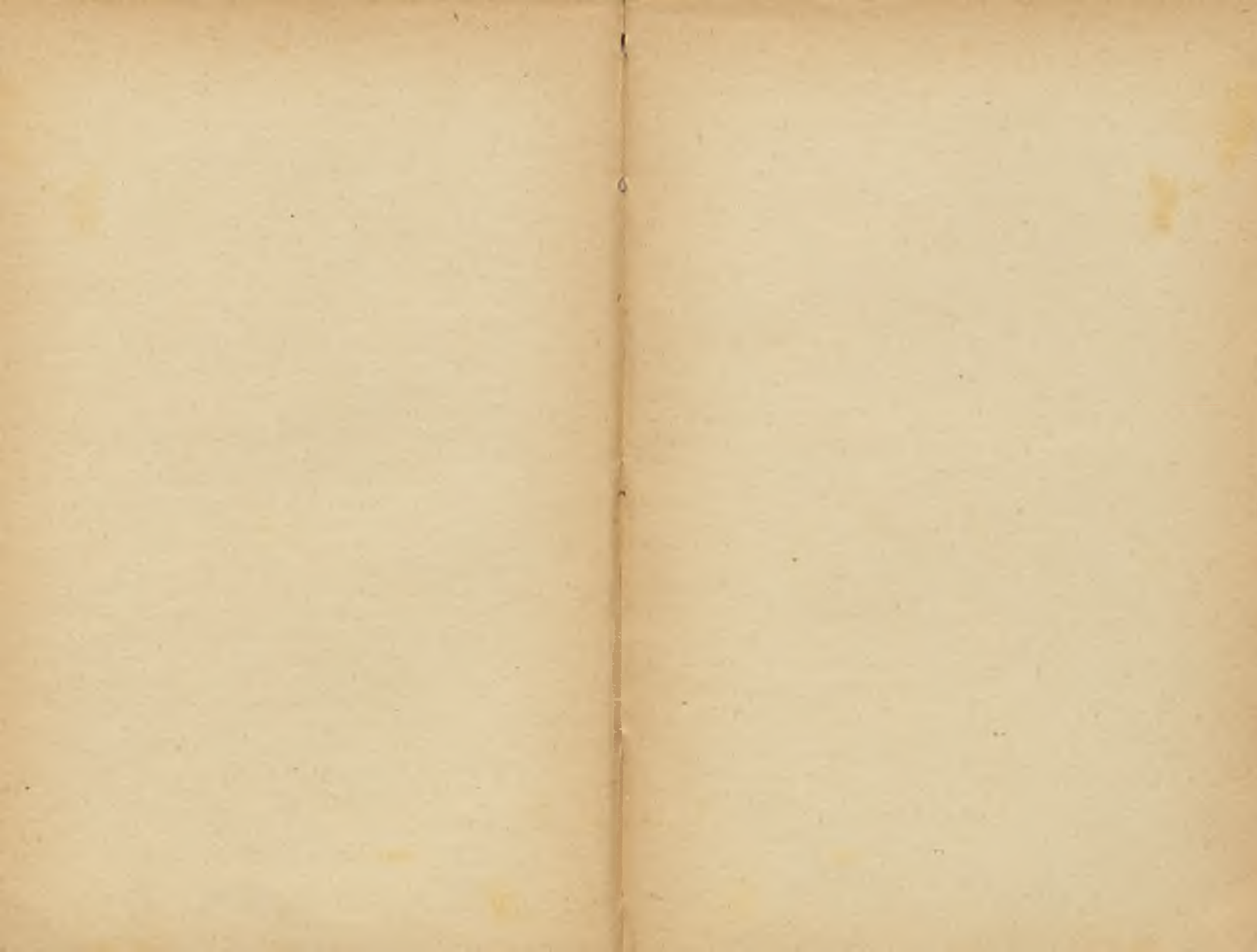
Przybiegł naówczas ze Lwowa, aby go słuchać i ściślejszą regułę jego przyjął zaraz, a stał się nowego zakonu podporą i chlubą.

Odszedłem więc, nie śmiejąc być natrętnym dłużej, aby na zamek powrócić.

Wesołej myśli, bezpiecznie kroczyłem ku Wawelowi, gdy w ulicy św. Anny jeszcze kolebkęm spotkał pańską, której z drogi ustąpić przyszło. Jakież było przerażenie moje i osłupienie, gdy pomijając ją, ledwie mi się nie otarł o Sliziaka.

Stary jechał konno tuż przy stopniu. Rzuciwszy okiem we wnętrze, ujrzałem surowych rysów dumną twarz niewiasty lat średnich. Odkoczyłem w bok... postrzegł mnie Sliziak, brwi mu się jeszcze straszniej najeżyły, gdy mnie poznał, a odrobina lica, które nie było zarostem okryte, pobladła. Rzucił się na koniu, jakby gonić chciał za mną.

W ulicy nie było się czego obawiać, przecież gnany strachem, jak strzała, nieprzytomny, spłoszony, puściłem się ku zamkowi.



Tom II.

Rozpoczynając opisywać drugą część przygód życia mojego, bo ono się teraz inaczej obróciło, a wiekiem też wyszedłem z dzieciństwa, muszę powtórzyć to, com sobie w duszy ku pocieszeniu i pokrzepieniu mówił ciągle:

— Błogosławione niech będzie imię pańskie i wszystko, co z wyroków Bożych na nas przychodzi, albowiem człowiek nigdy nie wie, czem się ma smucić, a z czego cieszyć, czego pragnąć, od czego uciekać, a Bóg losami tych, co mu ufają, kieruje ku dobremu końcowi.

Tegom ja doświadczył w ciągu całego żywota, a przekonałem się, że to, czegom się lękał, wyszło mi na korzyść, a czegom się dobijał, na szkodę... Ludzkie sądy płytkie są, albo widzą tylko jedną stronę wszechrzeczy.

Przeraziło mnie wielce to spotkanie ze Sliziakiem, ale o nim nie wspominał nikomu, a na zamek powróciwszy, rzekłem sobie tylko, że się z niego na miasto nogą sam jeden nie ruszę. Tu, pod opieką królewską, czułem się bezpiecznym. Przecież Sliziak i ci, którym on towarzyszył, zawsze w Krakowie siedzieć nie mogli, a na zamkuby się pokazywać nie śmieli.

Tymczasem to, co już dawniej dla mnie jawnem było, choć naówczas niewiele spraw większych rozumiałem, coraz widoczniejszem się stawać zaczęło.

Król nasz miał przeciwko sobie wielki zastęp duchowieństwa i możnych panów krakowskich, którzy

przejeli jakby spuściznę po kardynale Oleśnickiem. Z za grobu jeszcze nieprzyjaciół ten czuć mu się dawał i nie zostawił króla w spokoju.

Właśnie pod ten czas, gdy Sliziak się ukazał w Krakowie, zjechali się, jak opowiadano w zamku, niemal wszyscy Tęczyńscy, niektórzy z nimi spokrewnieni z Melsztyna, z Tarnowa, z Rytwian, i nie czyniono z tego tajemnicy żadnej, że się gotowali królowi na przyszłym zjeździe srogą wypowiedzieć wojnę.

Król i królowa mieli swoich, którzy im donosili o wszystkim, ale odgródki te dosyć sobie lekceważyli. Król, choć młody, znał już swoich do tyła, iż, co sam słyszałem, nieraz ks. Lutkowi z Brzezia powtarzał:

— Potrzeba dać im się wykrzyć. Gdy się nałają i nagrożą, przestaną na tem. Ja im wszelako ustępować nie myślę, a swoje uczynię, jako postanowiłem.

Dochodziły codzień wieści, iż Tęczyńscy z innymi wołali, że potrzeba króla z tronu zrzucić i na Litwę odesłać, bo mu tą Litwą ciągle wypiekano oczy. Na to król z zimną krwią uśmiechając się, odpowiadał:

— Gdym na Litwie chciał zostać, a wzdragałem się przyjąć korony, ciągnęli mnie gwałtem, przymuszali; teraz, kiedym ją wziął, odebrałby mi radzi, ale tego nie dopuszczę...

Słyszałem, jak król zaraz potem kazał pościągąć dworskie swe pułki i strażę, powiększył je znacznie i uzbroidł silniej. Poleciał zbierać nowe zaciągi na swój koszt. Gruchnęła o tem wieść, więc i wnioski, że król gotuje zamach jakiś na szlachtę, gdy on tylko bronić się chciał od jej napaści.

Tuż pod zamkiem na mieście Tęczyńscy mieli parę swych dworów, tam tedy jawnie, w biały dzień schadzano się, zjeżdżano, obwoływano i przeciwko królowi spiskowano bezkarnie. W mieście nic się tajemnicą zachować nie mogło, i cokolwiek w tem osiem gnieździe postanowiono, zaraz na zamek donoszono. Ale też i z zamku, nawet co król pocichu szepnął swoim, niepoczciwi jacyś na miasto wynosili. Nie było można dojść kto zdradzał.

Pomiędzy tymi nieprzyjaciółmi króla gotowało się i wrzało, na zamku cicho było i spokojnie. Pan nasz mało kogo do rady przyzywał, najlepszą mu była królowa, a ta nigdy niczem odstraszyć się nie dając, mężowi też dodawała odwagi, powtarzając, iż powinien stać twarzą do przy swoim, władzy swej i prawom nie dając czyścić uszczerbku, gdy i tak już siła u jego poprzedników i u niego panowie wytargowali...

Pani była, jak już wspomniałem, wielkiego umysłu i serca, mężna, stateczna, spokojna i nie jak inne niewiasty, które niewczesnym strachem mężów niepokoją, owszem pokrzepiająca i dodająca męstwa. Nieraz widywaliśmy pana, gdy z posępnem czołem do niej wchodził, a posiedziawszy przy królowej i posłuchawszy jej, wracał rozjaśniony i wesół.

Zadora i inni codzień się wymykali na miasto, choć ich tam nikt nie posyłał, tropili, przysłuchiwali się, co się tam działo, co gdzie przeciw królowi mówiono, z czem się odgrażano. Pomagali im w tem mieszczanie krakowscy, którzy prawie wszyscy trzymali stronę króla, a wielu z nich możnych, szczególnie Tęczyńskich nienawidziło. A nie bez przyczyny.

Mieli Tęczyńscy z dawien dawna w mieście posiadłości znaczne, domy i place a grunta, z których miastu ani podatków, ani posłuszeństwa czynić i oddawać nie chcieli. Wprowadzali do miasta bez opłat wszelkich co się im podobało, sprzedawali tu pod ich imieniem i osłoną obcy przekupnie, a czeladź Tęczyńskich zbrojna z pacholkami miejskimi wadziła się i ucierała. Szlachcie zaś i słudzy jego do żadnego sądu nie dawali się pociągnać. Stąd spory i wrzawy, tumulty a bijatyki, ale wkońcu mieszczanie ulegali i milczeli. To im już dojadło wielce.

Krom niewielu biedniejszych, którzy się przy panach żywili i kłaniali im za to... starszyzna, możniejsi, rajcy, zmuszeni ulegać tej przemocy panów, zębami zgrzytali. Teraz zaś, gdy możni przeciwko królowi jawnie spiskować i burzyć się zaczęli, łącznie pojąć, że mieszczństwo poszło na jego stronę, czatując tylko, czy się

nie nada zręczność odplacić za to, co tak długo znosił cierpliwie.

W nieszczanach król miał najgorliwszych sprzymierzeńców, ale miał przyjaciół a wiernych poddanych i w kraju, bo nie wszyscy z Tęczyńskimi trzymali. A najprzód cała niemal Wielkopolska była królewską, czego dowodem najlepszym, że gdy potrzeba było potępić opór kardynała Oleśnickiego przeciw królowi, Wielkopolanie się na to ważyli jedni, a Kazimierz się do nich odwołał.

Stara waśń o lepszą między temi dwoma ziemiami odżyła teraz, i król, oprócz Litwy, miał się na kim opierać.

Tęczyńscy, pomni tego, że oni i Małopolanie za Jagiełły rej wodzili, panowali i rządili, Wielkopolan przekrzycawszy i we wszystkim uprzedzając, teraz też lekce ich sobie ważyli, nie zważając na nich wcale.

Wszystko to razem ująwszy, łatwo wyrozumieć, jak naówczas w rynku i na zamku żywo się poruszali ludzie, a ci, co nie mieli wiele do czynienia, radzi z plotkami biegali to na Wawel z miasta, to z zamku do dworu Tęczyńskich.

Zadora, jako że był chłop gorącego serca, niespokojny, który rad ogień podpałał, aby miał co gasić, kręcił się, jak oparzony, wciskając, gdzie tylko mógł. Nie zawsze przynosił coś ważnego, często plotki puste, ale nigdy z próżnemi rękami nie wracał. Król nie dawał ucha tym gwarom, bo lada komu z niemi do siebie przystępu nie dopuszczał, ale przez starszyzną dochodziło do niego wiele.

W parę dni po mojem spotkaniu ze Sliziakiem, gdy we dworze Tęczyńskich właśnie się gotowało najmocniej, wpadł jednego wieczora zdyszany Zadora, z oczami błyszczącemi, uradowany, głosząc, że osobiwą historię ułowił, która albo niepocziwą potwarzą jest, lub Bóg wie, z czego wyssaną wieścią, od której włosy na głowie z podziwu wstać mogły, bo nigdy nie podobnego na króla nikt się nie ważył wymyśleć. Skąd to wziął, mówić nie śmiał, lecz zaręczał, że źródło było nielada.

— Coś w tem tkwić musi—wołał, — bo to pewna, że tam baba Nawojowa u Tęczyńskich rej wodzi i na króla najwięcej szczuje.

Opowiadał tedy Zadora, że gdy Kazimierza młodzieńskim wysłano panować na Litwę podczas gdy sławnej pamięci Warneńczyk, został wyprawiony na Węgry, aby kardynał Zbigniew sam mógł w Krakowie panować — jedni przeciw niemu spiskować zaczęli, drudzy go opanować usiłowali. Na życie nawet jego nastawano.

Na wileńskim wielkorządztwie siedział naówczas wojewoda Gastold, człek przebiegły, skryty i zręczny. Ten królewicza zaraz w początkach w opiekę swą wziął i pilno około niego chodzić zaczął, zabawy mu wymyślając, polowania sporządzając, ugaszczając go w domu swoim. Tu, choć sam wdowcem był, mając tylko syna i córkę, znajdowało się zawsze na zawołanie towarzystwo wesole, śpiewy i wszelka rozrywka, jaka młodego przyciągnąć mogła, choć Kazimierz płochym nie był nawet za młodych lat swoich.

Naówczas ledwie wyrostkiem rządu na Litwie rozpoczynał.

W domu Gastoldowym poznał W. księżę córkę wojewody, młodszą jeszcze od niego, a urody nadzwyczajnej. Dziewczę było nad swój wiek rozbudzone, żywe i śmiałe. Gastold zbliżania się do córki nie tylko nie wzbraniał, ale nastroczał zręczność do niego, a kobiety przy pannie będące, przez szpary patrzyły na dziecinne zaloty obojga.

Ale w rok czy dwa królowej matce doniesiono, na co się zanosilo, że Gastold bodaj myślał księciu wielkiemu córkę za żonę narzucić? Pobiegła więc gniewna do Wilna, a co się tam stało, Bóg jeden wie; ale Gastoldówna na czas jakiś znikła, wojewoda gniewny wyjechał, Kazimierz chodził bardzo frasobliwy i markotny, a ludzie — ludzie rozpowiadali, że Sonka się opoźniła z przybyciem, bo jej wprzód Pan Bóg dał wnuka.

Był ślub czy nie, ale małżeństwo i miłość rozerwane zostały. Kazimierz z rozkazu matki wyjechał do Grod-

na, potem na Ruś i nieprędko do Wilna powrócił. Gastold zaś, który był ciałem i duszą Kazimierzowi oddanym, stał się zajadłym jego nieprzyjacielem.

Córka jego, bogata wianem i dobrami po matce, piękna i młoda, wkrótce potem została wydana za jednego z Tęczyńskich, gdy nadziei już nie było, aby król polski do niej powrócił. Stąd podżegana przez niemiłą niewiastę większa jeszcze przeciw królowi nienawiść Tęczyńskich. Zadora opowiadał, że ona była duszą i sprężyną spisków wszelkich.

Baśń to była, czy prawda, bo drudzy ją za zmyślenie mieli, utkwiała mi w umyśle mocno.

Spytałem naówczas Zadorę, co się stało z owym wnuczątkiem, o którym wspomniał, boć zawsze dziecko było królewskie. Ruszył na to ramionami i rzekł, że o tem nikt nie wiedział, bo je czy królowa matka, czy król młody, czy może Tęczyńska sprzątnęła, aby świat go nie znał i oczu niem potem nie wykalano.

Dalej tedy ciągnę o losach moich. W rynku pod królami kamienicę miał naówczas bogaty kupiec i mieszczanin krakowski, Mikołaj Kridlar. Stały na niej wizerunki wszystkich dawnych monarchów, bardzo pięknie wyciosane, wyrzeźbione, pomalowane i złoczone. Ludzie się im nadziwować nie mogli.

Przyjaciół mój, malarz Wielki, robotą około nich kierował, ale do rzeźbienia sobie wziął młodzieuchnego pomocnika, o którym opowiadał, że kiedyś po całym świecie zasłynął. Oni to we dwu dzieła tego dokonali. Wielki rysował, Wit Stwoszyk dłutował, a potem we dwu malowali i pozłacali, a gdy odstonięto ścianę, zdało się, że z niej żywi patrzą królowie.

Kamienica przez to stała się najpiękniejszą i najslawniejszą w mieście całym.

Było naówczas i jest jeszcze obyczajem do dziś dnia, że każdy dom pokaźniejszy znak jakiś, godło przybiera i od niego się zowie. Na jednych kamienicach stoją patronowie święci, Chrystus, Matka Boska, Krzysztof święty, na innych stworzenia różne, lew, baran o dwu

głowach, jeleni, okręt, ale Kridlar swojemi królami wszystkich innych w kąć zapędził.

W pierwszych dniach, gdy mur odstonili, gawiedź przed nim, gapiąc się, po całych dniach stała, ukazując sobie palcami i sprzecając się, który Mieszko był a Bolek...

Z tej to próby zachwalony, począł młody Stwosz w Krakowie do kościołów i po dworach pracować.

Kridlar, możny pan, miał tylko dwie córki, dziewczęta urodziwe bardzo, a tak wypielegnowane, wyuczzone, że i szlacheckiemu dworowi zakazyby nie uczyniły. A że za niemi wiana się znacznego spodziewać było można, a szlachta już wówczas bogatemi mieszczankami krakowskimi nie przebiegała, oni się też nie mieli za gorszych od niej, do Kridlara nacisk był wielki młodzieży i rycerstwa z królewskiego dworu. Zabawiano się tu wesoło bardzo, mało nie każdego dnia.

Kridlar, otyły, rumiany, głośno się śmiejący, baryłkowaty, przysadzysty, wesoły człeczyna, szczodrym był i gościnnym. Pochlebiało mu to, że na dworze stosunki miał i spodziewał się dobrze wydać córki.

Dziewczęta, Martochna i Żychna, jak jagódki wyglądały. Pociągało ku nim to, że miały ogładę, a śmiało przytem były, wesołe, śpiewające i każda z nich nawet kilku językami mówiła. Dbał o to ojciec.†

Zaczęli mnie, com od ludzi stronił i od kobiet dotąd uciekał, bo mi strach jakiś wrażały, Zadora i Maryanek namawiać, abym z nimi koniecznie do Kridlara szedł. Opierałem się, gwałtem prawie pociągnęli z sobą, dowodząc, że ja w samotności zdziczęję i zgłupieję.

Pierwszy to raz oglądałem taki dom zamożnego mieszczanina i zdumiałem się jego dostatkiem. Obyczaj był poufalszy, niż gdzieindziej, prostota większa, kłaniać się do stóp nie było potrzeba, śmiano się swobodnie na całe gardło, a przytem chleba i napoju wbród, co najprzedniejszego podawano, bo mieszczanin w to bił, że sprostaliby, jak Wierzynek, królów nawet przyjmować.

Sypała się też do niego czeladź królewska. Stąd

dostawano języka o Tęczyńskich, których Kridlar był nieprzyjacielem jako drudzy, a pono nie od dziś miał z nimi coś na pieńku. Mieszczanie krakowscy od bardzo dawna odgrąжали się na nich, i na wąż motali, szepecząc: odpłacim my im to z nawiązką.

Tymczasem koso tylko spoglądając, ustępowano im z drogi.

Kridlar, jak innych, tak i mnie, przyjął dobrem sercem, ale wszedłszy, przestraszony zaszyłem się do kąta i nie śmiałem ust otworzyć.

Było bo na co patrzeć i czego słuchać. Izba duża, gdyby giełda, sklepiona, oświecona mosiężnymi wielkimi, kilkoramiennymi świecznikami, ławami i stołami okrytymi w kobierce i szafami wielkimi przybrana, wyglądała jakby od święta, choć dzień był powszedni. Wszedłszy na próg, w głowie się zawracało, taki w niej wszędy panował gwar, tyle tam było śmiechu, brzęku i wesela.

Oprócz Martochny i Żychny, na dziewczętach postrojonych, paniach starszych i młodych mężatkach nie zbywało. Wszystko to postrojone w łańcuchy, w zawoje złociste, w czółkach, perłami sadzone, w atłasy i aksamity, ręce całe w pierścieniach; dziewczęta w wiankach, jejmoście w rąbkach, jak królowne.

Jam się tylko zdala przyglądał i przysłuchiwał.

Rad byłem, że Zadora i Maryanek zapozniali trochę o mnie, gdy pierwszy z nich na upartego szukać mnie począł, znalazł, wyciągnął i poprowadził z sobą, gdzie śpiewano i grano na cytrach.

— Patrzajno — rzekł mi żartobliwie, ręką wskazując na dziewczę, które nieopodal na ławce siedziało — toż to smarkaty ten wyrostek jakby stworzony dla ciebie. Nim się rozmyślisz do niej zagadać, hędzie miała czas wyrosnąć.

Spójrzałem bojaźliwie i ujrzałem prawdziwe чудо, jakiegom w życiu nie widział. Była to dziewczeczka, zaledwie z dzieciństwa wychodząca, piękna jak aniołek, z czarnymi ogromnymi oczyma, któremi na przemiany, jakby stworzona, to zbyt bojaźliwie, to nadto zuchwale i niezręcznie

dokoła rzucala. W uśmiechu i wyrazie ustek było coś tak pociągającego, że stanąłem, jak osłupiały.

Oczy się nasze spotkały, i byłbym uciekł ze strachu, ale ścisk był taki, że zamiast w tył, zostałem popchnięty naprzód i znalazłem się tuż przy dziewczęciu i średnich lat wystrojonej jejmości, która siedziała przy niej.

Ta, chociaż nieznajoma, wskazała mi miejsce przy sobie na ławie w sposób tak rozkazujący, że nie rozmyśliwszy się, siadł posłuszny. Zwróciła się ku mnie.

— Ze dworu waćpan jesteś? — spytała.

— Tak jest.

— A jak go zowią?

— Jaszkiem Ofranem — rzekłem cicho.

Uśmiechnęła się, nie wiem czego.

— Cóżes to tu po raz pierwszy, czy co? — poczęła dalej — boś strwożony, jak trusiał!

Nie śmiałem odpowiedzieć, spuściwszy oczy. Tak się jakoś obcesowo brała do mnie, że trwoga moja jeszcze się powiększyła; alem potem języka w gębie zapomniał, gdy nachylając mi się do ucha, szepnęła:

— A co? — odszedłeś już i odżyłeś po swej niewoli na zamku?!

O tej niewoli nikt w świecie nie powinien był wiedzieć i sądziłem, że nikt o niej nie wie. Najsroższe było przykazanie królewskie, abyśmy o tem milczeli. Nierychło podniosłem oczy i wybełkotałem, że niewoli żadnej nie znałem.

— Nie kłam — odparła, śmiejąc się. — Tajemnicą to jest dla wszystkich, ale my, kobiety, przez ściany słyszymy i podpatrujemy.

— Zadora chyba zdradził! — westchnąłem niespokojny i zafrasowany.

— Ani on, ani towarzyszy jego słówka nikomu nie pisał! — odparła żywo — a pomimo to, wie się wszystko.

To mówiąc, poklepała mnie po ramieniu.

— No, ze mną starą nie zabawisz się, młodzik; przysiądź się do Luchny — rzekła wesoło i wskazała na cudną dziewczeczkę — i poznaj się z nią. Wasze wieki lepiej się z sobą godzą.

I popchnęła mnie tak, żem sam nie wiedząc jak przy Luchnie owej się znalazł. Starsza pani, jak gdyby nam przeszkadzać nie chciała, odwróciła się z rozmową do któregoś z przechodzących, a ja nieśmiało oczy podnosząc, ujrzałem przed sobą uśmiechniętą twarzyczkę ślicznego dziewczęcia. Czas jakiś patrzyłem na nią w zachwyceniu, nie wiedząc, jak rozpocząć rozmowę.

— Waćpan tu tak pono obcy jesteś, jak i ja? — zaczęła pierwsza szczebiotać.

— Po raz pierwszy wistocie przyszedłem z towarzyszami — rzekłem — i oprócz nich, nie znam nikogo — a wy?

— Jam ze wsi — odpowiedziała śmiało Luchna — ale miasto mi się bardzo, bardzo podoba. Tak tu gwarno a wesoło, a u nas tak cicho a często i nudno. Nie mogę się napatrzeć Krakowa, tak mi się pięknym wydaje. Po całych dniach z ciotunią biegam, a śni mi się potem, com widziała, po całych nocach.

— A wy? — zapytała — słyszę, że ze dworu króla jesteście.

— Tak jest — odpowiedziałem. — Szczęście to wielkie dla mnie tak dobremu służyć panu.

— No i na dworze też wesoło być musi? — podchwyciło dziewczę ciekawie.

— Nie tak jak tu — odparłem. — Zabaw u nas mało bywa, bo król jeśli się zabawia, to tylko łowami, a królowa dziećmi zajęta... Gdy obcy goście, książęta i panowie przybywają, ucztę bywają wielkie, wspaniałość na nich królewska, ale wszystkiemu steruje powaga. Śmiechu słychać mało, śpiew rzadki.

— A! tom już dworu nie ciekawa — poczęło dziewczę — bo ja śmiać się i zabawiać lubię bardzo.

Spojrzałem na nią, usta miała napół otwarte i rząd ząbków małych, jak perełki białych wyglądał z za różowego rąbku warg.

Musiałem się mimowolnie uśmiechnąć też do niej.

Tak się ta moja pierwsza w życiu rozmowa z dziewczęciem, które mnie oczarowało, rozpoczęła. Ani wiem, cośmy już mówili potem, ale znajomość się zrobiła bardzo

łatwo i tak nam z sobą dobrze było, że gdy nikt nie przerywał, przesiedzieliśmy z godzinę, urywanemi słowy, rozpowiadając sobie rzeczy różne.

Zajęła mnie tak Luchna, żem nawet o tem zapomniiał, co mnie przeraziło — o wydanej tajemnicy mojej niewoli.

Opowiedziało mi dziewczę jakby od niechcenia, w jakim jutro będzie kościele, na której ulicy ją spotkać można, w ostatku nazwało mi dworek, w którym z ciotką mieszkała. Jak długo tu zabawić miały, nie wiedziała.

Po śpiewie wzięto się do skoków i Luchnę mi zabrano, a ja dopiero ochłonawszy, gdy nadchodziła godzina powrotu na zamek, z Zadorą i Maryankiem wynieść się stąd musiałem. Prawie w progu już byłem, gdy mnie spotkało ostatnie spojrzenie Luchny, uśmiech i skinienie głową. Zdało mi się, jakbym słyszał:

— Do zobaczenia!

Zaledwieśmy byli w ulicy, gdy na Zadorę wpadłem, rozpowiadając mu, co mi się zdarzyło i co mi do ucha stara szepnęła. Któż mógł tajemnicę zdradzić, jeśli nie on lub Maryanek. Obawiałem się, aby to nie spadło na mnie. Począłem im gwałtowne czynić wyrzuty.

Zadora stanął zdumiały.

— Człowiecze — zawołał — oszalałeś, czy co! Ja! jabym miał przeciw przykazaniu pańskiemu postąpić! Przeżegnaj się! Klnę się na wszystko, co jest najświętszem, żeby nie otworzyłem.

— A któż? Boć nie ja, o moją skórę chodzi! — krzyknąłem.

— W tem sęk — posepnie rzekł Zadora — Stara ta podejrzana mi jest. Nie wiem nawet, jak się ona u Kridlara znalazła, bo to dumna szlachcianka, a bodaj mąż jej Tęczyńskich sług! Ostrożnym z nią być potrzeba.

Zadumał się frasobliwie on i ja.

Ogarniał mnie strach, ale czarne oczy Luchny rozpędzały go. Byliśmy już pod zamkiem, gdy Zadora dał:

— Trzeba dojść, skąd baba mogła wiadomość tę dostać, a na wszelki wypadek trzymać się od niej zdaleka. Kto wie, co w tem jest skrytego. Świętochna stara bardzo

siostrzenicę ci raila... a to niebezpieczna rzecz i nie bez racyi, gdy się baba do kogo wdzięczy. Bogatym nie jesteś, imienia wielkiego nie nosisz... miejże się na baczności, abyś znowu w jakie pęta nie popadł.

Rozumnie mówił Zadora, ale mnie nie przekonał; czarne oczy Luchny tak mi się śmiały, że dla nich zapominał wszystkiego... Zmilkiałem, postanowiwszy nazajutrz szukać dziewczęcia i widzieć je koniecznie.

— Co mi może grozić? Co złego stać się? Przecież w tem niewinnem stworzeniu zdrady obawiać się nie godzi!

Do śmierci człowiek od niewiasty i jej uroku nie jest bezpiecznym; dał im Bóg siłę wielką, aby nas na próbę wystawił i cnoty wypróbował, ale w latach późniejszych, gdy się już przez jednego ogień przeszło, doświadczenie uczy, a i serce się nie tak łatwo porusza. Pierwsza owa miłość zawsze najstraszniejsza, bo zaślepia i ogłusza, a rozumu pozabawia.

Tak było ze mną. Całą noc prześniłem i przedumałem o Luchnie, a nazajutrz rano byłem już w kościele św. Trójcy, gdzie się ją spotkać spodziewałem.

Przybyłem o jedną mszę za wcześniej i dopiero pod koniec jej zobaczyłem Świętochnę, za którą szła śliczna jej siostrzenica. Ciotka mnie wprzód postrzegła, niż ona, i zdało mi się, że po ustach jej przeleciał uśmiech jakby sztyderski. Spojrzała potem i ona na mnie... a tuż klękły słuchacze mszy, która właśnie się poczyniała. Ja też dla nich pobożny byłem.

Po nabożeństwie już sam nie wiem jak ważyłem się we drzwiach je powitać. Świętochna pierwsza odezwiała się do mnie:

— Odprowadźcie nas do dworku, bośmy same, a w ulicach, czem później na dzień, tem tłumniej.

Nie mogła mnie niczem nad to uczynić szczęśliwszym. Szedłem z nimi, na przemianę mówiąc z ciotką, a patrząc na siostrzenicę... Serce mi się w piersiach rozrastało z uciechy wielkiej. Ale cóż? Droga ta od św. Trójcy do dworku Hermanów wydała mi się tak krótką, że stanąwszy w progu... smutny, żegnać się począłem.

— Wstąp spocząć!—odezwiała się ciotka uprzejmie.

Znaleźliśmy się w izbie. Świętochna poszła zrzucić zwierzchnią suknię, zostałem sam z Luchną. Wczorajsza rozmowa rozpoczęła się z równą żywością, choć co chwila obawiałem się powrotu ciotki. Zabawiła jednak dłużej, niż się tego spodziewałem. Powróciwszy, usiadła i wybadywać mnie zaczęła o dwór, o życie moje, o króla, o królowę i t. p.

Mówiłem bez wielkiego rozmysłu, co na myśl przyszło. Naostatek, zabawiwszy dosyć długo, musiałem się żegnać rad nierad.

— Od czasu do czasu—odezwiała się stara uprzejmie—możesz nas waćpan odwiedzić... My tu mało znajomych mamy, a moja Luchna się nudzi.

Wyszedłem, jak pijany! Co się działo ze mną, co się działo... Radbym był w tej chwili przed całym światem chwalić się szczęściem mojem, a tu właśnie trzeba było zachować tajemnicę... Nie wiem, jak na zamku z twarzy mi nie wyczytali, że sam szalał.

Co się ze mną niedoświadczonym działo, powtarzałem raz jeszcze, tegom już drugi raz nie doznał w życiu. Obawa jakaś, zgryzota, niepokój razem i pragnienie, żeby to wszystko, co mnie czyniło tak nieszczęśliwym i szczęśliwym, razem nie ustawało, ciągnęło się jak najdłużej, przemawiały mnie całego.

Radbym był zaraz nazajutrz pójść do pani Świętochnej, ale lękałem się być natrętnym. Trzeciego dnia poszedłem, dotarłem prawie do wrót, zląkłem się i uciekłem. Kto to wszystko opíše!

Zacząłem wreszcie powoli bywać i nabrałem większej śmiałości. Ciotka i siostrzenica dobrze mnie przyjmowały. Z Luchną jakoś dziwnieśmy się godzili i dobrze rozumieli. Rozmawiałem się w niej straszliwie, alem już naówczas tyle rozumu miał, iż miarkowałem, że z tej miłości nie może być. Sierota bez imienia, ubogi, jak się miałem posunąć do szlachcianki, o której sama ciotka powiadała, że wiano miała otrzymać piękne? O ożenieniu ani myśleć było.

Tegom tylko nie mógł zrozumieć, dlaczego pani Świę-

tochna, mająca doświadczenie i widząca, na co się zanosilo nietylko mnie nie odpędzała, ale aż nadto dawała swobody w domu do zabawy z Luchną.

Posiedziała z nami czasem trochę, potem pod pozorem jakinś wychodziła do drugiej izby, od której drzwi zostawiała otwarte i rzucała nas samych.

Byliśmy z sobą, jak brat z siostrą... codzień lepiej, serdeczniej codzień.

Razu jednego zastałem panią Świętochnę samą. Luchna, jak powiadała, cierpiała na zęby i wyjść nie mogła. Ciotka rozmowę ze mną zaczęła tak rezolutnie i śmiało, jak była zwykła.

— A co, Jaszku—odezwiała się,—Luchna moja ci wpadła w oko, ba i w serce... No, cóż z tego będzie? Ja przeciw waszności nie mam nic, chłopak jesteś gładki, uczciwy i stateczny, choć sierota i bez majątku... ale żeby z tego co być mogło, trzebaby dwór królewski opuścić i na wsi zamieszkać. To dworowanie na nic się nie zdało.

Spojrzała mi w oczy ostro, zmilczałem osłupiony i zdziwiony. Począłem potem bełkocząc, dziękować jej pokornie, mówiąc, że od króla całe zależało i gdyby się co stanowić miało, musiałbym go o pozwolenie prosić.

Uważałem już z dawniejszych różnych pogadanek, że pani Świętochna jakoś do króla serca nie miała. Potrząsnęła głową.

— Nie masz po co ani się króla prosić, ani mu o tem mówić—rzekła—nie pozwoli ci, powie, żeś za młody... Trzeba tak czy owak między nim a Luchną i nami wybierać.

— Najlepiejbyś zrobił—dodała,—żebyś nikomu nic nie powiadając, na koń siadł, gdy my wyjeżdżać będziemy i za nami ruszył... reszta się znajdzie.

Poczęła potem różnemi mnie ludzi obietnicami, mówić o wiosce, która w posagu puszczoną być miała, zachwalać dziewczę, wynosić życie wiejskie, a obrzydzać dworską.

Na to wszystko nie umiając nic odpowiedzieć, wyprosiłem tylko dzień jeden namysłu i uciekłem na zamek.

Rzuciło mnie jak w gorącą kę! Co tu robić? Własnemu rozumowi nie dowierzając, bo tu szło o los całego życia, do

króla też czując przywiązanie wielkie, biłem się z sobą długo, aż nareszcie postanowiłem pod zakłębieniem wielkiem wyśpowiadać się przed Zadorą i o radę go prosić.

Zdziwił się niezmiernie, gdy na osobność go wzywający, całą moją historię opowiadać rozpoczął. Nie posadzał mnie wcale o takie wczesne rozmówienie, a słysząc o pani Świętochnie i jej dla mnie powolności, najeżył się i nasrożył.

— Człowiecze ty prostoduszny—krzyknął, gdy skończył—głuptaszkę jakiś, czyżes tak ślepy, że nie widzisz, iż na ciebie sidła zastawiono? Jawna rzecz, że to pułapka. Mąż Świętochny jest sługą Tęczyńskich, pochwycić cię chcą znowu, a tym razem tak zasadzą, że cię ani król, ani ja nie wydobędzie z dziury! Dziewczynę postawiono jak gęś na wilczym dole, abyś pokusiwszy się o nią, wpadł do niego! Toż w oczy bije! Dlaczego ci o tem tajemnicę zachować kazano, aby nikt oczów otworzyć nie mógł. Szczęście twoje, żeś mi się zwierzył.

Słuchałem i nie mieściło mi się w głowie; spróbowałem zaprzeczyć. Zadora się pogniewał, i jak był szparki, wprost lając mnie począł, powtarzając, że m głupi był.

Ale jakżem ja mógł przypuścić, żeby Luchna ona, te czarne oczy, knuły taką zradę czarną!

Nałajawszy mnie, naburzywszy się, Zadora poszedł, grożąc mi, że gdybym głupstwo takie na własną zgubę miał uczynić, wyda mnie i ochmistrzowi na wieży bodaj wsadzić poleci, jak pijanego, póki bym się nie wytrzeźwił.

Ze zmytą głową cały wieczór spędziłem na rozmyślniach, a że zawsze pobożny był, ofiarowałem się nazajutrz na mszę świętą u ołtarza N. Panny Różańcowej, na intencję własną o dobrą radę.

Rano tedy, a była już jesień, wyszedłem, opończył się otuliwszy. Nie dochodząc do kościoła, patrzę, Luchna moja małemi kroczkami, ze spuszczoną główką idzie zadumana wprost też do św. Trójcy. Za nią nie ciotka, ale stara służka, którą znałem i była mi, jak wszyscy w domu, przyjazną.

Zbliżyłem się do niej. Cofnęła się naprzód jak prze-

straszona, postrzegłem oczy zaczerwienione i niby zaplakanne, schwyciła mnie za rękę.

— Po mszy świętej—rzekła cicho, głosem zmienionym—w kruchcie stań, bardzo pilno mam wam coś powiedzieć. Sam Bóg was tu sprowadził...

Tknęło mnie bolesne przecucie... wiedziałem już, iż coś złego nas czekało. Modliłem się tem goręcej, a Luchna, na którą spoglądałem czasami, zdawała się poruszoną i przejętą.

Ledwie książdż nas przeżegnał, a ona się podniosła, czekałem na nią przy święconej wodzie. Dała znak słudze, odeszliśmy trochę na stronę.

Długo stała, nie mogąc przemówić, głos się wreszcie dobył z jej piersi drżący i cichy.

— Rozstać się nam trzeba—rzekła,—rozstać może na zawsze. Dopiero wczoraj przypadkiem dowiedziałem się, że wam grozi niebezpieczeństwo wielkie, a mnie użyto, aby was wciągnąć w nie... Nie jedźcie z nami, ani za nami! Zaklinam was, czyhają na to! Świata byście więcej nie zobaczyli. Nie powiem wam reszty, bo mi się nie godzi... ale wyrzeczcie się Luchny... dajmy sobie ręce i bądź mi zdrów na wieki.

Lzy się jej z oczów puściły; stałem, jak oniemiały.

— Skądże, jakim sposobem dopiero wczoraj dowiedzieliście się o tem?—spytałem.

— Nocą już, gdy w łóżku była, a ciotka mnie śpiącą sądziła—rzekła po cichu—nadjechał stary sługa pani Nawojowej.

— Ten obrosły, jak niedźwiedź?—przerwałem.

— On sam, Sliziak—ciągnęła dalej Luchna, lzy ocierając.—Poczęli mówić z ciotką o tem, a ona się przechwalała, że z pomocą moją, już was miała w garści. Zdrętwiałam, posłyszawszy z czem się Sliziak odgrażał i postanowiłam, choćby mi na zamek biedz przyszło, przestrzedz was i oznajmić.

Mnie się tak dziewczęcia żal okrutny zrobiło, że włosy z głowy rwać począł. Więc w lament uderzyłem na ten mój los, który mi dał szczęście tylko na chwileczkę, abym je na wieki utracił.

— Ma-li tak być—rzekłem—nie pozostaje mi nic, tylko sukienkę zakonną wdziać i Bogu życia mizernego resztę poświęcić.

Luchna z za łez uspokoić się mnie starała.

— Któż wie—odparła—jak się później rzeczy obróci; mnie choćby za mąż wydać chcieli, nie przymuszają tak łatwo... uczynię się chorą, a kogo mi postawią, potrafię to, że mnie obrzydzi... Czekajmy oboje, ja wam ślubuję wiarę do ostatka, wy mnie, a Bogu resztę polećmy. Patrzy On na serca, a uzna, żeby miał nad nimi miłosierdzie, to nam w pomoc przyjdzie.

Tak słowośmy sobie dali, zwróciwszy się oboje ku oltarzowi, a że stara sługa znaki dawała, Luchna powrócić musiała; kawał drogi ją przeprowadziwszy, słowa już nie mówiąc, bo mi rozpacz gardło ścisnęła, pożegnaliśmy się.

— Nie przychodź więcej—szepnęła mi.—Z zamku tylko dajcie znać przez kogo z czeladzi, że król was z sobą zabrał na łowy, albo wysłał w świat.

Tak się tedy skończyło pierwsze w życiu szczęście moje.

Na zamek przyszedłszy, siadłem przybity tak, iż Zadora zobaczywszy to, zbliżył się lajać.

— Nie bądź głupim—rzekł.—Otrząśnij się i pluń na to. Dziewczyna żalu nie warta, kiedy się użyć dała na taką przynętę.

Nie mogąc się wstrzymać, skoczyłem mu na szyję, wyznając wszystko... Zadorze to pochlebiali, iż tak dobrze zgadł wszystko, węża kręcił i powtarzał:

— A widzisz trutniu, starszych słuchaj... na gorąco dmuchaj, kiedyś się raz sparzył. Oto masz... Ale dziewczynie należy dobre słowo i dank za pocziwość.

Wszystko się tak potem stało, jak było ułożone. Świętochna przysłała dwa razy na zamek po mnie, powiedziano jej, że i za dwa miesiące nie wrócę. Zadora, który na wszystko miał oko — w kilka dni potem doszedł, że jejność z wabikiem wyjechała na wieś do domu.

Ale w sercu i na oczach moich pozostała Luchna zapłaka-

na, tak, jakim ją raz ostatni widział w kruchcie, gdyśmy sobie wiarę poprzysięgali.

Życie mi osmutniało i zbrzydło. Ratując się, chodziłem do kolegiów, słuchając i nie słysząc, co tam prawiono, przesiadywałem przy Wielkim, gdy malował; naostatek, szukając sobie powołania, gdy do niczego mnie serce nie pociągało tak bardzo, ponieważ król do dzieci swych mnie przeznaczał, na bakalarza się sposobić zacząłem. A że mi tego nie starczyło i myślałem, że dozorcy dzieci nie zawadzi też umieć zdrowiu ich radzić, począłem poglądać na medyków, aby i tej nauki coś liźnąć.

Nadwornym króla, krom innych, był naówczas Paweł Gaskiewicz. Do tegom ja najwięcej śmiałości miał, bo był człowiek młody, wesół i nie hardy. Suknię duchowną nosił, choć kapłanem nie był, ale w niej tak swobodnie sobie poczynął, że mu ona do niczego nie zawadzała.

Codziennie się prawie z nim na dworze spotykało. Kiedym z niewoli mojej powrócił osłably wielce, on z rozkazu króla kordyał mi jakiś dawał, poił mnie nim i miał staranie, dopókim do siebie nie przyszedł.

Po Janie Wielkim, malarzu, człowiek to był, co mi najlepiej do serca przypadał. Buty w nim żadnej nie znalazłeś, choć z nauki i z rozumu go wychwalano. Żartobliwy sam z siebie i z drugich szydził chętnie, nikim nie gardząc, z lada prostaczkim przestawał równie chętnie, jak z najmędrszym człowiekiem, powiadając, że od głupich i nieuków rozumu się też uczyć można.

Gdy mi zaświtało w głowie, aby cokolwiek liźnąć medycyny, przyznałem mu się do tego, opowiadając, że król mnie do dozoru dzieci przeznaczał, więc się to przydać mogło, gdy lekarza nie zawsze i nie wszędzie znaleźć było.

Gaskiewicz małego był wzrostu prawie karzeł, głowę tylko miał dużą, zręczny był, zwinny, a gdy się ożywił, skakał i podnosił się na palcach. Lubili go wszyscy. Słuchając mnie, usta tak szeroko otworzył, że w nich zęby wszystkie policzyć było można.

Milczał, ale skóra na głowie, którą miał władzę poru-

szać, jakby wcale do czaszki nie przylegała, zaczęła mu się przesuwac od czoła na tył, z tyłu na czoło i na boki.

— He! he!—odezwał się śmiejąc—to mi zuch! Trochę medycyny! trochę! Ale medycyna nie jabłko, żeby ją można na wpół przekroić i dać kawałek... a my wszyscy, cośmy zjedli wszystek jej rozum, takie osły jesteśmy, że nas często stara głupia baba w kąt zapędzi.

— No, proszę! trochę medycyny!—powtarzał i wziął się za boki—tęgi jeste...

Wtem spojrzawszy na moją zasmuconą minę, spoważniał i rzekł za rękę mnie biorąc:

— Ucz się porządnie i staraj się nauczyć jak najwięcej; zobaczywszy, że ci tego nawet za mało będzie! Żadna nauka człowiekowi nigdy nie szkodzi, chyba, gdy mu jak zły humor do głowy pójdzie i ją zawróci. Czemu byś doktorem nie miał być? Po łacinie cię uczono, weź się do Hipokratesa i Gallena.

Prosiłem o pozwolenie, abym czasem mógł do niego przychodzić i z nauk jego korzystać.

— Ale ja nie nie umiem i sam się uczę, a czuję, że na tę naukę życia jednego mało—rzekł, poruszając ramionami.—My wszystko zgadujemy, a nic nie wiemy.

Pomimo tych wymówek, Gaskiewicz mi i wstępu do siebie nie bronił i nie pogardzał mną, a różne rzeczy mi rozповідаł, jakby do nauki przysposabiając. Dziwak był jednak... Spytałem go czasem, dlaczego naprzykład takie lekarstwo ten, a nie inny czyni skutek. Zaczynał się śmiać.

— Albo my wiemy?—odparł zawsze.—Mówią, że ametyst na żóładku nosząc upić się nie można. Który pijanica tego pierwszy próbował, nie wiem; ale to wiem, że jedno lekarstwo nie jednako każdemu skutkuje; cóż tu pytać przyczyny, kiedy co krok tajemnica! Ja daję lekarstwo wiekami stwierdzone i... darmo. Baba przychodzi palcem kiwnie, zamruczy coś i chorobę odpędzi. Pytaj się przyczyny? Bóg jeden wie wszystko!

Gaskiewicz u siebie trzymał aptekę królewską. Tam dopiero było na co patrzeć. Słoików, słoików, flaszek, pudełek stało na pulkach setkami, a były w nich takie ingrediencye, że na wagę złota i drożej je kupowano.

— Człowiek tak stworzony jest—mówił pocichu,— że gdy mu czystej dasz wody a powiesz, że ona ma w sobie drogi i osobliwy lek, ozdrowieje od niej; więc te kosztowne proszki w ten sposób działają, iż naprzód myśl wyleczą, a przez nią ciało.

Ruszał ramionami.

Mimo tej niewiary, lekarz był doskonały, tylko prostymi bardzo sposobami poczyniał zawsze i szczęściło mu się. Gdy choremu poradzić nie mógł, bywało, że go posyłał albo do ks. Kantego, albo do innego jakiego świątobliwego człowieka.

— Niech cię on pobłogosławi i pomodli się—mówił—to lepiej, niż apteka poskutkuje.

I było tak, jak mawiał, choć ks. Jan się gniewał i zapierał, że on nie ma takiej łaski u Boga, aby nią mógł być pomocnym.

Ciekawość tych arkanów natury trochę mój smutek i utrapienie ukoili. Wtem też nadeszły inne wypadki, które nas wszystkich gorąco zajęły, bo w Krakowie i w całym kraju zagotowało się, jak w kotle.

Lecz nim o nich opowiadać zacznę, muszę wprzód o jednym człowieku napomknąć, który na to, co się dziać miało, wielki wpływ wywarł, choć nie chlubił się z tego.

Rok czy dwa temu wprzód powrócił do Krakowa z Niemiec, kędy go na naukę wyprawiono, młodzieniec możnych rodziców rycerskiego stanu Ostroróg Jan, z Wielkiej Polski, która cała, jakom mówił królowi była oddana.

Jak skoro się tu ukazał w Krakowie, gruchnęła zaraz wieść, że osobliwej nauki i wielkiego umysłu był mężem. Chwalili go bez miary niektórzy, inni napadali nań za jakieś, jak oni mówili, niedowarzone myśli, które w świat bardzo zuchwale rzucił.

Król, który o nim zasłyszał, bo mówiono wiele, kazał mu się na dworze stawić, dokąd go ks. Lutek z Brzezia przyprowadził. Widziałem go naówczas po raz pierwszy. Trudno było spotkać rycerza urodziwszego nad niego, a miał taką postawę pańską, że gdyby go w siermięgę przebrano, zdradziłaby twarz i ruch, że z wielkiej krwi pochodził.

W oczach i na czole też miał wypisany rozum wielki, nad lata stateczność jakąś i powagę.

Wieczora tego, gdy go królowi przyprowadzono, co zwykle z innymi pan nasz czasu nie tracił i prędko ich zbywał, z nim do późnego wieczora przy zamkniętych drzwiach na rozmowie pozostał. Nie było nikogo, oprócz niego i ks. Lutka. Odchodzącego w progu król żegnał bardzo łaskawie.

Nazajutrz przybył znowu, a dni następnych był tak częstym gościem, iż to zwróciło oczy wszystkich. Poczynano mu zazdrościć; przepowiadano dostojeństwa wielkie, do których i krwią swą miał prawa. Tu zaś nie krew, tylko rozum go tak stawiał wysoko u króla.

Skąd i jak nie wiem, w nieprzyjaznym naszymu panu obozie rozeszła się wieść, że młody ten Ostroróg przywiózł królowi z Niemiec jakieś niebezpieczne nauki i rady, jak miał rządzić w domu.

Przypisywano mu, że on króla w tem utwierdził, aby biskupów ani kapitułom samowolnie obierać, ani sobie dawał z Rzymu narzucać, że namawiał do tego, aby siłę zaciężną powiększyć, wzmódz się w posłuszne wojsko i przeciw krnąbrnym użyć bodaj siły, gdy słowo rozumne nie starczyło.

Duchowieństwo nań z obawą i niedowierzaniem spoglądało, czując nieprzyjaciela. Ostroróg wcale ani o to, ani o inne wieści dbać się nie zdawał. U króla był w jawnych łaskach, zresztą mało z kim przestawał, oprócz kilku uczonych, którzy ciekawi byli, co przywiózł od obcych do domu. Z tem się on lada przed kim nie wygadywał.

Król i królowa tak go sobie szacowali, że w początkach, gdy po kilka dni na zamku go nie widziano, posyłano po niego, tęskniono za nim. Zamykano się z nim wistocie, jakby na radę potajemną, skąd też poszły te niedowierzania i obawy.

Że w tem wszystkiem, co o nim rozpowiadano, coś prawdy być musiało, rzecz niewątpliwa. Z uczonymi rozprawiając, podobno myśli nie tail. Potrząsano głowami, twierdząc, że z tych rad, dawanych królowi, może urosnąć wielkie nieszczęście.

W obozie tych, co na króla zagniewani byli, bo im nad sobą nie dawał przewodzić, szczególnie wiele o Ostrogu rozpowiadano, a wkońcu poszły owe rady, zmyślane czy prawdziwe, które powitano okrzykiem zgrozy.

Przededniem św. Idziego, na który był naznaczony zjazd w Piotrkowie, wzięła się z obu stron zawierucha wielka i zanosło na burzę. Widzieli to już wszyscy.

Królowi donoszono, że Tęczyńscy, Tarnowscy, Melsztyńscy i inni, co dawniej z kardynałem trzymali, wprost do tego zmierzali, aby pana z tronu zrzucić, królestwa pozbawić i wywłaszczyć. Gadano o tem na dworze głośno, powtarzano wyrazy tych, co się naradzali nad środkami, szczególnie Jana z Rytwian, starosty sandomierskiego, który z niepohamowanej mowy był znany.

Z drugiej strony, gdy wszyscy, co trzymali z królem, poczęli się ściągać zbrojno i gromadnie, a i pułki królewskie a strażę otrzymały rozkaz ciągnąć z nim do Piotrkowa, Tęczyńscy głosić zaczęli, że się na nich gotuje zamach, iż Kazimierz więzić ich i sądzić zamierza za to, iż praw swych bronić chcieli.

W tych to godzinach, gdy się z obu stron wybierano na nieszczęśliwą wojnę domową, pomiędzy panem, a poddanymi jego, naszego króla widzieć było potrzeba. Nam stojącym zdaleka, gniew piersi rozrywał, wrzało w tych, co Kazimierza kochali. A on tak spokojnie to znosił, tak pogodnem czołem, jak gdyby sprawę najpowszedniejszą. W tem była zawsze wielkość i moc jego, że gniewu nie okazał nigdy, jak gdyby wyżej stał nad tych, co się tam rzucałi i miotali, a swej siły pewnym był, wcale się nie troszcząc o koniec.

Trzeba było widzieć tych, co go otaczali, co doradzali, Ostrorogów, Szamotulskich, ks. Lutka, Kmitów, Gorków, Czechela i innych, jak chwili spokoju nie mieli, jak nieustannie biegali, naradzali się, grozili, przenosili wieści, obmyślali środki, a wśród tego wrzasku stojąc, król czoła nie zmarszczył.

Więc ruszyło wszystko do Piotrkowa, a i mnie też więcej przez ciekawość, niż z potrzeby, napraszającemu się do orszaku pańskiego towarzyszyć dozwolono.

Prawdą to jest, że nigdy jeszcze król się tak ludno i zbrojno nie wybierał na zjazd żaden. Wyglądało to, jakby jechał na wojnę, a on po drodze, dobrej myśli będąc, polował, jak zwykle i bodaj o psach swoich mówił więcej, niż o tem, co nas w tym Piotrkowie czekało.

Gdyśmy tu przybyli, uderzyło nas zaraz, że i panowie krakowscy i z nimi trzymający Sandomierzanie takimi kupami najechali i tak zbrojno, iż nie było gdzie się pomieścić. Dla królewskich straży zawczasu też miejsce na obóz wytknięto dokoła zamku, a Krakowianie się ścisкали i rozkładali, jak mogli. Ciasnota była wielka, który z panów nie przywiózł z sobą dla koni obroków, dla czeladzi chlebów, żywności na sprzedaż zabrakło.

Z wieczora już, gdyśmy z Zadorą poszli się rozpatrywać po mieście, można było zmiarkować, jaka się gotowała walka zawzięta.

Wszyscy swoi niby, każdy gdzie padł, tam siadł, Wielkopoleanie, obok Krakowian, pomieszani, ale tak się to wszystko dzieliło, koso na się patrzyło, jakby do kordów porwać miało. Słyszałeś za sobą, przechodząc:

— Królewska służba! czeladź jego! A to nasi!

Maryanek poszedł do powinowatych swych, którzy z Tęczyńskimi przybyli. Powitano go kwaśno, prawie mówić z nim nie chcąc. Zadora znajomych dawnych od Melsztyńskiego zagadnął po swojemu zuchwale:

— A cóżeście to tak się uzbroili; czy stąd prosto na Prusy myślicie?

Ci mu na to:

— Gołemi rękami nas nie weźmiecie, aniśmy tak bezpieczni, aby się nie mieć w pogotowiu.

— A ktoż was brać myśli? — odparł Zadora szyderczo. — Mnie się widzi, iż gdybyście się dawali, niktby was nie chciał.

Z wieczora na zamku ks. Lutek i Ostroróg zapowiedzieli królowi, iż nazajutrz wystąpią przeciwko niemu Krakowianie.

— A no, z Bogiem! — rzekł król. — Posłuchamy!

Do dnia królewscy ludzie otrzymali rozkaz, na wszelki wypadek stać w pogotowiu i od zamku nie odbiegać.

Inni pono, bez wiadomości Kazimierza, we wrotach i w podwórzu, u komnat króla, wszędzie podwojone ustawili strażę.

Gdy to zobaczyli Tęczyńscy, jeszcze ich gniew większy ogarnął... poczęli się tedy tłoczyć do izby obrad także orężno, jak gdyby się napaści obawiali i zamierzali bronić do upadłego.

W izbie samej, gdy król wszedł do niej, jam nie był, bo tam lada kogo nie wpuszczano, a ścisł nastal okrutny, że i ci, co mieli prawo się tam znajdować, nie wszyscy się dostali. Zdala tylko słyszeliśmy podniesione głosy a wrzawę ogromną, i król zabawił długo, ale potem rozpowiadano, co się działo.

Wyrwał się przodem za wszystkich znany z prędkiej a śmiałej mowy starosta sandomierski i wpadł na króla, że się on zbroi na swe rycerstwo, że je nieprzyjaciółmi swymi zowie, że na nich zasadzkę gotuje. Wymówił to królowi, że Jan Kuropatwa, jakoby z jego ramienia jadących na sejm do Piotrkowa ziemian więził i ranionych trzymał pod kluczem. Dalej wyrzucał mu to, że zawsze Litwie sprzyjał więcej, niż Polsce i ziemie od niej odrywał.

Zapalił się tak, widząc, że król spokojnie słucha, a drudzy go oczyma podlegają, iż ważył się zadać panu marowanie skarbu, bicie złych pieniędzy, naostatek pogroził, iż ziemianie, jeśli nie po ich myśli rządzić zechce, nie przyjdą mu w pomoc ani ofiarą grosza, ani życia.

Po starości sandomierskim drudzy, którzy głos zabierać mieli i obiecali, ułękli się przemówić. Król bowiem nie okazawszy gniewu, usta zagryzał lekceważąco słuchał, spoglądał z góry na mówcę i taki jakiś zachowaniem tem się wraził strach i poszanowanie, że im usta zamknął.

Ostroróg powiadał później, że gdyby król namiętnie wystąpił, sprawęby popsuł swą, a zimną krwią wszystko ocalił.

Gdy Jan z Rytwian, drżąc cały, dokończył mowy niemal się zuchwalstwu swemu dziwiąc i przewidując, jaki koniec czeka to wypowiedzenie wojny w izbie zapanowało milczenie. Król ani zbliadłszy, ni zarumieniwszy się, jak siedział, tak zwolna począł odpowiadać nie starości san-

domierskiemu, na którego nie spojrział nawet, ale całej izbie, jakby go za jej oratora uważał. Wykladał z najzimniejszą krwią, dlaczego ziemie Łucką Litwie dozwolił zagarnąć, bo nie mógł zawczasu jej zająć; wspomniał o pieniędżach, a w ostatku rzekł, że niemniej Polskę, jak Litwę kochał i oba kraje równe miejsce w sercu jego zajmowały.

Tak niewielu słowami ubił Kazimierz wrzawę tę całą, rozognić się jej nie dając. Zwrócono się do spraw pruskich, uchwalono podatek. Prawda, że Krakowianie mu się oparli odkładając ofiarę, ale zresztą to, czego chcieli, podnosząc wrzawę całą, do skutku nie przyszło.

Król w spór z nimi na słowa wdawać się nie chciał, poминаł ich i odsunął, a gdy się Janowi z Rytwian nie udało go rozgniewać i wywołać waśń nikt się po nim nie ważył tego próbować.

Mówiono na dworze, iż znalezieniem się tem, król więcej uczynił, niż odnosząc największe zwycięstwo. Tęczyńscy i wszyscy Krakowianie postrzegli się, że się ich nie lęka i na plac z nimi występować nie myśli.

Młodym naówczas będąc, a zdala poza szrankami stojąc, sądzić o tem nie mogłem, tylko z tego, co koło mnie ludzie poważni rozpowiadali.

Wszelako nie dali nieprzyjaciela pańscy za wygraną. Wichrzyli dalej, tylko już o zrzucaniu z tronu, o wypowiedzeniu posłuszeństwa mowy nie było.

Ażeby królowi dokuczyć, pokoju mu nie dając, zwołano do Piotrkowa powtórny zjazd, na którym już zażalenia wszystkie i skargi spisane, postawić miano i chciano królowi narzucić radę, bez którejby on nic czynić nie śmiał.

Pojechał i król na to zebranie na św. Mikołaj do Piotrkowa, a nie namarszczywszy się, wysłuchał tych dwunastu zarzutów, jakie mu czyniono, które laczno okazał próżnemi.

Zamiast tego, coby ziemianie przeciwko niemu coś postanowić mieli, przeprowadził król owszem na zjeździe podatek na opłatę żołnierza pruskiego. Wszystkiego tego dokazał stałością umysłu, a tem, że się nie gniewał nigdy,

a stał, jako opoka, nie dając się poruszyć i przemagając tą stałością, której drudzy nie mieli.

Tamci się nawoławszy, nagroziwszy, wkońcu zmęczeniu i wysileni poddać musieli. Miał prawda i pan za sobą wielu, którzy w myśl jego szli posłuszni, ale ci też w szermierkę na słowa się nie wdając, tak jak pan, przykładem jego się zachowywali.

O całej sprawie z Krzyżakami, o której onego czasu najwięcej rozprawiano, o układach z nimi, o posłach do Rzymu, rozpisywać się nie mogę, bom mało był w to wtajemniczony, a na bliższe rzeczy zwracałem oko.

Następnego roku narodził się królowi syn Kazimierz, jego imieniem zwany, który z urody swej do najstarszego Władysława był podobnym. W tymże czasie właśnie, gdy pan nasz był najwięcej zaprzątniętym wojną z Krzyżakami i układami w Czechach, nastąpiła okoliczność, która wiele krwi mu napsuć miała, a głośną się potem stała po Królestwie całem.

Mówilem już, iż król postanowił, czyli z porady Ostrogora lub po myśli własnej, ażeby kapitulom wyboru biskupów nie dopuszczać, gdyby nie był po myśli jego, ani też czekać rozkazów z Rzymu do nominacyi ich.

Dwa już biskupstwa tak wedle woli króla obsadzone zostały.

Właśnie jesienią roku tego zmarł na zamku swoim, w Itzy, paraliżem dotknięty, Tomasz, biskup krakowski, mąż świętobliwy, uczony, a słynący z tak nadzwyczajnej pamięci, iż do najpóźniejszych lat cokolwiek posłyszał, bodaj najdłuższą mowę, cokolwiek przeczytał, powtórzyć mógł do słowa.

Zabierała się zawczasu kapituła, w obawie, ażeby jej jak innym, król nie odjął prawa wyboru, wezwać na stolicę takiego człowieka, któryby królowi miłym był, ale przez niego nie wyznaczonym.

Nim do wyborów przyszło, król naówczas w Prusiech bawiąc, przysłał w skok, od siebie do kapituły proboszcza kaliskiego, Żychlińskiego, i miecznika krakowskiego, Wiślickiego, z zaliczeniem aby nikogo innego nie śmiano wybierać, tylko naznaczonego przez niego Jana, biskupa włocławskiego.

A był ten Jan z Gruszczyzna, Jana chorążego sieradzkiego, zawołania Poraj syn, wielkim ulubieńcem królewskim. Pisał się z Iwanowic. Braci miał jednego kasztelanem kaliskim, drugiego podczaszym sieradzkim. Ród był możny i znaczny, on sam zaś człowiek giętki i powolny, dworak, zasługiwać się umiejący, przytem w obcowaniu miły, postawy pięknej i poważnej, włosów i oczu czarnych, obyczaj ujmującego. Królowi umiał służyć a wzbudzić w nim wiarę taką, iż go rad do wszelkich spraw zażywał.

Kapituła go się lękała i mieć go nad sobą nie życzyła. Byli tacy, którzy już przewidywali, że gdy na stolicy siedzie, a król zapotrzebuje na wojnę sreber kościelnych, dać mu je gotów, choć poprzednik odmówił.

Wrzawa tedy i postrach stał się wielki, o którym po całem mieście gębiono. Rozpowiadam to, com słyszał na co niemal patrzałem. Tęczyńscy i inni królowi niechętni pewnie też nieobojętni byli w sprawie, którą Kazimierzowi na przekorę uczynić się spodziewali.

Przededniem Niepokalanego Poczęcia, na który elekcya była naznaczoną, tak się nią troszczono, rozgadywano o niej, obsyłano hasłami, jakby szło o największą sprawę cały kraj obchodzącą.

Nie wymyślono nad to nic lepszego, tylko by i króla nie posłuchać i razem mu się nie narazić, to jest wybrać po myśli własnej, ale takiego człowieka, coby panu miłym był.

A nikt bliższym mu i miłszym się nie zdawał nad ks. Lutka z Brzezia, którego król nieustannie miał u boku swojego. Mówili sobie księża, iż przecie go Kazimierz nie odepchnie, a oni przy swem prawie się utrzymają.

Ale z panem naszym, gdy raz co postanowił, wiedząc, dlaczego to czynił, o lepszą iść było trudno.

Ks. Lutek z obawy narażenia się panu, wyboru nie myślał przyjmować. Dla dokuczenia więc królowi na inny się sposób wzięto, sądząc, że go tem pokonają.

Tęczyńscy i Melsztynscy postarali się o to, aby w Rzymie papież Pius II krewnego nieboszczyka kardynała, syna wojewody sandomierskiego, Jakóba z Sienna, podczas

w Rzymie bawiącego, mocą swą-apostolską biskupem mianował.

Król więc już z nie kapitułą miał do czynienia, ale z papieżem i z Rzymem.

Brat stryjeczny kardynała, spadkobierca jego myśli i przyjaciel tych, co jawnie panu naszemu wojnę wypowiadali, na stolicy krakowskiej!

Król miał na głowie ciężką wojnę z Prusami, sądzono więc, iż sprawie tej nie podoła i ulegnie.

Z tym drugim Oleśnickim miały się począć całą powagą duchowieństwa popierane knowania przeciwko władzy królewskiej.

Radowano się w obozie Tęczyńskich i Melsztyńskich, iż królowi dawano taki orzech do zgryzienia, któremu on podołać w żaden sposób nie mógł.

Stały tedy rzeczy na ostrzu, iż albo król z całą powagą swoją miał upaść, uznać się zwyciężonym i pójść w niewolę, albo Rzym gotował mu wojnę i pomstę, właśnie gdy Kazimierz potrzebował poparcia jego przeciwko Krzyżakom.

Niesłychana nigdy sprawa była na stole. Na jedno biskupstwo trzech elektów: królewski ks. Jan, kapitulny ks. Lutek, rzymski ks. Jakób.

Posłano do króla na zwiady, co myśli. Spodziewali się ci, co z Jakóbem trzymali, że król pogniewa się, zagrożi, ale przed słowem a rozkazem z Rzymu ustąpi.

Z niezmierną niecierpliwością tedy oczekiwano powrotu wysłańców. Niedługo przybyli, ale przywieźli to, czego się nikt nie spodziewał. Jawnie i głośno zapowiedział Kazimierz, gdy mu doniesiono o nominacyi Jakóba w Rzymie, że go do stolicy nie dopuści.

Zdumieli się wszyscy... Miał być wyprawiony do papieża poseł. Wiedzieli Tęczyńscy, iż Pius II nie ustąpi, a a dla własnej powagi Jakóba trzymać będzie, królowi zagrożając.

Czasu tego przyszło mi, zostawionemu w Krakowie, wszystkiego tego, co się tu działo, być świadkiem i słuchać.

Jak przed owym zjazdem Piotrkowskim, tak teraz

niepokój był w umysłach nadzwyczajny, a nieprzyjaciele króla tuszyli sobie, że go przemogą. Ks. Lutek ani myślał o zajęciu stolicy, chociaż kapituła przy nim stała.

W Rzymie za Jakóbem przemawiano, a król, choć się w tej sprawie nie odzywał chętnie, rozprawiać nie myślał nagabywany nie odpowiadał, jedno wkońcu powtarzając:

— Ks. Jan, biskup włocławski, wyznaczonym jest przeze mnie na krakowską stolicę; innego nie znam i nie dopuszczę.

Wtedy spokrewnieni z Oleśnickimi, Jan z Tęczyna, Jan z Melsztyna, Rafał z Tarnowa, Jędrzej Oleśnicki, pojechali do króla prosić za swoim powinowatym, z Rzymu naznaczonym.

Ci, co naówczas przy królu byli, gdy się to poselstwo zjawilo, opowiadali potem, jak je Kazimierz przyjął.

Powitał je twarzą taką, jak gdyby nie wiedział z czym przyjechali. Jan z Tęczyna głos zabrał, słuchał go cierpliwie; przemawiali inni, nie przerywał im. Wkońcu, gdy się wyczerpało wszystko, prośby i groźby, król, który przy stole stojąc, oparty na nim ręką, w górę ciągle spoglądał, odezwał się z zimną bardzo krwią do starego pana z Tęczyna:

— Wzięliście mnie na tron królestwa tego; malowanym tu panem być nie chcę i nie mogę. Com rzekł raz od tego nie ustąpię. Gdybym powolnym był, kłam zadałbym sobie i okazał, że to uczynić chciałem, czego dokonać nie mogłem. Mielizbyście potem poszanowanie i posłuch dla tego, który sam się uznał w błędzie?—Papież jest panem w Rzymie, a ja w Polsce. Szanuję władzę jego w tem, co religii tyczy, ale sobie narzucać moich biskupów nie dam. Za jednym poszliby wszyscy i mielibyśmy tu dwie głowy i dwie władze. Na to ja nie zezwolę. To moje ostatnie słowo.

Rzekł; głową im skinął i odszedł.

Napróżno już potem przez kapelanów, przez urzędników, przez różne osoby do króla trafiano. Zyskali tyle, że Kazimierz zapowiedzieć polecił, iż wszelki opór skarci najsurowiej.

Z wielkiem w sercu oburzeniem przeciwko temu królowi, który praw duchowieństwa nie szanował, głosu z Rzymu nie słuchał, posłowie odjechali, nie chcąc uledeć.

Z ich porady miał ks. Jakób na przekór królowi, wyświęconym być, z ich pomocą dobra biskupie zajeżdżać. Sądził, że gdy raz się dokona święcenie, wprowadzi rzymski nominat, król wreszcie ulegnie.

Nie potrafię zaprawdę opisać tego, a pamięć już dziś nie wszystko strzymała, co naówczas się działo, gdy królowi tę nową wojnę wypowiedziano, a on ją przyjął i nie ustępując na włos, sam rozpoczął.

Ks. Lutek z Brzezia wcale się już nie mieszał do niczego, wszystkiemu zostając obcym. Tymczasem Tęczyńscy, Mielsztyńscy, Oleśnicy gotowali się do walki za swego biskupa.

Wyszedł surowy dekret królewski, skazujący Jakóba z Sienna na wygnanie, zagrażający mu na osobie jego i mieniu, jeśli by się ważył sięgnąć po infułę.

Wszystko to działo się tak głośno, a najmniejszych nawet ludzi tak obchodziło żywo, iż nie było w Krakowie człowieka, któryby tego czasu zmuszonym nie był wypowiedzieć się, z kim trzymał—z królem, czy z tymi, co przeciwko niemu byli.

W rynku, na ratuszu, po sklepach, w ulicach ludzie stawali, udzielając sobie wiadomości, głosząc to, czego sobie życzyli: jedni blizkie zwycięstwo królewskie, drudzy jego upokorzenie.

Z tego, co się wyżej o mieszczaństwie krakowskiem mówiło, łącznie zmiarkować, iż pan je całe miał za sobą. Życzyli wszyscy, aby niepomierne zuchwalstwo panów ukrócone zostało. Ciż sami ludzie, co niedawno na nie się nie oglądając, dwu duchownych, do kapituły należących, ściąg dali, a czuli, że duchowieństwo im tego ani zapomnieć ni darować nie mogło, pragnęli teraz, aby król je do posłuszeństwa sobie zmusił i Tęczyńskim przewodzić nad sobą nie dał.

Wiedzano dobrze o tem w mieście, iż panowie z Tęczyna panu dokuczali, spiskowali przeciwko niemu, spo-

koju mu nie dawali. Mieszczañstwo króla poza sobą czując, śmielszem się coraz stawało.

Gdyby panowie z Tęczyna i ich sprzymierzeńcy całkiem ślepymi nie byli, a długą bezkarnością nie nawykli do tego, że im wszystko szło płazem, mogli byli dostrzedz, że ich tu tak jak dawniej nie szanowano. Nie czapkowano imi nie kłaniano się, ani z drogi tak chyżo nie ustępowano, jak dawniej. Burknął niejeden, ale nie zważano na to.

Z rodziny panów z Tęczyna Andrzej, który miał dom w Krakowie i często się tu ukazywał, był jednym z najzuchwalszych. Niemłody już, rycerskiego rzemiosła, obozowy człek, do wojny więcej niż do obcowania z ludźmi spokojnego nawykły, słynął z grubiaństwa i opryskliwości. Znano go z tego, nie lubiono ich wszystkich, ale Andrzej mieszczańskie i lękali się i niecierpieli.

Na zamku nigdy prawie go nie widywałem, bo tam rzadko gościł; lubił z takimi tylko przebywać, których bardzo szanować nie potrzebował. Najmilszem towarzystwem była mu szlachta z pod tej samej chorągwi, która mu dworowała.

W ulicach nieraz wyprawiał burdy. Mieszczanina i kupca na głos złajając, wyśmiać popchnąć, nic go nie kosztowało. Zdawało się, że dla niego, co szlachcicem nie było, nie miało szczytu i zawołania, to i człowiekiem zwać się nie mogło i do żadnych względów prawa rościć.

Jak ognia się go obawiano i unikano, bo nie jednemu za skórę zalał.

Było to w lipcu roku następującego. Król podówczas zajęty wojną w Prusiech, był pod Inowrocławiem, a my przy królowej na zamku, bo niedomagaliśmy. Czwartek to był, jak dziś poniedziałek, a dzień skwarny, tak, że my nie mając do czynienia nic a nie chcąc się dusić w skwarnych komnatach, wyszliśmy na wały. Maryanek ze mną był, bo go kochało często się na miasto wyrwać i rad był sobie towarzysza do wycieczki znaleźć.

Rzeczce tedy do mnie:

— Gdybyśmy poszli na chłodne piwo do Michny? Anim był za tem, ani od tego.

Pociągnął mnie z sobą i śpiewając, ręce powkładawszy w kieszenie, przodował mi.

Szliśmy, rozglądając się po mieście. Ruszało się dośyć ludu, jak to po skwarnym dniu, gdy chłód nadchodzi zwykle bywa. Roily się ulice. Zaszliśmy powoli tak idąc, śmiejąc się i dworując ku rynkowi.

Tu z Sukiennic, ze sklepów, z ławek, zewsząd lud napływał i gwarno było. Patrzym, kupkami się czegoś u ratusza gromadzą, a niektórzy ręce podnoszą i coś wykrzykują. Poznać było łatwe, iż się coś stało, o czem rozprawiano, mocno biorąc do serca.

W samych drzwiach ratuszowych stała kupa największa, ściśnięta, jakby na coś oczekująca. Dobywały się z niej głosy jakieś, aleśmy ich zrozumieć nie mogli.

Maryanek, którego zawsze świeżbiało palce wetknąć, gdzie nie było potrzeba, biedz począł: ja wstrzymać go chcąc, za nim.

Aniśmy się spostrzegli, gdy ludzie nas ścisnęli, otoczyli i znaleźliśmy się w tłumie, który kołysał się w burzę, jak fala. Słyszę dokoła wołania: Co się stało?—Drudzy powiadają: Klemens, płatnerz, jak szalony na ratusz pobiegł!

Aż tu, gdy tych słów domawiają, z ratusza wyrывa się ten, o którym mowa, Klemens sam z głową odkrytą włosy rozrzucone, jak w domu przy warsztacie był, w skórzanym fartuchu, z młotem za pasem. W mieście płatnerza tego wszyscy znali, miał i w zamku robotę, bo najlepszy ze wszech był, a znał to do siebie. Mało kto się bez niego mógł obejść, bo nikt tak około zbroi wszelkiego rodzaju nie chodził i nie znał się lepiej na niej, nad niego. Pogru-chotane na turniejach nieraz umiał tak wyprostować i wypolerować, jak nowe. Z tego ocierania się o ludzi, którzy go wszyscy potrzebowali, a nieraz prosić byli zmuszeni, aby roboty się podjął, nabrał Klemens śmiałości wielkiej, i nikomu się nie kłaniając, sobie raczej się kłaniać kazał, gdy go kto potrzebował. Człowiek był znany z tego, że sobie nikomu nie dał przewodzić, nie bał się ani rajców, ani wójta, ale serca był dobrego, uczynny i za biednymi się rad ujmował. Słowo jego, gdy się odezwał, znaczyło wiele. Czeladź cechowa, rzemieślnicza, patrzyła na niego na zbo-

rach, jak na głowę swoją i wodza, skinienia wyglądając.

Wybiegłszy z ratusza, Klemens, rękami machając, nie odpowiadając tym, co mu drogę zastępowali i zaczepiali, wprost począł się na rynek przedzierać ku kamienicy Mikolaja Kridlara, rajcy krakowskiego, tej, co pod królami była. Lud ciekawy płynął za nim, a mnie tak pchało, że choćbym nie chciał, inaczej nie mogłem uczynić, tylko za drugimi musiałem.

Patrzę, stoi Andrzej Tęczyński, a z nim domowników kilku uzbrojonych przed samą kamienicą Kridlara a podle niego rajca Kridlar i Walter Kesling. Tęczyński im coś gorąco dowodzi a wykrzykuje, Kridlar z Keslingem odpowiadają. Stary pan przy mieczu, z głową dumnie podniesioną, coraz to więcej głos rozpущcza, jakby skarżył czy groził.

Wtem, gdy Klemens go zobaczył zdala, zbladł. Stał, namarszczył się, ogromną swą pięść zacisnął i wprost na Tęczyńskiego krokiem śmiałym iść począł.

Ten go nierychło zobaczył, aż tuż podle stanął.

Klemens płatnerz rękę do góry wzniosłszy, niemal ku twarzy Tęczyńskiemu gromkim głosem wrzasnął, trzęsącym się od zjadłości i gniewu:

— Myślisz, że ci to ujdzie! Jak Bóg żyw, nie! Lepiej ci się to niebawem opłaci, niż sądzisz!

Słów tych nie pośpiał jeszcze dokończyć, a Andrzej, jak dzik się rzucił, gdy go w kniei psi naskoczą i wrzasnął do swoich:

— A weźcież tego łotra! Małom mu dał... nauczę cię rozumu.

Stało się zamieszanie ogromne, wśród którego słyszałem tylko głosy Kridlara i Keslinga.

— Bójcie się Boga, co robicie. To rozbój... Na krzywdy są sądy.

Ale wkrótce wrzawa ich zagłuszyła, i ludzie, co szli z Tęczyńskim, na płatnerza się rzucili. Dojrzeć już nie było można dobrze, co się tam działo, bo Klemens się bronił jak lew ale siła złego wiele na jednego. Na zbrojnych pacholców z gołymi rękami nikt nie śmiał się porywać. Widać

było tylko zbitą kupę czeladzi Tęczyńskich, która naokół, kogo napadła, razami obsypywała, a w pośrodku Klemensa zmógłszy i na ziemię obaliwszy, znęcała się nad nim, tłukła i nogami deptała.

— Bij, morduj zuchwalca—krzyczał Tęczyński—po główne zapłacę... niech zna na kogo się śniał porywać. Kridlar i Kesling poczęli go za ręce chwycić i odciągać, wołali o pomoc, wszystko nadaremnie.

Dopiero gdy Tęczyński, zobaczywszy na ziemi zbrozonego płatnerza, ustąpił i szedł precz, czeladź jego, swą ofiarę zbitą i znieważoną w ulicy rzuciwszy, pośpieszyła za nim, bo zmiarkowała, że się cisnęło coraz więcej mieszczan zbrojnych.

Poza sobą posłyszałem opowiadających, że to nie był początek, ale koniec sprawy, przed półgodziną rozpoczętej.

Tęczyński dał był Klemensowi zbroję do odczyszczania i naprawy. Miała być tydzień temu gotową. Spotyka go w ulicy, staje i woła:

— Ty, przecherol! Ja na wojnę nie mogę dla zbroi... czemu nie gotowa?

I pogroził mu zdala. Przypadł płatnerz.

— Jam nie wasz chłop, ani najemnik... do rozkazywania mi nie macie nic. Gdy skończę, weźmiecie.

Tęczyński, jak porywczy był, przypadł więc i po głowie uderzywszy Klemensa, za włosy go chciał ująć, ale ten pchnął go silnie i krzycząc, na ratusz pobiegł ze skargą. Z tego wszystko potem urosło.

Gdy pachołkowie Tęczyńskiego odbiegli płatnerza, ten krwią zbroczony, krzycząc, po ziemi się tarzał.

— Patrzajcie! patrzajcie, panowie rajcy, tak się z mieszczany tu obchodzą. Co nam dziś, wam jutro. Zbójom szlacheckim wszystko wolno, nawet tu, na naszych śmieciach nie my gospodarze, a oni.

Nie potrzeba było i tego wołania, bo Kridlar i Kesling gorąco to do serca wzięwszy, podnieśli Klemensa i poczęli krzyczeć:

— Na ratusz! Na skargę do królowej!

W rynku gotowało się i kipiało co żyło; ludźmi jakby siłą jakaś rzucała... Z kup dokoła wyrывało się wołanie:

— Na gwałt uderzyć! Wrota zamknąć, aby zbój nie

uszedł. Kto żyw, niech ciągnie, z czym ma. Nie ujdzie mu to płazem.

Na wszystkie strony śniotano się. Z poza ścisłu, który otaczając mnie, ruszyć się nie dawał, dojrzałem i rozpoznałem tych, których mi niejedną raz pokazywano, iż bez nich w mieście żaden tumult z żydami, żadna zamieszka i bójka się nie obeszła. Tesznar, Wolfram, Kusnieg, Szarlant, Wojciech malarz, któremu przy Wielkim widywał, pijanica i kilku innych zwijali się, ręce podnosili i zbierali do siebie ochotników.

Kridlar i Kesling tymczasem pobiegli na ratusz dać znać, aby inni rajcy się schodzili; gromady płynęły za nimi groźne i warczące.

Można już było zmiarkować, że gdyby nawet rajcy nie chcieli, lud sam sobie gotów był szukać sprawiedliwości. Ledwie tem wstrzymać go mogli niektórzy, iż na zamek do królowej wysyłają.

Inni już i królowej znać nie chcieli, a mścić się na Tęczyńskim. W mieście niewiasty strach ogarnął, bo gdy się pospólstwo zburzy, nikt życia i mienia nie pewien. Z lukiem i traskiem zamykano wrota, uląkwszy się burzy, choć spełna nie wielu wiedziało od czego się poczęła, a nikt ani przeczuwał na czym się skończy. Ale już w niej czuć było grozę i to, że nie łatwo fał się ukołyszą.

Ja ciągle w tym ścisłu zamknięty, jeszcze sam nie władałem. Chciało mi się wyrwać na zamek co rychlej dać znać, ani kroku zrobić nie mogłem. Pchano mnie i rzucono mną to w lewo, to w prawo; co najgorzej, że mi Maryanek gdzieś przystał czy się odbił. Ani go widać było.

Sam wśród nieznałomej gawiedzi siedziałem, jak w łaźni. Zgnieciony tak, że ledwie się obronić mogłem od uduszenia, sam nie wiedziałem, jak się znalazłem pod ratuszem.

Rajcy ze wszech stron nadciągali, jak który stał, gdy mu dano znać; jedni w kaftanach, drudzy w sukni na jeden rękaw narzuconej, zdyszani, przelekli. Pisarze, wójt, ławnicy dobijali się przez tłum do izby radzieckiej, ścigani z ulic wołaniem, chwytni pod drodze przez rozwścieczony tłum, domagający się pomsty za Klemensa. Niektórym pięściami grożono.

— Na tośmy was wybrali... brońcież teraz!

Chwila upłynęła w oczekiwaniu niespokojnem; lud nie tylko, że się nie myślał rozchodzić, owszem, coraz większe gromady go napływały... rozżalenie, gniew rosły.

Patrzałem na to niejedną raz w życiu mojem, gdy się pospólstwo rozdrażnione lada czem do kupy zbieży: już tam ani słowo, ani rozum nie waży nic. Jeden podżęga drugiego i chce go przesadzić; słowo rodzi coraz gorętsze, a od wrzawy do pięści niedaleko. Potem lada szaleniec ręką zamachnie i da znak, a runie wszystko.

Dokoła mnie mieszczanie poczęli wrzeszczeć:

— Zobaczmy! Posłali rajcy do królowej, zaczekajmyż, co powie. Nie da ona sprawiedliwości, to ją sobie sami uczynim, choćby szyję przyszło dać! Krew za krew; jak chamów nas tu ćwiczyć będą!

Tem wołaniem ciżba się coraz rozjątrzała więcej. Ktokolwiek rozumniejsze, zimniejsze słowo chciał wcisnąć, zahukano go, zamilknąć musiał. Jeszcze gorzej skutkowały perswazyje, właśnie, jak w łaźni, gdy wodę na rozpalony kamień leją, a parą bucha.

Ja tu już spełna nie mogłem zrozumieć, ani się polapać, co mówiono.

Na zamku królowa, która pod ten czas słabości się spodziewała, wiedziała już, iż w rynku się burzyło. Zawołano do rady Pieniążka, podczaszego Obulca i marszałka. Ale ci się wcale nie spodziewali, aby z tego, co niebezpiecznego urosnąć miało, a może też im, Boże odpuść, niewiele o panów Tęczyńskich chodziło, choćby im się i co niebardzo miłego przygodziło.

Królowa przestraszona, kazała rajcom oświadczyć, iż uroczyście oświadcza i daje osiemdziesiąt tysięcy grzywien zaręki, że nazajutrz, bo tego dnia już noc nadchodziła, sprawę rozsądzi, zagodzi i załatwi. Rajcy się tem zaspokoić nie dawali, oświadczając, że tu coś zaraz począć trzeba, bo lud okrutnie rozdrażniony pohamować się nie da.

Na co im starosta Pieniążek rzekł:

— Wasza sprawa mieszczan przywieść do opamiętania; wy za wszystko odpowiecie.

Rajcy, którym to na ramiona spadło, wyszli niezmiernie oburzeni i zniechęceni. Kridlar wołał ciągle:

— Niechże się dzieje, co chce... my siły nie mamy!

Tuż u wrót zamkowych czekał na nich lud z przewódcami; kilku znaczniejszych kupców domagało się poskromienia, ratunku. Wtem Kirdlar im rzucił w oczy, z czem powracał.

— Królowa, a raczej starosta, zbył nas czczą obietnicą. My już sami nie wiemy, co poczynąć. Musimy chyba wymierzyć sprawiedliwość, na jaką nas stało.

Tu od słowa do słowa, gdy jeden drugiemu poddawał, co czynić, a nikt nie umiał skutecznie zaradzić, umysły się rozogniły i rozpasaly tak, że ich żadną siłą powstrzymać nie było można.

Klemens z Lurgiem i Szarlaniem, co miał do domu pójść, aby z oczów zejść ludowi, umyślnie pobity i okrwawiony stał i krzyczał, że sprawiedliwości niema, że rycerstwo mieszczan w biały dzień po ulicach morduje. Kto nań spojrzał, serce mu się przewracało i z czem kto mógł i miał, poczawszy od korda zardzewiałego, do drąga okutego, do widel od gnoju, każdy biegł gotów bić i mordować:

Godzina była dwudziesta i trzecia, wieczór zapadał; miasto, co się ukotysać miało, coraz straszniej, głośniejsze, zjadlejsze się poruszało. W ulicach jedno słyszeć było:

— Bij, morduj!

Tyle tylko, że nikt jeszcze nie począł i nie dał hasła.

Rajcy się już opierać ani rozkazywać nie śmieli, dbając o życie własne, a co oni mieli tłumowi, to tłum im rozkazywał. Teszner, malarz Wojtek, Szarlang, których w każdym huczku ulicznym można było spotkać na przedzie, tu też oliwy do ognia dolewali.

Nigdy w życiu nie będąc w takich opałach, strwożony o siebie i o Maryanka, nie przewidując, jak się skończy to straszne zawichrzenie, nie mogąc się jeszcze wyzwolić z tych żywych więzów, w które popadłem, broniłem się tylko od stratowania i uduszenia.

W tłumie tym, który niemal całe miasto zalegał jednem jakby ciałem, cokolwiek na drugim końcu ulicy drgnęło, natychmiast z ust do ust przebiegało podawane, odbi-

jając się stokrotnie. Czego oczy nie widziały, ucho chwyciło mimowoli. Poczęto krzyczeć naprzód, że rajcy lud wszystkich pod ratusz zwoluja, ale ten tak dobrze jak wszystkich wypełniał rynek i oblegał ich.

Wiertelnicy dawno już pozamykali bramy miejskie i strażę w nich postawiono mocną, z tem, ażeby żywej duszy nie wypuszczano, boby się winowajca mógł wymknąć.

Tymczasem, jak mi Borowski nazajutrz mówił, bo zawczasu się zawróciwszy, rychło mu się na zamek zbiedz udało, królowa słała a słała do pana Andrzeja Tęczyńskiego, zaklinając go, aby co rychłej z miasta uchodził, bo rozszalałe pospólstwo miejskie wprost na życie jego godziło. Prosiłi go o to wszyscy przyjaciele, Secygniowski, Melsztyński i syn Jan, który z nim był, aby ustąpił, a wówczas jeszcze ująć lub się gdzieś skryć i wysunąć niepostrzeżonemu łatwo było.

Chociaż czeladzi i zbrojnych przy sobie miał niewielu, dumny pan rozgniewany wcale jeszcze ustępować nie myślał, pewien będąc, że się na niego targnąć nie waży.

— Niedoczekanie ich, abym ja się uląkł i przed nimi uchodził!

Od kamienicy do kamienicy tak przechadzał się sobie, krzycząc i ludzi potrącając.

Królowa powoływała go jeszcze na zamek, gdzie bezpiecznym mógł być, byle wrota zaparto, a niktby się na dworzec królewski rzucić nie śmiał. Ale z królem będąc źle, Tęczyński jemu, ani królowej nic winnym być nie chciał.

Gdy się na niego gotowano i odgrażano, a tłumy zbuzzone pod ratuszem naradzały się, jak mają ciągnąć i gdzie, aby go ująć, ten tymczasem, drwiąc z mieszczan, wodząc za sobą małą gromadkę, przechadzał się po Brackiej ulicy i dopiero, gdy już huknięto, że gawiedź płynie ogromną kupą, zamknął się dla obrony w domu Keslinga.

Właśnie, kiedy się to działo i Wojtek z Szarlangiem dali hasło, a kupy się dźwignęły z miejsca, udało mi się ze ścisku wydobyć.

Trochę miejsca luźnego poruszenie to zrobiło, a ja, korzystając ze swobody, puściłem się naprzód. Tylko prze-

ciwko prądowi nie było sposobu, pociągnięto mnie też na Bracką ulicę, alem pod domostwy się przesuując, gdzie trochę miejsca było, przodem się wyrwałem.

Wtem na wieży u Panny Maryi, nie wiadomo z czyjego rozkazu, w jedną stronę dzwonu bijąc na gwałt, dano jakby hasło do napaści.

Mnie strach ogarnął, bo dokoła natychmiast ozwały się wołania:

— Bij, zabij! krew za krew!

Lud żywiej jeszcze poruszył się zapamiętały, a wskazywano już i krzyczano:

— Na Bracką ulicę! Do domu Keslinga!

Wrzask straszliwy, który tłumy poprzedał, wrzawa i huk przerażający, śnać i Tęczyńskiego wkońcu zmusił pomyśleć o sobie; więc prawie w tej chwili, gdy już nadciągali zbrojni, opatrzywszy się, że w domu tym opierać się nie będzie mógł długo, bo był napół drewniany, i alboby go rozwalono lub podpalono—wyrwał się stąd ze swymi, z Secygniowskim, z Melsztyńskimi, czeladzią i synem do kościoła św. Franciszka.

Przodem biegnąc, widziałem ich, jak nagle drzwi rozwarłszy, kupą zbrojną wyrwali się i biegiem popędzili ku kościołowi.

Na ostatku zdążył syn Tęczyńskiego, Jan, który miecz długi ciągnął za sobą, a ku ojcu patrzył i wołał coś, ale go posłyszeć nie było można. Zdawał się jakby nieprzytomny.

Postrzegłszy, że do kościoła zdążają, miałem ich za ocalonych, ale ciekawość mnie gnęła z nimi.

Jak świat światem nawet największym zbrodniarzom, którzy się do świątyń i ołtarzów chronili, folgowano... Niepodobna było przypuścić, że zajądło pospólstwo w kościele go szukać będzie.

Secygniowski, Spytek z Melsztyna i ilu ich tam było, śpieszyli, popychając się, tylko Andrzej kroku nie podwoił ani się oglądał. Jan ciągnął na samym końcu, ja z boku za nim.

Po drodze stało wszędzie dosyć ludzi i widzieli ucho-
dzających, ale nikt się nie porywał.

Przybywszy pod wieżę kościelną Secygniowski do

drzwi przyskoczył, chwycił zamek i otworzył je... Za nim, Melsztyński i inni weszli zaraz, wszedł i Tęczyński. Tu było najbezpieczniej pewnie, bo drzwi zawaliwszy mocno, albo wschody w części zburzywszy, można się było trzymać przeciwko tysiącom. Bóg wie, co się stało, dosyć, że Tęczyński ledwie wszedłszy, nie dał się wtrzymać Secygniowskiemu, nie dał uprosić i wypadł zaraz nazad z jednym Dojszwonem, sługą swoim. Tłumy już wyjąc nadciągały, były tuż.

Tymczasem Secygniowski i Melsztyński, słysząc krzyki, zaraz drzwi zawarli, a Jan, syn, w ulicy pozostał sam, bo o nim wszyscy zapomnieli.

Tuż był dwór wdowy Krzaczkowej, którą ja z tegom znalazł, że mi bieliznę pierała; domeczek nędzny. Żał mi się opuszczonego zrobiło, a tu już gawiedz była na zawrocie; chwyciłem go, niewiele myśląc, za rękaw.

— Chodźcie żywo, skryję was.

Skoczyłem do okna, bijąc w nie.

— Krzaczkowa, na miłość Bożą, odmykaj, a żywo!

Poznała szczęściem głos mój, bo się już była zawarła i koronkę odmawiała, odryglowała drzwi. Miałem tylko czas jej rzec:

— Jeśli Boga kochasz, o żywot ludzki chodzi, ukryj, gdzie chcesz.

Napoly martwe ze strachu kobiecisko ręce łamało. Nie wiedzieć było, gdzie szukać schronienia. Spojrzałem dokoła, piec tylko z czarnymi czeluściami stał otworem. W lipcu oddawna w nim nie palono, wskazałem go Tęczyńskiemu; zawahał się nieco, ale czasu do stracenia nie było, bo już ulicę tłum zbity nappełnił. Wsunął się do pieca, a ja co żywiej zawałęm otwór deską.

O siebie nie miałem się co obawiać, bo mnie barwa królewska broniła i dużo ludzi znało. Zostałem u Krzaczkowej na straży czas jakiś, zalecając, aby, gdy wyjdę, bez mnie nie wypuszczała schronionego, bom się spodziewałem skuteczniej go ratować niż onby mógł, głowę straciwszy.

Dopowiem teraz już ostatka, na który choć nie pątrzałem, ale mi go potem świadkowie naoczni dobrze rozpowiadali.

Z wieży wysłiznąwszy się z Dojszwonem razem, Tęczyński wpadł do zakrystyi. Zdaje się, że sługa ten prowadził go i miejsce jako najbezpieczniejsze mu ukazał. Nie wiedzieli już sami, co robili. Trwoga straszna opanowała wszystkich, słuchając tego ryku dzikiego, którym się miasto rozlegało. Tłumy oszalałe wyły zemstą i krwi a krwi wołały.

Ludzie miejscowi z Brackiej ulicy stali bezczynni, ale tłum nadciągający ich też nastraszył i zagrzał. Nie myśleli bronić Tęczyńskiego, i na pierwsze zapytanie o niego, wskazali ku wieży i kościołowi. Widzieli, jak się tam z domu Keslinga chronili uchodzący.

Kościół, każdego innego czasu szanowany, teraz przy tem rozbestwieniu nie nie ważył, ani mógł bronić.

Gawiedz świętości poszanować nie myślała, nie miała ani litości, ani pamięci na to, co czyniła. W gorąccę człek nie wie, co mówi, ani co robi, a właśnie tłum biegł taką gorączką uniesiony. Tak samoby był na śmierć szedł, jak śmierć zadawał.

Pokrwawiony Klemens szedł przodem, krzycząc i siepaczków pijanych z sobą prowadził.

— Krew za krew! Bij a morduj! — wołali Wojtek i Teszlar, siekiery do góry podnosząc.

Jedna kupa zaraz ku wskazanym drzwiom do wieży zatoczyła się i we mgnieniu oka łupać je poczęła.

Tymczasem usłuzni już nawoływali:

— Tam go niema! Samowtór do kościoła zbiegł, tu tylko jego pomocnicy!

Rozdzielili się napastnicy, bo im jednej ofiary mało było. Część nie przestawała się dobijać do wieży, bo im bylejakiej ofiary trzeba było, aby pragnienie krwi zaspokoić, druga rzuciła się na boczne drzwi kościoła. Nie wstrzymały ich one ani na chwilę, nikt się nie spojrział nawet, że stał na nich krzyż, który powinien był bronić. Namiętność poganami ich czyniła!

Dojszwon, któremu Tęczyński oddał z prędkości pieniądze, jakie nosił przy sobie, a miało ich być do dwóchset złotych, posłyszawszy huk u drzwi dobijających się

oprawców, głowę stracił i nie wiedział, gdzie się skryć, bo w zakrystyi kryjówki nie było. Wybiegł z niej w podwórze, ale tu wpadł w ręce ludzi, którzy właśnie wyłamawszy furtę, wtargnęli.

Schwycili go ci, co przodem szli i poznawszy w nim sługę Tęczyńskiego, mordować, odzienie na nim szarpać poczęli, domagając się, aby im ukazał miejsce, gdzie się skrył pan jego. Dojrzwon bronił się zrazu, bełkocąc, wreszcie ze strachu ręką drżącą ku zakrystyi wskazał.

Puścili go popchnąwszy tak, że padł na ziemię, a gawieź depcąc, połała się wprost na zakrystyę.

Stała tam jeszcze monstrancya z Przenajświętszym Sakramentem z niesporów przyniesiona, ale i na nią nie zważano.

Tęczyński, innego miejsca nie znalazłszy, za wielką skrzynię, w której ornaty składano, przypadłszy się schował, ale pleców jego część wystawała.

Natychmiast rzucili się pierwsi na niego, porwali i na rękach wynieśli w pośrodek zakrystyi. Tęczyński do miecza się miał, choć mu się z rąk wyslizgał, gdy wtem któryś z przewódców obuchem czy toporem go w głowę ciał tak, że mózg ze krwią trysnął i Tęczyński — Jezus Maryo! tylko krzyknąwszy, na ziemię się zwałił.

Tu go, czem kto miał, kijmi, drągami, nożami i sierami dokonali. Pastwili się, choć już nie żył. Zakrystya cała stała kałużą krwi.

Z krzykiem i wrzaskiem potem okrutnym, z urągówkami szpetnemi wywleczono trupa stąd za nogi.

Chłopiec od rzeźnika sznury do niego przywiązał, zaprzęło się ich kilku i śpiewając a wrzeszcząc, powlekli tak rynsztokami ciało, głową po błocie, aż pod ratusz. Tu je panom rajcom cisnęli pod nogi.

Końca tego onej tragedyi świętokradzkiej a nie-ludzkiej naocznym świadkiem nie byłem; zakryłem sobie oczy, gdy trupa wleczono, a wkoło niego co najgorsi z pospólstwa biegli, błotem ciskając, plwając i naigrawając się.

— Ot tobie! Masz za swoje, zbójco!

Nie dosyć było jeszcze na tem tłumowi pijanemu,

bo pewnie połowa zbójów nie była przy zmysłach. Gdzie po drodze browar i szynk się trafił, chwyтали konwie i pili. Wynoszono im ze strachu.

Okolo wieży cały obóz się położył, oblegając ją, choć księża wyszli, wzywając do opamiętania. Nie pomogło nic, żartowano z nich bezwstydnie.

Do godziny piątej rano ciągle łamano drzwi żelazem okute, które się im opierały; a gdy się znużyli potem, nie ustąpili z miejsca i straż stała ciągle.

Secygniowskiemu, który oknem wyglądał, zapowiedano los, jaki spotkał jego przyjaciela.

Nazajutrz przez cały dzień, choć już szturmów wypuszczać poprzestano, oblężenie nie ustawało... aż rajcy się w to wdali, przyszedli sami, i bezpieczeństwo życia poręczając, zabrali ich z sobą pod strażą na ratusz, skąd trzeciego dnia, zagodziwszy jako tako, wypuszczono.

Szczęściem dla Jana, któremu ja u Krzaczkowej schował, nie opatrzone się wcześniej, iż go na wieży nie było; sądzono, że z Melsztyńskim i Secygniowskim razem się tam ukrywa. Ja tymczasem w ulicę śmiało wyszedłszy, rozpatrywałem się.

Jeszcze raz starej gospodyni zaleciwszy, aby go bez mnie nie śmiała wypuszczać, pobiegłem do blizkiego narożnego domu kanonicznego, który natenczas tuż pod zamkiem trzymał jeszcze ks. Jan Długosz starszy.

Znałem go dawno, że serce miał litościwe, a oprócz tego sprzyjał Tęczyńskim. Byłem pewnym, że go zastanę na nogach, na modlitwie może, bo nocy tej miało kto w mieście spać. Obawiano się wszystkiego. Dzwon na wieży u Panny Maryi ciągle na gwałt jęczał.

Gdym wpadł zdyszany, chłopię mnie ledwie chciało dopuścić do pana. Na hłas u drzwi wyszedł dopiero sam ksiądz Jan, z różańcem w rękę, z twarzą surową i namarszczoną, jaką zwykle miał. Dobrego serca był mężem i unysłu wielkiego, ale w duszy gorczy dużo nosił i z ust mu się wylewała rada, nikogo nie szczędząc. Poznał mnie, czy przypominał sobie, że u ks. Kantego widywał.

— Czego chcesz? dlaczego się dobijasz? co wśród

tych pijaniców robisz? — krzyknął na mnie. — Czy to tu miejsce dworzaninowi i słudze królewskiemu?

Wtedy ja, ośmieliwszy się, wołać zacząłem, że dla miłości Chrystusa proszę, aby mi z sobą chwilę pozwolił pomówić na osobności.

— Ojcie — dodałem — o żywot ludzki chodzi!

Nie mówiąc słowa, zawrócił, prowadząc do izby, w której pracował, a gdzie się obrócić było trudno dla ksiąg pulpity i papierów, co ją zawalały.

W krótkich słowach opowiedziałem mu, com uczynił. Zdumiał się i błogosławiąc, krzyżyk mi nad głową uczynił.

— Ojcie — rzekłem — rady innej niema; chcemy-li życie młodszemu ocalić, ja go tu przyprowadzić muszę, a stąd pogodniejszej chwili na zamek lub za miasto.

— A jakże go stamtąd weźmiesz? — zapytał — kiedy ta szuja oszalała ulice zalega? Pilno to uczynić trzeba, dopóki nie zadnieje, bo go poznają.

Na myśl mi przyszło, żeby mu opończy czarną księżowską i biret, jaki klerycy i księża naszali, zanieść, i tak odzianego przyprowadzić do domu ks. Długosza. Nie było też do wyboru nic innego. Zwinąwszy węzelek, pobiegłem z nim do Krzaczkowej.

Gdy się do pieca zbliżyłem, wywołując go stamtąd, pierwsze słowo, którem od niego usłyszał, było:

— A ojciec! ojciec! co z nim?

Nie chciałem mu serca zakrwawiać i szepnąłem:

— Nie wiem, a nō pewnie się uratował ucieczką.

Oznajmiłem, że Długosz w swym domu czeka na niego. Nie wahał się długo, wyszedł do niepoznania osmolony sadzami, miecz swój ogromny w piecu porzuciwszy. Nałożyłem mu biret i opończy i pod rękę wzięwszy, wyciągnąłem go z sobą.

Nie było daleko od dworku Krzaczkowej do kamienicy kanonicznej, ale nigdy mi się w życiu droga nie wydała dłuższą nad tę.

Chociaż co najzjadlejsze pospólstwo pod ratuszem się znajdowało, nie brakło i tu oszalałych, pomiędzy którymi przechodzić musieliśmy, niemal ich potracając.

Tęczyński szczęściem czy nie słyszał, czy nie zro-

zumiał krzyczących na całe gardło a rozpowiadających o tej zemście krwawej. Nikt po drodze nie zaczął nas, i gdy stanęliśmy przed otwierającymi się skwapliwie drzwiami domu księdza, odetchnąłem lżej. Wpuściłem go wewnątrz, a że mnie już tu nie było co czynić, ku zankowi pośpieszyłem.

O sobie, z jakim szwankiem na ciele i duszy z tej gorącej łaźni wyszedłem, mówić zaniecham. Stłuczony, zбитy, ogłuszony, strwożony tem, com oglądał i przeżyłem, rankiem już dobiełem się do furty, a potem do swoich.

Maryanek i Zadora oplakiwali mnie już, nie widząc powracającego, i sądzili, że mnie też tam nieszczęście jakie spotkać mogło, a Zadora się już na zwiady wybierał.

Opadli mnie z krzykiem i radością całym widząc, abym im mówił, co się ze mną działo, ale z przyczyn wielu całkiem się im spowiadać nie chciałem. Niemilo mi było chwalić się z tego, co było więcej dziełem przypadku, niż mojem, a wreszcie na dworze taka niechęć była do Tęczyńskich, żeby mi to może wyrzucano, com z powinności chrześcijańskiej spełnił.

Musiałem zaraz do łaźni iść, a potem się wyleżeć, taki ból czułem w kościach i po ciele całym, które sincami było okryte.

Doktor Gaskiewicz nadszedłszy, śmiał się:

— Dobrze ci tak! a po coś szedł w tłok? Ciekawość prowadzi i do piekła i do guzów. Masz, czegoś chciał.

Dał mi się czemś wysmarować i na tem się skończyło.

Dopóki na mieście gorączka ta trwała, nie miarkował nikt, co z tego jeszcze dla miasta i rajców wyniknąć może; dopiero gdy dnia trzeciego, po wydaniu trupa, który na ratuszu przez ten czas leżał, wszyscy poczęli potrosze ostygąć, opatrzyli się panowie radni i miasto całe, że za tę chwilę wścieklej zemsty a wypitą krew drogo przyjdzie zapłacić.

Fraszka by byli Tęczyńscy sami, choć i tych siła się znajdowała a możnych i wielkiego znaczenia ludzi,

ale wszyscy powinowaci ich, a dalej ziemianie i rycerstwo tak ziemi krakowskiej, jak i innych, porwali się na wieść o zabiciu Andrzeja jako jeden człowiek, miotając się i wołając, że nie będzie-li przykładnej zemsty i kary srogiej, wszyscy precz pójdą od króla z obozów, z wojska, nie chcą służyć i bronić takiego kraju, gdzie poszanowania dla rycerstwa, przelewającego krew swą, nie było.

Powstało larum ogromne i groźby a narzekania straszne, czemu zniechęcone duchowieństwo wtórowało.

Pewnem to jest, iż w początkach panowie rajcy i mieszczenie ufali w to, iż Tęczyńscy królowi miłymi nie byli, że pofolguje i zemsty srogiej nie domierzy. Ale tu nie o jednych Toporczyków szło, a o cały ten stan rycerski, który się czuł znieważonym i pokrzywdzonym, przeciw królowi powstając, iż on wszystkiemu był przyczyną.

Poszło to wistocie na korzyść nieprzyjaciółom pana naszego, bo jak zwykli byli na niego wszystko walić a rzucać, jak jemu przypisywali to ścięcie pośpieszne dwu księży, jemu podpalanie miast w Czechach, mone-tę fałszywą, wszystko, co złego gdzie się przytrafiło, tak też i morderstwo na karb jego kładli, mówiąc, że powolnością swą mieszczań uzuchwalił i przeciw szlachcie ich podzegał. Na królowę zrzucono winę za to, że pierwszej chwili nie zdołała obronić Tęczyńskiego, chociaż oszczerstwo to było niepocziwe, bo królowa porękę dawała, ludzi słała, czyniła, co mogła, a łzami potem gorzkimi krew tę oblała.

Wobec tego okrucieństwa ludu, który niemi sobie najwięcej zaszkodził, zapomniano o tem, iż zuchwalstwo i duma zabitego Tęczyńskiego, obojęcie się jego z płatnerzem było przyczyną wszystkiego i że nie od dziś dnia ząb miano do jego rodziny, która się tu uważała z dawien dawna stworzoną do rozkazywania i przewodzenia, a żadnego prawa i urzędu znać nad sobą nie chciała.

Do króla, który na owej wojnie pruskiej trwał, a końca jej widzieć nie było, poszły ze wszech stron doniesienia, że groźby. Pojechali Tęczyńscy sami, nie tak,

aby żałobę zanieść, a raczej, aby w obozie rycerstwu krzywdę opowiadając, przeciw królowi je zniechęcić i podburzyć. Głośno się z tem odzywali, że za żadnego panowania mieszczaństwo tak rozzuchwalone nie było, a nie kto inny, tylko oboje królestwo do tego je przy-wiedli, przeciwko ziemianom starając się pozyskać.

Na zamku niepokoju zażyliśmy wielkiego; królowa zwłaszcza, choć pani mężna, bolała nad tem, iż małżonkowi, już i tak obarczonemu, trudności to nowych przyczyni.

Miał on ich i bez tego dosyć, bo się jeszcze toczyła i ta sprawa o biskupstwo krakowskie, w Prusiech pokoju nie było, ziemianie podatków na wojnę odmawiali, a tu przyszło jeszcze dla utrzymania rycerstwa w obozie porękę dawać, iż kara będzie domierzona przykładna. Inaczej rycerstwo się już gotowało, króla porzuciwszy, na-zać do domów powracać.

I mogę to powtórzyć tu, com niejedną raz naówczas słyszał z ust samego pana, a co prawdą było i nie-rychło nią być przestało, że w Polsce nie było króla, któremuby cięższe przypadły rządy nad niego.

Miłości u ludzi, choć na nią zasługiwał, dorobić się nie mógł; nieprzyjaciele się mnożyli, trudności do zwalczania rosły, a za to co dokonał, nikt mu najmniejszej nie okazał wdzięczności. Za ten jeden kraj pruski, który on odzyskał, nikt mu pocziwego nie dał słowa, choć się należała wdzięczność wielka; ofiary tylko czynione na tę wojnę wyrzucano mu ciągle.

Innego umysłu pan więcejby nad tem może cierpiał, on przywykły był złe i dobre znosić spokojnie, a swoje czynić, niewdzięcznością się nie zrażając.

W kilka dni po tej pamiętnej dla mnie nocy lipcowej posłany byłem przez królowę na miasto i po raz pierwszy zobaczyłem je wytrzeźwione, a na oko spokojne. Wszystko niby do swojego dawnego trybu powróciło, ale wpatrzywszy się, czuć było, że po tym szale nastąpił niemały frasunek i późna skrucha.

Czuli to wszyscy, że morderstwo bezkarnie ujść nie

może i tym, co je popełnili, i tym, którzy mu nie zapobiegli.

Na Kridlara i Keslinga winę składano, że w pierwszej chwili stronę Klemensa wzięli gorąco i na ratusz pobiegli lud zwolywać, a potem poręki danej przez królowę nie przyjęli i na gwałt bić pozwolili. Za skrzywdzonego płatnerza mogli się rajcy u króla domagać sprawiedliwości, ale jej sami sobie wymierzać nie mieli prawa i to jeszcze tak krwawej i świętokradzkiej. Na starszyznę teraz żalili się wszyscy, a każdy współudziału w rozruchu się wypierał. Ci, co najwięcej dokazywali, najpierwsi się skryli.

Nim król nadjechał i sprawa się przed nim mogła wytoczyć, już ją stokroć rozebrano i osądzono na rynku w Świdnickiej piwnicy, w Sukiennicach i w ulicach.

Klemens, niedługo czekając, nie mówiąc nikomu nic, warsztat swój porzuciwszy, na konia siadł i do Włocławia, drudzy mówili, że do Żegocia, gdzie rodzinę miał, odjechał, sądu nie czekając. Inni też na Śląsk i do Węgier pousuwali się, ale rajcom mającym kamienice sklepy, handel, uchodzić było niepodobna, choć się głową nalażyć obawiali.

Z ludzi poważniejszych nikt do tego morderstwa ręki nie przyłożył, to pewna, najnędniejsza gawiedź tem okrucieństwem się zmazala; ale ratusz milczał i nie nie radził, a dał się ludowi rozpasać.

Tęczyńscy głosili, że chcą mieć pomstę tak okrutną, jak była zbrodnia.

Weselszej twarzy nikt teraz na mieście nie spotkał, ani śpiewu, ni muzyki. Chodzili wszyscy posępni. Trokskliwsi mienie swe cichaczem wywozili, aby go im nie zabrano, bo grzywny musiały być wielkie.

Poszliśmy z Zadorą pod królów, aby języka dostać a Kridlara pocieszyć. Pustki zastaliśmy u niego, dziewczęta miały oczy zapłakane. On sam chodził z głową spuszczoną, ręce szeroko rozkładając, dowodząc i zaklinając się, że Tęczyńskiemu nigdy źle nie życzył, że ludzi nie jątrzył, ale wstrzymywał, a nieboszczyk sam wyzwał gawiedź przeciwko sobie, lżąc ją i płatnerza publicznie.

Zabiegano wcześniej na zamku i u ludzi, którzy do króla przystęp mieli, aby gniew pański złagodzić; ale nie było nikogo, coby się pośrednictwa podjął, a duchowieństwo teraz scholastyka i kanonika ściętych wypominało i głosiło, że za nich też krwawa pomsta się należy, a Bóg sam ją weźmie.

Sprawa więc dla mieszczan źle stała zawczasu, a ci, co się o życie nieobawiali, wiedzieli, że mieszkaniem przyplacą, bo zbójcy grosza nie mieli, a co bogatsze mieszczaństwo ogromną główszczyznę złożyć musiało. Na dieśiątki tysięcy grzywien zawczasu ją liczono.

Króla powrót poprzedziła obietnica, że po przyjeździe swym sąd złoży i winnych ukarze. Czekali na to Tęczyńscy, a co w początkach po pogrzebie Andrzeja nikt się z nich w mieście nie pokazywał, w kilka niedziel wjechał w kilkadziesiąt koni sam cały kirem odziany, ludzi i wierzchowce w czerni, pan Jan, Andrzejów syn, w biały dzień, ciągnąc do swojej kamienicy pod kościołem św. Michała.

Znać było, iż się już nie obawiał niczego.

Jak na dane hasło potem zewsząd się ściągać poczęli panowie z Tęczyna dla narad z nim, ale na zamku u królowej żaden się z nich nie ukazał.

Spotkawszy się z ks. Janem Długoszem przy zamkowym kościele jednego dnia, gdy mu się zdala pokłonił, palcem mnie ku sobie wezwał.

— Mówił mi pan Jan z Tęczyna — rzekł, — że radby waszmości widział i wdzięczność mu okazał za to, żeś mu życie ocalił. Cóż to tak dumny, że zajrzeć do niego nie chcesz, wiedząc, iż w mieście jest?

— Nie przez dumę to czynię — rzekłem, — ale żebym posądzonym nie był, iż za dobry uczynek choćby dobrego słowa żądam. Com spełnił, to dla miłości Chrystusa i z serca, nic mi się nie należy.

— Pocziwieś powiedział — odparł mi kanonik — wszakże, gdy się komu dobro świadczyło, nie trzeba go upokarzać łaską. Idź wasze do niego, o zdrowie spytaj i pokłoń się. Choć królowi służysz, za złe ci tego nie weźmą.

Pokłoniwszy się, odszedłem, nie mówiąc nic, ale w duszy inaczej myślałem i iść mi się nie chciało. Wtem tegoż samego dnia, ulicą idąc, słyszę za sobą sykanie... obracam się, stoi pan Jan z Tęczyna w progu domu i znaki mi daje. Mimo woli przez myśl mi przeszło, jakim go teraz widziałem stojącym dumnie, a naonczas, gdy do pieca u Krzaczkowej sadzałem.

Nie było sposobu, podszedłem z wesołą twarzą i pokłonem.

— Cóż to wy mnie znać nie chcecie! — zawołał. — Myślicie, że serce mam niewdzięczne? Jako żywo. Prosiłem Długosza, aby was do mnie nagnał, radbym się za żywot wypłacić, boście mi go przy łasce Bożej ocalili.

Przerwałem szybko:

— Dobrzeście rzekli; Bóg to sprawił, a jam był narzędziem jego łaski, i sobie nic nie przyznaję; a proszę was usilnie, abyście mi dobrego uczynku nie psowali myślą o jakimś wynagrodzeniu.

Zdumiał się trochę i wchodząc do dworu, za sobą mnie pociągnął, na sługi wołając, aby wina przyniesiono. Kazał mi tedy przy sobie za stół siąść i pytać począł o pochodzenie moje, o służbę, co zbyteł krótkimi słowami, opowiadając, żem u króla w opiece był. Wstał zaraz potem i przyniósłszy łańcuch wagi niemalej, cisnąć mnie zaczął i przynaglać, abym go wziął jako upominek, nie dla szacunku jego.

Broniłem się, jakom mógł, aż gdy gniewać się począł już, musiałem, nie obrażając go, przyjąć.

Zaraz potem począł rozprawę o tej nocy strasznej, o losie ojca, i rozgorzał cały, gdy przyszło do tego, jakiej pomsty Tęczyńscy żądać będą.

— Nie gawieź pijana winna — rzekł zapalczywie, — bo ta głupia pędzi na głos swojego pastucha, na głos dzwonu, na łada wrzask; winni rajcy, którzy zamiast hamować, bramy pozamykać kazali i na gwałt w dzwon uderzyć.

Mówiąc, to bladł, to czerwieniał, a trząsł się, gdy zaś ojca wspominał, łzy mu po twarzy ciekły, że ich powstrzymać nie mógł.

Zbierałem się odejść, podziękowawszy i wystuchawszy, gdy wóz się zatoczył przed dwór, a tuż do komnaty wpadła kobieta w czerni cała, poczem poznałem, że do Tęczyńskich należała, a z nimi powinowaci, przyjaciele i co było ziemian i rycerstwa, które z nimi trzymało.

Nie spostrzegłem twarzy, gdy wchodziła, ale głos posłyszawszy, struchlałem. Poznałem bowiem w niej tę którą mnie prześladowała. Ona też twarz ku mnie obróciwszy, gdy zobaczyła stojącego za stołem, zbladła, jak chusta i usta jej drżeć zaczęły. Zwróciła się do gospodarza, jakby go pytać chciała, co ten człowiek tu znaczyl i robił.

Jan z Tęczyna, uprzedzając pytanie, rękę ku mnie wyciągnawszy, odezwał się:

— Oto jest ten dworzanin królewski, który mi życie ocalił.

Długo przyjść do siebie nie mogąc, patrzała to na mnie, to po izbie, tylko oddech jej ciężki słychać było. Mnie też uchodzić się chciało co rychlej, a nogi miałem jakby do ziemi wrosłe. Jużbym był odszedł, gdy namarszczoną twarz swą i oczy groźne ku mnie obróciwszy, odezwała się:

— Coście to za jedni?

Tak, jak gdyby nie znała mnie wcale. Nie wiedziałem, co powiedzieć na to, i milczałem, gdy ona oczyma temi i wejrzeniem ciągłe mi się grozić zdawała.

— Sierotą jestem — odezwałem się po namyśle — bez ojca i matki. Bóg jeden wiedzieć raczy, a żali on sam mnie uczynił nim, odbierając rodziców, czy oni się mnie nielitościwie zaparli. Miłosierdziu tylko króla a pana winienem, żem żyw i nędzy nie znoszę, a w służbie jego zostając i mając opiekę, już się tak wielkim sierotą nie czuję.

Posłyszawszy wzmianę o królu, niewiasta brwi namarszczyła srożej jeszcze, twarz jej pobladła, rękę, którą na stole trzymała, ścisnęła i uderzyła nią.

— Nie wierzcie królowi — poczęła gwałtownie. — Psy mu myśliwskie pewnie miłsze, niż ludzie; jeśli się

na jego łaskę spuścicie, niewiele wskóracie. Znamy go dobrze wszyscy: miłuje łatwo, zapomina prędko.

Nie dając jej mówić, wziąłem gorąco króla w obronę.

— Nie godzi mi się nawet słuchać — odezwałem się — nie przeciw panu swojemu, bo nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich najlepszym jest zawsze. Psy swoje miłuje, ale mu przez to i dla ludzi serca stanie, bo go ma wiele.

— Serca! — przerwała krzykliwe, śmiejąc się — nigdy on go nie miał, nigdy!

Nastąpiło milczenie, gdy wtem nadchodzący Spytek z Melsztyna ku sobie gospodarza odciągnął; ja też uchodzić chciałem, ale siedząca u stołu dała mi znak nakazujący, abym pozostał.

Miała w sobie władzę jakąś, żem musiał być posłusznym. Chwilę małą pomyślawszy, głosem zmienionym, niespokojnym, żywo mówić do mnie poczęła;

— Króla miłujecie? A on was, mówicie?

— Nie mogę się skarżyć — odezwałem się — miałem dla niego jestem; ma on większe na swej głowie i ramionach brzemienia, a przecież kiedy niekiedy i o mnie spyta i o sierocie pamięta.

— Los wam wielki przyrzeka? — zapytała.

— Anim ja go żądny, ani mi król obietnic nie czynił żadnych — rzekłem. — Na co mi lepszy nad ten, gdy przy panu zostanę w służbie i życie mu moje poświęcę.

Zarumieniła się mocno jej twarz.

— Ocaliliście życie Janowi — przerwała — Tęczyńscy wdzięczni być umięją. Rzućcie dwór króla, Jan was weźmie do boku i rychlej u niego co zyskacie.

Pokloniłem się milczący, lecz mogła z twarzy mojej czytać, że mnie namowy żadne od króla odciągnąć nie potrafią. Ścigany strasznym wzrokiem tej niewiasty, pożegnawszy gospodarza u drzwi, uszedłem co najrychlej, taką czułem trwogę i niebezpieczeństwo.

Dopiero kawał drogi ulicą odbiegłszy, lżej odetchnąłem, Bogu dziękując, żem się cało wyrwał.

Roku tego zmarła stara królowa Sonka, ruska księż-

niczka, do późnego wieku zdrowa i krzepka, a zawsze czynna jeszcze, którą sprawy krajowe i domowe tak obchodziły, iż się nic nie stało, o czemby nie wiedziała, rady nie dawała i udziału nie wzięła.

Przywiązana do syna, do synowej i wnucząt, ciągle się niemi zabawiała. Z owoców dostawszy febry, gdy Gaskiewiczza, ani z lekarzy żadnego słuchać a lekarstw przyjmować nie chciała, choroba i wiek górę wzięły.

Do króla musiano ślać po rozkazy około pogrzebu, ciało w kościele św. Michała złożywszy, a że on sam zjechać nie mógł tak rychło, pochowano ją w kaplicy, którą ona sama kosztem swoim zbudowała. Mówiono, że w spadku synowi okrom niewielu klejnotów, długi tyłko zostawiła.

Króla tymczasem wstrzymywały zdradziectwa onych miast pruskich, które to mu się poddawały, to na stronę Krzyżaków przechodziły, i nierychło powrócił, a naprzód musiał zająć się sprawą mieszczan krakowskich, o którą Tęczyńscy i całe rycerstwo nalegało.

Sądzić ich miano nie w Krakowie, ale w nowem mieście Korczynie, dokąd ich też pozwano, aby nie burzyć znowu mieszczaństwa i do zamieszek nie dać powodu.

Wzięli sobie za obrońcę i rzecznika Śreniawitę, szlachcica Jana Oraczewskiego, który się za wielkie pieniądze podjął za nich stawać. Doradził im też naprzód, choć niektórzy do Korczyna przybyli, aby się przed sąd nie stawili, gdyż mieli stary przywilej królewski, iż gdzieindziej przed sąd pociągani być nie mogą, tylko w Krakowie.

Oraczewski omal życiem nie przypłacił tego, że się dał mieszczanom kupić. Śreniawici i inni mieli to sobie za zakale, że przeciwko szlachcie stawał za mieszczany. Już się nań odgrażano, gdy do sądu szedł, tak, że go musiano otoczyć i zabezpieczyć, aby szablami nie został zrabany.

Tu, gdy przed królem stanął, zagadnięto go zaraz kędy miał i jaką moc przemawiania za mieszczan krakowskich? A że się nie zaopatrzył w pismo od rajców,

bo nikt nie myślał, aby go o nie zagadnięto, skazano wnet samozwańca na trzy grzywny kary.

Okazało się, iż nie miał ich dla zapłacenia, kazano go wziąć do więzienia. Stało się to naprawdę, ażeby mu życie ocalić, bo gdyby nie pachołkowie, nie uszedłby z niem cało.

Tęczyńskich powinowaci zmówili się napaść na powracającego i zamordować za to, iż sprawę mieszczańską popierał. O czem gdy królowi zawczasu podszeptnięto, rozkazał w ten sposób ochronić go, a potem puścić kryjomo, aby z życiem uszedł.

Pierwszy ten krok w sprawie mieszczań na niczem spełził, z czego też Tęczyńscy nie radzi byli, przypisując królowi, iż umyślnie folgował winnym. Oprócz tego król trafił, powracając, na umysły przeciwko sobie poburzone okrutnie z powodu tej sprawy o biskupstwo krakowskie, o którym wyżej było. Starły się z jednej strony opór żelazny duchowieństwa, z drugiej niezłomna wola króla.

Kanonicy wszyscy wołali głośno, iż męczeństwa pragną i gotowi są na nie, wywołać je chcieli, a król znalazł służki gotowe, co się nie wahali targnąć na kapłanów.

Dnie to były smutku i żałoby.

Z kapituły, którzy się najwięcej i najgłośniejsze opierali, Pieniążek, starosta krakowski, pachołkom swym kazał pochwyć i z miasta precz wyświecić. Nie było litości z jednej strony, a z drugiej bodaj żądano, aby na widok gwałtu lud się przeciwko królowi zburzył.

Nie patrzałem na to, ale miasto całe rozpowiadało potem i nie mogło się ukoić, gdy kanonika Krzyżanowskiego, Mikołaja Bohdana, wikaryuszów kilku i misyonarzy, pachołkowie z ich domów wypędzwszy, jak stali w komżach i almacjach przez miasto, gdyby zbrodniarzy pędzili.

Lud się tłumnie zbierał i towarzyszył im aż za wrota, nie mogąc zrozumieć, za co wyświeceni być mieli, a wszelkie ich mienie rozgrabione. Ale na króla jednakże mało kto co rzekł, bo miarkowano łacno, że bez wielkiej winy nigdyby takiej kary nie wymierzył.

Zawiedli się ci, co z tego męczeństwa wiele sobie obiecywali. Przez dni kilka rozprowadano o tem, głowami potrąsano, wreszcie zabyto. Ci co króla bronić chcieli, dowodzili, że nie on rozkazy wydawał tak srogie, ale Jan, biskup wrocławski, który się mścił na kapitule, że go przyjąć nie chciała.

Mało co duchownych doradzało królowi posłuszeństwo, inni papieżem się zasłaniali, a ci, co czasy kardynała Oleśnickiego pamiętali, zawsze się spodziewali, że do nich i do panowania powrócą.

W sobotę po św. Tomaszu, razem z królem z nowego miasta Korczyna przybyliśmy nazad do Krakowa. Ile razy pan nasz tu był, zawsze mnie to do służby, to na pokoje wyznaczano, nie wiem, czy z rozkazu jego, czy z przypadku.

Teraz też ciągle byłem pod jego boki i wszystkim świadom był, co się działo, bo choć sam nigdy na podsłuchy niezwykle był chodzić, drudzy szeroko rozprowadali, co i gdzie który pochwycił.

Sprawa mieszczań, jakem się mógł przekonać, nie tyle króla obchodziła, co biskupia. O tej, gdy go zagadnięto, choć krwi ziemnej nie tracił nigdy, oczy mu się zaostrzyły, a z ust zawsze jedno wychodziło:

— Taka jest wola moja, musi być tak, nie inaczej.

Im opór kapituły rósł więcej, tem król mocniej stał przy swoim.

Pieniążkowi nie rzekł nic, gdy mu z zażaleniem na niego doniesiono, iż pachołkami kanoników z miasta wyświecał. Myślano, że nagani—zmiłczał.

Do tych, co się królowi przypochlebiając, najraźniej mu do wszystkiego służyć gotowi, na nic się nie oglądając, należeli dwaj z Kurozwęk: Stach i Dobek.

W sobotę wieczór, zaledwie król przybył i do królowej naprzód szedł, bo się dla ulżenia sercu naprzód przed nią musiał uskarżyć i rozmówić o wszystkim, co go spotykało, obaj Kurozwęcy zjawili się na zamku.

Król wyszedł do nich. Wpadło mi w ucho, gdy star-

szy z nich parę razy nazwisko ks. Jana Długosza z niechęcią jakąś wymówił. Nastawiłem ucha pilnie.

Mowa była o tych, których Pieniążek wygnał z Krakowa, a Stach z Kurozwęk dowodził, że ci daleko mniej byli winni, niż Długosz, wychowanek i ulubieniec nieboszczyka kardynała, który wszystkich podżegał, do oporu zachęcał, na pamięć im przywodził, jak w podobnych razach Oleśnicki stałością swą nieuleknioną zwyciężał.

Król milczał pośępnie.

Nalegali obaj Kurozwęcy, iż póty się duchowieństwo nie podda, aż na Długoszu król przykład uczyni i równie go z innymi ukarze.

Posłyszawszy to, a znając pana, iż mu w tej sprawie biskupiej na sercu leżało, aby zwyciężył, nie wątpiłem już, że Kurozwęcy dostaną polecenie jego też z miasta, z kamienicy i z tego, co trzymał wyrzucić.

Żał mi się wielki stał, bom szanował człowieka tego. Znano go, jako niezbyt królowi chętnego; wiadano, że Tęczyńskiemu dał przytułek, wszystko to groźnem się zdawało. Nie myśląc długo, wyprosiłem się u ochmistrza dla zmyślonej potrzeby na miasto. Nigdy mi nie zbraniano tego, bom też nie nadużywał swobody.

Dom kanoniczny był blisko tuż; pobiegłem do niego. Pewien byłem, że zastanę Długosza nad księgami lub modlitwą. Poratować go nie było w mej mocy, ale przestrzedz czułem obowiązek.

Zobaczywszy mnie u siebie, o tej porze niezwyklej, rozśmiał się smutnie. Położył pióro, z którym siedział nad księgą, i zwracając się ku mnie, spytał, czy znowu dla kogo schronienia nie potrzebuję?

— Nie, ojciec mój — rzekłem — a nawet może zdradę popełniam teraz, wynosząc z zamku, com przypadkiem usłyszał, ale mi Pan Bóg grzech ten przebaczy.

Spojrzał na mnie ostro i głową potrząsł.

— Mów jaśniej — rzekł — czas drogi!

W krótkich słowach zamknąłem opowiadanie moje. Słuchał, nie mrugnawszy, nie okazując ani zdziwienia, ni przestrachu, patział w ziemię.

Gdym skończył, zwolna głowę podniósł i oczy.

— Dawno się tego spodziewałem — rzekł spokojnie, — ani to mnie minąć mogło. Bóg zapłać za dobrą wolę twoją, chłopcze, bo przynajmniej papiery a księgi w bezpieczniejsze miejsce ukryję. Zresztą nie pożywią się u mnie. Skarbów nie zbierałem i nie mam ich. Księżowskie mienie w kościoły i na bursy poszło, jak było powinno.

Ramionami poruszył.

— Lepiej może do nowego grzechu im nie dawać pobudki i z oczów zejść.

To mówiąc, wstał, spojrzał na stół i księgi, jakby mu je żal było rzucać, westchnął i podszedłszy ku mnie, za głowę ścisnął, błogosławiąc:

Powróciłem co żywiej na zamek, z własnem sumieniem się spierając, czym dobrze uczynił i za czyją stronę ono przemawiało.

Tak naówczas pewnie wielu innych doznawało niepokoju, drogę widząc niejasną: kto tu słusność miał, a kto był winien. Posłuchać było duchowieństwa, to król na klątwę zasługiwał, a we dworze na duchownych winę nieposłuszeństwa zuchwałego składano.

Że Kazimierzowi wojna ta domowa nieimiłą była, i że ją co rychlej rad był ukończyć, dowodziła sama gwałtowność użytych środków.

Ustąpić nie mógł. Ustępował rycerstwu, czynili, co chcieli ziemianie; wojsko się buntowało... gdyby uległ duchownym, resztęby władzy i poszanowania postradał.

Nazajutrz przebudziwszy się, gdym ochłonął, wyrzucałem to sobie, iż darmo Długosza natraszyłem, albowiem nie mogło to być, aby na tak powszechnie szanowanego człowieka targnąć się miano.

Aliści południa nie doczekawszy już, na zamek przyniesiono skargę, iż Kurozwęcy dom kanoniczny Długosza złupili.

Król na to rzekł krótko i surowo:

— Na gorszą karę zasłużył!

Zrozumiało wreszcie duchowieństwo, że króla nie zmoże, zawsze jednak jeszcze na Rzym się oglądało. Kazimierz milczał, bo też posłów tam i pisma od siebie wyprawił.

Sąd na mieszczan naostatek został zwołany. Przez królowę zawczasu starali się u króla o miłosierdzie, nie mógł jednak ani chciał folgować istotnie winnym, a i rycerstwo zniechęcone trzeba było na nowo pozyskać.

Kazał im powiedzieć tylko, że nastawać na gardło nie będzie nikomu, ale od sprawiedliwości nie może winnych osłonić.

Z tych część jakaś dawno uszła z Krakowa. Klemensa nie było. Oprawców nikt nie myślał oszczędzać, szło o rajców.

Na zamku się toczyła sprawa, a w mieście, choć zbiegowiska nie było żadnego, niepokój panował i trwoga straszna. Od wyroku królewskiego nie było już odwołania, chyba do Boga.

Rajców wszystkich ocalić nie było podobna, instygowali na nich Tęczyńscy za zwołanie ludu, bicie we dzwony i zamykanie bram.

My, cośmy na zamku byli, do końca nie wiedzieliśmy, na kogo padnie wyrok.

Z trwogą oczekiwano.

Na zamku radzono, pisano, biegano, wstawiała się królowa, ale Tęczyńscy pilnowali i nalegali, król pobłażać nie mógł.

Po Trzech Królach w sobotę wreszcie pan nasz z dekretem posłał do ratusza kasztelana kaliskiego, Mikołaja Skórę z Gajów, i Pieniążka z Witwic, starostę.

Sądzeni jako winni, bo na nich przysięgą instygował Jan Tęczyński, który widział jak ścigali ojca jego, byli z pospólstwa: Jan Tesznar Wolfram kuśnierz, malarz Wojciech, Szarlang, który ostrogi robił, i Mikołaj, dowódca Viertelników miejskich; a z rajców, co się najgłośniejszy odzywali i ruszali: Konrad Lang, Leymithier, Szarlej i Marcin Belza.

Ratując resztę, miasto musiało ich poświęcić, i tamże zaraz ich staroście Pieniążkowi wydano, chociaż mało nadzieję, że się u starosty rabsztyńskiego wykupią.

Siedzieli na ratuszu dzień, a nazajutrz przededniem, aby ludu nie rozżalać, cichaczem ich o zmroku przeprowadzono do zamku.

Pięć dni trwało, nim do wykonania dekretu przyszło; tymczasem im spowiadać się i żegnać z rodzinami pozwolono.

Przez ten czas poruszono wszystkie sprężyny, aby u Jana Tęczyńskiego wyprosić zwolnienie kary.

Marcin Belza, rajca, który wielkim był dobroczyńcą zakonu, świeżo przez Kapistrana założonego, tak zwanych od ich kościoła Bernardynów, miał za sobą wszystkich tych mnichów, którzy razem z gwardyanem swym, jakoby w procesyi szli do kamienicy Tęczyńskich, w imię Chrystusowe miłosierdzia się dopraszając dla niego.

Tęczyński ich zbyt gniewem i nic nie przyrzekł, ale gdy odchodzący świątobliwy mąż Szymon odezwał się do niego z wymową do serca trafiającą, choć nic nie odpowiedział, przecież później ochłonawszy, życie mu darował.

A tu okazało się jawnie, jaką Tęczyńscy żywili niechęć do króla i królowej. Z rajców najmniej albo i całkiem winnym nie był Mikołaj Szarlej. Padano do nóg królowi, aby on się wstawił za nim, sam uczynić tego nie mógł. Tknięta łzami i błaganem królowa, poruszyła się mocno i postanowiła iść a prosić za nim starostę rabsztyńskiego.

Widok był osobliwy i serca dla królowej pozyskujący, gdy pani ta pieszko z małym dworem sama poszła do dworu Tęczyńskich, za Szarlejem prosić. Spodziewano się, że niewieście, królowej, Tęczyński nie potrafi odmówić. Ale stało się przeciwnie.

Starosta przyjął królowę zimno, z poszanowaniem, ale niewzruszonym całę umysłem, właśnie dlatego może nie chcąc przebaczyć Szarlejowi, aby okazać, że króla i królowę niewiele sobie waży. I to, co Bernardynom wyświadczył, Elżbiecie odmówił.

Odrzekł dumnie, iż krew ojca ma do pomśzczenia i odpuścić nie może tym, co się do przelania jej przyłożyli. Napróżno powtarzała prośby swe królowa, stał niemy, nie dał się przebłagać.

Było to ostatniego dnia przed spełnieniem wyroku.

Gdy królowa zmieszana ze łzami na oczach na zamek powróciła, wyszedł naprzeciwko niej Kazimierz,

a nie pytał nawet o skutek, tak był pewien, iż nic nie otrzyma.

Zniósł to ze swoją zwykłą pozorną obojętnością; zamknęli się potem oboje i nierychło wyszedł król z twarzą spokojną.

W nieście królowę wynoszono, a na Tęczyńskiego wszyscy bili, iż się okrutnym okazał.

W piątek piętnastego stycznia wyprowadzono winowajców pod kościół św. Michała przed kamienicę Tęczyńskich, w której progu stał syn zabitego, otoczony tłumem powinowatych, krewnych i przyjaciół.

Tu wśród szlochania i płaczu ludu, który się zszedł na to smutne widowisko, Piotr Waszmut, sędzia sandomierski, wyrok głośno odczytał.

Domagał się starosta rabsztyński, aby tuż przed jego domem spełniono na nich wyrok, ale przeciwko temu król się oświadczył.

Pospółstwo i tak przyprowadzone było do rozpacz, obawiano się rozruchu, a wiedzieli świadoms, że się zma-wiano gromadnie na kata wpaść, winowajców odbić. Kto wie naówczas, jakby się ta krwawa historia zakończyła.

Pomimo nalegań Tęczyńskiego, odprowadzono na zamek Konrada Langa, Leymithera, Szarleja, malarza Wojciecha, Szarlanga i Mikołaja rotmistrza, i tych pod jedną z wież zamkowych, którą zowią Dorotką albo Tęczyńską, oprawcy ściąć dano.

Ciała ich potem król kazał miastu oddać i pochowano je razem w jednym grobie u Panny Maryi.

Nasz znajomy Kridlar uszedł był ze strachu pod opiekę Melsztyńskich, o których różnie prawiono, był-li winien, czy nie, i że się okupił, ale zapadł wkrótce potem z tego, co przecierpiał, chorzał i niebawem zmarł. Klemens też nie żył długo.

O tej sprawie dlatego się tak szeroko rozpisał, bo ona nie pozostała bez skutków i zostawiła po sobie w sercach i umysłach niezatarte ślady; na mój zaś własny los, czego się nigdy spodziewać nie mogłem, wpłynęła boleśnie, jak to zaraz opowiem.

Król do Tęczyńskich dawniej serca nie mający, zachował żal za lekceważenie pani, która nadaremnie błagała; królowa także im tego darować nie mogła, zwłaszcza gdy innym, jak Belzie, przebaczone, na wieży ich tylko w Rabsztynie wytrzymawszy.

Tryumfowali panowie z Tęczyna, że się stało po ich woli, grzywny też wielkie ściągnęli z miasta, ale pomiędzy nimi a mieszczaństwem na wieki była niezagodzona nienawiść.

Gdy się to działo dni onych, mnie przypadło z jednym z dworzan królewskich, szlachcicem z Rożyców, któremu imię było Jacek, o mało co się zwaśnić. Pół żartem, pół naprawdę zelżył mnie, wyrzucając sieroctwo i pochodzenie moje, za co policzkiem się zaraz wypłaciłem. Przypadli drudzy, aby bójce zapobiedz; rąbałiśmy się potem, podali sobie ręce, bo Zadora przykazał, a co on zawyrokował, to się zawsze spełnić musiało.

Jacek Rożyc, choć pozornie przejednany ze mną, onego policzka darować mi nie mógł. Chłopiec był usłużny, i zręczny i umiejący się królowi tem przypodobać, że psy kańskie karmił, a one go nad podziw znały i lubiły. Przebiegły był, umiał z tego korzystać. Brano go na łowy dla psów, a on do pana się cisnął i dobierając chwili, gdy sam był, od niechcenia mu różne rozповідаł rzeczy, któremi sobie usłużył, a drugim mógł zaszkodzić. Miano na niego posadzeń dosyć, iż z językiem biegał na tych, do których miał urazę.

Niebardzom się go obawiał, ani wystrzegał, bom w łasce pańskiej miał ufnosć wielką.

Tymczasem, jak się to później odkryło, do Niepomłonic z królem pojechawszy, Rożyc mój, który wiedział, nie wiem skąd, że ja starostę rabsztyńskiego do pieca sadzał, że za to od niego łańcuch dostałem, a nawet że ks. Janowi Długoszowi wieczorem dał znać, iż na niego Kurozwęzcy intrygowali — wszystko to królowi wyspiewał.

Chwalił ci on mnie niby z tak bardzo dobrego i li-tościwego serca, ale wiedział o tem dobrze, iż się królowi

podobać nie mogło, com czynił dla tych, którzy mu niechęć jawną okazowali.

Pan nasz właśnie za żonę był na Tęczyńskiego zaślony, a Długoszowi przebaczyć nie mógł, bo mu przypisywano wszystek opór kapituły, która go słuchała i szanowała, jeszcze z czasów kardynała będąc do tego nawykłą.

Powróciwszy z Niepołomnic, król, gdym mu się na oczy nastreczył, nie rzekł mi nic, ale też, przeciw zwyczajowi swojemu, nie dał mi dobrego słowa, ani wejrzeć chciał na mnie. Lecz że tych czasów trosk miał wiele i chmurny chodził, nie zważałem na to.

W parę dni potem ochmistrz, starszy nad nami, wołać mnie każe do siebie. Lubiał mnie dosyć. Tylkom wszedł, spojrzałem mu na twarz, którą miał zawsze prze-zroczystą taką, iż w niej czytać było można, zamiarkowałem zaraz, iż coś złego nade mną zawisło.

Milczał chwilę, włosy pocierając.

— A co, Jaszku — odezwał się zwolna — niedobrze ci wieść mam zwiastować. U króla łaskę straciłeś! Załamałem ręce.

— Tak jest — dodał. — Wiesz, że u pana naszego co raz rzeczy, to nieodwołalne. Wie król, żeś się wnieśszał z Tęczyńskimi do zwady z mieszczanami i starostę ratował, żeś od niego łańcuch dostał, żeś ks. Długoszowi biegał donosić, co tu o nim na zamku mówiono. Dziś zrana nakazał mi król, abym cię ze dworu odprawił.

— Ma on przyjaciół! śnać dosyć, opieki mojej nie potrzebuje. Wypłaćcie mu żółd, dajcie na drogę i niech nie przychodzi mi na oczy, ani żegnać się ze mną. Niech sobie idzie, kędy chce, wiedzieć o nim nie chcę.

— Wstawiałem się za wami — mówił dalej ochmistrz — ale na próżno. Pan słuchać nie chciał. Sam winieś, Jaszku, sam... a straciłeś więcej, niż myślisz.

Łzy mi się z oczów polały, stałem niemy. Wiedziałem i ja, że ten wyrok był nie do odwołania, i domyślałem się, komu go byłem winien.

W jednej chwili z bezpiecznego żywota pod skrzydłem pańskim, przechodziłem do najstraszniejszego

sieroctwa i niedoli. Wiedzieli wszyscy, że u króla na opiece był, precz odpędzony nie mogłem się spodziewać, aby mi kto dał przytułek. Musiano mnie posadzić o to, żeś się łaski pańskiej stał niegodnym. Nawet gdybym winnym był, kara mnie spotkała nad miarę ciężka.

Mogłem ci, korzystając z niełaski króla, do Tęczyńskich iść, a byłiby mnie chętnie, na przekór jemu przygarnęli, alem tego uczynić się wzdragał. Pochlebiałem sobie, że się król później ulituje nade mną.

Z żółdu, który mi wypłacić miano, wprawdzie przez czas jakiś żyć mogłem, a w ostatnim razie i ów nieszczęśny łańcuch starosty sprzedać, ale wszystko to nie starczyło.

Coś postanowić, życie jakieś nowe rozpocząć trzeba było, a nie wiedziałem dokąd i jak się obrócić. Powołania w sobie nie czułem naówczas żadnego.

Wyszedłszy od ochmistrza, wprost do izby naszej powlokłem się, aby zabrać węzłki moje, bom wiedział, że tu mi długo pozostać nie dadzą.

Ludzie zaraz podpatrzyli, że ściągam rupiecie i chodzę, jak struty. Dowiedział się Zadora i jak burza wpadł. Rzuciłem mu się na szyję, opowiadając, co mnie spotkało.

— Sprawa to Rożyca — rzekł — niema co nawet jej dochodzić. Już my mu tu, mimo jego psich umizgów, taką łaźnię zgotujemy, że jej długo nie strzyma. Ale co to wam pomoże, iż on stąd wyleci.

— Co z sobą myślisz czynić? — zapytał Zadora.

— Uderzyło to we mnie, jak piorun niespodzianie — odpowiedziałem — myśli zebrać nie miałem czasu. To tylko wiem jedno, iż za Tęczyńskich ukarany, choć do nich serca nie mam, nie udam się ku nim. W mieście będę szukał sobie chleba kawałka, bakalarstwa, pracy jakiej, a bodaj się i rzemiosła uczyć.

Zakrzyczał Zadora na mnie:

— Gdybyś się tego dopuścił, znałbym cię nie chciał! Możesz u szlachcica rycersko służyć jako zaciężny; a gdy raz ręce sobie zmażesz rzemiosłem, toś przepadł. Pisać i czytać umiesz, a łaciny dobrześ liznął, pro-

sta rzecz, że sutannę wdziejesz. Toć już lepiej, gdyby innego się nic nie znalazło.

Na to ja głową potrząsałem, bom się nie czuł stworzonym na księdza.

— Chociaż król, gdy raz słowo rzecze, nigdy go nie odwołuje — dodał Zadora — nie oddalaj się z miasta. Przesiedź jakiś czas bodaj u Krzaczkowej w komornem... my tu za tobą się wstawić nie wstawić, ale coś uczynić spróbujemy. Krom Różyc, nieprzyjaciół nie masz.

Tegoż dnia wieczorem ze łzami na oczach z zamku się wyniosłem tak, aby ludzie nie spostrzegli, gdym wychodził i nie urągali się, a nie dopytywali.

Na dworze tylko o tem mówiono; poczuł zaraz Różyc, iż go posądzono, chciał się oczyścić, ale nikt z nim nawet nie mówił, odwracali się wszyscy od niego milczący. Nie czyniono mu wymówek żadnych, ale też i słuchać go nie chciano.

Zadora, który do mnie zabiegał, opowiadał mi potem, że Różyc do króla skarżyć się chodził, na co mu on odparł.

— Kiedy ci tu źle, ruszaj z Bogiem. Co mi do uszu podałeś, bezkarnie ujść nie mogło, a niemniej straciłeś towarzysza i przyprawileś go o zgubę.

I Różyc tedy wkrótce po mnie się ze dworu wynosić musiał, alem ja z tego pociechy nie miał.

Pierwszych dni, gdy mnie to srogie spotkało nie-szczęście, siedziałem u Krzaczkowej w nędznym jej dworku przybity, pogiębiony tak, że z miejsca się nie ruszając, jak padłem na ławę, tak cały boży dzień z niej nie wstałem.

Krążyły mi po głowie myśli wszelakie, a jedna się drugiej nie trzymała. Do Wilna powracać do starych moich nie było po co, do Tęczyńskich, gdybym z głodu marł, nie chciałem. Tu w Krakowie chleba szukać nie wiedziałem jak i gdzie.

W parę dni dopiero, pomodliwszy się, na myśl mi przyszło iść do ks. Jana Kantego, i jemu się wypowiedzieć z winy i kary.

—Nie widziałem go dawno, alem zastał tak jakbym

wczoraj dopiero odszedł. W tym mężu świętym nic się nie zmieniało, nawet wiek nie wyrażał się na twarzy dziwnie jasnej, pogodnej a tak błogo uspokojonej, jakby nic ziemskiego dotknąć jej nie śmiało.

Nimem go w rękę pocałowawszy, usta otworzył, dał mi się dorozumieć, że o wszystkim był uwiadomiony. Skąd i jak, pytać nie mogłem.

— Pamiętaj, Jaszku — rzekł — że Pan Bóg tych, których miłuje, próbuje i dotyka. Nie narzekajże, a myśl, jakbyś złe na pożytek swój duszny obrócił.

Chciałem się tłumaczyć, że wcale się do winy nie poczuwałem, ale mi przerwał łagodnie, że wistocie występku nie popełniłem żadnego i rychłej nagrody, niż kary mogłem się spodziewać.

— Przecież, dziecko moje — dodał — takie są czasy ciężkie i boleściwe, że i cnota cierpieć musi. Widzisz sam, jak wielu duchownych, kapłanów, ludzi sędziwych poszło na wygnanie: jak inni łaskę stracili... Bóg wie, co czyni.

— Ojciec miłościwy — rzekłem — Bóg wie pewnie, co dopuszcza na nas, ale my, to jest ja ubożuchny na umyśle, drogi przed sobą nie widzę. Wskażcie mi ją.

Pomyślał nieco, w górę oczy podniósłszy.

— Do jakiegokolwiek pracy się weźmiesz, byleś nie próżnował i na rozpustę się nie rzucił, dobrze będzie. Szukaj w sobie, ku czemu powołanie czujesz, a módl się.

Nie wiem dlaczego, rady mi odmówiwszy, pobłogosławił i odprawił. Trochę męstwa wlał we mnie, ale w głowie jak było mętno, tak zostało.

Z kolegium wyszedłszy, w ulicy napotkałem Wielkiego. Poznał mnie i zbliżył się. Na zamku dla zimna ścian malować był poprzestał, pracował nad czem innym w domu. Ktoś mu już o mnie musiał coś powiedzieć, bo przystąpiwszy, rzekł zaraz:

— Cóżście to z dworskiego życia skwitowali?

— Ono mnie skwitowało, nie ja się dobrowolnie zwolniłem — rzekłem. — Pogniewał się król na mnie.

— Wiem — rzekł Wielki — choć pan sprawiedliwy

jest, ale łaska pańska niepewna zawsze, a życie ono dworskie nie każdemu zdrowe. Znajdźcie co lepszego.

— Nie tak łatwo — rzekłem, wzdychając.

Wielki popatrzył mi w oczy.

— Takie lekkie życie, do jakiegoście nawykli, nie trudno znaleźć. Na konia sięść, szablą wywijać, do turnieju stanąć, komu tego dosyć, ten długo szukać nie potrzebuje zajęcia. Gdybyście jako ja biedny człek, mieli do czynienia z myślami, które w ciało przyoblec potrzeba, z żywotem, który stworzyć musimy tak jak z niczego, dopiero byście poznali, jak trudne ludziom przypadają zagadki do rozwiązywania.

Ręką zamachnąwszy, poszedł dalej.

Zazdrościłem mu, bo szczęśliwszy był od wielu, choć się na swe powołanie uskarżał. Jedna chwila mu płaciła za trud wielki, gdy to, co na myśli miał, ujrzał żywym przed sobą.

Bijąc się tak z myślami, powróciłem do tej, którą już miałem wprzód, aby leczenia i medycyny się uczyć i z niej chleba sobie szukać.

Ale Gaskiewicz, który mi dosyć okazywał życzliwości, przez to, że na zamku mieszkał i tam aptekę miał, mnie wywołanego stąd przyjąć do siebie nie mógł. Innego nauczyciela więc szukać mi było potrzeba.

Z Gaskiewiczem się teraz i spotkać było trudno, bo z obowiązku swego przy aptecę na zamku prawie ciągle siedzieć musiał, a królowa też to dla siebie, to dla dzieci i dla dworu go ciągle potrzebowała. Nie miałem nadziei nawet zejść się z nim i poradzić, a myśl uparta uczenia się medycyny prześladowała mnie. Przeznaczeniem snąć było mojem, abym nie z jednego pieca chleba jadł i wszelkiego rzemiosła próbował.

W niepewności tej, co mam z sobą czynić, niecierpliwiłem się nad stratą czasu i oddany sam sobie, to u starej Krzaczkowej na ławie przesiadywałem, ręce we włosy wraziwszy, stekając, to po ulicach latałem, jak oparzony, niby losu tego szukając, który mi się powinien był nastreścić. Miałem wielką wiarę w Opatrzność — większą, niż w mój słaby rozum własny.

Kilka dni tak zeszło nadaremnie, aż około południa w sobotę jedną, gdy się tak biedził z sobą, przed Krzaczkowej dworkiem słyszę hałas, wołanie i stukanie we drzwi. Poszła stara gospodyni otworzyć, a przez w pół uchylone zobaczyłem starostę rabsztyńskiego, który z towarzyszącym mu często Secygniowskim stał u progu.

Pokazywał mu ów piec, w którym się ukrywał, a zobaczywszy gospodynię, głośno począł do niej:

— Należy ci się za to nagroda, żeś Tęczyńskiemu życie zachowała. Dopominają się Tęczyńscy pomsty nad mordercami, ale i zapłacić do dobre umieją. Oto masz, abyś pamiętała o rabsztyńskim staroście.

I worek jej z pieniędzmi wcisnął, gdy staruszka go za kolana chwytając, dziękowała.

Chiałem się skryć, aby mnie nie zobaczył, ale rzucawszy okiem po izbie, zawołał:

— He! A i ten tu jest!

To mówiąc, wszedł prędko, ku mnie zmierzając. Wstałem z ławy.

— Kazałem was szukać, Orfan! — począł żywo. — Wiem już o tem, że król was za mnie i ks. Długosza ze dworu wyświecić kazał. Prosta rzecz, żeś się powinien był zgłosić do mnie. Dlaczegoś tego nie uczynił?

Milczałem, namyślając się jeszcze nad odpowiedzią, gdy dodał rozkazująco:

— Chodź, masz u mnie miejsce dworzanina, pewno nie gorsze od tego, jakie było u króla.

Skłoniłem się dziękując.

— Nie mogę przyjąć łaski waszej — rzekłem. — Prawda, że król Jmość zagniewał się na mnie, że miejsce utraciłem, ale niemniej do pana mojego przywiązany jestem, a wy, panie starosto, liczycie się do nieprzyjaciół jego.

Namarszczył się strasznie Rabsztyński.

— Ani się z tem taję, że go nie miłuję — wybuchnął — i nie ja jeden, jest nas dosyć, którzy przez niego cierpimy. Jak on nam, tak my jemu. Zjeść mu się nie damy.

Popatrzył na mnie dumnie i uśmiechnął się szydersko.

— Gwałtu ci tu zadawać nie myślę — rzekł — z Panem Bogiem. Patrzaj tylko, gdy król cię nie chce, abys łaską moją gardząc, nie zczepił marnie; a potem sam nie przyszedł się prosić, gdy będzie za późno, bom ja taki, że raz słowo rzekłszy, nie cofam go. Teraz czas, potem nie wezmę, choćbyś się modlił.

— Królowi chcę wiernym pozostać — rzekłem — choćbym i głodem przymarł.

— Szczęść Boże! — zaśmiał się Tęczyński.

I odwrócił się ode mnie, a pomyślawszy chwilę, jeszcz raz ku mnie spojrział.

— Dwa dni ci daję do namysłu, bo mi cię żal — dodał; — potem klamka zapadła.

To powiedziawszy, do Secygniowskiego coś mówić zaczął i powoli ze dworku wyszedł.

Zostałem w miejscu zmieszany, ale przy swem stojąc i dwu dni namysłu nie potrzebując wcale, bom Tęczyńskim służyć ani chciał, ani myślał. Byliby się z tego chwalili przeciw królowi, a onby do mnie większy jeszcze miał żal. Wołałem i biedy zaznać, tymczasem ważąc i rozmyślając, co pocznę.

Nazajutrz, jeschcem się nie odział, gdy zapukano, do drzwi i Krzaczkowa do komory, w której nocowałem wprowadziła kogoś. Choć przyciemno było, poznałem Slizaka i aż mnie dreszcze przeszły. Wchodząc, Pana Boga chwalił głosem takim wesolym, jak gdyby pomiędzy nami nigdy nie niezaszło, a ja do niego żadnej nie mogłem mieć urazy.

— Starosta rabsztyński rozpowiada, że was na dwór swój chciał zabrać, a wyście łaską jego pogardzili. Przyszedłem wam powiedzieć, żeś oszalał!

— Słuchaj, stary — wyrwało mi się zburzonemu — gdy człowiek się raz da ująć i oszukać, winien ten, co go zdradził; gdy drugi raz podejść się dozwoli, sam wtedy na siebie narzekać powinien. Nie wiem za co i dlaczego mnie prześladujecie i nasadziliście się na mnie!

Wtem Slizak mi przerwał gwałtownie:

— Wy tego nigdy wiedzieć nie będziecie, dlaczego my się tak wami opiekujemy i nie powinniście! Darmo na to nie wysilaj rozumu.

Tu się w piersi uderzył.

— Klnę ci się teraz jednak — dokończył — że ci nie nie grozi. Jak skoro królowi nie służyysz, król się tobą nie opiekuje i obojętny jest, możesz być o siebie spokojnym!

Nagle zamilkł, jak gdyby się i tak zanadto wygadał.

— Nie bądź dzieckiem — rzekł — nie gardź tem, co ci się stręczy. Starosta rabsztyński życzy ci dobrze i o losie twoim pomyśleć może, a u króla kto raz łaskę utracił, ten jej nigdy nie odzyska, to darmo... Zginiesz marnie.

— A dlaczegoż nagle taką wielką litość macie nade mną? — odparłem — wy, coście jej wówczas mi nie okazali, gdy potrzebowałem najwięcej?

Potrząsnął głową stary.

— Mówiłem ci, że tego nie będziesz wiedział i rozumiał nigdy — przerwał.

— A jakże mam mieć wiarę w to, czego nie rozumiem? — zapytałem.

Slizak się zadumał.

Obejrzał się po nędznej komorze, w której byliśmy, jakby miejsca sobie szukał dla przysiadzenia, zobaczył pustą skrzynię w kącie i rozpostarł się na niej. Zmienił rozmowę i głos.

— Cóż ty myślisz z sobą czynić? — spytał.

Nie miałem ochoty się przed nim tłumaczyć i odpowiedziałem mu umyślnie, że pewnie do Wilna, lub na Litwę powrócę.

— Abym cię przekonał, że teraz nikt złego ci nie życzy i owszem, powiem to — rzekł Slizak — iż jeśli pomocy potrzebować będziesz, przez kogolwiek się zgłós do Nawojowej, będziesz ją miał.

Nie odpowiedziałem na to, czułości tej nie dowierając. Począł mnie potem badać, jak mnie ze dworu odprowadzono, czym bez grosza był czy mi na podróż starczyć mogło, co miałem. Na wszystkie te natrętne pytania, zbywając go, półgębkiem odpowiadałem. Zaczął mnie potem do stanu duchownego nęcić i nakłaniać, jak dawniej a gdy milczałem, naostatek nadąsany poszedł precz.

Dwa dni dane mi przez starostę rabsztyńskiego, upłynęły, a ja wcale się nie wahałem i zgłosić do niego anim myślał. Chodziłem z myślą nauki jakiejś, wahając się jeszcze, gdy przypadek mi nastreczył Gaskiewicza nareszcie.

O mojem wygnaniu ze dworu doktor słyszał, bo o tem bardzo głośno było, ale mnie nie widział. Poznawszy, zatrzymał się sam w ulicy. Zawsze żartobliwy i szyderski, tym razem z politowaniem patrzył na mnie.

— Co myślisz? — zapytał obcesowo.

— Tak samo jak dawniej, uczyć się pragnę — rzekłem — dajcie mi nauczyciela! Będę wam do śmierci wdzięcznym.

Głową poczał kręcić.

— Chce ci się być medykiem! — ruszył ramionami — chleb to ościsty i gorzki; na jedną pociechę sto zgryzot przynosi. Nie widzę tu nikogo, coby ci mógł i chciał być pomocnym, krom Jana Welsza. Idź do niego, próbuj. Medyk sławny a człek zacny, ale surowy. Powiedz, że ja mu was zalecam.

Welsza tego niejedną raz spotykałem, do kolegów chodząc; był przyjacielem i ks. Janowi Długoszowi i Kan-temu, a lekarzem niemal wszystkich kolegiatów.

O ile Gaskiewicz swoją naukę starał się żartobliwością i wesołością okraszyć, aby nią ludzi nie straszyl, o tyle Jan Welsz nosił ją z powagą i surowością, z namaszczeniem jakimś, które go nigdy nie opuszczało: Zdało się, na niego patrząc, iż doktorskiego biretu, togi i pierścienia nigdy nie rzucał.

Przeto też, gdy Gaskiewicz do łóża chorych przynosił z sobą pociechę i nie trwożył ich, Welsza się obawiano. Sama postać smutkiem była i żalobą jakąś okryta. Każde poruszenie obrachowane się zdawało i jakby agendą jakąś przepisane. Szanowali go wszyscy, lecz nie zbliżano się poufale.

Jakże tu było mnie do tego majestatu dostąpić i jaki mnie tu miał czekać nowicyat!

Drżałem myśląc, a jakkolwiek mi było pilno coś

począć, dwa dni chodziłem, zbierając się na odwagę, jak do niego przemówić, jak się wprosić.

Stał w kolegium mniejszem.

Sam siebie zburczawszy, wreszcie podszedłem do niego.

Wszyscy owi kolegiaci, ilu ich było, bardzo ubogo wyposażeni, mieszkali też w izbach tak skromnych, izby ich najuboższy z kupców krakowskich nie chciał. Całym sprzętem były księgi i wyobrażenia Męki Pańskiej, lub jakieś godła pobożne. Zbytek też ich na tem polegał, aby mieć siła rękopismów.

Tak samo Welsz w jednej większej izbie z małą celką na łóżko przy niej, mieścił się na piętrze. Doktora się można było domyśleć po zapachu, jaki od medykamentów na półkach się rozchodził.

Zastałem go nad księgą.

W krótkich słowach opowiedziawszy mu o sobie, wpraszalem się na służbę. Gdym skończył, długo mi odpowiedzi nie dawał.

Zaczął potem pytać o łacinę, o nauki i mały egzamin odbył ze mną.

W ciągu tego badania, które się coś obiecywać zdawało, nie odczuwał się z niczem stanowczem. Wspomniałem umyślnie, że przy ks. Janie Kantym był wprzód, że ks. Jan Długosz łaskaw był na mnie, a i o Gaskiewiczu nie zapomniałem.

Przeszedł się po izbie razy kilka.

— Źle za tobą świadczy, żeś ze dworu odprawę dostał — rzekł — ale pomijam to. Przenieś się na próbę do mnie, na miesiąc, dwa, a zobaczymy, czy z ciebie co zrobić można... Trochę się nauczyć, moje dziecko — dokończył — częstokroć gorzej jest, niż nic nie umieć. Ci, co się całe życie uczą, wiedzą przynajmniej, że nic nie umieją, gdy tacy, co liźnęli odrobinę, sądzą, że wszystkie rozumy zjedli.

Nazajutrz rano do lichej izdebki tuż obok Welsza mi się przenieść kazał. Krzaczkową pożegnawszy, pośpieszyłem dodnia i przed południem do posług byłem gotowy.

Z natężoną ciekawością czekałem nauki tej, której żądny byłem, ale na wstępie mnie zawód spotkał.

Dano mi moździerz i cuchnącą jakąś materię do tłuczenia i tarcia. Nazwiska jej nawet od Welsza się nie dowiedziałem. Potem ziele mi kazał gotować, inną jakąś wodę cedzić, worki czyścić i pierwsze dni na tem upłynęły.

Nauczyć się nie mogłem nic, bo nie mówił do mnie tylko tych słów kilka, które niezbędnie potrzebne były.

Samem z napisu na słoju potem doszedł, że jednego dnia *Bolus armenius* rozcierałem; drugiemu pomagał do robienia plastra, który nazwisko miał *Urguentum currosivum*, potem inny *Urguentum fuscum* robiliśmy, ale do czego one służyć miały, zostało dla mnie tajemnicą.

Na jednej półce stały szeregiem wina lekarskie, *de Boragine et buglossa*, *citoniorum*, *Alkenkengi*, *Enfrogline*, *deopilationis* i t. p. Pouczyłem się ich nazwisk tylko. Welsz widział we mnie sługę, ale ucznia znać nie chciał jeszcze.

Sądząc, iż próbował mnie w ten sposób, cierpliwy byłem.

Część też dnia, gdy doktora nie było w domu, miałem wolną; ale gdybym i chciał był zajrzeć do ksiąg jego, a sam próbować się nieco oświecić, zakazaniem mi to było tak surowo, iż nie ważyłem się tknąć żadnej.

Welsz mało na mnie patrzył, mniej jeszcze mówił, dawał rozkazy, doglądał ich spełnienia, naganiał często, nie pochwalił nigdy.

Wszystko to cierpieć musiałem, bom w nim ufność miał, że gdy godzina moja wybije, do przybytku mnie dopuści. Na to się jednak nie zanosilo wcale.

Życie pędziłem smutne. Po rozłargnieniu, jakie na dworze każdy dzień przynosił, w towarzystwie młodzieży wesołej, wygodach, jakie mieliśmy, tu niemal zakonne panowało milczenie, post i ubóstwo. Ale jakżem ja się na to mógł skarżyć, gdy sam Welsz tak samo żył kaszą, rybą, cienkiem piwem i mleczywem, a chlebem czerstwym i czarnym?

Co z jego wiktury zbywało, szło dopiero na mnie, a tylko, gdy Welsz w kolegium nie obiadował, oddawano mi jego porcję.

Grosza cokolwiek mając, ratowałem się od głodu, od przekupek sobie coś przynosząc.

Za całą zabawę mi służyło, gdy podchwyciwszy jakiś przepis, ukradkiem mógł spróbować medykamentu jaki sam przygotować. Tak naprzód ów najfundamentalniejszy wszystkich cyrulików wyrób: *Emplastrum de lapide calaminaris*, od jednego z nich, zapłaciwszy mu, w sekrecie nauczyłem się robić. Drugi mi sprzedawał sekret wielce skutecznej: *Cervarii*; ale z tem przed Welszem się ukrywać musiałem. Wszystkich też win lekarskich i różnych ingrediencji nazwiska pilno sobie zapisywałem.

Szczęściem może, do izdebki mojej Welsz nie zaglądał, boby mi ta moja przedwczesna chciwość nauki pewnie była surowo naganiana.

Mam-li się przynąć? Jak z wielką bardzo gorącością garnąłem się do mistrza tego i do źródła, tak teraz, po miesiącach niewiele ogarnęło mnie znużenie i zniechęcenie nad wyraz wszelki. Życie mi zbrzydło, tęsknota nękała; czułem, że do tego chleba i powołania chyba stworzony nie byłem, albo droga, którą szedłem, nie przystała mi.

Patrzyłem chciwie na księgi, których mi tknąć nie było wolno, tak jak spragniony spogląda w studnię, gdy z niej zaczerpnąć nie może; mówiłem sobie: kiedyż się to skończy?

Welsz nie zważał na mnie, ja pytać go nie śmiałem.

Całą pociechę moją było, gdy w godzinach wolnych na miasto się wyrwawszy, szczęśliwym trafem Zadore lub Maryanka, czy kogo z dawnych towarzyszy mogłem napotkać. Dopóki zima trwała, chodziłem do malarza Wielkiego przypatrywać się jego robocie i z nim pogawędzić, ale z wiosną począł znowu na zamku pracować, a tam przystęp mi był wzbroniony.

Ci, co mnie dawniej wesołym a ciekawym wszystkiego znali, z trudnością teraz w znękanym i milczącym poznać mogli. Przychodziło do tego, żem z rozpaczny rozmyślał porzucić mistrza i w świat gdzie iść, ale dokąd?

Nie zawsze nawet moich dawnych towarzyszy mogłem spotykać, bo król, królowa, dwór przenosili się z miejsca na miejsce, zamek pustoszał na czas.

Wiosna przyszła i lato, a mnie to brzemie życia nowego coraz mocniej dolegało. Czułem to dobrze teraz, że czy urodzony byłem do innego zawodu, czy nawykłem od dzieciństwa do ruchawszego między ludźmi obracania się, w tej ciszy klasztornej usyszałem.

Welsz nie zdawał się nawet widzieć tego, że wychudł, żółknął i chodził, jak z krzyża zdjęty.

Raz, gdy mnie z lekarstwem pod Floryańską bramę wyprowadził kupca, który był zachorzał mocno, a ja od niego powracałem z głową spuszczoną, w wyszarzanym kubraczku, trafiło się, że króla powracającego z podróży na drodze napotkałem.

Jechał konno, oglądając się na wszystkie strony; zdawało mi się, że okiem rzucił na mnie i wzrok jego jakiś czas się zatrzymał. Stałem czapkę zdjawszy; minął mnie pędkiem.

Zadora, który przy wozach jechał, zsiadł z konia, aby się ze mną przywitać.

Szczęśliwy człowiek kwitł zdrowiem i weselem, tak mu na świecie dobrze było. Zobaczywszy mnie, aż zakrzyknął nad mizeractwem, w jakim mnie znalazł.

— A toć się na śmierć zamęczysz! — zawołał. — Rzuć do licha te głupie medykamenty. Tobie konia, ruchu swobody potrzeba. Dostęć spojrzeć, aby poznać, żeś, ucząc się leczyć, sam chory.

Radził mi doktora porzucić, a dworskiej lub rycerskiej służby szukać. Ale łatwo to było powiedzieć.

Za szlachcica się, jak drudzy, podawać nie chciałem. Nadto dumny byłem, abym kłamał, a nieszlachećcowi, niepewnego pochodzenia człowiekowi niemal wszystkie drogi były zaparte. W kościele nawet do wyższych dostojenstw przystęp był wzbroniony. Zostawał klasztor, mieszczański jaki zawód, lub rzemiosło.

W większej zaś części cechów nawet nie przyjmowano czeladzi, która się urodzeniem prawnem nie mogła wywieść. Mnie sieroctwo moje zabijało. Dlatego samem nie wiedział, dokąd się obrócić.

Na myśl mi przychodzili Tęczyńscy, ale za późno, i wstręt też do nich czułem, bo, choć król nade mną li-

tości nie miał, kochałem go jak dawniej i nigdybym przeciwko niemu stanąć się nie ważył. Żalu nawet do niego nie czułem tak wielkiego, jakby sądzić można, tłumaczyłem sobie, co uczynił, własną winą moją.

Upłynęło dni kilka od tego w ulicy widzenia mojego z Zadorą, gdy z południa, na spokojnym korytarzu naszym strasznie zamaszysto i głośno ktoś się począł o mnie upominać.

Poznałem Zadorę i otworzyłem drzwi. Wszedł nie miarkując głosu, o com go musiał przestrzedz, bo u nas panowało *silentium*.

W izdebce mojej ziołami i korzeniami różnemi silnie czuć było. Pokręcił nosem.

Uduśić się zdechnąć można, żyjąc w takim smrodzie — zawołał na wstępie. — Co za dziw, że ty tu chorujesz! Otwórz okno! Wiesz, co mnie tu sprowadziło? — odezwał się.

— Nie domyślam się.

— Ratować cię chcę — dodał. — Wybij sobie z głowy tę aptekę; mam co innego.

Patrzałem w niego, jak w tęczę.

— Oto co jest — rzekł, przysuwając się do mnie. — Wczorajszego dnia starosta krakowski, Pieniążek, znać go? dopytywał nas po dworze, czybyśmy mu do wiernych usług przybocznych piśmiennego dworzanina naraić nie mogli. Zaraz przyszedłeś mi na myśl.

— Ale on nieszlachcica przy sobie nie ścierpi — rzekłem.

— Nie pyta o szlachectwo, ani o urodzenie i pytać nie będzie — mówił dalej Zadora. — Rozgadałem się z nim o was. Człek dobry, sługa królewski wierny. Życie u niego dostatnie, żółd pewnie będzie znaczny; to dla was miejsce jak żadne.

— Zapomnieliście tylko o tem, że starosta prawie ciągle na zamku być musi i takiego piśmiennego dworzanina za sobą ciągnąć, a cóż król na to powie?

Zadora się rozśmiał.

— Myślałem o tem — rzekł. — Starosta o was pośnysawszy, bardzo gorąco się domagać począł, abyście

do niego przyszedli na rozmowę. Ja wieczorem zaraz królowi służąc, gdy o starości się wspomniało, od niechcenia napomknąłem o tem, że Orfana chciał wziąć, ale się wahał, aby wygnany ze dworu, nie był na zamku źle widziany.

Król ramionami poruszył tylko.

— Więc dlatego ma głodem mrzeć, że ja go nie chciałem? — odparł. — Niech go sobie Pieniążek bierze, jeśli wola, byle mu wierniej, niż mnie, służył.

Zagryzłem usta: Król więc mi ani zapomniał dotąd, ani przebaczył!

Siedzieliśmy milczący czas jakiś, ale Zadora wnet tak gorąco nastawał na mnie, tak prosił, namawiał, zaklinał, iż się zgodziłem nazajutrz iść do Pieniążka.

Nie powiem jednak, aby mi od Welsza, przecierpiawszy tu już miesiący kilka, łatwo było odchodzić. Sromąłem się sam siebie, że nigdzie miejsca zagrześć i wytrwać nie umiał. Czułem, że na odchodnem słuszną dostanę nagane.

Zadora mi usta tem zamykał, że z następcą szczęścia korzystać należało. Król nawet, widząc przy Pieniążku dawnego dworzanina, mógł się dać przeblagać. Starosta miał u niego zachowanie wielkie.

Lecz wprzód, nim o tej mojej nowej losu zmianie mówić zaczę, o samym Pieniążku cokolwiek się rozpisać muszę.

Wiadomo to wszystkim, iż ród Pieniążków są prawi Odrowążowie, ciż sami, których krew dwu świętych patronów nam dała. Znaczenie ich niegdyś było wielkie i mierzyli się z najmożniejszymi w kraju, chociaż przeciwko sobie mieli też nieprzyjaciół wielu i w tej walce z nimi, choć niezłamani, straty ponieśli niemałe.

Majątkowo też gorzej się im teraz działo. Z tej rodziny nasz starosta krakowski był prawie najpierwszym i trzymając z królem a jemu służąc, spodziewał się do dawnego blasku Odrowążów powrócić. Człek był już w latach, umysłu trochę niestałego, charakteru miękkiiego, a pomimo to, gdy się przy czem zaciął, uparty.

Król go może przedewszystkiem z tego cenił, że miał w nim takiego sługę, który nie pytał nigdy dlaczego

i co Kazimierz mieć żądał, a wszelki jego rozkaz spełniał ślepo.

Gdy inni teraz w tym drażliwym sporze o biskupstwo, jak mogli króla samego łagodzić, a postanowienia jego surowe starali się tak spełniać, aby kapitule krakowskiej, i tak już uciśnionej, nie narażać się, Pieniążek i Obulec, o którym już wspomniałem, z niezmierną ścisłością i bez najmniejszej folgi, dziesięciny, majątności, kamienice opierającym się kanonikom zabierali. Pieniążek się tem zawsze tłumaczył:

— Króla rozkaz mam, pan tak chciał!

Tem sobie wielce duchowieństwo naraził, ale tak jak nie lękał się Tęczyńskich dla króla poświęcić i przeciwko nim występować ostro, tak i kapitule mocno się dał we znaki. Tem dziwniejszem się to wydawało, że syna młodszego miał w stanie duchownym i w tejże samej kapitule.

Syn ten, o czem wszyscy wiedzieli, zatruwał mu życie, ale nie tyle on może temu był winien, co ojciec.

Jedną tą myślą opanowany tylko, jakby rodzinie dawny jej blask przywrócić, starosta jednego z synów koniecznie mieć chciał w stanie duchownym, pokładając nadzieję w królu, że go do najwyższych dostojeństw doprowadzi.

Patrza! na to wszyscy, jak zubożałe rodziny Jastrzębce po arcybiskupie, Oleśnicy po kardynale, ogromnie się wzmogły z dochodów znacznych krewnych swoich. Nie było prawie prymasa ani biskupa, któryby i kościółowi świadcząc, i życie prowadząc wystawne, familii nie zbogacił. Rachował na to Pieniążek i syna prawie gwałtem postrzygł.

Opowiadano o nim, że nie tylko najmniejszego powołania do stanu duchownego nie miał, ale w młodości tak prawie jak zaręczonym będąc z dziewczeczką, którą miłował bardzo, siłą od niej musiał być oderwany. Ojciec tak zabiegał, iż pannę za mąż wydano za innego, a Jan musiał, rad nierad, suknię oblec i księdzem zostać.

Stało się to na większe jego nieszczęście i zgubę, jak się później okazało. Księdzem się zwał i ojciec się

o wyposażenie go starał, ale życie prowadził takie, że tylko zabiegi starosty i znaczenie ojca mogły go obronić od surowych kar kościelnych.

Pieniążek, gdy mu o tem starsi duchowni mawiali, powtarzał ciągle:

— Wyburzy się to piwo, wyburzy; dajcie czas tylko.

Ojcowskie groźby i prośby nic nie pomagały. Gdy się mógł tylko wyrwać mu, — a starosta miał słabość do niego i zbyt był powolny — dokazywał, przebrawszy się po świecku, polował, latał z dobranymi towarzyszami, a co gorzej, do tej pani, w której dawniej był rozmiłowany, dojeżdżał i bawił u niej tygodniami.

Mąż, człowiek dobroduszny, ślepy, nie tylko gacha nie odpędzał, ale gościnnie go przyjmując, zabawiał się z nim, polował razem, i przestrzegany, z posadzających żonę sztydził.

Rozpowiadano o tem, gorszono się, przestrzegano ojca, który syna karmił i upominał, ale pieśczone dziecko ani jego, ani innych słuchać nie chciało, rodzicowi odpowiadając zuchwale:

— Księdzem nie chciałem być, kazaliście mi; nie dziwujcie się, że złym jestem, bo do tej sukni mnie Pan Bóg nie stworzył.

I wistocie więcej go było na łowach, w wesółych zgromadzeniach, pomiędzy kobietami, niż w kościele i chórze.

Przez miłość i poszanowanie dla ojca, pokrywano te sprawki syna, ale można było przewidzieć, że gdy biskup nowy na stolicę wstąpi, pobłażać zgorszeniu temu nie będzie.

Z kapituły mało kto już z ks. Pieniążkiem przedstawiał, odwracano się od niego i każdy unikał, aby nie być posądzanym, że podobne, jak on, życie prowadzi. On zaś, ufając może ojcowskiej powadze i znaczeniu, pomimo napomnień, nie myślał wcale ani się ukrywać, z tem, co czynił, ani życia zmieniać.

Ojciec, który powiadał, że się to piwo wyburzy, niespokojnym był bardzo. Od niejakiego czasu howiem

księdza w Krakowie tak jak nie było widać, a dobrał sobie dwór, sługi i towarzyszków łotrostwa takich, iż oni go jeszcze na większe rozpasanie prowadzić mogli.

Chociaż zmiana w życiu mojem pożądaną mi była, nie bez trwogi i wahania się, skłoniony namowami Zadzory a pozwoleniem królewskiem bardziej jeszcze, nazajutrz włożyłem co najlepszą odzież i udałem się do starościńskiego dworu.

Tu, ktoby Pieniążka starego nie znał i nie słyszał o nim, patrząc na to, co się działo, człowiek aby się domyśleć musiał. Dwór, podwórze, ganek, dokoła pełne były ludu najrozmaitszego, gwaru, krętaniny, nieładu, wśród którego pacholkiwie, dworzanie, kto chciał, gospodarował.

Starosta wybiegał sam, krzyczał, ludzi posyłał, chował się nazad do izby, jednych rzucał, drugich wołał, nie skończywszy sprawy, inną poczynął. W tym zamęcie trudno było sobie dać radę i trafić do ładu.

Żydów szczególnież z podarkami, ze skargami, mieszczan, ludzi pobranych za różne przewinienia, odartusów, a obok tego szlachty ubogiej z prośbami, podróżnych, cudzoziemców pełno było.

Kilku urzędników starościńskich, starszy nad pacholkami, pisarze kręcili się wśród nich i nie odnosząc do starosty, rozstrzygali pomniejsze sprawy. Co chwila podnosiły się bolejące głosy, wołania, a gdy hałas ten rósł, wybiegał sam Pieniążek na dwór, krzyczał, rozpędzał, gniewał się i powracał do izby, nic nie robiwszy.

Choć ludu i służby mnogo było jak u możnego pana, choć na nich dostatek niby jakiś widnym się zdawał, wszystko to nie trzymało się jedno drugiego, chodziło samopas i brakło karności.

Gdy się tu znalazł, w początku mi tak się to wydało dziwnem, niemiłem i straszmem, że się chciałem wycofać, nie pokazawszy starości. Ale za późno było, bo ten, co tam marszałkował, już mnie o nazwisko spytał i poszedł oznajmić, a tuż i Pieniążek sam ukazał się, wołając mnie do siebie.

W izbie sklepionej, zadusznej i ciemnej taki tłok

panował, jak w podwórzu i tu suplikantów było różnych, począwszy od progu do stołu gromada cała, z papierami jedni, drudzy z twarzami, które za nie stały...

Skryba dosyć nędznie odziany siedział za stołem i pióro gryzł.

Starosta, wprowadziwszy mnie, natychmiast się obrócił do pisarza, coś mu szepnął, a w głos oświadczył, że już czasu nie ma i że sprawy później załatwi. Poczem nie odpowiadając na wołania i prośby, otworzywszy drzwi do komory bocznej, wszedł szybko i mnie za sobą wprowadził.

Milcząc, naprzód długo mi się przypatrywał, a i ja miałem czas się z blizką z nim zapoznać.

Na oko był człowiek krzepki, otyły, poważny, a w twarzy i postaci mający coś wielce groźnego i potężnego. Zdawało się, że musiał mieć wolę silną i być nieubлагanym. Twarz duża, długa, z podbródkiem, z wąsem dużym, zdala się widziała straszną, a przypatrzwszy się jej, coś w niej drgało takiego, iż niepewność jakąś okazywała. Głos miał hetmański, krzykliwy, a pomimo to niewrażający posłuszeństwa.

Widąc tylko było, że mu o to szło wielce, aby przed nim drżano i obawiano go się.

Począł nagle głosem prędkim i zająkliwym, śpiesząc, płacząc się, odchrząkując a oczyma mnie mierząc:

— Waszeć mi potrzebnym będziesz. Słyszałem już o was, wiem... Łacinę znasz, pisanie piękne, w głowie dobrze, ja właśnie amanuensa szukam. Skryba ten dla urzędu jest, a dla osoby mojej nie mam nikogo. Ale naprzód wiedzieć masz, że tu we wszystkim, co się dzieje i dzieć będzie, tajemnica się ma zachować ścisła. Język za zębami trzymać, pierwsza rzecz.

Tu przerwawszy sobie nagle, rozpoczął wyliczać, co mi daje za pracę: suknie, żold, stół, pomieszczenie; o każdej z tej rzeczy nie dokończywszy o jednej, przechodził do drugiej, powracał do pierwszej, tak, że polapać mi się było trudno. Tylem tylko zrozumiał, że mi tu zbywać na niczem nie może, choć niebardzo mi szło o wielką płacę. Potem znowu wpadłszy na inną drogę, skarżyć się począł, iż zaufać tego czasu nie ma komu, że

potrzebuje takiego, któryby mu służył, jak ojcu, a on mu rodzicem chce być.

Nie dał mi długo odpowiedzieć sobie i gdym począł, on na nowo swoje powtarzał. Szło mi o to jedno tylko, abym choć kilka godzin w dniu miał wolnych, bo zawsze uczyć się czegoś chciałem, mając to na widoku, że może kiedy do królewskich dzieci się dostanę. Nauka wreszcie sama dla siebie wabiła mnie, i inne drogi mając przed sobą zamknięte, w niej pociechy i ratunku szukałem.

Starosta uznawał słuszność żądania mojego, ale razem przewidywał, iż tak jak on dniem i nocą na tym starościńskim urzędzie pokoju nie miał, tak i mnie za niego ręczyć nie mógł.

Słowem, rozmowa się tak splątała, że pono ani on nie wiedział, com mu obiecywał, ani ja mogłem wyrozumieć, co mnie czekało. Skończyło się na tem, że prosił, abyśmy wzajem się przez ćwierć roku wypróbowali. Przestał na to.

— Jestem pewny — dodał — że waść ze mnie będziesz rad. Ostry jestem, wymagam porządku i dyscypliny, ale na serce rachować możesz. O! u mnie wszystko tu jak w obozie na skinienie, w szeregi... ale nikomu się krzywdą nie dzieje i wzgląd jest na słabość ludzką.

Sam potem starosta chciał mnie do przeznaczonej mi izby zaprowadzić. Okazało się jednak, że w niej bednarze rozeschłe beczki i statki obręczami nabijali, ktoś okno był wyjął, ławy stały całe, ale oprócz nich ani łóżka, ni żadnego sprzętu.

Zrobił się o to rumor okrutny w całym dworze. Kto tu śmiał bez wiedzy starosty bednarzy mieścić, izbę tak spustoszyć. Zawołano marszałka, ten winę zwałil na kłucznicę, ta na sługi, a wkońcu przykaz wydano najsroższy, aby do wieczora było jak w szklaneczce, czysto.

Niebardzo mi się temu wierzyć chciało i on sam wątpię, aby temu dawał wiarę, ale żądał natychmiastowego przeprowadzenia się, tak, że ledwie z powodu Welsza wyprosiłem się do jutra.

Z moim doktorem przeprawa poszła daleko łatwiej, niż się spodziewałem, wysłuchał mnie milczący, głową zaważał, zamruczał coś i dodał:

— Niestalego umysłu jesteś... a kamień tylko na miejscu obrasta. Będziesz się tak z kąta w kąt przerzucał, nigdy miejsca nie zagrzewając, i zmarniejesz się; wszystkiego potrosze umieć, znaczy na głupotę pracować... ale co począc z temperamentem? Tyranami są temperamanta. Trudno, trudno! Idź-że z Bogiem!

Zaśmiał się.

— Tyle tylko, żeś się jednego plastra u mnie nauczył.

Dał mi rękę do pocałowania i po chwili wrócił do książki.

Zdawało się, że istotnie temperament mój wyrozumiawszy, musiał być do tego przygotowanym. Resztę dnia spędziłem na mieście ze znajomymi, chcąc zażyć swobody, bom przewidywał, że raz się zaprzągłszy do starosty, niewiele mieć będę czasu dla siebie.

Nazajutrz, gdy moje szczupłe węzelskie tu sprowadził, znalazłem izbę jeszcze bez okna, na podłodze wióry bednarskie, ale tapczan stał w kącie oparty nogami o ścianę i stół, osobno nogi, osobno stołnica, czekał na mnie. Dane mi było do usług pacholę gadatliwe, z włosami rozzochranemi, które plotło dużo, ale wyrwawszy się z izby, nie wracało.

Szczęściem przywykły byłem sam sobie służyć, a marszałek też wziął okno do serca i na ostatek izbę kazał uprzątnąć.

Dano mi wiedzieć, że starosta już trzy razy po mnie przysyłał, siedłem więc do niego. We wczorajszej izbie takie same było zbiorowisko ludzi. Urzędowy skryba siedział, gryząc pióro za stołem, mnie za pańskim krzesłem miejsce u ucha starosty wyznaczono.

— Oswajaj się waść, przysłuchując, bo to tu nie łatwa rzecz sobie z tylu sprawami radę dawać.

Najgorszem to było, że wistocie sprawy nie przychodziły w porządku jedna po drugiej, ale wszystkie razem w jeden kłębek nierozplątany się zbijały.

Mówił ktoś, drugi mu przerywał, starosta przywoływał trzeciego, czwartego sobie przypomniawszy, tego rzucił, ludzie podnosili głosy, usiłując się przekrzyknąć, słowem, śladny to był dzień.

Starosta nogami tupął, lajał, ale sam ten nieład mnożył.

Stałem tak z godzinę za wielkim krzesłem pana, alem niewiele się nauczył. Wtem wpadł dworzanin, powołując do króla: zerwał się Pieniążek i wyruszył natychmiast. Jam tu już nie miał co robić, ale kazał mi pozostać i czekać na siebie.

Skryba, Soltysów syn z okolic Bochni, chłopak nie w ciemie bity, po wyjściu pana dopiero na mnie wcale nie zważając, wziął się do spraw, z którymi przybyli nie odchodzili.

Prędko i umiejętnie przesłuchiwał skarżących się i proszących, widziałem jak mu ten i ów coś w dłoń wcisnął, a on na papierze sobie zapisał i w pół godziny izba się opróżniła.

Zostaliśmy sami, szydersko się popatrzał na mnie.

— Co wy, miłośnicy panie, przy starościście robicie — rzekł — tego nie wiem. Widzi mi się, że chyba słuchać lamentów jego i listy poufne do syna pisywać. Nie byłoby tu co tak dalece robić, gdyby ład jaki był, ale starosta go nie zaprowadzi nigdy, a jakby był, to go zaraz zamąci.

Uśmiechnął się.

— Dobrze panisko, ale sobie samemu nieprzyjacieli srogil

Starosta, który natychmiast miał powrócić od króla, pojechał tymczasem na miasto, poszedł na ratusz, dał się zaprosić do któregoś z ziemian i nie przyjechał do dworu, aż późnym wieczorem.

Od skryby wiedziałem, że bodaj do północy na niego czekać powinniśmy poczem nas odprawi z niczem, nakazując jak świt do roboty stawać, chociaż robić nie będzie co...

Stało się, jak Soltysiak przepowiedział; powrócił zmęczony starosta, narzekając, że mu tchnąć nie dają, że się na śmierć zapracuje, odprawił skrybę, mnie za sobą do sypialni jeszcze iść kazał, i dopiero w łóżku ległszy, odejść dozwolił.

Następnych dni kazał mi to i owo zapamiętać, mu-

siałem przy nim ciągle być, ale do roboty nie dał mi nic, ciągle powtarzając: iż Panu Bogu dziękuje za to, że mnie ma pod ręką, bo lada chwila nawał być może do czynienia. Służba to była wistocie ciężka i upokarzająca, bo starego żał się robiło, a w niczem mu pomocnym nie mogłem być.

Kładąc się wieczorem do łóżka, zabierał mnie z sobą, aby jeszcze żale i lamenty rozwozić przede mną, ale tu przyszło już do istotnych zwierzeń. Naprzód mi o synu, tym księdzu, napomknął, powoli wynurzać się zaczął, rozplakał, ręce łamał i wygadał się ze wszystkiem.

Właśnie szło o to, ażebym list groźny do niego napisał, a starosta zaklinał się, że uchowaj Boże większego zgorszenia, sam go, chociaż duchownego, zamknie i w więzieniu trzymać będzie. Ważyłem się mu powiedzieć, że jeżeli groźby dotąd nie skutkowały, możeby inaczej należało przemawiać do niego, starać się poruszyć serce, zakłąć na miłość ojcowską i t. p.

Myśl ta bardzo mu się podobała. Kazał mi tedy rap-tularz nazajutrz przygotować, a wolnym czasem razem mieliśmy go odczytać.

Z tem szedłem do izby, gdy nazajutrz rano podwórzec nasz, w którym nigdy spokoju do późnej nocy nie było, wrzawą taką się rozległ, iż równemi nogami porwałem się z łóżka.

Sołtysiak wpadł do mnie.

— Dopieroż mieć będziemy ciężką przeprawę — zawołał: — przybył ksiądz Jan ze swym!

W podwórzcu rzenie koni, ujadanie psów, śmiechy czeladzi słychać było bez żadnego dla ojca i urzędnika poszanowania.

Starościńska służba cała latała, jak oparzona, ksiądz archidyakon gnieźnieński, dziekan łeczycki, gdyż takie nosił tytuły, w towarzystwie ichmościów Plichty i Komieskiego, sług swych wiernych, a dworzan i czeladzi dziesiątka rozgaszczał się we dworze. Ojciec ani mógł, ani chciał mu się w czem sprzeciwić.

Przyznaję, że mi ciekaw był bardzo oglądać tego syna marnotrawnego; odziałem się żywo i zbiegłem do izby starosty.

Siedział on tu, ale nie mając czasu się przyodziać, jak z łóżka wstał, kożuch tylko na siebie narzuciwszy, w koszuli jednej syna przyjmował.

Ksiądz, którego trudno było poznać, iż duchownym się zwał, w sukni krótkiej, w butach z ostrogami, młody, przystojny mężczyzna, z oczyma bystreimi, z włosiem długim wedle obyczaju ówczesnego w puklach na ramionach spływającym, żwawo biegał po izbie. Słychać było tylko głos jego, gdyż starosta cicho się odzywał i siedział, jak przybity.

Gdym wszedł, stary skinął na mnie i dał znak, abym nie przeszkadzał ich rozmowie; cofnąłem się więc. Wtem odwołał mnie nazad i wskazał na sypialnię, abym tam na niego czekał.

Drzwi tylko cienkie przedzielały mnie od izby, w której ciągnęła się dalej rozmowa rozpoczęta. Głos ojca był błagający, syna szyderski.

Rad nieraad słuchałem.

— Co komu do tego, jak ja żyję! — wołał ks. Jan — ja za siebie sam przed Panem Bogiem odpowiadam. Wyrostkiem nie jestem, bakalarzów nie potrzebuje.

— Nietylko bakalarz, ale różgaby się przydała — przerwał starosta — tak, tak! Wstyd czynisz Odrowążom. Pomnisz na Jacka i Czesława!

— Ale ba! Wszyscy Odrowążowie świętymi być nie mogą — rozśmiał się syn. — Ja do stanu duchownego nie miałem powołania i nie mam, a Dorotkę jakem kochał, tak ją miłuję. To darmo. Przecież Jakób, mąż jej, nie skarży się na mnie? Cóż komu do tego!

— Jakób ślepy jest i dobroduszny, — zawołał ojciec, a przecie Mikołaj, brat jego, wojewoda mazowiecki, przyjeżdżał umyślnie do mnie z żalem na was.

Rzucił się ks. archidyakon gwałtownie.

— Ja go rozumu nauczę, pana wojewodę — krzyknął, — a cóż to czy Jakób Boglewski dziecko, opieki potrzebuje? Niech pilnuje swego nosa i swej żonki, a w drogę mi nie lezie, bo mu pokażę, że ja szablą nie zapomniałem władać.

Słychać było, jak ojciec w dłonie klasnął.

— A milcz-że!

Chwilę krótką panowała w izbie cisza, słyszałem tylko żywy chód archidyakona, który zcicha sobie poswistywał.

— Przybywam głodny, jak pies do ojcowskiego domu — począł — a tu zamiast nakarmić mnie, morałam przyjmuję. Ale jak Bóg miły, ja to wszystko wiem dobrze. Kara boska, język ludzkie, zgorzenie, a to, a owo, o tem słyszałem wiele... Jeść mi się chce.

Wtem stukać zaczął gwałtownie. Wpadł zapewne marszałek, bom usłyszał:

— Do stu katów, jeść dawajcie.

— Ale nie tu — przerwał ojciec; — do izby tej zaraz się zaczął schodzić ludzie. Niech jeść dadzą naprzeciwno.

Miał ojciec znowu począć admonicye, gdy drzwi się otworzyły. Musieli wniść przyjaciele, a słudzy ks. archidyakona i jeden począł:

— Ani koni, ani psów niema gdzie wygodnie pomieścić.

— Myśmy głodni—dodał drugi.

— A i ja głodny jestem — rozśmiał się ksiądz.— Do tego przyjdzie, że ja tu ojca mając starostą, gospody sobie na mieście szukać będę musiał.

Zaburczał coś stary, musiano dać znać, że jadło przyniesiono i starosta sam, wzdychając, wtoczył się do izby, w której na niego czekałem.

Twarc miał zmienioną i zbolalą, trząsł głową, nie mówiąc. Dwie lzy powoli toczyły mu się po policzkach.

— Słyszałeś? widzisz, jak mnie Bóg pokarał! Co z nim robić! Ani Boga, ani rodzica, ani ludzi nie słucha!

I po chwilce powtórzył:

— A! pokarał mnie Bóg! pokarał!

Zadumał się i jakby nawpół do siebie począł:

— Albo i to towarzystwo? Plichta! Komeski! Wszak że to znane lotry, kostery i zbóje. Na Komeskiego kupcy lubelscy instygowali, że ich z drugimi na gościńcach

rozbijał. Plichta nie lepszy. Ci, choćby chciał się poprawić, nie dadzą mu.

Ośmieliłem się zcicha podszeptać, iż jeżeli na tych towarzyszych były skargi, możnaby się postarać, aby pociągnięci byli i do więzienia dani, a takby się ta niebezpieczna przyjaźń rozerwać musiała.

— To go nie znasz! — zawołał starosta — on mnie, ojcu, tu za nich gotów zrobić taką chryję, że całe miasto o niej wiedzieć będzie. Muszę ich znosić, aby mieć pokój, a w starościńskim dworze ich przyjmować, bo na mieście burdy wyprawiać będą.

Naprzeciwno, gdzie ks. archidyakon siadł z Plichtą i Komeskim do śniadania, zawzięła się wrzawa taka, że zagłuszyła powszednią tutejszą. Siadłszy jeść i pić, kazali sobie nosić tyle, ile mogli znieść; archidyakon jeszcze do swego stołu kogoś przywołał i już nie wstał aż dobrze po południu, śpiewając takie pieśni, że ojciec uszy sobie zatykał.

Plakał i powtarzał nieustannie:

— Pokarał mnie Bóg, pokarał!

Następnych kilka dni Pieniżek gościł u ojca, zapraszał coraz nowych przyjaciół z ulicy, tego rodzaju, co Plichta i Komeski; noszono im miód, wino i cały dwór musiał być na usługi. Do ojca archidyakon prawie nie przychodził i lekcewał starca w oburzający sposób.

Nie wiem, jak i czem moja powierzchowność w oko mu wpadła. Dopytując o mnie, dowiedział się snać, że byłem u króla na usługach. Powiedział ojcu, że jemu takiego amanuensa nie szkodziłoby mieć i że mnieby wziął do siebie.

Rano przychodził do starosty, który mi tę nowinę z twarzą rozjaśnioną zwiastuje.

— Zmiłuj się — woła, ręce łamiąc — jeżeli Boga kochasz, przystań do niego! Jesteś stateczny, możesz go powstrzymywać; będziesz miał zasługę wielką.

Zakrzyknąłem, chwytając się za głowę.

— Jakto! — zawołałem — tam, gdzie ojciec nie może nic, jabym młodzik, coś potrafił. Zlituj się pan! Starosta, który z rozpaczy najniedorzeczniejszych

myśli chwycić się był gotów, uparł się i nalegał. Oświadczyłem tedy stanowczo, że za nic w świecie do archidjakona w służbę nie pójdę.

— Raczej panu staroście za nią podziękuję — dokończyłem. — Nie może to być.

† Widząc mnie tak upartym, stary wreszcie nalegania zaniechał, a archidyakona przez ojca się dowiedziawszy, żem służbą jego wzgardził, ani już patrzył na mnie.

W Krakowie zbyt księdzu było ciężko ciągle się o duchowieństwo surowe ocierać, spotykając oblicza chmurne a i niejedno słowo ostre, nie wygodnie gościć długo. Zabawiwszy kilka dni, pociągnęli do Łęczycy, i myślny na starostwie, ojca nie wyjmując, lżej odechnęli.

Ja na mojej tej utrapionej służbie, która się inaczej, jak niewola nazwać nie mogła, pozostałem. Bylbym doprawdy szukał może innej, ale Pieniążek się przywiązał do mnie, a jam żałował go i litował się nad nim. Nawykł był wylewać przede mną serce swoje, często pociachu, choć u młokosa, rady zasięgał; wiedziałem, że mu był potrzebny.

Softysiak, choć niezły człowiek, więcej swojej kieszeni, niż dobrej sławy i godności starosty strzegł, musiałem więc na wodzy go trzymać, ostrzegać i nie dopuszczać, aby słabości pana nadużywał.

Naprawdę nie robiłem tak, jak nic, alem na chwilę się oddalić nie mógł i musiał być z uchem pogotowiu. W poufnych sprawach czasem mnie posyłał.

W wolnych godzinach com miał czynić — czytałem! Czytałem, co popadłem, com dostał; i komentarze nad biblią i kroniki Kadłubkowe, do których właśnie Dąbrówka pisał objaśnienia, i lacińskich starożytnych pisarzy, bo ci byli podczas w wielkiem zachowaniu i coraz nowych wydobywano, których wprzód nikt tu nie znał.

Oprócz tego ponieważżem czasu podróży z ks. Janem trochę liźnął włoszczyzny, a kilku Włochów na dworze się i w mieście plątało, więc i języka tego poduczałem się, nie chcąc go zapomnieć.

Czasu tego, gdym u starosty był, dopuścił Pan Bóg na to miasto nasze drugą plagę wielką, bo sprawę z Tęczyńskim za pierwszą liczyć było można.

Z księży dominikanów przy św. Trójcy których alchemią się zabawiając, gdy nieostrożnie z ogniem się obchodził, wszczął się ogień straszny, który przy wiosennym wietrze, było to bowiem ostatnich dni kwietnia, tak się straszliwie rozszerzył, iż kościół św. Faranciszka, pałac biskupi, ulice Grodzką, Złotniczą, Szeroką, Poselską, Bracką, Gołębią i Żydowską w proch i żuźle obrócił. Gorzało zaraz po niesporach, począwszy do drugiej z północy, a ratunku nie było żadnego, choć tłumy ludu stały, bo i wody brakło i zrzeczności a odwagi.

Miano to za dopust i karę Bożą, na stolicę królestwa ściągniętą sprawą Tęczyńską i prześladowaniem biskupa.

Wspomniałem już o tem, jak naówczas na króla wszystko składano, jemu winę przypisywano, za niego mścił się Bóg, on sprowadził klęski i t. p.

Czasu pożaru już duchowieństwo to głosiło i nie alchemik był winien — ano król, bo właśnie był nakazał księżom, co biskupa wyznaczonego nie uznawali, dziesięciny zagrabić.

Nie wchodzę w to, czy sprawiedliwa była rzecz i czy podczaszy krakowski Obulec, drugi tak dobry sługa króla jak starosta, nadto sobie nie pozwalał, aliści raz przecie musiał pan nasz do posłuszeństwa sobie zmusić. Ci, co mu w tem pomagali, mogli łagodniej postępować, na Obulca bowiem srogi krzyk był.

Zjawiły się na niebie znaki groźne, a wszystko to jako przestrogi królowi, jako do niego wymierzone, ludzie tłumaczyli. Astrologowie duchowni większe jeszcze klęski nam zapowiadali.

Sądzono powszechnie, iż naostatek król Rzymowi oprzeć się nie będzie mógł i ustąpić musi, w czym mylili się ludzie. A kto króla znał, ten mógł zawczasu przepowiedzieć, iż się pożyć nie da.

Tymczasem ks. Jakób z Sienna, którego Rzym mianował, tułał się u Tęczyńskich i Melsztyńskich, schro-

nienia szukając. Ci się za nim wstawiali, jeździli, prosili nadaremnie, a wkońcu tyle uczynili tylko, że choć król im to wyrzucał, opieką swą go do ostatka osłaniali.

Być może, iż innego z Rzymu wskazanego kandydata Kazimierz byłby dopuścił wkońcu, ale Oleśnicki, popierany przez nieprzyjazychnych mu Tęczyńskich, na żadensposób na tej stolicy cierpianym być nie mógł.

Oswoiwszy się z położeniem mojem, choć nie było mi tu tak, jakbym pragnął, trwałem już przy starości. Pytał mnie, gołowąsa, często o radę, gdy sam nie wiedział, co czynić, a żem mu sercem pocziwem służył, słuchał i mogłem go niekiedy wczas ostrzedz.

Domowi o tem przekonawszy się, obchodzili się ze mną dobrze i nie mogłem się skarżyć, ażeby mi tu złe było.

Ale uchodziło bez celu życie i widoku na przyszłość; samem nie wiedział, czem byłem i jaki koniec mnie czeka. Raz też niepomniernie się zatapiałem w książkach, ucząc się cokolwiek mi się nastroczyło, to znowu, nie chcąc zupełnie zaniechać rycerskiego rzemiosła, zaprawiałem się do konia, wkładałem zbroję, jeździłem z dawnymi towarzyszami, wyprawując gonitwy. W tych mi też niezgorzej się powodziło, lecz gdym wspomniał, że rycerstwo dla mnie z powodu sieroctwa niedostępne, zniechęcałem się do niego.

Rodziców zaś, których przedtem szukać tak pragnąłem, teraz już zaprzestałem dochodzić, widząc w tem wyrok Boży, abym ich nie znalazł nigdy.

W tem rozerwaniu ducha, takoby zdala na mnie patrzył, musiałby był posądzić o wielką niestateczność, bom się przerzucał od jednego do drugiego z gorącością wielką, a w niczem nie trwał. Sam to sobie wymawiałem, lecz natura i los mój nieszczęśliwy takim mnie czyniły. Ponieważ niekiedy ogarniała mnie i wielka pobożność, a drugiego czasu widywano nad księgami ślęczącego, wszyscy mi prorokowali, że na sukni zakonnej skończę, o czem ja nie myślałem wcale.

Czas upływał bez troski przynajmniej o chleb powszedni, chociaż na jutro nie oszczędzić nie mogłem.

O Luchnie też nie zapomniałem, chociaż ani od niej, ani o niej żadnej wieści nie miałem. Niewiele polegałem na danem mi słowie, bo nie było w mocy dziewczęcia dotrzymać go; powszechnie bowiem albo rodzice lub opiekunowie losem dziewczek rozporządzali, a te się rozkazom ich opierać nie mogły. Z mojej strony zaś w przypięzionej wierności wytrwać łatwo było, raz, że mi się żadna sposobność nawet nie nastroczała do obcowania z kobietami, a powtóre, żadnaby z nich człowieka bez łomu i domu, bez rodziców i imienia wziąć za męża nie chciała.

Wprawdzie łatwoby mi było, tak jak wielu innym, zjechawszy pomiędzy ubogą szlachtę, jakiej siła była na Mazurach i w Wielkiej Polsce, wyprosić sobie i za miły grosz dostać przyjęcie do herbu i rodziny — alem do kłamu wszelkiego wstręt miał zawsze, a moje sieroctwo nosilem z jakąś głupią nadzieją, że z niego wyjdę kiedyś choćby cudem. Czyniąc się zaś innym, niż byłem, przybierając nazwisko obce, zdało mi się, żem sobie zapierał drogę do spodziewanego zawsze pozyskania nazwiska i rodziny.

Utrapieniu temu wielkiemu sieroctwem mojem, które mi dolegało wielce, starałem się ulgę uczynić tem, żem myśl natrętną o niem odpychał i postanowił najmocniej zdać los mój na łaskę Bożą. Powiedziawszy więc sobie:

—Stań się wola Twoja—czem innem się zaprzętałem.

Ponieważ starostę Pieniżka urząd jego do Krakowa przywiązywał, i on się stąd oddalał rzadko, więc i ja przy nim będąc, nie opuszczałem miasta.

Tymczasem król ciągle najwięcej wojną pruską i układami z zakonem był zaprzątnięty i albo w obozie siedział, albo na zjazdach i traktatach bawił, lub wolniejszym czasem na Litwie się łowami zabawiał, i w Krakowie go mało co widać było.

Miasto też przez czas jakiś spokojnem było i po pożarze się odbudowywało szybko. Gdzie mury pozostały, tam je polepiono i pokryto niebawem, a drewniane dworki rosły jak grzyby.

Lata ubiegaly. W r. 1464 we wtorek po Wielkiej nocy, trzeciego kwietnia, po tym pokoju miasto znowu zakłócone zostało niespodzianą napaścią na Żydów.

Czyniono naówczas zaciągi na wojnę krzyżową przeciwko poganom. Jaki to tam lud się pod te chorągwie ścigał, gdy w domu co było lepszego, król zabierał do Prus, łatwo pojąć. Szli ludzie tacy, których nikt nie chciał, lotrzyki a zbójcy czyhający na łupież tylko.

Kupa tej gawiedzi pijanej a niesfornej po drodze wtargnęła do miasta dla spoczynku. Nie mogli rajcy tym, krzyże noszącym żołnierzom Chrystusowym, odmówić dachu. Wkrótce jednak przyszło pożałować, że ich wpuszczono, bo lepiej się było u wrót wykupić, a do miasta ich nie wpuszczać.

Stanawszy tu, gdy się z miejskimi konfratrami zwąchali a dowiedzieli, iż w Krakowie było dosyć Żydów, o których powiadano, że mieli wielkie bogactwa, zuchwała ta gromada postanowiła napaść ich i złupić, sądząc, że jej to ujdzie płazem. Z pomocą więc ulicznej gawiedzi, wieczorem, cała tłuszcza krzyżowa runęła na synagogę i na żydowskie domy.

Napad był tak niespodziewany, że w początkach nikt się im nie opierał; ubito ze trzydziestu, splądrowano kilka domów, a przestraszone żydostwo, którego mieszczanie bronić nie chcieli dlatego, że ono nie miasta, ale zamkowego sądu i rządu słuchało i im podlegało, schroniło się do domu Jana Tęczyńskiego, kasztelana krakowskiego, który nieopodal się znalazł. A że stara waśń między mieszczany a Tęczyńskimi zawsze była pamiętna, dano im tu przytułek. Tymczasem i starosta z pacholkami swymi, choć siła ich przeciwko krzyżowcom nie stawała, wystąpił.

Noc nadeszła i wszystko się zdawało uspokojone, chociaż Żydzi nie dowierzając, na dziedzińcach się i po szopach rozłożyli. I mieli słuszną przeczucie, iż nie zaufali uspokojeniu, bo nazajutrz rano gromada dom Tęczyńskich oblegała i szturmować zaczęła.

Obudzili się dopiero panowie rajcy, bo gdyby tu-

piestwu początek uczyniono, poszłoby i po innych. Nadbiegła czeladź biskupia, starościńska, ludzie podskarbiego, pana Jakóba z Dębna, rozpędzono napastników, a żydów strwożonych myślny na zamek dla bezpieczeństwa zaprowadzili.

Winę tego rozruchu i grabieży włożono na miasto, nie bez przyczyny, gdyż w pierwszej chwili żydów nie chciano bronić, odpowiadając, że kto ich sądzi, ten ich osłaniać winien.

Wygnano precz tę hałastę natychmiast, a ratusz musiał zapłacić trzy tysiące czerwonych złotych grzywien.

Stało się to w okolicy królewskiej, dla której sromotnem było, że u siebie gospodarować dawała lada przybłędom, ale rajcy odpowiadali tem, że król jego- mość przecie w królestwie swem panem będąc, lotro- stwom zapobiedz nie mógł. Co prawdą było, gdyż się namnożyło takich kup swawolnych, które na kupców i na podróżnych się zasadzały po gościńcach, jednych odzierając, drugich zabijając i łupiąc. Pomiedzy tymi rycerzami byli zaprawdę i szlacheckiego rodu, którzy sobie z tego czynili rzemiosło, trzymali ludzi, posyłali szpiegów i zbrojno najeżdżali nawet dwory zamożne.

Król w roku tym i następnym bawił w Prusiech, we Lwowie, na Rusi i ze dworem w Kaliszu a Brześciu.

Z Krzyżakami wreszcie z niemalym trudem wkrót- ce potem podpisano pokój, czasu którego w Toruniu zmarł z królem tam będący Sędziwój z Lezienic, wojewoda sieradzki.

Siła też najznacniejszych ludzi, biskupów, duchowienstwa, prawników do pisania traktatów z przewrotnym zakonem użytych było.

Kiedy się właśnie toczą te układy, a my w Krakowie przesiadujemy, starosta coraz we mnie większą ufność pokładający, nocy jednej późno powróciwszy do domu, mnie już z łóżka wyrostkowi kazał przyzwać. Nie było to bezprzykładnem, a nieraz się trafiało, że po to tylko iść mi do siebie kazał, aby miał przed kim zalić się na swój los, szczególnie na syna archidyakona.

Na tego żadnej rady nie było, dochodziły wieści tak groźne, iż starosta w rozpacz wpadał.

— Zgubi nas wszystkich—powtarzał.

Wdzieliśmy, iż nikt tylko przesiadywał najczęściej u Boglewskich, ale jawnem było i to, iż z panią Dorotą miłowali się, wszelkiego pozbywszy sromu.

Słowo ojca nic u niego nie ważyło.

Wszedłszy do starosty, zastałem go klęczącym przy łóżku, z rękami złożonemi i twarzą łzami zalaną.

Za łkaniem przemówić nie mógł. Chciał powstać, nie miał siły, pomogłem mu się dźwignąć... rzucił mi się na szyję.

Na pytanie moje odpowiedzieć długo nie mógł, alem już pewnym był, że o synu tym nieszczęsnym wiadomość jakąś odebrał.

Trząsł się cały i głosem niższym począł:

— Na rany Chrystusowe! Jaszku, bierz konia i ludzi najlepszych, nie patrz na noc a jedź. Nie wiem, co się stało, ale archidyakon popełnił jakąś krwawą burdę u Boglewskich. Ludzie mi nie powiadają, co się stało, wieści są sprzeczne. Ruszaj na miejsce, dokąd chcesz, dostań języka, wyrwij mnie z tej niepewności.

Chciałem go dopytywać, co mu doniesiono, ale star się płatał i widać było, że albo z pewnością nie wiedział, co się w Boglewie stało, lub tego, co mu powiadano, powtarzać nie chciał, wiary nie dając.

Dobyl natychmiast worek pieniędzy, konie i ludzi kazał w skok gotować, a mnie tak naglił, żem się nawet rozmówić z nim nie mógł, pędził tylko, abym jechał. Musiałem mu być posłusznym.

Noc już była, bramy miejskie pozamykane, ale starościńska straż towarzyszyła mi z rozkazem, aby mnie z miasta puszczono.

Tak nagle, ledwie się przepasawszy, w słotę okrutną, po nocy w drogę samoczwart puścić się musiałem.

Koni mi nie kazano żałować, to też ich nie szczędziłem, drogę jak najprostszą wybierając, przewodników oplacając, tak, że trzeciego dnia już w mil dwie od Boglewa stanąłem na spoczynek w gospodzie.

Po drodze tak dobrze jak z nikim się nie spotkawszy, o nic też rozpytywać nie mogłem; tu dopiero szlachtę, dwu panów Robockich zastawszy, którzy koniom popasali, gdym z rozmowy ich o Boglewie coś pochwycił, przystąpiłem do nich zapytując, czyby nie wiedzieli, co się tam stało.

— Jakże wiedzieć nie mamy? — podchwycił starszy Marek, gdym mu się, jako dworzanin starosty krakowskiego nazwał. — Naokół o niczem nie mówią, tylko o tej historii krwawej. Jakoba Boglewskiego zabito.

— Kto? jak? — krzyknąłem przerażony.

— Kto? Gach! — odparł drugi Robocki — a do tego duchowny i dygnitarz, — ks. Jan Pieniążek.

Porwałem się, przecząc, ale mi usta zamknęły.

— Posłuchajże wasze, bośmy sąsiedzi, a Marek zaraz po dokonaniu zbrodni na miejscu był i na swoje oczy trupa oglądał. Całemu światu wiadomem było, że Pieniążek do pani Doroty Boglewskiej od lat wielu dojeżdżał. Pan chorąży czerski na to nie zważał, bawili się z nim razem przyjacielsko. Przestrzegali go ludzie, że zdracę żywi w domu, śmiał się z tego. Człek był łagodny i spokojny... Trwało tak długo, archidyakon do Boglewa, jak do domu, zajeżdżał, a tygodniami przesiadywał. Przybywał nie sam, zwykle ze sługami i dworem, a że chorążego ludzi opłacał i umiał ich sobie pozyskać, panią miał za sobą, fraucymer jej też, więc mu tu było wygodnie i bezpiecznie... Gdy chorąży wieczorem podpiwszy, spać legł, a skryba jego Adam Jaszczułkowski na straży przy nim siedział, Pieniążek czynił, co chciał... Naostatek przebrała się miara, ślepy chorąży cokolwiek przejrzał, ludzie go podbudzali, a szczególniej brat, wojewoda mazowiecki. Ale i teraz chciał w dobry sposób pozbyć się gacha i we cztery oczy mu oświadczył, iż go więcej w domu cierpieć nie będzie, bo mu brat i ludzie tem dojadają.

Oparł się archidyakon, lecz na ten raz chorąży twar do stanął.

— Zadaście kłam ludziom, co na moją żonę i na was potwarz rzucają; oddalcie się, inaczej wojewoda

mi tę krzywdę uczyni, że się sam za mną, jak za małoletnim i niedołężnym ujmie... Jedźcie i nie powracajcie.

Na to oświadczenie wpadła podsłuchująca żona, stał się hałas wielki i kłótnia, ale chorąży nie ustąpił; wyłajała go żona, sfukał archidyakon, zawrócił się od nich i szedł precz do swej sypialni... Co się potem stało, różnie opowiadają. Pieniążek do gościnnej izby ze swymi przyjaciółmi poszedłszy, wezwał do niej Jaszczukowskiego, którego mówią, że spojono, czy też obietnicą zapłaty ujęto... Chorąży spał spokojnie, gdy Jaszczukowski z Plichtą i Komeskim do izby jego wtargnęli i skryba go spisa, którą przyniósł, w piersi raził, w czym mu dwaj przyjaciele księdza pomagali, tak, że ciało całe na sztuki niemal zrabane i skłóte nazajutrz znaleziono... Czy sam Pieniążek ze zbójcami był, nie wiadomo...

We dworze domownicy wnet podnieśli wrzawę, niektórzy z nich pouciekali, inni pobiegli do urzędu, jeden pojechał do wojewody... W początkach chciano wszystko złożyć na kłótnię z Jaszczukowskim, ale się znaleźli świadkowie, którzy wszystko widzieli i słyszeli... Nazajutrz Pieniążek ze swymi do Łęczycy umknął, a i pani Dorota, przewidując, że pociągniętą być może, z domu nie wiadomo dokąd uszła...

Dworzanie nieboszczyka tymczasem ciało zabitego i wszelkiej pozostałości tak dobrze strzegli, że gdy brat zabitego, Mikołaj, wojewoda mazowiecki, nadbiegł, pochwyił nawet listy jejmościne, z których współnictwo i zmowy przeciwko mężowi jawnie się okazały. Samą też winowajczynię pono w ucieczce pochwycono.

Gdy mi to Roboccy opowiadali, włosy na głowie stawały i płakać się chciało nad losem ojca.

— Cóż się z Pieniążkiem stało? — zapytałem strwożony.

— Nie dał się ująć, a może też i niebardzo z tem pośpieszono; teraz zaś, gdy z Łęczycy z nowymi przyjaciółmi w świat się puścił, sukienkę duchowną zrzucając, niełatwo kto go dostanie.

Takim sposobem wiadomość otrzymawszy, gdym już we dwie mile od Boglewa był, a o prawdzie tego,

co mi opowiadano, wątpić nie mógł, rozmyśleć się musiałem, co dalej czynić. Będąc sługą Pieniążków, wojewodzie mazowieckiemu w ręce wpaść bezpiecznem nie było. Posądzić mnie mógł o jakie współnictwo z winowajcą, o wywiadywanie się na korzyść jego.

Do miejsca więc dotrzeć nie było sposobu, lecz do sąsiedniej wioski dostawszy się, tu dzień cały na przysłuchiwanie się opowiadaniom spędziłem.

O niczem też więcej nie rozprawiano, a choć się różniły wieści, te i ludzkie języki, jak zwykle, przerabiały je każdy na swój sposób — jedno się przecież stale powtarzało — jawna wina księdza, którego okolica знаła, jako człowieka zuchwałego i rozpasanego.

W Boglewie, jak mi mówiono, wojewoda, który do brata przywiązany był, zbierał wszelkie dowody winy bratowej i głośno się odgrażał, że ją wedle prawa, żywcem zakopać da, a współwinnemu, gdyby i do papieża przyszło z żalobą iść, nie przebaczy.

Tak nieszczęśliwe moje poselstwo sprawiwszy, nie pozostawało mi już nic, tylko do Krakowa powracać. Konie były pół żywe, więc pośpieszyć nie mogłem, a nie było też z czem, bo starosta na to, co się stało, radzić już nie był w mocy, a pocieszyć go nie miałem czem.

Powłokłem się więc nazad, dawszy spocząć koniom i sobie.

Drugiego dnia, gdyśmy bory przebywali, przyszło pod noc stanąć w nędznej gospodzie. Zaparta szopa wewnętrzna pełną być musiała, bo nam jej otwierać nie chciano.

Ludzie starościńscy ze mną jadący, nie nawykli do tego, aby komu ustępowali, gwałtem się do zapartej gospody włamywać zaczęli. Nimem ich powściągnąć mógł, otworzyły się wrota, i wypadło na nas kilku ludzi z szablami.

Z izby też gospodarz z łuczywem wybiegł i przy świetle jego z wielkiem mojem podziwieniem i strachem, zdało mi się, że poznal archidykona. Już do hójki przyjsć miało, gdym na próbę w głos krzyknął, iż ze dworu starosty Pieniążka jesteśmy.

Na ten głos przypadł do mnie archidyakon, gdyż on to wistocie był, nacierając, kto byłem i z czym jechałem. Księdza już w nim nic nie pozostało, przebrał się był bowiem po rycersku, miecz przypasał i raczej do zbójcy był podobnym.

Na pytanie nie zawałałem się odpowiedzieć, że właśnie za nim wysłanym byłem, abym języka dostał. Tu broń złożwszy, razem z nim wszedłem do gospody.

Kroczył przodem zuchwale, a nie widać było po nim, aby za zbrodnię popełnioną skrucę miał wielką. Gniew nim tylko miotał.

— A! starosta was wysłał za językiem? powiedzcież mu, że Boglewskiego nie stało... Jam nie winien, nie tknąłem go. Gawiedź pijana uprzątnęła, ale na mnie i na żonę winę zwałą. Nie myślę się też dać ująć; sutannę zrzuciłem, księdzem nie będę, a gdy dla mnie tu bezpieczeństwa niema, no... to i drugim ze mną bardzo bezpiecznie nie będzie.

Począł się śmiać dziko i zwracając nagle ku mnie, pytał:

— Nie mówili wam, co się z Dorotą stało?

— Uszła była, lecz powiadają, że ją pochwycono. Listy też jej ma w ręku wojewoda.

Zachmurzyło mu się czoło.

— Mnie nie wezmą! — odezwał się porywczo — nie dam się. Jeśli mi ojciec nie postara się o środki do ucieczki... no... będę, jak drudzy, polował po drogach na kupców. Ludzi do tego znajduję. Jest takich dosyć, co chorągwi szukają.

Ręką zamachnął, ale pomimo tych odgrózek twarz miał zrozpaczoną i posępną. Stał kubek z napojem jakimś, wychylił go zapalczywie, duszkiem i padł na ławę. Podniósł powoli głowę.

— Co tu myśleć — rzekł; — dobrze, żeście mi w ręce wpadli, ludzi starościńskich i was zabieram. Nie jestem z tą małą garścią bezpiecznym.

— Ja się zabrać nie dam — odparłem stanowczo.

Poruszył głową, nie nalegając.

— No, to jedź sobie do stu katów sam — odparł; — ojcowskie sługi do mnie należą, tych nie dam.

I zerwawszy się z ławy, do szopy biegł do swoich, ja też za nim, aby mi czeladzi nie bałamucił, ale drzwi przede mną zaparł.

Usłyszałem głosy, wrzawę, spór i nawoływanie, poczem jakoś ucichło i archidyakon powrócił zwycięsko.

— Czeladź mojego ojca zostanie ze mną, przykazałem im, słuchać muszą; wy, jeśli cało chcecie wywinąć, nie zadzierajcie ze mną. Życia ludzkiego tak dalece nie ważę, podziękujcie, jeżeli was puszcze. Tegobym może nie uczynił, ale ojcu donieść powinniście o mnie... Powiedzcie mu, że w lasach tych siedzieć będę, że kupę zbiorę i żywić się postaram, jako zmogę. Chce-li tego uniknąć, niech mi da z czem ujść, choćby za morze, już mnie tu nie trzyma.

Nie chciałem z nim rozprawiać, anim myślał nawracać. Dałem mu pleść, co chciał, a sam w kącie na ławie siadłszy, całą noc przebyłem, drzemiąc, dopóki by nie rozedniało.

O brzasku ksiądz też zawołał na ludzi o konie, nie chcąc tu być dłużej; poszedłem do czeladzi, sądząc, że ochłonawszy, pojedzie ze mną, ale pacholkiwie księdza pilnowali moich i jak więźniów ich trzymali: ani mi dali przystąpić do nich. Musiałem sam sobie konia wyprowadzić, a miałem wierzchowca doskonałego, deresza, którego ledwie zoczywszy, Pieniążek uzdę mi z rąk wyrwał i zabrał go sobie. Sakwy nawet i siodła nie mogłem ocalić, gdyż natychmiast swoich koni podosiadawszy, jednego luzem prowadząc, mnie pieszego zostawili, śmiejąc się na pożegnanie.

W sakwach znajdowały się suknie i część pieniędzy starosty, szczęściem, żem coś grosza miał w małej kalecie u pasa. Zostałem tak więc pośród lasu sam jeden i pieszo.

Dróg nie znając, gdy w puszczy łatwo się było obłąkać, musiałem pozostać, oczekując, ażali na wielkim gościńcu nie trafi się podwoda do Krakowa, lub kupcy albo szlachta coby mnie poratować mogli.

Ległem na siano o razowym chlebie i wodzie pośniadawszy, bo w gospodzie mało co więcej znaleźć było można. Trafił się dzień tak nieszczęśliwy, że oprócz dwu żebraków, na odpust idących i jednego kmiecia z podwodą, który mi nie mógł być żadną pomocą, nie doczekałem się nikogo do wieczora.

Pod noc dopiero nadciągnęło kilku jezdnych. A i na tych doznałem zawodu. Dwu z nich rannych było, a trzeci, któremu się zbójom z rąk wyrwać udało, nie miał jak tego jednego konia, na którym uciekł.

Opowiedziałem im przygodę moją, nie mianując nazwiska tego, który mnie pieszym uczynił i odarł; gdy zaś oni o swojej mówiąc, napastnika mi i jego ludzi opisali, poznałem zaraz, że nie kto inny, tylko Pieniążek ich złupił, próbując szczęścia.

Tak rozpoczął życie nowe, o którym nawet staroście, dla srogiego żalu, jakiego doznać miał, nie godziło mi się powiadać!

Nocowaliśmy razem, a że szlachta odarta i pokaleczona niedaleko stamtąd zamieszkiwała, wyprosiłem, aby mi nazajutrz konia na sprzedaż przyprowadzili.

Tak o głodzie, dosyć czasu zmarnowawszy, nędzną szkapę oplaciwszy we dwoje, ruszyłem już sam, Bogu się oddając. Dowlóklełem się tak nareszcie na tej marsze co ledwie nogi dźwigała, do Krakowa, a gdym wrota miejskie ujrział, serce mi zabiło z radości i z niepokoju.

Com miał powiedzieć ojcu co zataić?

Cichaczem wprowadziwszy konia do stajen, poszedłem naprzód wypocząć. Nie było się z czem śpieszyć.

Marszałek i Soltysiak, z którymi się spotkałem, oznajmili mi, że staroście wszystko już było wiadomem, bo mu bezlitośnie dał o tem znać listem wojewoda mazowiecki, jego za syna czyniąc winnym. Starosta w łóżku leżał, modlił się i płakał.

Myśli zebrawszy, poszedłem do niego. Porwał się, zobaczywszy mnie.

— Wszystko już miłość wasza wiecie — rzekłem; — nie nowego nie przywożę.

— Zgubił siebie ten człowiek — zalamując ręce,

odrzekł starosta, — i okrył nas sromem. Śmierci mu już życzyć tylko!

Długo nie mogłem się zebrać na to, aby mu o mojej przygodzie opowiedzieć, lecz skryć całkiem dla ludzi, których z sobą miałem, nie było podobna.

Gdym o spotkaniu w lesie wspomniał, jęczeć począł i płakać, ale miłość ojcowska w nim na chwilę górę wzięła, bo kochał to dziecko i spytał, czym go chorym lub zbolełym nie znalazł?

Zabójstwo Boglewskiego, choć to były czasy, w których nie zbywało na wypadkach, a miały się czem umyśły zajmować, przeraziło i zaniepokoiło cały nasz świat.

Mówiono tylko o niem, każdy je po swojemu tłumaczył i obracał tak, aby tego niem dowiódł, co mu potrzeba było okazać.

Duchowieństwo tłumaczyło je tem, że mu wpływa mi obcemi narzucano księży, że karności nie było, bo praw wyborów i rządzenia sobą pozbawionem było. Ledwie nie głoszono, iż król znowu winien był temu, że Pieniążek Boglewskiego zamordować kazał, bo ojciec jego był sługą powolnym króla i surowym prześladowcą opierających się.

— Otóż masz, jak cię Pan Bóg za nasze dziesięciny pokarał!

Starosta bowiem i Obulec zabierali dziesięciny i majątności tych, co biskupa Jana uznać nie chcieli.

Z drugiej strony królewscy mówili:

— Patrzcie, co to są duchowni i czy nie słuszną rzecz, iż król powciagnąć chce ich samowolę.

Co dalej z Pieniążkiem miało się stać, przewidzieć było trudno; tymczasem, zebrawszy sobie ludzi, po lasach się tulał, po gościńcach i na dwory najeżdżał, gdzie wiedział, że siła czeladzi nie było. Gwałtem sobie gospodę z nich czynił, jeść, pić i obroki dawać rozkazywał siedział dzień i dwa, zabierał co mu się podobało i ruszał dalej.

Szczególniej na Mazowszu, które znał dobrze, a wesoły ono obfitowało, udawało mu się tak bezkarnie snuć, ludzi szacować i drwić z tych, co za nim gonili.

bowiem wydane listy gończe, ale nikt tak bardzo się nie troszczył o pochwycenie Pieniążka, a wiadano dobrze, iż się nie da wziąć gołą ręką i bronić będzie, bo nic nie miał do stracenia.

Wprawdzie mimo zbrodni niesłychanej i winy jawnej, jako duchownego władza świecka nie mogła karać, a duchowna byłaby go oszczędziła, zamknawszy na życie do więzienia — ale rozpasanemu człowiekowi do skrucy i pokuty było daleko.

Osobliwsze też pobłażanie okazano dla Doroty Boglewskiej, którą zakonnicy warszawscy św. Franciszka wyprosilili, że jej ujść i skryć się dano tak, że kary uniknęła. Uczynili to nie dla niej, ale dla Rogalów z Sudocina, których była dzieckiem, aby sromotna kara i jej wspomnienie nie spadło na rodzinę.

Adama tylko Jaszczułkowskiego, pochwycenego osądzono na poćwiertowanie i wyrok na nim spełniono.

Ale tego wojewodzie mazowieckiemu nie było dosyć; chciał za krew brata karać i żonę niewierną i Pieniążka uchwycić. Z jego to naprawy rozstawione były czaty i ludzie czyhali na archidyakona, ale on zwinniejszy był od nich i pod nosem im się przesuwiał, naigrawając. O wszystkim zaś będąc uwiadomiony przez ludzi przebiegłych, których do posług zażywał, gdy mu ci dali znać, iż Dorota uszła na Pomorze, o tem już tylko myślał, jak się z nią połączyć.

Do tego jednak potrzeba mu było pieniędzy, których nie miał, a od ojca je chciał wyciągnąć.

Był więc tak zuchwałym, że przebranego Plichtę, który do zabójstwa należał, przysłał do nas do starosty z pismem, wprost się domagając, aby mu tyle a tyle grzywnien przysłał, chce-li, aby imię jego nie zostało zhańbionem. Wiedział dobrze o tem i on, i Plichta, że starosta go sprawiedliwości nie wyda.

Nigdy człowieka na takie srogie męki wystawionym nie widział, jak był naówczas stary Pieniążek.

Silniejszej woli a mocy nad sobą, każdy inny wiedziałby odrazu, co ma czynić i przebolawszy, szedłby obroną drogą. W starości miłość dla syna, przywiąza-

nie do imienia i rodziny, chęć uniknięcia sromu i obowiązki sumienia walczyły. Widywałem go tak pasującym się z sobą, modlącym, z rękami zaciśniętymi, z czołem okrytem potem, oddanego na łup myślom, które go jak owe Harpie, szarpały. Nie mówił nic, lecz widać było, co cierpiał, jak się uspokajał, postanowienie uczyniwszy, potem się wahał i wyrzucony z kolei, znowu drogi szukał a znaleźć jej nie mógł.

Dzień w dzień chodził do kapłanów, duchownych, do zakonników, radząc się, bolejąc, skarżąc. Żałowali go może, gdyż politowania był godzien, ale zarazem milczeniem powtarzali to, co gdzieindziej głośno mówiono.

— Masz za prześladowanie nasze... Oto cię Pan Bóg pokarał na dziecku i na tym, który kapłanem uczyniony, zakała się stał dla nas.

Plichtę po naradzie starosta odprawił z groźbą, fukiem, grosza nie dał, konia jego ze stajen kazał wygnać, jego samego jak zapowietrzeńca, wypędzić ze dworu, i zapowiedział mu, jeśli by śmiał tu bawić dłużej, że go do więzienia wtrąci.

Synowi zaś kazał tylko rzec, że go za dziecko swe znać nie chce, wyrzeka się i zakazuje mu zgłaszać się do siebie. To uczyniwszy, biedny rozplakał się potem jak bóbr, bo mu Jaśka tego żal było, a ratunku nie widział.

Pocieszałem go, jak mogłem, choć w takim cierpieniu Bóg jeden, a czas drugi, tylko pociechę przynoszą.

Oprócz straconego syna miał Pieniążek przed sobą nieunikniony gniew króla, zmniejszenie znaczenia swego i plamę, rodzinie uczynioną. Wyrzucali mu ją wszyscy Odrowążowie.

Srogie były męczarnie starca przy jego słabym charakterze, lecz Bóg cuda sprawia.

Co rano przychodziłem do starosty, gdy w łóżku jeszcze leżał, wrzekomo po rozkazy, a wistocie dla słuchania skarg i uzaleń nad losem, jaki go spotkał.

Byłem już do tego nawykłym i niemal jednemi słowami zawsze starałem się go pocieszać.

Tego dnia, gdym z proga spojrział na bladą twarz jego, postrzegłem w niej zmianę wielką. Widać było wysilek ogromny, ale jakieś postanowienie twarde. Zerwał się z łoża i nie poczynając, jak zwykle od opowiadania mi o złowrogich snach swoich i t. p., zawołał:

— Jedziecie ze mną!

— Dokąd?—zapytałem.

Zawahał się nieco.

— Król mnie posyła, sprawa bardzo ważna; wybierzcie się tak, abyście choć i miesiąc ze mną mogli trwać.

Widząc go osłabłym, znękanym, a i wiekiem przyśniętym, odczwałem się, że mógłby go kto zastąpić.

— Nikt — odparł żywo i silnie—nikt! Sam muszę jechać. Wolę zresztą tułać się już po gościńcach, niżeli tu siedzieć i w każdych oczach czytać pogardę, albo równie upokarzającą litość.

Wnet się przyodziewać zaczął a oddział, który mu miał towarzyszyć, był już gotowym. Dobrano najlepszych ludzi, najwytrwalsze konie, a i liczba naznaczona była niemała, bo wynosiła przeszło pięćdziesiąt koni.

Ani marszałkowi, ani nikomu z nas starosta zwierzyć się nie chciał, dokąd mieliśmy iść, co tem dziwniejszem było, że nigdy przed nami się z niczem nie taił, a miał zwyczaj wygadywać się do zbytku i mimowoli.

Byliśmy pewni, iż rozkaz króla otrzymał.

Nie siląc się na odgadywanie, wyruszyliśmy z Krakowa.

Uderzyło mnie i wszystkich jedno: starosta którego znano przez lat wiele zawsze jednym, słabym, wahającym się, niepewnym, co czynić, gadatliwym, zmieniającym postanowienia, zupełnie teraz był innym. Milczał, nie skarżył się, rozkazy wydawał stanowcze, nie tłumaczył się z nich, rady nie potrzebował.

Z kierunku drogi zmiarkowałem, iż na Mazowsze lub do Litwy zmierzamy, co dawało do myślenia, iż się może gdzieś z królem połączymy.

Takeśmy zaciągnęli do nędznej miejsciny w okolicy Czerska, której nazwiska nie pamiętam.

Na noclegu starosta żydów kazał zwołać i na osob-

ności długo z nimi konferował i radził. Nazajutrz mieliśmy odpoczywać dzień cały. Postrzegłem, że żydy się rozbiegły, ruch pomiędzy nimi był wielki, a starosta cały dzień z głową rękami uciśniętą, za stołem siedział milczący. Wieczorem żydki mu jakąś wiadomość przynieśli. Tu, gdy już noc zapadała, a myślny się zabierali odpoczywać, nagle Pieniążek wydał rozkaz na koni siadać, samopały gotować i ruszać.

Człeczyna jakiś w kurpiach, ni to kmieć, ni szlachetka, z włosami długimi na szkapie nędznej, czekał na nas.

Był to przewodnik, ale dokąd i po co prowadził, nie powiedziano nam.

Kazano ciągnąć w milczeniu największem.

Z miejsciny wyjechawszy, chociaż noc była ciemna, za przewodem zdążając, jechaliśmy bezpiecznie, a trwało to niemał do północy, cośmy po gwiazdach poznawali. W zaroślach na koniec okazał się dworek czy chata.

Przewodnik zawrócił do Pieniążka i ukazał mu go.

Stary drżącym głosem wydał rozkaz, ażeby dwór tak opasano dokoła, iżby się z niego żywa dusza wymknąć nie mogła.

Gdy mówił, tak mu się słowa plątały, w ustach niewyraźne, jak gdyby je łkanie przerywało.

Starościńscy ludzie, do różnych wypraw dosyć byli nawykli i zręczni. Zmiarkowawszy więc, że szło o pochwycenie jakiegoś zbiega, natychmiast się ustawili, osaczyli zabudowania, a nas gromadka wpadła ze starostą na podwórzec.

Psy ujadające zdradziły nas, bo w pierwszopy ludzie twardym snem byli ujęci, we dworku się zrobiła wrzawa, zaczęli się z szop i stajen pokazywać w koszulach rozbudzeni, a tych starościńscy ludzie zaraz chwyтали i wiązali. Taki był rozkaz. W podwórzu ognia naniecono.

Wtem ze dworku napół odziany wypadł ksiądz Pieniążek i oko w oko z ojcem się spotkawszy, osłupiał...

— Wiązać go!—zakrzyczał starosta.

Ten uszom swym wierzyć nie chcąc, gdy się z obroną ociągał, pacholków dwu skoczyło, obaliło go i skrepowowało.

Pieniążek na koniu stał, z ustami zaciśniętymi, jak skamieniały, a w blasku ognia widziałem, że mu się lzy toczyły po twarzy.

— Ojczel! — krzyknął leżący na ziemi.

— Ojca tu niema! — zawołał starosta — jest sędzia tylko, jest z urzędu szukający pomsty. Nie mam syna! Znieważyłś matkę swą, kościół, zhańbiłś siwe ojca włosy... — kara cię minąć nie powinna.

— Na koń z nim i za mną! — dodał, zwracając się do swoich. — Kto mu pofolguje, szyją mi za to odpowie.

Wszyscy my, cośmy starostę znali, pewno nie mniej od syna byliśmy zdumieni jego postępkami. Było w tem coś tak bohaterskiego, tak strasznego razem, tak potężnego, iż człowiek ten obudzał dla siebie poszanowanie.

Ksiądz, którego na konia wrzucono, w początku tak był przerażony, iż się nawet nie odzywał; potem go szal jakiś porwał, zaczął krzyczeć, lając, pienieć się i rzucać.

Ojciec jechał, wzdrygając się za każdym wrzaskiem, ale nieporuszony.

— Wydasz mnie więc katom... ty! ojciec własny!... ty, coś winien, jako ja, boś mnie w tę przyodził suknię... ty bezlitościwy oprawco!

Raz tylko zatrzymał się na koniu Pieniążek i nie śmiejąc oczu na niego obrócić, aby od widoku tego nie zniechęć, odpart:

— Wydam cię... tak, abyś pokutował i duszę zbawił, abyś jeśli nie w tem, to w przyszłym życiu był ocalony. Niech cię sądzą, a Bóg miłościw będzie. Lepiej gardło dać, niż brnąć w zbrodniach bez opanowania. Wydam cię, bom powinien!

Gdybym na to wszystko własnymi nie patrzył oczyma, gdybym nie był świadkiem, nie wierzyłbym może temu, tak jak w całej Polsce w początku miano to za baśń; a gdy się ludzie przekonali, iż starosta heroicznie tego czynu dokonał, inaczej go szacować zaczęto. W tym słabym człowieku był przecież mąż wielkiego ducha.

Stawił syna sam starosta przed sądem, a gdy lkać i cały zalany łzami dopełniał tego czynu, nie było człowieka, któryby z nim razem nie płakał.

Archidyakon, który w drodze krzyczał, rwał się i ojca a matkę przeklinał, potem jakby zdrętwiał. Milczał i dał z sobą czynić, co chciano, ale skruchy nie okazał żadnej.

Zaraz potem stary Pieniążek, uprzedzając króla, sam urząd swój złożył.

Miłosierdzie jeszcze dosyć osądzono winowajcę, którego w więzieniu w lży w głębi wieży osadzono i pozostał tam półczwarta roku, a potem już i słyhać o nim nie było.

Pieniążek mój cały się potem oddał pobożności i usunął się od świata, więc i dwór swój rozpuszczał. Chciał w początku zatrzymać mnie, bo był nawykł, ale i mnie i jemu się to nie mogło zdać na nic.

W tej bezczynności lat kilka spędziwszy, pragnąłem innego życia, i pożegnawszy starostę, który mnie po ojcowsku odprawił, nagrodziwszy, pozostałem w Krakowie, rozpatrując się, w którą mam iść stronę, co z sobą robić.

Króla podówczas, jak zwykle, nie było na zamku, Zadory też, pocziwego przyjaciela mojego, z którym rad-bym był mówił i radził.

Wprosiwszy się na komorne u znajomego kupca, Suki, czas spędzałem na modlitwie i rozmowach ze znajomymi. Ciągnęło mnie do kolegów, do nauki, a i inni namawiali, ale potrzeba było sukienkę wdziać i stan razem duchowny obrać, a tegom się obawiał.

Nawet smutna historia młodego Pieniążka nauczyla mnie, iż płocho, a bez powołania wdziewać sukni i obo-wiązki z nią połączone brać na się, nie godziło się. Może i wspomnienie Luchny, które mnie nie opuszczało, jakąś niedorzeczną karmiąc nadzieją, wstrzymywało.

Pomiędzy kupcami i mieszczanami mając znajomych i przyjaznych wielu, gdym we dnie z profesorami i po kolegiach się zabawiał, wieczorem zawsze miałem gdzieś iść i odpocząć w weselszym towarzystwie.

Ciężkie w tych czasach na mieszczań krakowskich spadły brzemia, bo w kilku sprawach od zabójstwa Tęczyńskiego począwszy i gardłem i majątkiem odpowiadać musieli — można sądzić było, że się to da uczuć na nieście, w rzeczy jednak inaczej się składało. Miasto było bogate, handlowe, i nie zbywało na nowych ludziach, gdy zabrakło tych, co rej wodzili.

Dorabiali się tu kupcy fortun w oczach, a używać ich umieli.

Po domach dobrej myśli i zbytków nawet więcej było, niż należało.

Musiano prawami ciągle powstrzymywać bogatszych, aby dumnej szlachcie nie narażali się równając się z nią. Zakazywano sukni, łańcuchów, klejnotów, szat wzorzystych, marnotrawstwa w weselach i chrzcinach — ale prawa nie pomagały, i zamożni mieszczań tak się nosili, jak i szlachta nie mogła lepiej.

Mieli niektórzy i kolebki, i woźniki takie, że im panowie zazdrościli, palcami wytykając, gdy w ulicy spotkali.

Po domach wieczorami muzykę i śpiewy słyszeć powszechnie było, a w tem się szczególnie naówczas lubowano i w kościołach i przy zabawach gędźby, a głosów pięknych dobierając.

Wiadomem to było powszechnie, że ów słynny z rozumu arcybiskup lwowski, Grzegorz z Sanoka, muzyce a śpiewom los swój szczęśliwy w początkach był winien chociaż później rozum okazał taki, że pamięć o tem się zatarała.

Jam też właśnie podówczas po raz pierwszy widział rodziców i tego jeszcze w dziecięcym wieku chłopaczka, który mizernego szewca będąc synem, później się szlachcicem i powiernikiem króla i papieżów domownikiem stał, a nieprzyjaciół sobie pewnie tem więcej zjednał niż wielbicieli. Lecz w tych leciech nie zanosilo się wcale na to, co urosnąć miało.

Wiadomo to powszechnie, jak przy weselach równie mieszczańskich i pańskich — potrzebni są ludzie, którzyby z sobą przynieśli weselość, zabawić umieli, błażnować

i dobrej myśli dodawać. Wyrzucano to nieboszczykowi kardynałowi Oleśnickiemu, iż jako mąż był poważny a wielkimi dostojeństwami okryty, przecie się w błażnach, trefnisiach i zabawach takich marnych kochał, a często godziny całe spędzał, słuchając wesołków. Cóż to za dziw że potem i mieszczańskie uczty żadnej nie wyprawiali, ażeby do niej dwu lub trzech wesołków i trefnisów nie najęli, a śpiewaków i cytarzystów nie zaprosili.

Na weselu u jednego z Keslingów, pamiętam, popisował się ze śpiewem człek, który wistocie i umiejętnością pieśni wielu i głosem, a najwięcej humorem wszystkich zdumiewał. Pamiętam go; był statury dużej, z twarzy nie szpetny, oczu biegających, ust ruchomych, mowy szparkiej, odpowiedzi łatwej, a umiejący rozśmieszyć i ubawić choćby na śmierć skazanego. Wszędzie go też mieć chciano.

Gdy się o niego dopytywał, co by zaczął, ruszył ramionami zagadnięty i rzekł:

— Nie łatwo to powiedzieć, czem ten Ciołek jest. To pewna, że szewcem był, choć już dziś kopyto porzucił, że żonkę ma ładną a zalotną, że teraz miodem i winem szynkuje, a w domu ich zawsze pełno i nigdy się na ochotę nie przebiera. Pójdźcie tam kiedy, przekonacie się sami; wiechę już wywiesili przy Grodzkiej ulicy.

Stary Ciołek śpiewał, na cytrze grał, figle różne okazywał, każdemu łatkę gotów był przypiąć, z siebie i z drugich drwił... człek był przy uczcie przedziwny, ale w życiu unikano go, bo wstydu nie miał, za groszem gnał, a potem go rozrzucił i nie sromił się ludzi pociągać do domu wystrojoną jejmością, która się do wszystkich wdzierała.

Nie wiem już z kim potem, bo nie sam, zaszedłem raz do Ciołka na Grodzką. Nie podobało mi się tu, choć bardzo przyjmowali gościnnie; jejmość czarnooka, strojna, umalowana, z pierścieniami na wszystkich palcach, przysiadła się, uśmiechała, namawiała do kubków.

Tłok tu był zawsze i szlachty, i młodzieży z dworu królewskiego, i wszelkiego próżniactwa... Siedziano późno w noc, przy okiennicach zamkniętych. W komorze kostery ciągle grali, choć w mieście kości surowo były zakazane.

Wszedł kto taki, kogo się obawiano, znikaly one w kieszeni jejmościnej, a tam ich nikt nie śmiał szukać.

Piękna gosposia, wesoly gospodarz, dobry miód, było już tego dosyć, aby ludzi ściągnąć, a jeszcze jedna osobliwość łączyła się z tem: był to synaczek Ciołków, Erazmek, którego przezywano Rozumkiem, naówczas lat nie wiem, ośm, czy więcej mieć mogącym.

Chwaliła się nim matka, ojciec go na rękach nosił i pokazywał, całował i popisывał się.

Prawda, że w tym wieku chłopaka podobnego jemu nie widział. Nie dziecko to już było, ale dziwowisko jakieś i cudowisko.

Piękny jak matka, a bardzo szlachetną mający twarzyczkę, żywy, rozumny, od ojca się śpiewać i grać nauczył, nie wiem od kogo czytać i pisać, a i staremu z nim puścić się w rozmowę nie było bezpieczno, tak miał już gębę wyprawną, dowcip osobliwy i głowę otwartą. Zdawało się, że czego nie umiał i o czem nie wiedział, to odgadywał. Pieszczony, więc śmiały, nikogo się nie uląkł, a choć syn szewca i szynkarki, tak się nosił, jakby do korony się czuł stworzonym.

Ciołek stary, całując go, mawiał:

— Ten świat zdobędzie, gdy zechce!

Rodzice się za nim rozpadali, ale go psuli i inni, bo go po domach dla popisu wodzono, karmiono, chwailono, dziwowano mu się, z czego mu wielka pycha urosła. Dawali go do szkoły do P. Maryi, a tam się to wesole chłopię uczyło tak łatwo, że wszystkich prześcigało.

Od rodziców począwszy, każdy naówczas prorokował Rozumkowi, że daleko zajdzie, ale tam, gdzie się on później dostał, nikt się go widzieć nie spodziewał.

Niżej o tem rozpowiemy, jak mu się poszczęściło osobliwie.

W pamięci mając, iż w kościele św. Trójcy moja umiłowana Luchnę widziałem raz ostatni, gdy kościół po pożarze wprędce znowu pokryto i otwarto, chodziłem się do niego modlić.

Jednego ranku, gdy w ławce ukląknęłam, patrząc, Nawojowa Tęczyńska, ta, która mnie prześladowała

i na życie moje godziła, klęczy, modląc się, a za nią druga niewiasta, której chociaż nie poznałem, serce mi bić na widok jej zaczęło. Gdy głowę podniosła — o Boże miłosierny, poznałem Luchnę! Tak, ona to była, chociaż zmieniona, błada i twarzy zmęczonej. Postrzegłszy mnie, dała mi głową znak, abym się ani zbliżał, ani jej chciał poznawać.

Nie odpędziłaby mnie może nawet Tęczyńska, choć niewymownie się jej obawiałem, czując w niej razem matkę i nieprzyjaciółkę, ale Luchny rozkaz był dla mnie świętym.

Tylem tedy pociechy miał, że się z za słupa przypatrywałem jej, a niekiedy chwytałem wzrok ku mnie skierowany, msza mi jak jedno oka mignienie przeszła.

Z słupem pozostawszy, widziałem, jak wychodziły obie powoli.

Nawojowa się obróciła, jakimś wzrokiem smutnym a roztargnionym odnowionym murom się przypatrując, i nim miałem czas za słup się skryć, zobaczyła mnie.

Myślałem, że nie pozna, lecz tymczasem brwi się jej ściągnęły strasznie, wzdrygnęła się i nagle dała mi znak, abym się zbliżył.

Nie śmiałem być nieposłusznym, podeszedłem powoli.

Zmierzyła oczyma moją dosyć ubogą odzież i rzekła tylko nakazująco:

— Pójdźcie za mną!

Luchna pod ten czas ani spojrzała na mnie. Z boku widziałem twarz jej bladą, jak ściana.

Wyszliśmy razem z kościoła, a Nawojowa ani się już obejrzała na mnie, szła zadumana i nadąsana, co poznać mogłem po rzucaniu ramionami i chodzie niecierpliwym.

Wiodła mnie tak za sobą aż do dworu starosty rabsztyńskiego, który zajmowała.

Tu w sieniach Luchna się obejrzała ku mnie z politowaniem jakimś i znikła pośpiesznie. Nawojowa prowadziła mnie do wielkiej izby gościnnej, w której nikogo nie było. Stałem u progu. W milczeniu zrzuciła z siebie zasłonę, okrycie, a czyniąc to i niekiedy mierząc mnie

oczyna, okazywała taką niechęć, taką złość prawie i wstręt że nie mogłem pojąć, po co mi iść za sobą kazała, nie mogąc spojrzeć na mnie bez odrazy.

Było to tak wyraźnem, że omylić się nie mogłem. Czekałem jak na mękach, podczas gdy ona im dłużej się nie odzywała, tem snąc wewnątrz burzyła się mocniej, aż gdy zniecierpliwienie jej doszło do najwyższego stopnia, wybuchnęła.

— Wieczniesz ja ciebie na mojej drodze będę spotykać? — krzyknęła. — Co tu robisz? Czego tu siedzisz? mało ci świata? Czemu rady pocziwiej nie słuchasz i nie pójdziesz się gdzie zamknąć w klasztorze? Spodziewasz się? Czego się ty spodziewać możesz?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć zrazu, boć Nawojowa nie miała żadnego prawa ani mi narzucać swej woli, ani pociągać do zdawania rachunku.

Namyslałem się nieco.

— A dlaczegóżbym nie miał czynić, co się mnie podoba? — odparłem. — Król mnie odpuścił, dając wolę, szukam sobie chleba i służby, jak umiem. Miłość wasza możecie się nie troszczyć o mnie.

— I nie troszczę się też — wybuchnęła — ale rada-bym nigdy cię nie spotykać, niewidzieć i nie słyszeć o tobie.

Szybkim krokiem, obejrawszy się po izbie, przystąpiła tak blisko do mnie, żem uczuł oddech jej przyspieszony. Widząc, że nikogo nie było, dodała pośpiesznie ale stłumionym głosem.

— Ty wiesz, że jestem matką twoją, tak, jestem nią, za grzechy moje, za pokutę, na srom! I brzydzę się tobą, tak jak nienawidzę zdrajcy, co się zwie ojcem twoim. Dlatego patrzeć na ciebie nie mogę, śmierci ci życzę, jak jemu. Idź, uchodź, niech się pozbędę raz ciebie, gotowam do ofiar... Wdziej suknię i zagrzeb się gdzie w klasztorze, a niech ja o tobie nie słyszę i nie wiem, jakby cię na świecie nie było... I dla niego chcę, abyś zginął, aby, jeżeli ma litość jaką nad tobą, zamiast niej, zgryzotę miał tylko. Jako matka mam prawo ci rozkazywać i tobą rozrzadzać.

Pierwszy to raz od mojego dzieciństwa przyzna-

wala się do macierzyństwa. Serce mi uderzyło takim dziwnym uczuciem jakimś błogiem, że mimo nienawiści, jaką mi okazywała, ukląknem, chcąc rąbek jej szaty ucałować.

— Zlitujże się nade mną! — wyjąknąłem — matką się wyznajesz, okaż macierzyńskie serce. Nigdy ci wstydu nie uczynię, nie wydam tajemnicy, zamknę ją w sobie, ale nie odpychaj mnie.

Nawojowa cofnęła się ze wstrętem.

— Precz, nie tykaj mnie! — zawołała. — Ty jesteś jego dzieckiem, nie mojem, a co tylko od niego idzie, co go przypomina, zniehawidzone! przekłete! Precz ode mnie!

I rzuciwszy się w tył, poczęła głosem wzburzonym:

— Idź, zagrzeb się, ukryj gdzie chcesz! Spodziewasz się od kogoś może uznania, laski, opieki. Nikt, nikt się nie zaopiekuje tobą, boby się zdradził, ani ja, bo jesteś dla mnie ohydą.

Wstałem z wolna.

— Nie czuję się winnym w niczem i nikomu — rzekłem. — Za cóż mam być karany i pokutować?

— Boś się nie powinien był rodzić! — krzyknęła, zalamując ręce i zaczęła płakać z gniewu. — Całe moje życie zatrute przez niego i przez ciebie.

Szlochała, oczy zakrywwszy, ja milczałem; co się w mojej duszy działo, tego wypowiedzieć nie umiem. Byłem przybity, nieszczęśliwy nad wyraz wszelki, umęczony, wylekły, a ponad temi uczuciami, jakby cudem, górowała słodka ta myśl, żem znalazł, że miałem matkę.

Nienawidziła mnie ona, ale ta nienawiść z innego płynęła źródła, jam był niewinien. Radbym był dowieść czemś, żem chciał jej być posłusznym, że gotów się byłem poświęcić. Ale opuścić kraj, zamknąć się gdzieś w nieznanym klasztorze, wśród obcych ludzi, było to zstąpić do grobu. Stałem ze spuszczonei oczyma zadumany.

Nawojowa chodziła po wielkiej komnacie, poruszona, pomrukując wyrazami niezrozumiałemi, stawiała naprzeciw mnie, wpatrywała się i zakrywała sobie oczy.

W ostatku wyciągnęła rękę ku mnie i grzmiącym głosem zawołała:

— Precz!

Pochwyciłem rękę tę, którą zbliżyła ku mnie i wyrwając się, łzami oblewając, całowałem.

Krzyk się wyrwał z jej ust, targnęła silniej, wychwyciła mi ją i w chwili gdy wychodził, padła napoty omdlała na krzesło.

Krzyk jej posłyszawszy, sługi wchodziły właśnie, gdy ja, drzwi za sobą zamknawszy, uciekałem z tego domu, w gorączce jakiejś i jakby nieprzytomny.

Nie myśląc nawet dokąd się skieruję, samym zwyczajem i nałogiem skierowałem się do mojego mieszkania, padłem tu na łóżko, i rozmyślając dręcząc się, ległem na nie.

Miałem to postanowienie, by, jeżeli nie z kraju ustąpić na zawsze, to przynajmniej z Krakowa się wynieść i nigdy tu nie powracać. Uznała się matką moją, winielem jej był to, abym życia nie zatruwał. Szerokie kraje nasze dawały mi możność przeniesienia się i skrycia w odległej ziemi jakiej, na Rusi, na Mazowszu, w Wielkiej Polsce, na Litwie wreszcie.

Ale uchodząc z Krakowa, musiałem się wyrzec tego, co mi było najdroższem, nadziei, aby król kiedy znowu do łaski mnie swojej przypuścił. Musiałem się skazać na wiekiiste sieroctwo.

Niepewnym jeszcze, co mam czynić, ale już szukającym służby jakiegokolwiek w oddalonym gdzieś kącie, znalazł mnie powracający Zadora.

Nie miałem ja tajemnic dla niego, ale tego, co mi wyznała matka, zwierzyć mu nie mogłem. Nie przyznałem się nawet do widzenia z nią.

Powiedziałem mu tylko, że mi Kraków obrzydł, że chcę zmienić powietrze i ludzi, a gdzieindziej może szczęśliwszym będę, niż tu, bo mi się jawnie nie powodziło. Zadora się nie sprzeciwiał, żądał tylko, abym mu dawał znać o sobie.

W rozmowie z nim, gdyśmy rozbierali, dokąd się mam udać, Zadora mi poradził Wielkopolskę, szczególnie dla

tę, że ona królowi sprzyjała i on tam miał najwierniejszych sobie. Nie mogłem przewidzieć wówczas, nie znając tam nikogo, jak nieszczęśliwie, a właśnie tam popadnę, gdzie nie był powinien.

Parę dni zajęło mi pożegnanie przyjaciół i łaskawych. Poszedłem i do księdza Jana Kantego, który zawsze z jakimś politowaniem nad losem moim przyjmował mnie, ale mi rad swych skąpił, jakby go coś od tego powstrzymywało. Nie sprzeciwiał się temu, abym jechał szczęścia szukać na Wielkiej Polsce.

O jaką służbę starać się miałem, sam dobrze nie wiedziałem, gotów byłem przyjąć wszelką, jakaby mi się nastręczyła: dworską, żołnierską, a bogdajby kancelaryjną.

A tu dodać muszę, abym wytłumaczył, co mi się przyгодиło, że Wielkopolska naówczas, chociaż pod jednym królem i prawem jednym, po staremu wielkorządców miała, i na zjazdach Krakowianie z Sandomierzanami, a Wielkopolanie osobno się trzymali.

Ścisłych stosunków pomiędzy dwiema ziemiami nie było, owszem panowała jakaś zazdrość i wzajemna niechęć. Dlatego, co się działo w Wielkopolsce małośmy wiedzieli.

Poczuwała się Wielkopolska do tego, że dawniej przedniejszą część Królestwa tego stanowiła, że jej znaczenie i rządy Krakowianie odebrali tak, jak korony z Gniezna uwieźli, że bez nich wszystko stanowić chcieli. Na wspólnych zgromadzeniach pewnym prawie mógł być król, że przeciw Krakowianom poprze go Wielkopolska, a nawzajem, żądali, czego tamci, krakowscy panowie stawiali przeciw nim.

Jam tyle tylko wiedział o Wielkiej Polsce, wybierając się ku Poznaniowi, że Piotr z Szamotuł, kasztelan i starosta poznański, królowi miły, wierny sługa jego, był tam najznaczniejszym i wszystkiemi władnął.

Ale już po drodze rozpytując ludzi, szukając wiadomości o tem, gdzieby służbę jaką najłatwiej znaleźć można, przekonałem się, że u kasztelana więcej dworu było, niż potrzebował, i do niego się dostać nie było podobna. Czyniono mi za to nadzieję, że u innych łatwo

ją znajduję. Wymieniał mi jeden i drugi Władysława z Domaborza, o którym gloszono, że ludzi siła zbierał i zawsze ich potrzebował.

Powiadano, że hojnym był, sługi swe wynagradzał szczerze, i to mi tylko nie w smak w nim się znalazło, że do Toporczyków należał, zatem był w jakimś związku krwi z Tęczyńskimi, choć w Krakowie o tem wcale słychać nie było.

Nie dojechawszy do Poznania, bo tubym się był może inaczej rozsluchał i rozpatrzył, na popasie mi się trafiło zetknąć z gromadką zbrojnych, której dowódca wesoly a gadatliwy człowiek, gdyśmy się rozmówili, oświadczył się mnie wprost do Domaborza z sobą prowadzić i ręczył, że służbę dostanę.

Oddział jego, powracający z jakiejś wycieczki, o której, śmiejąc się, półgębkiem gadano, wioził z sobą łup i tak mi się wydał, jakby wprost najazd gdzieś szczęśliwie dokonawszy, z grabieżą śpieszył do pana.

Ale naówczas trafiało się nieraz, że ludzie sobie sami musieli sprawiedliwość czynić, i nikogo to nie dziwiło. O zbrojstwo żadne pana takiego, jakim gloszono Władysława z Domaborza, ani mi się śniło posądzać.

Wiedziałem, że był synem wojewody inowrocławskiego, Macieja, a za żonę miał córkę Wacława, księcia na Raciborzu, której siostrę wziął Ostroróg. Słyszałem o tem, że do Prus królowi oddziały prowadził, które się o należny żołd potem zbuntowały, ale to zagodzono.

Dowódca oddziału, Mazur Szeliga, który bez miary wiele opowiadał i rad był, że nowego człowieka do słuchania schwycił, już gdyśmy w drodze byli do Domaborza, wygadał się z tem, o czem nie wiedziałem dotąd i zapóźnom się dosłyszał tego, że Domaborski z Piotrem z Szamotuł starostą był w otwartej wojnie.

Nicem nie rzekł na to, ale mi się zrobiło markotno, bo wojna ze starostą tyle znaczyła, co z królem. Teraz zaś z rąk się wyrwać Szelidze nie było sposobu.

Ciągnął mnie z sobą, wiele z tego obiecując, że

do wszystkiego im służyć mógł i do konia i do pióra, a oni właśnie takich potrzebowali.

— Poznać naszego Władka! — mówił, tak poufale pana swojego zowiąc takich ludzi na świecie mało. I głowa u niego i serce, i ręka równie tęga. On powinien w Wielkiej Polsce ster trzymać, dopieroby z tem i królowi, i nam i ziemi całej dobrze było. Ale na to potrzeba, abyśmy się wprzód Szamotulskiego pozbyli.

I śmiejąc się, dodawał:

— Niechaj no! Przyjdzie i do tego!

Z tych rozmaitych nieostroźnie wygadanych wiadomości już mi dojeżdżając do celu nie w smak było, że się wplątał i dał tak lekko ująć.

Nie byłem jednak związany niczem i obiecywałem sobie, że nie ugodziwszy się z Domaborskim, będę się mógł wycofać.

Zdała zamczysko i dwory pańskie wydawały się bardzo pokaźnie i obronnie.

Osada była znaczna, ludzi mnóstwo, dwór, żołnierzy, straż, jak gdyby jutro na wojnę ciągnąć mieli. Ruch na zamku o trzech podwórcach ogromnych panował wielki. Szeliga mnie z sobą do swoich izb zabrał, kazał spoczywać, sam oświadczył się panu mnie zalecić.

— A no, musicie poczekać, bo nasz Władek siła na głowie ma, przystęp do niego nie łatwy.

Wistocie postrzegłem, że ludzi tu różnych napływało wielu, posłańcy wychodzili i przybywali ciągle, oddziały wyprawiano, inne ściągaly, a szlachty różnej było mnóstwo. Na dolnym zamku, jak go tam zwano, stoły były ciągle zastawione, gawiedzi koło niej mnóstwo, przyjęcie nie wytworne, ale piwa i mięsa ladażakiego nie skąpono.

Ponieważ i mnie tam do jednego stołu posadzono, a uważano za swego, w rozmowie zaraz dowiedziałem się, że powracał jeden oddział, który plebanie sąsiednią złupił. Inni opowiadali o kupcach z Kijowa, których przed niewielu tygodniami z życiem tylko w koszulach puścili.

Uszom nie dowierzałem, ale niepodobna było wąt-

pić; wielki ten pan, syn wojewody, Toporeczyk, łupieżą się po gościńcach zabawiał, nie znajdując w tem nawet nic zdrożnego.

Mówiono wprost, że oddział cały miał królowi służyć, a żołdu nie odebrał, więc radził sobie, jak mógł. Z głodu umrzeć nie chcieli, a rozpuszczać ludzi Domaborski sobie nie życzył.

Jednem uchem to mi wpadało, a drugim o dworze pana, jego wspaniałości, bogactwie, i wesolem życiu na zamku.

Do dnia następnego, gdy miał otrzymać posłuchanie, czas był się po zamku rozpatrzeć, bo nikt tego nie bronił. Zbrojownie, skarbcę, składy, stajnie, śpichrze zajmowały wiele miejsca, a koło nich służby też niemało było. W górnym zamku mieszkał i przyjmował sam pan, a tu urzędnicy byli, jak na wojewodzińskich dworach liczni i wspaniałość widać było niemal marnotrawną. Razem wszystko tak się mi dziwnem zdawało, że mi nie mógł zrozumieć, co się tu sprawiało i jak to razem trzymało się z sobą.

Karność była niby surowa, a mimo to rozpusta wielka. Jednych sadzano do więzienia za lada słowo, drudzy krzyczeli pijani i uchodziło im płazem.

Oprócz duchownych, których tu wcale widać nie było, wszelkiego stanu ludzi jak mrowia się ściągало, za rozmaitemi sprawy, z którymi aż na górny zamek ich prowadzono. Na dole gawiedź zbrojna miała rozpasane języki i wygadywała o sobie i swych wyprawach dziwne rzeczy, którym się wierzyć nie chciało, gdy na górnym zamku, coś jakby tajemniczego się odbywało: narady, zjazdy, znaki i hasła niezrozumiałe.

Już mi się tu przykrzeć zaczynało, gdy rano trzeciego dnia, Szeliga mnie poprowadził na zamek górny do pana.

Tu może, aby mi okazać jego możność i bogactwo, przywiódł całym szeregiem izb, bogato poprzystrajanych i kazawszy jeszcze czekać w przedsieni, gdzie czeladź liczna stała, wwiódł do sypialni Domaborskiego.

W sile wieku, olbrzymio zbudowany, krzepki, zu-

chwalego oblicza, stał właśnie trzem różnym urzędnikom wydając rozkazy.

Gdy próg przestąpił, dosłyszałem ostatek wyrazów do uzbrojonego rycersko, przed nim stojącego mężczyzny, głośno wyrzeczonych:

— Zakrystę wasze opatrz, a co się sreber znajdzie, zabrać; król bierze też na wojnę, a mnie dla żołnierzy potrzeba.

Skinął i odprowadził go. Spojrzał potem z góry na mnie, ale mu moja wysmukła postać i chudizna a bladeść nie bardzo się podobały. Zmarszczył się i usta wyduł.

— Mówił mi Szeliga, że służby chcecie, u mnie jest do woli — rzekł, — ale do szabli z was niewielka byłaby pociecha. Mnie takich potrzeba, aby już z pałek wyszli, a na was jeszcze młode pierze... Ale piszesz i czytasz?

Potwierdziłem to.

— Mnie w mennicy pisarza potrzeba — rzekł bystro spoglądając na mnie, i gdy spostrzegł na twarzy wyraz zdziwienia, rozśmiał się szydersko. — Tak, jest na zamku mennica... Prawda, bez królewskiego pozwolenia szelągi u mnie biją, a no, niema czem ludzi płacić, radzić sobie muszę. O tem nie powinni ludzie wiedzieć wiele, bo to moja sprawa... Pisarzem przy mennicy chcesz być?

Nie umiałem odpowiedzieć.

— Co to pytać? — przerwał nagle, nie doczekawszy się ode mnie słowa. — Wziąć go do mennicy... na próbę.

Odwrocił się ode mnie.

— Nie mam w tem doświadczenia — odezwałem się — i takiej służby nie życzyłem sobie.

— A ja właśnie pytać o to was będę; — zawołał Domaborski, — jeżeliś w moich rękach, mnie takiego potrzeba, nie masz co mówić nawet, ja nie lubię nieposłuszeństwa.

Skinął na Szeligę.

— Wziąć go do mennicy.

— Przecież niewolnikiem nie jestem — odezwałem się oburzony.

Domaborski nogą uderzył o podłogę.

— U mnie rozprawiania niema... Kto się mi w ręce dostał, ten tak skakać musi, jak ja mu zaśpiewam.

— Słyszalesz? — zwrócił się do Szeligi. — Prowadź go do mennicy i stróża mu dodać, kiedy rozumu nie ma.

Nimem się opatrzył, wyciągnięto mnie siłą z izby i wpośród szydersko mruczających i spoglądających dworzan Szeliga uprowadził. Muszę mu oddać tę sprawiedliwość, że chociaż się śmiał ze mnie, starał pocieszyć po swojemu.

— Ja ci mówiłem bo — rzekł — naszego Władka trzeba znać; on, gdy czego zechce, nie patrzy, jak dostanie, ale nagradza dobrze. Krzywdy mieć nie będziesz, robota nie straszna, potrzeba tylko żydów mincarzy dozorować, bo kradną. Moneta i tak niewiele warta, a oni ją gorszą jeszcze robią, niż im nakazano.

Niewielem słyszał i rozumiał z tego, co mi już potem Szeliga kładł do ucha, a widząc, że mu się oprzeć nie potrafię, dałem się poprowadzić do wieży.

Drzwi jej żelazne stały zaparte wewnątrz, ledwieśmy się dostukali. Otwarto nam. Na dole piece jakieś, ognie i warsztaty nakształt kowalskich przesunęły mi się przed oczyma, kilku ludzi zwijało się koło nich, a dwóch żydów, których po stroju, nakryciu głów i z mowy było poznać łatwo, dozorowali nad nimi. Dzwoniły blachy wyciągane i krajane, stękały kowadła i młoty.

Wschody murowane prowadziły stąd do górnej izby, do której Szeliga mnie wciągnął za sobą. Tu zastałem starego żyda z długą brodą, ze szkłem w ręku, nad rozrzuconemi po stole szelągami.

— Pisarza pan kasztelan ci przysyła, Rebe Nathan — rzekł Szeliga. — Ten rachunek będzie prowadził i klucz ma mieć od skrzyni.

Żyd mało co podniósłszy głowę, spojrzał na mnie zinnemi, obojętnemi oczyma, zamruczał coś i zaczął znówu porzucone na chwilę szelągi przebierać. Nie odpowiedział ani słowa.

Uderzywszy mnie po ramieniu, Szeliga szepnął w ucho:

— Bierźcie się do tego, co wam nakazano, inaczej nie będzie.

Nim odpowiedzieć mogłem, wyszedł. Żyd, ani zważając na mnie, swoje dalej ciągnął.

Zostawiony z nim sam, zrozpaczony stałem długo, jak osłupiały. Nathan wkońcu zlitowawszy się, podniósł głowę i wyjąknął pytanie, skądem się ja tu wziął i kto mnie nastreczył.

Byłem tak oburzony tą niewolą, w którą popadłem, że z goryczą wielką opowiedział mu wszystko, narzekając i przeklinając. Żyd słuchał, ale szelągi wciąż przebiegał; odsuwał jedne na bok, drugie zsypywał do stojącej skrzyni otwartej. Na moje opowiadanie długo nic nie rzekłszy, wytrzymał tak, aż mu się szelągów przebrało. Naówczas podniósł oczy zaczerwienione, ręce złożył i powoli mówić zaczął:

— Z panem Domaborskim sprawa trudna. Myślicie, że ja tu z dobrej woli?

Ruszył ramionami.

— Najgorsza rzecz, — dodał, — że jego pochwyca w końcu, a nas z nim winnymi uczynią bicia fałszywej monety. To są plewy, nie pieniądze, one nic nie warte, a co on ich w świat puści! Albo dziw? Jemu tak dużo potrzeba.

Siadłem na pustej skrzyni.

Żyd wstał i powoli zszedł na dół, skąd dochodził nas tu głuchy łoskot uderzeń młota i śmiechy ludzi, pracujących w izbie pod naszą. Rozglądałem się po komorze sklepionej, w której mnie zamknęto. Miała dwa okna u góry i drzwi zamczyste do dalszych izb. Stół, skrzynia, lawka, półka, na której żyd trzymał swoje miski i garnuszki — więcej nie było tu nic.

Co miałem robić, nie wiedziałem, ale mi do roboty nie było śpieszno. Myślałem, że opierając się przymusowi, wkońcu dokażę tego, iż mnie wypuszczą.

Nathan powrócił wkrótce z jednym worem w ręku,

a drugi za nim niósł zasmolony parobek i rzucił go na stół.

— A co! — odezwał się żyd, siadając — poczynaj waćpan robotę.

— Ani myślę gwałtowi się poddać.

— Wolisz pójść do lochu? — zapytał żyd. Wyspał szeląg i dodał, poczekawszy trochę:

— Trzeba człowieka znać; nie jątrzyć go na siebie, zły jest... no a oszukać go i uciec z zamku będziesz mógł, poczekawszy.—Tu wielkiego ładu niema.

Głową potrząśł.

— Co w skrzyni jest, albo przeważać, albo przelicyzyć trzeba, potem zapisać. Ja i owszem, wolę, że rachunku zdawać nie będę.

Około południa wpuszczono żydówkę, która Nathanowi jedzenie z podzamcza przyniosła. Poszwargotał z nią i pomodliwszy się, siadł jeść. Mnie też jadło dosyć nędzne parobczakiem przysłano. Siadłem obok jeść milczący, ale mi do gardła nie szło. Do wieczora nie wzięwszy się do rachunku żadnego, przesiedziałem na skrzyni; żyd już na mnie nie zważał. Gdy zmierzchno, zamknął ją, klucze mi oddał i płaszcz nadziawszy, wyszedł. Miał izbę osobną na zamku. Szeliga zjawił się po mnie, a od Nathana dowiedziawszy się, że nic nie chciałem poczynąć, nałajał mnie.

— Jutro musisz się wziąć, a nie, to ja zapytany nie skłamię i czeka was kuna, chleb i woda. Nie lepiej się zdać odrazu? Wiekować tu nie będziesz!

— Ale ja i dnia tu nie chcę być!—zawołałem.

— Cóż tu mówić o chceniu, kiedy jest mus? — rzekł obojętnie Szeliga. — Trzeba rozum mieć, głowę muru nie przebić.

Izbę lichą dano mi na dolnym zamku i stróżów miałem dokoła. Na podwórzec mi wyjść samemu nie dawali, słowem było to więzienie. A nie ja jeden u kasztelana tak byłem z musu sługą, znajdowało się wielu pobranych na drogach i po dworach, których na zamku trzymano, bo mu ludzi zawsze mało było.

Następnych dni, widząc, że się nie wyrwę stąd łatwo, musiałem poddać się w milczeniu, obiecując sobie przy pierwszej zrzeczności wysliznąć, bodaj wszystko, com miał, porzuciwszy. Udałem uspokojonego i Szeliga mnie pochwalił za to, ale że w naturze ludzkiej jest często niepocziwa chęć pomśzczenia się swoich cierpień na drugich, ze złości wziętem się do ścisłego obrachunku żyda Nathana i jego pomocników. Stąd między nami przyszło do zwady, a że żyd nierównie był odemnie, przebieglejszy i zręczniejszy, więcej on mnie dokuczył, niż ja jemu.

Zyskałem na tem tylko tyle, że żydzi radzi się mnie pozbywali, i nie mówili nic, gdy w wieży wychodził na podwórcę, błdził po nich i w tem życiu tutejszem się rozpatrywał, które do żadnego innego podobne nie było. Można je było nazwać dwoistem, gdyż działy się rzeczy, z którymi się tajono i nie chciano, aby na jaw wychodziły, z drugimi się zaś popisywano.

Gdy zjeżdżali na zamek znaczniejsi ziemianie, rycerstwo, urzędnicy, wszystko tu przybierało inną postać, spokojną, poważną i nie różniącą się w niczem od zwykłej na zamkach możnych panów. Kasztelan występował wspaniale, przyjmował gościnnie, obdarzał i starał się okazać niczem więcej, jak pospolicym, spokojnym panem wielkopolskim.

Na niedostępne podwórcę zamknięte chroniła się naówczas ta gawiedź podejrzana, te gromady żołnierstwa, które nocami wymykały się i wracały z jakichś wypraw bardzo dwuznacznych. Żadnemu z tych nie wolno się było pokazać, gdy Domaborski występował, szczególnie gdy do niego przybywali powinowaci żony, albo Ostroróg, z siostrą jej ożeniony.

O Ostrorogu posłyszawszy, którego choć zdala na zamku widywałem, a wiedziałem o nim, że był mąż zacny i rozumny, którego i szanowano i lękano się — powziąłem jakąś nadzieję, że do niego bym mógł ze skargą się docisnąć i wyrobić sobie uwolnienie. Ale należałem do tych, których zamykano, gdy obcy przybywali, i tylko

przez Szeligę mogłem się dowiedzieć, że na zamku gość się jakiś znajdował.

Całą nadzieję miałem w tem, że z czasem więcej mi zaufają i dadzą swobody, ale na to czekać było potrzeba, a życie na wieży z Nathanem, wieczorem Szeligą albo z samym sobą, Bóg jeden wie, jak ciężkiem i nieznośnem było. Dość powiedzieć — niewola, bo to w sobie wszystko zamyka. — Swobodny człowiek może długie lata nie poruszyć się z miejsca i nie czuć tego, że się przykuł do niego, ale niech go tylko przymus w niem uwięzi, a stanie mu się nieznośnem.

Nawykiem był też w Krakowie do innych ludzi, obcując ze świątobliwymi poważnymi, uczonymi, wreszcie z młodzieżą, w której spotykałem i rozum często i naukę, żywość i wesolość zastępują. Tu trzeba było obracać się wśród takich, z którymi rozmówić się było trudno: Szeliga był żołnierzem-rabusem. Nathan nienawdził chrześcijan, którzy jego i innych współbraci prześladowali, reszta gawiedzi była nieokrzesana i dzika.

Podwórzec ten nasz nieszczęśliwy cały był zamieszany przez to, co na zamku się znajdowało najplugawszego, było to jakby śmietnisko, na które zrzucono co gdzieś indziej zawadzało i śmierdziało, z czem się potrzebowało ukrywać. Hałastrę tę musiano trzymać grozą, nieubłaganą surowością, a czasem jak bydlęta karcić i pojąc do syta. Więc bywały dnie hałaśliwego wesela, śpiewów, szumu a wrzawy, a po nich cisza straszna i kaźnie, niekiedy bunt krwawy, bójki i morderstwa.

To był chleb powszedni i ja musiałem się z tem obyć, gdy nocą obudził wrzask, a parobek przyszedł dać znać obojętnie, że któryś z ciurów drugiego przy kościach ubił.

Za bunt y zwłaszcza, gdy się okazała zmowa, wprost bez sądu w tym samym dziedzińcu wieszano i czasem przez dzień cały wisiał tak trup, okręcając się z wiatrem na postronku, póki go nie odcięto.

A ktoby kasztelana widział, gdy książąt, braci żony, albo Ostroroga przyjmował, nie posądziłby go nawet o to, co się tu z jego wiedzą działo. Tak samo jak fal-

szywą monetę ukrywano, umiano i wycieczki na kupców i na gościńce składać na innych. Na kasztelana choćby kto i posądzenie miał, trudno uwierzyć było, żeby się dopuszczał takich bezprawioów.

Z Nathanem się ciągle gryząc o rachunki, wcale do czego innego doszedłem, niż się spodziewałem. Żyd, którego Domaborski często do siebie przypuszczał i nie wierząc mu, jednak go do rady przyzywał w wielu razach zrzecznie sobie postąpił. Zachwalił on mnie jemu jako bardzo zdolnego pisarza i kancelistę, a że właśnie brakło amanuensa kasztelanowi, który pisać ani czytać nie umiał, postanowił mnie wziąć do tego obowiązku.

Kazawszy zawołać, tak samo, jak za pierwszym razem, objawił mi swoją wolę, nie pytając jak mnie z nią było i dodał:

— Tylko nie myśl ani uciekać, ani mnie zdradzać, bo ja mam długie ręce. Będziesz dobrym, będzie ci dobrze, a najmniejsze podejrzenie...

Dokończył, pokazując na gardło.

Wolałem stokroć już być pisarzem przy nim, niż w mennicy. Nie uwolniło mnie to od nadzoru, a choć ten nie był tak widocznym, przekonałem się, że nie ustawał i że miano na mnie oko.

Przyznać trzeba zresztą kasztelanowi, że gdy z kogoś rad był, nagradzał szczerze, tak samo, jak karał nielościwie.

Wielkiej pracy przy nim nie było. Izbę mi dali lepszą, a tu część dnia trawiąc bez zajęcia, wziąłem się do zabawki mojej więziennej, począłem pisać, kaligrafować i rysować na papierze, com widywał w manuskryptach innych.

Kartki te rozproszone leżały u mnie na stoliku i ktoś jedną z nich pochwycawszy, na której Ojcie nasz, Pozdrowienie anielskie i Wierzę wykaligrafowałem bardzo ozdobnie, zaniósł do kasztelanowej. Zapytała śnać męża o amanuensa i za tem poszło, że mi pieśni pobożne i modlitwy dla pani pisać kazano.

Tu już próżność moja i chętko pochwalenia się z tem, czego nie umiałem, bodźca mi dodała. Wysadza-

tem się na jak najpiękniejszą kaligrafię, za co mi się nawet oprócz pochwały dostała osobna nagroda od kasztelanowej.

Samej pani naszej nigdy nie widywał, tylko zdala; piękną była; ale książęcy ród w niej i krew się okazywała, powagą i wielką o strój bogaty starannością. Dwór jej napół niemiecki także był wytwornie odziany i oddzielnie się od męzowskiego trzymał.

Ze wszystkiego mogłem wnosić, że jak dla obcych, tak dla żony, tajemne roboty Domaborskiego zakryte być musiały i ona się ich nawet nie domyślała.

Z listów, które mi pisać kazano, jedna rzecz jawna była, to nieprzyjaźń i wypowiedziana wojna między Piotrem z Szamotuł a Domaborskim. Starosta wielkopolski posądzal go o to wszystko, czego się on zapierał, nawet sprawa fałszywej monety już do niego dojsć musiała. Odgrzał się Szamotulski, iż na nic się nie oglądając, jeśli kasztelan się kajać nie będzie, przed sąd go postawi i jak pospolitego buntownika i warchołę, bodaj na gardle ukarze. Śmiał się z tego starosta i kasztelan Nakielski, dobrze się obwarowawszy w Domaborzu i powiedział:

— Niechże no mnie Szamotulski wprzód dostanie!

Gdy się to działo, na zamku ludzi coraz więcej się zbierało, na podzamczu aż obóz dla nowych oddziałów rozbić musiano. Pytałem Szelligi, coby to znaczyć miało?

— A co ma być? — odparł. — Król nam nie płaci, dopominamy się nadaremnie, kasztelan zebrał ludzi i pójdzie się upominać o swoje.

— Przeciwno królowi? — zawolałem ze zgrozą i zdumieniem.

— Król naszym dłużnikiem jest i nie płaci -- rzekł Szeliga — trzeba go zmusić do porachunku.

Nie chciało mi się wierzyć, aby Domaborski mógł podnieść taki bunt jawny, ale się na wojnę gotowało wszystko i nie było to już tajemnicą żadną.

Co dnia się spodziewano rozkazu ciągnięcia, gdy od Szamotulskiego przyszło pismo groźne, aby kasztelan natychmiast ludzi rozpuszczał i rękojnię dał, że

żadnego niepokoju w kraju nie wzbudzi i buntu podnosić nie myśli.

Przypadło na mnie i czytać je i na nie odpisywać. Musiałem to, co mi kazano odpowiedzieć. Domaborski rękojni dać nie chciał a i spokojnego zachowania się nie obiecywał, ogromne żądania do króla wystosowując, za które domagał się sum tak znacznych, iż się śmiesznie wydały. Inaczej wprost się odgrzał na sąsiednie powiaty i zamki królewskie ciągnąć i sam sobie domierzać sprawiedliwość.

Zaledwie listy te odpawiono, gdy nagle ruszyło się co żyło, wyciągnął sam kasztelan, zabrano ludzi, oprócz tych, którzy załogą na zamku pozostać musieli; zostaliśmy w opustoszałym grodzie, który zaparto, jakby oblężonym był, bo się najścia starosty Szamotulskiego obawiano.

Szeliga, wychodząc, szepnął mi, że wprost idą na królewski Człuchów i dobywać go będą. Część sił oddzielić musiał Domaborski dla osadzenia Nakła, Węgrowca i Pakości, które trzymał, a z resztą wyruszył śpiesznie, aby zniemacka opanować naprzód upatrzony Człuchów.

Po wyjściu z jego zamku, cisza głucha tu zapanała, czekaliśmy niespokojnie wiadomości; była to istna wojna przeciw królowi, i to już po raz drugi podjęta.

Uplynęło dni dziesiątek, nim naprzód pojedynczy ludzie ranni, potem stada bydła i łupież z Nakielskiego przyciągać zaczęła, a naostatek dowiedzieliśmy się, że Domaborski od Człuchowa został odparty i do domu powracał, nie nie dokazawszy, krom, że okolice Nakła i Człuchowa zniszczył i ograbił.

Nadjechał i sam kasztelan gniewny, zburzony, już wcale się nie tając z tem, że wojować będzie z Szamotulskim, z królem i nikomu się poddawać nie myśli. Czego się od króla domagał, trudno zrozumieć było — to tylko na jaw wychodziło, że Szamotulskiego nad sobą cierpieć nie chciał.

Ludzi znowu coraz więcej ścigać zaczęto i nowe oddziały z nich gromadzić, choć to raczej rabusie byli, niż żołnierze.

Odgrążając się a miotając, bardzo czynnie kasztelan się gotował do nowej jakiejś wycieczki, gdy nadjechał szwagier jego, Ostroróg.

Właśnie mi naówczas kazano układać nowe pismo z odpowiedzią do Szamotulskiego, które pod jego okiem pisałem, nieustannie mu je odczytując, gdy dano znać o Ostrorogu i ten zaraz wszedł do izby, tak, że mnie tylko drzwi od nich przedzielały.

Wyjść mi precz nie było wolno. Podsluchiwać pewnie ani mi myślał, ni mi się śniło, ale mimo woli mej, rozmowa podniesionemi głosem prowadzona, dochodziła do mnie.

Domaborski w początkach ją wesolo zagaił. Było to w jego obyczaju, że po sobie troski nierad dawał poznać, ale wprędce się ton zmienił.

Rozpoznałem głos Ostroroga.

— Mily bracie — mówił surowo — dopóki czas, zlitujcie się sami nad sobą. Co czynicie? Wojnę przeciw królowi i królestwu rozpoczynacie? Gdzież rozum, gdzie siła?... Szamotulski wyciągnie na was z całym rycerstwem. Zginiesz!

Domaborski szydersko syczał.

— Nie tak mnie on łatwo weźmie! Mam i ja ludzi! Czemu mi nie płacą? Nie ma król pieniędzy, niech zastawem da ziemię, puści zamki.

— Zapłacą ci,—przerwał Ostroróg—jak innym się uiszczono, ależ nie kordem się tego od pana domagać. To bunt!

— Szamotulskiemu to bunt, bo ten mnie nienawidzi—krzyknął Domaborski.—Gdyby nie on, król-by mnie zaspokoił. Nie przeciwko niemu, ale ze starostą, z tym wrogiem walczyć muszę. Gdybym ludzi rozpuścił, jutrobym życia nie był pewnym.

Mówił, wybuchając, przerywając sobie, a gdy Ostroróg go hamować chciał, usta mu zamykał.

— Ty jesteś klechą, jurystą, jam żołnierz—wolał.—Gdybym tobą był, inaczejbym się ze starostą rozprawiał, jako Domaborski, mieczem muszę. Razem go wziął, nie porzucę, aż koniec uczynię.

— Koniec? jaki?—zapytał Ostroróg.

— Król mi puści zamki i ziemię, żold zapłaci i Szamotulskiego precz wyżenie!

Ostroróg zakrzyknął:

— Toś oszalał!

Śmiał się kasztelan.

— Zwij, jak chcesz; próżno wodę warzymy.

Wtem szwagier mu począł wyrzucać napaście na dwory, na plebanie, na kościoły, naostatek i tego nie tail, że go o bicie monety fałszywej obwiniają.

— Ciury głodno, to darmo; musimy szukać chleba, gdzie napadniem—zawołał kasztelan—król za nas zapłaci. Moi ludzie muszą żyć. Fałszywe szelagi żydy puszcza-ją, ja o nich nie wiem nic! Szamotulski wszystko wali na mnie, zbójcą i fałszerzem czyni, ale na jego skórze z nim obrachunek uczynię.

Przerwał mu Ostroróg; zawrzało, zahuczało i ucichło. Ciszej potem naradzali się z sobą, tylko Domaborski wybuchał niekiedy, sprzeciwiając się, nie poddając, słuchać nie chcąc rad rozumnych.

Nie wiem na czym się skończyło, ale kłamstwo i zuchwalstwo kasztelana nie umilkło. Ostroróg snać zmiarkowawszy, iż tu słowo i rozum nie nie pomogą, umilkł.

Powiedli się potem wieczerać do komnat innych, a o mnie tak dobrze zapomniano, że musiał listy porzucawszy, gdy ściemniało, do komory mojej powrócić.

Nazajutrz jeszcze przez dzień cały na zamku pozostał Ostroróg, zapewne, aby kasztelana z pomocą żony skłonić do porozumienia się z Szamotulskim.

Wyszło to mnie, jeśli nie na korzyść, to na chwilowe próżności mojej polechtanie. Wiedzano o tem, że Ostroróg wszelkich ksiąg i rzeczy pisanych był ciekawym. Okazano kaligrafię moją, a choć może niewiele była ona warta, gdy podczas i on skryptora nie miał, zażądał natarczywie od kasztelana, aby mu mnie odstąpił.

Nie o tem nie wiedziałem, gdy zażądano, abym szedł do pana. Zastalem go w izbie samego, zachmurzonego, czerwonego, chodzącego niespokojnemi krokami. Ostro naprzód mnie zmierzył, gdy na progu chód posłyszał.

— Jest tu brat mój—odezwał się szorstko—człek pisma ciekawy, półklecha, podobało mu się pisanie twoje, chce z wami mówić... Zażąda pisania, nie bronię, ale, patrz! język za zębami! Co u nas się dzieje, o tem paplać wara. Skarżyć się nie masz na co, a mnie obwiniać, niech cię Bóg strzeże!... Słyszałeś to raz: długie ręce mam, króla się nie boję, chłystka powiesić u mnie, jak orzech zgryźć. Pamiętaj!

Powtórzył to parę razy, groził mi i milczenie moje biorąc za przestרח, z niechęcią wskazał mi, dokąd mam iść, aby się z Ostrorogiem rozmówić, po namyśle sam krocząc za mną.

Ostroróg zimno naprzód mnie badać począł, skąd i co zacz byłem. Powiedziałem mu, że sierotą jestem, że król nade mną opiekę miał, że u niego na dworze był, ale odpuścił mnie.

O tem, jak tu w pułapkę wpadłem, nie mogłem mówić, bo kasztelan stał tuż nade mną.

Z pochwałą się wyraziwszy o pisaniu mojem, radził mi potem, abym pióra nie rzucał i na bakalarza się sposobił, bo takich ludzi, do szkółek wielu potrzeba było. Stało na tem, że mi miał manuskrypt dać, którybym kilkakroć dla niego przepisał, a że łaciński był, o łacinę też mnie zapytał.

Stał Domaborski nad nami ciągle, rozmowie się nie dając przeciągnąć— a ledwie się skończyła, dał znak, abym siedł precz. Na tem dnia tego było dosyć.

Nazajutrz rano w podwórzu spotkałem Ostroroga, od ludzi swych powracającego. Poznał mnie i skinął.

W twarzy jego malowało się coś, niepokój wielki zdradzającego. Przebiegły i bystro wglądający we wszystko musiał coś pochwycić w czasie pobytu swojego, co mu do myślenia dało, iż Domaborski nie tak czystym był, jak się chciał okazać.

Naprzód od rękopismu począwszy, gdy się obejrzał wkoło, że nas nikt nie słucha, przystąpił do mnie i spojrzał mi w oczy głęboko.

— Słuchaj—odezwał się,—mów mi prawdę szczerą co ty tu robisz? Jesteś-li po dobrej woli?

— Nie godzi mi się ust otworzyć—odpowiedziałem prędko—sprawa to gardłowa. Proszę, nie pytajcie mnie... Jedno tylko rzeknę, że niewola sroga.

Chciałem odejść, bom się lękał, aby nas nie ułapiono na rozmowie, gdy Ostroróg spytał żywo:

— Mów, biją żydzi na zamku monetę?

— Panie—zawołałem,—zlitujcie się nademną, usta mam groźbą straszną zapieczętowane; o życie idzie.

Zrozumiał to i zamilkł, a mnie odpuścił i z głową spuszczoną poszedł na zamek.

Ode drzwi potem zawróciwszy się, gdy ja już w sieniach się skryłem, wyszedł Ostroróg na podwórcę znowu, i tak jak gdyby się przechaǳał tylko, rozpatrywać się począł... Skierował się ku zamkniętym wrotom tej części, która dla obcych była zaparta, przypatrując się im chwilę i w górę wyrosłej wieży.

Kasztelan snąc, czy mu o tem znać dano, czy sam postrzegłszy, nadbiegł tu... Stali u zapartych bram na rozmowie i widać było, że Ostroróg zamek chciał oglądać, a pan go nie puszczał. Nie otworzył mu i na swoim postawił, ale pewnie tem podejrzenia szwagra utwierdził.

Przed południem Ostroróg odjechał.

Szeliga, który za drzwiami w sieniach był, gdy się żegnali, szepnął mi potem, że Domaborski miał w podejrzeniu szwagra, iż więcej wiedział, niż mówił i niechętnym mu był.

Wszystko się potem w dziwny sposób u nas poczęło mieszać i płać. Kasztelan chodził niespokojny, odgrażał się, posyłał listy i ludzi. Szeliga, głową potrząsając, coś złego wróżył.

Domaborski sam prawie się nie oddalał z zamku, a gdy mu potrzeba było jechać, otaczał się takim orszakiem zbrojnym, jakby się lękał napaści.

Nadeszła wiosna. Ja w tem zamknięciu, co się na świecie działo, nie wiedziałem wcale. Jakoś około połowy maja, podróż, o której oddawna mówiono i do niej się przygotowywano, przyszła do skutku. Kasztelan miał jechać do Kalisza.

Sprawa musiała być jakaś sądowa, do której pisarza

było potrzeba, bo i mnie się w drogę kazano gotować. Taki jakiś niepokój panował na dworze, iż nawet nie zwadzano na to, że ja po niewoli zaciągnięty, w podróży najłatwiej mogę zbiedz. Zapomniał o tem kasztelan. Jam rad był, że choć się z tych murów wyrwę i świata trochę zobaczę.

Jechał Domaborski tym razem z niezbyt wielkim poczetem, ale po pańsku. Szły i wozy za nami. On sam od niejakiego czasu ciągle zły i niecierpliwy, przodem na koniu z głową spuszczoną jechał, jakby mu pilno było i stanąć w miejscu i powracać co rychlej do domu. Nie dawał długo popasać, zrana, jak świt zrywał się w drogę.

Pod noc stanęliśmy w Kaliszu, gdzie on miał własny dwór, ale dawno zaniedbany. Teraz ludzie wysłani przodem na przyjęcie pana trochę go tylko oczyścili.

Odsunięty od innych domostw, otoczony ogrodem, opasany parkanem mocnym, stał na uboczu, ale nieopodal od zamku. Nimeśmy do miasta wjechali, wyprawił kasztelan przodem Szeligę po coś. Zatrzymał się nieco i dopiero, gdy on powrócił, ruszyliśmy.

Nas po pustych izbach, w których tylko słomy i siano rzucono na posłanie, pomieszczono. Z wieczora ledwie co było jeść. Beczkę piwa kazał kasztelan z miasta przyciągnąć i zabraliśmy się do spoczynku. Kogoś się wieczorem spodziewał, dwa razy посыłając, a nie doczekawszy się, poszedł spać i wrota zamknęto. Kazał jednak u bramy straż postawić.

Ze mną Szeliga leżał, który się nie rozbiierał, tylko żelastwa, co na sobie miał, rzucił!—Stękał czegoś i przewracał się z boku na bok, zasnąć nie mogąc.

Około północy było, gdym poczuł, że mnie trącił ręką. Otwarłem oczy. Szeliga stał i zdawał się przysłuchiwać.

— Nie słyszysz?—rzekł do mnie.

— A cóż słyszeć mam? Spałem.

— Stąpanie jakieś za parkanem, jakby ludzi gromada nas osaczała.

— Co się wam śni!—roześmiałem się.

Cisza była wistocie, ale wnet i ja jakiś szelest głuchy

posłyszałem. Szeliga się przeżegnał i z izby wyszedł na palcach.

Ledwie był za drzwiami, gdy z ogromnym łomotem do wielkich wrót się dobijać zaczęto. Ludzie, ze snu zbudzeni, porwali się nieprzytomni. Ja chwyciłem za odzież, nie mogąc zrozumieć, co by nam w mieście zagrażać mogło i jeszcze się po ciemku odziewałem, omackiem, gdy w podwórzu i w izbach sąsiednich powstał krzyk, wrzawa, bieganie takie, iż głowę straciłem.

Przez otwarte drzwi zabłysło mi światło pochodni w wielkiej sieni, spostrzegłem zbrojnych ludzi, wpadających do domu, a w chwilę potem skrzepowanego kasztelana, którego pochwyciwszy, na rękach prawie nieśli, choć im się wścickie broniąc, opierał.

Trwało to tak krótko, że gdym dobiegł bliżej ku drzwiom, tu już było ciemno i pusto, przeniosło się wszystko w podwórze z hałasem tym i tumultem, potem za wrota, aż wkrótce we dworze była cisza znowu.

Kilku naszych ranionych stękało w podwórzu, wtem wbiegł Szeliga.

— Kasztelana pochwycili! Zasadzka była na niego. Starosta Szamotulski na zamek go wziął. Trzeba do Ostroga śłać; nie przybędzie-li kto w pomoc, po nim już. Życie mu wezmą.

— Ależ bez sądu człowieka nie karzą—odpowiedziałem.

Machnął ręką tylko.

Oprócz Domaborskiego ze dworu nikogo nie zabrano, tak śpiesznie im było mieć głównego sprawcę. Zostaliśmy bezpańscy, nie wiedząc, co czynić.

Mnie choć już teraz nic nie przeszkadzało, precz iść i swobodę odzyskać, rażony tak byłem nagłością wypadku, iż o sobie nie myślałem.

Nie miałem też z czem w świat iść, bo w Domaborzu pozostawiłem moje rupiecie. Dzień się robił, więc spać już nie kładli. Szeliga dwa razy do zamku biegał, nie wpuszczono go, wrócił z niczem i posłańca tylko wyprawił do kasztelanowej.

Z zamku się o niczem dowiedzieć nie było można,

oprócz, iż sędziego powołano i że sam starosta Piotr tam był.

Cały dzień upłynął tak w milczeniu i nieświadomości. Szeliga, choć znał dobrze pana swojego i wszystkie sprawy jego, przecie żał mu go było. Przywiązał się do gwałtownika, który czasem dla swoich dobre serce miał, a jak sam broił, tak im wiele też dozwalał.

W ciągu dnia tyleśmy wiedzieli tylko, iż go sądono; ale sąd nie mógł na takiego człowieka wypaść doraźnie, aby wnet o losie jego wyrokowano. Szeliga powiadał, że go w więzieniu trzymać będą a do króla posłać.

Z temśmy się spać pokładli, a że wszyscy zmęczeni byli wielce, schwycił nas sen taki, że już jasny dzień był, gdyśmy się przebudzili. W progu stał nieznajomy człek.

— Którę tu starszy z Domaborskiego ludzi?—zapytał.

Szeliga się podniósł.

— A co?—rzekł.

Posłaniec, jakby mu słowo, które przyniósł ciężko było wymówić, kazał czekać na nie, potem głosem cichym rzekł:

— Weźmijcie wóz, a zabierzcie sobie ciało!

Szeliga słyszał, lecz nie rozumiał.

— Jakie? gdzie?

— Pana waszego, boć go przed godziną na zamku ścięto.

Wydało nam się to tak nieprawdopodobnem, żeśmy wierzyć nie chcieli, ale Szeliga odział się i na zamek poszedł.

Niestety, prawdą to było. Starosta pochwywszy warcholą, przed sąd go postawił, wszystko mając przygotowane do tego, aby mu winy dowiódł. Ci sami żydzi, którzy fałszywe szelągi puszczali, stawiali się świadczyć, kto im je dawał, drudzy, co z rozkazu Domaborskiego rozbijali dwory i zakrystye łupili, na oczy mu to zadawali, iż ich stał, że łup na zamek mu odwozili. Wypadł wyrok na śmierć. Ale kasztelan nie wierzył i nie dopuszczał, aby go wykonać miano. W nocy starosta posłał mu księdza. On to jeszcze postrachem tłumaczył sobie, nad ranem jednak

gdy kat przyszedł i pieniek suknem okryty ustawiono, a wyrok mu przeczytano, dopiero upadłszy na duchu spowiadał się ze skruczą.

Starosta mimo zaklęć i próśb jego, aby do króla o potwierdzenie wyroku stał, uczynić tego nie chciał.

Pokoju w kraju mieć nie będziemy, dopóki takich, jak wy, żywć zechcemy. Król raz wam przebaczył.

— Krew moja spadnie na was!—wołał kasztelan.

— Pan Bóg osądzi, czym ją przelał niewinnie—odparł starosta.

Co tam zresztą między nimi zaszło w ostatniej godzinie, różnie opowiadano, ale koniec był taki, iż kasztelana ścięto.

Oslupieli wszyscy, słysząc o tem. Drudzy po cichu mówili, iż starosta Szamotulski zdawna ząb miał do niego i pomścił się jakiejś osobistej urazy. Inni twierdzili, że się to stało nie bez wiedzy i przyzwolenia królewskiego, aby postrach rzucić na możnych, którzy żadnemu prawu nie chcą podlegać, za bardzo się rozpasywali i przeciwko panu swemu i przeciwko zakonom.

Małej szlachcie, której możni byli zawsze sołą w oku, podobało się to, że nie poszanowano, ani mienia, ani dostojeństwa,—panowie sarkali! Wzburzyły się umysły.

Mnie tu już nie trzymało nic, wolnym się stałem i mogłem myśleć o sobie, ale przygoda ta do Wielkopolski mnie zraziła i dziwna jakaś tęsknica ku Krakowu ciągnęła. Zdało mi się, że gdzieindziej, jak tam, żyć nie można. Wprawdzie powinienem był unikać Nawojowej, aby jej oszczędzić boleści bo mi żał było tej matki, choć nią dla mnie być nie chciała, lecz myślałem, że w takim mieście jak Kraków łatwo się w kąt zaszyć i nie być na oczach nikomu.

Com miał robić tam, niedawno ucieklszy, teraz powracając znowu, nie wiedziałem—czułem tylko, że dla mnie życie wszelakie tam było, a gdzieindziej tęsknica i pustki. Przychodziło na pamięć i to, że Ostroróg mnie mieć żądał, że u niego służba byłaby dobrą, bo mąż był rozumny

i stateczny, ale już do tego kraju czulem wstręt i rad byłem co rychlej go opuścić.

Mało co miałem w Domaborzu, ale i tego porzucić się nie godziło przy ubóstwie mojem, musiałem więc z Szeligą i innymi jechać za ciałem, któreśmy wieźli w prostej, sosnowej trumnie, tyle tylko, że dla cieplej pory smola ją wylać i chmielem zapchać kazał Szeliga. Okrywszy płachtą czarnego sukna, wieźliśmy zwłoki nieszczęśliwego, który niedawno tą samą drogą jechał z taką butą, nie przezuwając rychłego zgonu...

O mil dwie od zamku spotkała nas wdowa zrozpaczona, a że nie wiedziała wcale, co mężowi jej zadawać mogli ludzie, obwiniała wprost Piotra z Szamotuł o morderstwo, natychmiast chcąc do króla jechać z żałobą.

Strach i żal było spojrzeć na biedną, rozpadającą się z żalu niewiastę, której rozpacz powiększało to, że jak pospolitego zbrodniarza, męża jej skazano i ścięto.

Na zamku, dokąd przybyliśmy, panował nieład największy, bo wszystko, co tam się siłą trzymało, rozluźowało się, wyrывało, chwytalo, co napadło i rozpraszało się na cztery wiatry.

Na owym podwórzu zamkniętym teraz wszystko stało na oścież pootwierane i opustoszone. Ze skrzyni z monetą, Żydzi, zagarnawszy, co było, pierzchnęli. Ze zbrojowni i ze skarbcza też pochwycono wiele i zmarnowano. Ludzi zaciężnych, którzy już tu, ani opieki się nie spodziewali, ani utrzymania, mało co zostało i to rannych a niedołęgów. Inni jak z gościńców tu się zbiegli, to znów po drogach kupkami rozproszyli, na swoją rękę rozbijając. Z moich rupieci niewiele wartych mało co zginęło, tak, że mnie dopominając się płacy, wyruszył stąd mniej zasobnie, niż przybyłem.

Samemu jednemu się puszczać w podróż nie było bezpiecznie, ale mi sobie dobrał dwu towarzyszy, którzy też w Krakowie szczęścia szukać chcieli, obu szlachciców i do rycerskiego rzemioła nawykłych, a takim wszędzie o zaciąg łatwo było.

Nie czekając więc nawet pogrzebu, opuściliśmy zamek,

bo nas nikt zatrzymywać nie myślał, tak wszyscy potracili głowy.

Uważyłem tylko, że ci, co królowi i staroście Szamotulskiemu byli niechętni, ścięcie gwałtowne Domaborzkiego chcieli przeciwko nim obrócić i na powszechny się zjazd z tą sprawą gotowali.

Z jakim smutkiem i sercem zbolełem powracałem nazad, wypowiedzieć mi trudno. Widziałem w tych wysilkach obłądnych marnujące się życie, schodzące lata, a żadnego na przyszłość widoku. Ojca nie miałem, matka mnie nienawidziła—jeden Bóg był nade mną. Nie zwątpilem o opiece jego, ale męstwa i wytrwałości—na te próby, na jakie narażony byłem, brakło.

W ciągu podróży chciałem powziąć jakieś postanowienie, nawet od klasztoru i sukienki duchownej się nie żarzekając, choć powołania do nich nie czulem, lecz com dnia jednego ułożył, drugiego się samo rozsypywało.

Najprostszą rzeczą było pójść w służbę rycerską, sklamawszy sobie jakiegokolwiek szlachectwo, bo o dowody nikt nie pytał,—ale już mówił, jaki wstręt czulem żyć na fałszu o pożyczanem nazwisku.

Naostatek wymięczywszy się w ciągu podróży, która szła nie pośpiesznie, bośmy nie mieli czego pędzić, na los i przeznaczenie zdałem wszystko. Niechaj będzie, jako chce.

Przez wszystkie te dni jechałem tak milczący i pośepny, iż towarzysze mi to wyrzucali, a Kraków zobaczywszy, Boże miły, lice mi się rozjaśniło. Nie był on ci mojem rodzinnem miastem, ale tu najlepsze lata młodości przeżył, do jakiego takiego rozumu przyszedł, miałem ludzi znajomych i przyjaznych, czulem się jak w domu.

Zaciągnęliśmy wszyscy do gospody, do mojego mieszczanina, u którego wpróż komornem stał, który nas pod dachem w izbie umieścił, a i na konie się znalazło miejsce. Ledwie się obmywszy z kurzawy, tak mi pilno było na Wawel, że mnie na godzinę nie zważałem. Król był na łowach, powiadano, ale się Zadorę albo Maryanka, lub w ostatku któregośkolwiek ze znajomych spodziewałem znaleźć.

Trafiłem na Zadorę śpiącego po jakiejś zabawie. Gdym go zbudził, zobaczywszy mnie, przeżegnał się.

— A ty tu co robisz?

— Widzisz, powróciłem, guza tylko oberwaś.

Ponieważ wcale nie słyszał o mnie, musiałem mu całą historię opowiedzieć, z której się zamiast ulitować nad mną, śmiał się niepocziwy.

— Tyle wiem—rzekł wkońcu—że jabym się tak nie dał wziąć. Prostaczek jesteś i choć nie młokos już, a łatwo-wierny, jak dziecko.

O losie Domaborskiego wiedzano już w Krakowie. Tęczyński bowiem, jako Toporczyka sprawę jego wzięli przeciwko Szamotulskiemu. Król odpowiadał na pytania: sąd był, wina była a karany został słusznie.

I nie chciał ani wiedzieć o tem, aby starostę do odpowiedzialności pociągnąć.

Gdyśmy się tak z Zadorą rozgadali, przerwał sobie nagłe i rzekł:

— Nawojowa wdowa w Krakowie siedzi, królowi nieprzyjaciół stara się przyczyniać. Ani poznać zdziczałej baby, tak życie nagle odmieniła. Śpiewacy i muzyka od niej nie wychodzą, uczyły codzień, młodzieży wiele. Stroi się, choć już zwiędła, maluje, zaleca, skoki wyprawia, a dokazuje tak, iż drudzy powiadają, jakoby w głowie miała niespełna rozumu. Nie byłem ja tam, bo z królewskiego dworu nikt do niej nie zagląda, ale mi powiadano, że wszystka ta jej wesołość i zalotność jakby choroba jaka wygląda. Zdaje się ciągle w gorączce być, a nawet, gdy się śmieje, niewesoły uśmiech przejmie strachem. To też choćby pono się za mąż wydać rada była, choć z ojca i z oprawy swej bogatą jest, nie kusi się nikt o jej rękę... Tęczyńskim służy, ale i oni nie radzi z niej, bo nadto sprawa ha-lasu, a oni cicho nawykli przygotowywać, co czynią.

Wiadomość o wdowie nie była miłą dla mnie, ale m Zadorze nie powiedział nic. Obiecałem sobie tylko dworu i ulicy, na której mieszkała, unikać, aby się z nią nie spotykać. Nie śmiałem pytać o Luchnę, a coś mi mówiło, że i ona z nią być musiała. Radbym ją był widział, lecz

nie mogłem ani myśleć o tem, aby nie wpaść w oko Nawojowej.

Ostrożnie się dokoła oglądając, poszedłem nazajutrz po znajomych moich, a naprzód do ks. Kantego.

Jak nie dziwił się, gdym go przychodził żegnać, tak, zobaczywszy mnie teraz, nie okazał po sobie, aby mu się to dziwnem wydało.

— Z powrotem znowu—rzekł z uśmiechem—a! ty niespokojny złecze, duchu błędny, kiedyż ty do portu przypłyniesz?

Nie spytał mnie, kędym bywał i co się ze mną działo, jak gdyby mu to wszystko wiadomem było. Miał ten dar czytania w ludziach, o którym wiedziałem dawno. Stęknąłem tylko, że mnie los prześladuje.

Uśmiechnął się.

— Dziecko moje,—rzekł—a wieszże ty, co ci on przeznacza i dokąd prowadzi? Wielekroć człowiek, gdy się nad przepaścią sądzi, wyzwolenia jest najbliższy.

— Bogdajby słowa wasze prorocze były!—westchnąłem.

Patrzył na mnie twarzą i oczyma tak pogodnemi, iż mi dodał otuchy.

— Idź z Bogiem—rzekł zagadkowo,—a nie trwóż się.

I znowu mnie z tą tylko pociechą, żadnej rady nie dając, odprawił.

Wyszedłszy od niego, tak byłem w myślach zatopiony, że krokami moimi nie kierowałem. Wlokłem się zadumany ku zamkowi zmierzając i nie ocknąłem się, aż pod kamienicą jakąś, którą poznałem, że była Długoszo-wą.

Przypomniałem sobie, że mu ją byli Kurozwęscy złupili, a i on sam uchodzić musiał dla sprawy biskupiej, ale ta już została zalatwioną.

Stało się, jak król chciał. Nalegał nań legat papieski, aby ustąpił, klękał przed nim ks. Jakób z Sienna, nie pomogło nic; biskupowi wrocławskiemu dano krakowską stolicę.

Powiadano, iż rzymski poseł od papieża groził Kazimierzowi utratą królestwa, na co on odpowiedział, iż

gdyby nie jedną, ale trzy korony miał utracić, słowa raz rzeczzonego nie odmieni.

Postawił więc na swoim, zabiegając, aby odtąd mu Rzym biskupów nie nasyłał, a kapituły bez królewskiego zezwolenia ich nie wybierały.

Poznali naówczas wszyscy lepiej Kazimierza, niż kiedykolwiek i nauczyli się go szanować, bo wiedzieli, iż wolę miał, której nic przełamać nie zdołało.

Jeszcze stał, domowi Długoszowemu się przypatrując, gdy chłopak, co mu posługiwał, a znał-ci mnie, na próg wyszedł.

— Znowuście to tutaj?—zapytałem.

— A juściż—rzekł, głową wesolo potrząsając—wiele się rzeczy zmieniło; a wy gdzieżeście to bywali, że o nich nie wiecie.

— Po świecie—odparłem, nie chcąc z nim wchodzić w długą rozmowę. Wtem słyszę, puka ktoś w błonę u okna, i spostrzegam surową, bladą twarz kanonika. Wchodzę tedy, aby go w rękę pocałować.

Stał tak namarszczony i chmurny, jak gdy go wyganiano i lupiono, bo zawsze jedną twarz miał, a weselości po sobie nie okazywał nigdy.

— Com to ja was nie widział?—zapytał.—Nie byłeś tu?

— Wlóczyłem się—odparłem z westchnieniem.—Służbom szukał, a niewolę znalazłem. Niema rozpowiadać o czem.

— A dalej, co myślisz z sobą?—zapytał.

— Czekam zmiłowania Bożego—rzekłem, wzdychając.

Popatrzał na mnie jakoś długo, namyślając się i marszcząc.

— Chodziłeś pono na kollegia! Cóż tam z nich liźnął? Po łacinie umiesz? Czytasz i piszesz pocziwie?—zaczął mnie badać.

— Nietylko piszę, alem się kaligrafią zabawiał—odpowiedziałem smutnie,—ale z tego chleba nie jeść.

— Ze wszystkiego chleb jeść można, co się kolwiek do doskonałości doprowadzi—rzekł surowo—z miernego tyl-

ko i ladażakiego nawet robienia złota człek nie żyje. Lepiej dobrze buty szyć, niż nie do rzeczy urzędować.

Przeszedł się po izbie.

— Nie wątpię, żeś stateczny—dodał,—że karnym i statecznym umiesz być, a mnie takiego bakałarzyka i dozorca właśnie potrzeba, aby mi pomagał, a nie psuł... He? zostałeś przy mnie i pode mną!

Podniosłem oczy.

— Nie wiem, czy temu podolam, czego po mnie żądać będziecie?—szepnąłem.—Radhym...

— Nie święci garnki lepią—odparł ks. Długosz—byłeś posłusznym, pilnym i cierpliwym był.

Domyślałem się, słysząc to, że kanonikowi dzieci swe Tęczyńscy lub Tarnowscy powierzyć musieli.

Wtem z wielkiem zdumieniem odzywa się do mnie Długosz:

— Wieszci o tem pewnie, że ja przy starszych synach królewskich nauczycielem i dozorcą? Nie od dziś przecie jestem z nimi.

Jam wcale nie słyszał o tem, ale posmutniałem wnet, bo mnie nadzieja opuściła, aby król dozwolił do tej służby wygnanego przez się zaciągnąć.

— Do królewiczów nawet na najmniejszego służkę—rzekłem—nie wiem, czy król mnie przyjąć dozwoli. Ze dworu jestem odpuszczony, łaskę straciłem, choć do żadnej nie poczuwam się winy.

— Wiem ja o wszystkim—odparł ks. Długosz—ale i ja też tę łaskę byłem postradał, a widzisz, że się to wszystko zmieniło. Król nie będzie mieć przeciwko temu nic, gdy się wami posłużę. Chłopcy rosną, sam im nie dam rady. Czasem im odetchnąć trzeba dać, a z oka nie spuszczać. Naówczas dozór wy mieć będziecie, aby zbyt nie dopuścić swawoli.

Spojrzał na mnie badająco, długo zadumany, gdy ja, nie odpowiadając nic, do ręki jego się tylko zbliżyłem, całując; czytał mi pewnie z oczów, że większego szczęścia nad to nigdy w życiu się nie spodziewał.

— Przyjdź jutro—dokończył krótko.

Gdy z kamienicy w ulicę wybiegł, przyszły mi na

pamięć istnie prorocze słowa ks. Jana Kantego, i naprzód do kościoła biegle Panu Bogu dziękować.

Niespodzianie cudownie do tego portu dopływałem, o którym mąż ów święty mówił. Ale od króla zawisło teraz wszystko, dozwoli on, czy zabroni?

Pośpieszyłem potem do Zadory, dzieląc się z nim nadzieją, a pytając go, jakby mu się zdało, pozwoli pan czy nie?

— Ani wątp o tem—zawołał wesolo.—Król przecież zdał wszystko na Długosza i do niczego sam się nie wtrąca, taką w nim ufność pokłada. Królowa pono Włocha, lub Niemca miećby była wolala. Nie sprzeciwi się król, jeśli Długosz tego zażąda. Surowość mu zalecił wielką, i ciągle chłopcy prawie od Krakowa zdala są trzymani, aby matka bojaźliwa i troskliwa pieśczętami ich nie psuła.

Z taką niespokojnością oczekiwałem dnia następnego, żem się do niczego wziąć, niczem zająć nie mógł. Los mój miał się rozstrzygnąć.

Wiedziałem o tem dobrze, że pod ferulą Długoszową wygodnie mi nie będzie, bo mąż był surowy, nieprzebaczający, nieoszczędzający nikogo, choć sprawiedliwy. Ale m się mógł przez to zbliżyć do pana, dworu i młodych królewiczów, których miłość mogłem zaskarbić sobie zawczasu.

Sam król niegdyś wspominał mi, że przy nich mogłem być dozorcą!—Miałoz się to teraz ziścić?

Przybyłem do kamienicy kanonicznej tak zawczasu, że go jeszcze tu nie było. Siadłem na ławie w sieniach, czekając, a za każdym zrywając się szalestem. Nadszedł wreszcie. Z twarzy, jak zawsze zasępionej wyczytać nie nie było można. Wprowadził do izby za sobą. Milczenie długie już mnie przestraszałem napępniać zaczynało.

— Pytałem o was króla—rzekł po długim przestanku,—choć nie wątpilem, że raz zdawszy się na mnie wyborowi memu przeciwnym nie będzie. Jaż go biorę na sumienie moje. I zgodził się pan chętniwe.

Wtem twarz mu się więcej, niż zwykle zachmurzyła.

— Patrzajże, patrzaj—ciągnął dalej,—abyś mojej ufności w sobie nie zawiódł. Dwa razy dałeś dowód serca

pocziwego, świadczy to dobrze za tobą. Ks. Jan Kanty dał dobre słowo, a męża świętego świadectwo waży wiele. Biorę cię więc, ale zawczasu o tem wiedzieć masz,* że wymagam wiele a pobłażam mało. Gdzie o przyszłość idzie tych, co kiedyś ludom panować mają, sroga odpowiedzialność ciąży!... Nie pochlebiaj więc sobie, abyś tu łatwy i rozkoszny chleb znalazł. W znoju i pocie czoła pożywać go będziesz, w nieustannem czuwaniu, trwodze, trosce... Bóg pobłogosławi, gdy serce do tego przyłożysz.

Na wszystko byłem przygotowany i dziękując dobroczyńcy memu, uroczyście przyrzekłem, iż służyć jego i wykonawcą woli będę tylko.

— Idź teraz, spocznij, — dodał — masz kilka dni swobodnych. W drodze najlepiej z tobą, a ty z nimi oswoją się królewicze. My stąd precz musimy, do Lublina może, zdrowego szukać powietrza.

Tak się tedy nad wszelkie moje spodziewanie szczególnie rozwiązał los, o który właśnie troszczyłem się najmocniej, zwątpiwszy o nim. Zadora po twarzy mojej poznał, żem wracał z dobrą wiadomością i ani pytał.

— Z królewiczami — rzekł — wielkiej biedy mieć nie będziesz, starsi się tylko trzej dostali ks. Długoszowi, a ci wszyscy łagodni są i dobrego serca, ale z kanonikiem zawczasu gotuj się na to, że gorzkim będzie, bo nigdy nie był innym... Prawy, uczony i święty mąż, ale dla ludzi surowy, króla nie lubi, królowej mniej jeszcze. Jagiellonów wszystkich niewiele ceni. Nie mógł odmówić wychowania, lecz bez miłości dla dzieci tych i dla rodu ich; będzie im ciężkim i bezlitośnym. Na was spadnie ten ich los łagodzić.

Ja królewiczów zdala tylko widując, nie znałem prawie. Wychowywali się oni długo pod opieką królowej, wśród niewiast i męskiej służby tylko.

Najstarszy z nich, Władysław, dziadowskie noszący imię, miał podówczas rok jedenasty, Kazimierz, drugi, dziewiąty, Olbracht — ósmy. Młodszy dwaj, bo szósty się dopiero w rok potem narodził, Aleksander pięcioletni, Zygmunt w pieluchach, przy królowej do czasu pozostawali.

Z późniejszego z nimi obcowania dodać to mogę iż pierwszy z nich nadzwyczajnej urody, z twarzą dziwną łagodności, prawie niewieści miał charakter a dobroć zbytnią może, gdyż w słabość przechodziła. Nieśmiały, rad był wszystkim otaczającym przypodobać się i im a braciom ustępował we wszystkim.

Nie miał też z nim ks. Długosz troski żadnej, chyba tę, aby go zahartować, a to mu się nie powiodło. Jakim był bowiem, takim pozostał, nie mogąc przewyciężyć tego, z czem na świat przyszedł. Kochali go wszyscy, a ja też nie wiem, zaprawdę, czy był kto, któremu by on dobrem za złe i miłością nie płacił.

Piękność oblicza czyniła go ulubieńcem wszystkich, królewską miał postawę, włos długi, obfity i lśniący, który królowa pieściwie utrzymywać zalecała; i tego jednego ks. Długosz wymódz nie zdołał, aby im pukle te śliczne poostrzygać kazał. Surowy nauczyciel dowodził, że i lubowanie się pięknnością mężczyźnie szkodliwem być może. Królowa znajdowała, że na króla przeznaczony i postawą i obliczem powinien być stać nad innymi.

Kazimierz, drugi, z twarzy był do Władysława podobnym, a i z serca a dobroci również; ale od pierwszej młodości wątłe to dziecię, z wielkimi, wyrazistymi oczyma, więcej w niebo patrzyło i do niego wzdychało, niż do ziemi. Pobożność jego zdumiewała w dziecięciu. Oba oni z Władysławem mieli Jagiellońską cnotę szczodrobliwości, jak jeden, tak drugi — nigdy nie nikomu odmówić nie umiał. Co najmilszego mieli, oddawali chętnie, i ludzie z tego niemilosiernie korzystali.

Dziewięcioletni Kazimierz naówczas chętniej się zabawiał, naśladowując nabożeństwo księży w kościele, przebierając za chłopca kościelnego, prawiąc kazania, śpiewając pieśni, niż w podwórzu w piłkę i rzucanie oszczepami.

Do wojny oba oni nie mieli tej męskiej ochoty, którą inne dzieci zawczasu okazują; na łowy też, których im dozwolano, gdy zwierza nieszkodliwego upatrzone, nie tak chętnie szli, jak ojciec.

Władysław czasem się niemi rozbawił, Kazimierz,

do zabijania wstręt miał i na krew patrzeć nie lubił. On też więcej okazywał zamiłowania do nauki, a pa-nięć miał szczęśliwą.

Król i królowa co do wychowania wymagającymi byli, a szczególnie ojciec języków uczyć kazał, czując potrzebę ich dla panującego, który z całym światem mając stosunki, powinien się obejść bez usług i pośrednictwa kanclerzy i tłumaczy.

Ośmioletni najmłodszy Olbracht nie był do starszych podobny, samowolniejszy od nich, więcej rycerskiego mający ducha, przebieglejszy, umysłu żywszego, pojęcie miał bystrzejsze, ale charakter mniej łatwy i do ulegania skłonny. Chociaż twarzy przystojnej i do braci podobny, nie był, jak oni pięknym.

Długosz zawczasu to widział, że z nim najwięcej mieć będzie trudności — bo i w sobie był zamknięty, skryty i do gniewu skłonny, gdy starsi żółci prawie w sobie nie mieli.

Ci, co z nimi od dzieciństwa obcowali, znajdowali, iż ostatni najzdolniejszym był, ale najupartszym. Mówiono, że się w ojca wdał... Ciekawy, żywy, ruchliwy, potrzebował nadzoru nieustannego, bo się wyślizgał, a pytany albo milczał, lub nie zawsze prawdę mówił.

Król go lubił dosyć.

Jak starsi bracia, Olbrachcik był też rozrutnym wiele, może nieopatrzniejszym, niż oni. Zapowiadał już zawczasu, że gdy wolę swą mieć będzie, złotem obsypie tych, co mu wiernie służyć będą, a niechętnych precz ro zgoni.

Jam naówczas o tem wszystkim tak jak zgola nie wiedział, od Zadory dopiero i innych dworskich starałem się czegoś nauczyć, abym zaraz w początkach umiał się do ich charakterów zastosować. Olbrachcikiem wszyscy mnie straszyl, i okazało się wistocie, że najtwardszym z nich był, a największej wymagał pilności.

Królowa Długosza, surowym głoszonego, w początkach lękała się bardzo — król przy nim właśnie dlatego obstawał.

— Ludzi się znajdzie dosyć, co ich psuć będą —

mówił — ten przynajmniej pochlebiać im i ulegać nie zechce. Znam go, bo i przeciw mnie stawał, gdy sądził to swym obowiązkiem. Dlatego wybrałem go, bo ufam, iż pobłażliwym i miękkim nie będzie. Miecz, który ma dobrym być, hartować w ogniu potrzeba.

Ażebym królowa wpływem swym surowemu obejściu się z synami nie przeszkadzała a skarg ciągłych nie podnosiła, prawie ciągle Długosz z wychowañcami po zamkach różnych, zdala od dworu przebywał.

Dni jeszcze kilka mając wolnych, korzystałem z nich, dając się Zadorze wyciągać na miasto. Jedna z dawniej znajomych nam córek Kridlara wyszła była za mąż po śmierci ojca i w posagu wzięła pamiątką mi kamienicę pod królami, w której po raz pierwszy moją Luchnę spotkałem.

Wspomnienie to skłoniło mnie, żem do Suterza, męża Kridlarównnej, dał się zaciągnąć. A tu mnie, jakby w szczęśliwym miejscu spotkała niespodziana radość, bom znowu zobaczył tę, której się widzieć wcale nie spodziewałem.

Nawojowa, zbywając się jej z domu, ze starszą sługą pozwoliła się pójść zabawić w wesołym mieszczańskim towarzystwie. Może w domu młodość jej i piękność nadto oczy pociągały.

Zobaczwszy ją — tyłkom na kolana nie padł.

Zesłiśmy się z nią zaraz, na ławie usiedli obok siebie i takeśmy z miejsca się nie ruszając, pozostali przez wieczór cały, choć ludzie patrzali koso i dworowali z nas sobie.

Zaczęła mi opowiadać o pani swej.

— Dziwy się dzieją z tą niewiastą — mówiła — której żal i strach, gdy się na nią patrzy zbliżka. Zrozumieć jej trudno. Smutek jej i wesele zarówno tajemnicą są, jak jedno tak drugie buja i prawie do choroby dochodzi. Gdy płacze i rozpacza, przejmuje trwoga, gdy się śmieje i rozweseli, dreszcz przebiega, słuchając. Teraz ją nawiedziła niepomierna żądza zabawy, tak jej pragnie, jak ten, co pije, aby troski zapomniał. Na chwilę sama nie chce z sobą pozostać. Ludzi sprasza, muzykę najmuje,

śpiewać każe, dokazywać a błaznować. Często do białego dnia pokoju u nas niema.

Wielkim smutkiem i litością przejęło mnie opowiadanie Luchny, która była więcej oburzona przeciwko Nawojowej, niż zasmuconą, i wstępną miała do nieszczęśliwej, której ja żałowałem, czując, że jeszcze młodości swej nie przeboleła. Musiałem, milcząc, słuchać, nie mogąc podzielać gniewu Luchny i niechęci.

Skarżyła się, że zmuszoną była zostawać na dworze Tęczyńskiej, patrzeć na to jej postępowanie, a nie mogła się uwolnić, jako uboga powinowata, której los od wdowy zależał. Świętochna wcale inaczej mówiła o położeniu Luchny i posażną ją głosiła, ale wszystko to kłamstwem było.

Mnie to uradowało więcej, niż zasmuciło, iż wistocie nie miała nic, bo ubóstwo nas do siebie zbliżało.

Obiecaliśmy tu sobie znowu wytrwać wiernie, w przywiązaniu wzajemnem i cierpliwie oczekiwać szczęśliwszych chwil.

Nie wiedziała o tem Luchna, że Nawojowa matką moją była, a tego jej zwierzać nie śmiałem; napomknęła tylko z podziwieniem pewnem, że się ona wielce losem moim troszczyła, dopytywała, co się ze mną działo i sądziła że w tem tajemnica jakiejś nienawiści tkwiła, któraby może i pochodzenie moje rozjaśnić mogła. Nie chciałem o tem z nią mówić. Rozstaliśmy się znowu, nie wiedząc kiedy i jakim cudem się na świecie spotkamy, ale z tą szczęśliwą wiarą młodzieńczą, że się to jednak stać musi.

Stawiłem się na dzień naznaczony ks. Długoszowi, który mi obowiązki moje wyłożył, najmniejsze nawet drobnostki przewidując, na wszelki wypadek dając instrukcye i zalecając surowość jak największą. Stawił ninie potem przed królewiczami jako pomocnika swojego i dozorcę, którego we wszystkim słuchać byli obowiązani, a gdy nadeszła godzina spoczynku i rozrywki w podwórcach po raz pierwszy sam z młodą paniami wyszedłem, towarzysząc do zwykłych zabaw.

Ale tego dnia ja byłem dla nich przedmiotem cie-

kawości i badania tak zajmującym, że o rozrywkach innych zapomnieli. Przypatrywali mi się, chodzili, zagadywali, a najśmielszy Olbrachcik pierwszy pociągnął do egzaminu. Starali się wyrozumieć, czy bardzo dla nich będę ciężkim i surowym; ja z mej strony usiłowałem okazać, że w granicach dozwolonych będę im służył dobrym i powolnym.

Kazimierz trzymał się, najmniej okazując śmiałości, na uboczu, najmłodszy był za to najodważniejszym, a Władek najstarszy zabiegał, aby sobie moją przyjaźń i życzliwość pozyskać, zalecając mi się z jakąś niemal niewieścią pieszczotliwością.

Tak rozpocząłem nowy zawód mój, w imię Boże szczęśliwie. Nimeśmy z ks. Długoszem i królewiczami do Lublina wyjechali miałem i to szczęście, że króla widział i przekonał się, iż życzliwość jego odzyskałem.

Zobaczywszy mnie przy synach, poznał, zbliżył się, popatrzył na mnie, zapewne rozpatrując, jak się zmienilem wielce, rzekł, uderzając po ramieniu:

— Wyciągnąłeś się, postarzałeś... he? tulając po świecie. Patrzajże, abys już więcej szukać służby obcej nie potrzebował. Chłopcom nie folguj, bo to rozpustne lotry!

Wziął potem za czuprynę Olbrachcika, rozśmiał się smutnie do nich, i siedł dalej, bo już na niego czekano.

Dziwiono się nieraz, krwi to przypisując, że Kazimierz łowy, psy i lasy lubił bardzo, a mnie się zdało, że on więcej w nich spoczynek ten upatrywał i samotność, których był żądny, bo na Wawelu, czy gdziekolwiek był, chwili jednej wolnej nie miał.

Tak się skończył drugi okres życia mojego, jeżeli nie polepszeniem losu znacznem, to przynajmniej nadzieją jakąś, że nie zginę marnie.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

Tom III.

Gdy po tylu ubiegłych latach myśl moja sięga w dawniejsze czasy młodości, przebiega wypadki i ludzi, na jakich się w życiu natrafiało i o jakich się ocierało, zaprawdę naówczas dopiero człowiek oblicza przeżyte a tak szybko upłynione dziesiątki i czuje, jaką przestrzeń ma poza sobą.

Za żywota mojego zmieniło się niemal wszystko; czy ku lepszemu, czy na gorsze, o tem ja sądu nie śmiem wydawać, tylko to wiem, iż ludzie i sprawy ich odmiennie dziś wyglądają.

Król, a pan nasz, Kazimierz, miał do zwalczania i przewyciężenia tak wiele przeciwności, a przetrwał je i pokonał tak szczęśliwie, iż dziwować się potrzeba sile i wytrwałości jego, od trudnych początków panowania, aż do dni ostatnich. Zazdroszczą monarchom szczęścia ich, a nie wiedzą tego, że oni pracy i troski mają więcej od niejednego wyrobnika, odpoczynku zaś nigdy, a wdzięczności doczekają się chyba dopiero po śmierci.

Było za tych czasów moich i siła złego i dobrego, iż nie wiedzieć jak pojąć, że to razem jeden czas i jedna ziemia wydać mogła. Widzieliśmy obok siebie chodzących i ocierających się takich mężów, jak owi święci i błogosławieni: Kanty, Szymon, Świętosław, Gedroń Michał, a tuż przy nich Pieniżków, Szafranców, warcholów, rozbijających po gościńcach, rożumnego Ostroroga, Długosza uczonego, przy nieukach a próżniakach, pnących się na najwyższe dostojeństwa; Grzegorza z Sanoka,

Rzeszowskiego, obok duchownych, niegodnych imienia i sukni kapłańskiej.

Sama dawna prostota obyczajów, jaką my zwłazszcza na Litwie i na Mazowszu zapamiętaliśmy, przy napływie cudzoziemców, a podróżach młodzieży do krajów obcych, przywożące coraz nowe wymysły, stroje, nawyknięcia, po miastach i na dworze szczególnie, zupełnie poszła w niepamięć. Zniewieściałość się do nas z Włochami i innymi cudzoziemcami dostała, przywiozła jej też nieco z Wiednia królowa, razem z piękną ogładą.

Gdy dawniej włos na głowie mężczyzny tak rósł i leżał, jak Bóg dał, i aby nie zawadzał, pod hełm podcinano go — zaczęto za moich czasów trefić, w pukle układać, na ramiona spuszczać, tak, że zdala często przy sukni długiej, mężczyznę długowłosego za niewiastę wziąć było można. Nie od rzeczy dodać, iż królowa Elżbieta i do tego obyczaju dała pobudkę dzieciom swym, wdzięcznego oblicza Władysławowi a Kazimierzowi, którzy na podziw obfite i piękne mieli pukle, pielęgnując je, zapuszczając i starannie codzień przykazując układać. Wnet za nimi poszła młodzież dworska, a za tą inni.

Nierycersko to wyglądało, a starzy mężowie dziwili się temu i naśmiewali, ale młokosy się zabawiali. Z Włoch też przywieziono obyczaj noszenia sukni długich, wyszywanych wstęgami i wszelakiem bramowaniem, pętlcami, haftami, sznurami, guzami, za które drogo przepłacać było potrzeba.

Kupcy krakowscy coraz to nowe tkaniny różne zwożąc, to barwami osobliwemi, to wzorami na nich dzierzganemi oczy porywające, wielkich za nie pieniędzy żądali i otrzymywali je. Każdy pragnął przesadzić drugiego i na wielkie uroczystości wystąpić tak, aby innych zaćmić i wzrok obrócić na siebie.

Co dawniej szło na konia i na zbroję, teraz wydawano na jedwabie, złotogłowy, szycia, które potem marnie w skrzyniach się zlegiwały.

Starzy też ludzie zarzucali młodzieży zniewieściałość nie tylko ciałem, ale i sercem, do której strój i suknie prowadziły. Albowiem w człowieku nic nie jest bez zna-

czenia, ani to, co spożywa, ni to, w co się przyodziewa, czem się stroi i w czem się lubuje.

Ta próżność i chęć występowania wiodła za sobą nieustanną potrzebę pieniędzy, za tem szło, że nie przebierano w środkach nabycia ich. Patrzeliśmy tedy na możnych panów, potomków wielkich rodzin, którzy potem na gościńce wyciągali, kupców łupili; na innych, czyniących frymarki niepoczciwe dla grosza, na bijących monetę fałszywą, na simonią do urzędów i dostojenstw dobijających się, aby nie kościółowi i królowi, ale sobie samym i chciwym rodzinom służyli.

Lagodniały obyczaje, to prawda, umysły się ogładzały, ale rycerski duch wygasł. Już onych dawnych Zawiszów, rycerzy Łokietkowych i Bolesławowych, dla sławy i imienia dobrego pracujących, było coraz mniej.

Za moich czasów łatwiej się stało o uczonego wymownego mądrała, niż o prostego a mężnego żołnierza, któryby i słuchać chciał i rozkazywać umiał.

W oczach się to wszystko przeistaczało, i co dawniej mało kto ze świeckich czytać i pisać umiał, a pan każdy kanclerza z sobą woził, aby on to za niego sprawiał, jednej tylko pieczęci sam pilnując, którą miasto podpisu wyciskał, teraz niemal wstyd już było nie znać pisma, niewiasty nawet chciwie się do niego garnęły i kmiecy synowie do kościelnych szkółek chodzić zaczęli.

W samej też uczoności zaszyły wielkie zmiany, bo w niej zaczęto szukać tego, coby do życia się zaraz zastosować dało, a co dawniej wszystko po łacinie musiało być, gdy mądrym być chciano, teraz i w kościele i w szkole swój język własny obok łaciny stawiał; glossy dopisywano polskie, z kazalnicy, nie sromając się, odzywano polszczyzną, nad którą pracowali ludzie znaczni, kolegiaci, opowiadając, że mowa ta tak dobrą była, tak obfitą, iż łacinie nie ustępowała. Zjawily się naprzód, za Jagiełły jeszcze, tłumaczenia ksiąg świętych, kazania polskie i pieśni pobożne zaczęto przekładać z łaciny, aby to, co się w niej kryło dla niewielu przystępne, uczynić zrozumiałem dla wszystkich.

Więc gdy mowa jest o tem, choć nie w miejscu,

opowiem, jak za moich czasów zjawiły się te pierwsze księgi napisane a ciśnięte, o których naprzód poszła wieść głucha, a w początkach wydawały się one sprawą czarodziejską, niemal szatańską, i wielu wierzyć w to nie chciało, aby wistocie pismo inaczej, jak piórem, mogło być wykonane.

Roku już teraz nie pomnę, ale było to. wprzód, niż Zajner w Krakowie cisnąć próbował pierwszą swą książeczkę, gdy za kanonikiem i kollegiatem, ks. Walerzem, idąc ulicą ku św. Annie, spotkaliśmy w niej ks. Brzózkę. Szedł naprzeciw nas z twarzą rozognioną jakąś, a tak przejęty i poruszony czemś, iż ks. Walerz zobaczywszy go, zamruczał:

— Zaprawdę dziekan swoim obyczajem do kubka go pewnie zmusił, a głowę słabą ma.

Ks. Brzózka, zbliżywszy się i pozdrowiwszy nas, począł prędko i niespokojnie:

— Ks. Stanko z Niemiec tylko co powrócił. Na Boga żywego, idźcież do niego, idźcie a ujrzyście cud ów, o którym prawiono: — księgę, której ludzka ręka nie pisała, a jest uczynioną tak, że pismo ręki ludzkiej prawie przechodzi!

Na to ks. Walerz odparł:

— Ojcie mój, stare to są bałamuctwa. Te liche, deskami odbijane obrazki z podpisami widywaliśmy; mało co one warte, o innych zaś, choć z Niemiec donoszono, a no Niemcy się radzi chwałą swoimi czarnoksiężnikami, ale zblizka te cuda widząc, nieosobliwie wyglądają.

Ks. Brzózka odparł, uśmiechając się.

— Idźcież sami, zobaczcie, jako niewierny Tomasz palec włóćcie, a potem mi powiecie: nie cudowna-li to rzecz jest.

Ręce obie złożywszy, podniósł je do góry.

— Niewysłowiona łaska Boża! Miarkujcież, toż to najbiedniejszy kościółek, najmniejsza szkółka, ubogi człek słowo Boże będzie mógł za mały grosz kupić, cieszyć się niem, karmić i pomnoży się chwała Stworzyciela i Zbawiciela naszego!

— Amen — dokończył ks. Walerz z niedowiarstwem pewnem.

Ks. Brzózka odszedł, a ja za Walerzem ciągnąłem do ks. Stanki.

Przybyliśmy do niego; stał w kollegium mniejszem i tylko co był powrócił z podróży a sakwy rozwiązał. W izbie zastaliśmy z dziesiątek profesorów i bakałarzów zgromadzonych.

Na pulpicie leżała rozwartą księga w deski oprawna, jak pospolite manuskrypta. Otaczali ją wszyscy. Na twarzach przytomnych malowało się niedowiarstwo, zdziwienie, niemal przestach jakiś.

Wyszedł gospodarz do progu naprzeciw ks. Walerzowi, witając go uprzejmie.

— Powiedziano wam już pewnie, com za skarb osobliwy przywiózł. Chodźcież a podziwiajcie to dzieło wielkie, zdumiewające, a chwalmy Boga, który sprawę tę natchnął.

To mówiąc, wskazał na pulpit i rozłożoną na nim księgę.

Przystąpił ks. Walerz z ciekawością, ale z niedowierzaniem. Na pierwszy rzut oka nie było w księdze tej nic, coby ją od pospolitych rękopismów, ręką biegłych skryptorów wykonywanych, odróżnić dało. Wielkie litery widocznie nawet były malowane i złocone od pióra i pędzla.

Księga zawierała tak zwany *Catholicon*.

Ks. Walerz przerzucił kart parę, zajrzał, ramionami ruszył i odezwał się:

— Osobliwego nie widzę nic, księga tak pisana, jak inne, ale ręką wprawną i jednostajną.

— W tem osobliwość, że ona pisana nie jest — żywo przerwał Stanko; — jest składaną i literami pojedynczemi wyciśniętą! Nie na deskach rzezana! nie! Niemiec przebiegły wymyślił rzezać pojedyncze litery, składając je do kupy, namazywać inkaustem i na papierze je wyciskać. Tym sposobem raz złożonej księgi odbija, wiele zechce. Wielkie tylko litery zostawia próżne dla dopisania od ręki, aby ludzi oszukiwał i dał to za prawdziwą skrypturę, za którą się drogo płaci.

Śluchali wszyscy zdumieni. Ks. Walerz uważniejsię księgę rozpatrywać zaczął i głową potrząsał.

Wtem odezwał się przytomny ks. Dąbrówka:

— Deski rzezane nieforemnie widywaliśmy dawniej. Wyciskano niemi karty dla kosterów, obrazy śmierci i świętych, gdziekolwiek słów potrosze.

— Ale toć wcale inna rzecz — przerwał ks. Stanko — bo tu każda litera stawia się osobno, i dziś ona służy do Catholiconu, a jutro może do Biblii lub Lombarda. W tem cały rozum Niemca! Co dawniej rękopism, licho przekopiowany, kilkadziesiąt grzywnien opłacać przyszło, dziś za kilkanaście dają.

Stali wszyscy, jak niemi, a przybyli z podróży ks. Stanko ciągnął dalej:

Powiadano mi w Frankfurcie, jaka tam gadka chodzi o tym wynalazku. Po ludzku się to stało, nie rozumem a przypadkiem, bo człowiek więcej winien trafunkom pono, niż mądrości własnej. Niemiec ów, który deski rzezane z obrazami śmierci odbijał, jedną z nich roztrzaskał, cisnąc i poszła w kawałki. Wzięły się niemi bawić chłopięta... Stał wyraz u góry wielkimi literami: *omen*; połuwały go i z *omen*, po kolei składały dla zabawy *nemo*, *omne*, *mone*, i t. p. Nadszedł stary ojciec i wpatrzył się w zabawę tę dziecinną. Uderzyła go myśl, aby rzezać litery osobne, naprzód z drzewa, potem próbował je łać cynowe czy ołowiane, i stał się cud.ów.

— Zaprawdę cud — odparł ks. Dąbrówka — bo ludzie na to oddawna powinni byli trafić. Na starych glinianych naczyniach literami wybijali garncarze imiona swe, na rzymskich monumentach pojedyncze brązowe litery przytwardzano. Cicero mówi o rozsypanych takich znakach. Szło tylko o to, aby je kto poczerpnął i wycisnął.

— I na to tysiąc lat czekać było potrzeba, a od dziecka się dopiero i od przypadku nauczyć — dodał ks. Dąbrówka.

Przyglądali się wszyscy ciekawie.

— Nie do wiary! — szeptałi niektórzy, karta po karcie przepatrując.

— Musimy wierzyć, gdy w ręku mamy dowód,

iż to rzecz dokonana — mówił ks. Stanko. — Nie pisanym to jest Catholicon, ale ciśnięty i odbito ich siła, a ja im przywiózł dwa, które porównyując, łatwo się przekonać, że kreska w kreskę są do siebie podone. Sprawa to wielka, potęga nowa, bo co dawniej dla niwielu było dostępne, dziś się po świecie rozejdzie.. na chwałę Bożą na pożytek duszny ludzi. Biblię już taką mają.

Stojący tuż, znany wszystkim kollegiat ks. Musiński, o którym powiadano, że szatana się niemniej lękał, jak samego Boga, a o sprawach ducha ciemności rozprawiać lubił i wszędzie owego pazura dyabelskiego się domyślał, głową zaczął pokręcać.

— Wy to macie za sprawę Bożą i natchnienie Ducha świętego, a ja —nie wiem. Okaże sięto, czy wieczny nieprzyjaciół rodu ludzkiego nie wymyślił tego na zgubę naszą. Biblię, powiadacie, wycisnięto, alboż ją w ręce prostaczków, nie przygotowanych do zrozumienia dać można?

I odwrócił się do stojącego tuż ks. Walerza.

— Medyk wam to najlepiej powie, iż zdrowszego na świecie niema nic nad chleb, a chlebem się przecie zabić można. Wyglodzonemu człeku dajcie świeżo upieczonego a gorącego, niech się go obje, a pewnie rozpuknie i zdechnie. Tak i z biblią jest, ze słowem Bożem, gdy je głodni zechcą pożerać.

— Hm — przerwał ks. Dąbrówka powoli — *bis sub judice*, czy na pożytek to wyjdzie, gdy ludzie się wszyscy do ksiąg wezmą. Niejednemu one zaszkodzą, niejedyn prawdę wyświeci.

— A szatan z tego skorzysta — dodał ks. Musiński — i ja to mam za chytrą sprawę jego, że Niemca nauczył cisnąć księgi, taniemi ją czyniąc. Jest w tem znamie dyabelskie. Każdy, kto za tani grosz księgi dostanie, będzie się już równym uważał temu, co żywot nauce poświęcił. Prawdy nie tyle na świat przyjdzie, co bałamuctw obłądów. Nie wszyscy są do nauki przeznaczeni, strzegłi jej wybrani, teraz pójdzie ona po niepowołanych za zabawkę, i, uchowaj Boże, ku złemu będzie użyta. Dyabel nie śpi.

Milczeli wszyscy, ale ks. Stanko głową trząsł i nie chciał dopuścić, aby szatan miał z tem co wspólnego.

Różne naówczas zdania powstały o tych pierwszych księgach ciśniętych. Jedni utrzymywali, że one nigdy pięknnością manuskryptom starym nie dorównają, drudzy, że się ten kunszt trudny rozpowszechnić nie może, a ludzie do pisma powrócą. W kolegiach z pewną nieufnością i niedowierzaniem przyjmowano wynalazek nowy, który jedni bez miary ważnym głosili, drudzy lekceważyli.

Koniec końców w Warszawie bardzo długo się nikt nie ważył założyć drukarni, a ci, co księgi mieć chcieli, cisnąć je kazali za granicą i przywozili tutaj.

Nierychło potem doczekałem się tego, że i u nas ksiąg się namnożyło, a gdy raz je cisnąć zaczęto, potem już sypały się jedne po drugich, choć pomimo to rękopismami się w szkołach posługiwano.

Właśnie o tym czasie jakoś zaszły u nas na dworze królewskim zmiany znaczne i zjawił się człowiek, który potem długo, choć cudzoziemcem był i urzędu żadnego nie piastował, na króla, na sprawy publiczne, na królewiczów zwłaszcza młodszych, wielki wpływ wywierał.

Byłem podówczas jeszcze pod ks. Długoszem przy królewiczach dorastających, bo najstarszy Władek rok piętnasty poczynął, Kazimierzowi się liczyło trzynaście, a Olbrachcikowi dwanaście.

Na stolicy arcybiskupiej we Lwowie siedział naówczas mąż sławny, wielce uczony, wysoko ceniony przez ludzi, ale w wielu obudzający obawę, bo był niepomniernie ostrego słowa i sądu surowego, nie wszystko tak widział jak drudzy, z bardzo mnogich rzeczy się wyśmiewał i szydził. Gdy drudzy je zakrywali i szczydzili, on nie zważał na nic; co głupotą było, zwał głupiem, co lotrostwem, mianował niepoczciwością.

Ja bym już nazwał po imieniu ks. Grzegorza z Sannoka, owego ubogiego sierotkę, który się o własnej sile wszystkiego dobił. Z łaciny i pięknego stylu, z pisania wierszy, ze znajomości dawnej literatury łacińskiej słynął przed wszystkimi. Dla niego też ci, co z nim się lubowali w niej, byli najulubieńsi.

Na stolicy lwowskiej siedząc, gdzie akademii, kolegiów, ksiąg, uczonych dysput i ludzi mu brakło, choć miał się czem zajmować około dyecezyi swej, mówiono, że się niepomniernie nudził. Onemu, co Wirgilim i Plautem rad żył, słuchać codzien nieokrzesanej rusińskiej mowy lub kościelnej łaciny, nie w smak było.

Każdy więc uczony, który przybywał do Lwowa, pewien był, że go tam czeka najlepsze przyjęcie i gościna.

Takie też spotkało Włocha, wygnańca z własnego kraju, który pono sprzeniewierzywszy się papieżowi, proskrybowany, uchodzić musiał z Włoch i po świecie sobie schronienia i chleba szukać. Zwano go pospolicie Kalimachem, chociaż rodowe nazwisko inaczej brzmiało, i wistocie mianował się Filipem z Buonaccorsich de Tebaldis, a dodawał sobie przydomek: Experiens.

To pewna, że chociaż pochodził z rodziny patrycyuszowskiej, ale ubożuchny był i całe bogactwo jego stanowiły nauka, rozum a dowcip. Temi go Pan Bóg wyposażył obficie. Czy je wszystkie na chwałę Jego i pożytek duszny obrócił, o tem ja, robaczek mizerny, sądzić nie mogę.

Opowiadali mi o nim później Włochy królewskiego dworu, o których niżej wspomnę, że się w Toskanii rodził w San-Geminiano, ale familia jego wenecką była. Od młodu okazywał zdolności wielkie i we Florencyi nauki odbywszy, za papieństwa Piusa II do Rzymu przybył.

Tu się młodziencowi powiodło dostać do kolegium, zwanego abrewiatorów, którzy papieskie listy i po świecie rozchodzące się monita układali. Co tam oni zawinili, gdy po Piusie Paweł II nastąpił, trudno dociec, lecz wina być musiała znaczna, gdyż papież ich, ilu było, rozpędził i ono kolegium zamknęto.

Siedemdziesięciu skryptorów, którzy w niem pracowali, pozostali bez kawałka chleba, a ów kawałek, który postradali, smacznym być musiał, gdyż okrutna rozpacz nimi owładnęła tak, że bodaj przeciwko Ojcu św. spiskować zaczęli.

Jeden z nich, niejaki Bartłomiej Platina, ze skargami na Pawła papieża rozpiął listy do wszystkich europejskich monarchów, abrewiatorowie jakby bunt podnieśli, czego papież ścierpieć nie mógł. Surowo więc się wzięto do nich, uwięziono winniejszych, a Kalimach nasz do Wenecyi uszedł, gdzie miał powinowatych. Tu widąc nie czując się bezpiecznym, bo Paweł się o wydanie sługi zuchwałego dopominał, puścił się na archipelag na barkach weneckich do Cypru, Rodu, a potem zwiedził Egipt, Azyę, Grecyę, Macedonię, aż nareszcie dostał się do Węgier i do Polski.

Chociaż wielce uczonemu a podróżami tem w doświadczenie zбогаconemu, nie musiało się powodzić wielce, bo na tej jego mądrości łacińskiej mało kto się znał, niewielu się w niej rozkoszowało.

Zmiarkował snąć zręczny Włoch, zasłyszawszy, iż król Kazimierz z papieżem Pawłem o mianowanie biskupów spór wiódł, iż tu mu będzie najbezpieczniej. Umiał się też przydać i zalecić. Powierzchności nadzwyczaj pięknej, ujmującej, w obejściu zręczny, twarzy wyrazistej i życia pełnej, żywego umysłu, wielkiej znajomości ludzi, umiał sobie pozyskać tych, których potrzebował.

Przez niewiasty też, do których wiersze pisał i rad się w nich rozmiłowywał po włosku, czyniąc je bóstwami, do czego one u nas nie były nawykłe, wiele umiał zyskać.

Na Pokuciu naprzód u pięknej szlachcianki czas jakiś przesiedziawszy, gdy o Grzegorz z Sanoka posyłał, wprost się udał do niego.

Spragnionemu takiego towarzysza arcybiskupowi, Włoch jakby z nieba spadł. Pokochali się więc wzajem tak bardzo, iż dla Kalimacha w całej Polsce nie było drugiego takiego człowieka, jak ks. Grzegorz z Sanoka, a dla niego Kalimach nad wszystkiego świata uczonych stał wyżej. Wszystkie ich upodobania się zgadzały, myśli mieli jednaki, sąd jeden i zabawiali się oba z równą miłością—literaturą i poezją łacińską.

Odżył arcybiskup przy nim, ale światła tego pod

korcem chować nie chciał. Uważał to za szczęście, iż Kalimach do Polski się dostał, i nie miał pokoju, aż go królowi Kazimierzowi zalecił.

Długosz miał starszych synów pod sobą. Grzegorz z Sanoka rał do młodszych Kalimacha, a oprócz tego jako doradcę, jako posła do spraw zagranicznych za nieocenionego uważał.

Stawało to na przeszkodzie, iż Włoch po polsku umiał ledwie tyle, ile potrzeba, aby nie umrzeć z głodu. I mówić się nigdy nie nauczył, ale rozumiał potem dobrze, co mówiono. Król zaś ani włoskiego, ani łacińskiego języka nie znał.

Nie przyszło jednak łatwo narzucić go panu naszemu, chociaż królowa, zasłyszawszy o nim, bardzo sobie życzyła. Długosz bowiem wiedział też o nim, a był mu podejrzanym z tego, że przeciwko stolicy apostolskiej nie tylko dawniej występował, ale i teraz rad na Rzym sarkał i co było najczarniejszego o nim rozpowiadał.

Lękał się ks. Długosz, aby nie tylko nie wpłynął na króla do większego wyłamania się z pod powagi kościoła, ale i młodych królewiczów w tych zgubnych nie wychował uczuciach i nie wykarmił niemi.

Mówiono jednak tyle o Kalimachu, o niezmiernej uczoności jego, przebiegłości, zręczności, rozumie, obyczajach pięknych, dworskości, iż go w Krakowie wreszcie choć zobaczyć zażądano.

Zjechał tedy Włoch, opatrzone tak przez arcybiskupa, aby się mógł korzystnie stawić, co mu łatwo przyszło. Każda suknia leżała na nim wdzięcznie, wszelki strój umiał tak nosić, iż się na nim inaczej, niż na pospolitych ludziach wydawał. Czy szedł, siadł czy stanął, umiał to tak uczynić, że oczy ku sobie pociągał. Strój też włoski naówczas po całej Europie za najpiękniejszy był uważany. Tak samo jak w obejściu się, wymowie, w głosie mistrzem był, a ci, co go nie rozumieli, samym dźwiękiem słowa i wyrazem twarzy byli zachwyceni.

Ale tu dodać muszę, że uczony wielce, czego mu nikt zaprzeczyć nie mógł, wcale inaczej nosił mądrość swą, niż poważni mężowie nasi, profesorowie i kolegiaci.

Można było rzec, że sobie zabawkę czynił z tego, co umiał i że to obracał na chwałę własną więcej, na popis, niż na inny pożytek ludzki.

Głosił też to nieustannie, że takich ludzi, jakim on był, monarchowie, panowie możni złotem obsypywać byli powinni, gdyż przez nich tylko do nieśmiertelności, do wieków potomnych dojść mogli. Umiał każdym wierszykiem swym tak frymarzyć, każde pismo tak zalecić, tak wynieść, tak się do nagrody przymówić zrzeczenie, iż mu się i śmiech, i dowcip, i lada słówko sownie opłacało.

Tak samo i ludzi, których potrzebował obejść, polechtać, przypochlebić się im umiał, że jak do sieci szli, nie wiedząc o tem.

Ks. Długoszowi przeciwko temu przychodniowi szeroko się oświadczać nie uchodziło dlatego, iż o popieranie własnej sprawy i żądrość mógł być posądzonym.

Tymczasem za Kalimachem, co było tu Włochów na dworze, stawało, a tych on od pierwszego spotkania i słowa wielkością swą, rozumem, mądrością olśnił. Znajdowali się naówczas w Krakowie i na dworze w różnych obowiązkach Arnulf Teclaldi, Benedykt Brognoli Caloami di Gucio i kilku innych. Później już przybył historyk Collenuccio z Pezaro.

Ci wszyscy chórem chwałę swojego współziomka pod niebiosa wynosząc, za wielkie to królestwu naszemu szczęście poczytywali, iż szczęśliwe wiatry Kalimacha tu przyniosły.

Wychowanka niegdyś Piusa II, królowa Elżbieta też z wielką ciekawością oczekiwała na niego. Spodziewając się, iż temu więcej światowo oglądanemu cudzoziemcowi wychowanie młodszych synów, Aleksandra, Zygmunta i Fryderyka powierzonym zostanie.

Surowość Długosza, bezwzględne jego obchodzenie się z królewiczami budziły obawy w królowej, aby młodzi zahukani, onieśmieleni zbyt mocno i nadto po książęzowsku nie byli wychodowani.

Wprawdzie nie był łagodnym ani pobłażającym nasz Długosz, wymagał karności wielkiej, lecz srogim

nie był i umysłowi królewiczów swobodnie się rozwijać nie przeszkadzał. Świadectwem najlepszym tego było, że gdy Władysław i Kazimierz, wedle przyrodzonych skłonności nieśmiałyimi pozostali i łagodnymi, Olbrachcicki wcale się uchodzić nie dał i inną poszedł drogą.

Zjawił się tedy w tym właśnie roku na dworze Kazimierzowym ów naprzód zalecony i sławą poprzedzony Kalimach, gdy już o wezwanie na tron czeski Władysława najstarszego i umowy o przyjęcie korony tej prawie były zawarte.

Z tego powodu i nadzór ks. Długosza nad królewiczami musiał ustać, gdyż Kazimierz oświadczył naprzód, iż chce, aby Długosz w pierwszych czasach towarzyszył synowi do Pragi i tam mu był radą i opiekunem wśród ludzi obcych. Władysław też bez miary dobry, łagodny, wszystkim dogodzić usiłujący, potrzebował koniecznie kierownika takiego, tembardziej, że dotąd trzymany w posłuszeństwie i zawisłości, nagle miał pełną wolę otrzymać. Łacno go źli ludzie, gdzieby chcieli, poprowadzić mogli.

Muszę też tu słówko powiedzieć o sobie, i jakem włożone na mnie obowiązki spełniał.

W pierwszych czasach stałem od królewiczów dosyć zdala, towarzysząc im milczący w przejażdżkach, w grach, na podwórcach i w ogrodzie, a czasu sloty w izbach, na to przeznaczonych. Niekiedy powtarzałem im zadane pensa i rozwiązywałem w nich trudności.

Oprócz mnie było około nich służby, towarzystwa, pacholąt różnych dosyć dla rozrywki i współzawodnictwa przy nauce. Pomagał ks. Długoszowi starszy ochmistrz, Stanisław Szydłowiecki, mąż stateczny, dobrego serca, miękki, ale na wzór Długosza przybierający zawsze surową postać i oblicze, choć nad miarę powolny i dobroduszny był. Udawał nieubłaganego, ale odchodził i przez szpary patrzył, choć się cò inaczej działo, niż polecił. Starał się o miłość u swoich wychowanków i miał też ją, ale go tak, jak ks. Długosza nie obawiali się i nie szanowali. Nastawiał marsa, groził, fukał, ale nigdy nie oskarżył i nie ukarał.

Z pomiędzy młodzieży szlacheckiej, która dodaną była królewiczom, wyróżniał się Konarski Jan, niezmiernie pokaźny chłopaczek, który Kazimierzowi szczególnie przypadł do serca. Byli prawie nierozdzielni, modlili się, śpiewali razem, klęczeli przed obrazami, a gdy jeden odmawiał modlitwy, drugi odpowiadał. Miłość ich dla siebie była tak wielką, że jeden bez drugiego żyć prawie nie mógł, ale że ona pobożności była podniętą, nie miał przeciwko niej nic ks. Długosz, i Konarski był nieodstępnym przy Kazimierzu.

Władysław nie jednego, ale wielu miał takich przyjaciół, żadnego jednak nie wyróżniał z między nich i nie przypuszczał do zbytnej poufaleści; choć nadzwyczaj dobre miał serce, niemniej wszakże czuł się królewiczem, przeznaczonym do korony.

Olbracht się nie przywiązywał do nikogo, ale na przemiany to się do zbytku poufalił, to dumnie stronił od ludzi. Naturę miał więcej w sobie zamkniętą, skrytą i nie lubił, aby go odgadywano.

Bracia się wszyscy kochali między sobą, ale Olbracht mniej ze starszymi żył i zwierzał się im; naturę miał inną wcale, więcej rycerską, dumniejszą, choć gdy się rozweselił i rozpuścił do zbytku z chłopiętami, sobie i im z sobą wiele pozwalał. Ale bieda była, gdy nagle się opamiętał, kim był; naówczas ani się kto mógł zbliżyć do niego.

Z nim i Szydłowiecki, i Długosz, i ja w początkach miałem najwięcej do czynienia. Spuścić go z oka nie było można, bo naówczas to, co najmocniej mu zakazano, pewnie zbroił. Dorwać się do dzbanka z winem, które tylko z wodą królewiczom dawano, i to bardzo pomiernie, wdrapać się na drzewo, na płot, wpaść do stajen, między gawiedź, psiarzy i ciurów, i z nimi żarty i swawole poczynać, najmilszem mu było. Stawiano go na pokutę potem, z czego się śmiał, nauczycielowi, gdy nań nie patrzył, przekrzywając się.

Nauka mu przychodziła bardzo łatwo, pamięć miał doskonałą, ale ochoty niewiele. Tylko gdy mu kto czytał

historję, słuchał ciekawie i zaraz do siebie je stosując, opowiadał, jakim on będzie monarchą.

Długosz, który o tem wiedział, starał się skarcić przedwczesną dumę i powtarzał mu, że niewiadomo, który z nich do jakiej korony dojdzie, bo ich sześciu było, a królestw tylu do rozdania znaleźć ciężko.

Oglądano się wprawdzie na Czechy i Węgry, o czem wszyscy wiedzieli, lecz bodaj o oboje przychodziło wojować.

Najmłodszy z synów, Fryderyk, od kolebki był do stanu duchownego przeznaczonym, lecz i tak pozostawało do wyposażenia pięciu, a licząc, że Litwa i Korona osobno obsadzone być mogły, jak za Jagiełły, jeszcze koron dla panów za mało było w zapasie.

Ale Olbracht nie wątpił ani na chwilę, że królem być musi.

Wszystko to, o czem piszę, działo się przed rokiem 1471, przed przybyciem na dwór Kalimacha i wyborem królewicza Władysława na tron czeski, gdy prawie razem postanowiono Kazimierza z wojskiem wyprowadzić do Węgier, gdzie obiecywano mu, jak Warneńczykowi, chętne przyjęcie i gorzej się, niż on, zawiódł na niem.

Lecz o tem niżej.

Długosza dozór więc miał ustać, a z nim około królewiczów zmienić się wszystko. Włoch przybywał, jak widzimy w samą porę, jak gdyby na to rachował.

Przez czas pobytu przy młodych panach, co kilka lat dobrych trwało, oni ze mną i ja z nimi się spoufaliłem. Lubili mnie dosyć, szczególną jednak słabość powziął dla mnie Olbracht i tego byłem najbliżej. Jak do tego przyszło, nie wiem. Starałem się go oszczędnąć, gdy co zbroił, nie stroniłem od rozmowy z nim poufalej, oddawałem małe posługi i pozyskałem zaufanie.

Powiedzieć jednak nie mogę, aby mi się kiedy zupełnie z czego zwierzył. Wyrostkiem jeszcze będąc, taką już zachowywał ostrożność, iż przed nikim całych myśli swych nie odkrywał. Badał drugich, nie wydawał się sam nigdy. Zresztą wesół, bawić się lubił i braci, bojaźliwszych,

gdy mógł, pociągał za sobą. Udawało mu się to z powolnym Władysławem, Kazimierz mu się opierał.

Gdyśny przybyli w początku roku do Krakowa, wiedzieli już królewicze, że Władysław miał czeskim królem zostać. Długosz nieustannie mówił mu o obowiązkach monarchy względem Kościoła i wiary, gdyż szczególnie w Czechach lękał się pobożania herezy.

Wszyscy synowie królewscy w pobożności i praktykach religijnych wychowani byli, ale różnie one do nich przysłały. Olbracht najmniej religijnego okazywał ducha. Na swój wiek panięta wszystkie były dojrzałe i starsze umysłem i nauką, niż pospolite dzieci w tych latach bywają. Odzywała się w nich mimowoli czasem młodość jakąś swawolą, śmiechem, porywem, ale wogóle poważni byli, jak starzy ludzie i zważać na siebie musieli.

Króla jeszcze w Krakowie nie było; zmarł podówczas Siemion Olelkowicz, wielkorządcą kijowski, królowi na pamiętkę przysławszy konia i luk swój bojowy. Potrzeba było w miejsce jego wyznaczyć następcę i Kazimierz chciał tam posłać Gastolda z Litwy, który się długo opierał, na Ruś sobie nie życząc dla wiary, ale królowi posłusznym wkońcu być musiał.

Ilećroć powracaliśmy na Wawel, a zastawali tu królową Elżbietę, dla matki od dzieci odłączonej, dla młodszego braci i sióstr, dla rodziny całej były to dni wesela takiego, że obcym patrzącym na nie, lzy z oczów tryskały. Ja, com nigdy rodziny nie miał i nie doznał tych rozkoszy, niemal z zazdrością się przypatrywałem obrazowi temu, gdy przybywających witano z okrzykami i uściskami, gdy bracia i siostry pozdrawiali się, opowiadając sobie wzajemnie, co pod ich niebytność zaszło.

Strzegła tego królowa, aby i przy poufałych rodzinnych zabawach pewna dostojności królewskiej powaga zachowana była, ale młodzież utrzymać trudno. Śmiechem się naówczas rozlegały komnaty.

Gronko królewskich dzieci było liczne, bo i książczek drugie tyle prawie, co chłopców liczyło; a było wszelkiego wieku wyrostków, od Władka poczynając,

który piętnaście lat miał, do trzyletniego Fryderyczka, przy którym jeszcze nianka chodziła.

Było komu do stołu zasiąść, gdy sami jedli z królem i królową, a znękany pan mógł się widokiem tego rozkwitającego potomstwa pocieszyć. Wszystkie niemal dzieci odznaczały się pięknnością lica i prawdziwie królewskim jakimś dostojeństwem.

Z młodszych Aleksander już lat jedenaście mający, tak łagodny, jak Władysław, powolny, milczącym był od dzieciństwa i nie okazywał żywości umysłu, jak inni. Zygmunt i Fryderyk oba jeszcze dziećmi byli.

Król pod te czasy jeżeli się niewiele zmienił, to ani poweselał, ani swobodniejszym się okazywał. Trosk miał zawsze wiele, nieprzyjaciół dosyć, trudności w sejmach ciągle o każdy grosz, którego trzeba się było dopraszać. Tę miał tylko pociechę, że wiele spraw, jak z Prusami, w Inflantach i w domu z biskupstwy doprowadził szczęśliwie do skutku.

Pozostawało mu jeszcze do czynienia dość, a między tymi, co króla otaczali, nie tajnem było, że wielkie osnuwał plany, chcąc pod dynastją Jagiellońską połączyć Królestwo Polskie z Litwą, Węgry i Czechi. Z taką potęgą potem łatwo się mógł kusić i o odebranie Turkom tych słowiańskich prowincji, które byli zagarnęli.

Z takimi myślami się nosząc, bolał tylko, że dzieci były zaledwie dorastające, a mężów takich, coby go zrozumieli i pomogli do urzeczywistnienia tego wielkiego dzieła, brakło.

Tak samo, jak narzekano na wojnę z zakonem, gdy szło o odzyskanie ziem, przez Krzyżaków przywłaszczonych, sarkali teraz nawet Wielkopolanie na to, że król niepomierną ambicją swoją narazi kraj na wydatki znaczne i daremne ofiary.

Król przecież na to z własnego skarbcza dawał pieniądze i nie żałował. Królowa także zamiarom jego pomagała.

Uśmiechać się to mogło wistocie panu naszemu, gdyby tak ogromne królestwa związać mógł z sobą i jak mur żywy przeciwko poganom postawić.

Władka już tu w Krakowie pocichu królem wita-no, co mu na twarz rumieniec skromności i uciechy wywoływało. Głośno o tem nie mówiono jeszcze, bo wybór nie był dopełniony.

O Kalimachu poprzedzające go wieści nadchodziły, on sam się jeszcze nie zjawil. Mówiono o nim wiele, królowa się zajmowała.

W maju przybywszy, król wysłał zaraz do Pragi dla mającego nastąpić wyboru posłów od siebie.

Nie godziło mi się w takim składzie okoliczności myśleć, ani się starać o siebie, jednakże obawiać się zacząłem, aby mnie nie odprawiono, gdy ks. Długosz z najstarszyni odjedzie. Co gorzej, zaczynało gwarzyć, że trzynastoletniego Kazimierza król chciał na Węgry wyprowadzić, choć chłopię się od tego płaczem wymawiało.

Wprawdzie i Szydłowiecki mnie zapewniał, że pod sobą zatrzyma przy młodszych, i Olbracht ręczył, że nie dozwoli, aby mnie mu wzięto, i na swych posługach zachowa, ale sama zmiana wszelka groźną się wydawała.

Polegałem więcej może na Olbrachcie, niż na Szydłowieckim, lecz królewicze do ostatniej chwili wyzwolenia nie mieli własnej woli, król wszystkiemi rozporządzał, a sprzeciwić mu się nikt nie ważył.

Zadora, który mało co mając do czynienia, znacznie był ociężały, utył i stracił dawną swą żywość i drapieżność, gdym się przed nim nad losem moim użalał, ruszył ramionami tylko.

— Daj pokój: twardo już wrosłeś do dworu, nikt cię wysadzić nie potrafi. Niema się troskać o co.

Dodał mi trochę otuchy. Poszliśmy razem rozsluchać się i rozpatrzyć po mieście. Od czasu, gdym Luchnę raz ostatni spotkał w Krakowie, ani jej, ani Nawojowej nie tylko nie widział, ale mi się o nich nawet słyszeć nie dało nic. Ile razy przyszło w Krakowie czas jakiś mieszkać, dowiadywałem się pilno; mówiono mi, że niejaki czas tu przebywszy, wdowa odjechała do majątności swych i oddawna się tu nie pokazywała. Nie wiedziano o niej nic.

Idąc ulicą z Zadorą, spotkaliśmy procesyę, której towarzyszył tłum wielki pobożnych.

Jakież było podziwienie moje i przestrasz, gdy zaraz za księdzem ujrzałem idącą, do niepoznania zestawiającą i zmienioną, a dla mnie zawsze jeszcze tę samą matkę, której rysy w pamięci mej się wyrzyły. Szła w sukni brunatnej, podobnej krojem do tych, jakie nosiły zakonnice św. Franciszka, wytartej i polatanej, z różańcem u pasa, boso, z głową osłoniętą czarnym rąbkiem, świecę niosąc w rękę, z oczyma osłupiałemi wymizowana, blada, straszna cierpieniem, które się na licu jej malowało.

Wszyscy się na nią oglądali, bo była jedna w tym ubiorze pokutnicy, a sama twarz jej litość obudzała. Nogi miała zbłocone i pokrwawione; ręce, w których świece i paciorki trzymała, trzęsły się i drżały.

Stanęliśmy, zdjawszy czapki, a jam zaniemiał od tego widoku.

Nawojowa szła, nie patrząc na nic i na nikogo; nagle, jakby wzrok mój rzucony na nią siłę miał jakąś i jakby go ona poczuła, zwróciła oczy na mnie.

Stała chwilę, oblicze się jej zmieniło przestraszeniem, ale wnet się opamiętawszy, spuściła ku ziemi wejście i drżącym krokiem dalej postępowała.

Zadora, któremu była obojętną, wcale jej nie poznał. Nie odzywałem się do niego, dając przejść procesyi i nie mogąc ruszyć z miejsca. Stałem, jak wkuły.

Obejrzawszy się na mnie, Zadora dopiero poznał, że coś się stało ze mną, czego zrozumieć nie mógł.

— Co ci jest?—spytał.

— Nie widziałeś nic?

— Com miał widzieć?

Dopiero mu powiedział o niej, ale wierzyć nie chciał.

— Przewidziało ci się — odparł; — u stracha wielkie oczy. Skądżeby jej od tego szaleństwa przejść było do nabożeństwa. Nie może to być, nie może!

Nie dałem mu pokoju, poszliśmy na zwiady. Za-

ciągnąłem go do kamienicy pod św. Michała, chcąc od ludzi Tęczyńskich języka dostać.

Zadora ludzi znał wszędzie, dopytał się i tu do dalekiego powinowatego, który na zapytanie o Nawojową, rzekł:

— A juści tu jest od pół roku szalona baba. Zgryzotę tylko z nią mają Tęczyńscy, bo nie wiedzieć nigdy, co uczyni, do czego się rzuci. Po wielkich szalach, kiedy tak dokazywała, że ją już niemal zamykać chcieli, nagle na wieś zbiegła; na zamku sama jedna osiadła; zaparła drzwi, odgrodziła się od ludzi. Napadło ją nabożeństwo, skrucha, pokuta, i oto już kilka miesięcy przy klasztorze siedzi, wdziła habit, a całe miasto się jej dziwuje. Powiadają, że się biczuje, włosienicę nosi, posty okrutne zadaje sobie, po nocach krzyżem leży, a co ma, ubogim rozdaje.

Poruszył głową szlachcic i dodał:

— A mnie się zawsze widziało, że u tej niewiasty niespełna rozumu... Bóg wie, jak się to jeszcze skończy, a no zawsze lepsza taka pobożność, niż te uczyty, które wyprawiała

Powróciłem na zamek, myśląc i przemyślając nad jej losem.

Jeżeli kiedy serce moje ku nieszczęśliwej się skłaniało, to teraz, gdy miał jawne dowody, jakim męczeństwem było jej życie. A w tem życiu ja też tkwiłem, jako cierń bolesny i niepozbyty. Wyrzucałem to sobie, że jej na oczy przyszedł, lecz stało się to mimowoli, bom przewidzieć nic nie mógł. Zadora, widząc mnie tak pognębnym, pocieszał, jak umiał.

Nazajutrz, gdy według zwyczaju, Olbrachtowi poszedł czytać historię rzymską, bo jej rad słuchał i o niej rozповідаł, a łacinę tak rozumiał dobrze, że w tem starszych braci przechodził, wsunęło się pacholę, szepcząc mi, że ktoś o mnie pilno się dopytuje.

Królewicz mnie natychmiast odprawił. Szedłem za chłopakiem w dziedziniec, gdzie zastał dziada, jakby żebraka z pod kościoła od zakonnic św. Franciszka, który mi powiedział, abym się do klasztoru stawił dla rozmowy

z pokutnicą, którą tam zwano imieniem Magdaleny.

Szedłem natychmiast z nim, wiedząc już, kto mnie wołał.

Dziad do furty zadzwonił i gdy oznajmił o mnie, do izby pustej przy niej wpuszczony zostałem. Tu mi czekać kazano, aby się nabożeństwo w chórze skończyło.

Lzy miałem w oczach, gdy szelest sukni i stąpanie usłyszałem... Zbliżyła się do mnie w milczeniu. Byłem tak przejęty litością wielką i miłością, nią wzbudzoną, że nie śmiejąc spojrzeć, do stóp się jej rzucił, łkając.

Chwilę trwało milczenie; gdy podniosłem oczy, ujrzałem ją jakby ciężką walkę z sobą przebywającą, z rękami zaciśnionemi, z ustami zakąszonemi, z oczyma straszliwie rozplamionemi.

— Nie kuś mnie — odezwała się głosem złamanym; — niegodną jestem żadnej pociechy, żadnej radości na ziemi, ani uścisku dziecka, ani nazwiska matki... Zawołać cię kazałam, bo powinienes i ty być narzędziem pokuty dla mnie. Nie powinnaś się sromu mojego wyrzekać, ani go zrywać, ale odkryć przed światem, aby na mnie plwał i deptał mnie, jak zasłużyłam.

Porwałem się przestraszony.

— Nie czyńcie tego — zawołałem — zaklinam was. Nie o mnie mi chodzi, ani nawet o was, gdy srom ten chcecie ofiarować Bogu, lecz o rodzinę i tych, których, byście pociągnąć musieli z sobą... Uczyńcie ze mną, co się wam podoba, lecz szczerdźcie innych... Nie powinniście matko moja, gdy mi tego imienia użyć wolno, czynić nic bez porady świątobliwych ludzi, a pewien jestem, że takiej pokuty żaden z nich wymagać i dopuścić nie może.

— Myślisz — przerwała sucho, — że w tej pokucie tkwi chęć zemsty?

I zamilkła, spuszczając oczy.

— Bóg jest sprawiedliwy — poczęła po przestanku, z płaczem — powinien ukarać winnego. Jeżeli zasłużyła, niech mnie kaźni, ale i ten... ten... pokutować

powinien... I dziecko grzechu nie może być szczęśliwym—dodała.

Sily ją opuściły, zachwiała się i padła na ławę przy ścianie. Wlepiła we mnie oczy.

— Sługą jesteś na dworze? — spytała — sponiewieranym? bez imienia?

— Nie skarzę się — rzekłem — los mój znoszę i nie żądam zmiany jego.

— Choć inny tobie i mnie się należał — szepnęła. — Ale Bóg chciał, błogosławiona wola Jego.

Otarła oczy i zaczęła mówić gorączkowo prędko:

— Nie powinnaś była cię widzieć, aleś pragnęła raz jeszcze. Mów, co ja dla ciebie uczynić mogę? chcę naprawić to, co los popsuł.

— Nic nie żądam — odparłem wzruszony — pozwólcie mi tylko widzieć siebie i zyskać serce wasze... Jestem sierotą.

— Nie! nie! — zawołała — toby było pociechą dla mnie, a ja pokucie życie oddałam. Zakonnica niegodna być, łaską jest, że mi tę suknię wdziać pozwolono, ale świata wyrzec się muszę i zapomnieć. Chciałam tę pokutę moją uczynić głośną, jawną, oskarżyć się, okryć wstydem. Ale rodzina, ale wszyscy, co są z nią związani nie dopuszczają tego... zamkną... Możni są... Zadawali mi szaleństwo—rzekła cicho.—Tak... mogliby o nie obwinić.

Zalała ręce, łzy się jej z oczów toczyły. Wśród tego pobożnego pokutniczego usposobienia czuć było wybuchy ziemskich wspomnień i uczuć, które się z niem pogodzić nie mogły. W skrusze i pokorze tkwiło jeszcze niezgasłe uczucie zemsty.

Po namyśle wstała z ławy, czoło się jej zmarszczyło.

— Chcę naprawić choć w części niesprawiedliwość losu — rzekła; — mam majątności, przekażę je tobie, niech ludzie mówią, co chcą, nie dbam o to... Mam prawo mieniem mojem rozrządzać, ale powinienesz dwór porzucić, służby się tej wyrzec.

Nie potrzebowałem długiego namysłu, aby stanow-

czo odrzucić tę ofiarę. Chciałem rękę jej ucałować, wyrwała mi ją.

— Nie mogę przyjąć tego — rzekłem. — Jawnemby się stało naówczas, kim jestem, oskarżyłabyś siebie, a z sobą współwinowajcę, rzuciłabyś jego i siebie na łup językom i złości ludzkiej.

— Niech mnie gryzą! — zawołała — ja tego chcę, ja dlatego jawnie pokutuję. Pragnę, aby mnie wytykano palcami.

— A ja bym żyw też musiał chodzić z tem piętnem—odezwałem się, — którego z czoła mojego nicby zetrzeć nie mogło. Dziś zowie się sierotą, musiałbym obelżywie wziąć naówczas nazwanie. Chcesz tego dla dziecka swojego?

— Dzieci za rodziców pokutować powinny — zamruczała ponuro. — Stoi to w piśmie... wiele pokoleń... wiele...

Zadumała się nagle.

— Nie czyńcie tego — dodałem pokornie. — Bóg takich ofiar ani żąda, ni przyjmuje wdzięcznie. Matko moja, radźcie się świątobliwych, nie czyńcie bez ich zgody żadnego kroku.

Siadła na ławie, ale oczy już miała z łez oschłe i krwawe od nich tylko.

— Cały ciężar pokuty spada na mnie — zaczęła powoli, — nikt podzielić jej ze mną nie chce. Ja jedna muszę do śmierci nosić płamę i ranę niezgojoną... Tak... wypierałam się ja dziecka, teraz dziecko się mnie wypiera... A on!

Nie dokończyła, łzy z wyschłych powiek polały się znowu. Popatrzyła na mnie, ale z gniewem i wyrzutem.

— Idź już — rzekła— idź, rozdarta jest dusza moja, umysł zbłąkany; nie wiem, co czynić; cierpieć i umieram, a umrzeć nie mogę, a cierpieć nie umiem... Idź.

Wstała z ławy. Schyliłem się, kraj jej sukni chcąc ucałować, odsunęła się ze wstrętem.

— Zaklinam cię, matko...

— Nie zwij mnie tem imieniem — przerwała dziko.

— Wezwijcie rady świątobliwych mężów, których tylu liczy miasto nasze; oni uspokoją, oni wskażą pokutę i drogę.

— Skarcą mnie i odepchną — przerwała gwałtownie

I nie patrząc na mnie, wyszła nagle. Zostawszy sam, wywlokłem się przestraszony i zbolący z klasztoru.

Widziałem, że w pomoc kogoś wezwać muszę i na spowiedzi się zwierzyć jednemu z tych zakonników, którzy wpłynąć mogli powagą świątobliwości swojej na niespokojną kobietę. Lękałem się, aby oblakana tą pokutą, która się łączyła z uczuciem zemsty, nie dopełniła kroku, mogącego ją na zemstę rodziny wystawić.

Cierpienie przywiązywało mnie do niej. Nie chciała mi być matką, ale ja pragnąłem być dla niej dziećciem przywiązaniem. Jak ja była sierotą, opuszczoną, zostawioną sobie samej. Trafić nie umiała o własnej sile nawet do Boga.

Wybiegłem z klasztoru, nie zebrawszy myśli, nie wiedząc, dokąd się udać, gdy Opatrzność przywiodła mi na myśl niejedną raz słyszane, sławione ze świątobliwości imię O. Ładysława z Gielniowa.

Widywałem skromnego i pokornego zakonnika u ks. Jana Kantego, który się nim zachwycił, tak, jak on wielbił pobożnego mistrza. Oba siebie byli godni.

Jednym tchem pędziłem do klasztoru Bernardynów, u furty niespokojnie blagając, aby mnie do niego wpuszczono. Był w kościele na modlitwie przed N. Sakramentem, ale jakby przeczuł, że pomocy jego ktoś potrzebuje, a ucałowawszy ziemię, wstał właśnie i miał wyjść, gdym mu do nóg przypadł.

— Ojciec mój — zawolałem — zlituj się nade mną, wysłuchaj mnie. Ratuj duszę, którą ty tylko możesz ocalić.

Tuż stał konfesyjonał. Ks. Ładysław wszedł do niego, szepcząc modlitwę, pokłakłem ją do spowiedzi i gło-

sem jęklwym począłem mu opowiadać historię moją i matki.

Przed świętym mężem nie tać nie potrzebowałem. Zakląłem go na imię Boga żywego o śpieszny ratunek.

Poblaźliwie, pochylony ku mnie, słuchał staruszek, a gdym skończył, krzyżyk zakreślił nad zbolącą głową moją.

— Idź w pokoju — rzekł — uczynię to, co mi Bóg natchnie; miłosierdzie Jego niewyczerpane.

Z niepokojem w duszy odszedłem na zamek do służby mojej, od której uwolnić się musiałem dnia tego, tak czulem się słabym i pomieszanym.

Dnia następnego zwiększył się niepokój, gdy pobiegłszy do klasztoru, aby się dowiedzieć o Nawojową, otrzymałem odpowiedź, iż dziś jej nie będę mógł widzieć. Czekać musiałem jutra, postanowiwszy sobie chodzić bodaj codzień i natrętnie dobijać, dopóki przypuszczonym nie będę.

Siostra furtyanka, wpuściwszy mnie do gościnnej izby, czekać kazała. Nierychło dały się słyszeć powolne, włokące kroki. Ujrzałem matkę, wchodzącą powoli, z twarzą łzami zalaną, ale spokojniejszą, niż była. Gorączka ta, którą miała wyrzytą na obliczu, ustąpiła, a w jej miejscu głęboki smutek oblókł twarz wychudzoną i zwiedłą.

Upadłem jej do nóg z miłością wielką, którą poczuć musiała, bo mnie nie odepchnęła.

Siadła na ławie osłabła, płacząc ciągle, lecz łzy to były błogosławione, z którymi ból z duszy płynął.

Milczenie długie ja pierwszy przerwałem; dwa dni namysłu uczyniły mnie śmielszym.

— Matko moja — rzekłem — raz jeszcze do ciebie przychodzę jak dziecko, spragnione miłości. Sierotą jesteś jak ja, odpokutowałaś długie lata, pozwól mi teraz żyć dla ciebie, służyć ci. Królewicz teraz ciągle będą w Krakowie, a przynajmniej przez czas długi. Służba moja przy nich nie ciężka. Zamiast klasztoru, pozwól mi znaleźć ci dom, gdziebyś modlić się, jak tu mogła, a ja mógł być z tobą i posługiwać ci, pocieszać... Moja mi-

łość sieroca, która się nie miała gdzie zwrócić, cała dla ciebie się wyleje i może choć jeden dzień życia ozłoci.

Gdym mówił, słuchała mnie bez gniewu, patrzała na mnie, łkała i zachodziła się od płaczu.

Nagle pochyliwszy się ku mnie, po raz pierwszy od dni dzieciństwa mojego, pocałowała mnie w głowę i z jękiem bolcsnym wyszła.

Dnia tego napróżno czekałem jej powrotu; wróciłem nazajutrz z lepszą nadzieją. Zuchwała to myśl była, którą rzuciłem, nie rozważywszy nawet, jak trudną była do spełnienia. Wystawiałem sobie tylko tę rozkosz, jakąbym miał, pielęgnując biedną kobietę, uspokajając ją na duchu, starając się przekonać, że to odrzucone dziecko kochało ją nad wszystko na świecie.

Byłem tak pozbawionym od lat wielu tego, co mogło mnie silnie przywiązywać do kogokolwiek bądź, iż odzyskanie matki rajem mi się wydawało.

Miłość dla Luchny była innego rodzaju i z tem pragnieniem serca macierzyńskiego nic wspólnego nie miała.

Spokojniejszą znalazłem ją znowu, lży nawet oschły. Zadumana słuchała mnie, chwytła każde słowo, wszystko, com mówił, tak nowem było dla niej, jak dla mnie. Lecz i tego dnia jeszcze nie odpowiedziała na prośbę moją. Sądziłem, że wymagać będzie po mnie, abym służbę króla porzucił dla niej, lecz nie mówiła o tem.

Gorące słowo świątobliwego spowiednika wpłynęło na nią cudownie. Raz jeszcze znowu widziałem ją zmienioną, lecz z pociechą najwyższą, bo pokój zstępował na jej duszę, rezygnacya chrześcijańska zastępowała zemsty pragnienie.

Nie znajdując oporu wyraźnego przeciwko mojemu żądaniu, aby w Krakowie zamieszkała i pozwoliła mi służyć sobie, wróciłem znowu do tej myśli.

— Stanie się, jak żądasz — rzekła powoli. — Winnam ci za to wszystko, coś wycierpiał niewinnie, a zechce-li świat czernić mnie i obwiniać, zniosę w pokorze. Nie zamknę się w klasztorze, chociaż sukni tercyarki nie zrzucę, ani pokuty nie zaniedbam. Kazano wszystko przebaczyć, aby Bóg nam win naszych nie pamiętał.

Kazano przebaczyć — dodała — nad tem pracować potrzeba, aby serce własne zwyciężył.

Gdym dziękował jej, odprawiła mnie, za głowę ująwszy i wyszła, lży ocierając. Drugiego dnia wychodzić miałem z zamku, gdy mnie Sliziak spotkał we wrotach. Chociaż się go nie obawiałem teraz, miałem wstręt jakiś do tego człowieka z dawnych czasów i pozbyć się go nie mogłem. Powitałem dosyć zimno.

— Do was szedłem — rzekł, biorąc mnie za rękę i spojrzawszy mi w oczy, dodał — nie marszcz się na mnie. Sługą byłem i jestem, nie z tych sług co dla pieniędzy, ale co dla serca służą. Od pieluch ją kochałem dzieckiem, dlatego byłem gotów dla niej choćby truć i zabijać, a gdy każe miłować, dla niej miłuję, tak jakem nienawidził.

Westchnął.

— Cuda się dzieją — mówił dalej, widząc, że mu nie myślę przerywać. — Pani moja domu szuka w mieście, aby go kupiła... ale bez was teraz nic uczynić nie chce. Nawojowej lada dworku nabyć się nie godzi, musi mieć kamienicę, którejby się ani Gastoldowie, ni Tęczyńscy nie wstydzieli. Brat jej po Siemionie Olelkowiczu wielkorządcą w Kijowie. Znalazłem w rynku dom, po Rejzerach pod złotym dzwonem, ale dzwon się na tarczę naszą przerobił. Chodź opatrzyć.

Sliziak się uśmiechał, był teraz tak dla mnie serdecznym, tak powolnym, iż ja trochę się rozmarzać zacząłem.

Szliśmy pod złoty dzwon, który ja zdala znałem, ale co się wewnątrz w nim działo, nie wiedziałem spełna. Mieszczańskie było domostwo, lecz do zamożnych należało, więc znalazło się gdzie rozgościć szeroko. Sieni ogromne, wschody ciemne, izby sklepione okazałe, podwórce obszerne, starczyły i dla liczniejszego dworu. Zdało mi się wszystko to dobrem a najlepszem, iż Nawojowa kamienicę nabywała. Wolałbym był wprawdzie dla niej dom osobno stojący z ogrodem, od zgiełku rynkowego i ulicznego oddalony, ale o taki trudno było.

Co lepsze murowane domostwa stały w pośrodku miasta, w ogrodach zaś dworki wszystkie drewniane.

Ale Tęczyńscy mieli też trzy domy wpośród mieszczkańskich stojące, a nie sarkali na to. Pod złotym dzwonem na dole był kram, ale ten zamknąć i na izbę mieszkalną przerobić łatwo było.

Tak ze Sliziakiem obojrzawszy przyszłe nabycie, rozradowany wielce, chciałem z nim iść też zaraz do klasztoru, na co się nie zgodził.

— Przyjdiesz jutro — rzekł — dziś ona musi to przeżyć czego nie lubi, sprawy swoje pieniężne i majątkowe pokoić, aby była swobodną. Takiego końca jam się nigdy nie spodziewał, ale Bóg łaskaw, taki najlepszy.

Życie moje tedy, choć na pozór nie miało żadnej doznać zmiany, w istocie zmieniło się tak, jakby po nocy czarnej zesła jutrzeńka. Sliziak powiedział dobrze — stał się wistocie cud, nie miałem dosyć słów i modlitw na podziękowanie Bogu.

Lecz biedna ta niewiasta, którą zwałem matką swoją, tyle razy w życiu różnemi porywana prądami, mieniła się tak dziwnie, czy mogła wytrwać w tem nowem postanowieniu.

Drżałem o to.

Gdym znowu do klasztoru przybył, znalazłem ją, dzięki Bogu, nieodmienioną wcale, uspokojoną, jakby uradowaną z tego, co się stało.

— Opowiadał mi Sliziak o dworze nowym — rzekła. — Izby na dole będą dla ciebie, choćbyś w nich nie mieszkał stale, mieć je przecie musisz. Widzisz, że się temu poddaje, byś służby królewiczów nie rzucił, najwięcej mnie to kosztuje, ale dla waszej przyszłości zdać się to może... niech tak będzie.

W czasie tym, gdy dom pod złotym dzwonem uprzątać i oczyszczać miano, Nawojowa pozostała w celi klasztornej. Przybywałem tu codzień po rozkazy, dla widzenia się, spowiadając z całego życia mego.

Była już tak daleko uspokojoną, że nietylko o

dworze słuchała cierpliwie, gdym rozpowiadał, ale sama mnie rozpytywała.

Tylko gdym o królu mówił, odwracała głowę i milczała.

Właśnie pod ten czas przypadły wielkie zmiany na dworze, bo już, już królewicza Władysława mieliśmy postradać, gdyż jakem mówił, do Czech go brano.

Jedni go im żalowali, bo jako najstarszy, mówili, powinien był po ojcu nastąpić, a wielkiej dobroci jego też nieradzi byli postradać; drudzy twierdzili, iż zbyt łagodnymby był dla Polaków i lepiej było, że go Czesi brali, gdzie umysłem zgodnym mógł spory i niesnaski koić, a ludzi zwaśnionych z sobą przejednać.

Postanowionem było, iżby ks. Długosz mu towarzyszył.

Tymczasem zwierzchni kierunek nad królewiczami obejmował Szydłowiecki, ja dozór i nagląanie, a na widoku w przyszłości naówczas już stawiano onego sławionego Kalimacha, stręzonego przez Grzegorza z Sannoka.

Tu mi wprzód niżeli wyjazd królewicza zapiszę, wspomnieć należy, iż panu naszemu właśnie pod ten czas ubył jeden z najlepszych najwierniejszych sług jego, ks. Lutek z Brzezia, ten sam, którego nielodym jeszcze, okrutny Świdrygiello, gdy do niego poselstwo od Jagielly sprawował, za zbyt śmiało słowo policzkiem znieważył. Mąż był rozumny, jurysta uczony, gorącego temperamentu, pańsko lubiący żyć, więc zawsze grosza żądny, a na dworach i przy księżach przebywający chętnie. Niemal poselstw, spraw, traktatów przez jego ręce kanclerskie przeszło i w pokoju z Krzyżakami też był czynny.

Umarł, powiedzieć było można, na placu boju, bo wśród sejmu, gdy przeciwko Dersławowi z Rytwian wojewodzie sandomierskiemu gorąco przemawiał; tknęło go powietrze tak, że wnet osłabłszy padł i na rękach wyniesiono go do domu, gdzie wprędce Bogu oddał ducha.

Król go niewymownie żałował, bo tak zaufanego,

oddanego, a świadomego wszelkich spraw królestwa, drugiego znaleźć niepodobna było.

Słyszałem z ust ks. Długosza, gorzko mu to wyrzucającego, że nie ukarał przykładnie Magdaleny Morsztynowej, żony Jerzego, kupca i mieszczanina krakowskiego, która niemal jawnie przeszła była na wiarę żydowską i synów z sobą poprowadziła do synagogi. Było to zgorzenie wielkie, lecz w sprawie ciemnej co było, prawdy dojść trudno. Przeczyli jedni, drudzy twierdzili, iż istotnie żydowską wyznawała wiarę.

Nie powoływano jej przed sąd duchowny, ubito milczeniem sprawę, gdy ks. Długosz wołał o to głośno, aby przykład dać i niewiastę odstępłą publicznie w rynku spalić na stosie.

I byłby to uczynił z gorliwości niezmiernej, gdyby władzę miał, ale ks. Lutek wołał zgorzenie pokryć milczeniem, twierdząc, że męczenników złej sprawie dawać nie potrzeba, bo one niemi urastają.

Wielki to był a uroczysty dzień dla króla naszego, który zwycięstwu się równał w boju odniesionemu, gdy posłowie czescy z Pragi przybyli, koronę tego zacnego królestwa pokrewnego nam mową ofiarując piętnastoletniemu synowi Władysławowi.

Dnia 16 lipca w niedzielę w sali zamkowej, którą właśnie dokończył był malować Jan Wielki, piękny jak anioł królewicz przyjmował starszyznę czeską i w języku polskim przemawiał do niej tak pięknie, iż wymową, głosem, postawą, równie jak całą osobą swą zachwycił słuchających. Widziałem Jana, arcybiskupa gnieźnieńskiego, gdy pod koniec przemówienia tego rozplakał się i łzy ocierać musiał. Płakała królowa, poruszonym był sam pan, i później Długoszowi za wychowanie dziękował, jemu przyznając pociechę tę, jaką miał z królewiczów.

Nie ociągano się z wyprawieniem młodego króla do Pragi w orszaku wielkim i bardzo wspaniałym, na który, równie jak na pierwsze potrzeby nowego królestwa, Kazimierz ze skatuly swej hojnie łożył.

Łatwo mi naówczas było towarzyszyć mu, bo i mło-

dy pan sobie tego życzył i ks. Długosz namawiał, alem Krakowa opuszczać nie chciał dla matki i dla tej szczególnej łaski, jaką mi młody Olbracht okazywał, któremu ja służyć przyobiecał.

Jak do tego przyszło, iż najmłodszy i najtrudniejszy do poprowadzenia z nich wszystkich Olbracht mnie sobie wybrał za powiernika i mogę powiedzieć przyjaciela, o com się nie starał, wytłumaczyć tego ni: umiem.

Broił on często, zakrywałem go, jak mogłem od kar surowszych ochraniałem; miał zawczasie ufność do mnie, nie krył się ze swawolą, pewien, że go nie zdradzę, ale też nie pobłażałem mu, mówiłem nieraz rzeźko prawdę, naganiałem, com był powinien i tego mi nie miał za złe.

Jak Kazimierz królewicz sobie szczególnie wybrał za socyusa Konarskiego i do modlitwy i do wszelkich zabaw i rozmów pobożnych, jak mało co później (o czem opowiem) upodobał sobie Aleksander małego Erazma Ciolka dla śpiewek jego, tak mnie Olbracht sobie przyswoił. We wszystkim się mną posługiwał. Musiałem mu wkońcu uroczyste dać słowo, że go dla nikogo nie opuszczę, za co mi złote góry przyrzekał.

Ledwie że Władysław w Pradze był, gdy król postanowił młodszego od niego jeszcze, a wcale do wypraw wojennych nieposobnego Kazimierza, ze dwunastu tysiącami ludzi na Węgry wyprowadzić.

Temu przedsięwzięciu nawet między najposłuszniejszymi króla sługami, wielu było przeciwnych. Przewidywano, co się ziściło, że siłę przeważną Kazimierz znajdzie przeciwko sobie, a na pomoc tych, co się z nią obiecywali, rachować nie może.

On sam zaś nietylko ku temu ochoty nie miał, ale się wypraszał u królowej, u króla, matkę po rękach całując i błagając, aby dla niego ludzie krwi nie przelewali, gdyż on żadnej, okrom niebieskiej, nie życzy sobie korony.

Nie pomogło to, gdyż król od dziecka wymagał posłuszeństwa. Trzynastoletni wyrostek był tylko chora: gawią, dowódcami zaś istotnymi wyprawy dobrani

mężowie, znani z wojennego ducha, z męstwa i energii.

Król ich bez różnicy, do jakiego obozu należeli, nawet z pomiędzy przeciwników swych wybrał, a żaden nie odmówił. Dzierżek z Rytwian, wojewoda i starosta sandomierski, ten sam, dla którego Lutek z Brzezia życie stracił, Jan z Tarnowa, kasztelan wojnicki, Stanisław Wątróbka ze Strzelec, Stanisław Szydłowiecki, marszałek dworu i ochmistrz i wielu innych, jechało z królewiczem na tę nieszczęsną wyprawę. Mistrz Jan z Latoszyna był dodany, jako duchowny i kanclerz. Pomiedzy rycerstwem Spytek z Melsztyna, Jędrzej z Oleśnicy, Jan z Czyżowa prowadzili oddziały. Ale wojsko owe, choć na oko było go dosyć, a pomiedzy nimi pułki przedniejsze świetnie się stawily, w znaczniejszej części było naprędce zebraną drużyną. Pomiedzy nią i brudnych, a odartych Tatarów liczono głów tysiąc, którzy tylko do łupieży i do podnoszenia wrzasku czasu starcia dobrzy byli.

Prorokowano zawczasu, zwłaszcza starzy, co Warneńczyka pamiętali, że Kazimierzowi się nie powiedzie.

Król zaś jakąś zuchwałą miał wiarę w szczęście swoje, którą wybór Władysława podnosił. Rachował też i na to może, że brat, ustaliwszy się na tronie, poprze Kazimierza, byle się choć w części kraju mógł utrzymać.

Zamki zdawać obiecywano.

Dodając męstwa i ochoty synowi, sam król już jesienią, gdy się zaciągi pozbierały, odprowadził go do Nowego Sącza. Ale krótkie były nadzieje, a prędko przyszło rozczarowanie po tych obietnicach Węgrów, którzy wcale ich spełniać nie myśleli.

Zaledwie wkroczył królewicz do kraju, który miał mu otwierać bramy, gdy się zdrada okazała. Nieprzyjaciel się zjawił, przyjaciół nie było wcale. Niemcy najemni, którzy łupu a nie wojny krwawej się spodziewali, pierwsi opuścili szeregi; niektóre oddziały polskie zgubę swą widząc, poszły za ich przykładem.

Zamknął się w początku królewicz w Nitrze, ale i tu oblężenia się trzeba było spodziewać, musiał więc

uchodzić o nroku, zostawując tu ze czterema tysiącami Pawła Jasińskiego, mężnego i doświadczonego dowódcę.

Po drodze do Hławy napadli Węgrzy obóz królewiczowski i sześćdziesiąt mu wozów odcięli i uprowadzili. Podzieliły się zdania w radzie wojennej. Co było przedniejszego rycerstwa, chciało się trzymać i walczyć; Tarnowski, Wątróbka, Szydłowiecki, Melsztyński za sromu sobie mieli uchodzić, ale reszta biła w to, że drogie życie królewicza ocalić należało. Zakrzyzczano do odwrotu.

Smutnyż to był ów do Krakowa przyjazd z taką stratą i upokorzeniem, o które część rycerstwa obwiniano. Kazimierz sam mało w tem stanowił, nie pragnął wojny, lecz bytby w niej wytrwał, gdyby nie doradcy bojaźliwi. Żle, czy dobrze się stało, Bóg wie jeden.

Król był tem mocno przybity, lecz nie dawał poznać po sobie.

Kazimierz przybył cicho, obawiając się gniewu ojca, rachując na matkę, nie śmiejąc się tłumaczyć, sądząc, że będzie strofowany surowo, ale król go przyjął czule, pocieszając, bez narzekań spóźnionych na to, co się dokonało.

Z Węgrami postanowił wejść w układy; trudności wojennej wyprawy, do których sił potrzeba było znacznych, teraz się dopiero czuć dawały. Wziąć ją na barki nie mógł król, i dlatego zachował się obojętnie, odkładając wszystko na przyszłość.

Próba ta z młodym królewiczem była stanowczą dla niego; przekonali się oboje rodzice, iż nie był wcale zrodzony do zdobywania państw. Sława rycerska, królowanie nie pociągały go bynajmniej. Powracał znużony, smutny i znękany, a nie odzyskał zwykłego swego humoru i spokoju, aż gdy znowu z Konarskim nie wymodlił się w katedrze, w kaplicy i we własnej izdebce, w której miał klęcznik przybrany, zamiast ołtarzyka.

Zdrowie też jego nakazywało go oszczędzać. Biały był i delikatnej cery, jak dziewczeczka, aż nadto świeży i żywy rumieniec lice te krasił, oczy były pełne ognia i życia, ale sił miał niewiele, męczył się prędko, oddech

naówczas miał przyśpieszony i kaszel go męczył po nocach.

Niespokojna matka przypisywała to do przesady posuniętem praktykom religijnym, dla których wstawał po nocach, aby pewne modlitwy odmawiać; czuwał długo, ściśle bardzo posty sobie zadawał i klęceniem się nużył. Od tego jednak wstrzymać go nie było sposobu, i ulubiony nawet Konarski, przez którego starano się ten zapal ukrócić, nie mógł go ostudzić.

Zdaje się, że król od tej wyprawy niewiele rachował na Kazimierza, jako prawdopodobnego swego następcę; ocy jego zwracały się na Olbrachta, na Aleksandra, nareszcie na Zygmunta, bo ostatni był nieodwołalnie do stanu duchownego przeznaczony.

Nie tał się z tem ojciec, że się spodziewał go wyposażyc biskupstwem krakowskiem i arcybiskupstwem gnieźnieńskiem, co razem wzięte, stanowiło dotację książęcą.

Aleksander, który dorastał, tępego był umysłu, milczący, ale, jak oni wszyscy, łagodny, szczodry i dobry.

Właśnie gdy ks. Długosz w Pradze się jeszcze znajdował, zapowiedziane przybycie Kalimacha do Krakowa nastąpiło. Los czy ludzie tak umiejętnie układali na korzyść jego — nie wiem, lecz pewna, że lepiej się to nie mogło dla niego złożyć.

Królowa była najkorzystniej uprzedzoną, król nauczyciela potrzebował. Sławiono rozum i polityki znajomość we Włochu, a tu właśnie strata Lutka z Brzezia, opróżnione po nim miejsce w radzie nastęrczała. Królewiczom dwom, nie licząc już Kazimierza, potrzebnym był mąż europejskiego wykształcenia. Oczekiwano więc zjawienia się Kalimacha z ciekawością gorącą.

W takich razach najczęściej się trafia że przesadzone nadzieje zawiedzionemi bywają, tym razem jednak stało się wcale przeciwnie — Włoch przeszedł nadzieję.

Wiedział on, iż od pierwszego wystąpienia, olśnienia, od wrażenia, jakie człowiek uczyni zrazu, zależy wiele. Wszystko było ku temu celowi skierowane, aby się podobać.

Mówiono, że Włoch ze swych włóczęg po świecie na Pokucie naprzód do przyjaciółki swej, potem do arcybiskupa Grzegorza przybył bardzo ubogo wyposażony. Przez czas jednak pobytu we Lwowie tak umiał korzystać z łask przyjaciela, tak się okazał godnym tego, aby mógł pańsko i wytwornie wystąpić, iż Grzegorz się postarał o to, by do Krakowa już jako człowiek dostatni, któremu na niczem nie zbywało, przyjechał. Gotowy dwór dlań stanowili oczekujący na niego już Włosi, o których wspominałem.

Lecz przyznać też potrzeba, że Kalimach wistocie zasługiwał na to, aby nigdzie w tłumie nie zginął. Acz nie pierwszej młodości, ale bardzo pięknej jeszcze twarzy i postawy, układu nader gładkiego, zręczny, bystry, wymowny, umiejący się dla każdego ułożyć i przypodobać, miał wszystko, czem się czaruje ludzi.

Na zamek idąc z orszakiem swoich przyjaciół, między którymi przodował Włoch, sekretarz królewski, wydawał się jakby wielkim panem cudzoziemskim, chcącym cześć oddać królowi. Włożył też szaty wytworne, a tak dobrane do swej twarzy i postawy, iż malarz Wielki, który go przechodzącym widział, powiadał, że było tylko malować.

Miał oblicze cudne a pańskie, coś w niem niepospolitego, a choć się w niem i duma i szyderstwo przebijało, umiał się tak ułożyć, iż nie raził i nie obrażał nikogo.

Wielkiej był mocy nad sobą, jakem to później nauczył się znać, bo ludzi daleko od siebie stojących rychło poznawszy, czego byli warci, nigdy ich nie lekceważył, miłość własną każdego szanując, jako najsłabszą człowieka stronę.

Prawda, że potem nieraz na uboczu się bezlitośnie naśmiewał z tych, którym wydawać się mogło, iż ich kochał i cenil wysoko.

Wystąpienie jego na dworze było tak piękne i rozumne, iż odrazu za serca wszystkich chwyciło.

Królowej wyraził uwielbienie swe dla pięknych jej, królewskiego oblicza dzieci, przed królem się korzył,

sławiąc rozum jego i trudy panowania, o których przez Grzegorza z Sanoka doskonale był uwiadomiony, kładł szczególnie nacisk na wielkie zwycięstwo, odniesione nad Stolicą Apostolską, do którego wiedział pewnie, że sam Kazimierz wielką wagę przykładał.

Zaraz też tego dnia po łacinie z młodymi: Kazimierzem i Olbrachtem, zamieniwszy po kilka słów, nad wychowaniem ich szczęśliwem się unosił.

Królowa służyła za tłumacza, gdyż Kazimierz, pan nasz, po łacinie mało co, a po włosku nic nie umiał; Kalimach zaś po polsku się nie ważył, ledwie się z tym językiem zaczynając oswajać, którego i później się nie nauczył.

Z tego występu pierwszego można było już miarkować, jakie Kalimach zajmie tu miejsce, jeżeli czy to do królewiczów, czy do kancelaryi pańskiej przyjęty zostanie.

Wszystko w nim wielkiego pana znamionowało, choć chudym pacholkiem był. Lecz królowi człowiek taki właśnie dla spraw rzymskich i dla stosunków zagranicznych nieocenionym się wydawał.

Pierwsze dni spożytkował zręcznie Włoch, Tędy na dworze bywając, przez królowę Kazimierzowi winał, że zbyt swobody rycerstwa i szlachty konieczne ukrócić powinien. Czuł król tego potrzebę, a w radzie, co go otaczała, znajdował wstręt i obawę do przedsięwzięcia kroków ku temu. Kalimach więc wydawał mu się i do tego wielce potrzebnym.

Z królewiczów Olbrachcik mój najpierwszy do niego przystał, zyskał też sobie i Aleksandra milczącego, Kazimierz tylko nie garnął się ku niemu. Wcale inaczej zaraz niż ks. Długosz z chłopcami sobie postępować zaczął, więcej w myśli królowej, będąc przeciwnym surowości zbytnej, przywiązując wagę do oglady, elegancyi i obyczaju.

Długosz karmił rozmilowanie się w stroju, trefieniu włosów i wytworności, Kalimach je pochwalał, a na sobie dawał przykład, iż się bez tego obejść nie można.

W kilka dni po przybyciu jego nie ulegało już wąt-

pliwości, iż Włoch obejmie wychowanie królewiczów i zostanie przy dworze.

Jako cudzoziemiec, do wysokich dostojęństw nie mógł być przypuszczonym, lecz poza niemi przy osobie królewskiej pozostawało wiele do czynienia, po cichu.

Jaki tam układ stanął, o tem nikt nie wiedział, lecz z pierwszego osiedlenia się Kalimachowego widać było, do jakiego dążył stanowiska. Dwór osobny, służbę, konie, wszystko zaraz obmyślać począł.

Ja w pierwszych dniach około matki mej i jej przesiedlenia się z klasztoru do dworu pod złotym dzwonem będąc zajętym, zdaleka tylko na to wszystko patrzyłem.

Widziałem jednak, że jak z jednej strony Włochowi się powiedzie pewnie, tak i to, iż mnogich sobie nieprzyjaciół pozyska.

Tak samo jak ze dworem i królestwem, umiał sobie postąpić Włoch z panami kolegiatami i akademią. Zalecony przez Grzegorza z Sanoka, miał już za sobą wielkiej wagi zdanie jego, ale postarał się o to, aby go głosem uwielbienia powitano, naprzód akademię krakowską podnosząc i sławiąc z tego, co czasu soborów czyniła i jak się korzystnie światu poznać dała. Dla panów kolegiatów, ich prac niósł hołd w imieniu obcych, świata oddalonego, ziemi klasycznej, źródła nauk i oświaty.

Nakoniec olśnił i zaćmił tu wszystkich swoją łaciną, którą tak władał, jak może żaden ze współczesnych, z łatwością, wytwornością, z poufałością człowieka, który się nią karmił od dzieciństwa.

W tej łacinie, przyznać potrzeba, nikt mu tu nie sprostął, z wyjątkiem może jednego przyjaciela jego, Grzegorza. Stosunki też Kalimacha ze wszystkimi sławnymi mężami w Europie, korespondencye rozliczne z nimi, wysoko go podnosiły.

Umiał nieustannie to przypominać, że każde słowo jego odbijało się rozgłośnie i szeroko, że miało potęgę wielką, przez którą i on sam stawał się mocarzem. Nie można było temu zaprzeczyć.

Ponieważ tak wielki pan nie mógł być codziennym dozorcą królewiczów, a był tylko ich nauczycielem, po-

został więc Szydłowiecki ochmistrem i mnie z miejsca nie ruszono, a żem po włosku cokolwiek umiał, wypadło tak, iż zostałem z urzędu tłumaczem Kalimachowym, co mnie do niego zbliżyło.

Po ks. Długoszu naszym, jak mi się on wydawał, trudno określić. Bystrzejszy umysłem, uczeńszy w łacińskich rzeczach, nie miał surowości jego, płochym był i lekkim nad miarę. W religijnych zwłaszcza zasadach pobłażał drugim i sobie do zbytku, nie zdając się tego ważyć wiele, co ks. Długosz, jako nienaruszone i nietykalne szanował.

Zaraz w początkach, gdy królewicze mowy, jakie im w usta kładziono, powinuszowania różne i łacińskie oracye przed nim wypowiadali, które my za wzory języka uważaliśmy, Kalimach na nie krzywić się począł i łacinę ich niecierpliwie poprawiał, utrzymując, że jej na wszelkiej elegancyi zbywało.

Jeżeli to naszego ks. Długosza doszło, zabość pewnie musiało.

Czas wolny, który mu zbywał, dawny nauczyciel spędzał na modlitwie lub w kronikach swych zatopiony; Kalimach zaś życie wesole, biesiadowanie, rozmowy tak lubił, że na nich dnie i noce trawić był gotów.

Towarzyszem był najmilszym, chociaż nawet tam, gdzie najwięcej osób się znajdowało, on wszędzie i zawsze królować umiał i tak się składało, że na niego oczy mieli wszyscy zwrócone. Ale też nikt nadeń dowiecipniejszym, uczeńszym, bystrzejszym nie był, a w rozprawach zręczniejszym, i przy nim zawsze zostawało zwycięstwo.

W ciągłej obawie, aby ów szczęśliwy zwrot w życiu Nawojowej nie został czem zwichnięty, nie uspokoiłem się, ażem ujrzał ją w nowej kamienicy, z małym dworem swym osiedloną.

Czynnym byłem i pomocnym jej w tem, o ile tylko obowiązki moje na zamku dozwalały.

Przemyslałem nad tem, aby jej pobyt ten uczynić jak najnośniejszym. Ponieważ oddaną była teraz nabożeństwu i na modlitwach większą część czasu spędzała, urządziłem przy sypialni kapliczkę domową, do której

od Jana Wielkiego obraz Matki Bożej Bolesnej kupilem za własny pieniądz, sądząc, że widok jej osłodzi też cierpienie biednej niewiasty.

Sliziak, który świadkiem był, jakem zabiegał i krzątał się około domu, mógł mi oddać świadectwo, chociaż nie chodziło mi o wdzięczność matki, ale o zaspokojenie potrzeby serca własnego.

Doczekałem się tego wreszcie, iż obdarzywszy klasztor sowicie, dnia jednego Nawojowa się do kamienicy przeniosła, gdzie ją wieczorem zastałem modlącą się przed obrazem i spłakaną.

Postanowiłem te godziny wolne jej poświęcać. Sama jedna była, modlitwami się karmiąc, ludzi unikając; sądziłem więc, że pobożne książki przynosząc jej i czytając, przyczynię się jej najlepiej do uspokojenia jej duszy.

Czynilem, com mógł, bo naówczas polskich ksiąg krom kilku nie było, te więc, jakie miałem po łacinie, przygotowując się zawczasu i glossy sobie zapisując, tłumaczyć się starałem.

Praca to była częstokroć twarda dla mnie, do której i porady cudzej zażyć musiałem, ale mi się ona stokroć wywdzięczała tem, że matkę moją uczyniła szczęśliwszą daleko w boleści jej, że ją oderwała od własnego losu i umysł zaprzątnęła.

Troskliwość, jaką okazywałem dla niej, zmiękczyła też długo zamknięte serce. Sliziak opowiadał mi, że gdy na zwykłą nie przychodziłem godzinę, niepokoiła się, płakała, posyłała i lękała, abym jej nie opuścił.

Była dla mnie tak pobażającą, że mi o dworze, o osobach jej niemilych, o wszystkim mówić dozwalała. Czasem na błąd twarz jej rumieniec wystąpił, ale wnet się hamowała.

Nie zmieniawszy stroju tercjarki, chodziła w habicie św. Franciszka, alem uprosił ją, że stary i zużyty, który przez pokorę wzięła, zmieniła na nowszy i wygodniejszy. Zaczęto ją znać już w mieście pod nazwiskiem Tęczyńskiej pokutnicy.

Niebardzo podobno miłem okiem na te postanowie-

nia jej patrzyła rodzina, ale były powody, dla których powolną jej być musiała.

Dla mnie wyznaczone izby na dole, choć się mojemi zwały, mało ich kiedy zażywał i oglądał. Żądała przecież matka po mnie, abym podczas w nich skromnie przyjął przyjął; wistocie Zadorę, Maryana i kilku innych spokojniejszych ugościłem tu parę razy, nie dopuszczając wrzawy, która dla Nawojowej nieznośną była.

Na zamku król, który wszystko wiedział, bo mu szczególnie o sługach jego donoszono, musiał już i o mojej przygodzie być zawiadomionym, ale mi o niej nie wspominał ni słowa.

Po przybyciu Kalimacha, gdy mnie za tłumacza powoływano do króla, a z łatwością mi przychodziło z tego się wywiązać, Kazimierz się uśmiechał i klepał mnie po ramieniu.

Powiedział raz zwięźle, jak był zwykł:

— Rad jestem z ciebie.

Drugiego dnia, gdym po odejściu Włocha przystał, spytał nagle:

— Cóż, jak ci ten po ks. Janie smakuje?

Nie wiem, skąd mi się ta wzięła śmiałość, żem mu odpowiedział:

— Najmiłościwszy panie, po gorzkim lekarstwie miodowi rade usta, ale gorycz zdrowiu pożyteczna.

— Tak — rozśmiał się król — ino i o tem wiedzieć trzeba, że i miodem doktorzy leczą.

Sklaniał się król coraz więcej ku Włochowi, bo w myśl jego mówił i sądził o wszystkich królestwach sprawach, a o wzmocnienie władzy pańskiej mocno nastawał.

Rozgłosiło się to. Kółko przyjaciół królewskich, ludzi jak Ostroróg i inni urzędnicy przy boku pańskim stojący, którzy wiedzieli, co ucierpiał przez spiski przeciwko sobie, potakiwali Kalimachowi; ale byli i tacy, co wieści o tem roznosząc, możnych i duchowieństwo nowym nabawiali strachem.

Cała już tu zrzeczność Włocha poradzić na to nie mogła, aby królowi dogadzając, miłość sobie u rycerstwa i możnych pozyskać.

Z nieufnością a groźnie poczęto spoglądać na niego zewsząd, tak, że musiał powoli zamknąć się w ciasnem kółku Włochów swych, niewielu kollegiatów uczonych i dworzan królewskich.

Niemna wątpliwości, iż gdyby był chciał, z taką przedziwną umiejętnością władania ludźmi i ujmowania ich sobie, byłby łatwo przyjaciół zjednał wszędzie, lecz musiał wybierać. Stał więc przeciwko panom z królem.

Przez Sliziaka i innych wiedzieliśmy, co się działo w tym obozie, który królowi niedowierzał i posądzal go o jakiś zamach na przywileje rycerstwa. Tam przybyłego Włocha uważano, jako najniebezpieczniejszego doradcę nie tylko przy królu, ale wychowaniem królewiczów mogącego wpłynąć na przyszłość.

Tego się lękano, a nie bez przyczyny.

Włoch wistocie karmił młode panięta opowiadaniem z swej historii włoskiej, jak tam republiki umieli stojący na ich czele obrócić na państwa sobie podległe, jak głowy możnym ścinał, więzili ich, z niezgód korzystali i władzę swą powiększali.

Ciekawy tych historii Olbracht, który się im przyśluuchiwać lubił, szczególnie przyklaskiwał, radował się, cieszył, gdy mu Kalimach opowiadał. Wyrывało mu się często, iż ojciec powinien był tak usiebie w domu gospodarzyć, iż że gdyby on miał władzę w rękę, poskromiłby potrafił krnąbrnych a opornych.

Nigdy królewicze nie słyszeli nauk podobnych z ust ks. Długosza, który na to nastawał, że poprzysiężone prawa krajowe panujący szanować był powinien i im się poddać, bo one również poddanych, jak królów, obowiązują. Z ust Kalimacha słyszeli szyderstwa z tych, co nie korzystali ze zrzeczności, a śmieszłą sumiennością dali się skrepować.

Na młodego Kazimierza nie mógł mieć Włoch wpływu żadnego i rychło to zamiarkowawszy, próżno się nad tem nie trudził. Narażać mu się nie chcąc, pobożność jego pochwalał, opowiadał mu o świętościach, relikwiach i kościołach Rzymu. Zresztą zostawiał go samemu sobie.

Przedemną raz w pierwszych latach zaraz zwie-

rzył się, iż Kazimierzowi pobożnemu, jak go nazywał, długiego życia nie rokuje. Nastraszyłem się wielce tego proroctwa, gdyż kochaliśmy go wszyscy, a nie było człowieka, któryby go już naówczas, mimo lat młodych, nie cenił, jak błogosławionego. Pobiegłem naówczas do mojego starego znajomego Gaskiewicza spytać go o zdanie, a jeśli było niebezpieczeństwo, czemu nie starali się o odwrócenie go.

Doktór zaprzeczył chorobie.

— Wyrośnie z tego—rzekł. — Co Włoch plecie? Zdrów, rumiany, tylko tyle, że się z Konarskim tem na-bożeństwem zamęczają. Tegoby im nie trzeba dopuszcząć. Po nocach na zimnie kłęczą, pieśni śpiewając, poszcząc bez miary.

Chodziłem z tem do królowej, ale ona w dziecku tej świątobliwości nie chciała powstrzymać, rada jej była i dumna nią.

Z Olbrachta mojego za to Kalimach był rad wielce i po nim sobie obiecywał wszystko, gdy na tron wstąpi. Rachował bowiem na to, że go czeka korona.

W tym to czasie, gdy Aleksander też już dorastał, zawiązała się owa wielka miłość między nim a Erazmem Ciolkiem, szewczukiem, o którym mówiłem już, a stało się to wypadkiem. Z Kalimachem na dwór, jakby inny wiatr powiał, dawna surowość i wstręt do wszelkich płochych rozrywek zamienił się w poszukiwanie ich dla zabawienia młodzieży. Włoch bowiem utrzymywał, że wesołość zdrową jest i potrzebną. Muzyka, zdaniem Włocha, miękczyła dzikie umysły, obyczaje czyniła gładszemi, młodych rozwijała. Dla młodszych więc, przyczem i starsi się zabawiali, u królowej często zwoływano śpiewaków i cytarzystów.

Jednego wieczora ktoś rozpowiadać zaczął o cudownem chłopięciu, Ciolku, tak, iż wszyscy go ciekawymi byli. Królowa kazała go sprowadzić.

Cześ to była wielka dla starego Ciolka, który się jej nigdy dla siebie i syna spodziewać nie mógł.

Obawiano się, aby Erazmek ze strachu przed królową i dworem nie tak się popisał, jak zwykle, lecz obawa była próżną, gdyż zarozumiałe i do zbytku śmiałe chło-

pię, które wystrojono w co było najlepszego, wcale się nikogo nie lękało.

Przyprowadzony przed królowę, gdy mu śpiewać kazano, tak sobie poczynął, jakby w szynku u matki stał przed zwykłymi gośćmi. Śmiałość ta i nieustrasżoność wyrostka niezmiernie się podobała, a głos też miał nadzwyczaj piękny i nucił takie pieśni, które w jego ustach dziwnie brzmiały, bo się z wiekiem nie godziły.

Rozumkiem też, odpowiedziami, obejściem się całem królowę, dwór, a szczególnie młodszego Aleksandra zachwycił. Królewicz chodził za nim ciągle, przypatrywał mu się, uśmiechał do niego, a gdy potem Ciołka nie stało, wciąż się o niego upominał. Szydłowiecki nie widział w tem nic złego, choć chłopię było mieszczańskie, dopuszczając je dla zabawy do królewiczów. Kalimach się temu nie sprzeciwił.

Takim sposobem przywykł nasz milczący Aleksander do rozmownego i żywego Ciolka. Sądzone, że chłopię trochę opieszały umysł królewicza rozbudzi; Aleksander jednak pozostał, jak był, a Ciołek tylko przy nim, chlubiąc się tem, że go na Wawel potrzebowano, urosł w pychę i nadzieję wielkich losów. Ale chłopak był wistocie do nich stworzony, choć z gminu wyszedł, i zdolności miał tak wielkie, iż już naówczas z rozmów chwycił więcej i przyswajał sobie, niż się drudzy z ksiąg uczył. Kalimach też zdolności widząc nadzwyczajne, nalegał na to, aby dać chłopcu wychowanie lepsze i mieć z niego niepospolitego sługę.

Z łaski królewicza Aleksandra zaczął i król o losie Ciolka myśleć i kazał mu naznaczyć żołąd do szkół.

Nie straciłem ja łaski u mojego Olbrachta, lecz teraz przy Kalimachu nie byłem już dla niego tem, co wprzód. We mnie zawsze długoszowy duch nieśmielszy mieszał, gdy Włoch szersze roztwierał pola umysłowi młodemu.

Nie zbywało Olbrachtowi na dowcipie i łatwości pojęcia, ale krew w nim zawczasu bardzo grać zaczęła i od nauki go odrywała. Lubił słuchać, żywym słowem się karcić, ale szukać w księgach, grzebać w nich—niecierpliwio go. Z rozmów z Kalimachem wkrótce nabral takiej wprawy w języku łacińskim i tak wytwornie się z nim a łatwo po-

sługiwał, iż w podziwienie wprawiał wszystkich. Innemi też językami mówił dobrze, ale z łaciny był dumnym. Nikt z królewiczów tak jej nie posiadał, jak on, co też Kalimacha do niego przywiązywało. Prorokował mu świetne losy.

Gdy się to działo, a Włoch coraz mocniej na dworze się gnieździł, tak, że już bez niego się tu obejść nie umiano, tak się stał potrzebnym, szczególnie królowi — w tym samym stosunku rosła do niego nienawiść.

Zadawano mu, jak wyżej się mówiło, to, że królowi dawał rady zgubne dla rycerstwa, a przytem i życie jego budującym nie było. Mniejsza z tem, że składał wiersze miłosne na wzór Horacego i Owidyusza, w których się lubowano, że pisywał i takie, co rumieniec na lica wywoływały, ale też niewieściego ładajakiego towarzystwa nie unikał, a w Krakowie się to utaić nie mogło. Nauczycielowi dzieci królewskich niebardzo to przystawało, ale Włochowi pobażano. W domu jego po nocach uczutowano czasem nadto hałaśliwie i swobodnie. Tłumaczyło się to obyczajem niby obcym, a nawet u wielu uchodziło za większą oglądę, którą miano za coś wyższego od polskiej surowości zbytniej i surowości namiętnej.

Sprzeczało się to wielce wistocie, stojąc obok świętobliwości ówczesnych takich mężów, jak ks. Jan Kanty, Władysław z Gielniowa, Świętosław, Kazimierczyk, Gedroń i tylu innych; nie wiedzieć, jak było pogodzić tu rozpasanie, tam okrucieństwo względem siebie, ale też wkrótce tych świętych i błogosławionych nie stało. I nie wrócili, podobni im, za moich czasów na tę ziemię, a Bóg wie jeden, czy kiedy ich ona zobaczy.

Kalimachowe obyczaje nie były w początkach tak jawne, aby zgorszenie czyniły. Zamykali się Włosi w swęj gromadce z niemi. W obcowaniu jednak, w rozmowach, w każdej chwili nam, nienawykłym, dawało się czuć, że to byli ludzie zupełnie innego rodu i narodu, innych nawyknień, choć jednej wiary z nami.

W rzeczach religijnych oni a my różnie nawet z Bogiem obcowaliśmy, inaczej się modlili. Myśmy z pokorą i poszanowaniem, ze trwogą szli do kościoła, Włosi wesoło,

poufale i wcale ducha nie nastrajając do nabożeństwa. Wśród niego przerwać sobie śmieszkami, mruganiem, roztargnieniem było im pospolitem.

Kalimach zaś sam, chociaż od kościoła nie stronił, ale jakby z obowiązku tylko i z musu do niego uczęszczał, a serca do modlitwy nie nakłaniał.

We wszystkim tak wyższość swoją i pewne lekceważenie rad był okazywać, sądząc może, iż tem w mniemaniu ludzkim wyżej stanie.

Wysoko szacując rozum jego i przymioty, nie moge powiedzieć, abym go miłował, przeto niesprawiedliwym może względem niego jestem.

Sarkąło wielu, jak ja, przeciwko Włochowi, ale większość olśniewał i zachwycał. Mówilem już, czem królowi i królowej w łaski się wkupił; ale śmiało jego plany pozostały między czterema ścianami zabawką w rozmowach, a do wykonania ich nigdy nie przyszło.

Chwili pogodnej oczekiwano, a ta się nie nastąpiła.

Część ta żywota mojego upływała jednostajnie i spokojnie. Nieznacznie i choć o zmianie żadnej w obowiązkach moich mowy nie było, przeszedłem ze służby przy młodych paniątkach do Jana Olbrachta. Ten mnie sobie wyprosił do osoby swej, o czem król wiedział, i odtąd wolniejszym byłem, a czasu nauki, gdy go Kalimach brał, mogłem do matki na miasto zejść i czuwać nad nią.

Nie śmiałem wspomnieć jej nigdy o Luchnie, ale miałem jakąś nadzieję, że gdy wprzód ją przy sobie miała, a teraz też dworu i służby żeńskiej potrzebowała, zażąda mieć ją przy sobie. Mówić o tem, aby nie ściągnąć podejrzenia na nas oboje, nie mogłem. Śliziaka zaś, choć teraz żyliśmy z nim w zgodzie, użyć wstętu miałem jakiś. Zdałem to na Opatrzność Bożą na którą od niejakiego czasu nawykłem był wszystko składać, — stań się wola Twoja, powtarzając.

Nauczył mnie tego drogi mistrz, ks. Jan Kanty, że własna wola najczęściej na błędne drogi prowadzi. Chciałem, patrząc na niego, nabrać tego spokoju ducha i pogody,

a równości umysłu w dobrej i złej doli, jaką on miał. Lecz któż takiemu wzorowi mógłby dorównać?

O wszystkim, co się mnie tyczyło, król, chociaż tego po sobie nie dawał może poznać, zdawał się być uwiadomionym, nawet o mojem uczęszczaniu do Nawojowej i stosunku jej ze mną.

Gdy Kalimach się już na dobre rozgościł w Krakowie, objął wychowanie chłopiąt i niemal codzień powoływany był do króla, u którego godzinami przesiadywał, gdy się rada zbierała, rozeszło się to rychło po ludziach i starzy panowie, Kazimierzowi niechętni, powiadać zaczęli z przekąsem, że wziął nauczyciela nie do dzieci a dla siebie.

Kto rozmowy potajemne i rady Włocha zdradzał i wyносił z zamku, tego dociec było trudno; to jednak pewna, że prawiono o nich wiele, szeroko i zdaje się, nie z palca wysawszy.

Kalimach, jak w rzeczach religijnych, tak i świeckich sprawach był jednym. Z Panem Bogiem za pan brat, a z temi, co u nas, jako prawo się szanowało i uważało za nietykalne, on radził siłą się rozprawiać. Sam słyszałem, gdy w domu, w towarzystwie Włochów swych powtarzał:

— W tem królestwie, tak jak ono jest dziś, z przywilejami możnych, rycerstwa i duchowieństwa, rządzić i nie począć nie można. Machina to nie potem, król musi ją przerobić; chcieli, aby czegoś dokonał. O każdy miżerny grosz prosić musi i zwoływać zjazdy, na nich słuchać, jak mu pod nos burczą, grosz wymawiają i skąpią, częstokroć grożą i lają. Raz temu koniec położyć musi, co hardziejszym kilka głów uciąwszy!

Gdy takie słowa powtarzano po świecie, łatwo zmiarkować, jakie one oburzenie wywołały w tych ludziach, których ojcowie na szablach pergamin przed Jagiellą roznieśli, gdy im obiecanych praw nie chciał potwierdzić.

Z króla cała niechęć przeszła na Włocha. Zaczęto się na niego odgrażać głośno, ale i to muszę mu przyznać, że odważny był i śmiał się z pogróżek. Znal przytem naród nasz do narzekania pochopny, a do czynu nie skory, chyba gdy z wielkiej gorącości język szablę poruszył.

Kalimachem teraz posługiwano się do wszystkiego

niemał. Pominąwszy to, że królewiczów wychowanie na barkach miał i niem rozporządzał, jako chciał, w kancelaryi pańskiej wszystkie sprawy rzymskie i zagraniczne związki z monarchami obcymi, przez jego szły ręce.

Poprawiał łacinę w listach, ale i treść dyktował, królowi wmawiając, że potężnym jest, być powinien i żadnemu z monarchów nie ustępuje, więc też i dać im toczuć powinien. Według niego, większej tylko władzy w domu brakło królowi, aby ją i poza granicami dał poznać. Król słuchał tego chętnie, ale nie było zrzeczności, aby z gadaniny coś się narodzić mogło.

Włochowi życie płynęło tak szczęśliwie, że istotnie Polskę mógł nazwać drugą ojczyzną swoją. Wcale też nie myślał ją opuszczać, ani na inną zamieniać.

Następnego roku, kiedy już wszyscy widzieli go tu zupełnie ustalonym, usłyszałem pierwszy raz ust Włocha imię tej pani, u której na Pokuciu przebywał, i uderzyło mnie to, że ją zwał Świętochną, właśnie tak, jak się owa krewna Luchny nazywała.

Opiewał on ją pod imieniem Fanii w pieśniach swoich, bo mu pierwsza gościnność wyświadczyła, gdy się tu z Węgier dostał ubożuchnym, i pokochała go.

Teraz jednak, po upływie lat kilku, śmiejąc się, powiedział, że choć wdzięczność dla niej zachował, innego uczucia trudnoby mu już z piersi dobyć i zmarłą dla niej miłość odżywić. Ze zwykłą sobie dosyć bezwzględną otwartością prawil o tem przed przyjaciółmi, nie zważając na przytomność moją.

— Zważcie moi mili—dodał,—w jakim położeniu będę, gdy owa Świętochna, jak zapowiada, gotuje się przybyć dla nawiedzenia mnie w Krakowie. *Tempora mutantur!* Niewiasta postarzała... jam ostygl, lecz słuszną, abym za gościnność się wypłacił... i dziś, do portu dopłynąwszy, wywdzięczył za przytułek rozbitekowi dany.

Jeszcze nie przypuszczał, aby te dwie Świętochny jedną być miały, gdy wkrótce potem przybywszy do matki, od Śliziaka się dowiedziałem, iż gościa ma teraz jej nie-milego, przybyłą daleką powinowatą, Świętochnę, któ-

ra się niegdyś posługiwała, ale jej dla płochości obyczajów znieść nie może.

Nie wiedziałem sam, czy mam się wstrzymać od ukazania u matki, pozostawiając ją samą ze Świętochną, czy iść tam, aby niemiłe obcowanie z nią sam na sam skrócić, gdy mi służebna Nawojowej przyszła oznajmić, ażebym szedł do pani.

Nigdy Świątochny nie lubił dla jej malowanej twarzy, odmładzania się, gadatliwości i fałszu; pamiętałem jej to, że się ofiarowała ściągnąć mnie w zasadzkę, a i Luchny wstręt do niej do mojego się przyczyniał. Szedłem jednak, gotów zawsze rozkaz matki spełnić.

Zastalem Świątochnę przerażająco zestarzałą, ale jeszcze straszniej, niż ongi, wymalowaną, strojną śmiesznie, z włosami po młodemu utrefionemi, a głosem, wielką wesołość zdradzającym.

Siedziała naprzeciwko Nawojowej, która w swej sukni zakonnej, z różańcem w ręku, chmurna, słuchać się zdawała jej szczebiotania z odrazą.

Gdy wchodził, odwróciła się ku mnie uśmiechając Świątochna i poufałym skinieniem głowy pozdrowiła.

— Wszystko się więc, widzę, szczęśliwie skończyło—zawołała;—tylko ta suknia i pokuta niepotrzebna! Pan Bóg już o wszystkim zapomni.

Zmierzywszy mnie od stóp do głów wzrokiem śmiałym, dodała:

— Dęprawdy, wyrósł na przystojnego mężczyznę i pięknie się prezentuje... A cóżes to—rozmiała się—o Luchnie zapomni?

Zarumieniłem się mocno, bo matka wlepiła we mnie oczy.

— Nie zapominałem—rzekłem, kłamać nie chcąc,—ale...

— Co z oczów, to z myśli, powiadają ludzie!—dodała Świątochna.

— Znajdzie on sobie, gdy czas przyjdzie, stosowną parę—przerwała żywo matka.—To moja rzecz, aby mu ją wyszukać i nastęrczyć. Nie chcę, aby się rychło żenił, bom zazdrosna. Przywiązałby się do żony, a o mnie zapomni.

Służba też, w której pozostaje, nie dopuszcza mu się żenić.

Zmilczałem; w tem Świątochna zwróciła się ku mnie.

— Ale! Wszak przy królewiczach byliście, czy jesteście... znacie więc Kalimacha?

Nie wiem, czy mówiąc to, zarumienić się chciała, bo bielidło rumieńca dojrzeć nie pozwalało, ale zrobiła minkę dziewczęcą, które się sroma... Uderzyło mnie to mocno.

— Codzień go widuję i mam szczęście z nim przestawać, a za tłumacza mu służyć—rzekłem.

— A! takich ludzi ziemia nasza nie rodzi!—poczęła z zapalem.—Pod szczęśliwszem niebem przychodzą oni na świat! Jakże go porównać nawet z tymi grubiańskimi mężczyznami naszymi, którzy uczuć, ani obyczajów delikatnych nie znają i we krwi nie mają. Zaprawdę, lepszego nauczyciela król synom wybrać nie mógł—ciągnęła dalej z zapalem.—On sam, jak królewicz, wygląda!

Milcząc, słuchaliśmy tych pochwał. Nie odpowiedziałem też na nie i po chwili dopiero spytałem, skądby go znała.

Zakłopotana się pozornie i chusteczkę, którą na kolanach trzymała, szarpiąc, odezwała się, oczu nie podniósłszy.

— O! to historia długa i ciekawa. Miałam to szczęście, naówczas na Pokuciu przebywając, mieć go u siebie w gościnie. Nieszczęśliwym naówczas był, obcym, ograbionym na Węgrzech. Grozono mu tem podobno, że go chciano wydać papieżowi, który mu stał na gardło; schronił się więc pod skrzydła pana naszego. Wziął go potem ks. arcybiskup odemnie, ale teraz przecie ludzie się na nim poznali. Nieprawdaż? król go podobno kanclerzem uczynić ma?

— Nie sędzę—odpowiedziałem chłodno,—gdyż obcy tego urzędu piastować nie może.

Widząc znużenie wielkie na twarzy matki, nie odpowiadałem już, rozmowy nie chcąc przeciągać. Świątochna też zdawała się zabierać do odejścia. Zwróciła się tylko do mnie z zapytaniem, gdzie Kalimach mieszkał, czy z królewiczami razem i kiedy doma bywał.

Odpowiedziałem dwuznacznie, że w domu go zastac

zawsze było trudno, gdyż więcej na zamku przy królu przesiadywał, a gdy powracał, naówczas mnóstwo już ludzi na niego czekało i zawsze tłum go otaczał...

Skrzywiła się na to... Skończyły się przecież odwiedzi-ny oznajmieniem, iż Świętochna dwór sobie nając tu chcia-ła i czas jakiś pozostać w Krakowie. Domyślać mi się by-ło łatwo, iż to czyniła dla Kalimacha, który gościowi pewno nie bardzo rad być musiał.

Wiedzieli już wszyscy o nowych jego w mieście miłost-kach, bo bez tych żyć nie mógł, utrzymując, że pocie nie-wiasta tylko mogła dać natchnienie.

Wieczorem musiałem z polecenia króla iść do Włocha, znalazłem go z przyjacielem Bonfilim, ale zachmurzonym i smutnym.

Nie spostrzegł mnie, gdym wchodził, a zobaczywszy po-tem, nie zważając, kończył pocztę zwierzenie się przyja-cielowi.

— Do kata! babę tu lichu mi przyniosło! Zestarzała okropnie i śmieszną się stała, chcąc dziewczeczkę skromną udawać. Naturalnie miłość jej wzrosła o tyle, o ile moja ostygła. Nie mogę się jej pozbyć, a życie mi zatruje!

Zacytował ostry wiersz Juwenalisa, dołożył drugi Horacego i dopiero się zwrócił do mnie. I jakby sobie coś przypomniął, zagadnął:

— *Ni fallor*, ona mi o was wspominała? Znacie więc panią Świętochnę?

— Więcej ona mnie, niż ja ją—rzekłem zimno.—Nie-gdyś widywałem ją tu w Krakowie.

— Prawda to?—Głosi się powinowatą Tęczyńskich?—pytał.

— I być nią musi—odparłem—ale u nas, co szlachtą jest, wszystko z sobą powiązane!

Na tem się skończyła rozmowa.

Przybycie Świętochny do Krakowa miało większy wpływ na losy Kalimacha, niż on i ktokolwiek mógł był przewidywać.

Widziałem go następnych dni zafrasowanym i cią-gle posłów Świętochny odpowiadającym pod pozorami róż-nemi z tem, iż się stawić nie mógł. Skończyło się pono tra-

gicznie, bo Świętochna dowiedziała się o tej, która jej serce Włocha odebrała.

Jak się z nim rozprawili, nie wiem, musiało przyjść do srogiego starcia, gdyż od matki dowiedziałem się, że Świętochna Kalimachowi wojnę wypowiedziała.

Zastałem ją potem u Nawojowej rozdąsaną. Zoba-czywszy mnie, odezwała się z przekąsem:

— Cóż tam na dworze słychać? Mówią, że Kalimach się żeni? Winszuję tej, co go sobie weźmie. Szatani są ci kuglarze, Włosi; niczem u nich uwieść i oszukać niewiastę, ułożyć się, przypochlebić, omamić. Toż samo czeka i króla naszego, którego on zdradzi. Słyną z tego Włosi, iż chy-trzy są... a kłamcy bezczelni!

Nie mogłem się wstrzymać, aby jej nie przypomnieć, że niedawno Kalimacha pod niebiosa wynosiła. Rozgnie-wała się na mnie za to wspomnienie nic w porę.

— Nie umieliście się poznać na tem—rzekła—jakem to mówiła! Zły człowiek jest, zły; zawszem to twierdziła, lecz nie damy mu długo tu gościć na zgubę królestwa nasze-go, które radami swemi chce podkować. Poznali się tu już na nim ludzie i gotują dla niego niespodziankę. Nie ujdzie stąd cało! Ani go król mocą swą zasłonić potrafi!

Z wielką gwałtownością wyrzekłszy to, zamilkła na-gle, zapędziwszy się zadaleko.

— Nie wiem—odezwałem się,—co komu przewinił, żeby go prześladować i mścić się na nim miano. Przestaje tylko z królem, z kilku uczonymi a z panem z Rytwan; ma przyjaciół wielu, o przeciwnikach nie słychać.

— Slepym jesteś młokosem—zawołała gwałtownie nie umiając się już powstrzymać.—Wszyscy wiedzą, ja-kie on królowi rady daje, że na panów i rycerstwo a ich przywileje godzi; a włoskie tu rządy chce zaprowadzić; ale niedoczekanie jego! pójdzie precz ze wstydem, tak go-ly, jak przyszedł!

Rozśmiałem się, umyślnie jej się sprzeciwiając.

— Król nie dopuści do tego—rzekłem.

— Zobaczycie!—przerwała—zobaczycie. Tyranów my takich u siebie nie ścierpimy, jak Włosi.

To mówiąc, wstała i pożegnawszy się, prędko wyszła.

Nie próżnem to było, co mówiła, bo wistocie niechęć ku Kalimachowi, podżegana z wielu stron, rosła.

Gdy ks. Długosz z Pragi napowrót przybył, szedłem do niego w parę dni potem, aby pozdrowić starego mego dobroczyńcę i mistrza. Znalazłem go jeszcze smutniejszym, mocniej zamarszczonym, niż zwykle, stękającym boleśniej.

— Macie więc Włocha?—rzekł do mnie, bez ogródki poczynając.—Człowiek gładki, łacinnik doskonały, niewiastom miły, panom pochlebiać wprawny, a do rady jedyny! Radziście mu? a chłopięta moje? chłopięta moje? Westchnął i ręce załamał.

— Oduczy ich bojaźni Bożej i wstydu, bo obojga sam nie ma — rzekł,—ale gładki, ale przystojny, na izbachi zamkowych pięknie się umie postawić, język wprawny, rozumu siła, tylko...

Nie dokończył i kładąc mi ręce na ramionach, rzekł:

— Wszystkich was już w sieci swe złapał?

— Ojcie, — odpowiedziałem — wielki czarownik jest, tego nikt zaprzeczyć nie może. Umysły chwyta, lecz serca, nie wiem, czy zyskać potrafi!

— Chłopięta moje? Kazimierz?—zapytał.

— Zdala od niego — odparłem, — a i Kalimach zyskać go sobie się nie stara. Broni go pobożność. Gorzej z moim Olbrachtem, bo ten całkiem do niego przystał i u warg jego wisi, słuchając miodowych a złotych słów, któremi go karmi.

— Toż samo będzie z młodszymi — westchnął Długosz. — Takie było snąć przeznaczenie królestwa tego i rodu Jagiełłów, który, choć liczny jest, nie potrwa długo, gdy błogosławieństwa Bożego mieć nie będzie... Mówią, że i króla uwiódł, do zamachu na prawa duchowieństwa i rycerstwa nakłaniając. Tem go zgubi. Chcą-li panować, szanować muszą, co ojcowie ich i oni zaprzysięgli.

Z czułością potem rozpytywać począł o królewiczów.

— W Pradze — rzekł — zatrzymać mnie chcieli. Znalazłbym był tam na starość spokój i chleb i poszanowanie u ludzi, ale tu mnie moja bursa, moje kościółki i probostwa, moje pozaczynane budynki i fundacye, moja kronika i re-

gestra ciągnęły. Serce moje zostało przy akademii, gdy m jechał do Pragi, i za żadne skarby świata nie byłbym tam pozostał. Tu kości moje chcę położyć, a rychło, rychło i mnie spocząć potrzeba... Znużonym się czuję, drży pióro w rękę, myśli się płaczą. Tyle do uczynienia zostało, a czasu tak niewiele... Za życia spuściznę chcę zdać w takie ręce, aby marnie nie zginęła.

Wrócił potem do Kalimacha.

— Olbracht łaciną będzie zdumiewał — rzekł — skorzysta przy takim mistrzu niewątpliwie, ale co z nią razem od niego weźmie — balsam, czy truciznę?

Podniósł ręce spracowane do góry.

— Uczeni są, pięknych słów ludzie, ale z pogańskiego świata ciągną soki, nim żyją i o Chrystusie zapominają. Horacy im miłszy od św. Chryzostoma, Virgillego woła, niż św. Augustyna, Senekę, niż św. Pawła! Chrześcijańscy pisarze złą łaciną dobre myśli wyrażają; oni doskonałą — płochemi nas zaraża.

Splunął Długosz.

— Księgę całą miłosnych wierszy napisał wasz Kalimach, nauczyciel dzieci królewskich, nauczy więc je też przedwcześnie cielesnym żądrom hymny śpiewać i w nich się lubować, *quod Deus avertat!*

Słuchałem, nie śmiejąc wtrącić słowa, gdy ks. Długosz z boleścią jakąś znowu do chłopięt wrócił i boleć nad nimi zaczął.

Nie mając czem innem, pocieszałem go, mówiąc o pobożności Kazimierza, o pokorze i rezygnacyi, z jaką zniósł świeżą próbę, na którą był wystawiony, o dobroci jego anielskiej.

— Nienasycona pycha a żądza panowania! — zamruczał kanonik. — Mają przecież dosyć ziemi, zdobyli bez rozlewu krwi Czechy, jeszcze im Węgier potrzeba, dla których jużemy stracili tego pana, tego bohatera, więcej może godnego chwały, niż oni wszyscy.

— Ojcie mój — ośmieliłem się przerwać dotknięty tem. — Pozwólcie mi, jako wiernemu słudze pana mego, ująć się za nim. Nie tak głośnie jest jego bohaterstwo, ale i on też męczennikiem, jak tamten i od wstąpienia na tron

nie miał może jednej chwili spokojnej i szczęśliwej, nad te, które spędza ze swą rodziną.

Zamilkł ks. Długosz na moment.

— Winien sam, że lepiej mu nie jest—rzekl.—Szuka walki, zrobił sobie nieprzyjaciół, a teraz, gdy mu przybył doradca, co kraju nie zna, i zechce go przerabiać na cudzoziemski sposób, łatwo jeszcze gorzej być może. Sam winien—dodał—niech mu Bóg miłosiernym będzie!

Na tem się skończyła ta rozmowa nasza.

Wprędce potem dowiedziałem się, że Świętochna dwór najęła i pomimo, że z Kalimachem wojnę rozpoczęła zajadłą, z Krakowa się oddalać nie myślała. Knula zemstę, a że potrzebowała być ciągle uwiadamianą o tem, co się z jej niewiernym miłośnikiem działo, rzuciła okiem na mnie i poczęła nasyłać z nieustannemi wezwaniami do siebie.

Kobieta sama była mi wstrętliwą, a to donosicielstwo, którego pom nie wymagała, obrzydłem i nieznosnem. Odpowiedziałem więc bez ogródki, iż nie mam ani czasu na odwiedziny, ani ochoty do nich. Wołałem już, żeby się gniewała na mnie i skarżyła przed matką, która mi tego naganie nie mogła.

Przebiegła niewiasta wzięła się na inny sposób. Spokawszy mnie w ulicy sama, podeszła ku mnie ze zwykłą sobie śmiałością.

— Nie laskaw wasze na mnie?—zawołała szydersko. --Nie chcesz ani zajrzeć do starej Świętochny? Jak wola! jak wola, ale posłuchaj tego, co powiem. Oto nie upłynie dni kilkanaście, a będziesz się dobijał i prosił, abym cię wpuszczała do mnie, a ja ci drzwi zamknę przed nosem, pamiętaj!

Odwróciła się i poszła. Zrozumiałem bardzo dobrze, jaką myśl mieć mogła; zamierzała do siebie sprowadzić Luchnę. Serce mi zabiło. Nie było już rady, aby jejmość przeblagać; zostawić to musiałem czasowi.

Kiedy się to działo, a ja codziennie do matki uczęszczałem, która dotąd trwała w swoim pokutniczym stroju i życiu, zwróciły się niepotrzebnie na nią ludzkie oczy i języki.

Urodzona Gastoldówna, siostra wielkorządcy na Kijowie, w tym czasie właśnie z podziału majątności między rodziną, otrzymała znaczne dobra na Litwie, które brat jej puścił, jako spadek po matce i część należną po ojcu.

Tęczyńscy, dowiedziawszy się o tem, trochę zaniedbaną zaczęli nawiedzać i kłaniać się jej. Mówiono o jej życiu, o przeszłości; w jaki sposób—do mnie to najmniej dojsć mogło, ale śnać rozprawiano wiele.

Czy mnie za syna jej miano, czy za przybraną sierotę—nie wiedziałem i nigdy się jawnie do żadnego powinowactwa nie przyznawał, powiadając się raczej jej slugą.

Musiano i o tych wielkich majątnościach, i o jakiejś przeszłości, a stosunkach rozpowiadać wiele i obudzić tem ciekawość ogólną, gdy nawet Włoch mój jednego wieczora niespodzianie mnie rozpytywać począł o wdowę Nawojową, którą głoszone bezdzietną i panią fortuny księżęcej. Zwracał się z tem do mnie najniezręczniejsz, bo ja właśnie mu najmniej powiedzieć mogłem, zbywając go kilku słowy zinnemi.

Miałem naówczas lat trzydzieści, a matka moja nie więcej nad czterdzieści kilka. Żywot ciężki i bolesciwy zestarzył ją przedwcześnie, uczynił zwiędłą; lecz teraz, gdy odzyskała spokój, zmieniła życie a i samą pokutę uczynił znośniejszą—zdrowie jej powróciło. Widziałem z pociechą wielką, iż rumieniec na twarzy się zjawił, lice się wypełniło i jakby odblask jakiejś młodości je rozjaśnił. Cieszyłem się tak wiele w duszy.

Pokuta nie ustawała dotąd, lecz tak surową i pochłaniającą nie była. Nawojowa mniej unikała świata, więcej się o ludzi, dwór i t. p. rozpytywała.

Nie widziałem w tem nic zdrożnego, gdy w ostatku suknia tercyarska ustąpiła zupełnie, a matka oświadczyła mi, że dziwowskiem dla ludzi być nie chce i tylko w pewne dni na nabożeństwo wdziewać ją myśli.

Gdy z Litwy przybyli z majątności ci, co niemi zarządzali, dzierżawcy i tenutorowie, a z nimi przypłynęły i znaczne sumy pieniędzy, matka się dała namówić Słizakowi, aby i dwór swój, kolebki, woźniki, czeladź, sto-

sownie do stanu dała urządzić. Mnie się o to nie pytano i nie mogłem mieć nic przeciwko temu, co matce miało uczynić przyjemność, jej, co tyle przecierpiała.

Statecznie tylko dotąd odmawiałem, gdy mi nadto świadczyć chciała, czemu na mnie oczy zwracała niepożebnie. Przyjmowałem konia, rzęd, zbroiczkę, drobne podarki, alem nic okazalszego mieć nie chciał.

Gdy zwolna zmiany te u nas w domu pod Złotym Dzwonem zachodziły, Świętochna jak sobie postanowiła, tak uczyniła—sprowadziła tu Luchnę.

Nierychło się o tem dowiedziałem.

— Jaką myśl miała,—czy mnie do siebie pociągnąć, abym jej służył za narzędzie do pomsty nad Kalimachem, czy za zimne przyjęcie nad matką moją chciała się mścić, mnie mimo jej woli upłatawszy... dość, że Luchna przybyła.

Nad wszelki wyraz chytra i przebiegła kobieta w pierwszych dniach po przybyciu mojej Luchny wypuściła ją samą do kościoła, nie wąpiąc, albo raczej przeczuwając to, że my się spotkać musimy i dowiemy o sobie.

Tak się też stało; jest Opatrzność nad tymi, co się uczciwie milują. Nie powiem, jak byłem szczęśliwy, spotykając ją i jaką chwilę spędzaliśmy razem, choć z obawą, aby nas nie spostrzeżono. Luchna, która dobrze знаła swą powinowatą i przed którą ona już się wygadać musiała, przestrzegła mnie, abym ostrożnym był, bo tu znowu przeczuwa zasadzkę.

Tym razem jednak rachuby Świętochny, które miała niewątpliwie, omylone zostały zbiegiem wypadków nieprzewidzianych, dla mnie równie nieszczęśliwych, jak to, co z innej strony czekać mogło.

Wielki rozgłos imienia Kalimachowego, stanowisko, jakie zajmował na dworze, codziennie rosnące znaczenie tego człowieka, obudzało ciekawość wszystkich. Każdy chciał widzieć go, słyszeć, zachwycać się tym czarodziejem. Wyprawiano dla niego uczty, ugaszczano, obsypywano darami, a na te on wcale obojętnym nie był. Znajdował to bardzo naturalnem i niejako obowiązkiem, gdy mu za kilka pochwalnych wierszy łacińskich kilkadziesiąt sztuk

złota przynoszono. Powiadał otwarcie, że za bezcen daje nieśmiertelność, albowiem nie wątpił, że dzieła jego mieć ją będą.

Kalimach był zwierchnikiem moim, bardzo więc łaskawie znalazła się matka moja, dnia jednego oświadczając mi, że chce Włocha dla mnie pozyskać, przyjmując go wspaniałą ucztą w swym domu, na którą dozwoliła mi zaprosić osoby, jakie jemu miłe, a mnie potrzebne być mogły. Piękną bardzo czaszę pozłocistą i misę srebrną przeznaczała, jako dar i pamiątkę dla Kalimacha.

Rzuciłem się jej do nóg, dziękując za tę troskliwość dla mnie, ale starałem się wszelkimi sposoby odwieść ją od tego, a szczególnie od uczty, która spokojne jej życie mogła zamącić. Nie szło o kosztą, bo te nie mogły być dla niej znaczącemi, hojną była i miała czem szafować; lecz wstręt czułem do tego otwarcia domu i ściągnięcia lub potwierdzenia podejrzeń, czem ja byłem dla niej. Powiedziałem to otwarcie.

— Ale ja, dziecko moje—odparła zimno—nie kryję się z tem, co już się utaić nie daje i dozwalam, niech świat mówi, co chce. Dla mnie to dziś obojętne!

Okazała tak stanowczą i nieprzełamaną wolę, że mnie, nawyktemu do spełniania jej rozkazów, sprzeciwiać się nie było podobna. Wystawiałem jej to nadewszystko, że raz otwarte drzwi domu, już się znowu potem zamknąć nie dadzą, że spokoju mieć nie będzie.

— Gdy go zechcę odzyskać—rzekła—bądź pewien, że potrafię. Znasz mnie, iż mam silną wolę; gdy postanowię, pewnym być możesz, iż w domu nikomu panować nie dam nad sobą.

Próżne już były usiłowania moje.

Slizak odebrał rozkazy, co do uczty, którą ja ograniczyłem do niewielkiej liczby Włochów i pana Dersława z Rytwan, szczególnego przyjaciela Kalimachowego.

Musiałem spytać w czyjem imieniu i pod jakim pozorem ja do domu Nawojowej Tęczyńskiej zapraszać miałem. Matka mi na to odpowiedziała.

— Nazwiesz mnie opiekunką swą. Nie trzeba więcej,

ale chcę, abys mi gospodarzem był i wyręczał we wszystkim.

Dodać tu muszę jedno, że już naówczas w Litwie się znajdowali mnodzy, którzy dzieje jej i rodzin litewskich pisać i zbierać zamierzali. Ci słusznie, czy nie, utrzymywali, że pierwsze i najstarsze rodziny litewskie pochodziły od włoskich przybyszów, którzy niegdyś tu wylądowali i osiedli. Wyprowadzano Paców od włoskich Pazzi, a Gastoldów od Castaldich bodaj. Stąd na dworze starego wojewody Włochy bywały i języka tego dzieci uczono potrosze. Nawojowa go wprawdzie zapomniała, ale cośkolwiek jej zostało w pamięci. Kalimacha więc tym językiem mówiącego zrozumieć mogła.

Z dnia na dzień tę niemiłą mi ucztę odkładając, gdy wreszcie nadszedł dzień naznaczony, musiałem prosić Kalimacha i jego towarzyszków, z pokorą wielką, bo dla mnie to wielka cześć być miała takiego gościa mieć w domu mej opiekunki. Dersław z Rytwian, który nieskory był do uczęszczania po domach mniej znanych, dla Kalimacha zaprosiny przyjął.

Wdowa kolebkę swą najprzedniejszą, ze czterema siwemi woźnikami i służbą w barwie nowej, posłała po Experiensa.

Nad spodziewanie moje, Włoch nie tylko, że zaprosiny przyjął nader chętnie, ale się z największem staraniem wystroił na nie po pańsku i humor wiozł z sobą, jaki rzadko widywałem u niego.

Matka moja od czasu, jak strój pokutniczy złożyła, ubierała się bardzo poważnie i skromnie; dnia tego jednak, aby uczcić gościa ujrzałem ją tak wspaniale przybraną, klejnotami okrytą, a tak jeszcze piękną, mimo, że piąty krzyżyk kończyła, iż zobaczywszy ją, zdumiałem się. Wesolość też do stroju przybrać umiała taką, a pański obyczaj, że zdało się oglądać królowę.

Kalimach słodki zawsze, tu chciał się ze szczególną pilnością okazać czarującym. Łatwo mu to przychodziło. On sam prawie mówił, pytał, odpowiadał, zgadywał myśli i obracał tak rozmowę, aby mógł miodem pochlebstwa nakarmić. Posadzony u stołu przy matce mojej, z wielkiem

poszanowaniem nią jedną się zajmował, ją zabawiał, ku niej zwracał. Był bohaterem uczt, ale umiał się za to wywdzięczyć. Wszystko w tym domu znajdował przedziwnem, a chwile tu spędzone, jak powiadał, do najszcześniejszych w życiu zaliczał.

Cieszyłem się tem iż ucztą się powiodła, dar został wdzięcznie przyjęty, matka moja, zamiast znużenia miała rozrywkę, która ją wprawiła w niezwykle wesołe usposobienie.

Dziękowałem jej na klęczkach, lecz przyznaję się, że to zbliżenie do Kalimacha i obowiązek niejako utrzymania z nim ściślejszych stosunków, ciążyły mi nieco.

Oświadczeniom Włocha, który codzień szafował tym chlebem powszednim pochlebstw, nie wierzyłem wiele.

Ten jednak był skutek czaszy i misy a uczt, że ja w oczach Kalimacha podrosłem nieco, a na matkę moją zwrócił szczególną uwagę.

Świętochna tymczasem spiskowała przeciwko niemu. U niej zbierali się po staremu ci, co na zjazdach przyszłych królowi do oczu skakać mieli, a teraz przeciwko Włochowi spiskowali.

Jak się niegdyś na kardynała Zbigniewa husyci odgrazali, że go zamordują, tak Włochowi też grozili niechętni, że go gdzieś przydybawszy, zgładzą ze świata.

Mówiono o tem Kalimachowi, lecz wcale się nie zdawał lękać i postępowania bynajmniej nie zmienić.

Ja z Luchną zaledwie kiedy w kościele lub ulicy mogłem się na chwilę spotkać. Sama ona obawiała się, aby mnie Świętochna nie wpłatała i nie naraziła na gniew matki, która jej drzwi zamknęła.

Powodem tego stał się Kalimach, gdyż matka moja znosić nie chciała potwarzy, jakie nań rzucano, a Świętochna z wściekłością przeciwko niemu powstawała.

Przedłużał się ten stan rzeczy, gdy raz wieczorem do matki przybywszy, zastałem ją niespokojną i rozdrażnioną. Uprowadził mnie o tem Sliziak, iż z Litwy od majętności jej niedobre⁷ wieści przyniesiono, iż się tam działał sprośne nadużycia a grabieże, zamek jeden jej spalono i t. p.

Chodziła po izbie nadąsana zaledwie paru słowami mnie przywitawszy, gdy jakby ją myśl jakaś uderzyła, niespodzianie odezwała się do mnie:

— Jedź ty na miejsce ze Sliziakiem, ład zaprowadzicie. Wołałabym nie mieć majątności, niż je dać łupić bezkarnie.

Zdumiałem się temu postanowieniu; jak gdyby zapomniała o tem, iż zależny byłam, w służbie i oddalić się na czas dłuższy nie miałam prawa, a w rzeczy obawiałbym się nawet oddalenia, aby mnie nie zastąpiono innym i ze dworu nie wypchnięto.

Łaski matki wprowadzie zapewniały mi do czasu życie swobodne, ale na przyszłość—nic. Nie mogła, a kto wie, czyby chciała los mój zabezpieczyć, na siebie przez to zwracając oczy.

Musiałem jej przypomnieć zależność moją.

— Jesteś mi tam potrzebnym—odezwała się—nie mam nikogo, a Włoch przecie potrafi to wyrobić, aby cię na kilka tygodni puszczone.

— I bez Włocha—odpowiedziałem—sam to mogę wyjednać przez Szydłowieckiego, iż mnie uwolnią; ale Olbracht nawykł do swojego slugi, laska pańska niestała; gdy go mieć nie będzie, dobierze sobie innego.

Matce mej nie zdawało się to trafiać do przekonania, nastawała, abym jechał na Litwę, wreszcie poczęła tego wymagać, jako dowodu przywiązania i posłuszeństwa, narzekać na swe osierocenie i wdowieństwo, nastawać na mój obowiązek posłuszenia jej.

Wieczora tego wysłuchawszy tylko nalegań, nic jeszcze nie postanowiłem; rozeszliśmy się, a ja wziąłem rzecz do namysłu.

Wahałem się nawet mówić o tem na dworze. Olbracht właśnie mnie, jako towarzysza i dozorecy potrzebował do łowów jesiennych, które mu dozwolano. I on i młodszy Aleksander mieli już swe psiarnie, konie i myśliwstwo z tym tylko zakazem, aby się na dzikie i drapieżne bestye nie porywali.

Obrachtowi myśliwstwo już dlatego miłym było, że żywego temperamentu, lubiący swawolić i gwarzyć z ludź-

mi prostymi w lesie mógł więcej dokazywać i puścić cugle sobie.

Wtem ku wieczorowi niespodzianie zagadnął mnie Kalimach, na jak długo oddalić się myślę? Stałem oniemiały. Naówczas dodał, iż pani Nawojowa żądała, aby mnie dla posług jej na kilka tygodni odpuszczono, o czem on Kalimach, królowi mówił, a król się zgodził na to.

Rzecz była załatwiona i postanowiona. Wpadł też na mnie zaraz Olbracht, wyrzucając mi, że go opuszczam.

Tłumaczyłem mu się, że tego z dobrej woli nie czynię. Nałajał mi wesoło i skończyło się na tem, żebym jak najrychlej powracał.

Związany byłem i cofnąć się już nie mogłem.

Posłuszny więc, nazajutrz pożegnawszy królewiczów, a szczególnie Olbrachta, zostawszy się z Kalimachem, który mi żartobliwie polecał, abym mu futer pięknych nie zapomniiał przywieźć, udałem się do kamienicy pod złotym dzwonem.

Tu Sliziak już wszystko był do drogi przysposobił. Nie mogłem się uskarżać, gdyż mnie, jak paniątko wyprawiano. Podróż odbywać mieliśmy konno, ale wóz kryty szedł za nami, luźnych koni para dla zmiany, a czeladzi aż dziesiątek miał towarzyszyć.

Chciałem matce odradzić, aby mnie tak kosztownie i gromadnie nie wysyłała, lecz wnet mi usta zamknęła tem, że z jej ręki nie mogę tam się okazać bez pewnej powagi i występu. List pod pieczęcią jej otwierał mi wszędzie wrota i dawał moc rozporządzania ludźmi, pieniędzmi i sprawami, jakieby ukończenia potrzebowały.

Pieniądze znaczne miał sobie powierzone Sliziak.

Nie wiem dlaczego, choćby się podróż taka młodemu uśmiechać była powinna, więcej mi ona trwogi czyniła, niż uciechy. Nie czułem się zdolnym do rozstrzygania spraw, ani dosyć wprawnym do tego, abym umiał wystąpić surowo. Szło głównie o to, abym widział naocześnie spustoszenia, o których donoszono, krnąbrnych dzierzawców i niepocziwych rządców precz porozpędzał i coby się dało odzyskać.

Pożegnanie moje z matką było bardzo czułe. Jam zawczasu prosił, aby pobłażliwą mi była, jeżeli włożonym na mnie obowiązkom nie podołam, żadnego doświadczenia nie mając. Lecz o tem ani słuchać nie chciała.

Oddalając się na czas długi, bo Slizak zapowiadał, że się to kilku tygodniami nie obejdzie, musiałem o sobie dać znać Luchnie, a że innego nie było sposobu, wprost zajechałem z moim pocztem przed dwór Świętochny.

Od owego spotkania w ulicy i groźby wcale jej nie widziałem. Byłaby może pieszo przychodzącego i stukającego do drzwi, wedle obietnicy, precz odpędziła, lecz ją to uderzyło, żem z taką przybywał kalwakatą i dworem.

Udałem dobry humor z musu.

— Miłościwa pani,—odezwałem się od progu—choć wiem, że się gniewacie na mnie, na dłuższy jednak czas opuszczając Kraków, miałem za obowiązek was pożegnać.

— I Luchnę, o której wiesz—dodała złośliwie,—bo o mniebyś nie pamiętał.

— No i Luchnę—rzekłem spokojnie—tembardziej, że mi się jej nawet widzieć nie dostało.

— Czemuż się nie starał o to?

— Kiedyż mi miłość wasza zapowiedziała, że przystępu do domu jej mieć nie będę.

Pokręciła głową.

— Możebym się była zlitowała—rzekła.—Lecz cóż to za podróż! Czy królewicze uciekają gdzie na zamek jaki!

— Ja sam jadę!

— A poczet ten?—spytała, wskazując przez okno w ulicy.

— Dodany mi przez Nawojowę, bo ona mnie stąd wysyła.

Świętochna, posłyszawszy imię matki mojej, zerwała się gniewna.

— Ha! ha!—zakrzyknęła.—Pokutnica, która uczty wydaje dla Włochów! Kalimacha, słyszę, czaszą i misą obdarzyła! Jam mu też niegdyś więcej dała, bo koszulę, gdy jej na grzbiecie nie miał. Brać on umie, ale na tem koniec.

Wtem, podumawszy trochę, dodała:

— Z Nawojową sprawa inna! Dłużej może ją obdzierać i nie tak prędko porzuci. Ciebie wyprawują precz, aby im samym swobodniej było.

Oburzyłem się niezmiernie i krew mi do głowy nabiegła, tak, że z gniewem odpowiedziałem, ażeby matki mej do niego nie przyrównywała... dodając, że to, co czyniła dla Kalimacha, nie w innej myśli było, tylko aby mi go pozyskać.

Świętochna się rozśmiała, a widząc mnie tak zburzonym, aby ułagodzić, zawołała Luchnę. Wiedziała, że tem mnie uspokoi.

Wyszło dziewczę całe zarumienione, które pozdrowiłem, nie zważając na przytomność gospodyni, a razem uwiadomiłem, że zmuszony jestem na dłuższy czas Kraków opuścić. W kilku słowach wytłumaczyłem, iż to nie z własnej woli czynię, ale rozkaz opiekunki mej spełniam.

Świętochna cała w myślach jakichś, niewiele na nas zważała. Udobruchana nagle rozkazała przynieść wina osłodzonego, kubki i owoców a ciasta. Sama przepiła do mnie roztargniona i poczęła wypytывать o Kalimacha.

Odpowiedziałem jej żartobliwie, iż tak jest chwytany a psuty wszędzie, niewiasty za nim, a on za niemi tak goni, że nawet zliczyć niepodobna, ile ich uczyni nieszczęśliwemi.

Pomówiwszy jeszcze z Luchną, która niespokojnie na ten mój wyjazd niespodziany spoglądała, lży mając na oczach a zmuszając się do uśmiechu, pożegnałem narzeczcie gospodynię i w imię Boże smutny wielce, puściłem się w drogę.

Jakem ją odbywał i com począł na miejscu, gdym tam spadł, jak piorun, na ludzi, wcale się nikogo nie spodziewających, opisywać nie będę. Majętności były rozległe, jak państwa oddzielne, w lasach ogromnych, w przestrzeniach bezludnych rozrzucone. Ci, co tu gospodarzyli, niektórzy już od kilku pokolei niemal się za dziedzicznych panów mieli, więc też prawie siłą od nich wymagać było potrzeba posłuszeństwa. Prawdy dochodzić nie było łatwo. Mieli tu swych ludzi, a w niewielu majątnościach ucisk wywołał skargi, za które się pomsty obawiano.

Trzeba było na najdrapieżniejszych przykładu. Musiałem siłą wyrzucać, karać i zmuszać do posłuszeństwa, a sam się mieć na baczności, bo na życie się zasadzono.. i Sliziak czuwać musiał, abyśmy cało i bez sromu wyszli.

Ale jak przepowiadano, tak się stało. Nie starczyły tygodnie te, na które liczyliśmy. Częstokroć w jednym dworze po kilka dni trzeba było siedzieć, nim się dopytało końca. Naostatek, gdy niemal wszystko sprawiwszy, nie wszędzie szczęśliwie, przyszło jeszcze do Wilna jechać dla spraw sądowych, już zima nadchodziła. Raz jednak musiałem je załatwić, mówiąc sobie, że powtórnie dla nich nie będę potrzebował odbywać podróży.

Wilno uśmiechało mi się wspomnieniami, choć zatartemi, dzieciństwa mojego. Zaledwie z konia zsiadłszy, pobiegłem do Gajdysów.

Dworek stał, jakby opustoszały, ledwie mi się dostukał; stary, złamany, przygarbiony przyszedł mi drzwi otworzyć, oczyma krwawemi przypatrując się przybyszowi—do niepoznania zmieniony Gajdys.

Mój Boże! on to był! Żonę i córkę stracił, wnuczątko tylko boso biegło za nim. Głos mój posłyszawszy, z płaczem rzucił mi się na szyję.

Toż samo, większe może ubóstwo zastałem tu, co dawniej, ale dobrowolne! Stary skąpił dla wnuka!

Boleść, praca, całe życie nieustannych trosk na umyśle tak samo przybiło go, jak na ciele. Płakał nieustannie. Opowiadał mi zgon żony, zamęście córki, jej pożycie, chorobę, śmierć, swoje sieroctwo... skarżył się na tę dolę.

— A! dawnobym ja sobie u Boga uprosił, żeby mnie stąd wziął, ale dla tego biedactwa żyć muszę. Póki go nie odchowam, nie mogę umrzeć! nie mogę! A żyć tak ciężko! a każdego dnia, gdy się dźwignąć trzeba, tak lata przyniatają!

Sierotkę trzymał, mówiąc to, na kolanach i obejmował ją zmarszczonemi, spracowanemi rękami, na których stawach wiek powyciskał kościste narości i dziwne piętna.

Musiałem i ja mu mówić o sobie. Wykrzykiwał z podziwienia i radości, a gdy go gościńce od matki i od siebie

oddawał, płakać zaczął i już tych łez zatamować nie mógł.

Miałem zamiar krótko zabawić w Wilnie, gdyż mi bardzo pilno było z powrotem, ale tu nieznajomy, nie rychłom mógł gdzie było potrzeba trafić i pozałatwić sprawy moje.

Wiedzano, że z Krakowa przybywam i na dworze królewskim służyć, osaczano więc pytaniami i narzekaniami zarzucano.

Litwa ta, którą Kazimierzowi, jako ulubienicę, ciągle w Polsce wymawiano, że jej zhytnio folgował, sarkala na dawniej ukochanego. W Wilnie chciano koniecznie mieć osobnego pana, swego Wielkiego księcia, któryby z sobą przyniósł życie do obumarłej stolicy. Narzekano, że król, mając tylu synów, którzy dorastali, dawał ich Czechom i Węgrom, a Litwie nie chciał. Możni się głośno z tem odzywali iż po Kazimierzu nie dopuszczą już, aby stolica wielkoksiażęca opróżnioną została.

Ciągle na ustach miano Witoldowe czasy, Witoldowe rządy, Witoldową moc i potęgę. Skarżyli się, że wszystko teraz Polska im pochłonęła. Mówić nawet z nimi o tem było trudno; potrzęsali głowami i słuchać nie chcieli. Smutek i pogńębienie widać było na licach.

Przybywszy do Wilna, prostośmy zajechali do Gastoldowego dworu pod zamek, bo ten stał pusty, a Sliziak tam był z dawniejszych czasów, jak w domu. Jeden tylko burgrabia i kilku stróżów mieli około niego straż. Oprócz nas, wielu przejeżdżających z Polski, gdy się gdzie pomieścić nie mieli, wpraszała się gospoda do izb, które stały opuszczone. Prawda, że w nich często nawet ław i stołów brakło, ale dach był nad głową i ognisko, około którego ogrzać się było można.

Jeszcze spraw wszystkich nie pokończył, gdy powracając jednego wieczora do dworu na nocleg, zastałem Sliziaka chodzącego po izbie i tak zafrasowanego czegoś, że mnie nawet wchodzącego nie zobaczył. Zły był i jak niedźwiedź pomrukiwał.

— Co ci to stary?—zapytałem.

— Nic, co ma być—odparł;—tylko mi się chce już

powracać do Krakowa. Długo my tu siedzieć będziemy?

Odpowiedziałem mu, że nie wiem. Rzucił się niespokojnie. Widocznie coś mu było, o czym mówić nie chciał i próżno go naciskałem. Powtarzał tylko, że powracać trzeba.

Nazajutrz nie opuściło go to znużenie i niecierpliwość, a pod wieczór urosły jeszcze. Znając go trochę, domyślałem się, że to bez przyczyny nie było, ale i też wiedział, że gdy powiedzieć czego nie chce, zmusić go niepodobna.

Radził mi w końcu, abym do licha sprawy zdał jakiemu juryście, a sam do Krakowa powrócił. Między innymi pobudkami do tego stawiał i długie moje oddalenie od dworu.

Czułem coraz mocniej, że coś innego wprawiło go w tę tęsknotę za Krakowem, lecz z niczem mi się nie wygadał. Gdym nareszcie Gajdysa pożegnawszy, siadł na koń i ruszyliśmy z Wilna, odżył mój Sliziak, ale mi zapowiedział, że ani nas, ani koni oszczędzać nie będzie. W pół drogi w lepszy humor wpadłszy, potrosze mi się wygadywać zaczął.

— Ludzkie języki... niema nic gorszego na świecie nad nie. Nikogo one nie oszczędzą. Plotą koszałki opalki, a człek się darmo gryzie i frasuje.

— Cóż ci takiego napletli w Wilnie?—zapytałem—że nagle tak się do Krakowa zachciało?

— A no, nie pytaj—rzekł—pewny jestem, że to łgarstwo, ale...

Pokreślił głową, umilkł nagle i więcej z niego dobyć nic nie mogłem.

Ułakłem się o zdrowie, a nawet o życie matki, lecz o to mnie uspokoił, chociaż dał do zrozumienia, że plotki istotnie się jej tyczyły.

Trwogi mi napędził niemale, ale musiałem już z nią do Krakowa prawie jechać, bo dopiero u wrót mi się przyznał, iż w Wilnie od dworzanina królewskiego słyszał, jakoby po mieście rozgadywano, że Włoch Kalimach miał się żenić, czy nawet ożenił się z wdową, z Nawojową Tęczyńską.

Oburzyłem się na to i śmiać zacząłem, ale Sliziak pozostał chmurny i zadumany.

W kamienicy pod złotym dzwonem zastaliśmy wszystkich po staremu; matka mnie dosyć czule powitała. Znalazłem ją wesołą, kwitnącą, zdrową i więcej, niż zwykle żywioną. W domu około niej ta tylko zmiana widzieć się dawała, że służba występowała świetniej i wytworniej i życia było więcej. Tęgo wieczora o zmroku przybył Kalimach, na którego, jak się zdawało, oczekiwano z kolacją na sposób włoski. W obejściu się jego z matką, w znalezieniu się ze mną było więcej poufalskości i jakiegoś tonu rozkazującego niż przedtem.

Zaniepokojony tem, co mi Sliziak zwierzył, dostrzegłem wistocie, jakby Włoch tu wcale się nie czuł obcym. Ludziom dawał rozkazy, z moją matką szeptał i rozmawiał na uboczu, a co się tyczy mnie, choć uprzejmym był, ale zdala jakoś trzymał i zdawał się lekceważyć.

Matka moja rumienila się, spoglądała ku mnie, starała okazać obojętną i poważną, lecz zdradzała się co chwila z wielkiem zajęciem gościem swoim.

Nie mogłem ani pytać, co tu zaszło, anim miał prawa czynić matce jakichkolwiek przedstawień. Była panią swojej woli, majątku i losem swym rozporządzać miała prawo.

Dla mnie nazajutrz jawnem było, że czy z własnej woli, czy z porady czyjej, starała się trzymać mnie zdala od siebie i od dawniejszej poufalskości odzwyczaić. Zrobiła mi tę uwagę, iżbym powinien z zamku się teraz nie oddać, abym u królewicza i u króla łaski nie stracił.

Po tej wskazówce, naturalnie, żem dni kilka pod złotym dzwonem nie postał. Dawniej, gdy się to przytrafiło, matka przysyłała dowiadywać się o mnie, powoływała, teraz się wcale nie zdawała troszczyć.

Jakem bolał nad tem, nie chcę mówić. Jedyne skarby mój na ziemi, miłość matki, nierychło zdobytą, nienawistny los mi wydzierał. Była to sprawa tego człowieka, któremu nie chodziło ani o serce, ani o przywiązanie wcale, ale o znaczne majątności, jakimi bezdzietna wdowa rozporządzała. Wiedziałem, że on sam potem z jej łatwowier-

ności naśmiewać się będzie. Nie szło mi o to, co jej wydrzeć mógł, lecz o zawód, jakiego doznać musiała.

Drugiego dnia po powrocie, gdym z królewiczem Olbrachtem przybył do domu Kalimachowego, na pierwszym wstępie uderzyły mnie łupy, które już miał czas z domu pod złotym dzwonem przenieść do siebie. Poznałem opony, któremi Nawojowa się chlubiła, naczynia srebrne, które widywałem u niej, świeczniki, nalewki, szyte obrusy i ręczniki.

Włoch się z temi zdobyczami nie ukrywał wcale, ale chlubił prędko nabytymi dostatkami.

Mnie boleść, jakiej doznawałem i jakiś srom nie dopuszczał już nawet iść na miasto. Lecz z drugiej strony obawiałem się, aby matka z tego nadąsania nie wносиła, iż ja w jej sprawy mieszam się i naganiam to, co czyni. Przez ludzi wiedziałem, iż Kalimach codziennie raz, jeśli nie dwa, u wdowy bywał, tam przesiadywał,—i co więcej, tak się tam czuł u siebie, iż gości spraszał, wydawał uczty, na których Nawojowa nie zawsze bywała, ale kuchnia jej, piwnica i służba.

Ludzkie więc plotki i gadania nie były próżne—niestety.

W mieście jedni twierdzili, że Kalimach się ożenił z wdową, księdza nawet mianując, który ślub dawać jej miał, drudzy przepowiadali, że ją odarłszy porzuci.

Po oponach i srebrach przeszła do wozowni jedna kołębka i cztery najlepsze konie z uprzężą taką, iżby się jej wojewoda nie powstydział.

Przestałem prawie zupełnie chodzić do matki. Niekiedy na chwilę zjawiałem się rano po rozkazy... przyjmowała mnie zimno, zakłopotana, jakby zawstydzona, a że jej przytomność moja przykreść się zdawała czynić, ustępowałem.

Uplynęło dwa tygodnie po powrocie, gdy po mojej niebytności kilkuniedniowej u matki, przyszedł stary Sliziak. Myślałem zrazu, że przysłanym był; odpowiedział mi zbiedzony wielce, że sam z siebie nawiedził mnie i doowiedzieć się przybył. Jak nec siedział chmurny i wzdychał.

Nigdy z nim o matce nie wdawałem się w rozmowy, tembardziej teraz, gdy wstyd mi było i boleść usta zamykała. Z postawy i twarzy starego czytałem, że i on okrutnie był pogiębiony i zburzony.

— Czemu bo — rzekł wkońcu — przestałeś przychodzić? Zdałbyś się może, gdyby na ciebie częściej patrzyła nasza pani.

— Nie żądamy mnie tam — rzekłem.

— Źle się dzieje — wybuchnął stary; — krwawemi łzami płakać chce się.

Wstał, ręce załamując.

— Nie wierzę, ale powiadają, że czasu niebytności naszej korzystał... przekłety Włoch, wdowę oplątał, a może i ślub z nią wziął.

— Dlaczegożby się z tem kryć miała? — zapytałem.

— Boi się może Tęczyńskich, może brata, albo ja wiem! — począł Sliziak. — Mój Boże! Ktoby to był przewidiał, że się tak to sromotnie dla niej skończy.

Łzy ocierał stary.

— Można by wnosić, że chyba wistocie się ożenił z nią — dodał Litwin, — bo dom tak nam plądruje i ogala, tak się w nim samowolnie rządzi, jakby tu panem był. Wiem, ile w skarbcu zostawiliśmy wyjeżdżając, a co dzisiaj jest...

Poruszył ramionami.

Długo tak stary bolał i wyrzekał. Kochał on panią swą, najdziwniejsze jej zachcenia spełniał aż do okrucieństwa, poddawał się fantazjom, ale sromu jej znieść nie mógł, a sromem się mu wydawało zamążpójście za przybłądę człowieka obcego, którego on za prostego chłopca uważał.

— Cóż poradzić! Teraz z nią i mówić o tem nie można!

W całym mieście jeden głos był i powszechne mniemanie, że Włoch wistocie ożenił się z wdową; to przynajmniej pocieszało, bo jakiegokolwiek wyjście za mąż lepsze było, niż życie na wiare.

Kalimach, choć czuł pewnie i widział to, że mi krzywdę wyrządził i srogo dotknął, wcale postępowaniem swym nie starał się wrażenia tego złagodzić. Był nieco ostrzej-

szym dla mnie, a nie widując mnie pod złotym dzwonem, nawet nie raczył spytać, dlaczego teraz tak rzadkim byłem tam gościem.

Im matka zimniejszą się okazywała dla mnie, tem i ja musiałem dalej trzymać się od niej. Dawniej miała zwyczaj obsypywać mnie podarkami, teraz zupełnie one ustaly i przez Sliziaka tylko na święta przysłała małą sumkę pieniędzy, żądając, abym nie dziękował.

Na dole izby, które się nazywały mojemu i gdzie chowałem część moich mizernych sprzętów, wkrótce potem okazały się potrzebne dla zwiększonego dworu. Półgębkiem oświadczył mi Sliziak, iż pani radziła, abym królewicza pilnując, całkiem się wyniósł na zamek.

Była to odprawa. Nie pisałem słowa nawet i tegoż dnia sobie u Szydłowieckiego izbę wyprosiwszy, w zamku przy wieży, choć wilgotna była i wiedziałem, że mi tam pognije wszystko, przeprowadziłem się do niej.

Bóg mi świadkiem! Nigdy się ja wielkich po matce dostatków, mienia i łask nie spodziewał, nie rachowałem na nie, ale serca, jakie mi okazywała, przywiązania, które się zrodziło, dosyć nie mogłem oplakać. Znowu popadłem w sieroctwo i nie darmo imię Orfana mi dano. Jak niespodzianie zabłysło mi światło macierzyńskiej miłości, tak nagle mi je los wydzierał.

Musiałem całe męstwo moje dobyć, aby się nie poddać rozpacz. Gdybyż matka przynajmniej tą ofiarą dziecięcia szczęście sobie kupiła. Ja, co patrzyłem na Kalimacha, jego życie, postępowanie, lekkość, nie mogłem się ludzi ani na chwilę. Można było przewidzieć już, że gdy lupieży dokona, wcale wdowy szanować, ani oszczędzać nie będzie.

Jedyną korzyścią mojego osierocenia terazniejsze- go było, że z musu i tęsknicy znowu się całkiem do Olbrachta przywiązałem... a było zawsze co czynić przy nim, bo go wszyscy razem, dozorca i nauczyciele, zaledwie utrzymać mogli.

Chociaż później Zygmunt nad nim powagą, dojrzałością, rozumem wziął górę, naówczas z synów Kazimierzowych on był rokującym największe nadzieje.

Słabowity i cały pobożności oddany Kazimierz do stanu duchownego więcej wzdychał, niż do świata. Aleksander powolny, tępy, dobry, na umyśle był upośledzonym. Nic też Kalimach z niego sobie zrobić nie obiecywał, na Olbrachcie i na dwu ostatnich pokładając najwięcej na przyszłość.

Ale ani Kalimach, ani Szydłowiecki nie znali tak Olbrachta jak ja, którego się on nie wystrzegał i nie lękał. Chłopak był tak zawczasu ladajakiem obcowaniem ze służbą rozpuszczony, rozbudzony, swawolny a zuchwały, że niepodobna było go upilnować. Dwa czy trzy razy dorwawszy się do wina, tak go nadużył, że z największą biedą potrafił to pokryć, składając na chorobę.

Wybryków podobnych i gorszych było mnóstwo. Tailem, jakim mógł, ale myślał już, co to dalej będzie.

Kalimach zaś na to bujanie młodzieńcze patrzył przez szpary.

Królowi i pod te czasy nie zhywało na kłopotach i troskach, bo z Węgrami układy szły tępo i opornie... i tu się nic zyskać nie dawało. Z Pragi też przychodziły wiadomości, które w obojgu rodzicach trwogę obudzały o los Władysława. Ktoś tam do patrzącego przez okno z łuku strzelił, inny pono truciznę mu gotował. Władysław się na górny zamek do Hradszyna schronić musiał.

Stracił król ulubionego sobie Gruszczyńskiego, którego do stolicy arcybiskupiej gnieźnieńskiej doprowadził— żał był po nim wielki. Duchowieństwo nie wszystkie go lubiło, bo pod suknią kapłańską obyczaj miał i serce rycerskie, a królowi tak oddany był, iż dlań wszystko czynił, czego chciał. Kazimierz też wiele z jego przyczyny cierpiał.

W ciągu tych lat musiałbym się powtarzać, gdybym wszystko spisywać chciał, co się na Węgrzech i w Czechach działo, bo tam wodę warzono bez skutku. Ale król miał swój upór chwalebny, który mu rozpoczętego dzieła rzucać nie dawał.

Pomijam i to, żeśmy się dwakroć Kalimacha pożyli na czas: raz, gdy go w poselstwie do Turcyi wyprawiono; drugi — gdy szlachta na zjeździe w Piotrkowie

tak królowi tym doradcą Włochem dopiekła, że na chwilę go oddalić musiał. Ale o tem niżej jeszcze.

Do spraw węgierskich i czeskich przybyła też pruska, choć zakończona a odnowiona. Pomijam i to, jak powtórę wygorzał Kraków, a napomknę, że na to sławne przyjęcie mistrza krzyżackiego w Malborgu, gdzie król w zdobytym na zakonie głównym grodzie wydziedziczonego pana jego przyjmował prawdziwie po królewsku — patrzałem, u boku Olbrachta się tu znajdując. Miał król przy sobie i starszego Kazimierza, wielki poczet senatorów, dwór wojskowy i świecki wspaniały wielce.

Tu widzieć było potrzeba onych panów krzyżackich gośćmi we własnem gnieździe, gdzie na każdym kroku dawna ich moc, a dzisiejsza słabość się przypominała. Większego zaprawdę upokorzenia może nigdy nie doznał przewrotny ten i zdradziecki zakon, jak naówczas, zmuszony kłaniać się zwycięzcy a panu, którego w duszy nienawidził.

Więc te ich trzy grody, mury ogromne, owe sale olbrzymie, na granitowych słupach oparte, owe gmachy majestatyczne, izby, kaplice, obrazy oglądać w ręku cudzych i w nich wydziedziczonym z pokorą stać, zmuszając się do obojętności a uśmiechu — srogą być musiało kaźnią.

Pomnę, jak tu Kazimierz z Kurowskim zachwyceni wielkim obrazem Matki Boskiej, który Krzyżacy dali wystawić kunsztem nadzwyczajnym, lampami go wieczór oświecili i poszli z czeladzią pieśni śpiewać przed nim w ulicy. Zbiegowisko ludu było wielkie.

Olbracht zaś, więcej po gmachach latając, dokażywał, bo mu ich wielkość i rozmiary bardzo przypadły do smaku, że w nich choćby kilkaset osób naraz ucztować i zabawiać się mogło.

Nie dziw, że potem rok nie upłynął, a Krzyżacy knuli znowu i spiskowali.

Następnego lata jechaliśmy całym dworem do Wilna, z królową, z dwoma starszymi królewiczami i zapusty odprawiali w Trokach, dla łowów.

Na sejm szlachta, nadąsawszy się na króla i za Kalimacha, i za to, że Rytwiańskiemu Janowi, którego

Włoch popierał, dano było razem marszałkostwo i kasztelania — zbierać się nie chciała. Nie po raz pierwszy przychodziło ją to cierpliwością, to różnemi wpływami uchadzać, więc się roku następnego ułożyło po myśli pańskiej i w Piotrkowie podatek wiardunkowy uchwalono.

Gdyśmy na Litwie byli, ona też dawno zażalona, że własnego pana nie miała, na królu wymódziła zamierzyla koniecznie, aby jej dał jednego z synów.

Byliby się chętnie pobożnym Kazimierzem zaspokoili, ale jemu rządów powierzyć dla słabego zdrowia, ojciec nie mógł, a pominąwszy go, Olbrachtowi dać nie chciał z innych powodów.

Był Olbracht w lecach, o których mówię, dziesiętnastoletni już, krwi gorącej, rozrzućny, samowolny i nierozważny. Puścić go samego Kazimierz nie mógł; obawiał się, bo znał Litwę, że albowy ją ku sobie zniechęcił, lub zbytnią powolnością od Polski oderwał znowu. Mawiał zawsze król i stał przy tem, że oddzielnego pana Litwa mieć nie powinna, a jeden na te dwa kraje starczyć może i musi — inaczej się to powtórzy, co za Witolda i Świdrygielli bywało.

Litwini pozostali wielce markotni z tej odmowy, lecz pocichu mruczeli, iż kiedyś na swem postawią, a W. księcia sobie posadzą na Litwie i wziąć nie pozwolą.

Tę sporą przestrzeń czasu aż do 1480 roku tak przebiegam, jakem ją przeżył, nie doznawszy w ciągu niej nic, na los mój wpłynąć mogącego.

Mogę powiedzieć, że zupełnie utracił matkę, która się ode mnie odsunęła, zapomniała i zatrzeć się starała pamięć tego, co dla mnie dawniej czyniła.

Kalimach był jej mężem czy też przyjacielem, nikt dociec nie mógł, lecz postępował sobie tak, iż go za pierwszego miano. Chociaż płochego życia swego nie zaniechał i zabawiał się gdzieindziej, nie zaniedbywał wdowy, bo ta zawsze pomocną mu być mogła i trzymała wielkie posiadłości, których wydrzeć już nie było sposobu. Stąd Włoch zachowywał dla niej respekt i względy, starając się łask nie stracić.

O mnie w pierwszych latach tego związku niekiedy

sobie matka przypominała, przysyłała czasem podarek mały, ale dawała mi to czuć, że się do mnie przyznawać, ani losem moim zajmować się nie myślała. Powoli tak coraz rzadszą była ta pamięć o mnie, a wkońcu zostałem zupełnie zaniedbanym.

Kalimach, choć względny i uprzejmy, o matce przede mną nigdy ani wspomniał, i zdawało się, że chciał mi to okazać, abym nie marzył o zbliżeniu się do niej. On też, jak mnie Slizak upewniał, oddalenia mojego był przyczyną. Byłby może i ze dworu mnie postarał się dalej kędyś wysadzić, gdyby nie Olbracht, który ani o tem mówić dozwalał. Szanował on, czcił Kalimacha i przywiązany był do niego, ale do mnie nawykły, stawał uparcie w obrobie mej, gdy o oddalenie chodziło, bo kilkakroć próbowa-no tego.

Kalimach, wyrządziwszy mi krzywdę, musiał mnie za nieprzyjaciela swojego uważać i posądzal o to, że mam być godny pomsty. Po sobie sądził, gdyż nigdy, nawet najmocniej dotknięty, nie żywił długo żalu do nikogo.

Mając nieprzyjaciół wielu, mnie ciągle podejrzewał, że im służyć musiałem, chociaż dałem mu dowód, iż do niego nie żywiłem niechęci.

Było to w tym roku, gdy z naprawy Tęczyńskich, bo ci mu przebaczyć nie mogli odzierania Nawojowej i rad, dawanych królowi, uknuto spisek, aby jadącego za Kazimierzem do Piotrkowa napaść w lesie i zabić. Wołano na naradach potajemnych, że lepiej jest, aby jeden mizerny człek zginął, niżby król i królestwo rozzerwane cierpieć miało.

Sam Kalimach, rozповідаjąc lekkomyślnie o mnogich mordach i otruciach we Włoszech, dla panowania i polityki dokonanych, niejako oręż przeciwko sobie dawał.

Nigdy u nas nikt rozmyślnie na życie cudze dla panowania nie godził, dopiero włoski ten obyczaj z jego nierozważnych powieści ludzie nauczyli się znać. Przeciwno niemu go też zwrócili.

Ośmielony tem, iż mu się coraz lepiej działo, że pogrozki przechodziły bez skutku, a w łaski królewskie

rosł, nie wierzył już w to, aby się na niego targnąć wazono.

Mnie, historię moją znając, ludzie za nieprzyjaciela jego poczytywali i nie ukrywano przede mną, że na drodze do Piotrkowa ma być uczynioną zasadzka.

Wiedziałem o tem tak dobrze, że i osoby wyznaczone, i liczbę ludzi i miejsce, gdzie się zacząć miano, mógł wymienić. Tylu miał nieprzyjaciół Włoch przeciwko sobie, że się wszyscy cieszyli tem, iż się go pozbędą.

Natchnął mnie Pan Bóg tą myślą, abym dobrem za złe zapłacił. Szło o to jednak, by ludzi zbłąkanych nie wydać na pomstę, a człowiekowi życie ocalić. Długom ważył, jak postąpić.

Dzień wyjazdu się zbliżał. Gotowano konie, wozy i służbę tak Kalimachową, jak królewską. Ponieważ Kazimierz zawsze na te zjazdy burzliwe z licznymi pocztą zbrojnymi jechał, a po drodze popasy, noclegi utrudnione były, rozdzielano orszak pański na kilka gromadek, które w odstępach dnia jednego po sobie ciągnęły. W drugim oddziale jechał Kalimach z Włochem, sekretarzem królewskim i swoją drużyną.

O miłą od noclegu, drugiego dnia las gesty o zmroku przebywać musiano. Tu spiskowi w hełmach zapuszczonej, z twarzami okrytymi osaczyć mieli kolebkę i Kalimacha porwawszy, życie mu odebrać.

Wszystko było tak dobrze obrachowanem, iż chybić nie mogło, a zabójcy pewni byli, iż ścigać ani się pochwycić nie dadzą.

Na dni parę przed odjazdem, rano, gdy Włoch jeszcze się w pościeli wylegiwał, wiersze składając głośno, bo miał obyczaj taki, że najwięcej leżąc komponował, wszedłem do niego niepowołany. Widywaliśmy się zdaleka, mówili z sobą mało i unikali wzajemnie. Zobaczywszy mnie, że niechętnym był, brew ściągnął, dając mi poznać, że nie w porę przychodzę.

— Przebaczenie mi, mistrzu — odzwałem się do niego po włosku. — Nie bywam natrętnym, wiem, że wam przeszkadzam, ale *periculum in mora*, mówić z wami muszę.

— W waszej sprawie pewnie? — przerwał mi niechętnie.

— Przebaczcie; we własnej waszej a sędzę, że dosyć ważnej, bo o życie chodzi.

Zerwał się naprzód, siadając na łóżku, potem ochłoniawszy zaraz, pogardliwie odparł:

— A! znowu plotki! Grożą mi tu już od tylu lat, że dawnoby mi ziemię gryźć powinien, gdyby tyle mieli odwagi, co złości. Tchórze są, a ja ich się nie boję.

— To nie przeszkadza — rzekłem — abyście nie spróbowali sprawdzić tego, o czem ja was chcę przestrzedz. Falszem-li jest co powiadam, nazwiecie mnie kłamcą; okaże się istotnem, uznacie, że wam dobrze życzył.

To powiedziawszy, wymieniłem mu czas, miejsce, sposób, w jaki napaść miano i siłę, z którą się na niego zasadzono.

— Wyprawcie — rzekłem — kolebkę próżną, jeśli chcecie, a sami jedźcie drogą inną. Przekonacie się, że nie kłamałem.

Zamiast mi dziękować, Włoch gwałtownie napadł na mnie, abym mu imiona sprzysiężonych wymienił. Odparłem, że tego nie uczynię. Zagroził mi królem; powiedziałem, że ani król, ani tortura nawet do zdradzenia ludzi, którzy zbrodni nie popełnili i kajać się mogą, mnie nie zmuszą.

Sprzeczailiśmy się tak dosyć żywo, ucierając przez dobrą chwilę, poczem wyszedłem.

Kalimach nie nalegał więcej na mnie, ale rady mej posłuchał. Wyprawiono kolebkę, w której nie było nikogo, i sprawdzilo się to, com oznajmił. Uczyniono naprędce, co było można, by napastników pochwycić, lecz się to nie powiodło; uszli wszyscy.

W Piotrkowie Kalimach się wcale nie ukazał, bo tu na sejmie królowi głośno posługiwanie się nim wyrzucano. Król zaraz potem do Wenecyi go wyprawił na czas dłuższy, aby się umysły uspokoiły.

Nie zyskałem przeto wdzięczności u nikogo, owszem

popadłem w podejrzenie, że z nieprzyjaciółmi króla miał stosunki.

Włoch, zmuszony oddalić się z Polski, zabiegając temu, aby matka moja dla niego nie zobojętniała i nie przestała go zbogacać, namówił ją do podróży z sobą. Pojechała więc — a Słizak, który jej towarzyszył, opowiadał mi, ile cierpiała od człowieka, obchodzącego się z nią nielitościwie, gdy ona bałwochwalczo przywiązaną była i wszelką wolę jego spełniała.

Wychowanie albo raczej prowadzenie młodych królewiczów przy Kalimachu wcale czem innem było, niż pod naszym Długoszem, który sam był bakalarzem, dozorcą, towarzyszem i opiekunem. Włoch w wielu rzeczach na innych się zdawał, przytem oddał się często; nagle napadała go żarliwość wielka i po całych dniach zabawiał się z panietami, aż znowu tygodniami do nich nie zajrzał. Jednego najwięcej pilnował, to, ażeby sobie miłość ich i zaufanie zaskarbić, i tego dopiął w zupełności. Ale też wiele czynił przeciw wyraźnej woli króla i z tem się tał, a starszym nie tylko pobiażał, ale niemal do swawoli ich podżegał, powiadając, że młodość ma swe prawa i wyszumieć się musi, a wyburzyć, jak młode wino w kadzi.

Pierwszy korzystał z tego Olbracht, a miało to wpływ na całe życie jego, jak zaraz opowiem.

Przed starym ojcem ukrywano wiele, a królowa matka, choć wiedziała, tała i nazbyt surową dla synów być nie chciała. Ja zawsze w łaskach u Olbrachta, przez postępowanie z nim Kalimacha często w najprzykrejsze wprawiany byłem położenie. Co starszy dozwalał, temu ja się sprzeciwić nie mogłem, a czulem w sumieniu mem, że to niedobrem było.

Z pomiędzy wielu domów bogatych mieszczan, do których Kalimach rad uczęszczał, bo go tam szczerze i poczestnie przyjmowano, skarbiąc sobie przez niego opiekę i łaski, przedniejszym był niejako Montelupiego Genuńczyka, kupca, który naprzód z kupią przybywszy do Krakowa, gdy mu się to powiodło, sklep tu

założył z jedwabiami, wstęgami i wyrobami złotniczymi, stale się osiedlił i mieszczaństwo krakowskie otrzymał.

Miał Genuńczyk już przybywając do Polski, majątek znaczny, a ten szczęśliwym handlem nadzwyczaj prędko urosł tak, iż się już stary Montelupi liczył tu do najzamożniejszych. Dom też trzymał taki, że i największych panów mógł w nim przyjmować. Obdzierał ich pewnie na tem, co im sprzedawał, ale gdy ich miał u siebie, niczego nie żałował. Najprzedniejsze wina, łakocie, owoce, ciasta na srebrnych misach podawano lepiej, jak u króla.

Montelupi stary nie miał włoskiej giętkości Kalimacha, wydawał się rubasznym, prawdomównym, prostym człowiekiem, ale tą dobroduszością okrywał niezmierną zręczność i znajomość ludzi. Robił też interesy tak szczęśliwe, że gdzie drudzy tracili, on zyskiwał. Oprócz handlu zdaje się, że Montelupi wiele zarabiał na monecie, lepszą wybierając z kraju, a gorszą wprowadzając ze Śląska i z zagranic, którą w obieg puszczał tak zręcznie, że go na tem ułapić nie było można, sam bowiem jej nie wydawał, ale miał takich, którym to zwierzał.

Trzeba-li było mieniać srebro, dostać złota, prześłać za granicę znaczniejszą sumę, nie narażając się na rozbój, oddawano to Montelupiemu.

Maso Montelupi, w wieku już, otyły, oliwkowej cery, bujnego siwego włosa, jak drut twardego, na ogromnej głowie, oczów jak gałki czarnych, ust odętych, stał na czele domu. Synów miał dwóch: Andreę i Michała. Z tych starszy żonaty z Włoszką Wenecyanką, dzieci miał już małe. A że do nich dozoru potrzebowali i chcieli mieć potomstwo Włochami, służbę mnogą ściągali z Wenecyi i Genui.

Wedle obyczaju włoskiego, służba niemal do rodziny się liczyła i poufale z nią przestawała. Nierzadko można było przy stole i w izbie gościnnej widywać biegające i krzątające się dziewczęta, Włoszki, z których młodzusienska, wyrostek, czerwonowłosa Lena, Wenecyanka, szczególnie z piękności się zalecała.

Mogła mieć naówczas lat czternaście, ale to wia-

doma rzecz, że pod niebem gorętszem ludzie, kobiety szczególnie, pręcej dojrzewają. Dziewczę było tak rozbudzone i pewne siebie, jakby miało lat dwadzieścia.

Nie powiem ja, ażeby mi piękność jej wydawała się taką, jak drugim. Naprzód, co drudzy osobliwem a cudnie znajdowali urodziwem, włosy miedziano-złotego koloru, acz bujne, obfite i lśniące, razily mnie. Wedle naszych pojęć, rude włosy judaszowskie zawsze źle człowieka piętnowały. Do tego trzeba dodać dziwactwo natury, bo brwi i rzęsy miała ciemne, oczy czarne, a pleć śnieżnej, mlecznej, dziwnej białości delikatnej. Co do postaci samej, tej nie zarzucić nie było można, bo choć pewnie chłopianka prosta i nędznej ekstrakcyi, ale nóżki i rączki miała gdyby królowna.

Nie umiała nic, bo nawet czytać, ni pisać nikt jej nie uczył i tyle może, iż modlitw cokolwiek na pamięć ją szczebiotać zmuszono, ale szatan w tej głowie siedział. Niewiastom natura daje częstokroć, co miała Lena, chwytają z powietrza wszystko, łapią z rozmów, uczą się, śpiąc. Jest w tem tajemnica.

Prosta służąca przy dzieciach Montelupich, ta mała Lena, gdy się zaczepiona do rozmowy wnieszała, trzeba ją było słuchać. Nic jej nie było obcem, wiedziała, znała wszystko, a dowcipu miała tyle, że się starzy zdumiewali i słupieli.

Młoda pani Montelupi, sama piękna i lubiąca, aby na nią patrzano, nie rada była Lenie w izbach przy gościach, bo gdy się ona ukazała, zwracano się ku niej, zaczepiano i ona się stawiała heroiną.

Kalimach, jak wszystkie niewiasty bez wyjątku czeił i sławił z kolei, pochlebiał im i przez nie sobie na świetle drogi torował, tak i młodą panią Montelupi wielbił, gdyż stary Montelupi synową tę bardzo kochał.

Spędzał tu Włoch jeśli nie całe wieczory, to długie godziny, a raz na przejażdżkę z Olbrachtem i Aleksandrem się wybrawszy za miasto, w progu znalazłszy starego, który uprzejmie na kubek wina zapraszał, choć nie sam był, wraz z paniętami do kupca wstąpił.

Kupcy to sobie mieli za wielkie szczęście, że królewicze próg ich domu przestąpili... Stary dobył, co miał najlepszego, aby ich ugościć; nakarmił, напоił, obdarzył, bawił... i tak dobrze im tu czas zeszedł, że i przejażdżki trzeba było zaniechać, a na zamek wrócono o zmierzchu — ale o tem wara mówić było.

Znajdowałem się ja przy Olbrachcie, który tu już grając rolę dorosłego mężczyzny, poczynił sobie śmiało, lecz bardzo przystojnie. Mówił wiele i dowcipnie, zabawiał się ze starym i młodszym Montelupim, z jejmością, ale mnie tknęło, jak żelazem w bok, gdy dostrzegł, że posługującej przy stole Leny z oka nie spuszczał. Było to tak uderzającym, że i inni się na tem poznać musieli; nie umiał się ukryć, nie starał nawet utaić.

Dziewczę, które wiedziało, że to królewicz był, gdy się jej oczy spotkały z jego wejrzeniem, poczęło strzelać ku młodzikowi nawzajem.

Nie wiem, co sobie powiedzieli, ale choć jedno do drugiego słowa się nie odzywało, pewien jestem, że od tego pierwszego spotkania zawiązała się miłość między nimi.

Naówczas nikt ani mógł przypuszczać, aby młokos Olbracht miał tak rozgorzeć dla prostej dziewczyny. Płochym był od piętnastego roku życia i na zamku skarży na niego zanoszono ciągle, ale to za dzieciństwo uważano. Wzbraniano mu wstępu do izb fraucymeru królowej, karciała matka, strofował ojciec, a skutek był ten tylko, iż w wybrykach swych stał się skrytszym i ostrożniejszym.

Ja, o ilem tylko zdołał, powstrzymywałem od nich i nieraz byłem na gniew narażony. Dawniej z młodszym szło to łatwiej, teraz, gdy dochodził lat dwudziestu, na kiel brać zaczynał i prosto sobie drwił ze mnie.

Parę razy w nocy musiałem przebranego i wybierającego się z dworzanami na miasto, gwałtem i groźbą zawrócić. Wreszcie to dodać muszę, że gdy go prosił i do serca mu przemówił, często zniżył. Ale krew była nieumoszona, młoda a temperament szalony.

Gdyby Długosz był do końca wychowanie prowadził,

inaczejby go może do karności nałamał — z Kalimachem wszystko było dozwolone, byle publicznego zgorszenia i hałasu nie wywoływało.

Ledwieśmy z miasta na zamek powrócili, gdy Olbracht mnie do siebie zawołać kazał. Chodził po komnacie, śpiewając, włosy długie rękami rozrzucając, śmiejąc się do siebie, postawy różne przybierając, bo jeszcze wino pana Montelupiego w głowie było.

— Jaszku! — zawołał nagle — alboś ty mi wiernym sługą, lub na wieki wrogiem! Przyszła godzina, że się to okaże.

— Jam myślał — rzekłem — że miłość wasza dawno o tem wiesz, gdzie mnie liczyć masz.

Stanął, porywając mnie za ramiona.

— Jaszku, ja oszaleję! — krzyknął — ta dziewczyna!

Zmarszczyłem się.

— Jaka? gdzie? znowu?

— Jakgdybyś ty nie wiedział i nie domyślał się — ciągnął zapalczywie; — ta Włoszka u Montelupich, z płonienistemi włosami a oczami, jak dyamenty czarne!

Chwycił się za pukle swe rozrzucone i targać je począł.

— Jaszku! ratuj! — zakrzyczał.

Spojrzałem na niego surowo, ale razem jakby o miłosierdzie prosząc.

— Wasza miłość wiesz — odparłem — że ile razy chodzi o podwikę, ja nie pomagam a przeszkadzam. I teraz inaczej nie będzie.

Olbrachtowi twarz się ściągnęła i pofałdowała namiętnie, groźnie się postawił.

— To wcale co innego jest, niż bywało — rzekł. — Oczarowała mnie bestya.

— Ależ to dziecko — odparłem — a i miłość wasza jeszcze...

Nie dał mi dokończyć.

— Dziecko, czy nie — zawołał — ja tę dziewczynę pochwycę, ukradnę, porwę, nie wiem, co uczynię, ale ona moją być musi!

Nie było sposobu wpół żartami mówić o tem, począłem surowo, naprzód mu stawiając za przykład brata, Kazimierza, który nawet wejrzenia na niewiasty unikał, a jak dziewczę skromnym był, potem starałem się go ustraszyć gniewem ojca, gdyby się dopuścił jakiego szaleństwa, naostatek wręcz oświadczyłem, że nietylko pomagać nie myślę, ale będę przeszkadzał.

Odpędził mnie precz; wyszedłem już za drzwi, odwołał nazad.

— To szatan, nie dziewczę — zawołał — nie schodzi mi z oczów. Ale cóż to ma za znaczenie? Prosta jakaś służebna.

— Tak — rzekłem mu — i wasza miłość gościnnie przyjęty w domu Montelupich, wywdzięczysz się im, czyniąc przykrość, bałamucąc dziecko, nad którem oni mają opiekę?

Olbracht się zadumał, westchnął.

— Przyznasz — dodał — że wyrostek ten jest tak dziwnej piękności, iż nie służą, ale panią godzien być. Co za oczy! a jak one patrzeć umieją... We mnie gorzało, gdy na mnie spojrzała.

— Jutro miłość wasza ostygniesz — przerwałem — i zapomnisz!

Chciał jeszcze przedłużać rozmowę, alem mu pod pozorem zajęcia się, wymknął.

Tymczasem tegoż wieczora z Kalimachem się zszedłszy, Olbracht się tak utrzymać nie umiał, iż jemu wyznał, jakie piękność dziewczęcia uczyniła na nim wrażenie. Włoch zamiast skarcić go, począł się śmiać, o włoskich pięknościach rozprawiać, rzymskie jeszcze nad weneckie przenosząc, opowiadając o genueńskich, o bolońskich, o florenckich i opisując, czem się odznaczały.

— Weneckie może nie mają takich rysów wspaniałych, jak Toskanki i Rzymianki, ale życia w nich więcej, a tylko blask życia piękność uroczą czyni.

Nie zganiwszy królewiczowi, iż się do Wenecyanki zapalił, nic w tem zdrożnego nie widząc, znajdując to

w młodym rzeczą naturalną, ośmielił Olbrachta, a mnie pohamowanie go utrudnił.

Miałem go na oku — wystrzegał się mnie, lecz czulem i widziałem, że nietylko nie ostygł, ale coraz goręcej się tem zajmował, jak w domu Montelupich zawiązać stosunek.

Nie dościłem tego nigdy, kim się posłużył i jak potrafił się znieść z dziewczyną, ale to pewna, że ona w kilka dni wiedziała o tem, iż się sam królewicz nią zajmował i ona mu głowę zawróciła. Dziewczę było tak nie-doświadczone i głupie, że się tem zaraz przed swą panią pochwaliło i pokazało pierścień z oczkiem, który jej Olbracht posłał.

Zrobił się w domu alarm wielki. Co tu poczynać?

Jejmość naprzód Lenę chciała wyprowadzić do Wenecyi z powrotem; stary Montelupi głową potrząsał.

— Król niemłody — rzekł — wszelkie podobieństwo zatem, że Olbracht dostanie się po nim na tron... Zamiast go sobie pozyskać, — narazić i uczynić nieprzyjacielem — dla jednej dziewczyny... nad tem się trzeba namyśleć.

Wezwano pono do narady Kalimacha, a można było przewidzieć, co z tego wypadnie. Postanowiono ani pomagać, ani przeszkadzać, a patrzeć przez szpary i jakby nie wiedząc o niczem.

Montelupkowa jednak dziewczęciu w sekrecie pogroziła i zapowiedziała, że jej płochości żadnej nie przebaczy.

Kalimach zdaje się wcale nie myślał przeszkadzać. Przedemną już królewicz nie wspominał o Lenie, nie mówił o tem, co przedsiębrał i krył się.

Na czas jakiś przerwało się wszystko tem, że król, ile razy na Litwę jechał na czas dłuższy, zabierał z sobą żonę i starszych synów: Kazimierza, Olbrachta i Aleksandra. Na zjazdach, przy przyjmowaniu posłów, w uroczystościach panięta w szkarłatach, z włosami trefionemi stawały obok króla przy tronie, a ludzie się ich piękności, postawie i twarzom miłym przypatrując, odchwalić nie mogli.

Litwa, ile razy Kazimierz tu przybył, pamiętna tych lat, jakie spędził w Wilnie i nie mogąc odżalować, że jej nie pozostał, trzymała go, prosiła, aby mieszkał, nie puszczając od siebie. Tymczasem z Polski najeżdżano z takimiż prośbami, ciągnąc go do Krakowa, a małopolscy panowie utyskiwali, że taki do nich serca nie miał.

Trudno to rozstrzygać, ale tam, gdzie miłość była większa a władza nieograniczona, pewnie królowi pozostawać było łatwiej, gdy w Krakowie sarkano, przeszkadzano i sprzeciwiano mu się nieustannie.

Królowa może wołała Kraków, ale małżonka nie rada była opuszczać.

Olbracht przy królu w Wilnie, Grodnie, Trokach, zapominał potrosze Wenecjanki, biegał za mieszczankami, i lada młodą twarzyczką, bo płochy był, a gorącej krwi.

A że w tych skrytych wyprawach to się przebiegało, to za dworzanina królewskiego podawał, zuchwałym przytem będąc, spotykały go nieraz takie nie mile zajścia, iż ledwie cało uchodził.

Mnie się z tem wystrzeżał, a dopiero gdy bieda groziła, na ratunek przyzywał.

W tych corocznych podróżach naszych, byłem już pewien, że tę nieszczęsną Włoszkę zabił, ale gdyśmy tylko do Krakowa nawracali, wnet ją miał na ustach.

Dwa lata to trwało... dawał do myślenia ten upór nadzwyczajny.

Inaczej się stało.

Gdyśmy drugiego roku na Wawel zawitali, a mnie wypadło nazajutrz podług domu Montelupich przechodzić, ujrzałem w progu Lenę i ażem stanął, aby się jej przypatrzeć. Zmieniła się mało, tylko rozkwitła ślicznie, wyrosła trochę, z chudości dziecięcej wyszła, a że strojna była zalotnie — oczy rwała ku sobie.

Snać jej na niczem nie zbywało, bo i ubiór i ozdoby stroju aż do przesady miała błyszczące i obfite. Na szyi łańcuszki weneckie, jak nici cieniuchne, na rączkach pierścionki, w uszach kolce, we włosach szpilki i grzebienie. Patrzała tak na ludzi z góry, pewna panowa-

nia nad niemi, oczyma szyderskimi ich mierząc, aż dreszcze przechodziły. Powiedziałem sobie w duchu:

— Daj, Panie Boże, aby jej nie widział!

Wcalem tego świadom nie był, iż królewicz tam już miał swe drogi, ludzi ujętych i schadзки umówione.

Mnie podówczas sieroctwem mojem a nieszczęśliwą dolą matki przygnębionego, co innego zajmowało. Patrzałem się na ten świat, który z młodości mej pamiętałem, tak mi się mieniący w oczach, iżem go nie poznawał.

Owe grono ludzi świętych, pobożnych, natchnionych, które tu Kapistran witał tak gorąco, a jego wpływem zwiększało się i pomnożyło nowymi wybranymi, wymierało i schodziło... Szli jeden po drugim do grobu ci, co żarliwością swą i pobożnością świecili nam i ogrzewali. Władysław Węgrzyn, uczeń Kapistranów, z jego ramienia tu pozostawiony, zmarł w Krakowie przed kilku laty. Z tych, co za Kapistranem poszli, choć świat ich wabił ku sobie, senatorskie dziecię, możny pan Jan z Melstyna, który sukienkę dzieci św. Franciszka przyoblekł, a w zakonie imię Wiktoryana nosił, zgasł też przedwcześnie w Tarnowie. Zmarł tak samo królowi ulubiony wielce Michał Bał, syn Jana z Nowego Tańca, stolnika sandomieckiego, ten, którego Czesi w Pradze na biskupstwo prowadzić chcieli, pożegnał się z tym światem na lat kilka przed zgonem Anioła Ostrowskiego, także w liczbie Kapistrana uczniów zapisanego.

Nie było nas wówczas w Krakowie, gdy mój najdroższy nauczyciel, opiekun i dobroczyńca, błogosławionym za żywota uznany Jan Kanty, w samą wigilię Narodzenia Pańskiego poszedł do niebios po nagrodę za to, co przecierpiał, a uczynił ludziom na ziemi.

Zastałem tylko w kolegium cele puste, uświęcone jego modlitwami i żywotem, w których duch jego jakby mieszkał jeszcze, i stały obrazy, przed którymi zwykł się był modlić. Na drzwiach celi niestarty jeszcze widniał napis, ręką jego położony, jako prawidło obchodzenia się z ludźmi:

Coturbare cave, non est placare suave,
Infamare cave, nam revocare grave.

O wielu cudach jego życia chodziły wieści przed zgonem, chociaż tail się z tem, co czynił, zaprzeczał i wypierał, lecz dopiero, gdy zmarł, cała świętość jego i wszystkie dzieła dobroczynności, miłosierdzia, pokory wyszły na jaw i opromieniły zmarłego. Chlubila się nim akademie, chociaż nie samą uczonością swą słynął, ale sercem, na wzór Chrystusowy urobionem, chlubił Kraków i całe to królestwo, które w nim orędownika nowego w niebiesiech pozyskało.

Bolesnem mi to było nad wyraz wszelki, że ani za trumną jego pójść nie mógł, ani raz jeszcze wyprosić u niego błogosławieństwa.

Naostatek przedwczesnie przyszło mi stracić drugiego opiekuna i dobroczyńcę w ks. Janie Długoszu, zmarłym w roku 1480, gdy nie mając nad lat sześćdziesiąt i pięć, mógł jeszcze sędziwszego dożyć wieku, gdyż był silnie zbudowany, acz suchy i na wszelkie niewygody i prace zahartowany. Twarz miał surowego wyrazu, nos pociągły orli, oczy żywe, głos przyjemny, chociaż jąkał się trochę. Życie jego wstrzemięźliwe i skromne, od wszelkiego zbytku dalekie, zdawało się mu rokować lata sędziwsze, ale praca go zabiła. Zachorzał był wraz po powrocie, z Pragi na kamień, z którego naówczas doktor Jan Stanko szczęśliwie go uleczył. A gdy chorzał, i król i królewicze okazywali mu tę miłość wielką, na którą zasłużył, odwiedzając i czuwając nad nim.

Od tej pory stękał i niedomagał ciągle, ale pracy nie rzucił. Zliczyć, ile odbył podróży, poselstw, pielgrzymek do Jeruzalem, do Rzymu, po różnych krajach przy niewygodach, pośpiechu, troskach, ile przeżył zmian losu, ile przeczytał, umiał i pozostawił po sobie ręką własną napisanego, a mozolnie pozbieranego, nikt podobno nie potrafi.

Był mężem przekonanych żelaznych, surowości wielkiej, pracy niesłychanej... W ostatnich latach przyszło mu, budując swoim kosztem, fundując bursy, stawiać

plebanie, pamiętać o każdej cegle i kamieniu, o każdym wozie i koniu, co je miał przywieźć, o rzemieślnikach, o groszu na nich... A przytem nie schodziły z pulpitu kroniki, nie przebierało się rękopismów i kart, które czytał i spisywał do ostatniej chwili żywota.

Wspaniałym pogrzebem uczcił go król, bo choć była chwila, gdy miał do niego żal i z innymi musiał karać, aby wymódzi posłuszeństwo — szanować umiał charakter niezłomny, pobożność wielką, żywot czysty i przykładowy.

Szli za trumną jego królewicze i ja z nimi, oplakując nieodżałowanego męża. Królewicz Kazimierz szczególnie po nim bolał; był też jemu najulubieńszym. Czekała go infuła i arcybiskupstwo, lecz nie potrzebował ich, aby zostać w pamięci narodu.

Dla mnie też strata to była wielka, bom w nim miał opiekuna niepobłażającego, ale do którego serca i rozumu mogłem się uciec w złej doli.

Odgrażał się Kalimach w początkach, z innymi razem sławiąc zmarłego, iż żywot jego napisze, tak jak dobroczyńcy swojego, Grzegorza z Sanoka — ale słowa pono nie dotrzymał. Zbyt wielka była między nimi różnica charakterów, aby się miłować, a nawet zrozumieć mogli.

Włoch celował pięknością i wytwornością słowa, czego mu nikt nie zaprzeczy, lecz słowo u niego było wszyskiem.

Tak pochwyciwszy notatki Grzegorza, opisał wymownie dzieje tej wyprawy, w której zginął Warneńczyk, a Grzegorz przy nim był naocznym świadkiem, ale tam swojego nic nie dodał, oprócz pięknych słów i mów w usta zmarłym włożonych. Długoszewego zaś żywota sławić nie mógł, cnoty w nim znajdując, których ocenić mu było trudno, bo ich nie miał. Tknąłby też był musiał jednej rzeczy nikomu nie tajnej, z której nieboszczyka ani chwalić, ani mógł nawet uniewinnić, to jest: jawnej jego niechęci do rodu królewskiego, nad który przekładał Piastów. Wziął to uczucie Długosz od pierwszego swojego pana a mistrza Zbigniewa Oleśnickiego,

i do końca żywota zachował. Króla szanował, przebaczyć mu jednak nie mogąc, że z Rzymem wojnę wiodł o biskupstwa i na swoim postawił.

Nie sam też jeden Oleśnicki, nie sami Tęczyńscy, Długosz i garstka mała niespokojnych ludzi ku Piastom jeszcze spoglądała. Okazało się później, po zgonie króla, gdy do wyboru Olbrachtowego przyszło. Lecz o tem mówić nie pora.

Następnych lat już niemal same klęski zapisywały potrzebą.

Jakom rzekł, marli ludzie świątobliwi, w ich mieszkawili się uczeni, wymowni na wzór Kalimachowy, świecką mądrość nad inną przekładający, a obyczajem wyzwalający się z pod prawa chrześcijańskiego.

W cieniach klasztornych skrywała się resztką tych świątobliwych ludzi, która pozostała z wieku przeszłego. W rynkach już na kazania ludzie się nie zbiegali, a i kościoły niezawsze były pełne. Za to po domach życie wesołe wrzało i kipiało, jakby ostatka dni szczęśliwszych używać chciano.

Nadszedł też w parę potem lat z Węgier przyniesiony mór straszliwy, który nawiedził Kraków, tak, że się z niego, co mogło, wynosiło w lasy i pola, a inne ziemie. Od połowy czerwca, oktawy Bożego Ciała, do połowy sierpnia powietrze straszne, śmierć czarna, przeciwko której doktorzy napróżno lekarstw szukali — wyludniła miasto znacznie. Szczęśliwa była doba, gdy nie więcej w parafii P. Maryi w rynku nad pięćdziesiąt osób na cmentarz wywieziono.

Ludzie padali w ulicach rażeni nagle i często, nim ksiądz pośpieszył z wiatykiem, w okropnych boleściach życie kończyli. A do którego domostwa zastukała kostucha, już tam mało kto, albo nikt nie pozostał. Starzy i młodzi kładli się z kolei.

Trwoga okropna opanowała umysły tak, że dzieci rodziców, a rodzice odbiegali dzieci, lecz i wielkich poświeć, a nieustraszonego serca ludzie się znajdowali. Odznaczył się między wszystkimi ów pobożny Michał Gedroń, książętko litewskie, które tu żebrakom i ubó-

stwu służyło, spowiadając, karmiąc, pojąc, opatrując, grzebiąc niezmordowanie we dnie i w nocy. On i kilka odważnych zakonników — jedni w mieście porządek utrzymywali, a złym i rozpasanym nie dopuścili łupieży i gwałtów, śmierć bowiem wszystkim wężły posłuszeństwa i poszanowania targają, i jeden tylko ksiądz jeszcze wrażał jakąś trwogę.

Nie stawało trumien, więc na wozach zrzucone ciała wywożono do wielkich dolów, tam je grzebiąc co rychlej, gdyż doktorowie od zwłok gnijących w skwarne dni lata gorszej jeszcze obawiali się zarazy.

Nie było nas ze dworem w Krakowie, wyjechali i matka moja do Nawojowa, a Kalimach z nami; więc to tylko wiem, co mi za powrotem opowiadali ci, którzy własnymi oczyma na te dnie sądu patrzyli.

Wszystkie bogatsze mieszczaństwo więc i Montelupowie do Wrocławia i na Śląsk zbiegli.

W klasztorach zaś nietylko się nie wyludniło, ale przybyło zewsząd sług bożych, gotowych na śmierć i męczeństwo dla chwały Zbawiciela i oddania mu świadectwa.

W popłochu tym, gdy co żyło, opuszczało miasto, ja na pamięci mając matkę, choć nie chciałem się jej narzucać — pragnąłem ratować. Pobiegłem do Śliziaka potajemnie. Gotowano się do drogi, myślałem, że z powodu Kalimacha, nie wątpiąc, iż żoną jego jest, matka moja za dworem ciągnąć może.

Śliziak, który strasznie postarzał i nogami suwał, a podróże teraz, nie chcąc pani opuścić, odbywał na wozie, bo już konia dosiąść nie mógł, gdym wpadł, do pytując go, co zamysławia, rzekł mi sucho i smutnie:

— Jedziemy.

— Dokąd?

— Do Nawojowa.

Popatrzył na mnie długo.

— Myślicie może, iż za wami pociągniemy?

Głową potrząsnął. Byliśmy sami; stary siadł i ławę mi ukazał, wdychając.

— U nas się też wiele rzeczy odmieniło — rzekł — czy na lepsze, nie wiem. Obrął nas Włoch, jako żywie

chciał, obicia ze ścian i misy ze skarbca pozabierał, dobrze, że kubek do wody zostawił... więc i ostygł znacznie. Jejmość zawsze mu rada, a miłuje go bez miary, ale płacze i oczy wypłakuje, bo widzi, że tam u niego serca niema, a bodaj go nigdy nie było.

— Zapóźno, niestety — rzekłem — poznaliście go, gdy już więzów potargać nie można.

Stary ręką rzucił w powietrzu.

— A któż to wie? — rzekł pocichu. — Nie byliśmy w Krakowie, gdy się to stało, i ślubu nikt nie widział. Gorsze od niego zaślepienie, które dotąd pani naszej widzieć tego nie daje, iż dla jej dóbraków tylko czyhał na nią człek, który się teraz, jak ze służebnicą obchodzi.

Zamilkł na chwilę.

— Płacze teraz — dodał; — czy się może przemyte otworzą!

Nie śmiałem go spytać nawet, czy kiedy o mnie nie wspomniała, lub nie dała znaku jakiego, że jej żal opuszczonego sieroty. Slizak też niechętnie mówił i to tylko, co mu najwięcej na sercu ciążyło. Spokojniejszy o matkę, wyszedłem do zamku, gdzie wozy już stały gotowe, i wyruszyliśmy w tę podróż, z której dopiero zimą mieliśmy powrócić.

Byliśmy za miastem, konno jadąc wszyscy z królewiczami, gdy Olbracht konia swego zatrzymawszy, dał mi znak, i na stronę ze mną odjechał.

— Montelupowie też wyjechać musieli? — zapytał.

Spojrzałem nań zdziwiony.

— Dziewczyny mi żal i niepokój o nią mam taki, że bodaj w mórbym nawrócić, aby ją ocalić. Przecież ją w Krakowie nie porzucę?

Zburzony byłem i smutny tak, że mu wyrzucać zaczął, iż w takiej godzinie o płochych jeszcze myślał rzeczach.

— Płochych! — zawołał, oczyma mnie groźnemi mierząc. — Dla mnie to nie płocha sprawa, bom do niej się

sercem przywiązał całem, a ona do mnie... a gdybym ją utracił miał, życieby mi obmierzło.

Ruszyłem ramionami.

— Ale z wami o tem nie gadać! — dodał gniewnie i obrócił się do młodego Bobrka, na którego skinawszy, poszeptawszy z nim, uspokojony już jechał dalej, śnać dowiedziawszy się, czego żądał.

Tak tedy daleko było zaszło, o czem ja dopiero teraz ze smutkiem się dowiedziałem.

Nie odjął mi Olbracht łask swych, ani serca, ale nie chcąc mu posługiwać do tych pokątnych miłostek, straciłem zaufanie jego, nie zwierzał mi się już z niczem, Bobrka do tego używał i co dawniej wielkie czynił obietnice, teraz dawał mi to czuć, iż się na nowo zasłużył muszę.

Lubił rozmowę ze mną o rzeczach obojętnych, wiedział, że się wygadać może, bo go nie zdradzę, a ulgę mu to czyniło, gdy co miał na sercu, rzucił—lecz coraz dalej stałem od niego. Być może, iż wpływ Kalimacha do tego się przyczyniał, a ten był coraz większy.

Wielekroć to powtarzałem, że król Kazimierz, choć głównemi sprawy zajęty nad miarę, na które pamięcią i rozumem ledwie było w mocy ludzkiej wystarczyć, jednak w najmniejszych drobnostkach świadomym był wszystkiego, co się synów, dworu i osób należących do niego tyczyło.

Na mnie jednak maluczkiego oddawna się nie zdawał zwracać uwagi, i zdziwiłem się, a niemal przeraziłem się tem, gdy w podróży, do Grodna nie dojeżdżając, na noclegu zawołano mnie do niego. Szedłem z bijącym sercem, lękając się, czy mnie niesprawiedliwie nie zaskarżono przed nim o pomoc Olbrachtowi w wybrykach jego, które król surowo karać był zwykł.

Zastałem go siedzącym za stołem z jednym tylko lekarzem swym, który widząc mnie wchodzącego, wysunął się.

Stałem jak winowajca przed nim, ale twarz miał choć smutną, nie gniewną jednak. Podniósł oczy ku mnie.

— Niemało już lat służysz wiernie—rzekł do mnie—

a nigdyś żadnej rzeczy nie żądał odemnie... Patrzałem na was i chwałę tę pocziwść. Myślałem, że los ci inaczey zabezpieczy przyszłość, abyś na stare lata miał kawałek chleba. Słyszę, że inaczey się to obróciło.

Pomilczał trochę.

— Nie masz nic... hę? Olbracht cię słyszę, miłował i miał trzymać przy sobie, ale ten wkrótce nie będzie mógł nikomu nic świadczyć, bo wszystko strwoni... Pamiętałem o tem, abyś był słusznie wynagrodzonym.

To mówiąc, król wziął ze stołu przygotowaną kartę i podał mi ją osłupiałemu ze zdziwienia. Rzuciłem się do nóg, obejmując je z płaczem wdzięcznym, lecz podniósł się zaraz i przerwał mi..

— Dosyć tego, dosyć. Bóg z tobą!

Rękę mi położył na ramieniu.

— Taka jest wola moja, abyś teraz na czas był od służby oswobodzonym i jechał tam objąć, com ci dał. Powracaj rychło. Zostaniesz przy mnie, bo wiernych sług mi potrzeba, a Olbrachtowi i później będziesz mógł posługiwać.

Jakby na dany znak znowu wszedł doktor, za nim kapelan i ks. podkanclerzy, a jam z papierem w ręku, z sercem bijącym z komnaty się wydostał, sam nie wiedząc, co niosę. Cudem mi się to wydawało.

Przy zapalonej pochodni, otoczony ciekawemi, bo się wszyscy cisnęli dowiedzieć, co mnie spotkało, począłem czytać owo królewskie nadanie. Zawierało ono wiekuisty dar ziemi z osadami włościańskimi pod Lidą, Pacewicami, Horszyszkami i Druskawą.

Temu, co nigdy nie miał nic, ani się cokolwiek posiadać spodziewał, było to bogactwem niezmiernem. Anim jednak wiedział, co mam.

Z Litwinów, którzy na dworze byli, żaden nie znał miejscowości i objaśnić mnie nie umiał. Natychmiast musiałem się wybierać na grunt, aby wioski objąć w posiadanie, ale i w tem była trudność niemała.

Żołd mając niewielki, nie było z czego oszczędzać i zapasu zrobić, przeżywało się na dworze często to, co dawano ze skarbu i więcej. Naówczas więc w kieszeni nie

miałem nad parę kop groszy, z którymi się w drogę puścić nie było sposobu.

Poratowałby mnie pewnie przyjaciel Zadora, gdyby z nami był; ale od lat kilku tak się haniebnie roztył, rozpał, że go w podróż nie brano, a na czas niebytności dworu w Krakowie do rodziny wyjeżdżał na wieś spoczywać i tam piwo z grzankami pijąc, jeszcze się tylko więcej rozpał.

Inni towarzysze niewiele też mieli grosza. Przemysliwałem więc, jak radzić sobie, gdy nazajutrz podskarbi wręczył mi od króla zasilek na podróż tak, żem nie ociągając się już mógł wyruszyć.

Po drodze przepytując, dowiedziałem się o przyszłej majątności mojej, iż choć opuszczona, bo dzierżawami była dawana, ale dobry kawał chleba dać mogła. Ziemi i lasu było poddostatkem, woda, stawek, młyn... więc tylko Panu Bogu i łaskawemu panu dziękować.

Teraz, gdy mi przychodzi po latach już wielu mówić o tem, jakim po raz pierwszy wjeżdżał na tę ziemię, którą moją nazwać miałem prawo, zdaje mi się, że nigdy nie potrafię uczucia tego, z jakim na granicy u krzyża ukląknem, opisać i wypowiedzieć. Budziła się jakaś osobliwa miłość, jakaś radość z tego związku pomiędzy tym kątem a mną—niewysłowiona. Zdawało się tu wszystko innem, niż na całym świecie, lepszem i do duszy przemawiającem. Mogę to rzec śmiało, żem był jak pijany i tak szczęśliwy, że zajechawszy do Pacewicz, nie zważałem na to, co mnie tu spotykało i czekało!

Nie powiem już nic o dworze, a raczej starej chałupie, którą dzierżawca tyle tylko, że podpierał, bo mając obok własną majątność, o Pacewicze nie dbał i z nich tylko, co mógł, wyciskał.

Miałem nadanie królewskie, o którym tu już wiedziałem, ale odebrać majątek natychmiast było trudno. Dzierżawca tysiącznemi wykręty bronił się, albo raczej wyrarżować na mnie chciał okup. Składał rachunki, świadczył się ludźmi, popierał zwyczajami, tak, żem musiał, niecierpliw będąc wnijsć do posiadania, dobrze mu się opłacić.

Brałem wprawdzie majątność znaczną, ale spusto-

szoną i bez żadnego inwentarza. Ten, który dzierżawcy zdano, okazano, jako wymarły i zaginiony dla mnie. Sam na gospodarstwie nie mogąc tu pozostać, bo mi król na służbę nie już do Olbrachta, ale do siebie powracać kazał, musiałem szukać człowieka, któremu bym powierzył Pacewicze i grosza na zagospodarowanie.

Wiedzano o tem, że królowi służył i przy nim stał; cokolwiek mi to miaru u ludzi dawało, ale karmiono mnie słowami i pokłonami, ale z mieszkaniem każdy się trzymał ostrożnie.

Raili mi tam zaraz ożenek w sąsiedztwie z dziewczką szlachecką, która miała wiano i rodzinę mogącą się zająć Pacewiczami, ale ja do tego ochoty nie miał, Luchny z pamięci nie mogąc wypuścić—a co bym z żoną miał czynić przy dworze? Służby zaś przy królu moim, dopóki żywota jego, nie mogłem rzucić przez wdzięczność samą.

Przyszło więc naostatek tak radzić sobie, jak od wieków u nas wszyscy—u żyda na lichwę pożyczyć pieniędzy, a ubogiego szlachetkę ugodzić i posadzić na wiosce—Bogu resztę polecając. Grosza na teraz dla siebie nie tylko żadnej nie było nadziei, ale go jeszcze szukać musiałem na zagospodarowanie. Dwór nowy stawić, młyn upadły podnieść, inwentarz skupić było potrzeba. Wszystko to raczej ciężar, niż bogactwo stanowiło, ale człek sobie myślał, iż dach własny ma i schronienie, a ziemię rodzicielską pod stopami, z której go nikt, chyba Tatar, mógł wygnać.

Śpieszyło się jak mogło z tem, a jednak czasu dosyć upłynęło i dopiero w końcu lutego wybrałem się gonić za królem, który już z Wilna jechał do Grodna.

Po drodze doszły mnie smutne wieści, że Kazimierz, owa perła czysta pomiędzy dziećmi pańskimi, najprzedejniejszej wody, coraz słabszy, kaszlący, wątły bez oddechu, w kolebce wiezionym być musiał, a lekarze serce królowej przygotowywali do strasznego ciosu.

Miała Elżbieta dzieci poddostakiem, lecz zawsze to jest najulubieńszem, które tracimy, a wistocie Kazimierz u rodziców i u wszystkich miłoścy taką miał, jak żaden.

Nie było już ratunku, tak choroba wzięła górę.

Przypisywali ją lekarze temu, iż żywot prowadził żadnej krewkości młodzieńczej nieprzystępny, czysty a anielski. Myślano go żenić, ale otwarcie przyznał, iż czystość Bogu ślubował.

Słabowitym tak będąc, gdy noce często całe spędzał na modlitwie pod krzyżem na zimnie, albo w kościele krzyżem leżąc, poszcząc tak surowo, iż po kilka dni często tylko chlebem i wodą się żywił, nic dziwnego, iż w końcu siły zupełnie utracił.

Osobliwszem zaś było, iż nigdy tak anielsko pięknym nie był, jak naówczas. Włoch, Contarini, który przez króla był niegdyś przyjmowany w Trokach, nie mógł się dosyć nachwalić piękności Kazimierza i Olbrachta; ale od tych lat królewicz rosnąc, można powiedzieć, jeszcze cudniejszym się stał na obliczu.

Coś tak słodkiego, anielskiego miał w uśmiechu i wejrzeniu, iż ludzie patrząc nań, na twarze padać chcieli. Zdało się, że nie na tej ziemi zrodzony był, ale na nią zstąpił... i tylko skrzydeł mu brakło, aby aniołem być. I oblicze to wcale nie uwodziło; był bowiem niewysłowionej dobroci, a kto chciał mieć orędownika, lepszego nie znalazł nad niego, dać co sam miał, niewiele tego było, rozdawał tak, że mu sukni często brakło, a grosza zawsze.

On też dla siebie nie potrzebował nic i gdyby się był w najuboższym stanie urodził, nichy mu to nie dolegało.

W tem dobrowolnem ubóstwie bił od niego taki majestat królewski, jakby chodził w złocie i purpurze, których nie cierpiał, bo na podziw pokornym był. Tylko, gdy mu kazano, suknię szkarłatną przywdziewał i tę natychmiast potem zrzucił.

Dworacy często tę pieśń śpiewali, że po ojcu tron mu się należy, na co, uśmiechając się, pogodnie odpowiadał, iż królestwo jego nie jest z tego świata.

Król dla dzieci surowy, a teraz nawet na Władysława czeskiego zagniewany, bo mu nie dosyć posłuszeństwa okazywał, Kazimierza można powiedzieć szanował i nigdy go w tych latach nie strofował nawet.

Nie sprzeciwiano mu się już, gdy wbrew lekarzom,

posty i modlitwami się męczył. Mało było nadziei żywota.

Gdy przybył ostatnich dni lutego do Grodna i zaraz przy królu objął służbę komornika, dowiedziałem się, iż Kazimierz drogą znużony, osłabł bardzo, gorączki dostał i doktor mu spoczywać kazał. Nikt jednak, oprócz niego samego, zgonu tak rychłego nie przeczuwał.

Marcowe pierwsze dni ostre były i zimne, zamczysko w Grodnie, choć niby opatrzone na przyjazd króla, izby miało chłodne, dymne, a piece, w których po całych dniach palono, źle je ogrzewały.

Nie dawano się już królewiczowi nawet do kaplicy wychylić z komory, więc ze swoim Konarskim ołtarz zaraz w niej zbudował, obraz N. Panny, który zawsze z sobą miewał, nad nim zawiesił i po całych dniach modlili się przed nim i śpiewali. A że wielki post był właśnie, więc dni suchych w tygodniu połowa, gdy doktorowie posiłek lepszy zalecali, ale napróżno... Jedzenia, które przynoszono, królewskie psy pono zjadły, a oni żyli chlebem i wodą.

Czwartego marca wreszcie poszedł anioł do nieba, a kto go widział zmarłym w trumnie, nigdy nie zapomni, bo ta piękność, jaką się za życia odznaczał, po zgonie jeszcze stokroć cudniejszą się stała. Zdawał się uśpiony uśmiechać błogo.

Żalu po nim opisać trudno. Nawet Olbracht, który do płaczu wcale skłonnym nie był, a z bratem tym, choć się kochali, mało obcował, bo ludzie byli zupełnie odmienni, przez dni kilka chodził, jak osowiały.

Olbrachtowi teraz prawo starszeństwa zapowiadało koronę.

Powróciliśmy do Krakowa, gdy mór już był zupełnie ustał, ale po nim jeszcze zostały mnogie ślady. Do niektórych kamienic, w których ludzie wymarli, nie śmieli się jeszcze wnosić nowi mieszkańcy, choć je na nowo poświęcono i oczyszczono. Brakło wielu znajomych, wspomnienie strasznych dni było na wszystkich ustach i w pamięci. Mnóstwo chodziło w żałobie.

Z duchowieństwa zabrakło Szymona z Lipnicy, świę-

tośliwego męża, którego ciało pochowano na Stradomiu. Kraków też wogóle posmutniał i życie w nim jakby się wstrzymało, gdyż kupcy przerażeni wieścią o morowem powietrzu, jeszcze się tu przybywać ociągali. Mniejsi tylko przekupnie ważyli się potrosze.

Gdyśmy się tu znaleźli znowu, a już z inną powagą witałem dawnych znajomych jako *possesionatus*, czego mi winszowano i Kalimach też z pewnym przekąsem przywitał mnie, dziwiąc się, iż służby nie porzuciłem.

— Owszem, gorliwiej jeszcze teraz panu memu łaskę zawdzięczać muszę—rzekłem.—Żal mi tylko, że opuszczam królewicza Olbrachta, do którego długimi laty się przywiązałem.

Nic nie rzekł na to.

Nie śmiałem pytać nikogo o matkę moją, ani nawet zajrzeć do domu pod złotym dzwonem. Pragnąłem się dowiedzieć czegoś o niej i obawiałem razem, tak, że parę razy będąc na mieście, pomijałem kamienicę, nie śmiejąc spojrzeć, czy tam kto jest.

Odkładałem od dnia do dnia z obawy, aby się o czemś zlem nie dowiedzieć. Ze sług i przybocznych Kalimachowych, choć mógłby był nimie może który objaśnić, nie chciałem ich badać.

Upłynęło dni kilka.

Teraz już do tego, co się z Olbrachtem działo, mieszać się i niepokić o to nie miałem żadnego powodu. Zaraz po powrocie naszym, na dworze głośnie bęc poczęło, że Włoszkę od Montelupich wzięto, osobno ją osadzono, opatrzone obficie, dwór jej niewieści przydano i królewicz ze swoimi zaufanymi do niej wieczorami uczęszczał.

Pozornie jednak ukrywano to, i Włoszkę pono Kalimach miał w swej zwierchniej opiece. Ale tajemnica na dworze i w mieście trudno aby się utrzymała, tembardziej, gdy się ona tyczy królewskiego syna, który w przyszłości po nim ma królować.

Rozpowiadano więc o Włoszce, o piękności jej i o władzy, jaką nad niestałym i płochym Olbrachtem miała, a przypisywano ją nie tylko niezwykłej piękności, ale równie nadzwyczajnemu dowcipowi i talentom, które

jej w tych latach przybyły. Śpiewała bowiem, grała na cytrze i we włoskim tańcu zachwycającą być miała.

Gdy Olbrachtowi grosza częstokroć brakło, około Włoszki był przepych wielki. Zalecano się przyszłemu panu, obsypując podarunkami kochankę.

Zarazem też niezbyt pochlebne o niej głoszone rzeczy, jako płochą była, zalotną i przewrotną. Mówiono, że z królewicza się z innymi naśmiewała, a nie tała z tem, iż wcale go nie kochała.

Z doświadczenia znając, ile ludzkim językom wiary dawać można, puszczałem to mimo uszów, nie myśląc sprawdzać, gdy marszałek dworu, wezwawszy mnie do siebie, objawił wolę króla, abym starał się bliżej poznać ten stosunek, o którym już go doszła wiadomość.

Nie chciał Kazimierz ani się w to wdawać, ani okazać, że już był zawiadomionym, a niepokoił się o syna. Wolał może, iż jedną miłośnicę miał, niżby płochę, jak dawniej, po mieście ich, z ładajakiem się błakając, wyszukiwał.

Kalimach zaś w rozmowach powtarzał ciągle, iż młodość ma prawa swe i że na wiele jej sprawek przez szpary patrzeć potrzeba.

Zafrasowałem się niemało, polecenie otrzymawszy, które mi dawnego pana mojego nakazywało śledzić, a może oskarżać. Lecz wolę króla spełnić musiałem, zwłaszcza, iż ona z dobrem młodego panięcia się godziła i ono tylko miała na celu.

Nie wiedziałem tylko zrazu, jak to spełnić, czego wymagało po mnie, gdy tegoż dnia, jakby z umysłu Olbracht mnie wieczorem spotkawszy przechodzącego, zawołał do siebie.

— Jużeś się to tak mnie wyrzekł—odezwał się,— że do mnie ani zajrzysz?

— Wiesz wasza miłość, że jakom dla niej serce miał, tak je zachowałem—odparłem,—ale inni zastąpili mnie, potrzebnym nie jestem.

Poklepał mnie po ramieniu, śmiejąc się.

— Radbym ci się pochwalił—rzekł, mrugając oczyma—i moją Lenę pokazał, ale ty, stary dyable, sromać

się będziesz pójść do niej ze mną. Hę? Wieczorem biore jednego Bobrka! Pójdziesz z nami?

— Dlaczegożbym zaproszony gościem nie miał być—odparłem po namyśle;—byle gospodyni mnie za drzwi nie wypawiła.

— Jam ci tam gospodarzem—zawołał królewicz.—Gotuj się wieczorem ze mną, ale wara mi od Włoszki! Zdala się tylko do niej modlić wolno, bom zazdrośny!

Tak się stało, że mnie sam Olbracht do onej Leny wprowadził.

Teraz owego skromnego dziewczęcia ani było poznać w niewieście, po pańsku wystrojonej i takie sobie dającej tony, jakby wistocie panią wielką była zawsze.

Stara kobieta, czy wistocie matka, czy krewna w zwykłym ubiorze prostych wieśniaczek, ale bardzo wytwornym była jej towarzyszką. Znać w niej było chłopiankę, bo nawet językiem takim mówiła złamanym, iż się go uczyć było trzeba, ażeby zrozumieć, choć się włoskim nazywał.

Królewicz jak sam wystawność lubił, tak i tu na nią nie zalaował. Przepych więc był wielki, ale ładu i czystości mało.

Wesołość panowała jakby z nakazu dla ubawienia królewicza. Wybuchła, gdy się ukazał tylko i nie ustała, aż do wyjścia naszego. Zdawała mi się udaną i sztuczną, ale Olbracht rad był jej. Więc i gra i śpiew, i taniec, i szepoty, i śmiechy, i zalotne napaści przy świadkach na przemiany szły po sobie. Wino i łakocie zjawiły się na stole i nie zeszły z niego przez cały czas, gdyśmy gościli.

Bobrek i ja trzymaliśmy się zdala, lecz Lena i nas zaczepiała, a że ze mną po włosku mówić mogła, zwracała się często z dowcipami, które śmiechem i oklaskami płacić było potrzeba.

Od tego czasu, gdym ją widział raz ostatni stojącą we wrotach kamienicy, nie przybyło jej wdzięku, ale śmiałości, zalotności i zrzeczności bardzo wiele.

Młoda jeszcze twarz okazywała znużenie i już ją Lena malowała. Oczy tylko miała może wyrazistsze i pięk-

niejsze, więcej mówiące niż wprzód, choć nie nie mówiły.

Zdawała się bardzo pewną panowania swojego nad Olbrachtem, bo z nim postępowała zuchwale, i sam widziałem tego wieczora, gdy bawiąc się, policzek mu dała. Zczerveniał się okrutnie, lecz my z Bobrkiem udaliśmy, żeśmy tego nie spostrzegli i wnet zgoda nastąpiła znowu.

Miał królewicz na szyi łańcuch pancerzowej roboty bardzo piękny. Nie wiem, czy po raz pierwszy go oglądała, lecz naprzód zaczęła mu się przypatrywać pilno, potem zdjęła z szyi Olbrachtowi, włożyła na swoją, poszła się przejrzeć do zwierciadła i choć królewicz nazad go mieć chciał i wykupić, nie myślała oddać.

Został przy niej. Bobrek mi podszeptął, że tak prawie codzień bywało, iż pana ze wszystkiego odzierała. Pieńędzy też nigdy dosyć nie miała, a ciągle ich będąc żądną, dopominała mu się o nie.

Wszystko to pospolite były sprawy u niewiast takich jak ona i dziwić się nie było czemu, najgorsza zaś, że o płochości wiele rozgadywano i stawiano imiona młodzieży, które u siebie przyjmować miała, gdy się nie spodziwała Olbrachta.

Ten tak był zaślepiony, że choć go przestrzegano, wierzyć temu nie chciał. Pochlebiał sobie, że podniósłszy ją tak wysoko, na wdzięczne serce rachować może.

Wcale niezbudowany a smutny po północy już wyszedłem z królewiczem od niej.

— A cóż? zawołał—ledwie za próg stąpiwszy—nie szatan że ta Włoszka? I gdzie na świecie druga jej podobna? Nie miałem ja dla niej szaleć i rozmiłować się wściekle?

Nie wtórowałem pochwałąm tym, za co królewicz się niemal nadąsał na mnie.

— Wszyscy mi zazdrościcie—rzekł—i dlatego każdy cośby rad jej zarzucić, ale to cud niewiasta. Niewiasty, jak ona, wesole i zalotne, cnotliwsze są niż te, które skromnisie udają. Tak mówi mistrz Kalimach, Experiens—dodał, śmiejąc się,—a on i w sprawach miłosnych experiensem znać się może!

To mówiąc, królewicz na głos począł deklamować wiersz łaciński, który Experiens ułożył na cześć pięknej Leny.

Opowiedziałem nazajutrz marszałkowi, com widział, nie tając tego, że dziewczę płochem się być zdaje.

— Tem lepiej—odparł mi,—może więc Olbracht zrazić się wkońcu, a dobrzeby było, aby zhyt nie przywiązywał się do niej.

Opowiedziałem i historię łańcucha, na co ramionami ruszył.

Nie stawiono żadnych przeszkód królewiczowi, przez szpary na to patrząc.

Zajęty służbą moją komorniczą przy panu, więcej teraz mogłem przypatrzeć się pracowitemu życiu jego.

Ileż to już lat ono, nie ustając, trwało, a pod koniec właśnie sprawy węgierskie i czeskie trudności mnożyły, trosk dodawały.

Kalimach, widząc, jak król z własnej szkatuły musiał ciągle dawać na zaciągi, ile miał z sejnami i ziemianami trudności, nalegał bardzo na uczynienie naprzód w domu zmian takich, aby królowi ułatwiały rząd bez odwoływania się do zjazdów. Lecz król już za starym był, aby tak niebezpieczną sprawę chciał rozpoczynać. Składał to na syna, nie ważąc się do tej walki, gdyż i bez niej miał ich wiele.

Bołała go strata Kazimierza, choć ten pomocą żądną być nie mógł, a więcej pono jeszcze niewdzięczność Władysława czeskiego, który ojcu tron był winien, a mimo dobroci swej, wcale mu się nie dał powodować. Raz już zaproszony na gody, gdy król córkę za mąż wydawał, nie przybył na nie, choć wiadano, że nic mu nie przeszkadzało, krom tylko, iż sam w Pradze pod ten czas z panami biesiady szumne wyprawiał.

Zagniewanym był król wielce o to, a donoszono mu też, że na Węgrzech Władysław miał sobie przychylnych, którzy w zamiarach Kazimierza szkodliwymi być mogli.

Dorastali królewicze, z których odjąwszy dwóch, zmarłego i wyposażonego, pozostawało czterech do ponie-

szczenia. Jednemu z nich należał się tron polski i nikt naówczas ani mógł pomyśleć, aby to było wątpliwem; drugi do stanu duchownego przeznaczony, już sukienkę nawet nosił, choć wcale powołania nie okazywał, a charakterem i temperamentem do Olbrachta był najwięcej podobny.

Z dwóch ostatnich Aleksander powolny, milczący, miły, niewiele obiecywał, ale i nie zdawał się też siłą pragnąć, bo mu pieśni, muzyki i czasu starczyło do szczęścia.

O Zygmuncie naówczas wróżyć nikt nie umiał. Z pozorów i powierzchowności trochę Aleksandra przypominał, ale zdolnościami go o wiele przechodził. Milczał tak jak on, odezawszy się jednak krótko zwięźle, zawsze rozumnego coś powiedział. Kalimach, znawca ludzi, obiecywał po nim wiele. Twarz miał na oko surową, namarszczoną już za młodu, brwi ściągał groźnie, ale dobroci był wielkiej i charakteru szlachetnego.

Młodszy od niego, Fryderyk, dowcipem łatwym, umysłem żywym górował nad nim, lecz niepomierne płochy, bawić się lubiący, niespokojny, w niczem długo wytrwać nie mógł.

Kalimach, który sam powagi nie miał, chyba gdy ona z rachuby się okazała konieczną, Olbrachta i najmłodszego najwięcej lubił, Aleksandra sobie lekko ważył, a nie umiając pozyskać Zygmunta był dla niego obojętniejszym. Całe swe staranie zwracał na to, aby owładnąć Olbrachtem co mu się też udało, bo mu pobił i pochlebiał, a samo poufałe się obejście mistrza z uczniem, już serce jego jednalo.

Nim ostatek lat panowania Kazimierzowego pokrótce opowiem, o sobie też coś rzec muszę.

O matce mojej żadnych zdawna nie mając wiadomości, gdy Kalimach zdawał się, o ilem mógł wnosić, całkiem o niej zapominać, przypuszczałem, iż wkońcu o niewierności i przewrotności człowieka tego przekonaną, musiała pozostać w Nawojowie, zerwawszy z nim, choć go mężem jej mieniono.

Mimo woli mej dowiedziałem się tego czasu, iż dom

pod złotym dzwonem, który sprzedanym sądziłem, stał prawie pusty, a liczył się zawsze własnością wdowy Tęczyńskiej.

Dnia jednego, gdym się najmniej tego spodziewał, nieznany chłopak przyszedł od Sliziaka wezwać mnie, abym do niego przyszedł, gdyż stary, podróż odbywszy, niemocen był. Wyprosiłem się natychmiast u podkomorzego i pobiegłem. Na dole okiennice dawniej zamykane stały otworem i tu mnie posłaniec wprowadził.

Leżał Sliziak na świeżem sianie i przyjął mnie, stękając. Nie śmiałem go o nic pytać, taki strach mnie ogarnął. Lękałem się o matkę.

Kochałem ją zawsze, teraz może, wiedząc, że nieśczęśliwą była więcej, niż dawniej. Żalu nie miałem choć mi zapomnienie przez nią bolesnem było; czułem, że przyczyną jego stał się ten człowiek, który wszystko i wszystkich gotów był poświęcić dla siebie.

Sliziak zestarzały, zgrzybiały, ledwie dyszał; patrzył na mnie i ręką, którą podniósł, trzęsła mu się, nie miał siły dobyć głosu.

Przeczuwałem już złą wieść.

Wtem drzwi boczne otwarły się rzucone silnie i w progu pokazała się moja matka... O Boże! jak strasznie zmieniona, wychudła, zestarzała, z włosami białymi, z twarzą pomarszczoną, wśród której tylko wyplakane oczy jej świeciły. Miała na sobie dawny strój tereziarki-pokutnicy.

Rozpostarła ręce, wyciągając je do mnie i krzyknęła głosem, który przejął mnie do wnętrzości:

— Jaszko!

Znalazłem się naprzód u kolan jej, a potem w długim uścisku. Trzymała mnie tak, płacząc, przy sobie. Sliziak tymczasem zwał się z łoża swego i widząc, jak drżała, siedzenie jej podsunął, na które padła, zachodząc się od łez.

— Możesz ty mieć jeszcze serce dla wyrodnej matki? — poczęła z bólem. — A! ten człowiek, ten człowiek spotwarzał cię, tyś był i jesteś lepszy, niż my wszyscy, a ja... a ja! O mój Boże!

I rozplakała się znowu.

— Ale teraz poznałam go i brzydzę się sobą, żem

się dała uwieść i oszukać. Mój Jaszku! Wszystko naprawione zostanie!

— Wszystko już zostało naprawione i zapomniane, kochana matko — rzekłem — jak skoro łaskę mi swoją przywracasz. Więcej nad nią nie pragnęłam nigdy i nie żądam.

Po tylu latach niewidzenia znalazła mnie zestarzałym. W początku o dolę moją zapytywać nie śmiała. Odezwała się wkońcu:

— Zawsze jeszcze dźwigasz jarzmo służby królewskiej i to jeszcze pod zwierzchnictwem niegodziwego sprawcy nieszczęścia mego?

— Dzięki łasce królewskiej — odezwałem się — nie ciąży mi służba, do której nawykłem. Od królewicza Olbrachta przeszedłem do boku pana naszego i jestem przy nim komornikiem. Król pamiętał nawet o mojej przyszłości — dodałem — bo choć go nie prosiłem o to, obdarzył mnie kawałkiem ziemi pod Lidą. W najgorszym więc razie mam kątek własny i schronienie.

Śluchając tego, matka moja podniosła się nieco i bladą jej twarz oblał na chwilę rumieniec; ale natychmiast pobladała znowu, pochyliła się i zadumała głęboko. Zaczęła potem słabym głosem opowiadać, jak jedynie dla mnie teraz przybyła i widzieć mnie była spragniona.

— Nie rozstaniemy się już więcej — dodała; — król was odpuści dla mnie, sług ma dosyć.

Miałem się odezwać, prosząc jej, aby mi pozwoliła nie opuszczać pana, do którego się przywiązałem, gdy zaturkotało przed domem; wywłókl się Sliziak i powrócił poruszony, bełkocąc, a wskazując na drzwi. Wylękły oznajmywał o przybyciu Kalimacha.

Na samą wzmiankę tego imienia, matka moja porwała się ze zgrozą i z krzykiem zawołała:

— Precz z nim! precz! Niema mnie na świecie dla niego! Powiedz mu, że umarła dla niego, że widzieć, ani znać go nie chcę.

Oczy jej pały gniewem.

— Idź — powtórzyła Sliziakowi — mów mu śmia-

ło, że dom ten zamknięty dla niego na zawsze. Precz z niegodziwym.

Wyrazy te, jak się zdaje, Włoch stojący pode drzwiami, musiał słyszeć, bo gdy Sliziak wyszedł mu oznajmić rozkaz matki, już go nie było. Odjechał nie ukazując się tu więcej.

Znaczną część dnia tego spędziłem, uspokajając matkę i starając się ją przekonać o mojej miłości synowskiej. Nigdy nie okazała się dla mnie tak czułą i serdeczną. Chciała mi nagrodzić wszystko, com wycierpiał.

Znowu więc służbę moją podzielić musiałem pomiędzy starego pana i nieszczęśliwą matkę.

Pokój powracać zaczął do jej duszy razem z pobożnością, której się cała oddała. Jediną jej troską był los mój. Chciała mnie widzieć swobodniejszym, niezależnym, majątnym a naostatek żonatym.

Gdy mnie o to naciskała, musiałem się jej przyznać, że w sercu nosił ową Luchnę, dla miłości której postarzałem beżennym, nie wiedząc nawet, co się z nią teraz działo.

— Czekaliście na siebie za długo — rzekła — i ona też już nie młoda i nie tak piękna, jak była, ale za mąż pono nie wyszła.

— Jeżeli kiedy żenić się mam — odparłem — to tylko z nią; jakkolwiek ją dziś znajde, kochać będę miłością dawną.

Potrząśszy głową, matka nie już nie odpowiedziała mi.

Ponieważ król w Lidzkim nadał mi Pacewicze, a ona miała ziemie swe niezbyt odległe od nich, oznajmiła mi, że daru czynić nie mogąc prawnie, aby go potem nie unieważniono, chciała mi znaczną majątność sprzedać i na to każe sporządzić papiery, oddając mi ją we władanie natychmiast.

Wypraszałem się od tego daru z powodu brata jej, Gastolda i reszty rodziny, lecz słuchać nie chcąc, odpowiedziała mi tylko, iż brat sprzeciwiać się nie będzie, a ona to za zgodą jego, dla spokoju sumienia swego chce uczynić.

Tak tedy los mój długo niepewny i nędzny, nagle

aż nadto mnie obsypywał. W Polsce sierota bezimienny, choćbym ziemię posiadał, nie sobie rokować nie mogłem, bo tu rodów i szczytu badano pilnie, a człek nowy niełatwo był przyjęty między ziemian. Na Litwie zaś, gdzie szlachectwo było rzeczą nową, a stara bojarszczyzna ścigała się z różnych ludzi, pochodzenia nie patrzano, gdy kto ziemię trzymał. Tam więc i mnie o szczyt pytał nikt nie mógł, a z polskiej szlachty ubogiej wielu Litwę do herbów przyjmowało za mało co, lub nawet dla pobratymstwa. Przyjęcie też takie Litwina od horodelskiego połączenia nikogo nie raziło i było w obyczaju. Mogłem więc spodziewać się, że mi teraz mego sieroctwa nikt wyrzucać nie będzie. Weselszem okiem spoglądałem w świat i na życie, od którego chociaż już wiele się spodziewać nie mogłem, wszelkiej nadziei nie straciłem. Czterdzieści z okładem lat miałem naówczas, alem się czuł krzepkim i zdrowym, bo chorób w życiu prawie w późniejszym wieku nie znałem; mówiono też, iż z twarzy na mój wiek nie wyglądałem.

Snuło mi się po głowie, że wkońcu Luchnie podam rękę do ołtarza, kiedyśmy oboje sobie tak długo wiary dochowywali, a matka się szczęściu mojemu sprzeciwiać nie będzie.

Ale któż przyszłość swoją przewidzieć może?

Kalinach, którego odprawiono z domu pod złotym dzwonem tak, jak zasłużył, zgłosił się tam podobno raz jeszcze jeden, czy drugi, próbując dostać się do matki mojej, a pewnym będąc, że ją gładkimi słowy przecedna. To mu się wszakże nie powiodło i wkońcu przekonał się, że źródło, z którego długo czerpał, a zbegacił się nie mało zostało dla niego zamknięte.

Baczny człowiek, który się oglądać musiał na to, ażeby sobie nieprzyjaciół nie przysparzać, zmienił tryb postępowania. Widział mnie w łaskach u króla i u Olbrachta, nie chciał więc narażać na skargi.

Przy pierwszym spotkaniu ze mną sam na sam, tym lekkim tonem wesołym, który umiał tak doskonale przybierać, począł mi winszować pojednania z Nawojową.

— Dawno tego pragnąłem i starałem się ją skłonić — rzekł do mnie — ale tam domownicy wam u niej szkodzili

i zniechęcili ją. Bardzo się cieszę, iż to się tak dobrze skończyło. Była mi Nawojowa czas jakiś bardzo przyjazną i łaskawą, winicem jej wiele, ale i mnie tam teraz przyboczna jej straż nie dopuszcza!

I śmiejąc się, ręką zamachnął.

Nadzwyczaj starał się okazać serdecznym, co ja dosyć zimno przyjąwszy, sprawy bolesnej i wstydlivej nie rozmazywałem.

Król, jak zawsze, kłopotów miał nad miarę, bo może też troszcząc się o los synów i rozszerzenie królestwa swego a ubezpieczenie go, sam ich sobie przysparzał. Targano go na wsze strony.

Wypadało znowu na Litwę ciągnąć, a mnie serce bolało, że się będę musiał od matki oddalić, gdy wieczorem przyhywszy do niej na pożegnanie, zastałem ją czulszą, niż zwykle, com przypisał rozstaniu.

Wzięła mnie za głowę i całując, odezwała się:

— Tobie, sieroto biedna, od kolebki naznaczono z życia tylko znać trud i poświęcenie dla drugich. Nie masz szczęścia, Jaszku!

— Jakto? — przerwałem żywo — albo się to ja skarżyć mogę? Właśnie mi Bóg dał długo czekać na szczęście, ażeby się ono wydało jeszcze większem, bo głodnemu każdy pokarm smakuje.

Matka westchnęła i spojrzała na mnie z politowaniem. Coś zdawała się mieć na ustach, a nie śmiała się odezwać.

— Jutro jedziecie z królem — rzekła; — lepiej, żebys teraz już dowiedział się, że na twoją pocziwą Luchnę rachować nie powinieneś.

A widząc mnie poruszonym wielce, poczęła, siadając przy mnie:

— Przyjmij to spokojnie. Do niej żalu mieć nie powinieneś; czekała na ciebie długo, aż pono zwątpić musiała. Wyszło to biedactwo za mąż, nie po dobrej woli ale przez pocziwe serce swoje. Miała bowiem siostrę którą za mężem była. Zmarło się jej a sierot drobnych zostało troje i mąż, który nie mógł wychowaniu ich podobać. Zabierało się na to, że im musiał dać macochę. Ule-

kła się Luchna, płakała, a wkońcu dla tych dzieci poświęcić się musiała. Trzeba jej i to porachować, że wdowiec człowiek gwałtowny, grubijanin, jak siostrze zatrul życie tak ją też pewnie szczęśliwą nie uczyni.

Słuchałem tego opowiadania matki, zdrętwiawszy niemal, ale mi się potem lez puściło z oczów trochę i tchnąłem lżej. Nie godziło mi się słowa przeciwko kobiecie tej rzec, tylko litować się nad nią.

— Znajdziesz sobie inną — dodała matka — rana się zagoi.

— O tem nie myślę — odezwałem się — przeznaczenie to moje, sieroctwo; poddać mu się muszę. Wola Boża. Lat tyle nosiłem ją w sercu mojem, że i teraz ona w niem pozostanie na zawsze. Znajdę sierotkę taką, jaką sam byłem, chłopaka biednego i za syna go przyjmę. Innej rodziny mi się już nie spodziewać.

Tak rozchwiała się moje ostatnie marzenia szczęścia i to w tej chwili, gdy mogłem Luchnie ofiarować dostatek i dolę lepszą od tej, którą przeżyła.

Gdy ze mną los tak sobie igrał, na dworze naszym wszystko się snuło tą koleją, jaką raz poszło. Kalimach mocno już wrósł, chociaż i nieprzyjaciół mu codzień przybywało. Słyszałem sam, gdy z Włochami o tem poufale rozprawiał, iż z zimną krwią przyszłość przygotował i obmyślał.

— Rycerstwa tego niespokojnego butę i zuchwałość złamać potrzeba koniecznie — mówił. — Po starym królu tego się nie spodziewać. Ogląda się na Węgry, na Prusy, na Tatarów, na Moskwę... na głowie ma siła, a tu trzeba śmiałej i dzielnej dłoni. Do tego ja wychowałem i przygotowałem Olbrachta; wierzy we mnie, przejął się tem, czego uczyłem go! Posłucha-li potem, uczynimy z tego królestwa silne państwo... Gdzie wielu gospodarzy, ladu niema... władza skupiona być musi w jednej ręce. Głów może zuchwałych trochę strącić będzie trzeba, ale potem posłuszni być muszą.

Olbracht sam też, jak gdyby najpewniejszy był, że wybiorą go królem po ojcu, karmił się temi samemi nadziejami.

— Karcić, ścisnąć, szczególnie najmożniejszych, tych, co na czele stali, reszta przypadnie!

Nikomui nie było tajemem, że Tęczyńscy i ich przyjaciele i niemal całe możnowładztwo małopolskie, choć ucichło, nie zmieniło swoich usposobień dla króla i dla dynastji.

Zbigniew arcybiskup, niedarmo Oleśnicki, wierny tradycjom imienia swego, choć królowi staremu dosyć się dał powodować, choć z Kalimachem był bardzo poufale, w sercu nosił Piastów, jak inni i czekał tylko na zgon pański.

To kumanie się z Kalimachem serdeczne wielce osobliwem było, gdyż bodaj obu im się zdawało, że się wzajem oszukiwali, i oba chcieli sobą się posłużyć. Włoch na pozór sprzyjając uczonemu arcybiskupowi, szczerzy z nim i otwarty, przecież mu się nigdy do głębi nie wydał, a Zbigniew także za powiernika go nie miał.

Mnie się zdaje, że to, co później się jawnem okazało, iż Małopolanie Piasta chcieli na tronie posadzić, a Jagiellowych potomków na Czechy, Węgry i Śląsk odprawić, już się dobrze za życia króla starego przygotowywało. Lecz o tem później.

Olbracht nasz, na którego Kalimach tak wiele rachował, tymczasem życie prowadził coraz a coraz rozwięzlejsze. Prawda, że coby czynić miał, nie wiedział, bo król go do niczego nie powoływał, krom, gdy przypadaly wielkie uroczystości, aby stał u jego boku razem z Aleksandrem, a podczas i młodszyimi. Więc szumniej coraz, hałaśliwiej zabawiano się u Leny, a niekiedy u bogatych mieszczan, którzy ją zapraszali do siebie, aby królewicza ściągnąć. A że wiedziano, jak Olbracht długi robił, pieniądze trwonił kochankę tę obsypując darami niektóre dziewczęta miejskie lżejszej myśli zazdrość brała. Nasuwały mu się, nastroczały, a on choć zawsze przepadał za Leną, bo od tej go nie można było oderwać bałamucil się i z innemi.

Króla to dochodziło, milczał długo. Syn już dorosły był, trudno go było karcić, jak dziecko, gdy mu poszanowanie w kraju trzeba było pozyskać.

Kalimach ciągle swoje powtarzał, iż się to wyszumi; jakoż szumiało prawda, ale nie poprzestawało.

Przyszła naówczas wieść z Rusi i Podola o napadzie tatarskim i o strasznem spustoszeniu i jasyrze.

Na to łotrostwo, które bezkarnością było rozzuchwalone, koniecznie potrzeba było iść i to nie z ładajakim pocztem, małą siłą, ale z pogromem takim, aby długo czuły go te rabusie.

Co było ludzi rycerskich, można powiedzieć, prosiło się na tę wycieczkę. Ochotnika nie zbywało, wodzów nie brakło. Wtem, kiedy się tak kotłuje już, kto którądy pociągnie, kto dowództwo otrzyma, ja króla jednego wieczora do snu kładłem i izbę sypialną z obowiązku opatrwałem, aby na noc mu nic nie brakło.

Leżał już w łóżku pan, powychodzili inni; palcem mnie powołał ku sobie milczący. Podbiegłem sądząc, że jak był czasem zwykł zecheć sobie kazać podać krztę wina z wodą, ale mi się z uchem nachylić kazał.

— Czemuście Olbrachtowi nie podszepnęli, aby mi się na tę wyprawę prosił? Ja go ślać nie chcę rozkazem, alebym rad pozwolił. Zdrowiej mu w polu będzie, niż tu w Krakowie, gdzie się płochoci uczy. Rycerską sprawę lubi; czasby ją rozpocząć.

— Miłościwy panie—odpartem pośpiesznie a nie bardzo rozważywszy, co powiem—królewiczby pewnie przagnął wystąpić i okazać się rycerzem, ale go Kalimach więcej dworszczyzną a łaciną bałamuci.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza, oboje potrzebne—rzekł król—a bez rycerstwa i męstwa, nie będzie miał uroku dla ludzi.. serc nie pozyska nigdzie łatwiej, jak w obozie.

I kładnąc się, dodał jeszcze:

— Ale nie z rozkazu; po własnej woli iść powinien. Z tem mnie odprawił.

Chciałem spełnić królewskie zlecenie, z którego dumny byłem, bo dowodziło zaufania, ale jak tu się wziąć do tego miałem. Zrazu mi na myśl głupio przyszło, aby się Kalimachem posłużyć; ale samem zmiarkował, iż gdyby to było

dobrem, królby mnie, maluczkiego do tej sprawy nie potrzebował.

Rano poszedłem do królewicza... Trzeba było w one czasy już widzieć dwór jego i słyszeć, co się tam działo, jaka to tam drużyna się osobiwa ścigała i trwożyć o przyszłość.

Dopuszczał do siebie bez wyboru, kto kogokolwiek bawił, błaznował, przysługiwał się, rozśmieszał i poddawał do nowych zabawek myśli. Więc obok paniczów, wyszarzane kubraki jakichś przybłędów, błaznowie, kuglarze, karły, a od rana do wieczora hałas, brzęk, śmiech, bez żadnego poszanowania dla Olbrachta, który tylko czasem gdy sobie kto zanadto pozwolił, płatnął sam lub za drzwiami wyrzucić kazał.

Rozmowy też były niebudujące. Ten sam pan, który z Kalimachem szedł o lepsze w wytwornej łacinie i rozprawiał o historii Rzymian, iż słuchać go było miło i dziwno, większą część dnia karcił się opowiadaniem takiej gawiedzi, co się gdzie działo po szynkach i ze znanymi mieszczkami, iż człek poważniejszy wszedłszy, rumienić się musiał.

Ale taką miał naturę dwoistą:—rozum wielki, a krew niepocziwą a szaloną.

— Jaszko!—zakrzyczał, i zobaczywszy mnie.—He? To dopiero gość u mnie. A postawcież mu krzesło z poduszką i dajcie kubek.

Uśmiechnąłem się.

— Aleś ty i twoje uszy nie nawykły do tych pustych żartów, jakimi my, młodzież zabawiamy się. Dziewki na placu.

— No, to prawda—przerwałem,—że ja wolę o wszelkiem innem stworzeniu rozprawiać, niż o nich. Nawet o psach i koniach.

— Ale bo chybiłeś powołania—odpart królewicz—za Kapistranem potrzeba było iść i Bernardynem zostać.

— Dziś zapóźno—uśmiechnąłem się,—ale o czem innem myślę.

— A no?—spytał królewicz ciekawie.

— Wszyscy ciągną przeciwko tej dziczy tatarskiej—rzekłem—mnie też bierze ochota. Przyznaję się, gdybym

na miejscu miłości waszej był, korzystałbym z tak pięknej okazji i takżebym ruszył na poganina, na tę szarańczę paskudną.

Młodzież dokoła stojąca, zamilkła, spoglądając po sobie. Olbracht się trochę zadumał.

— Jest tam już wodzów dosyć—odparł.

— Ale gdyby królewicz był, tenby wszystkim rozkazywał—odezwałem się.—Nawetby z nim zaraz mięstwo wstąpiło w szereg.

Wszystkich przytomnych tak zdumiała mowa moja, iż nikt się słowa nie odezwał.

— Cóż to myślisz, że ja rycerskiego serca i ochoty nie mam?—odparł po chwili królewicz posępnie. Juścibym poszedł i wolałbym może w polu, niż tu siedzieć, i jednych bajek ciągle słuchać, ale ty przecie wiesz, że my swojej woli nie mamy, choć podorastaliśmy. Co ojciec każe, to spełniamy, a samym nam chcieć nic nie wolno.

I po namyśle dołożył ciszej:

— Patrzajże, iż król dotąd jeszcze Władysławowi czeskiemu radby rozkazywać, co dopiero nam! Gniewa się na niego, że go, jak wyrostek nie słucha.

— Prawdę to jest — rzekłem, spoglądając dokoła, bo płocha gawiedź, tą rozmową rozpędzona, rozchodziła się po kątach i zostawiła nas tak, jak samych—ależ mnie się zdaje, że gdyby syn ojca poprosił na wojnę, pewnieby nie odmówił, a może się i ucieszył.

Wtem głupia piosenka, nucona półgłosem, zabrzmiała z kąta, Olbracht ją posłyszał, podchwycił i jakby zapominał o czem mówiliśmy, krzyknął:

— To ta czarnobrewa Kinga śpiewa ją... a jak śpiewa... dziewczka jak róża rozkwitła... który z was u niej w laskach?

Wrzawa powróciła, a mnie aż się smutno i wstyd zrobiło. Spuściłem oczy. Gawiedź znowu nas otaczać poczęła, nie mówiłem nic, ale nie odchodził.

Olbracht, jakby zupełnie zapominał o czem mówiliśmy, żartował i żarty wywoływał. Bawiło go to, ale na czołe mars mu pozostał.

Widząc, że tego razu nie tu nie zrobię, chciałem się wysunąć. Obiecywałem sobie powrócić wieczorem.

Wtem, gdy wrzawa się do takiego stopnia wzmogła, że już nic słyszeć nie było można, co pletli błaznowie, Olbracht wstał poważny, groźny i machnął ręką.

— Precz! za drzwi! a nu!

I bez mała, jak psy ich przepędził. Zostaliśmy sami.

— Wiesz ty—odezwał się po przestanku,—że czasem niegłupie mówiasz myśli. Gdybym tego strzepał Tatarów? Bohaterstwo ma urok, nigdy ono nie szkodzi.

— Szczególniej tu, w Polsce—rzekłem,—gdzie ciągle na granicy stać, czuwać i korda na chwilę z rąk puszczać nie można.

Stanął zadumany.

— To cóż? Król pośle jakiego Litwina, lub którego z Rytwian, z Tarnowa... o mnie ani pomyśli..

— Bo wasza miłość moglibyście sami o sobie pomyśleć—dodałem.—Żaden ojciec dziecka na niebezpieczeństwo chętnie nie naraża... Ani królowa, ani on nie powiedzą: idź na wojnę... ale gdybyś zapragnął tego, sądzę, że królowi-by nawet miłem to było.

Wpatrzył się we mnie bacznie, ciągnąłem dalej:

— To wiem, że na życie wesole krakowskie król niebardzo rad patrzy.

— Trudno młodemu nie być—zawołał Olbracht—a potem gdy przyjdzie, da Bóg panować i do tego pluga się zaprządz, w którym ojciec chodzi, że ledwie dysze, nie stanie czasu na życie dla siebie... Człowiekowi się trochę wesela należy.

Mówił to, a fantazyja rozbudzona w nim, grać poczyniała. W izbie sypialnej wisiąco kilka zbroi. Zbliżył się do jednej.

— Patrzno—rozśmiał się,—gdybym ją wdział, do helmu pióra przypiął, złożony miecz do boku, a mój nieodstępny mały do pasa, na ramiona płaszcz zarzucił szkarłatny, pode mną siwy koń... nie piękniebym się ja wydawał!

— Ani wątpić—począłem wesoło,—tylko dla Tatarów stroić się tak pożał Boże! Chłopstwo to brudne, a nie

rycerstwo żadne; mybyśmy to plugastwo wymietli wnet i wysiekli.

Wieczorem Olbracht kazał mnie wołać do siebie.

— Jaszko—rzekł, siedząc na łożu—mnie doprawdy zaczyna się chcieć na Tatarów. Znudziło mnie się siedzieć tu... i Lena i Kinga lepiejby smakowały po wypoczynku. Mówilem z Kalimachem, nie jest to mąż rycerskiego rzemiosła, ale rozumny! rozumny! Powiada, że mającemu panować, sława rycerska jest potrzebną... Nie zaszkodziłaby i mnie.

— Któż o tem wątpi?—potwierdziłem.

— Nie mam śmiałości do króla—przerwał—tak nas do pokory i posłuszeństwa wdroył, że człek i pod wąsem jeszcze się go, jak młokos boi.

— A królowa?—poddalem.

Nie odpowiedział mi nic długo.

— Mam wielką ochotę—powtórzył.

— Pocóż się ociągać!

Zamyślił się znowu.

— Trochę mi złotowłosej żal będzie—szepnął.

— Mnie się widzi—zamruczałem,—że wasza miłość za nią więcej, niż ona za wami zatęskni.

Ruszyłem ramionami.

— Co mi tam—uśmiechnął się pogardliwie—byle, gdy przychodzę, uśmiech miała na zawołanie.

— Czasby już, równie, jak na wojnę, wybrać się do małżeństwa—dodałem;—zdrowiejby z tem było i bezpiecznie.

— Chyba tego nie widzisz—dodał, śmiejąc się—że my wszyscy do ożenku nie stworzeni. Władysławowi czeskiemu dawno czas, ani myśli... Kazimierz nieboszyk nasz, imienia kobiety nie chciał słyszeć, i ja—tu głośnym parsknął śmiechem—i ja podobnie.

— Na tem przecie kiedyś skończyć będzie potrzeba—rzekłem.

— Nie, ja nigdy się żenić nie myślę—odparł stanowczo.—Wziąwszy jedną, musiałbym jej pilnować; wolę ich mieć więcej, a być swobodnym...

— Ale wróćmy do Tatarów—odezwał się.—Jutro

powiem matce, że mi się zachciało ich wojować... zobaczmy.

Królowa Elżbieta była to matka nadzwyczaj do dzieci swych przywiązana, ale pani wielkiego umysłu i ambicyi. Olbrachta, jako najwięcej obiecującego kochała i czuwała nad nim; może go na wojnę narażać niebardzo sobie życzyła, ale w niej też odezwała się krew pańska a rycerska. Uściskała syna, gdy jej to objawił.

Wymowny i uniejący dowieść, co chciał, bo sztukę tę doskonale przejął od Kalimacha, Olbracht gdy się rozmarzył, tak pięknie odmalował sławę, którą mógł pozyskać, iż Elżbietę poruszył.

Wszedł na to król. Olbracht zamilkł, ale matka nie zataiła, z czem przyszedł. Kazimierz głową skinął.

— Czemuż nie—odparł;—ma-li serce do tego, niech idzie!

Olbrachta na razie to tak uradowało, iż przypadł do ręki ojcowskiej dziękować.

— Będzie miał starszych, wytrawnych, bywałych dowódców, co wyprawą pokierują—mówił król,—bo z Tatarami wojowanie jest inne, znać ich potrzeba, ich sztuki przeniknąć, chody i napaści przewidzieć. Bóg da, poszczęścić się może... a ocalicie co ludu, odbijecie z jasyru, pozyskacie sobie tem u ludzi serce, którego nam potrzeba, bo nieprzyjaciół mamy wielu.

Królowa chciała temu zaprzeczyć.

— Nie zapierajmy tego, co prawda—rzekł król,—bo prawdę zawsze lepiej znać i na niej się opierać. Nieprzyjaciół ja więcej dorobiłem się przez długie panowanie, niż druhów. Na jednej Litwie serce mam.

Tak z naprawy samego króla wyjazd Olbrachta na wojnę postanowiony został. Pierwszego dnia, gdy się to rozeszło po dworze, po mieście, jedni wierzyć nie chcieli, drudzy biegli, aby się do dworu Olbrachta zaciągnąć. On sam, gdy raz w nim ta myśl już się przyjęła, wziął ją ze zwykłą sobie gorącością i uporem do serca. Nie myślał, nie mówił, tylko o tem. Urosł w jednej chwili i sam poczuł, że mu to dawało znaczenie, którego nie miał.

Wesół, szczęśliwy, dwa razy mi powtórzył żartobliwie:

— Ślepej kurze się ziarno udało znaleźć; wszak to ty pierwszy mi tę myśl poddałeś.

Chciałem i ja królewiczowi towarzyszyć i poszedłem prosić o to Kazimierza.

— Potrzebnym mi tu jesteś—odparł chmurno,—nie odpuszczę cię. Czterdzieści kilka lat z okładem już masz, na wojnę nie chodziłeś, zostaw to młodym. Zdasz mi się tu.

Gdy król raz co powiedział, wypraszać się u niego sposobu nie było, musiałem z tem zostać, choć mi bardzo markotno było. Prosił Olbracht za mną, odparł zimno:

— Masz dosyć ludzi, a mnie Jaszko potrzebny. Drugim nie zawsze zaufać mogę.

Tak pierwszą swą wyprawę rozpoczął królewicz z wielką ochotą i sercem takim, że ono zwycięstwo rokowało.

Dobór pulków, ludzi, dowódców był najtroskliwszy; ręczyli też starsi królowej, że nie dopuszczą, aby Olbracht miał być w niebezpieczeństwie i czuwać będą nad nim. Gdy raz już postanowiono ciągnąć, nie miał królewicz chwili spoczynku, tak mu było pilno. Gorzał poprostu i rwał się.

Po tej wrzawie przy wyborze na wojnę, kiedy wyciągnęli wszyscy na granicę, gdzie Tatarów mieli ścigać, nastąpiła straszna cisza.

Wiadomości długo nie było żadnych, jak to u nas zwykle z Rusi i Podola, gdzie zapadłszy, człowiek, jakby utonął. Choć miano gońców posyłać i dawać wiedzieć o sobie, z początku ani wieści, ani języka. Król był spokojny, królowa coraz bojaźliwsza, wyprawiała do Lwowa i dalej, aby się czegoś dowiedzieć.

Wiadomości przychodziły ladażakie, że Tatarów śmy i tabory niezmiernie niszczyły pobereżne ziemie, ale więcej nic. O naszych, co poszli przeciwko nim, ni slychu.

Dopiero ludzkim obyczajem, bo inaczej nigdy nie bywa, gdy się niespokojnie czeka wieści, poczęli niektórzy z palców ssać, że naszych pogromiono i rozproszone. Drudzy już to za pewne podawali a nawet liczyli tych, co poginęli. Słuchy te jednak pelzały nisko, do góry ich nie dopuszczaliśmy.

Wtem, pomnę jako dziś, król mnie posłał do księcia mazowieckiego, który przybył dnia tego, abym go pozdrowił i na zamek zabrał. Nie dojeżdżając do gospody, patrzę, na ściągniętej szkapie, cały obłożony, osmarowany, brudny, ledwie go poznać, leci Bobrek, co przy Olbrachcie był, samotrzeć. Wszyscy obdarci i tak wyglądający, jakby się z rąk oprawców wyrwali.

Zobaczywszy go, struchlałem, a zabiegłszy mu drogę, wołam:

— Stój! Co wiesz?

A temu w gardle tchu brakło, ale oczy zaświeciły. Podniósł rękę do góry.

— Stawne, wielkie zwycięstwo!—zawołał.—Olbracht bił się jak bohater! Tysiące Tatarów trupem zalega pola pod Kopestrynem, nad Szawraną.

I ledwie dokończywszy, pognął z tem do zamku. Mnie się serce rozradowało tak, że ledwie poselstwo sprawiwszy, poleciał za nim na zamek, aby się lepiej rozpytać.

Ale z Bobrka, który nigdy nie pocziwie powiedzieć nie umiał, cztery razy zaczynał, nigdy nie kończył, od środka i od początku wyrwał, co mu na pamięć przyszło, niewiele się można było dopytać. Tyle tylko pewnego było, że szarańczy wybito wiele, że jeńców odebrano siłą i nabrano ich w pięta tysiącami, że królewicz zdrów był i wesół i słał rodzicom powitanie z placu boju, nimby sam wrócił.

Zaraz na Wawelu odśpiewano nabożeństwo dziękczynne, radość była niezmierna, a i na twarzy króla, która nigdy prawie się nie rozjaśniała, widać było radość. Płochy dotąd Olbracht, nie myślący tylko o zabawie i krótkich chwilach z ladażakimi kompanami, okazał rycerską odwagę i serce wielkie, a Kalimach ręczył, że i w innych sprawach równie się okaże dzielny, co wszystko sobie przypisywał... chociaż, co było dobrego, to pono Długosz zasiał i z tego ziarna rośło.

Królowi to zwycięstwo nad Tatarami przychodziło właśnie w porę, gdy oddawna trwające zajęcie z węgierskim Maćkiem Korwinem śmierć jego niespodzianie na inne przeprowadziła pole.

Chciał już uparty ten, zły i przewrotny, a zuchwały panek położyć tym zatargom koniec, że królową naszą myślał poślubić. Ale królowa Elżbieta oburzona, oparła się temu i jeszcze go tak zwymyślała przed ludźmi, od chłopów i gorzej, że gdy to doniesiono Korwinowi, zajadł się i zgody żadnej znać nie chciał.

Tymczasem zmarł bez prawego potomstwa i Węgry zostały bezpańskie, a król Kazimierz, który od czasu onej wyprawy królewicza Kazimierza nie spuszczał ich z oka i myśli, powziął zamiar wyprowadzić tam Olbrachta; posłał od siebie na zjazd, zalecając, aby go wybrano i zaciągi natychmiast kazał gotować, które z nim na Węgry miały ruszyć.

Ale królowi pod koniec życia, tak, jak to bywa przy picciu lekarstwa, gdy największa gorycz na dnie osiadzie wszystko się miało w żółć obracać. Któżby się mógł był spodziewać tego, że Olbrachtowi na Węgry idącemu, rodzony brat, Władysław, z wojskiem stanie na drodze i zaprzęmu ją?

A dodać tu muszę, że jak wszystko rodzeństwo się między sobą kochało, tak Władysław z Olbrachtem szczególnie. Olbrachtowi jeszcze prędzej było można wmówić, że gdzie o koronę idzie, tam o miłości braterskiej zapomnieć trzeba, lecz Władysław miał serce tak niewieście miękkie, iż pojąć było trudno, jak go Czesi skłonić mogli do wystąpienia przeciw rodzonemu swemu.

Stary król nasz i tak rozdrażniony, zażalony przeciwko swemu pierworodnemu, gdy mu doniesiono o tem, wierzyć nie chciał, pojąć nie mógł podobnego zuchwalstwa ze strony Władysława.

Dla nas, cośmy go znali w młodszym wieku, było to owszem łatwem do zrozumienia a nawet i do uniewinnienia. Władysław ulegał zawsze tym, co najbliżej stali niego i w uszy mu kładli, czego się domagali; nigdy się oprzeci niczemu nie mógł i nie umiał. Dobroć ta jego była dla innych doskonałym narzędziem, ale jemu klęską i nieszczęściem prawdziwym. Panowie czescy niektórzy i węgierscy, pozyskani przez wdowę po Macieju, Beatrycę, która spodziewała się zaślubić młodego małżonka i z nim pano-

wać, osaczyli go tak, opanowali, wmówili mu obowiązek dobijania się o koronę Węgier, iż oprzeć się temu nie będzie mógł.

Przewidywał on gniew ojca, który i tak już prawie się go był zaparł, a cóż dopiero teraz być miało, gdy on z wojskiem przeciw Polakom i bratu miał wystąpić.

Gdy Olbracht z wyprawy tatarskiej wrócił, a tu już drugą przygotowującą się znalazł, dość dobrą myślą ją przyjął w początku, ale po małym rozmyśle począł się chmurzyć.

Wiedział to dobrze z wyprawy Kazimierza i z usposobienia Węgrów, z położenia ich twierdz, z obronności kraju, że wojna z nimi nie będzie łatwą. Wcale inną rzeczą było zwojować niesforne kupy tatarskie, które padały impetem jak szarańcza, na wojsko, usiłując je oskrzydlić, zasypywały je strzałami, a gdy się nie udało rozbić go, uchodziły, i dopiero w pogoni odwrotu próbowały. Ten, kto raz z nimi miał do czynienia, oględnie szedł, języka dostawał, dostał kroku w pierwszej chwili,—zawsze ich potłuc musiał.

Talałajstwo to ani zbroją, ani orężem nie równało się rycerstwu naszemu, liczbą tylko przemagało czasem, a i tę na oko powiększali tem, iż koni luźnych z sobą moc ciągnęli.

Na Węgrzech wojna była i w polu ciężka, bo tam kraj w większej części wzgórzysty i rzeki znaczne, a grody nad nimi mocne. Więc po zameczkach załogi, do których się dostać wymagało wiele czasu i trudu, a nieprzyjacielowi z nich wypaść, niepokoić, urywać bardzo łatwo. Żołnierz też zaciężny niemiecki, czeski i węgierski dobrze zbrojny i w boju zahartowany. Dla obcego więc, który gościem przychodzi, dobrze nie znając gruntu pod nogami—twardy orzech do zgryzienia.

Olbracht, choć ufał sobie, a więcej jeszcze rycerstwu polskiemu, nieulęknionemu i z Warneńczyka czasów znającemu Węgry, przecież zcicha mówił, że się lęka, aby tam laurów zdobytych nie posiał. Ale ojciec nakazywał, nie można się było opierać—iść musiał.

Nim się to jednak rozpoczęło, król potajemnie stał

do Pragi Kalimacha, któremu ja za tłumacza dodany zostałem, szczególnie dlatego, że króla czeskiego dobrze znał chłopięciem i on mnie lubił dosyć.

Ażeby nas nie śledzono i nie podejrzewano, a wstępu na dwór nie zabroniono, bo tam przy słabości Władysława, wszystkiego się spodziewać było można, jechaliśmy z kupcem i jako kupcy do Pragi.

Ten, który nas prowadził, bywałem był i stosunki tam miał uboczne, które nam się na zamek wśliznąć obcywały. Jechaliśmy dniem i nocą dla pośpiechu do onej złotej Pragi, o której wielem się nasłuchiwał, ale jej nigdy nie oglądał.

Miasto samo wydało mi się wielkie, piękne i bogate, a budynkami bardzo misternymi, cudnie przybrane. Kraków się z niem mierzyć nie mógł, ale choć język brzmiał tu swojsko, człowiek się obcym czuł.

Król, który w początkach na dolnym zamku mieszkał, pono gdy do niego szalenie jakiś z łuku strzelił, przeniósł się na wysokie zamczysko do Hradczyna i tam teraz go szukać było potrzeba.

Raz w Pradze będąc, dostać się do niego nie trudno nam było, bo przy sobie na dworze służby polskiej siła miał a ta przyjezdnym Polakom chętnie pomagała i do niego przeprowadzała. Tak też nazajutrz zaraz jeden z komorników, Powąła, Kalimacha, jako mniemanego astrologa Włocha, poprowadził do króla.

Była naówczas astrologia w wielkiem poszanowaniu, jakby wieszczbiarstwo jakie, choć wielu tych, co w gwiazdy patrzyli i konjunkcye ich tłumaczyli, jak sam się wielokrotnie przekonałem, balamutne głosili horoskopy. Ale nie było czynności, od małżeństwa począwszy, do wojennej wyprawy, o której ujście gwiazdździarzy się by nie pytano, a oni też na wszystko gotowi byli odpowiadać.

Astrologiem takim Kalimach się dostał na zamek królewski i pozostał tam z pół dnia prawie, bo tak dobrze umiał nawet tę rolę odgrywać, że go się i inni radzili. A że mu to podarki przyniosło, więc się wyśmiewał potem z łatwowiernych i wcale tego na sumieniu nie miał.

O skutek widzenia się i rozmowy z królewiczem py-

tać go nie śmiałem, poufałych zwierzeń unikając, sam mi jednak zaraz się przyznał, że choć wolę króla spełnił, a Władysław boleść swą wielką najdobitniej wyraził, nie obiecał mu jednak, aby dla rozkazu ojca mógł od korony węgierskiej odstąpić.

— Choćbym wam to przysięgał—mówił do Kalimacha—wiem, iż dotrzymać nie potrafię. Przeblagajcie ojca mojego, gdyż dziś obowiązki mam większe i bliższe, które mi nieposłuszeństwo nakazują. Królem jestem i wbrew woli narodu iść nie mogę. Pragną Czesi połączenia obu królestw i od tego nie odstąpią. Wyśle król wojско, my i wdowa po Macieju wystawimy też siłę znaczną.

Skończyło się na tem, że całę zwątpiwszy o skutku, pozwolił mi, a raczej kazał, abym i ja na zamek szedł i z królem mówił. Ku wieczorowi więc tenże sam Powąła na Hradczyn mnie prowadził.

Nie wiedział Władysław, kto jestem, tylko mnie jako komornika ojcowskiego oznajmiono. Gdym wszedł, a zobaczył i poznał, myślałem, że gdyby nie służba, byłby mi się rzucił na szyję.

Dziecinne i młodzieńcze lata na myśl mu przyszły, a tu we wszystko opływając, królując, choć się już przyzwyczaił do kraju i ludzi, zawsze jednak sercem i myślą do swoich uciekał. Nie dał mi prawie ust otworzyć, zarzucając pytaniami o rodzię, o braci, o sługi, o najmniejsze najdrobniejsze rzeczy nasze. Pamięć miał doskonałą, a gdy o nich mówił, oczy mu się zwiły i głos drżał dziwnie. Nierychło mogłem nawrócić rozmowę do celu naszej podróży.

— Zlitujcie się—rzekł król do mnie,—możecie po mnie wymagać, abym ja sprawę narodu mojego zdradzał dla ojca woli, który i bez tego królestwa węgierskiego potężnym jest i będzie. Bóg widzi, że dla siebie nie żądnym zdobywcy; dosyć mam troski z jednym królestwem, lecz nie moja to sprawa.

— Tak jest—odezwał się do niego—ale niema na świecie narodu, któryby mógł wymagać od pana swojego, aby bratobójczą rękę podniósł na rodzzonego swojego. Cóż będzie, jeśli w tej wojnie, bo wszystko się może trafić,

spotkacie się na polu bitwy z zamkniętymi hełmami, a oręż któregokolwiek z was...

Władysław nie dozwolił mi dokończyć, krzyknął i płakać począł. Łzy mu się polały, lecz nie zdołały i one zmienić jego postanowienia.

— Łacniejże jest Olbrachtowi mnie nie napadać, niż mnie się nie bronić. Zaklnijcie go, niech nie idzie przeciw mnie.

— Król pośle innych wodzów i to nie pomoże nic.

Chociaż widziałem, że wielkie na nim uczynił wrażenie, przemawiając w imię braterskiej miłości, nie mogłem sobie pochlebiać, znając go, ażeby miał taką siłę woli, któraby mu się opierać dozwoliła.

Nie też nie obiecywał, ręce łamiąc, płacząc i zaklinając mnie, bym Olbrachtowi wojnę tę odradzał.

Mówilem mu potem, jak oddawna król ojciec żał miał wielki do niego, od wesela siostry począwszy, na które proszony przybycia odmówił, jakby wszelkie z rodzicami zrywając stosunki.

Tłumaczył mi się, ręce składając, ale nie mógł więcej powiedzieć nadto com wiedział naprzód, iż wszystkim zawsze odpowiadając: „Dobrze”—tak, iż sobie przydomek zyskał od tego—to zawsze czynił, co mu bliżsi narzucali.

Jeszcze jeden dzień bawiliśmy w Pradze i Kalimach chodził znowu na Hradczyn, zyskał podarek piękny, ale więcej nic. Nie było tu się czem ludzi i czasu trwonić, puściliśmy się z powrotem.

Jaką tam sprawę zdał Kalimach z poselstwa swojego nie wiem, mnie zaś król nie pytał o nic.

Nie zwykł był stary nigdy ani się rozwodzić z żałami, ani z myślami zwierzać. Gdy raz postanowił co, dawał rozkazy, gdy się nie powiodło, milczał, gdy się poszczęściło mało co inaczej powodzenie przyjmował.

I tym razem na twarzy jego trudno było coś przeczytać.

Za to Olbracht mnie badał tak, że mu kilkakrotnie rozmowę powtarzać i wszystko opisywać musiał. Słabego brata żał mu było, wojna ta niepożądana, lecz ojcu nie

chciał się sprzeciwiać a i korona węgierska z polską połączona, może mu się też uśmiechała.

Słyszałem dowodzącego Włocha, iż naówczas, gdy Węgrów i Polaków mieć będzie, łatwiej Węgrami złamie opór ziemiaństwa i więcej sobie władzy zdobędzie. Polakami zaś Węgrów też na wodzy utrzymać może. Przewrotna ta rada tak się wydawała Olbrachtowi rozsądną i doskonałą, że za nią mistrza swojego uściskawszy, pod niebiosą go wynosił.

Szedł tedy Olbracht poprzedzany sławą zwycięzcy na Węgry, ale rychło się okazało, że miał tu szwankować.

Na Bardyów i Koszyce puścił się król wicz z małym wojskiem, choć doborowem, do Pesztu wprost w samo serce królestwa mierząc. Szturmowano próżno do Koszyc. Nie było ani machin, ani przyrządów oblężniczych, więc daremny wysiłek skończył się zawieszeniem broni, a wojsko, jak donoszono przez wielkie niewczasy i złą rękę porę, ucierpiało wiele. Żołnierz zaś, gdy na ciele dłużej boleje i na duchu zwykł tracić. Podnosi go zwycięstwo, daremny wysiłek zniechęca.

Tak skończył się ten rok, a król stary, choć już widział, że się tam z Olbrachtem swym nie utrzyma, odwoływać go nie chciał i nie mógł.

Przysłany z obozu Bobrek powiadał też, iż król wicz upierał się próbować szczęścia i do bitwy koniecznie sposobił.

Czekaliśmy w Krakowie niespokojni późniejszych wieści, a królowa nieustannie modlić się polecała strwożona o los obu swoich synów.

Niedługośmy też wyglądali przybycia przeczuwanego posła:—nadbiegł z tem, że bitwę Polacy przegrali, chociaż bili się, jako lwy, ale nieprzyjaciół przemógł ich siłą.

Sam Olbracht walczył z innymi i gdyby mu Krupski miecza nie podał, mógł był życie stracić, tak go osaczono i naciśnięto. Konia miał pod sobą zabitego, ze zbroją pośluzoną przerąbawszy się ledwie do swoich.

Jawna rzecz była, iż tu o Węgrzech myśleć nie przystało. Okazało się jednak, iż Władysław, który czasu wojny więcej się troszczył o życie Olbrachta, niż może o wę-

gierską koronę, aby zapobiedz bratobójczej wojnie, skłaniał się do zawarcia pokoju dosyć korzystnego.

Zwycięzonemu więc niemal Olbrachtowi ofiarował puścić Śląsk, Głogów, Opawę, Bytom, Koźle, Górę i znaczne posiadłości w Węgrzech z Przeszowem, byle się zrzekł roszczeń wszelkich do korony węgierskiej.

Było to jeszcze wielkiem szczęściem, którego sobie Kazimierz z Olbrachtem winzować mogli i w tem się serce braterskie króla czeskiego okazało, ale stary pan nasz, jak z wyprawy, z Olbrachta, tak i z tego pokoju nie był rad.

Odzyskanie części Śląska lekce sobie ważył i mówić o nim nie dawał. Zyskał na tem Olbracht najwięcej, gdyż niezależnym się stał przez to i miał już własnego kraju kawał do rozpościerania się w nim. Ucierpiała rycerska jego sława, z czem mu kwaśno było, choć wszyscy oddawali sprawiedliwość, iż na placu boju walczył mężnie—życia nie szczędząc. Mało mu tego było. Rycerzem go uznawano, wodzem się nie okazał.

Ja, com dzień w dzień na króla patrzył i myśli jego czytał na twarzy, najlepiej wiedziałem o tem, jak przynęcionym był nieudanemi pokuszeniami na Węgry. Wzdychał a gryzł się. Spadło wiele na Olbrachta, choć winy w tem jego nie było. Król go lepiej coraz poznając z małych rzeczy, jakie do uszu jego dochodziły, rozrzutności jego i płochości nie lubił. Zwrócił się więcej teraz ku Aleksandrowi, o którym chodziły wieści, że go chciał posadzić na Wilnie, ulegając nieustannym domaganiom Litwinów osobnego pana.

Prawdą jest, iż pono w spisanej ostatniej woli króla znalazło się coś o tem, iż nie byłby przeciwny wyniesienia Aleksandra na wielkie księstwo starym obyczajem, lecz my tylko wiedzieliśmy, dlaczego to czynił.

Wydawał mu się Aleksander powolnym, łagodnym a nie chciwym władzy, więc się go mniej w Wilnie obawiał dla Polski, niż Zygmunta, a wiedział to, ciągle przebywając na Litwie i znając ich tam dobrze, iż postanowienie mieli niezmiennie wybrać sobie koniecznie jednego z królewiczów.

Aleksander już naówczas przed śmiercią naszego pana miał lat przeszło trzydzieści, ale nigdy królowi niczem się nie naraził. Zabawy jego były bardzo ciche, krom śpiewów i muzyki. Naówczas już Ciołek ów, chłopię z krakowskiego bruku, pierwszy ulubieniec jego, niespodzianie przez ambicję wdziawszy suknię duchowną, dawał po sobie poznać, że nie zaśni gruszek w popiele.

Gdyby więcej obcował z Kalimachem, gotówbym był rzec, że jego duchem i naukami się przejął, lecz w nim silniej działała natura, niż przykład Włocha. Zdolny, bystry, ambitny, bo od dziecka był nawykł, że go cudownym głoszono, klaskano mu i podziwiano, w nadzwyczajnych laskach u Aleksandra, który kosztą na niegołożył... ponieważ był synem szewca i szynkarki, a dumnie stał, jak ksiąźtako, naraził sobie wszystkich.

Zdawał się wcale nie dbać o to, że mu codzień przybywało nieprzyjaciół, nigdy przed nikim karku nie ugiął, a że rozum miał, wymowę okrutną, śmiałość przytem, rąbał straszliwie, kto mu się nawinął, tak był pewien swojego. W dodatku obdarzyła go natura taką pańską i piękną powierzchownością, iż z tych, co mu liche pochodzenie mieszczańskie zarzucali, drwił sobie.

On sam głosił, że ojciec wprawdzie zubożawszy, pod prawo miejskie się schronił, ale od wieku byli oni panoszącymi i w szczycie Ciołka nosili. Głosili inni, że w potrzebie świadkowie się znajdą, co to szlachectwo poprzysięgną. Przewidywać było można, iż raz się wywiódłszy, sięgnie przy łasce Aleksandra do najwyższych dostojności kościelnych. Tem prawdopodobniejszem to było, że wistocie, gdyby nie owa ekstrakcja z szynku, godnym go ich nazwać było można, tak wiele miał rozumu i nauki.

Ano w młodym duchownym razila i odpychała pycha. Przyjaciół jego okrom królewicza na palcach można było policzyć, niechętnych miał secinami. W kapitule, w akademii, na dworze, przy biskupach niecierpiano go. Oddawał z nawiązką a żadnej nie pominął zręczności, aby słabszych od siebie czy w kwestyach teologicznych, czy w prawie kanonicznem, czy w historii wyśmiać i wyszydzić. Dodać do tego wizerunku należy upodobanie w wytwor-

Przebojem tak siedł od początku.

Wracając do królewiczów, po Olbrachcie na Zygmunta patrzano. Miał lat dwadzieścia kilka, wyglądał poważnie, rycersko i rozumnie. Tego dowcipu i łatwej wymowy retorskiej, co Olbracht nie miał, ale gdy się ze słowem odezwał, trafił w sedno i było go co słuchać. Miał taki obyczaj, że w rozmowie marszczył się, nastawiał ucha, dawał rozprawić, usta otwierał nie ochoczo, ale co rzekł, to zostało i było tak oszlifowane, jak drogi kamień. Słabości po nim nie mogliśmy się dopatrzyć... słowem, jak Olbracht, nie błyskał, jak Fryderyk mało co młodszy zabaw, uczt i śmiechów nie lubił, wina mało pijał, myśliwstwa zażywał umiarkowanie, ale znać w nim było zawsze i wszędzie majestat królewski i tę jakąś zimną krew cierpliwą, którą po ojcu wziął. Nie skarżył się nigdy na nic.

Później i on i Olbracht tak się piwem piątkowskim opijali, że doktorowie je za przyczynę chorób, a u Olbrachta trądu i pryszczów na twarzy uznawali. Szło z piwem i wino w parze, a co za nłodu ledwo im go królowa potrosze z wodą pozwalała używać, konwiaini teraz do stołu je przynoszono.

Maryanus, sufragan krakowski, nie Polak nawet, ale Słowak z Węgier, zakonu ks. Dominikanów, człek biegły w językach wielu: łacińskim, włoskim, niemieckim, węgierskim, krom polskiego. Ale jak rozumu miał wiele, tak też brzuch nienapchany i jadł, że go było pokazywać, gdy się do misy zabrał.

Po powrocie z Włoch dodano mu za oclmistrza Tomickiego, mądrego i surowego człowieka, którego obawiał się, wystrzegał, zwał go Włochem i oszukiwał bardzo zręcznie.

Długoszowej nauki niewiele w nim się uchoowało, ale Kalimacha lubił, wynosił go, obcował z nim i przejął od niego wiele swobodnego obyczaju włoskiego.

Po Trzech Królach w Rybach ukazała się kometa z miotłą jasną i oglądali ją ludzie codziennie po zachodzie słońca, aż prawie do wielkiego postu. Potem co gorsze jeszcze było, zaćmiło się słońce i zapanowały w biały dzień ciemności straszliwe, tak, że gwiazdy wystąpiły na niebie w sam dzień św. Stanisława. A że on jest przednim patronem królestwa tego, mówili gwiazdziarze, iż to znamionowało klęski. Przypadł potem mór na bydło, od którego całe stado padały, a że doktorzy obawiali się od bydła pomoru na ludzi, mięsa prawie nie tykano ze strachu.

Na wiosnę następnego roku, król jakby się już za Litwą zateśnił, bo istotnie ją kochał i za swój rodzinny

kraj uważał, będąc tam dziedzicem i panem pociągnął w lasy pod pozorem łowów.

Chociaż nie stary był, bo nad lat sześćdziesiąt i kilka nie liczył, a u Jagiellonów wiek to był niepodeszły, widzieliśmy go w trzech ostatnich latach znaczenie na siłach podupadającym. Nie mówił o tem nic, lecz zważałem, gdy się odziewał, że mu dawniej dogodne obuwie podczas bywało ciasnem. Nogi brzękły. Smutny też był, małowówny i tylko na łowach a ze psy zapominał trosk swoich.

Osobliwym składem okoliczności i ludzi, miał ten pan wielu posłusznych i oddanych sobie, ale serdecznie przywiązanych do jego osoby mało było. W Polsce mu zdawna możni panowie małopolscy niechętni, podejrzliwi, serca szlachty i rycerstwa odbierali. Duchowieństwu się naraził, a ono mu tego zapomnieć nie mogło, że się nie poddał i zwyciężył.

Najlepsze nawet rzeczy, które uczynił, wyszpecano tak, aby je zlemi i szkodliwemi okazać. Nie dziękowano mu za zdobycie Prus, za pozyskanie teraz Śląska, za osadzenie w Pradze na tronie Jagiellona.

Kalimach mu szkodził, bo w nim widziano złego doradcę; słowem jednym zapłacono mu trud jego i życie, spędzone w walczeniu z ludźmi i losami, czarną niewdzięcznością.

Prawda, że choć nagradzał sługi swe hojnie bardzo i wspaniale, lecz o słowo uprzejme, o zwierzenie się trudno było u niego. Nosił tę swą godność królewską, kapłańską można powiedzieć, tak, iż jej nigdy nie zrzucił. Jeżeli się rozmarszczył, rozweselił, to gdy z królową był i dziećmi. Ona na umysł jego miała wpływ uśmierzający jakiś, kochający... rozpogadzało mu się czoło przy niej i często powtarzał to, że tyle miał szczęścia, co godzin z nią spędzonych. Zdaje się, że nigdy nawet spór pomiędzy nimi nie powstał, choć Elżbieta, gdy żądała czego, umiała to do skutku przywieść nawet mimo zdania męża. Tak w sprawie wydania córki za węgierskiego Macieja, Kazimierz byłby mu ją dał, Elżbieta go tak zhańbiła, zowiąc czem był, iż król już więcej nie nastawał

W innych ważnych rzeczach on, co mało komu się zwierzał, przed nią nie tał nic.

Pani to była, jakem już nieraz mówił, wielkich przymiotów, uczona, bo ją w dzieciństwie papież późniejszy Pius II, wychowywał, poważna, rozumna, umiarkowana i zręczna. Piękna nigdy nie będąc, później można powiedzieć, starzejąc, nabrała majestatu i pewnego wdzięku. Głos miała słodki, obejście się łaskawe. Wielki ród w niej widać było.

Gdyśmy na Litwę jechać mieli, a naznaczono dwór do towarzyszenia panu, Kazimierz sam mnie zażądał mieć z sobą. Byłem temu rad, bo wiosną podróż i lasy litewskie, uśmiewały mi się, a któż z nas nie lubi tych starych puszczy w których dopiero Litwin się czuje jakby w domu? Lękałem się tylko, aby matce z tem nie było markotno, bo teraz mnie rada była mieć codzień, choćby na krótki czas. Poszedłem tedy pod dzwon, oznajmując o tej podróży.

— Szczególna rzecz—odezwiała się do mnie—jak czasem składają się wypadki. Ja też Wilno i Litwę raz jeszcze w życiu chciałam oglądać i pojadę pewnie w tym samym czasie, więc w Wilnie lub Grodnie, około którego w lasach nad Nienmem król polować lubi, spotkać się możemy... kto wie?

Ponieważ matka bardzo silną i zdrową nie była, zafrasowałem się o tę jej wypawę, aby się nie stała ciężką, gdyby nie była naprzód obmyślana i dogodną.

— Śliziak dawniej bardzo troskliwym był—rzekłem—sługa z niego, jakich mało, ale haniebnie postarzał i podupał na siłach.

— Nic to nie szkodzi—przerwała mi matka.—Wprawdzie na konia go już wsadzić trudno, ale na wozie leżąc, gdy huknie, ludzie go słuchają, a o niczem nigdy nie zapomina. Bądź więc spokojnym, iż mi na wygodach nie zbędzie. Kolebkę biorę najlepszą, konie dzielne, sługi dobiore, których lubię i oni mnie kochają. Starą jestem, Bóg wie, co się stanie; radabym zobaczyć Wilię i dwór Gastoldów i ogród i te wszystkie miejsca, gdzie byłam krótko szczęśliwą.

Gdy nadszedł dzień wyjazdu, pobiegłem jeszcze raz do matki; powtórzyła mi:

— Do widzenia w Wilnie lub Grodnie.

Król jechał na pozór zdrów, ale ciężki, na jadło się uskarżając, iż mu nie smakowało. Doktor, Jakób z Zalesia, jadący z nami, tem pocieszał, że podróż i ruch apetyt przywróci. Z doktorów on jeden był z nami, bo Gaskiewicz na Wawelu przy aptece musiał pozostać i ani Welsza, ani Stanki nie wezwano. Nikt też choroby nie przewidywał, a Jakób z Zalesia lekarz był doskonały, tylko zbyt mało może ufający sobie i nieupierający się przy zdaniu. Znał on dobrze naturę królewską i tę krew Jagiellońską silną, która chorobom czoło stawiała i zwyciężała je.

Ponieważ ja coś medycyny przy Welszu liznąwszy, zawsze ciekawy był i przypatrywał się chorobom i leczeniu, w podróży chętnie panu Jakóbowi posługiwał, z nim jechał i słuchał opowiadań szczególnie o morowem powietrzu, w którym on był. Miał to przekonanie, że nie w ludzkiej mocy z niem walczyć, bo to jest kara Boża, która przychodzi i ustaje z wyższej woli. Wielu z nim wówczas dzieliło to zdanie.

W podróży uczynilem tę uwagę doktorowi, że król wistocie mało co jadł, za nogi się chwytał wieczorem, i choć się nie skarżył, bo tego nie lubił, był cierpiącym.

Z mojej naprawy przybył doktor Jakób do sypialnej izby króla, gdyśmy go do łóżka kłaść mieli i nogi rozwiązane z onuczek obejrzał. Były nieco zaczerwienione i obrzękłe, lecz się to wiekiem i trudem podróży tłumaczyło.

Dał Zaleski balsam jakiś, wonny bardzo, którym na noc kazał wytrzeć nogi, ale król, gdy mocną woń balsamu poczuł, krzyknął, że jej nie wytrzyma i kazał iść precz z flaszką.

Myśmy o tem wiedzieli, że jak ojciec jego zapachu jabłek, tak Kazimierz owoców i innych rzeczy wonnych nie znośił. Pan Jakób z Zalesia chciał się upierać, ale Kazimierz zawołał stanowczo:

— Ale preczże mi z tym balsamem! Lekarstwo od choroby gorsze, nie zniosę smrodu tego, choć wam może dryakiew ta wonieć będzie.

Chciał dowodzić doktor, że zapach był orzeźwiający, król się pogniewał i usta mu zamknął.

Nogi więc pozostały bez smarowania. Miał nadzieję Zaleski, że po wypoczynku w łóżku obrzęknięcie odejdzie w nocy i zjawił się rano, gdyśmy onuczki świeże kłaść mieli. Okazało się, iż mało co było różnicy od dnia wczorajszego.

Nie rzekł nic.

Król zaś jakoś się w lasach orzeźwił i zaczął jeść lepiej. Nie skarżył się. Jednakże uważałem to, że do łowów choć się nastreçały, nie miał ochoty tak wielkiej i mrucząc, powiadał, iż mu do Wilna pilno naprzód, a łowy sobie około Trok nagrodzi.

Przybyliśmy tu, gdzie na króla oczekiwali bajorasy i kniaziowie w liczbie znacznej, a że o dniu przybycia byli zawiadomieni, sprawili mu wjazd okazały przy huku tryb, kotłów, piszczałek, a wielkich i serdecznych okrzykach.

Kazimierzowi też lice poweselało, niemal odżył i odmłodniał. Kochali Litwini swego Kazimierza, czuć to było i widać; ale ten tłumny zjazd, oprócz okazania mu miłości tej, więcej coś miał na celu. Chodziły słuchy, iż król ostatnią wolę swoją miał kazać spisać. Dotąd na największe nalegania Litwy, domagającej się osobnego wielkiego księcia, odpowiadał im ciągle, że podzielone rządy nie dobrego nie przyniosą, a narody rozdwoją. Niezrażona tem Litwa, bo ona z żelaznego uporu słynie, a jej się to chwali, trwała przy swoim.

Sprawdzili więc nawet z Kijowa osadzonego tam na wielkorządztwie Gastolda, brata Nawojowej, aby i on im pomógł króla zmiekczyć i przekonać.

Jakoż zaraz następnych dni, zaledwie Kazimierz wytchnął, oblegli go. Nie zuchwałemi wymaganiami, ale prośbami serdecznemi usiłowali go nawrócić. Zaręczali to najuroczyściej, że dla swego niebezpieczeństwa od Moskwy nigdy sojuszu z Polską zrywać nie myślą, lecz i obyczaj i pożytek ziemi tej domaga się rządów samoistnych.

Więc nie ustąpili dnia tego ani następnych, choć

Kazimierz ich zbywał różnie, do namysłu rzecz wziąć obiecując, aż póki złamany w ostatku nie odpowiedział im, że gdyby Aleksandra wybrać chcieli, przeciwnym nie będzie. Nierychlej jednak aż po zgonie jego, gdyż on, jako rzekł, wstępując na tron, dotrzymać chce, iż przy sobie innego wielkiego księcia nie ścierpi.

Dano im zapewnienie, że w testamencie będzie o tem uczynioną wzmianka.

Sprawiło to radość wielką między panami, a nawet wybór królewicza się podobał; znano go ze szczodrobliwości nadzwyczajnej, z dobroci wielkiej i spodziewano się opanować. A kusili się tam już niektórzy o to z niebardzo czystą myślą.

Pierwszy raz spotykałem oko w oko brata matki mojej, który był tu z dworem książęcym, z liczbą sług ogromną, z kolebkami i w oprawie, królewskim się równającami.

Człek był podżyły, dumny ale ludzki, tylko dowodnie w obcowaniu mało kogo sobie równym uważał. Król się z nim bardzo łaskawie obchodził, on z poszanowaniem, ale bez zbytniej uległości.

Panom polskim, którzy z królem byli, nie okazywał wielkiej serdeczności; można się było domyślać, iż ich za króla i ze starego obyczaju nie lubił.

Ponieważ czas jakiś na Litwie przy królu miał pozostać, a potem wracając, majątności swe objechać, tuszylem więc, iż matka moja tu lub gdzieindziej się z nim spotkać może, wiedząc, jaka z tego dla niej radość urosnie.

Po opędzeniu wielkiej sprawy, za którą zaraz poszły pomniejsze, bo król rozdawał urzędy i o wojsku na granicy przeciwko Moskwie myśleć musiał, siedzieliśmy jeszcze w Wilnie cały maj, ale przyszły przedwczesne skwary i oznajmiono, że pociągniemy do Grodna.

Dla mnie miejsce to, zamek bardzo smutne wspomnienia z sobą niosły, bośmy tu stracili błogosławionego młodzieńca, Kazimierza, a obraz jego, w trumnie złożonego wśród zieleni i wieńców, jeszcze mi stał przed oczyma.

Na wiosnę pobyt w Grodnie na zamku znośnym

był, innego czasu niewygodny dla króla, a cóż dopiero dla nas.

Od samego z Wilna wyjazdu nie wiodło się nam dziwnie. Konie padały, ludzie chorowali, łamały się wozy, gubiliśmy drogę, król dąsał się i gniewał. Zaledwie jedną biedęśmy przetrwali, druga nadchodziła. Uważałem, że i pan Jakób z Zalesia był zasepiony i nie rad ze stanu zdrowia królewskiego, któremu próżno dobierano różne jadlo. Albo go jeść nie mógł, lub mu szkodziło.

Nawykł do myśliwskiego życia bez wielkich wykintów, kiedy nieraz po chłopskich chatach jajecznicę ze słoniną i kaszę ze skwarkami, albo kluski z mlekiem jadał, wcale nie przykrząc sobie, król utrzymywał, że do wszystkiego był przyzwyczajony i naturze jego nie szkodzić nie mogło.

Dojeżdżając do Grodna, gdyśmy go wszyscy znużonym bardzo widzieli, a nogi na koniu zwieszone, coraz mocniej brzękły, chciał doktor Jakób namówić go, aby siadł do kolebki, która zawsze na wszelki wypadek szła za nami, ale się na to oburzył i zbурczał go.

— Cóż ty mnie za tak zgrzybiałego starca masz? — odparł. — Przypomnij lata ojca mego? Ja też naturę jego odziedziczyłem, pieścić się nie chcę. Lekarzem jesteś, więc wiedzieć to musisz, iż gdy człowiek pod piecem siedzieć, a zgnusnieje, sił się pozbysza.

— Miłościwy panie, — rzekł pokornie pan Jakób — prawdą to jest, ale kto się niezdrowym czuje, powinien być ostrożnym.

Jechaliśmy tak do Grodna z orszakiem wielkim, bo przeprowadzało Litwinów siła: Gastold, Tabor, Zabrzeziński, Gliński i wielu innych. W drodze ciągle o Moskwie i o wojnie, a o gotowaniu się do niej rozprawiano.

Postrzegłem to ja, com go dawno znał, że pospolicie milczący, albo krótko odpowiadający każdą rzecz, mówił teraz więcej, niż zwykle, i tak jakoś, jakby nie po dobrej woli, ale z utrapienia i gorączki.

Ostatniego dnia, gdym, jak zawsze, jechał tuż za królem, wioząc to, czego mógł potrzebować, że się mnie, jako niemego sługi, wcale nie strzeżono, a Kazimierz

otwarcie mawiał wszystko, wiedząc, że we mnie wpadnie to, jak kamień w studnię, pochwyciłem mowę jego do Gastolda, który przy boku pana był.

— Zgorzкло mi życie, wierzaj — rzekł do niego — Nie wiedło mi się w niem, a to, com zdobył, mogę powiedzieć, że krwią, potem i żółcią okupiłem... Patrzajże z tą Wołoszą, z Krzyżaki, z Tatary, teraz z Moskwą drzeć się muszę ciągle, chwili spoczynku nie mam. Chcę dla wszystkich dobra, czynię je, a nieprzyjaciół sobie jednam. W Litwie krzyczą, żem się Polakom zaprzedał.

— Miłościwy panie — chciał przerwać Gastold, ale mu król mówić nie dał.

— Tak jest; a w Polsce mnie Litwinem zwą i lają. Pan Bóg dał rodzinę, patrzajże... Kazimierza mi w kwiecie wieku wziął, a z Władysława nietylko pociechy nie mam, ale zgryzotę. Niewdzięczny, tak, że wyrzec się go będę musiał. Gdyby nie on, Olbracht byłby posiadał królestwo węgierskie, byłbym mój skarbiec osobisty do dna wymiółł, aby go wprowadzić do Budy. Tymczasem ten, który za moje pieniądze ma koronę czeską, wyrzywa mi Węgry. Olbracht też nie odpowiedział moim nadziejom. Zabrakło mu wytwalności... potłukli go raz, zrazil się i bez mej wiedzy rzekł się... za kawałek Śląska — Stru! mnie tem! — dodał — zabił! Marzyłem o połączeniu Węgier, Czech, Wołoszy, Polski i Litwy, a potem runęlibyśmy na pogan.

Król nagle głos zniżył, westchnął i urwał.

Gastold starał się go pocieszać, ale już mu nie odpowiadając, zatopił się w myślach.

W Grodnie mieliśmy jechać na łowy po dwóch dniach odpoczynku; wszystko było gotowe. Król sobie kazał przyprowadzić psy ulubione, patrząc, jak drogę odbyły ale do polowania nie przyszło.

Apetyt stracił, dostał boleści, a Jakób z Zalesia tak był niespokojny, iż po lekarzy do Krakowa gotów był słać, gdy myśmy jeszcze w tem nie tak niebezpiecznego ani szczególnego nie upatrywali. Chorował na żołądek.

Dawano wina różne, przyprawne i korzenne, nie

strzymywaly. Niecierpliwił się mocno, doktora fukał, sam na siebie się gniewał — słabł w oczach.

W tym stanie zdrowia i zgryzoty wszystkie czuł mocniej, nie rozchmurzył się na chwilę. Nocami sypialem przy nim. Słyszałem mruczącego coś przez sen, a może i na jawie; rzucał się niespokojnie. Pragnienie miał, a to, co pił, choć doktor sam gotował, szkodziło.

Jednego dnia obległ z wieczora wcześniej, niż zwykle, a nazajutrz rano miał nogi tak opuchłe, że wstać nie mógł. Chciał, wedle obyczaju, do łaźni; pan Jakób nie dozwalał.

Wdala się gorączka, a choróbsko rosło przez niecierpliwość jego, bo nie zwykł był ani chorować, ani leżeć.

Jakób z Zalesia chodził, ręce łamiąc. Co było w aptece podróźnej ziół, medykamentów, dryakwi, balsamów, próbował wszystkiego, nie skutkowało nic.

Gdyśmy tak biedowali, zrana przyszedł Zabrzeziński, a król, zwykle milczący, skarżyć mu się zaczął okrutnie, że tu już medyk głowę stracił i na żołądek nawet poradzić mu nie umie.

Zabrzeziński, chłop jak dąb, który pono w życiu swem nigdy z medykami i medycyną do czynienia nie miał, poczał na tych mądrałów wygadywać, iż więcej udają, niż umieją, a lud prosty i lada stara baba często ujmie jak ręką taką chorobę, której oni nie wiedzą, jak radzić.

— U nas tu — dodał — miłościwy królu, jest też prosty człek, braciszek, Bernardyn Symon, który często cudów dokazuje, a lada czem leczy. Ugotuje garść ziela, posmaruje tłustością i jak ręką odjął.

— A to dajcież mi go! dajcie! — przerwał król — zlitujcie się. Jakób mój głowę stracił, na miłość Boga! a prędko... klasztorowi i jemu zawdzięczę.

Posłał zaraz po Symona Zabrzeziński, ale mnich, gdy się dowiedział, że go do króla wziąć chciano, przełąkł się i schował.

— Niech Bóg uchowa, abym ja, nieuk, miał pana mojego leczyć — wołał.

Zaczęto mu dowodzić, że Jakób z Zalesia sam już nie wie, co czynić, opisano chorobę, naostatek opierającego się, drżącego i przestraszonego pod wieczór niemal gwałtem na zamek ściągnięto.

Popatrzywszy nań, jakoś mało otuchy nabrałem; opasły, zdrów, czerwony, wyglądał, jak parobek, i w oczach mu nie świeciło nic. Leczyć mu było może lud prosty, ale nie pana naszego.

Kazał zaraz, zamiast innej strawy, grubego razowego chleba przynieść i gruszek gotować. Gruszek zaś dojrzałych w początku czerwca u nas nie dostać, krom lichych, robaczkliwych i małych. Leku zresztą nie dał żadnego, oprócz tego chleba ościstego i gruszek.

Zobaczywszy to, pan Jakób osłupiał, bo na słaby żołądek króla była to strawa ciężka i zbójcka. Ale mnich Symon uśmiechał się i stał przy swoim.

Nazajutrz po gruszkach i chlebie pogorszyło się znacznie, Bernardyn trwał przy tem, że to przejdzie, a dobrym znakiem jest, iż medycyna skutkuje.

Trzeciego dnia spotykam u drzwi pana Jakóba z rękami załamanemi, oczy utopił w ziemię i płacze. Schwyciłem go za rękę.

— Co wam?

— Co? Dla króla niema już ratunku! — odparł, — nie powiadam ja, żeby go chleb ten i gruszki głupie ubiły, bo i wprzód było źle, ale teraz wyjścia niema... Umrzeć musi!

Mnie, com ani przypuszczał, ażeby się to mogło tak skończyć, znając dobre zdrowie i siły pana, strach i boleść ogarnęły takie, żeś szlochać zaczął.

— Możeż to być? — Niemasz sposobu...

— Niema — rzekł doktor. — Nogi coraz więcej puchną; gorączka wielka... z każdą godziną gorzej.

Wiadomość ta, której doktor nie tail przed nikim, w mgnieniu oka się rozbiegła po dworze całym i niepokój wzbudziła niezmierny. Jedni chcieli ślać do Krakowa, drudzy do Wilna, do synów, do królowej, aby przyywali.

— Ale to daremna rzecz — odezwał się doktor —

bo go nie zastaną. Godziny policzone, niewiele ich już jest.

Gastold pierwszy odezwał się z tem, że jeśli zagrażało nieszczęście tak wielkie i nagle, pierwszemu królowi o tem należało powiedzieć, bo mógł mieć do pozostawienia takie rozkazy i wolę, które królestwu i spokojowi duszy jego potrzebne są.

Dnia tego Kazimierz już ani chleba, ani gruszek tknąć nie mógł, a biedny Bernardyn zniknął. Zabrzeziński siebie i jego przeklinał. Wieczorem gorączka się wzmogła.

— Doktorze, — zapytałem pana Jakóba — jak długo król żyć może?

— Alboż ja wiem? — odparł, — trochę dłużej lub krócej męczyć się może, wedle siły; tylko to pewna, że już z łoża tego nie powstanie!

W nocy oprócz innych, czuwałem i ja przy nim. Cierpiał mocno, lecz w tej ostatniej godzinie, dziwna a osobliwa rzecz, jak gdyby miał przeczucie nieodwołalnego końca, uspokoił się i odzyskał tę wielką władzę nad sobą, jaką miał w życiu całem.

Wychudła twarz jego nawet nie zdradzała boleści. Sen miał niespokojny, pragnienie; dawaliśmy wodę przygotowaną z chlebem i odrobinę wina.

Nadzedniem, a u nas w tej porze roku wiadomo, jak zawczasu dnieje, król westchnął, otworzył oczy i spojrział na mnie. Patrzył długo, jakby mu niełatwo było zebrać myśli; potem ręką skinął, przystąpiłem do łoża.

— Przyprowadź mi doktora Jakóba — rzekł głosem słabym.

W drugiej izbie drzemał Zaleski, o stół oparty; zbudziłem go tem, że król wołał do siebie. Szedł zaraz ze mną.

Miał już chory tak mało siły, iż do ust się kazał doktorowi przychylić.

— Niema na śmierć lekarstwa — rzekł cicho. — Czuje, że mi bardzo źle, że bodaj ostatnia zbliża się godzina. Nie tajcie tego przede mną.

Zawahał się lekarz.

— Nakazuję, mów prawdę; dzieckiem nie jestem, a życie nie tak słodkie, aby po niem boleć wielce. Chcę wiedzieć, abym i duszy mojej radził i co mam do rozporządzenia, dopełnić. Masz jaką nadzieję? — powtórzył na schyłonego lekarza.

Pan Jakób milczał, nie podnosząc głowy, nie śmiejąc jeszcze ust otworzyć. Znaczące to było milczenie.

— Mów—dodał król—mów!

— Nie mam żadnej nadziei — odparł lekarz, ręce łamiąc—nie mam!

Chwilę król się nie odzywał.

— A więc u m r z e ć! — dodał spokojnie.

Nie widać było, aby ten wyrok na nim uczynił wrażenie wielkie, śnać się go spodziewał.

Gdy rozedniało więcej, naprzód posłał po kapełana spowiednika. Chciał się na śmierć przygotować.

Zdawało się, jakby pewność ta, iż żyć już nie może, uspokajająco wpłynęła na niego. Co chwila kogoś kazał przywoływać, czemś rozporządzał, coś zapomnianego wznawiał, posyłał... niektóre rzeczy, z tych, które miał w drodze, rozdawał nam.

Plakaliśmy.

Z kolei Polacy, Litwa, urzędnicy, dwór, ile nas tam było, mieniali się przy łożu. Król to drzemał, jakby znudzonym był wielce, to się ożywiał i mówił przytomnie.

Trwało to do wieczora; jam łoża jego nie odstępował. Nadeszła prawie noc i siedziałem jeszcze w ciemnym kącie ukryty, lży ocierając, gdy ostrożnie i pocichu wszedł Gastold i przystąpił do łoża króla. Poczuiwszy go przy sobie, Kazimierz oczy otworzył.

Patrzałem, jak się Gastold schylił ku niemu i coś szeptać mu począł. Prosić się zdawał.

Żywo poruszył się król, tak, że głowę podniósł... i dał znak przyzwalający, ale z niepokojem jakimś.

Wtem Gastold, powróciwszy ku drzwiom, chwileczkę się w progu zatrzymał.

Izba była przyciemniona, parę świec zakrytych paliły się w kącie. Na progu ukazała się niewiasta, za-

kwefiona cała. Na widok jej, choć twarzy widzieć nie mogłem, dreszcz przebiegł po mnie.

Poznałem ją, albo raczej przeczułem — była to matka moja! Szła, podtrzymywana przez brata, chwileczkę się, z głową pochyloną, aż do łoża samego i przy niemu padła na kolana. Król wychudłą rękę wyciągnął ku niej i ledwie dosłyszany szept doszedł do uszu moich:

— Przebacz!...

Nawojowa, schylona nad ręką tą, jęczała, wstrzymując łkanie, mówiła coś, lecz nic już pochwycić nie mogłem. We mnie wszystko kipiało i głowa się zawracała.

Jakim cudem ona tu znaleźć się mogła w tej godzinie, jaką łaską Bożą natchniona przyszła z tem przebaczeniem, którego tak długo serce jej dać nie chciało.

Gdy mi się w oczach ćmiło, jak widziadło senne, przesunęła się znowu ta postać i znikła.

Usłyszałem króla słabym głosem wołającego mnie. Pobiegłem do łoża. Nie rzekł nic, tylko pochylonemu na głowie rękę położył, jak gdyby błogosławił. Lży mu biegły po twarzy, a ja — ja nie wiedziałem, że żyję.

Wtem pan Jakób podszedł do łoża i poprawując nakrycia, przypatrywał się królowi. Dał mu napój chłodzący, radził sen i spoczynek.

— A zbudzę ja się jeszcze? — spytał Kazimierz.

Doktor potwierdził to. Usunęliśmy się nieco dalej; król, zdawało się, że drzemać zaczął. Był dziwnie spokojny, oddech tylko żywszy, ciężki, przestraszał nas.

Całą tak noc w milczeniuśny przesiedzieli u łoża, czatując, czy nie zażąda czego, ale spał ciągle, nie poruszał się nawet, oddech, zrazu tak przyspieszony, zwolniał, ucichał...

Przez błony okien wpadał brzask pięknego dnia czerwcowego, gdy doktor Jakób na palcach się do łoża zbliżył i spojrzawszy na bladą twarz króla, dotknął zwieszanej ręki.

Była zimna, jak lód—król nie żył.

Tak skończył życie ten męczennik dumny, co się nawet nie skarżył i rzadko gorzki wyraz z ust mu się wyrzy-

wał. Śmierć przyszła we śnie, przynosząc z sobą spoczynek.

Nigdy mi może nikczemność serc ludzkich i niestałość przywiązania nie stała obrzydliwiej w oczach, jak w tej godzinie. Pan ten, przed którym wczoraj chodzili wszyscy zgięci i pokorni, oświadczając wielką miłość swą, leżał jeszcze na łożu, gdy już każdy tylko o sobie myślał.

Litwa, poruszona niezmiernie, nie o śmierci pana, ale o wyborze nowego namiętnie się naradzała. Znaczniejsza część chciała natychmiast ciągnąć do Wilna, inni po Aleksandra. Panowie polscy też do Krakowa się rwali, jedni do królowej, drudzy do swych przyjaciół, z którymi pilno im było radzić natychmiast o nowym wyborze.

Gdyby nie przyboczna służba i komornicy pańscy, ledwieby było komu pomyśleć o trumnie i pogrzebie.

Wszystkim się w głowach pozawracało, a każdy zdradzał się mimowolnie, iż o tem myślał tylko, jak z tej nagłej śmierci skorzysta. W całym zamku wrzawa, biegania, nieład, nieposłuszeństwo, tak, że podkomorzy, zagrozić musiał, aby ład przywrócić.

Nawet z pogrzebem nie było zgody. Chcieli jedni prowadzić ciało do Wilna, panowie polscy i ci, co z królową trzymali, do Krakowa na Wawel. Inaczej nie powinno było się stać, a pogrzeb mógł też dla rodziny serca otworzyć i dla nieboszczyka obudzić miłość. Często się ona dopiero przy trumnie rodzi.

Nie miałem prawie czasu do wieczora pomyśleć o tem, że mi też matki szukać należało i widzieć ją, jeżeli przy Gastoldzie, bracie swym, zechce mnie przypuścić. Nielatwo mi się było dowiedzieć o jej gospodzie, a że ta w mieście dosyć od zamku daleko położoną była, jechałem konno, Sliziaka naprzód chcąc wyszukać.

Gastolda brata nie zastałem już; śmierć króla zmusiła go co najrychlej pośpieszać do Kijowa i przed kilku godzinami z Grodna wyjechał.

Matkę zastałem we łzach, na klęczkach modlącą się. Gdym wpadł, odwróciła się do mnie, ręce rozpostarła i uścięgnęła, za szyję chwyciwszy. Lży długo słowa wyrzec

jej nie dawały. Zaczęła potem pytać o ostatnią godzinę. Opowiedziałem o błogosławieństwie i o spokojnym zgonie we śnie.

— Porzućże teraz dwór— odezwiała się; — dosłużyłeś mu wiernie do śmierci, nie masz już tam co robić. Jedź ze mną!

Musiałem się tłumaczyć, iż samowolnie odbiedz od ciała nie mogę, bo nam przypada obowiązek odprowadzenia do Krakowa. Nie upierałem się zresztą przy dworskiej służbie dalszej, anim jej żadnym był, chociaż przewidywałem, że Olbracht odpuścić mnie nie zechce.

Wdowa oświadczyła mi na to, że i ona gotową jest ciągnąć za nami do Krakowa, czemu się sprzeciwić musiałem już dlatego, aby serca sobie tem nie psuła, a i dla niewygód podróży przy licznych orszaku który na gościńcu gospody musiał zajmować i wszystko zjeść, co gdzie dostać było można.

Uprosiłem więc, aby natychmiast, poprzedzając nas, udała się do Krakowa. Ledwie się to stało, a jam nazajutrz wyprawił ją z Grodna, gdy wrędcę i my pociągnęliśmy powoli z ciałem królewskim.

Wszędzie je duchowieństwo, rycerstwo i lud pospolity spotykał, towarzyszyli nam kapłani, żal się zdawał powszechny, lecz niemy był jakiś i serdeczności w nim się nie czuło. Ten sam los, który mu towarzyszył za życia, ścigał go i po śmierci. Żalowano go, bo nim nowy pan miał nastać, kraj był bez rządu i sądu. Trwożyło to ludzi, ale po dobrym i sprawiedliwym monarsze nie płakał nikt.

Natychmiast po śmierci pańskiej wyprawiono gońców do Krakowa z tą smutną wieścią. Olbracht po powrocie z nieszczęśliwej wyprawy właśnie się tam znajdował. Na niego oczy wszystkich były zwrócone. Zdawało się najpewniejszym, że nie kto inny, tylko on, wybranym zostanie.

Litwa tymczasem słała na gwałt dla siebie po Aleksandra, chcąc pośpieszyć z osadzeniem go na stolicy. Głośno się odzywano, że sami sobą rządzić się muszą i na Polskę oglądać nie myślą.

W tem ciągnięciu z marami, gdy się powolnie zbliżamy do stolicy, w cztery dni przed przybyciem do niej nadbiegł Bobrek od Olbrachta z żądaniem do ochmistrza dworu, aby mnie odpuścił i natychmiast śłał do Krakowa.

Nie było z tem trudności, lecz się zafrasowałem tą łaską pańską, widząc, że ani chce, ni myśli mnie zwolnić ze służby.

Jechaliśmy więc przodem z pośpiechem wielkim. Dopytać mi było trudno, po co mnie tam żądano; tom tylko z niego dobył, że choć królowa za Olbrachtem stać będzie, w Krakowie się już wieści rozchodziły, że nie wszyscy go sobie życzą. Wiedziano o tem dobrze, iż duszą i ciałem oddanym był Kalimachowi, a do Włocha nienawisć rosła ciągle.

— Jaki nauczyciel, taki uczeń! — mówiono, i jedni Aleksandra, drudzy Zygmunta życzyli, a nawet o Piaście mówiono.

Dziwnem mi się to wydawało.

Zaledwie przybywszy na Wawel, tak, jakem stał, musiałem iść do królewicza.

Izba zamkowa, w której przyjmował, pełną była, jak nabita, ludzi wszelkiego stanu. W krześle za stołem z dumną miną królował Kalimach niezmiernie czynny.

Olbracht z zarumienioną swą twarzą, w odzieży zaniedbanej, chodził od jednej gromadki swych gości do drugiej. Przynoszono mu wieści, wychodziły stąd rozkazy.

Choć nie umiał nigdy Olbracht bardzo brać do serca żadnej rzeczy, ani długo się nią frasować, postrzegłem z twarzy jego, iż zaniepokojony był.

Zobaczywszy mnie, pośpieszył do progu.

Pytał naprzód o ojca, o to, czy nie mówił co o nim, czy rozkazów jakich komu nie wydał. Rozpowiedziałem o podróży, chorobie i zgonie, dodając, że Litwa myśli pośpieszać i Aleksandra pochwyć, a z nim się bodaj odłączyć.

Olbracht, słysząc to, spojrzał na Kalimacha, który rzekł obojętnie:

— Niech próbują, sami się potem do unii prosić będą... Dziś temu zapobiedz trudno... Mamy tu co czyścić i pilnować się, aby nam prymas i Krakowianie nie wprowadzili Piasta!

Okazałem zdumienie.

— No, tak! — zawołał Olbracht — przypomnieli sobie dawnych panów, ale tych my nie dopuścimy!

— Gdyby wistocie królowa i wasza miłość skarb i zaciągi mając w rękę, dozwoliliście na pochwycenie sobie z misy pieczeni, nie warcibyście byli jej spożywać — odezwał się Kalimach.

Gawiedź, której izba była pełna, a przy której mi na pytania odpowiadać nie miłem było, poczęła się rozchodzić. Wtem zwrócił się do mnie królewicz.

— Ja ciebie potrzebuję — odezwał się — u ojca skończyłeś służbę, u mnie ją teraz począć musisz. Cenię cię dlatego, że umiesz milczeć i tajemnicy dochować. Nie puszczę cię, Jaszko... nie puszczę.

— Znajdziesz teraz miłość wasza wielu nade mnie lepszych, młodszych i dogodniejszych... chciałbym spocząć.

— Ani myśl — zawołał Olbracht; — uczynię ci służbę lekką, nagrodzę sowicie, ale potrzeba mi zaufanego człowieka i do pióra i z językiem. Miałbyś mnie w takiej właśnie chwili opuścić... ledwie nie powiem, zdradzić?!

Gdym się ociągał jeszcze z odpowiedzią, dodał:

— Potem się rozmówimy obszerniej... dziś ci to tylko oznajmuję, że nie puszczę, że gwałtem zatrzymam. Ludzi nie mam... zaufać nikomu nie mogę.

Zmilczałem przyzwalająco.

W tej chwili wsunął się do izby, a raczej wpadł od progu już żywo coś mówiąc, biskup Fryderyk. Przywitał i on mnie ze zwykłą sobie słodyczą, ale i z dumą, która go cechowała.

Wszyscy trzej z Kalimachem po cichu się naradzać zaczęli. Chciałem odejść, Olbracht mnie zatrzymał. Któżby uwierzyć mógł, że w takiej chwili, wśród tej załoby, przy troskach o koronę, szepnął mi, iż chce, abym

mu do Leny towarzyszył. Spojrzałem nań tak wyraziście i ostro, z takim wyrzutem, iż się zawstydzil i w żart to obrócił.

Nazajutrz pobiegłem do matki, która po podróży leżała w łóżku. Musiałem się jej przyznać do tego, że Olbrachtowi oprzeć się nie potrafię przynajmniej dopóty pomagać, dopóki korony nie otrzyma.

Całą kamienicę pod złotym dzwonem okrytą żalobą znalazłem. Nie było u nas nikomu wzbronionem po panujących jej wdziawać i nosić, owszem wielu z nich tak opłakiwano nie tylko kapturami, ale kirem. Izba Nawojowej była nim cała wybita, ona sama w czerni grubej, podobnie służba, kolebki i uprząże. Mnie też kazała natychmiast wdziać kir i nie rzucać go do roku i niedzieli sześciu.

Pochwycony tak przez Olbrachta, ledwie mogłem na chwilę zbiedz czasem do matki, tyle było do czynienia, pisanie i układanie.

Zaledwie ciało przywieziono do Krakowa, gdy o pogrzebie uroczystym wedle obyczajów i zwyczajów dawnych myśleć było potrzeba. Zachowano przy obrzędzie tym wszystko, co należało królowi, lecz ci, co pamiętali, i słyszeli o składaniu zwłok dawnych panów, utrzymywali, że ani wspaniałości ich, ani liczby towarzyszących, ani jałmużny, jak się należało, nie było na tym pogrzebie. Umysły zaś tak niespokojne, poburzone wszędzie się okazywały, iż czasu obrzędu nawet więcej mówiono o przyszłym żywym, niż o zmarłym monarsze.

Z testamentu ojca rad nie był wydziedziczony Władysław, a po nim i Olbracht. Najmniej mu z tych stu tysięcy czerwonych złotych, które w skarbcu zostawił, zapisał ojciec, choć on ich teraz najwięcej potrzebował.

Ledwieśny króla pochowali, a zaczęli się wybierać zajmować, który coraz niepewniejszym się wydawał, gdy 29 lipca spłonęła część miasta, co też za niedobry *omen* wytłumaczono.

Ogień się wziął z domu Mikoszy przy Szewskiej bramie, do którego poszedł około św. Anny kościoła i wiele dworów w popiół obrócił. Spaliło się i *Collegium*

artistarum majus, na którym tylko co kosztem wielkim osadzony był zegar.

Ze śmiercią króla Kazimierza skończył się dla mnie trzeci okres życia mojego, ten, który o przyszłości człowieka stanowi, bo czego się w nim nie dorobi, tego już nie zdobędzie nigdy. Nie mogę powiedzieć, abym wiele zyskał w nim, chyba tem, że cierpiał dosyć, a wszelkie cierpienie nauką jest. Nauczyłem się też znosić w milczeniu, nie buntować przeciw losowi, ani zbyt wiele dla siebie pragnąć. Z początków moich wróżąc, tego, co teraz miał, wcale się spodziewać nie mogłem. Król obdarzył mnie dobrym szmatem ziemi, więcej jeszcze winieniem był matce mojej. Teraz więc, gdy się powoli zęby psuć zaczynały, przyszedł chleb, którego nie było czem ukącić. Dla mnie samego miałem aż nadto, a straciwszy Luchnę i starzejąc, pary sobie dobrać na starość ani się spodziewał, ani żądał.

Komu to było zostawić? Miałem zamiar wyszukać sobie sierotkę, wziąć ją, usynowić i jemu po sobie przekazać spuściznę.

Matka jednak nalegała mocno, abym się żenił, ukazując mi przykłady tych, co w daleko późniejszym wieku szli do ołtarza i byli szczęśliwi.

Nie sprzeciwiając się jej, tymczasem musiałem i ją cokolwiek zaniedbać, i o sobie zapomnieć dla Olbrachta. Miał on przy sobie poddostatkiem gawiedzi do kufla i do śmiechów, ale najlepiej to sam rozumiał, że niemi się w niczem posłużyć nie było można. Wszystko więc spadało na mnie. Że mi za to złote góry obiecywano, o tem już nie mówię; gdyby wistocie Olbracht miał je, pewnieby i blaznowie, uwijający się ich nie żałował. Rozrzucił haniebnie, a pochlebcy koło niego, korzystali z tego.

Jużem to mówił, lecz od powtórzenia się wstrzymać nie mogłem, jak mąż takiego rozumu, umysłu bystrego i nauki, smakować mógł w nieukach, trefnisiach i najpospolitszej gawiedzi? Dwoisty był, jakim rzekł, podczas mąż poważny i rozumny, a tuż lekki i dziecinny niemal, dla zbytnej krewkości. Lada trafne błazeństwo i lada twarzyczka świeża brały go za miękkie serce. Prawda, że

też z wyjątkami niewielu, stale się do niczego nie przywiązywał.

Ponieważ pieniędzy ze skarbca prywatnego króla nieboszczyka na gwałt było potrzeba, zaraz otworzono testament i co przy nim było dopisków różnych, gdyż król o nikim ze sług swych nie zapominał. Jam się już niczego nie spodziewał, bom był obdarowany za życia jednakże okazało się, iż z szat, koni, siadzeń i zbroi, i mnie się coś dostało, a najprzedniejsza była szuba, kunami podbita, jedwabiem kryta, którą król sam nosił, ale nie więcej, jak parę razy. Koni też ze stajni dzielnych dostała mi się para.

O innych nie zapominał Kazimierz także. Jednemu Władysławowi czeskiemu na zawinięcie palca nie dał nic, a nawet wzmianki o nim nie uczynił w testamencie, jakby go na świecie nie było. Aleksandra, Zygmunta i Fryderyka części były znaczniejsze, Olbrachtowa szczupła bardzo, czy dla rozrzutności jego, czy może, iż na tron wstępując, mniej potrzebował. Lecz teraz dopiero, po śmierci króla, okazało się, czego nikt na świecie przewidywać nie mógł, że wybór Olbrachta był bardzo wątpliwy. Obyczajem dawnym należało mu po ojcu na tron wstąpić, ale z rycerstwa jedni twierdzili, że im w królewskiej rodzinie wybór był pozostawiony, na co ciągnęli przykłady z kronik, a drudzy, dalej idąc, żądali Piasta.

Znaczyło to, przy wyborze na Litwie Aleksandra, o który się starano w Wilnie, zerwanie z nią zupełne i jakby wygnanie Jagiellów na ich dawne dziedzictwo.

A chociaż nie wydawano się z tem głośno, wiadomem było, że arcybiskup gnieźnieński, Zbigniew z Oleśnicy tak samo, jak stryj jego, kardynał, za Piastem ciągnął. Dochodziły już do Krakowa wieści, że na zjazd wielki, na którym króla okrzyknąć miano, jeden z książąt mazowieckich gotował się w tysiąc koni i miał za sobą spory lik drobnej szlachty, kilku biskupów swych, a co najgorzej, arcybiskupa, który choć chory już był i ciężko się poruszał, miał wpływ wielki i ludzi swych zynnych.

Królowa matka, która w początkach wierzyć na-

wet nie chciała, aby po długiem panowaniu męża jej a więcej, niż stuletniem rodu Jagiellów, mogli Polacy pomyśleć o nowej dynastyi, przekonawszy się, że w istocie na to się zanosiło, a wiedząc, że Olbracht lekceważył sobie niebezpieczeństwo, z niezmierną energią wzięła się do dzieła. Zawołała do siebie Kalimacha, skupiła wszystkich przyjaciół nieboszczyka, ściągnęła co mogła pieniędzy i nie spoczęła teraz ani na chwilę. Olbracht zaś, widząc, że go matka tak dobrze wyreczy, tem mniej dbał i sam się zajmował wyborem swoim.

Zdawał się być albo tak swego pewien lub mało sobie ważyć, będzie-li królem czy nie, iż często słuchać nie chciał najważniejszej wiadomości, a gdy tylko mógł, do Leny uciekał i tam się zabawiał.

Z tego, com ja między ludźmi mógł się dowiedzieć, co i w mieście powtarzano i ziemiańie przywozili, widać było, że głównie szkodził Olbrachtowi Kalimach.

Niecierpiano go, jako nieprzyjaciela rycerstwa i możnych, za nieboszczyka króla, kiedy się aż na życie jego targnąć chciano — teraz zaś, wiedząc, że Olbracht był mu oddany duszą i ciałem, obu pozbyć się usiłowano.

Ponieważ przed zjazdem wieści krążyły tak różne a mętne, iż z nich mało prawdy wyrozumieć było można, Olbracht mnie razem z Bobrkiem w świat wyprawił, byśmy mu języka przywieźli, jak rzeczy stały.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

Tom IV.

Mało co czasu zostawało do naznaczonego na 15 sierpnia zjazdu w Piotrkowie, jak że my z Bobrkiem, aby się przekonać, jak szlachta myśli i kto jej przewodzi, musieliśmy lecieć, jak oparzeni, chwytając w lot słowa, zgadywać, co się gdzie gotuje, aby królowa z biskupem Fryderykiem mogła coś radzić na to; bo na samego Olbrachta, który sobie ze wszystkiego drwił, spuścić się nie było można. Ścisnął i całował matkę, dziękując jej za opiekę, bratu żartobliwie obiecywał, że gdy królem zostanie, to się go postara papieżem zrobić — a co się miało stać, o to się bynajmniej nie frasował! Słuchał piosnek, śmiał się z żartów i popijał sławne piwo Piątkowskie, które i Fryderyk lubił.

Gdym, zbiwszy się haniebnie na siodle, z mojej wycieczki z doniesieniem powrócił, a królowa, mlody Fryderyk i Zygmunt natychmiast się zebrali słuchać, cośmy przywieźli, dla porównania z tem, co do nich inną doszło drogą — Olbracht, jakby mu wcale nie było pilno, począł się z mojej sukni podróźnej wyśmiewać i najpierw pytanie zadał, gdzieśmy najlepsze piwo pili?

Mnie już to lekceważenie głównej sprawy, dla której wszyscy pracowali, tak podrażniło, że na to odpowiedział sucho:

— Warzą dopiero piwo dla miłości waszej i o tośmy się dowiadywać jeździli, a o innem nie wiemy nic.

Uderzył mnie po ramieniu.

— Gadajże, co przywozisz! — rzekł.

A było o czym. Widzieliśmy, że z naprawy Oleśnickiego, Janusz z bratem Konradem do Piotrkowa w tysiąc koni rycerstwa i z tłumem drobnych panoszków ciągnęli niedarmo.

Choć Wielkopolska królowi nieboszczykowi była powolną, a no teraz odezwano się i tu przywiązanie do dawnych panów, Kazimierzowi zadawano, że kraj wojnami niszczył, że zamki i grody zostawił zaniedbane w ruinie, a nawet, że tego zbója Szafrąca, co kupców rozbił i zabijał, ściąć kazał. Kładziono na jego karb i śmierć Tęczyńskiego i oderwanie ziem dla Litwy i wiele innych grzechów. O Olbrachcie zaś mówiono, że gorszym jeszcze będzie, bo bez Włocha doradcy stąpić nie może.

Oprócz tych, co Mazowieckiego Piasta prowadzili, inni dlatego, aby się Litwa nie oderwała, Aleksandra wybierać chcieli, aby znowu obu krajom panował; naostatkiem Rafał Tęczyński, marszałek i reszta panów z Tęczyna, a z nimi Krakowianie, woleli już Zygmunta, niż płochego Olbrachta. Nikomu nie było tajemnicą, jakie życie prowadził, toby mu jednak przebaczone łatwo lecz Kalimacha ziemianie nie chcieli, czując, że w nim mieli nieprzyjaciela.

Zaledwie kilkanaście dni czasu pozostawało do zjazdu w Piotrkowie. Królowa dała swoich pieniędzy aby zaciągi powiększyć i przynajmniej dwa tysiące zbrojnych dać synowi, które Fryderyk miał prowadzić, bo się sam do tego gorąco nastęrczał. Naprędce jednak pościągawszy, co było można, nad tysiąc sześćset koni się nie zebrało. Oprócz tego było własnego Olbrachtowego dworu głów do dwóchset, ale niewiele wartych, tyle tylko, że zuchwałych.

Postanowiono się do Piotrkowa nie opóźniać, zamek i miasto zając, tak, aby Mazurów i co było niechętnych zepchnąć na przedmieścia.

Olbracht zaś miał o to wielkie staranie, aby piwa i wina było pod dostatkiem dla zgromadzonych, wiele na to licząc, gdy im upusty otworzy.

Choćby rad pewnie wieść z sobą Kalimacha, nie mógł się ważyć na to. Włochowi-by tam nie tylko wielkie

groziło niebezpieczeństwo, aleby niechybnie życie postradał. On też sam przestraszony, ostrożny, wołał się zamknąć na Wawelu i tu czekać końca.

Tak stały rzeczy, gdyśmy w same skwary sierpnio-we ruszyli nareszcie taborem wielkim do tego Piotrkowa. Olbracht, choć na dwoje wrócono, co go tam spotkać może, jechał tak wesół i swobodny, jakby wcale o nic nie dbał.

Tysiąc kilkaset zbrojnej komitywy prowadził biskup krakowski, a ktoby na koniu wówczas widział młodego, rażnego, rycersko wyglądającego, nie odgadłby w nim pasterza duszyczek.

Jemu to była uciecha wielka, nowość, rozrywka, której sobie odebrać nie dał Zygmuntowi starszemu, ofiarującemu się też prowadzić ludzi.

Pośpieszaliśmy tak dobrze, iż jak było powiedziano, zamek i miasto zajeliśmy całe i obsadzili swoimi. Beczki też w porę nadeszły. Kardynał Fryderyk umyślnie się przyzostawszy za nami, miał przybyć dopiero, kiedy się już ziemianie gromadzić zaczęły.

Zjazd był nadzwyczaj liczny, a szczególnie Mazurów i Wielkopolan zwlekło się siła i mazowieccy panowie w tysiąc koni. Wojsko to nie było bardzo okazałe, licząc tylko groziło. Czy książęta byli uwiadomieni o sile, którą prowadził Fryderyk, nie wiem — ale gdy ona się okazała, nadeszła i obozem położyła, bardzo im ubyło rażności i buty.

Tymczasem Olbracht po swojemu sobie serca pożył. Zapraszał panów, ugaszczal, z ziemianami ubogimi przepijał, śmiał się, żartował i można go było niedługo wziąć za prostaczka.

Naprzód tedy ci, co Aleksandra chcieli, poczuili się w tak małej liczbie, że nawet nic począć nie śmieli. Tęczyńscy, którzy sobie Zygmunta życzyli, zrazu dosyć pociągnęli za sobą, ale jawnem było, że Zygmunt przeciwko bratu występować sobie nie życzył, że królowa też popierała starszego, a drobniejsi panoszkowie ujęci poufałem obejściem się Olbrachta, poczynali się skłaniać ku niemu.

Pomogło i to, że Kalimacha nie było, a rozpuszczono wieść, jakoby do swej ojczyzny miał powrócić i już w Polsce się nie ukazywać.

Próbowali Mazury, mając tajemne poparcie arcybiskupa, zalecać swoich książąt, ale że Zbigniew z Oleśnicy dla puchliny, na którą cierpiał, sam przybyć tu nie mógł, a od siebie nie przysłał nikogo, coby skutecznie mógł przedsięwziąć, i że myśmy biegali, poili, namawiali, pilnowali i straszili, gdy przyszło do okrzykiwania, a nasi pierwsi Olbrachta obwołali, huknęli, zagłuszyli innych, i nikt już głosu podnieść nie śmiał. Mazury, uszy pospuszczawszy, widząc, że najmniejszej nadziei mieć nie mogą, wołali, jak drudzy.

Olbracht był na to przygotowany, aby gdy go okrzykną, wielką uczcią cały ten tłum ugościć. Nie żałował na to. Jakby cudem stanęły stoły z desek, całe niecki mięsiwa, całe stopy chlebów, wina, piwa i miodów, nietylko, cośmy z Krakowa przywieźli, ale co Piotrków i okolica miała. Myśle, że potem parę miesięcy najmniej samą wodę pito. Więc wesele wielkie, ochota, śpiewy, a przytem i zwady i bójki do białego dnia trwały.

Mnie nowoobрани król wyprawił zaraz z pismem do Gniezna do arcybiskupa, oznajmując mu o wyborze i upraszając zarazem, ażeby obyczajem dawnym zjechał na koronację do Krakowa.

Wprawdzie biskup krakowski, brat Fryderyk, chętnie ofiarował się go zastąpić, ale tego sobie nie życzyła ani królowa ani Olbracht.

Niemal rad byłem, z Piotrkowa się wyrwawszy, gdzieś od krzyku na poły ogłuchł, od wołania ochrypl, a od bezsenności i trudu mało nie oszalał, wytechnąc nieco w podróży do Gniezna. Drugiego tedy Zbigniewa z Oleśnicy mało i zdala tylko widywałem, więc i ciekaw byłem do stryja go przymierzyć. Wiedziałem od Kalimacha, że z nim był w listowaniu i dobrych stosunkach, choć Kalimach Olbrachtów był, a arcybiskup Jagiellonów jak stryj nie lubił.

Gdyś z listem do Gniezna nadążył, naprzód mi oznaj-

miono, iż arcybiskup chorzał a cierpiał wiele i czekać musiałem godziny, aż do niego przystąpić będzie można. Nie trwało to wszakże długo i zawołano mnie do arcy-pasterza.

Siedział w krześle wielkiem z okrytymi nogami, z twarzą obrzękłą, ale mąż wielkiej powagi i zaraz po nim widać było, iż świata i ludzi wiele znał, że oglądę miał pańską. Dwór też około niego i wszystko, co go otaczało, godnem było ksiąźęcia Kościoła.

List, który wiozłem, i ja byliśmy tu pierwszymi zwiastunami wiadomości o wyborze Olbrachta. Arcybiskup, co nie tajem nam było, Mazurów popierał, ale najmniejszego nie dał po sobie znaku, aby nawet świadom był ich pokuszenia się.

Na list króla rzuciwszy okiem, głosem spokojnym rozpytywać mnie zaczął o wszystko. Ja też, trochę głup-taszka udając, od tegom zagaił, żem podziwienie wyraził ze zjawienia się Piastów, którzy się też do korony stręczyli, naówczas gdy ona od przeszło stu lat w rodzinie Jagiellów była. Arcybiskup wysłuchał tego, głową poruszając i niby też wyrażając swoje podziwienie.

Ciągnąłem dalej o sile, jaką z sobą przyprowadzili, a razem o rycerstwie, które otaczało Olbrachta, o różnych głosach za Aleksandrem i Zygmuntem, kończąc tem, iż przecie jednogłośnie i bez sporu a swaru Olbrachta obwołano.

Oleśnicki, wszystkiego tego wysłuchawszy, wziął raz jeszcze do rąk list króla, odczytał go, złożył i długo myślał, nic nie odpowiadając. Potem odsłonił mi zgrubiałe i strasznie opuchłe nogi, wskazał na nie i wzdychając, rzekł głosem stłumionym:

— Patrzajże, dziecko moje, jaki to ja jestem i czy mogę jechać na koronację, a trud ten znieść przy chorobie mojej...? *Ultimis spiro!* Życia we mnie niewiele.

— Królowi wielce idzie o to — rzekłem, — aby z rąk arcy-pasterza otrzymał tę koronę. Sądzę też, iż dla zachowania prawa, które gnieźnieńskiemu pasterzowi przysługuje, należy coś uczynić. Naostatek i to dodać muszę, iż ludzie złośliwi a potwarcy w Piotrkowie się z tem no-

sili, jakoby wasza pasterska mość Piastom był przychylny.

Zmarszczył się Zbigniew i poruszył żywo.

— Cóż znowu—przerwał mi, — albo nie widzicie, że przykutą i obezwładnioną, a Boga chwając, w świeckie sprawy wcale się już nie wdaję!

Poruszył ramionami.

— Piastom już nie więcej nie pozostało, jak spuścić na imienia ich, z którym powoli do grobu poschodzą, raz straconego nie odzyskawszy.

Chwilę jeszcze badał mnie potem o rzeczy obojętne, pytał o Kalimacha, którego przyjacielem swym nazwał, czy on w Piotrkowie się też znajdował.

— Ważyć się na to nie mógł—rzekłem.—Mąż ten wielkiej nauki, któremu młodszy królewicze zawdzięczają to, co umieją, tyłu sobie nieprzyjaciół zjednał, taką nienawiść obudza, że mu się nieledwie kryć potrzeba, chcąc dłużej w Polsce pozostać.

Zbigniew podumał chwilę.

— Sam nieco winien jest temu — odparł — gdyż nie ograniczając się na tem, do czego jest usposobiony, co jest jego powołaniem, zbyt otwarcie występuje z radami, które u nas brzmią groźnie, a do obyczajów i praw naszych nie przystają. Cóż dziwnego, że u nas każdy o te swe prawa się troszczy, które po ojcach odziedziczył?

— Żalby mi było — dodał — gdybyśmy go utracić mieli, lecz trudno mu będzie teraz nieufność, jaką obudzili, usunąć.

Gdy, mając się już oddalić o odpowiedź się domagałem, pomyślał znowu chwilę Oleśnicki i rzekł mi:

— Choćbym się z Gniezna do Krakowa nieś miał kazać, obowiązku mego dopełnię, przybyć muszę. Nie chcę ani dać karmi nowej oszczerstwu, ani dopuścić uszczerbku, praw biskupich. Miesiąc czasu pozostaje mi na przygotowanie do podróży i na drogę... da-li Bóg życie!

Spuścił głowę smutnie, a ja rękę jego ucałowałam, odszedłem.

Więc natychmiast pośpieszyłem napowrót z odpowiedzią do Krakowa, gdzie już mnie król i Fryderyk biskup poprzedzili. Wprawdzie dzięki królowej i jemu, postawiliśmy na swem Olbrachta okrzyknięto, aleśmy razem w tych gromad i tłumów usposobieniach się rozpatrzyli. Podołało się to, że młody pan zabawiał się i żartował poufale z lada kim, ale mu niedowierzano. Miał coś w postawie twarzy, w obejściu się nawet najpoufalszem takiego, co się w nim kazało obawiać człowieka srogiego, a ludzi lekceważącego. Winniśmy byli naszym około dwu tysiącom zaciężnych, żeśmy się Mazurami nie dali, a no, patrzano na tę siłę koso i mówiono: kiedy ich tu przyprowadził, będzie z nimi na wszystkie zjazdy przybywał, a sprzeciwi mu się kto, — gotów byłby ścinać.

Myśmy to i inne słysząc, czuli tak dobrze, co było na stole, iż nie dziwiliśmy się postanowieniu pańskiemu, który nie tylko chciał wszystkie zaciągi utrzymać, ale powiedział, że je musi powiększyć. Tłumaczył to, uśmiechając się chytrze i okiem pomrugując tem, że prędzej lub później wszystkich sprzymierzeńców swych ściągnawszy, musi na pogan iść.

W Krakowie ledwie mógł zbiedz do pani matki, bardzo tęskniącej za mną, a wyrzucającej mi, że się niepotrzebnie w służbę zaprzęgam, gdy mnie już na zamek rwano, bośmy musieli przygotować wszystko do uroczystości koronacyjnej.

Olbracht lubił zabawy, ucztę i sądził, że niczem się więcej nie może przypodobać ludziom, jak wyprawiając im wspaniałe i obfite gody. Szczególniej zaś dla ludu krakowskiego, który go znał, bo się tam od dziecka między nimi kręcił, chciał w rynku wydać bankiet taki, aby go wieki pamiętały.

Zawczasu zakupiono napojów tyle, iż zdawało się, że ich największa zgraja nie wysączy; wołów też, baranów, ptactwa, zwierzyny, które miano piec całe.

Nie będąc ja tego opisywał, boć takie gody zawsze się jednak poczynają i tem samem kończą. Zrazu dużo wesołości, śmiechu, śpiewów, pod koniec były rozkwasy, gawiedź pobita, gwałty, guzy i rany.

Na Wawelu uroczystość była wspaniała bardzo, bo oprócz Władysława i Aleksandra, cała rodzina jej była przytomną (córki wyjąwszy), dużo panów, nawet tych, co się zdawali przeciw królowi być, kler liczny. I umysły się jakoś ku młodemu panu skłaniać zdaly. Mówiono:

— Gdy go arcybiskup namaści, łaska Boża i Duch święty na niego zstąpi. Zdolny jest, mężny, rozumny, ambicyi ma dosyć.

Zbigniew Oleśnicki, arcybiskup, choć się na nogach opuchłych okrutnie ledwie już trzymał, i zmarł niebawem z choroby tej, — jak przyrzekł, przybył i króla sam w asystencyi innych koronował.

A muszę to powiedzieć, że gdy mu miecz dał, a on, wydobywszy go z pochew, na cztery świata strony nim zamachnął, aby okazać, iż wiary i ojczyzny bronić będzie, było mu pięknie i bohatersko się wydawał. Miał zawsze takie momenta, ale wkrótce potem, gdy śmiech szyderski usta mu skrzywił sposobem Kalimachowym, innym się stawał.

Kiedy nazajutrz, po hołdzie mieszczan w rynku, który król na majestacie przyjmował, wyprawiono dla mieszczaństwa i ludu ucztę, choć na zamku gości dostojnych było wiele, nie wytrzymał Olbracht i, przebrawszy się w ładą jakiego kuba, mnie i Bobrka zmusił, ażebyśmy mu towarzyszyli na miasto, bo chce się przypatrzeć pijanej gawiedzi.

Napróżno go prawie na klęczkach prosiłem, aby od zamiaru tego odstąpił, gdyż nie było bezpiecznem między napitych się cisnąć i to samotrzeć. Zaproszone głowy i oczy króla-by poznać i uszanować nie pozwalały.

Miecznik u pasa nosił zawsze; — ukazał mi go, śmiejąc się.

— Nie obronicie wy mnie, to ten przyjaciel odejść się.

Od miasta aż tu na Wawel dochodził głuchy szmer tłumów i krzyki, jakby morze na dole szumiało. Noc wrześniowa, a było już pod koniec miesiąca, w Krakowie ciepła nie jest, ale myślę, że dla wielu ona gorąca się stała.

Prawie dla nas nie do wiary było widzieć tego pana, tylko co ukoronowanego, śpieszącego po dobrej woli w taką gawiedź pijaną. Ale jego to tak cieszyło i bawiło, że zdala już patrząc i słuchając, za boki się brał.

Wprost nas tedy, gdzie najgęstsze kupy, na rynek wiodł, a strzymywać go było nadaremne. Około beczek i kadzi, już prawie poopróżnianych, ludzie stali, skakali, leżeli i siedzieli na ziemi. Wykrzykiwano różnie.

Mnie strach i odraza brała do tej ciżby; pociągnąłem króla ku kamienicom, kędy przystojniejsze mieszczaństwo osobno się przypatrywało zabawom na rynku. Niektórzy mieli latarki, bo już noc była ciemna, a i z domostw przez otwarte okna potrosze światła szło w ulice.

Zbliżyliśmy się do gromadki młodych mieszczan, bardzo strojnie poubieranych i głośno rozmawiających. Żaden nam bliżej znajomym nie był.

— A co? — odezwał się jeden — nie poszlibyśmy to do Leny Włoszki, królewskiej kochanki, na gody? Tam teraz musi płynąć wino złotym potokiem, a i kobiecina, choć przywiedła, niczego.

Król mnie w bok uderzył i zatrzymał się, słuchając.

— Teraz on ci ją chyba rzuci — rzekł drugi; — ślepym był i głuchym, gdyby nie wiedział, że go dziesięć razy na dzień zdradza.

Ledwie słów tych dopowiedział, gdy Olbracht krzyknął, za swój mieczyk chwytając.

— Łiesz!

Myśmy go zasłonili, ale ten, co się odezwał, nastawił się.

— Chodź tu, abym cię nauczył, że mi w oczy bezkarne płuć nie można.

Wszyscy z nim będący poruszyli się tłumnie ku nam. Staraliśmy się króla osłonić i uprowadzić, ale nas odepchnął.

— Łiesz! — powtórzył i, mieczyka dobywszy zamierzył się, co ja zobaczywszy, za rękę go chwyciłem.

Obstąpiano nas dokoła; szczęściem, byliśmy nieopodal od Złotego dzwona, i zaraz mi na myśl przyszło króla tu schronić, bo klucz od bramy zawsze miałem przy

sobie. Ale nie było sposobu go wziąć; upierał się ukarać zuchwalca, który wcale nie wiedział, z kim miał do czynienia, bo króla po ciemku poznać było nie sposób, a domyśleć się go tu mniej jeszcze. Mieszczuki młode trochę w łbach miały. Król, nie chowając mieczyka do pochwę, ciągle nim wywijał.

Towarzysze tego, który o Włoszce tak źle mówił, poczęli go hamować, widząc, że się na bójkę zanosi.

Nie wiem, jak mi się powiodło, Bobrka stawiając na przedzie, króla siłą porwać do wrót, które otworzywszy, pchnąłem go w ciemne sieni, i zaraz je za sobą zamknąłem, nawet o Bobrku zabywszy. W sieniach, choć oczy wyków, nic nie było widać; ale wiedział, gdzie w prawo drzwi wiodły do izby Śliziaka i otworzyłem je.

Olbracht nie widzący, dokąd go prowadziłem i gdzieś tak pewien siebie był, wnet zapomniawszy o tem, co go w ulicy spotkało, wpadł za mną do izby Śliziaka.

Tu palili się tylko kaganek mały, a stary niedźwiedź leżał już na barłogu i, zobaczywszy mnie, zawołał:

— Taż to noc już! Czegoś tu wpadł z takim obcesem?

Dałem mu znak, pokazując na króla, który chodził już po izbie, przypatrując się, co gdzie stało po kątach.

Otwieranie wrót, hałas u nich, bo się niektórzy dobijali, przestraszył kobiety na górze; Nawojowa przysłała pytać, co się stało.

Odpowiedziałem służebnej, że przyjaciele i siebie musiał tu schronić, bo nas pijani napadli. Dzieweczka nieroztropna na to:

— No to chodźcie do pani na górę; nie śpi ona jeszcze i modlitw wieczornych nie skończyła, rada was widzieć będzie.

Król się tego chwycił i nie wiem, co mu do głowy przyszło, wziął pod brodę dziewczynę, pytając:

— A macie na górze dobre wino?

— Wino-by się znalazło—zaśmiała się wyrываяc, — ale po tem, co go dziś tyle na ulicach rozlano, nie wiem, ktoby go żądnym był.

Pierchnęło dziewczę, a król pytać mnie począł:

— Czyj to dom? Gdzie jesteście?

— Nawojowej Tęczyńskiej, wdowy—odpowiedziałem,—która dla mnie tak, jak matką jest. Niewiasta w wieku, chora i pokoju jej mąciłoby nie należało.

Dziwnie jakoś niedowierzająco król spojrział na mnie, ale właśnie dlatego, że sobie nie życzył prowadzić na górę, on był ciekawy tam iść.

Nie odpowiadając mi, wszedł na schody, na których w górze dziewczyna kaganek zostawiła.

Począłem go prosić, całując po rękach, aby od zamiaru odstąpił, lecz posądział mnie pewnie o kłamstwo, a wyobrażał sobie, że tam kochankę jakąś moją odkryje.

Więc nie słuchając, wprost na schody, a z nich do antykamery, aż do izb, które zajmowała matka. Ale zobaczywszy te całe kirem obite, stanął i skrzywił się. Smutnych myśli i widoków nie lubił.

Tymczasem matka, chód posłyszawszy, a od dziewczęcia wiedząc, że ja byłem, wychodziła z drugich drzwi, cała czarna, zakwefiona, a tak poważna i surowego oblicza, iż król na widok jej stanął, niepewien, co pocnie.

Matka, która z rana przez okna swego domu na hołd w rynku patrzyła i świeżo królowi się przyglądała dobrze, poznała go zaraz zdumiona.

Dałem jej znak błagający, aby tego nie okazywała po sobie. Zrozumiała to łatwo i zwróciła się do mnie:

— Chociem rada wam o każdej godzinie—rzekła— a i gościom, jakich mi przyprowadzasz, ale zaprawdę w taki dzień, na pijany tłum po nocy, toby chyba młodszym, niż waść przebaczonem być mogło.

Król się śmiał, słuchając.

— Nie winien Jaszk—odparł,—ze służby mu to wypadło.

— I musieliście się aż przebojem do kamienicy schronić.

To powiedziawszy, skłoniła się nieco, i za sobą prowadząc do drugiej komnaty, także kirem obitej, odezwała się:

— Kiedy już raz tu jesteście, dziś tak uroczysty dzień, że w każdym domu za królewskie zdrowie przepijać potrzeba.

I wskazała stolik, na którym była flaszka z parą kubków srebrnych.

Olbrachtowi się już oczy do nich śmiały—ja odmówiłem, lecz musiałem mu nalać i służyć. Siadł na krześle, matka moja opodał miejsce sobie wyszukała.

— Po kimże tu żałoba?—zapytał Olbracht pijąc.

Nie śmiałem odpowiadać, gdy matka moja śmiałym głosem rzekła:

— Po królu.

Na twarzy Olbrachta widać było zdumienie; nie pytając więcej, zamilkł. Wspomnienie to niespodziane ojca na chwilę uczyniło go poważnym, lecz wnet dochodzące z ulicy wołania i krzyki odwróciły jego uwagę. Dopił kubka, obejrzał się, ręką skinął ku wdowie i zawołał ku mnie:

— Chodźmy!

Ja poszedłem matkę pożegnać. Milcząc spuściliśmy się ze wschodów. Król chciał zaraz w ulicę, ale się musiał przekonać, że już nie było tamtych, co nas napastować chcieli.

Olbracht znacznie był ochłodł i o tem tylko myślał, co mu o Wenecyance jego opowiadano.

Gdym otworzył bramę, znaleźliśmy przy niej wierne Bobrka i cudem bez guza... Król ani nań patrzył..

— Taką tedy sobie ta głupia Włoszka sławę w mieście uczyniła—rzekł do mnie.—Kłamstwo jest, co o niej prawią, bo choć pozory mogą być, ale dziewczyna jest mi wierna.

Nie mogłem zřęczności tej pominąć, nie skorzystałszy z niej, choćby się pogniewał.

— Miłościwy panie, trudno się łudzić, a i nie przystało teraz, abyś tak sromotnie był oszukiwanym... Lena was zwodzi; ma i miała kochanków, i z was, któremu winna wszystko, wyśmiewa się z nimi.

Zagniewał się Olbracht mocno.

— Skąd to wiesz?—krzyknął.

— Całe miasto wie o tem i palcami wytyka tych, co u niej łaski mieli i mają—począłem.

— Mów, kto?—przerwał król.

Wymieniłem kilka imion.

— Dziewka się bawi, zalotna jest, lubi aby około niej skakano; ale to wszystko pozory są, a niewierności niema.

Widząc, że przekonywać go trudno, zamilkłem; lecz Olbracht uderzył mnie w bok.

— Kiedyś począł, mów!—krzyknął.

— Powiedziałem wszystko, a jeśli wiary nie dajecie, pocóż wam serce psować.

Nic już nie odpowiadając, król począł się w tym kierunku przez rynek przeciskać, iż łatwo się mógł domyśleć, iż do dworu kochanki zmierza. Tu się go tego dnia pewno nie spodziewano; pomyślałem, iż to może zrządzenie opatrne, aby się na oczy przekonał, co się podczas działo. Nie wątpiłem, iż tam też uczutowano swobodnie.

Od ulicy okiennice były pozamykane, ale przez szparę światło z nich biło. W dziedzińcu zaś, na który jedno okno wielkiej izby wychodziło, okiennicy nie było, a król to wiedzieć musiał. Klucz miał przy sobie. Weszliśmy z nim pocichu. W podwórku już śmiechy i śpiewanie jakieś było słychać.

Olbracht żywo przystąpił do okna i stanął w niem. Ja z poza niego wewnątrz też oświecone widzieć mogłem. Na ławie siedział młody Włoch ze dworu Kalimachowego, którego zwano Sarzanem, i trzymał na kolanach piękną Lenę. Ta miała w ręku cytrę, a twarz tak blisko jego ust, jakby pocałunek tylko co się skończył lub miał rozpocząć.

Kilku młodzieży, tyłem do tej pary siedząc przy stole i kubkach, kości rzucało.

Jakiś czas Olbracht stał niemy.

— Małoż tego?—spytałem.

Nie odpowiadając mi nic, odwrócił się od okna, uczynił ruch, jakby miał wniknąć do dworu, cofnął się od progu i powrócił do bramy, którą na ulicę nas wyprowadził.

— Dość mam tego!—rzekł.—Na zamek!

Przez całą drogę prawie się do nas nie odzywał.

Takeśmy się dostali na Wawel, gdzie choć nie wszyscy spali, bo tu uczutowano, król szedł wprost do swojej sypialni i kazał się do łóża prowadzić.

Ciekaw byłem, co z Leną będzie, lecz nazajutrz nie

nie mówiono o niej. Olbracht odbywał nieustanne narady z Kalimachem i matką. Widocznem było, że wielkie jakieś gotowały się rzeczy, a i znaczne też zachodziły zmiany.

Powtarzano słowa Litawora marszałka, który witając go powiedział:

„Stanieć to księstwo za wszelkie państwa, tylko prosimy cię, byś nie włoskim, ni czeskim, ani niemieckim obyczajem, ale prawdziwym litewskim i Witoldowym przykładem nas rządził. Inaczej i własnej i naszej zguby będziesz przyczyną”.

Rozumiano u nas dobrze, na co się zanosilo, iż Litwa nikogo nad sobą mieć nie chciała i na swą rękę miała sobie poczynać. Olbrachtowi, który na Turków wielkim pogromem iść pragnął, ku czemu i Aleksandra i Zakon krzyżacki, ba, nawet Władysława czeskiego wciągał, niemilem to było. Lecz Kalimach wyrocznią u nas się teraz stał, a ten o Litwie i o Aleksandrze wyraził się:

— Nie lękajmy się; gdy ich moskiewski książę i Tatarowie tak nacisną, iż sami sobie rady dać nie będą mogli, powrócą do Unii i zostaną zmuszeni prosić o nią, a że moskiewski teraz z kolei na Litwę uderzy, niema wątpliwości.

Nie można mu tego odmówić, że Włoch widział daleko, gdy o politykę chodziło, a sąd o rzeczach miał zdrowy, niemniej przeto jako człowiek niewiele wart był, a jako pisarz wytworny retorem więcej, niż historykiem nazwać się powinien. Mowy starożytnych, jako Tyta Liwiusza w nim się odbijają. Pięknie to brzmi, ale gdy się działo, inaczej wyglądało.

Sąd mój przecież o nim wstrzymuje, bom, nie lubiąc go, mógł być za surowym.

Gdy te pierwsze miesiące panowania Aleksander spędzał na Litwie z Ciołkiem swym, z młodym Glińskim, z Łaskim i wśród krzyżujących się różnych wpływów, bo tam już dwa obozy się złożyły i stały przeciwko sobie, i my też nie spaliśmy a krzatali się czynnie.

W Wilnie Ciołek, teraz do najwyższych dostojności się dobijający, aby sobie przeciw nieprzyjaciółom, jakich miał w Polsce, sprzymierzeńców zyskać, związał się pono

z Glińskim i innymi. W Krakowie powiadano o tem głośno.

Aleksander, jakim za młodu był, takim się okazał po wyborze. Dobry, łagodny, uprzejmy, nikomu nigdy nie nie umiejący odmówić, dawał sobą zawładnąć tym, co za niego rządzić chcieli. Zrozumiał to bardzo bystry książę Gliński, a Ciołek go prowadził, bo dawniej Aleksandra znał.

W Polsce zaś także niemałej wagi sprawy się przygotowywały.

Ponieważ król mnie podkomorzym swoim mianował i z obowiązków miałem każdego czasu wstęp na pokoje, a znano to, iż nigdy z nich słowa nie wyniosłem, miałem tedy zręczność przysłuchiwać się wszystkiemu, wiedzieć o wszystkim, w wielu sprawach nieraz być pytanym i użytym.

Najgłówniejszą myślą króla było zawrzeć wielki sojusz, skupić siły, opanować Wołoszę i stamtąd iść na Turka. Nie tajono się z tem. Rycerstwo, choć wojną się nie brzydziło i byłoby jej rade, za jakimś podszeptem idąc, poczęła wołać, iż wielka wojna ta nie co innego ma na celu, tylko, aby szlachtę i możnych wytępić, a nad królestwem zaprowadzić rząd samowolny.

Przypisywano to radom Kalimachowym; stąd na Włocha zajadłość wielka i spiski takie, że bez straży poza miasto nie mógł się oddalić.

Trafiało się, co sam widywałem, że jadącemu ulicą w kolebce, bo w ostatnich czasach starosta gostyński inaczej się nie ruszał z domu, pod nos niemal szlachta z pięściami zaciśniętymi podjeżdżała i głośno się odgrażała.

Strzedz go musiał i król, bo bardzo był do niego przywiązany i wielkiemu rozumowi ufał bez miary.

Z jego porady naprzód w tajemnicy został zawarty sojusz pomiędzy czeskim Władysławem a naszym panem, którzy sobie wzajem poręczali oba, jeżeliby poddani ich przeciw nim coś zamierzali wspomagać się i bronić. Tak, że gdyby w Pradze rycerstwo burzyło się, Olbracht miał Polaków śłać i wzajemnie.

Spisano to i przypieczętowano, a miało pozostać tajemnem; ale król nasz, gdy dobrej myśli był, wygadywał

się z każdą rzeczą, choć niby się chwalił tem, iż do jego duszy nikt zajrzeć nie mógł i powiadał, że gdyby koszula myśli jego znała, zarazby ją spalił. Tymczasem on sam gorzej się zdradzał, niż wszelkie koszule.

Tak i z tym traktatem, o którym gdy się wieść rozeszła, przeciwko Kalimachowi i królowi okrutnie umysły podniosła. Wrzawa była taka, że na jakiś czas musiał z Krakowa zniknąć, choć niedaleko się ukrywał.

Następującego roku w grudniu i styczniu mieliśmy ciepło takie, jak gdyby już wiosna przyjsć miała, aż w poście mrozy i zima powróciły srogie a z niemi dużo chorób i śmiertelność znaczna.

Ponieważ mnie służba podkomorska prawie ciągle w Krakowie trzymała, a codziennie mogłem u matki bywać, podczas jeść, czytać jej, służyć, być pomocą we wszystkim—więc się nie przeciwiała temu, abym zostawał przy królu. Było to dla niej rozrywką, że przychodząc, mógł wiadomość jaką przynieść nie tylko z naszego dworu, ale i z Litwy, gdzie stryjeczny jej, Gastold, zwany Białym, przy Aleksandrze wojskowo służył i przepowiadano mu wielkie a przeważne stanowisko.

Z jednym tylko pokoju mi nie dawała, to, abym się żenił koniecznie, choć tłumaczyłem jej, że na ochocie mi zbywało i szczęścia się już w małżeństwie nie spodziewałem.

Nic mi nie mówiąc, matka pod ten czas fraucymer swój zaczęła powiększać i zmieniać. Uważałem to, że dziewczęta brała szlacheckie, co najurodzawsze... a gdy przychodził to jedną, to drugą przywoływała i trzymała, rozpytując, wciągając w rozmowę, a spoglądając na mnie, czy też która nie przypadnie mi do serca.

Jednego dnia patrzę, wchodzi dziewczę młodzieuchne: o małym nie krzyknął—istny obraz tej Luchny, ta! niej, jakąm ją po raz pierwszy owego wieczora u Kridlara widział. Podobieństwo było tak uderzające, że osłupiał i pewnie się to na mojej twarzy objawiać musiało.

Matka jakby nie postrzegła nic, dosyć obojętnie objaśniła, że to była rodzona siostrzenica Luchny. Przeszło mi wprawdzie przez myśl, że nie bez zamiaru ją tu

może sprowadzono, lecz, Panie Boże, odpuść, ja już szpak, a to ledwie podlotek.

— Ślicznaby była para! — rzekłem sobie—przypiął kwiatek do kożucha.

Głowy sobie nią nie zawracając wcale, zeznam jednak że mi na nią patrzeć i słuchać jej szczebiotania bardzo miłem było. Przypominała mi dziwnie nie tylko głosem, ruchami, ale mową i całem obejściem się ciotkę swą i macochę... Dziewczę śmiało było bardzo, a i matka się do niego przywiązała prędko i w domu, można powiedzieć, ona teraz ruch cały i życie nadawała. Ciągnęło mnie pod Złoty dzwon, zasiedziałem się czasem dłużej, to prawda, lecz żebym myśli jakie miał, nie przyznam się, bom je za śmieszne i grzeszne uważał, a temu kwiatkowi życzyłem lepszego szczęścia, niż to, jakie ja dać mogłem. Ale nałogowo przywykl do niej, a i ona mnie wujaszkiem przezywając, bardzo mile za każdym razem witała.

W następnym roku, ponieważ ów sojusz z Władysławem wydawał się niedostatecznym Kalimachowi i Olbrachtowi, uradzili znowu, niby to tajemny, choć o nim naprzód miesiącami kilku gadano, zjazd na Spizu w Lewoczy.

Miał się tam stawić Władysław, Olbracht, powoływano Aleksandra, ale nadaremnie. Zygmunt i Fryderyk jechali z królem.

Fryderyk, choć i biskup, i arcybiskup, dwakroć pasterz, a teraz już kapłan też, choć miał dosyć do czynienia w dyecezyach obu, od sprawy publicznej nigdy nie odstawiał i nie uwalniał się od niej. Gotów był wojskiem dowodzić, jak w Piotrkowie, w Radzie zasiadać, wielkorządy sprawiać i głowę miał po temu. Statku tylko, jak i u Olbrachta nie było! Oba uczniowie Kalimachowi, duchem jego przejęci, płochością też zarażeni byli.

Na ten zjazd gotowaliśmy się długo, bo choć wiosna lada gdzie można się schronić, zameczek był niecałkiem godzien mieścić takich gości i drugi raz pono dwu królów i książąt widzieć u siebie nie miał.

Wysłał mnie tam król przodem z oponami, kobiercami, sprzętem, kuchnią i ludźmi, aby w tych nagich ścia-

nach izby oczyścić i przystroić. Znalazłem prawda ściany gołe, nie wszędzie podłogi, okna niespełna błonami opatrzone, aleśmy to w Krakowie przewidywali. W kilka dni więc wypořádziły się sypialnie dla panów, jadalna izba czysta i okazała, i jedna do obradowania, którą król tak chciał mieć położoną, aby go tam nikt w świecie podsłuchiwać nie mógł. Ja miałem ciągle stać u drzwi na straży aby się do nich żywa dusza pod żadnym pozorem przybliżyć nie śmiała.

Choć kwiecień już był za pasem, ale w tym górzystym kraju jeszcze wiało jakby zimową aurą, potrzeba było palić na wielkich kominach, ale nie wszędzie się znalazły. W murach chłód był przejmujący, ale też panowie i my kozuchów nie zrzucaliśmy, nawet do stołu.

Prawie razem przybyli wszyscy do Lewoczy w piękny dzień kwietniowy, dnia 17-go, chociaż rychło potem, jak to w tym miesiącu nie nowina, niebo się zachmurzyło i śnieg sypać zaczął.

Władysław najstarszy dobrze i pańsko, a zdrowo wyglądał, jako to zwykli ludzie, którzy albo trosk nie mają, lub im do serca przystępu nie dają. Uśmiech prawie z ust jego nie schodził.

O naszym panu to tylko powiedzieć mogę, że od czasu, gdy królem został, majestatu przybyło mu i buty, a wesela swego młodego i lekkości nie stracił.

Zygmunt już naówczas poważny, nasepiony chodził, jak później zawsze. W tym też przyszłego króla przeczuwać było można, choć podczas Ślązak tylko trzymał, a jeśli mu coś dać myśłano, to chyba Wołoszczyznę, zdobywszy ją dla niego.

O Fryderyku mówiłem już, a nie potrzebuję się powtarzać. Zamiast Maryanusa, którego z sobą zwykle woził, miał teraz młodszego Krzyckiego dla towarzystwa w drodze, ale tego do rady nie dopuszczono.

Naostatek niemal po księżcem ujechał z nimi Experiens nasz, starosta gostyński, choć niedomagający, bo po tych trudach i podróżach, jakie w życiu przebywał, już się siły wyczerpywały.

Olbrachtowi zawsze pilno bywało brzemień spraw po-

ważnych co rychlej z karku otrząść, aby dobrej myśli zażywać, lecz wszyscy dnia tego byli znudzeni, a po długiem niewidzeniu bracia się chcieli sobą nacieszyć. Stół miałem przygotowany i jedzenie gotowe, do którego gdy zasiedli ani się spostrzegli, do nocy przetrwawszy.

Czeski król pierwsze swe lata na Pradze opowiadał. Było czego posłuchać, o różnych swatach, z jakimi chodzono około niego, Olbracht już o przyszłości zagadywał. Zygmunt milczał i słuchał więcej, niż mówił, słowem rzucając rzadkiem, ale mądrym. Śmiechu najwięcej sprawiał Fryderyk, a i Kalimach po dobrem winie, słaby żołądek ogrzawszy, począł dowcipy swe na popis wywodzić.

Dnia tego jednak do żadnych narad nie przyszło; postanowiono tylko, nie zwlekając ich, już nazajutrz rano rozpocząć, a nie rozstawać się, dopóki by one do dobrego końca doprowadzone nie były.

Gdy już spać się rozchodzić mieli, mój pan czeskiego zagadnął głośno, czy w Pradze miał dziewczęta ładne? Zygmunt odszedł, odpowiedzi nie będąc ciekawym, a trzej pozostali z Kalimachem długo jeszcze śmiejąc się, rozprawiali, którym niewiastom przyznać należało pierwszeństwo.

Włoch i król za włoskimi głosowali, czemuś się nie dziwił, bo wiedziałem, że po owym wieczorze, kiedy Lenę na kolanach młokosa zobaczył, Olbracht trzy tygodnie znać jej nie chciał, a potem dał się odurzyć i powrócił do niej.

Nazajutrz, ledwie się polewki napiwszy, siedli radzić. Stałem u drzwi na straży i słowo jedno mi nie uszło z tego, co mówili.

Olbracht nasz, kiedy chciał, wielce wymownym był, a dnia tego przygotował się gorąco i wytwornie sprawę swą popierać; począł od tego, jako obowiązkiem ich było i dobrze zrozumiałem dobrem własnem, silnie a krzepko i wytrwale ująć się za ręce, iść razem zgodnie i wszelkie siły przeciw każdemu wrogowi jednego z nich obracać.

— Wzywałem do nas Aleksandra—dodał—bo go prędzej później z sojuszu nie wyłączam; Litwini go odciągnęli, nie chcąc w niczem Polsce się dać powodować, na-

tenczas więc bez niego musiny wiązać się i obradować. Zechce później do naszego sojuszu przystąpić, otworzymy mu ramiona.

Pan Bóg pobłogosławił plemieniowi naszemu nienaderennie, oto litewski ród posiadł koronę polską, czeską i węgierską, ale na tem niedosyć. Stoi przeciwko nas napastnik, przybłęda, poganin, Turek, który już zalał część ziem, jakie się nam należą, są nam krewne i od Boga na dziedzictwo przeznaczone.

Nieinaczej rozumiem wybór mój na króla Polski, tylko jako wskazówkę i nakaz, abym poganina pogromił i ludy, w niewoli sromotnej jęczące, oswobodził. Wiem, że to rzecz jest trudna, ale wielka, *Audaces juvat fortuna!* Nie sam jestem! Czterech nas, a królestw do zdobycia więcej, niż nam potrzeba.

Sluchali, gdy mówił długo i pięknie, nikt nie przeczył, dawał znaki przyzwolenia Władysław, uśmiechał się Fryderyk, który już to nieraz słyszeć musiał. Zygmunt siedział z oczami w stół wlepionymi. Nie rozgrzał się wcale mową brata, był napozór zimny.

Kalimach czynił takie różne poruszenia, jak gdyby go to niecierpliwilo. Aż na zakończenie, kiedy Olbracht począł już tryumfy przyszłe głosić i Konstantynopol opanowywał, Włoch syknął.

Obrócili się wszyscy ku niemu. Mówić zaczął powoli.

— Wszystko to bardzo piękne—rzekł,—ale dotąd są to *vigilantium somnia!* Aby podboje olbrzymie do skutku przyprowadzić, nie doznając w nich przeszkody, nie potrzebując się co chwila odwoływać do zjazdów, do panów rady, od czego naprzód począć należy? U siebie w domu potrzeba inny rząd i ład zaprowadzić! Wy, miłośnicy królu—rzekł, zwracając się do Olbrachta—chcecie i powinniście być głową i wodzem tego związku, a no patrzcie, czy dom panem jesteście? Czem wy rozporządzacie? Polski król, malowany król, żaden jest, doża wenecki ma nad niego więcej mocy i swobody.

— Wielekroć już mi to powtarzaliście—odparł Olbracht,—lecz jaka na to rada?

— Powtarzałem ją nieboszczykowi ojcu waszemu

nieustannie—dodał Kalimach,—a mam tak na sercu wielkość waszą i szczęście, że do znużenia i zdechu o jedno wołać będę, jako ów Rzymianin, który powtarzał: *Delenda Carthago...* ja zaś głosuję: *Delenda libertas polonorum!* Dopóki oni te swobody mają, wy niewolnikami jesteście, królu!

Olbracht spuścił oczy.

— A jakże dojść do wyswobodzenia?—westchnął.

— Trzeba iść, a dojdziecie,—mówił Kalimach gorąco.—Dlatego sędzę, że dziś o poganinie, o Wołoszy, o wojnie mówić za wcześnie, a naprzód do najpilniejszego wziąć się należy dzieła. Niema już co zwlekać, ziemianie i możni niebezpieczeństwo zwietrzyli... działać potrzeba, zostać panem w domu. Bez tego wojny i podboje—marzeniami! Wiem to, iż samą groźbą ukrócenia ich, rycerstwo zawczasu gotuje na zjazdy przyszłe jeszcze większe, niż kiedykolwiek wymagania przywilejów. Czekać nie można, aż wystąpią z niemi.

Olbracht sposepniał, a Władysław łagodnym głosem, zwróciwszy się do Kalimacha, zapytał, jakimi środkami możnaby dojść do celu?

— Jeden jest właściwie—zawołał Włoch,—jeden: siła! Lecz ona w różne się formy przyobleka. Trzeba popętnić gwałt, by zrazu burzy całej nie wywołać. Wiem, to z opowiadań statystyków waszych i z aktów, które mi ukazywał Długosz, z samej historii jego, bo część jej czytałem, że od Ludwika węgierskiego korzystali panowie i ziemianie z każdej okoliczności, aby coś dla siebie z władzy monarchów oderwać i przyswoić. Dziś tu już król lalką jest, a ta ciżba, której kilku magnatów przewodzi i znaki daje—wszystkiem. I wam to wojnę prowadzić, gdy o każdy lichy grosz dopraszać się potrzeba, a potem słuchać wymówek, że król go do własnej sprzątnął szkatuły...?

Tu Kalimach trybem ludzi, jedną myślą opanowanych, począł gadatliwie znowu powtarzać, co król pewnie sto razy z ust jego słyszeć musiał:

— Żadnych nowych przywilejów, żadnych praw nowych, bo te wszystkie wy, jak wyroki na siebie podpisu-

jecie. Zjazdy samowolne rozpędzać, są to jawne spiski... król je ma tylko prawo zwoływać, a nie powinien wołać. Gdzie tłum, tam bunt z niego. Ziemianom wojna i powołanie pod chorągwie powinna być nieustannym strachem. Grozić nią potrzeba. Nie zechcą iść, niech dadzą pobór na zaciągi, z którego połowę do skarbcza zamknąć. Z poddany mi rachunków niema! Będą krzyczeli, miotali się, odgrażali nawet lecz znacie ich, jako i ja teraz znam... u nich wszystko w gębie. Gdy się wykrzyczą, koniec na tem.

Roześmieli się wszyscy, jam się za drzwiami zarumienił ze sromu; było w tem trocha prawdy gorzkiej, ale w ustach obcego brzmiała mi jak obelga.

Olbracht śmiał się z innymi.

— Włoskiego księcia ze mnie chcesz uczynić — rzekł do dawnego nauczyciela, — a zda mi się, że u nas na północy natury inne, ludzie odmienni i rządy różne być muszą.

— Ludzie? Ludzie są wszędzie jednakowi, tylko tu i owdzie w nich wada jakaś lub przymiot przemaga, i na to względ mieć potrzeba. Dla książęcia każdego, choćby on maurytańskim, czy polskim, włoskim był czy ruskim jest, jeden zakon rozumny. Niech poddany nigdy głębi twego serca nie zna, myśli nie odgadnie. Pyta cię — odpowiadaj tak, abyś go w niepewności zostawił, obietnicę szczerzyć nie trzeba, złote góry obiecywać, ale kazać czekać i wyglądać, aby się zasługiwało, na ręce patrząc. Obdarzeni są zawsze niewdzięczni. Możnych rodów macie mnóstwo; tym więcej idzie o dostojność, niż o wszystko... sadz ich wysoko, szanuj, jak należy, dawaj nawet urzędy, ale takie, za które płacić trzeba, a nie zbogacać się z nich. Należy ich zubożyć naówczas buty się pozbędą i wielkie imiona pójdą na służbę nadworne, patrząc chleba z twojej ręki. Naówczas mieć ich będziesz i szkodliwymi być przestaną. Dziś czemu u was tacy Tęczyńscy i Melsztyńscy, tacy Leliwici tak głośno burczą? bo sakwy mają nabite, a ty, królu, o łada pobór musisz się kłaniać.

— Wszystko to zdrowe rady — przerwał Olbracht, — ale na to lat trzeba,

— I dlatego to od jutra należy poczynać, nie ociągać się — rzekł Kalimach. — Myślicie o wojnie, o poganach...

Król mu się pochylił do ucha i szepnął coś półgłosem. Uśmiechnął się Włoch.

— Byłoby to dziełem godnem mojego najulubieńszego ucznia — rzekł, — gdyby wistocie rzecz się tak złożyła i powiodła.

Nastąpiła chwila milczenia; Kalimach zadumał się nieco i począł dalej:

— Wojna ta zresztą, czy ona przyjdzie czy nie do skutku, jest dobrą, bo ją możesz i powinieneś wyzyskać. Żadne prawo nie wzbrania królowi wojsko sobie, bodaj cudzoziemskie, za swój miły grosz zbierać, zaciągać, gromadzić, obsadzać niem grody, trzymać je przy sobie. Przeciwnieciwo butnemu rycerstwu własnemu to najlepsza tarcza i obrona. Nie będą się ważyć tak śmiało występować, widząc, że siłę masz.

— Kosztowna rzecz — odparł król.

— Ale się nagrodzi! — zawołał Kalimach.

Milczący dotąd Zygmunt zwolna podniósł głowę, a Olbracht, który zdanie jego wysoko sobie ważył, zwrócił się ku niemu, oczekując, co powie.

Na poważnej twarzy młodzieńca widać było jakby walkę przekonania z pewną nieśmiałością. Musiał wystąpić przeciwko takiej powadze, za jaką był tu uważany zdawna Kalimach. Sumienie mu to nakazywało, trwożliwość pewna wstrzymywała. Począł naostatek zwolna.

— Za złe mi nie miejcie, mistrzu, — odparł, — iż się wam wogóle sprzeciwić muszę, bo z tego, co o naszym kraju czytałem, co słyszał, czegom od ludzi obcujących z nimi, nauczył się, innych co do rządu polskiego nabrał przekonani. Dajcie mi ucho cierpliwe. W całej niemal Europie, u was też we Włoszech, książęta i monarchowie — są to zdobywcy albo spadkobiercy ich, i wszystkie rządy wynikły z podbojów, więc stosunek ich do narodu zachował charakter niezatarty — nieprzyjaźni i walki. W Polsce jest i było inaczej. Tu panowali swoi, albo wybrani. Nigdy u nas król poddanych za wrogów, a oni go za ciemięczyciela i nieprzyjaciela nie uważali. Nie walczone więc

wzajemnie, ale usiłowano wolność narodu z godnością i władzą monarchy tak pojednać, aby one zgodnie dla dobra powszechnego pracowały. Wy po zachodniemu radzicie nieufność, a w ostatku złamanie praw zaprzysiężonych... U nas to rzecz niesłychana, a wątpliwa, czyby się spełnić dała. Król na takim burzliwym zjeździe powinien wystąpić jak ojciec, mówić z nimi, jak z dziećmi, zresztą swobody ich poszanować, bo one dla panującego są też dobrodziejstwem, nie dając mu nadużyć władzy, od której się najcięższa głowa zawraca.

Kalimach, słuchając, uśmiechnął się szydersko.

— Jest to jedyny sposób—odparł,—abyście u poddanych wiecznie byli w niewoli, a może i razem z nimi popadli w niewolę u obcych. Zygmuncie mój!—począł żywiej.—Gdybyście obaj siedzieli w kraju, któryby ze dwóch stron morzem był oblany, a z dwu drugich niebotycznymi obmurowany skałami, w kraju niedostępnym napaści nieprzyjaciela... ba! tamby wam, jak Platonowi na wymyślonej wyspie, wolno sobie było marzyć rząd taki ojca nad dziećmi; ale w waszej Polsce na cztery wiatry otwartej, na którą godzą wrogi ze wszech stron, w tej Polsce, co musi być cała wojskiem, cała obozem, możnaż inaczej rządzić, jak po hetmańsku? A hetman jest-li czem innem, jak despotą? Musi nim być, bo mu się wojsko rozprzęże.

Zygmunt słuchał z natężeniem, a chciał odpowiedzieć coś gdy Olbracht uderzył go po ręce i szepnął:

— Daj raczej dokończyć Kalimachowi.

— Powracam ja do mojego założenia—rzekł Włoch,—że teraz u was niema pilniejszego nieprzyjaciela do złamania nad możnych i związane z nimi duchowieństwo. Drobni panoszkowie idą za nimi; nie stanie ich, będą królowi służyć. Możnych należy żubozżyć, złamać, bezsilnymi uczynić. Na to są tysiączne środki. Czemu miast nie podnosicie, nie dacie się bogacić kupcom? nie opieracie na nich? To naturalny nieprzyjaciół możnych, którzy ich dumą wzgardą, odsuwaniem od wszystkiego do najwyższego narazili stopnia. Mieliśmy przykład na tym dniu, który mi opowiadano, gdy Tęczyńskiego ubito w Krakowie. We Włoszech miasta są potęgą.

— Tak—przerwał Fryderyk ze śmiechem—ale pamiętajcie, że wasi tyrani nieraz też z nimi ciężkie przejścia mieli.

— U nas położenie było inne, przeszłość inna—rzekł Kalimach;—wy swój stan mieszczański możecie sobie ulepić, jak zechcecie, macie miękką glinę. Powtarzam wam: toć naprzód są to zlotodajne pszczoły, które miód zbierać umieją, a wy go podbierać powinniście; a potem to wrogi możnych, a wasi sprzymierzeńce.

— Tak—dodał po chwili namysłu,—mówilem to nieboszczykowi ojcu i powtarzam wam: możni z duchownymi wzięwszy się za ręce, tak jak tu zdawna rej wodzili, chcą przy sterze pozostać. Arcybiskupi tron stawia obok królewskiego.

— Mnie dotykasz!—rozmiał się Fryderyk.

— Ty jesteś arcybiskupem szczęśliwego przypadku, ale po tobie przyjdą Oleśnicy—odparł Kalimach.—Znacie mnie, iż z Rzymem i papieżami nie trzymam—dodał.—Potrzebny jest Rzym, jako głowa kościoła, aby ten kościół bez klucza w sklepieniu nie rozpadł się na kościółki, a ludzkość na kupki bez związku. Jeden pasterz i jedna owczarnia—piękna myśl! A no i małym pastuszkom po mniejszych zagrodach niechby była dana swoboda owieczkami swemi rządzić. Dotąd w Polsce dwóch mieliście królów, jednego na tronie, drugiego na biskupim stołcu; duchowieństwo sobie dobierało takich ludzi, co by mieli odwagę skakać panu do oczów. Oburzył się król... odpowiedział kapłan: ubij mnie, gotów jestem na męczeństwo. Tak kardynał Oleśnicki Jagiełłę w swej podległości trzymał. Koniec temu położył ojciec wasz, ale duchowieństwo nie śpi, kapituły się nie zrzekły prawa wyborów, Rzym może zechcieć powrócić do nominacji biskupów. Zezwolicie na to... królem być przestajecie.

Fryderyk na łokciu podparty, słuchał z nieco szyderskim wyrazem twarzy.

— Kalimachu!—odezwał się,—*audiat et altera pars*, jako arcybiskup i biskup krakowski, choć słowo mieć muszę. Wy stanowczo tylko przemawiacie za tyranami,

nie za interesami ludzkości. Zowiecie się humanistami, prawda? a stajecie rzecznikami siły zwierzęcej i pięści.

— Zaprawdę tak! Ani się tego, jako humanista, zapieram—wykrzyknął Kallimach,—bo jestem przekonany, że ludzkość bez rozumnych tyranów sama do niczego nie dojdzie. Co z tej gawiedzi i tłumów, które lecą pędzone ładą wiatrem, nie wiedząc dokąd i po co? Tylko na dworach książąt gnieździ się nauka, kwitnie sztuka, mają przytułek uczeni i poeci. Tłum ich ani ocenia, ni rozumie, ani nakarmi, ni laurem nie opasze skroni. Ludzkości potrzeba takich wodzów silnej dłoni, silnej woli, wielkiego serca.

Wszyscy umilkli na chwilę.

— Dlatego że was kocham, jako dzieci ducha mojego—mówił dalej Kalimach,—daję te rady, chociaż wiem, że dla nich znienawidzony zostałem. Powiem więcej, tu w Polsce zgoda trzeba wszystko odmienić. Zjazdy i posły od ziemian powoli zagubić i puścić w niepamięć... oni wam zawsze prawa dyktować będą. Zażądają zjazdu, wołajcie pilno na wojnę. Zbiorą się samowolnie, macie wojsko zadecyżne, niech go stanie tyle, co posłów.. znikną im rogi. Dopóki będą sejmy, póty wy władzy mieć nie będziecie.

Olbracht wstał, trochę już zniecierpliwiony, rękami objął za szyję Włocha, pochylił się ku niemu i rzekł:

— Wszystko to są wstępne rzeczy, które ja mam zapisać głęboko w pamięci, alem przybył tu z braćmi radzić nie o tem, mistrzu mój, a o wojnie. Wojna mi potrzebna, wojna dla mnie nieunikniona, jako droga i do tych celów, które wy mi wskazujecie. Chcę zacząć od Wołoszy. Zygmunt na Śląsku marnować się będzie. Jego tam na gospodarstwie posadzić trzeba, odjawszy je zdrajcy, przewrotnemu Stepankowi.

Kalimach głową poruszał zadumany.

— Powiecie znów, że po włosku wam radzę—rzekł.—Wojna z tym Stepankiem dużo krwi i pieniędzy kosztować będzie. Moznaby jej uniknąć.

Tu zniżył nieco głos.

— Posłać mu na dwór ludzi zręcznych—kończył,—którzyby u niego łaski umieli wyjednać, a drugich razem przeciw niemu zniechęcać. Zasiać mu tam bunt i zdra-

dę. O pugiła łatwo, a można stać na granicy, aby z zamieszania korzystać. Sam wam Wołosz wpadnie w ręce.

Olbracht się skrzywił.

— Nie,—rzekł—wstępnym bojem uderzę na niego; potrzeba mi bądź co bądź szlachtę wyprowadzić i samemu zażyć rycerskiej sprawy. Wojna więc... wojna na Wołoszę!

— Jam wcale nie żądną Wołoszy—odezwał się Zygmunt.—Kraj to niełatwy do rządzenia. Turek u boku, lud rażny, który znać trzeba, barbarzyństwo wielkie. Ja w sobie sił po temu nie czuję.

— Znajdą się one—przerwał Olbracht.

Wtem i Fryderyk począł.

— Ta wojna z Wołoszą zda się niebezpieczną—dodał.—Może później okaże się ona łatwiejszą, a okoliczności jej sprzyjać będą lepiej; dziś tobie Olbrachcie, rozpatrzyć się w domu, umysły sobie tak zjednać, abyś do walki, o której mówi Kalimach znalazł poparcie. Wszyscy mi to przyznacie, że nam się naprzód u siebie w domu potrzeba mocniej usadowić. Panowanie ojca tak długie i szczęśliwe dziwnym sposobem zakończyło się tem, że po nim Piastów napowrót zażądali. Liczmy naszych przyjaciół i zwolenników: ani król, ani żaden z nas wielu ich nie ma. W narodzie nie znajdujemy poparcia. Sługi mamy, partyi żadnej. Stwórzmyż ją sobie, abyśmy, mając się o co oprzeć, śmiało kroczyli dalej. Wprzód, nim tępić zaczniemy nieprzyjaciół, zróbmy sobie druhow. Tych samych możnych, co teraz zastępem przeciwko nam stoją, trzeba rozerwać i poróżnić. Jednych sobie łaskami pozyskać, aby w drugich zazdrość obudzić. Jak skoro niezgodę posiejemy w ich obozie, panami jesteśmy.

Kalimach, słuchając, w ramię pocałował ucznia.

— Oto są złote słowa!—zawołał—i widać, że nauka moja w las nie poszła. Fryderykowi daliście biskupstwo i arcybiskupstwo, ale to są zaszczyty i chleb dla niego, a nie pole do działania. Klechów mu łada Maryanus utrzyma w ryzie, jego należy zużytkować gdzieindziej. Czemu by nie osadzić go na wielkorządnictwie Prus, aby zakon podkopać i obalić. Dopóki tam Krzyżacy są, a za nimi Nienie i Rzym, we wnętrznościach waszych wrzód macie.

— Czuję ja to dobrze—rzekł Olbracht,—lecz wszystkiego razem przedsiębrać nie mogę, a wojna z Wołoszą, ten pierwszy krok do wielkiego wystąpienia przeciw Turkom, leży mi na sercu pierwsza.

Tu się rozpoczęły pomiędzy nimi rozprawy o możliwości wyprawy na Wołoszę, których ja jednym uchem słuchałem tylko i król mnie przywołał, dając rozkaz, aby choć chleba i wina przyniesiono, tak już czczym był i zmęczonym. Musiałem więc oddalić się na chwilę.

Odtąd szły narady około wyprawy tej i sił, jakie na nią potrzeba było przygotować. Chciał Olbracht mieć z sobą i Aleksandra, Litwę, i Tatarów i krzyżacki oddział, i swoje zaciągi, i posiłki od Władysława.

Sam gotów był iść na czele wyprawy, hetmanem pod sobą czyniąc Zygmunta.

— A gdy wy kraj z żołnierza огоłocicie—rzekł Kalimach—i wszyscy wyciągniecie na Wołocha, jesteście tego pewni, że wam w domu możni i duchowieństwo, zwoławszy się na zjazd, nie wypowiedzą posłuszeństwa i nie okrzykną sobie Piasta.

— Nie sądzę, znając ich, aby im to niebezpieczeństwo zagrażało—odparł Olbracht;—jednak nie myślę kraju zostawić bezpańskim, a w lepsze go ręce powierzyć nie mogę, jak Fryderykowi.

Kalimach głową skinął, że myśl tę pochwalał.

— Bratu i królowi pewnie nie odmówię—odezwał się Fryderyk,—ale powtarzam wam: wyprawę tę uważam za przedwczesną, a gdyby się ona miała nie powieść, za zgubną. W takich wielkich przedsięwzięciach krok fałszywy odejmuje i ufność w siebie i na długo obezwładnia. Lepiej nie poczynać, niż pośliznąć się, źle począwszy.

Olbracht podrażniony oburzył się, a był już po dwu kubkach wina.

— Bądź pewien—rzekł,—że jeśli pójdę, to z taką siłą, której się nic oprzeć nie zdoła. Liczę na sto przeszło tysięcy ludzi... Gdzież mi się to tałałajstwo wołoskie opierać będzie mogło? Kraj im niemi zaleję.

Wtem Zygmunt wtrącił zwolna:

— Pamiętaj, że te sto tysięcy karmić będzie potrzeba

i że żołnierz głodny, niesforny. Jabyśm wołał dobornego człeka mieć dwadzieścia, niż ciurów dziesięć razy tyle! Nie na liczbie polega powodzenie wojny, ale na najściu rozumem i w porę, na znajomości kraju i ludzi, na wczesnie sobie porobionych pomocnikach.

Olbracht głową potrząsał.

— Mądre to są słowa,—rzekł—ale z Wołoszą, jak z Tatarami, gromadą trzeba iść i walczyć. Objemy im kraj... tem lepiej, głodni się poddadzą. Karmić nas będą musieli.

Fryderyk coś wtrącił, Kalimach milczał. Tak, aż do obiadu napróżno sobie wzajem myśli poddawano, roztrząsano, lecz na nie zgody nie było. Kalimach zawsze zdawał się naprzód ład w domu zalecać, Fryderyk go popierał, Zygmunt stanowczo nie mówił nic, a czeski Władysław, z kolei każdego mówcę pochwalając gorąco, widocznie własnego zdania nie miał. Zapewniał tylko Olbrachta, iż gotów jest zawsze przyjść mu w pomoc, gdy wojna raz będzie postanowioną.

We Władysławie wszyscy mieli pilnego słuchacza. Z uśmiechem na ustach obracał się ku mówiącym, ciągle dając znaki, iż zdania ich zupełnie podzielał. Wedle zwyczaju swego pocichu szeptał:

— Dobrze, bardzo dobrze!

Widocznie Olbracht mu swą wymowę, Zygmunt powagą, Fryderyk żywością i dowcipem, Kalimach sławą wielką imponował. Czuł się jakoś małym między nimi—ale rad był, że go przypuszczono; a wreszcie przywiązanie jego do braci szczerze i serdecznie czyniło gotowym do podania ręki. Czuł się tembardziej w obowiązku dowiedzenia im, iż nie chciał zrywać z nimi, że testament ojca, gniew jego, wydziedziczenie mocno mu na sercu leżało. Płakał, gdy mówił o tem.

Cały ten dzień zszedł na naradach mniej więcej tej samej treści i nie sądzę, ażeby, oprócz ogólnych obietnic wzajemnej pomocy, nierozzerwanego braterskiego związku, coś tu stanowczego postanowiono.

Wojna, przy której Olbracht twardo obstawał, uznana w tej chwili za niemożliwą jeszcze, odłożoną nieco, ale

zaniechaną być nie mogła. Zręcznie za nią przemawiał król i umiał okazać Kalimachowi, iż nawet do pokrzepienia władzy przyczynić się ona musiała.

Pół dnia potem jeszcze gwarzyli z sobą o młodszych latach. Władysław oddawał upominki dla matki i siostr. Wzajem się poobdarzali bracia, a z góry można pewnym być, iż ani Kalimach o sobie nie da, ani o Kalimachu zapomnieć mogą. Skorzystał więc najwięcej Włoch, który złoto lubił i do niego się zręcznie przymawiać umiał. Na ostatek, po serdecznych uściskach kielichach i wykrzykach, wszyscyśmy razem opuścili Lewoczę, bo i ja tu już z wozami nie miałem co robić.

Nieraz potem słyszałem opowiadania o tem, co się tam w takiej tajemnicy na zamczku w górach dziać mogło, co tam radzono i postanowiono? Nie mówiłem nikomu, czegom był świadkiem, ale zapisać to tutaj mogę, iż wistocie słów było wiele, ale z nich wkońcu nie wykuło się żadne dojrzałe ziarno.

Powróciwszy do Krakowa, pośpieszyłem do matki, która niespokojnie na mnie oczekiwała, a rad też byłem zobaczyć i to kurczątka do mojej Luchny tak podobne. Rozumie się, że matka też mnie na spytki wzięła, nad czem obradowano; alem nie kłamiąc, mógł powiedzieć, że bracia się do siebie zbliżyć i wzajemną sobie przyjaźń poręczyć chcieli. Król powróciwszy, wziął się niepomalu do spraw publicznych, aż z miłem zadziwieniem patrzałem nań, sądząc, że się płochego życia wyrzeczce. U niego jednak najsprzeczniesze rzeczy szły w parze.

Wieczorami już nie mnie biorąc, ale Bohrka i dwu innych, bom ja mu zawsze czynił wymówki, w łada opończy włóczył się po mieście. W tym roku przyszło do tego, z powodu pono skarg mieszczan i zaburzenia czasu Krzyżaków, o którym pisałem, że wszystkich Żydów z miasta precz wysadzono na Kazimierz pod mury, koło kościoła św. Wawrzyńca.

Lamentów i łez było dosyć, raz, że w mieście bezpieczniejszymi się czuli, powtóre, że tu już osiedleni, nawykli byli i domostwa swoje mieli. Mieszczanstwo jednak

nalegało, a król wedle rad Włocha, z panami mieszczany chciał żyć dobrze.

Strach też niemały miałem czasu tego ogromnego pożaru, jaki w roku tym nawiedził nieszczęśliwy Kraków, który mało nie co parę lat palić się musiał.

Wszczął się ten pożar nocą, niewiadomo z jakiej przyczyny, gdyśmy wszyscy spali, a że i rynkowi z domami w nim zagrażał, co tchu biegłem w pomoc matce.

Popłoch od tych płomieni, które na wsze strony się rozlewały, bo gdzie wiatr zaniósł płacheć dachu, wnet na drugich gonty gorzały... a gdy się zajęły one i strychy pełne słomy a siana, tam i domu ratować nie było podobna.

Pókim żyw, widoku tego nie zabędę, bom ludzi w pierwospoyzbudzonych nigdy tak wylękłymi nie widział. U Kalimacha czeladź wyrzucała wszystko z domu na podwórze, a on sam oburącz wynosił księgi i okrywał je. Kardynał Fryderyk z ludźmi kazał swoje sprzęty na wozy kłaść, tak się też uląkł o nie.

W rynku nieszczęśliwi postowie tureccy, którzy do króla przybyli właśnie, a mieli z sobą dwanaście wielbłądów i niemało pakunku, z krzykiem wielkim i wołaniem ładowali je, gdy zwierzęta ogniem spłoszone ledwie utrzymać było można.

Sądny dzień był zaprawdę, przy biciu we dzwony na gwałt, placzu niewiast, przykach rozpaczliwych gości-kupców, którzy z kupią poprzyjeżdżali, a lękali się ją utracić w płomieniach.

Laską Bożą jakąś dom matki mojej został oszczędzony, lecz do rana byłem tu na straży, obawiając się, aby, jak to często się zdarza, przygasłszy na nowo nie powstał.

Księża drzewem krzyża świętego i relikwiami zażegnawali tę klęskę straszliwą, ale wielu padło jej ofiarą.

Spalił się wtedy w domu Turzonów na rogu doktor Maciej z Miechowa, uczony, rozumny i dobry mąż, który nietyle mienia swojego, co rękopismów i ksiąg żałował. Był to jeden z tych ludzi, u których ja, niedouczony, miałem jednak łaski i zachowanie, a niemało od niego skorzystać mogłem w samej rozmowie. Tego już naówczas do dworu brano, bo miał sławę najlepszego z lekarzy w Kra-

kwie, i król go lubił dosyć, choć się czasem z jego łaciny naśmiewał.

Gdy m czasu tego pożaru ciągle prawie około matki i jej domu się kręcił, nie mogąc opuścić zwłaszcza, że nadzwyczajną miała trwogę ognia, nad ranem już namówiwszy staruszkę, aby się położyła, zapewniłem ją, że nie odejdę, ale na dole zostanę. Tak też i uczyniłem; poszedłem do Sli-ziaka, który teraz większą część dnia w łóżku spędzał, usiadłem przy nim, a że stary kwaśny był, rozweselałem go, jak mogłem. Nielatwa to rzecz była.

Gdyśmy tak gawędzili sami siedząc, ujął mnie Sli-ziak za rękę i powiada:

— Głupią rzecz ci muszę wyjawić, ale mi się zda, że już dłużej tać przed tobą nie można.

— Cóż tam znowu takiego?—zapytałem.

— Pamiętasz dzień,—począł szeptać pocichu,—gdys się tu schronił wraz z królem? Ja nie wiem, czy naówczas Kinga była już u nas, czy on ją widział?

— Niel—odparłem.—Kinga przybyła później.

— Gdzież król Kingę napatrzył?—zamruczał Sli-ziak. Nie wiem, ale to wiem, że na nią poluje... że tu od niego posły w podwikach i różne szpiegi z podarkami nadchodzą i że mu w oko wpadła.

Strasznie mnie to oburzyło; mogę powiedzieć, że cała miłość i poszanowanie, jakie miałem dla króla, odrazu z serca mi wypadły,—taki gniew mnie uniósł.

— Mało ich ma po całym mieście—krzyknąłem, żeby po szlachce, uczciwe dziewczęta śmiały sięgać i starać się je bałamucić. Przecież Kinga umiała posły odprawiać, jak należało, w oczy im napluwszy?

— Tak jest—rzekł Sli-ziak,—ale to nie pomaga. Królowi zdaje się, że jako król, może, czego pragnie. Uparty jest. Widzę, że zabiegi nie ustają. Dlatego powiadam ci, abyś przy zrzeczności królowi twemu dał to uczuć, iż tu, oprócz wzgardy, nic nie pozyszcze.

— Tak mi się to dziwnem wydawało, co słyszałem od starego, że niebardzo mu wierzyć chciałem. Dobadywałem o szczegóły i przekonałem się, niestety, iż wistocie było, jak mówił.

Żli ludzie go na to naprowadzili. Nie mało było takich, co mi zazdrościli wszystkiego; ci, rozpowiadając o mnie, wystawili królowi Kingę, jako moją kochankę, czy narzeczoną, i tak mu ją opisali, jako cudo piękności, iż ją widzieć zapragnął; pokazali naostatek, a że się zapalał łatwo, poszła za tem reszta.

Miał dotąd Włoszkę, której nie opuszczał, albo raczej ona go się, jak kleszcz trzymała; miał mieszczańkę ledwie piętnastoletnią, we fraucymerze królowej nie brakło przyja-ściółek, lecz jemu codziennie potrzeba było coś nowego. O Włoszcze mówił, że była mu chlebem powszednim, a oprócz chleba, potrzebował kołacza i łakoci.

Tak sobie, wzorem mistrza, ze wszystkiego trefnie żartował.

Powróciłem na zamek z mocnem postanowieniem przy pierwszej zrzeczności królowi wymówić, że domowi, w którym schronienie mu dałem, srom chce czynić. Ale sam go o to zaczepić nie śmiałem i nie mogłem, trzeba było czekać zrzeczności.

W pierwszych tych latach, choć król serc sobie pozyskać nie umiał, niewiarę budził, a wielka jego miłość i ufność w Kalimachu odstręczała od niego, nie można powiedzieć, aby się nieszczęśliwie wiodło.

Z tych, co stali na czele obozu przeciwnego, kilku znacniejszych zmarło, co zawsze rozprzega i osłabia. Mazowieckich książąt Piastów miał zrzeczność sobie pozyskać, puszczając te części Mazowsza, które na niego spadły. Ziemianie burczeli, ale zdaleka. Tymczasem powoli, wedle rad mistrza, ściągaly się zaciągi obce, przez króla płatne i od niego tylko zależne. Można powiedzieć, że z królów ostatnich żaden tak ciągle w wojsko gotowe na wypadek wszelki nie był zasobnym, jak Olbracht, a i on też sam, co mu wyrzucano, nigdy z łóżka nie wstał nawet, nie przypasawszy mieczyka. Nazywał go najlepszym przyjacielem.

Wszystko to było owocem owych włoskich nauk, bo myślny królowi to wrażli, że u nas panowie chadzali bezbronnii, nie obawiając się nikogo i nieprzyjaciół w poddanych swych nie mieli.

Nienawiść przeciwko Kalimachowi rosła ciągle, podżegana tem, że o radach jego, królowi dawanych, nietylko prawiono szeroko, ale je złośliwi ludzie spisywali tak, aby go podać w ohydę i kartelusza te sobie z rąk do rąk podawano. Mało kto ich naówczas nie znał i nie czytał.

To był pierwszy powód nienawiści, drugim zaś źródło. U Olbrachta zajmował on stanowisko wyjątkowe, tak, że najwyżsi urzędnicy, gdy szło o sprawy krajowe, do niego iść i odnosić się musieli, bo bez niego nic poczynać nie mogli. Panował więcej, niż król, bo nad królem panował.

Tak samo mu uległ Fryderyk i był całkiem oddany, najmniej Zygmunt, który też rad już pod ten czas na Śląsku siedział u siebie, a jeden głos był, iż się tam rządził jako nie można lepiej. Ale ten do braci, jak niebo do ziemi, nie był podobny. Mówił mało, szedł powoli, kroki mierzył, za wiele nie pragnął, a nadewszystko kraj znał i stosował się z wędzidłem do rumaka. Tu zaś włoską uzdę chciano na polskie, z pozwoleniem, pyski wcisnąć gwałtem.

Coby z tego wynikło, gdyby Kalimach dłużej na tym świecie pozostał, przewidzieć trudno. Nienawiść ku niemu była już w roku ostatnim życia jego taka, że nie bez przyczyny jawne i potajemne strażę około domu jego dniem i nocą stawiać było potrzeba.

Nie było dnia, żeby nie doniesiono królowi o jakimś nowym zamierzonym zamachu. Poczynało się od tego, iż wiary nie dawał, posyłał na zwiady, a zawsze okazało się, iż istotnie coś zamierzonego było.

Ci, co na królu nowe przywileje ziemiańskie konieczne wytargować chcieli, powiadali sobie, że póki on żyje, póty żaden zjazd nie dojdzie i nic nie dostaną; zgładzić go więc było hasłem umówionem, a gdy takie złe słowo się rozejdzie, któż tego nie wie, że ludzi gotowych na sprzedaż się i ważenie gardła, zawsze jest dosyć. Za moich czasów było ich bardzo wielu. Tu zaś nie szło o pospolite morderstwo, a głośno wolano, że dobrze się zasłuży królestwu ten, co nieprzyjaciela wolności jego ze świata sprzątnie.

Niektóre z tych spisków były tak uknute, iż prawdziwym cudem tylko ludzie wpadli na trop, a kilku zasadzek

uszedł Włoch przypadkiem, tam się spóźniwszy, tu pośpieszywszy, albo zmieniając myśl w chwili ostatniej.

O wielu, albo prawie o wszystkich tych niebezpieczeństwach nie mówiono mu, bo i bez tego zgryźliwym był, a oprócz rodziny królewskiej i niewielu przyjaciół, niecierpiał reszty możnych i duchowieństwa.

Z dawnych przyjaciół Grzegorz z Sanoka, później Derśław z Rytwian, Zbigniew Oleśnicki, Maciej Drzewiecki, uczeń jego, z Włochów Arnulf Tedaldi, Collenucio z Pesaro, Guccio de Calloni najmiłsi mu byli. Ale miał po całym świecie rozsianych korespondentów, druhow, wielbicieli i protektorów, we Włoszech, Niemczech, Francji i gdziekolwiek naówczas nauki we czci większej być począły, a starożytna literatura odradzała się.

Wiele przeciwko Kalimachowi powiedziawszy, choć nauce jego i rozumowi sprawiedliwość oddaje i przed temi głowę skłaniam, to jeszcze na pochwałę niemiłego Włocha dodać muszę, iż nie pozornie, nie dla zysku, ale istotnie i serdecznie się wkońcu do królewiczów, do rodziny całej przywiązał. Nazywał ich dziećmi swemi, a brał tak do serca każdą ich sprawę, jak własną.

Nadszedł rok 1495 przy takim naprężeniu umysłów przeciwko królowi i Kalimachowi, że się można było spodziewać strasznego jakiegoś wybuchu ziemian, któryby siłą chyba uśmierzać przyszło.

Wolano i krzyczano, że Olbracht praw im i przywilejów nie chce dlatego potwierdzić, iż je złamać i zniszczyć zamierza, że zjazdów nie zwołuje, aby je zatracić i sam ze swymi radcami rządzić królestwem na sposób nie chrześcijański, ale pogański.

A że w tej chwili, gdy król cały był przyszlą swą wojną zajęty, w domu niepokoju musiał się strzedz i umysły należało ułagodzić, nastąpiły rady codzienne i nieustanne, w których się zdania rozbijały.

Sam Olbracht już był gotów dla zyskania coś ziemianom uczynić; był tego zdania Maciej Drzewiecki, sekretarz pański, a uczeń i przyjaciel Kalimacha. Kalimach zaś złamany nieco i znużony, choć ustępstw tych nie rządził i nie pochwalał, milczał.

I stało się to, czego w świecie nikt nie mógł przewidzieć —zwołano sejm jesienią do Piotrkowa. Jechał nań król z tem postanowieniem, aby się dać wykrzyczeć ziemianom, wiele im obiecać, a nie dać nic.

Takie było postanowienie, ale Olbracht nie miał mocy i stałości w niczem. Walczyć z taką zimną krwią, jak ojciec z ziemianami, wcale nie było jego rzeczą. Odwracał się od nich i drwił sobie, lub nawet co innego miał w głowie. I on, co wedle rady mistrza swojego miał obcinać, ścieśniać, odejmować swobody, pojechawszy na sejm, podpisał na siebie i następców swych takie zobowiązania, że się zakuci w kajdany równały.

Tym nowym przywilejem król przyrzekał nikomu nie odejmować dóbr bez wyroku; zaciągom za granicę płacić od oszczepu po pięć grzywien, nie dawać urzędów tylko osiadłym tam, gdzie je pełnić mieli i t. p., a naostatek, ani praw nowych nie stanowić, ani wojny wypowiadać bez zezwolenia sejmu. Dopisali sobie jeszcze panosze, aby plebejuszów, uchowaj Boże, do duchownych dostojęństw nie dopuszczano, a kmieciom obostrzono ich wolność, równie, jak mieszczanom, którym dóbr nabywać wzbroniono.

I ten oto król właśnie, co się przeciwko wolności najwięcej odgrażał, na przyszłość najtrwalsze fundamenty jej położył.

Gdy się to stało, a stało się wśród wrzawy, huku, pośpiechu jakiegoś i nacisku, że czasu niemal do namysłu nie było, Olbracht z izby wnet poszedł do sypialni i legł, przeklinając tłumne obrady.

Stałem właśnie w izbie razem z Drzewieckim, który mniej był zdumiony, niż ja—ale przewidywał, iż król dzień ten gorzko będzie opłakiwać.

— Widzisz, Maćku (tak król zwał poufale Drzewieckiego)—odezwał się, ziewając na głos wielki,—gdyby mi wolno było na tych gardłaczy wpaść z szablą i siekać ich na kapustę, dałbym sobie rady, ale słuchać ich mów, ich wymówek, ich narzekañ, ich gróźb, nie mogąc pięścią odpowiedzieć... to przechodzi siły moje. Wołałem podpisać, co żywnie chcieli, byle raz się od nich oswobodzić.

Otrzymali też wszystko, a może więcej, niż się spodziewali—rzekł smutnie Drzewiecki.

—Cóż to znaczy?—wybuchnął Olbracht.—Mam mocne postanowienie, obalić cały ten gmach, przez wieki latany i zbutwiały. Wszystko więc jedno, czy jakąś podporą pod nim więcej, czy mniej, gdy to runąć musi.

Zamilkliśmy. Król jawnie sam z siebie nierał był, ale śmiał się i żartował, to jednego, to drugiego z mówców prostaków naśladując.

Kalimacha naturalnie w Piotrkowie nie było, czekał na nas w Krakowie.

Z praw potwierdzonych król sobie nic nie czynił, ale nad tem, jak się miał tłumaczyć mistrzowi, rozmyślał i niepokoił się.

W początku panowania, w którym się na takie zmiany zanosilo, swobody powiększyć—znaczyło wiele.

Powrót też nasz do Krakowa był niewesoły. Uczeń zawstydzony, obawiał się stanąć przed strasznym sędzią. Drzewiecki też wiedział, że i na niego spadną gromy.

Ażeby siłę ich zmniejszyć, król mnie przodem wyprawił do Kalimacha z ustnem poleceniem, abym opowiedział, co się stało, a starał go wytłumaczyć, że inaczej być nie mogło, bo król przed wojną ziemian potrzebując, zrażać ich nie chciał.

Stanąwszy w Krakowie, poszedłem zaraz do starosty gostyńskiego, którego znalazłem we włoskim jego kółku zajętem czytaniem listów o nowem tłumaczeniu Platona, które przyjaciół jego, Ficinus właśnie kończył.

Radzi mi byli czy nie, jako posłańca pańskiego przyjąć musieli. Zdałem sprawę z sejmu nieszczęśliwego.

Ruszył ramionami i rzekł:

— *Ad calendas graecas* odłożone reformy... a tymczasem nowa obroza na szyi. Olbrachtowi było z katedry o rządzeniu czytać *collegia*, ale nie za berło chwytąć. Gdy mówi, rozumny jest... gdy do czynu się zaprzęże, krew nim rządzi, nie myśl:

Poczem zamilkł smutnie, nie okazując nawet, aby go to zbytnio dziwiło.

Jak się potem spotkali z królem, nie wiem.

Pod ten czas Kalimach już ciągle niedomagał i doktorowie go odwiedzali a lekarstwami karmili, życia wszakże swojego zwykłego nie zmieniał, a przy rozmowach wina siłą pijał i zapomniawszy się, niezdrowych potraw zjadał więcej, niż było potrzeba.

Widzieliśmy też wszyscy wielką na twarzy jego zmianę, a doktor Maciej z Miechowa i inni radzili życie bardzo pomierne i stateczne.

Na dni kilka przed uroczystością Wszystkich Świętych też sama choroba z której zmarł nieboszczyk król Kazimierz, napadła go, a choć tu Bernardyna nie było i leczyli go najlepsi królewscy i krakowscy doktorowie najkosztowniejszymi lekami, król niczego nie żałował i czyniono, co było w ludzkiej mocy, przecie życia dla wielkiej straty krwi, której zatamować nie umiano, nie ocalono.

I zmarł w sam dzień Wszystkich Świętych z wielką umysłu przytomnością i stałością, bez obawy śmierci, przygotowany do niej tak, jakby ją zawczasu przewidywał i przysposabiał się do niej.

Wspaniałym był pogrzeb Długoszowy, ale przepychem wspaniałością, okazałością pogrzeb Kalimacha o wiele go przeszedł.

Król, który mu później grobowiec wzniesić kazał u Św. Trójcy, sam starał się o to, aby mu oddano ostatnią cześć wielką, okazując, ile mu rodzina królewska, a on sam szczególnież zawdzięczał.

Było też na co patrzeć, bo nie mówiąc o mnogiem duchowieństwie i mnichach, samych biskupów szło za marami czternastu. Katafalk był okryty purpurą, całun ze szkarłat, bramowany futrem kosztownem. Dwunastu domowników jego, Włochów, włoską modą poubieranych, ścigali oczy, bo choć ich było mało.

Pogrzeb włódl, jako uczeń, Drzewiecki, a za nim notaryusz Jan z włoską czeredą w żałobie, też manierą nie naszą. Szli i panowie kolegiaci, akademii cała, szkoły, młodzież i niezliczone pospólstwa tłumy.

Król i kardynał Fryderyk żalowali i opłakiwali go szczerze, zabrakło im jakby miary pewnej i skazówki tego, co czynić mieli.

Ostatnią wolą swoją znaczne mienie rozdzielił tak, że królowi na pamiątkę cztery tysiące dukatów przekazał, Fryderykowi wszystkie księgi swe i pyszną kolebkę z czterema woźnikami, Aleksandrowi sprzęt kosztowny, srebra, opony, oprócz miednicy i nalewki srebrnej, którą rajcom krakowskim ofiarował, aby po wydaniu wyroku ręce w nich umywali.

Trudno to było zrozumieć, kto nie wiedział, iż jednego z domowników Kalimachowych, Włocha Bastjana, ławnicy surowo a niesprawiedliwie osądzili, którego, choć stary król ulaskawił, nie zapomnieli im Włoch tego.

Wiele pism swoich niedokończonych spalić nakazał, resztę majątności nie miałą synowcom przekazał.

Matka moja nie ode mnie dowiedziała się o śmierci Kalimachowej. Wszelkie z nim stosunki oddawna były zerwane i imię jego w domu na niczych nie pozostało ustach.

Nie spodziewałem się też wcale, aby w testamencie miał o matce mojej w jakimkolwiek sposób pamiętać, gdy Jan notaryusz, powoławszy mnie po pogrzebie, wręczył mi pudełko misterne i otworzywszy je, ukazał w niem piękny krucyfiks starożytnej roboty z kości słoniowej, opowiadając, iż Kalimach chciał go mieć przeze mnie wręczonym wdowie Nawojowej.

Zdumiałem się i zawałałem zrazu, lecz ofiary takie odrzucać mi się nie godziło. Na karteluszu przypiętym u dołu stały wyrazy: „*Et dimittite nobis peccata nostra sicut et nos dimittimus peccatoribus nostris.*”

Rzewnemi łzami oblała go matka moja, w ołtarzyku domowym ustawiwszy.

Tu nadchodzi tak smutna epoka życia mojego i tylu nieszczęściami upamiętniona, iż wołałbym ją pominąć i szerzej się o niej nie rozpisywać, bo mi się dziś jeszcze serce krwawi, gdy wspomnę, co sam i patrząc na to, co się działo, cierpiałem. Ale z wielu względów nie godzi mi się milczeć o tem, co ludzie może wcale inaczej i fałszywie opowiadać i tłumaczyć będą.

Wszystkich tych klęsk i nieszczęść stało się przyczyną, jeżeli nie złe serce, bo o to go nie obwiniam, to wielka króla lekkomyślność a nierozwaga.

Jak skoro na tron wstąpił, już z myślą tą, którą jak utrzymywał, po ojcu wziął w spadku, nosić się począł, aby śmierć bohaterską Warneńczyka pomścić, a Turków pogromiwszy, zagarnięte przez nich ziemie odzyskać.

Od zjazdu w Lewoczy król o niczem nie myślał, nie mówił, nie troszczył się o nic, prócz tego. Wojsko sprzymierzone chciał mieć tak potężne i wielkie, jakiego jeszcze żaden inny mocarz przeciw poganom nie wystawił. Pomijając własne, polskie pospolite ruszenie, posiłki litewskie Aleksandra, ks. Konrada mazowieckie, Krzyżaków czeskie i węgierskie, na które też rachował, zmusić chciał Stefana Wołoszyna, aby i ten z nim siedł.

Z roku na rok ściągało się aż do połowy 1497 roku, kiedy naostatek wojskom w lipcu do Lwowa się zbierać nakazano. Kardynał Fryderyk pozostawał w Krakowie na straży, jako wielkorządca z ramienia króla i jego zastępca. Zygmunt musiał ciągnąć z bratem.

Zdawało się, iż królowi tak szło o lik ogromny, iż co było ludzi zdolnych do wzięcia broni, pędzić kazał pod chorągwie. Tak samo i dwór swój liczny mieć chciał, wozów co niemiara, koni moc wielka, zapasu wszelkiego niezliczona ilość.

Chociaż wszystko to zawczasu się sposobiło, i ludzie byli wyznaczeni do utrzymania w tym porządku, niełatwo to, gdzie na dziesiątki tysięcy liczą się same ciury, a sto tysięcy rycerstwa idzie ład zdzierżyć, zapobiedz swawoli, strat się ustrzedz, karność utrzymać.

W samym początku już widać było, czem będzie ta wyprawa nieszcześnie, bo się mnożyły takie trudności, jakich nikt zawczasu przewidzieć nie mógł, a zaskoczeni niemi, radzili na nie tak, iż nowe z nich rosły.

Jeszcześmy się do Lwowa nie ruszyli, gdy skarg i pytań tyle przyszło, iż król głowę tracił, ale na Zygmunta je zdawał, a sam tylko o wielkiem zwycięstwie marząc, tak sobie płocho poczyniał, jak zwykle.

Dość powiedzieć, że na królewskich wozach jechać miały pańskie ulubienice ze swemi dworkami.

Lecz mało tego, jak zaraz opowiem. Wiedziałem zawczasu, iż ze dworem jadąc, nie na wiele się tam zdani, a za-

gryzę, patrząc na to, czemu rady nie było. Chciałem się więc z podkomorstwa mego zwolnić i jednego rana, pokłoniwszy się królowi, oświadczyłem, że czasu takiej wojny do pełnienia obowiązków nie czuję się zdolnym.

— Zważam to dawno, Jaszku, — rzekł — żeś serce do mnie stracił. A kiedyż służba twoja potrzebniejszą mi być może, niż teraz? W takiejże to chwili godzi się mnie opuszczać?

— Bóg mi świadkiem, — odparłem — iż nie ze złej woli, ale dlatego o uwolnienie proszę, iż na siłach się nie czuję. Ze wszystkiego już dziś widać, miłośnicy królu, co będzie w obozie i ciągnięciu, co na ziemi nieprzyjacielskiej i czasu wojny. Sprawa to tak wielka i trudna, iż myśląc o niej, włosy na głowie powstają.

Rozśmiał się król.

— Pewnie — rzekł — czasu pokoju, w domu, pod piecem żywot łatwiejszy, ale tak siedząc nad garnkiem grzanego piwa, nie zdobywa się państw i nie zyskuje sławy. Wielu z nas nie powróci, ale się wielkie dzieło dokona. Ja cię wprost od siebie nie puszcę i zakazuję mówić o tem.

Ani chciał słuchać więcej.

Bóg wie, z jaką troską w sercu poszedłem się założyć przed matką, która płakała. Nikt tej wyprawie dobrego nic nie przepowiadał, we wszystkich budziła niepokój straszny.

Nie powiem, aby to przypomnienie losu Warneńczyka sprawiało; — wiedzieli i patrzyli, czy kto chciał, czy nie, iż nieład był straszny, król niebaczny, a Zygmunt na wszystko starczyć nie mógł. Jeden Olbracht z obojętnością swą zwykłą i lekceważeniem wszystkiego, wierzył w jakąś gwiazdę szczęśliwą.

Nawet kardynał Fryderyk, porywczy i krewki do wszystkiego, co wielkiem się wydawało, wyprawie tej był przeciwnym, ani się z tem krył, choć królowi mówić nie śmiał nic, bo wiedział, iż go nie przekona.

Gdy Drzewiecki uwiadomił Olbrachta o tem, że brat nawet odradza tak przyspieszoną wojnę, pogniewał się pono i zawołał:

— Niech klecha mszy pilnuje, a nie wdaje się w cudze sprawy.

Powtarzano potem te słowa:

— My, cośmy znali Olbrachta, wiedzieliśmy, iż go pohamować nie i nikt nie zdoła.

Poczęło się tedy owo nieszczęsne ciągnięcie z wozami, ciurami, luźnemi końmi naprzód do Lwowa po drogach już tak rozbitych, rozkwaszonych, dokoła objędzonych, iż nigdzie kawałka chleba ani wiązki siana dostać nie było można. Kto z sobą nic nie miał, ten mógł z głodu mrzeć, albo prosto drugiemu wydzierać musiał. Już na gościńcu się ta tragedia poczyniała.

Śpieszyły oddziały, szukające wozów i naczelnicy dopytujący o swoich pogubionych ludzi. Tam pytano o Sieradzian — a nie widzieliście ich? dalej o ziemian od Gniezna i Kruszwicy. Wyśmiewano się, poznając Mazurów po wymowie. Łączyli się jedni i bratali, drudzy drapali, ujadali i tłukli.

Po gospodach ani się docisnąć, a mało gdzie obok piwa krew się nie lała. Kupy jedne wyprzedzać wszystkich chciały, inne się wlokły, a dla paszy zbaczaly z drogi na dwory, na plebanie — więc skargi, więc wiązanie ludzi, ba i trupa nierzadko widzieć było.

A tu środkiem tego gońcy na podwodach, do króla śpieszący, jedni z Litwy, drudzy od Mazurów, trzeci od Krzyżaków—to z Pragi to z Budy.

Jedni drugim z przed nosa podwody porywają. Konie po drodze zdechłe na każdym noclegowisku.

Już można z tego było miarkować, co będzie dalej. Im bliżej Lwowa, tem gorzej, ścisk i nieład większy. Nikt naprzód nie pomyślał, jak to ogromne wojsko pomieścić, uszykować, nakarmić i w tęgiej karności utrzymywać.

Były sądy i sędziowie wojskowi, ale nim sprawy do nich doszły, rany się pogoiliły a trupy pogniły.

Król nakazał, aby za wojskiem swem trzody wołów pędzono, i nagromadzono ich dosyć, a pieniądze kosztowały nie mało, tymczasem nimeśmy dociągnęli do Lwowa, wiadomo było, że cała jedna trzoda, dwieście

głów co najlepszego bydła, przez niedbalstwo pastuchów tak się rozbiegała, a pewnie ją rozchwyłali po lasach ludzie i pozabijali rzeźnicy, że już ani dopytać było, gdzie się podziały.

Wszystkie omena wypadały jak najgorzej i serce ludziom słabło, a przepowiadali, że na zgubę ich król prowadzi.

Ja z mojemu wozami i końmi zażywszy niemałego kłopotu po drodze, zbliżałem się już, namawiając kół i gardła napsuwając do Lwowa, gdy i mnie nieszczęście też spotkało.

Prowadziłem z sobą luźne konie królewskie, pomiędzy którymi był Lebień, biały wierzchowiec, pański ulubiony, którego mi jako oka w głowie pilnować kazano. Olbracht go lubił bardzo, bo choć nogi miał doskonałe, nosił lekko, co u koni rzadko razem chodzi. Prowadziłem Lebiezia pod deką szytą, jako faworyta, osobnego mu parobka do dozoru dodawszy, a na każdym popasie i noclegu samem stał, gdy mu wodę i obrok dawano.

Dzięki Bogu ani schudł, ani mi fantazji nie stracił i cieszyłem się, że go królowi oddam bez znaku odbytej podróży.

Na ostatnim noclegu przybiega do mnie podkoniuśzy, Rataj i opowiada jako słyszał, że na gościńcu potok po deszczach most zerwał i przeprawy niema, a ludzie wbród muszą; że niektórym wozy potonęły, innym woda w nich wszystko popsowała, a i ludzi kilku utonąć miało.

Nie było na to ratunku, bo stawić mostu ani było myśleć, a czekać, aż wody gwałtowne przepłyną, nie mieliśmy czasu, ale wbród przebywać rzeczukę nie było żadną osobliwością i myśmy do tego nawykli; nie posyłałem więc nawet przodem, czekając ranka.

Gdyśmy na brzeg przybyli, zastaliśmy niemałą tu kupę, która nie wiedziała co począć. Przeprawiali się, jak kto mógł, a inni brodu szukając, rozjeżdżali się.

Mnie się miejsce nie wydało niebezpiecznem. Kazałem Ratajowi na konia siąść i pójść wplaw na próbę. Spłynął mu koń trochę, ale bez szwanku dostał się na-

drugą stronę. Nie wahałem się więc, obrawszy miejsce, nie czekając, kazać wbród przeprować.

Nieszczęśliwa to była godzina.

Lebiedzia prowadził pacholek na tegim koniu i o nich się najjnniej obawiałem. Mieli z nami przeprować się naostatku.

Ja sam trochę w bok odstąpiwszy, choć głębiej tam było, koniowi i sobie ufając, puściłem się, przeżegnawszy.

Jużem prawie u drugiego brzegu był, dosyć szczęśliwie przebrnąwszy sam środek, gdy naraz slysze krzyk.

Poznałem głos parobka, który Lebiedzia prowadził, aż mnie dreszcze przeszły. Patrzę, woda ich odniosła prądem wielkim, Lebiedz, bijąc się, w powrót, na którym prowadził go parobek, zaplątał się... i tonie...

Bez rozmysłu rzuciłem się na ratunek, gdzie gdyby nie rozumniejszy nade mnie koń, i jabym zginął pewnie. Lebiedzia już uratować nie było podobna. Dobyliśmy go z wody bez życia.

Wiedziałem, co mnie za to we Lwowie od króla czeka.

Parobek, złakłszy się snąć, abym go w miejscu nie ubił, dorwawszy się do brzegu, uciekł i zginął.

Wszystko to dopiero początki.

Na zamek się dostawszy przez miasto, nabite ludźmi, wozami, końmi, bydłem, namiotami, budami i szalasami, jakom nigdy nie lękał się strachowi zajrzeć w oczy, tak i teraz, — wprost poszedłem do króla.

Znalazłem go dobrej myśli, choć wiedziałem, że wsząd wieści przychodziły jak najgorsze.

— No—rzekł—toś przecie przybył.

— Z wielką biedą — odpowiedziałem — a i nie bez wielkiej straty!

Olbracht się zmarszczył.

— Cóżś stracił?

— Lebiedz mi na przeprowie wczoraj utonął — odparłem śmiało.

Plasnął król w ręce.

— Toś mi ząb trzonowy wyrwał!—zawołał.

— Życiem mojem ważył, ratując go — rzekłem — nie pomogło nic, winienem.

Spodziewałem się wybuchu wielkiego i gniewu, ale pozostał zadumany smutnie i słowa mi nie powiedział.

Spytał o ludzi, o wozy, potem ziewnął, powtórzył: Lebiedz— i odszedł.

Tymczasem, gdy na mieście ci, do których porządek należał, głowy tracili, na zamku się zabawiano. Król bynajmniej nie zwątpił i drugim wesołością udaną, czy prawdziwą, otuchy dodawać się starał.

Zygmunt bardzo czynny, widocznie frasobliwym był wielce.

Do wszystkich bied naszych przy zlej porze, zlej strawie, niesłychanem zbiegowisku, niewygodach, ścisaku, rozpuście, wszczęły się szerzyć w wojsku choroby i ludzie mrzeć, jak muchy... Zrana nie było obozowiska, z któregooby po kilka trumien, naprędce zbitych, nie trzeba było wywozić na cmentarz. Później, aby popłochu nie czynić, zarządzano tak, aby pocichu i nocą wywożono trupy.

A gdy jedną stronę podwoły zachodziły cichaczem po nich, z drugiej w szynkach, których się namnożyło bez miary, pito i tańcowano na zabój.

Żołnierz, jutra niepewny, zawsze tak dnia dzisiejszego używa bez miary.

Trzeciego dnia po wyjeździe moim król, książę Zygmunt i cały dwór, szliśmy wszyscy rano na mszę świętą, którą odprawiał mnich świętego Franciszka, staruszek, pobożny bardzo.

Cóż się dzieje? Oto czy biedaczysko osłabł, czy taka była wola Boża, aby na przestrobach nie zbywało, w chwili, gdy Hostyę błogosławioną w górę podnosił, wypadła mu z rąk na ziemię. On też za nią rzucił się na kolana, a w kaplicy popłoch się stał, trwoga nie do opisanania. Przypadli z zakrystyi księża inni w pomoc, podniesiono Sakrament, odbyły się należyte modlitwy, msza dokończyła, ale wrażenie jakiegoś nieszczęścia pozostało we wszystkich umysłach.

A że ludzie już i tak potrożeni byli, drudzy wszyst-

kie te złe znaki skrzętnie zbierali, więc z każdą godziną więcej się w tem utwierdzano, iż zguba czeka króla i tych, co z nim idą.

Wistocie też nigdy może razem tyle się przepowiedni nie zebrało naraz.

Ledwieśmy odetchnęli po tej hostyi, gdy nad wieczorem, kiedy nikt burzy się nie mógł spodziewać, nadciągnęła chmura czarna.

Bobrek, królewski ulubieniec stał w progu stajen, gdy deszcz z wiatrem padać począł. Jam z przeciwnej strony w krążganku siedział na ławie, spoczywając trochę. Wtem oczy mi załało, jakby ogień po nich przeszedł, siarkę poczułem i słyszę trzask wielki. Zerwałem się z ławy, żegnając. Bobrka we drzwiach nie widzę, tylko coś leży na ziemi, a poza nim płomienie buchają i ludzie krzyczą, a konie rżą.

Nimem się ja zebrał biedz, ze wszech stron zaczęli ludzie nadbiegać, ukazał się i król. Bobrka czeladź niosła na rękach nieżywego. Na skroni miał znaczek mały, siny, jakby ziarenko grochu.

W stajni najlepszych koni dwanaście piorun sobie jakby wybierał, bo z jednego końca sześć ich powalił, z drugiego tyleż, a tym, co w pośrodku były, nie się stało.

Oczom się nie chciało wierzyć, a że wistocie tak było, poświadczą mi wszyscy, którzy pod ten czas tam byli.

Olbracht po Bobrku wielce bolał, bo to były jego obcęgi i miotła... gdzie się sparzyć i powalać nie chciał, nim się wyręczał.

Wszystkie te skazówki z niebios i przepowiednie głęboko się w umysły wraziły, wielu za tem było, zwłaszcza, że jesień nadchodziła, aby wyprawę odłożyć i wojsko w części rozpuścić, lub na zimowych umieścić legowiskach do wiosny. Król o tem ani słuchać nie chciał.

Wyciągnięcie ze Lwowa odraczało się z dnia na dzień z powodu Stepanka Wołoszyna. Posyłał do niego król, aby mu stawał z posiłkami, jako był obowiązany, obiecując na Kilię uderzyć.

Przyszła odpowiedź, że gospodar nie odmawia iść

razem, ale się nie ruszy, dopóki króla z wojskiem nie zobaczy nad Dunajem.

— Mam Turków pod bokiem i na karku — mówił przez posła, — polski król, jak przyszedł, tak pójdzie precz, a na mnie się skrupi, i poganin mścić będzie. Za cudze grzechy pokutować nie chcę.

O ile ja wiem, król podobno od początku na Wołoszyna nie rachował wcale, chciał tylko mieć pozór dobrego, aby za niedotrzymanie słowa na jego ziemię najechać i dla Zygmunta ją zdobyć.

Gdy posły ostatnie od Stepanka przyszły z odpowiedzią, zaczęto się głośno odzywać, że nie na Kalię iść trzeba, ale na Soczawę.

Wołoszyn też chytry, nie był bezbronny i ci, co ku granicy siedzieli, opowiadali, że siły ogromne zgromadził, a i Turków w pomoc sobie zapewnił, czemu Olbracht wiary nie dawał i cenil go sobie bardzo lekko.

Mnie po tych wszystkich przypadkach, wróżbach i patrząc na coraz się mnożący w wojsku nieład, ogarniała taka tęsknota i ból, jak gdybyśmy już nad przepaścią stali.

Co dnia prawie posyłany byłem na miasto, do dowódców oddziałów i różnych oddziałów królewskich, którzy tam mieli swoje kwatery. Musiałem więc patrzeć na takie widowisko bezecne, jakiegom w życiu nigdy nie oglądał i bodaj oczy moje nie widziały pókim żyw.

Za wojskiem i ciurami nie wiedzieć skąd ściągnęło się do obozu plugastwo takie gromadami wielkimi, iż bez sromu przejść około łaźni, szczególnie w biały dzień, nie było można. Nagich kobiet i dziewcząt z żołdactwem wyprawujących płasy nikt nie rozpędzał... muzyka przygrywała, a pijani żołnierze dopuszczali się takich sprośności, iż niechybnie karę bożą na się ściągnąć musieli.

Oboźni i starszyna donosili o tem królowi, domagając się, aby kobiety, za obozem ciągnące, wysnagać i precz odpędzić, ale Olbracht ramionami poruszał i żołnierzy zrażać nie chciał.

Tymczasem tych zacieężnych z jednej strony kobiety, z drugiej szynkarze a kostery włączące się za wojskiem, szalbierze, przekupnie, obierali z ostatniego grosza, odzierali, tak, że niektórzy nawet część zbroi pozostawiali i potracili.

Był naówczas w ruszeniu pospolitem krakowskim ziemianin, wszystkim znany, niejaki Sropski, z którego zwyczajem już było się naśmiewać.

Nie był on głupim wcale, ale prostaczkiem i gadułą, który cokolwiek na sercu miał, na języku też sadzał. Nie zważał na nic Sropski i swoje prawil. Niektórzy go kaznodzieją przezywali. Wyzwany paplał, gadał, unosił się, wszystkich gromił a karcil i dawał się śmiać z siebie.

Wzrostu więcej, niż miernego, suchy, z szyją długą, głową spiczastą, wąsem zawieszistym, ubrany zawsze szaro, z ładajaką szabelką u pasa, czapczyzna wytarta, gdy mówił, miał zwyczaj lewe ramię poruszać, jakby sam o tem nie wiedząc, a oczyma i usty z tej strony pomrugiwać — wyglądał więc błazeńsko, lecz błaznem przez to nie był.

Za wiele mówił, ale słowo jego pocziwe z serca płynęło.

Ten to Sropski od przybycia do Lwowa, gdy się we wszystkim rozpatrzył, a czynić nie miał co, chodził po rynku, po ulicach, po obozie, gdziekolwiek się ludzie zbierali i prorokował srogie rzeczy.

— Na rzeź idziecie — wołał, — noga wasza stamtąd nie wyjdzie... Bóg skarze i pomści zgorzenie, jakie dajecie. Pogan wojować wybieracie się, a samiście od nich gorsi, bo ci niechrzczeni, Chrystusa nie znają i jeżeli w grzechach brną, mniej winni, gdy ślepi, a wy białą sukienkę wdziawszy, z nią w błoto brniecie... To nie wojsko jest, ale trzoda, na rzeź przeznaczona! — powtarzał.

Śluchałem tych kazań Sropskiego nie raz, ale dzieścię razy, a nie widziałem człowieka, coby się z nich nie naśmiewał, oprócz jednego doktora Macieja z Miechowa, który mi naówczas rzekł:

— Człek jest *pauci sensus*, ale to, co mówi, prawda zdrowa.

Doszło i do króla, że Sropski serca odejmuje wojsku, więc mu przez obożnych zakazano mówić publicznie, na co on wcale nie zważał.

Postanowiony już był dzień, kiedyśmy wyruszyć mieli, bardzo się opóźniwszy. Niektóre oddziały rade nierade, pierwsze z tej Kapui lwowskiej poczęły wychodzić nie ku Kamieńcowi i Kili, ale ku Soczawie. Ja moje wozy, konie i ludzi sposobilem tak, aby najgorszym drogom i przypadkom podołać mogły. Zapas kół zapaśnych, żelastwa, toporków, drągów kutych jeszcze powiększyłem we Lwowie.

Na czwartek rano po Mszy św., naznaczony był wyjazd, gdy w środę wieczorem do stajni wszedłszy dla przekonania się, że mi moja czeladź nie zbiegła na miasto do łazien tych i szynków, zbliżywszy się nieostrożnie do konia królewskiego, zwanego Żmiją, który tak zły był, że się czasem rzucał kąsać, uczułem, jak wierznął i w nogę mnie trafiwszy, obalił. Chciałem się podnieść zaraz, ale noga wisiała przetrącona, kości w niej były pogruchotane.

Czeladź zaniósł mnie leżącego na desce na zamek do izby na dole; przyszedł zaraz pan Maciej z Miechowa, opatrzył i potwierdził to tylko, com ja już czuł najlepiej: bestya mi nogę połamała.

Zawszem na wszystko gotów był; ani o nogę ani o życie mi tak bardzo nie chodziło, ale o służbę królewską. Prosiłem zaraz, aby panu dano znać o mnie, bo trzeba było obmyśleć zastępcę.

Olbracht sam przyszedł natychmiast.

— Trzeba ci było — zawołał — po ciemku do stajen, tak jak Bobrkowi wówczas pod piorun, abym ja na tę wyprawę jednego pocziwego sługi nie miał. Kogóż ja na twe miejsce wybiorę?

Poddałem mu Sawka Czerwiaka, co król przyjął milczeniem.

Takim sposobem w chwili, gdy już wyruszać miał, ledz musiałem, a choć doktorowie, nogę mi złożywszy

i zwiąawszy zapewnili, że zrosnąć się może i powinna, niebardzo był życia pewien.

Rzuciło mnie w gorączkę straszną, tak, iż przytomność postradałem, a gdy ją odzyskał, na zamku było pusto. Wyciągnęło, co żyło. W mieście też zostały tylko śmiecie i okrucy. Naprzód tedy posłałem po księdza, aby na wypadek wszelki z Bogiem się pojednać i w sumieniu uspokoić, potem matce dałem znać.

Do Krakowa z nogą, której poruszyć nie było wolno, gdyby mnie na rękach nawet nieść miano, nie dostałbym się żyw.

Nieznajomy w mieście, jedynych opiekunów miałem w doktorze Staszku z Mościsk, któremu mnie Miechowita polecił i księżynie mnichu, ojcu Karle, przychodzącemu dla pocieszenia mnie prawie codziennie.

Izba dolna na zamku choć trochę zimna, nie była zbyt niewygodną, a mój barłóg umieszczono blisko wielkiego komina, na którym dzień i noc gorzały kłody dla ciepła i światła. Do posługi miałem pacholika mego krakowskiego Ziarnka, niezgorsze chłopię, choć nad miarę swawolne.

Po tych ostatnich tygodniach, spędzonych we wrzawie i piekle, teraz mi się ta cisza niemal grobową wydawała. Z Krakowa się rychło nie spodziewałem nic, anim tego żądał.

Rozmyślałem teraz w samotności tej, co się tam działo z wojskiem, królem i panami naszymi, których siła tak wielka mu towarzyszyła.

Jak ludzie pamięcią sięgnąć mogli, nigdy tak ogromne wojsko jeszcze nie zgromadziło się na żadną wyprawę ani za Kazimierza, ani za Jagiełły, gdy z Krzyżakami wojowano. Liczono rycerstwa do stu tysięcy, ciurów obozowych i sług a gawiedzi wszelkiej najmniej ze czterdzieści tysięcy, wołów pewnie dwadzieścia.

Gnano całe stado bydła, ale już pono prędko się ich przebierać zaczęło.

O pochodzie mówiono we Lwowie mało, a wiedziało tyle tylko, że wszyscy poszli na Soczawę i Stepanka z niej wygnać mieli. Nikt jakoś dobrze nie wróżył tej po-

tędze tak wielkiej; było jakby przeczucie nieszczęścia jakiegoś.

Zresztą doktor mój i ksiądz czasami przynosili z miasta tak sprzeczne i bałamutne wiadomości, że mowa ich nie słuchać.

Jużem po pierwszych przebytych strasznych boleściach i gorączce cokolwiek zaczynał przychodzić do siebie, kiedy dnia jednego drzwi się otwierają na oścież, patrzę i oczom nie wierzę... Wchodzi zakwefiona matka moja i podtrzymująca ją pod rękę Kinga.

Lzy mi się naprzód z oczów puściły, bo mi się nigdy spodziewać ani przypuszczać nie mógł, że staruszka podróż taką dla mnie biedaka podjąć zechce. Padłbym był jej do nóg, ale przykuty leżałem do barłogu mojego.

Oświadczyła mi naprzód, że chce choćby na noszach kazać mnie do Krakowa z sobą przenieść, lecz doktor nie mógł na to pozwolić. Stało więc na tem, iż sama z Kingą i małym dworem swoim, okupiwszy się burgrabiemu, na zamku się umieszcila dla dozoruowania mnie.

Nie byłem nigdy nawykły do żadnych pieczy, sam sobie będąc zawsze zostawiony, więc mi teraz to staranie około mnie rajem było i kalectwo błogosławić kazało.

Matka nie mogąc sama dla wieku i rąk zbolatych nic czynić, Kingą się posługiwała, która z dobrocią jakby przywiązanego dziecięcia czuwała nade mną.

Więc i jadło, i napój, i posłanie na lepsze się teraz zmieniły, a jam opływał we wszystko. Smutna ta ciemna izba na zamku tak mi się teraz rozjaśniła, iż nie zdało mi się, abym piękniejszej nad nią widział w życiu kiedy.

Wstyd wyznać, iż tem światłem, co mi ją tak rozpromieniło, była śliczna Kinga, która się tu przez pół dnia krzątała, biegała, szczebiotała, napelniając ją życiem jakimś, które przynosiła z sobą. Przywiązałem się do niej, jak do dziecka, bo mi w głowie nie powstało inaczej się rozmyślać na starość. Takem sobie przynajmniej moją dla niej słabość tłumaczył.

Matka moja patrzała na to, ciesząc się, iż mi z sobą przyniosła pociechę i rozrywkę.

Noga też moja, dzięki pocziwemu doktorowi, staraniom, jakie około mnie miano i temu może uspokojeniu a rozweseleniu na duchu, dziwnie się zrasła i goić poczęła. Nie było już wątpliwości, że przy łasce Bożej chodząc będę mógł bez kija mało co, albo nic nie zakuliwając.

Kalectwa i niedołęstwa obawiałem się równo ze śmiercią, bo skazanym być na to, aby nie mógł się poruszać o swej sile i bez pomocy ludzi i nic poczynąć, jest najstraszniejszą dolą dla człowieka.

Gdy mi tak czas płynął dosyć żywo z łaski matki, po niejakiem czasie poczęły przychodzić różne wiadomości od wojsk naszych, ale się z nich wiele nauczyć nie było można.

Przybywali włóczęgi, co się od swoich oddziałów dla choroby lub ze swawoli odbili, ciury poodpędzane—wszystkie można powiedzieć śmiecie obozowe. Ci pletli koszałki, aby siebie oczyścić, i nikt im nie wierzył.

Potem zaczęli nadchodzić gońcy, opowiadając różne. Naprzód, że wyżebrany posiłek litewski, ledwie się połączywszy z wojskiem króla, zaraz od niego odstał. Krzyżacy też zawiedli... Mazurów tak jak nie było.

Wogóle ktokolwiek nadciągnął stamtąd, nic dobrego nie przynosił. Każdy przybywał posępny, z twarzą żółtą, milczący, tak że trudno było co z niego wydobyć... a z czego się wypowiadał, trwożyło i smuciło. Nic szczęśliwego nie rokowano z wyprawy.

Dalej ci, co się przywlekli do Lwowa, zaczęli opowiadać, że król chorzał i że nie zawsze na koń się mógł, a na wozie go podwożono podczas. Zrywał się na koń, ale znowu zaniemógłszy, zbroję zrzucił.

Przyszła wiadomość, że oblegano Soczawę, ale miasto się broniło okrutnie, a lud okoliczny przeciwko najazdowi, który mu kraj niszczył, tak był zajadły, że się nikt na krok od kupy oddalić nie śmiał, bo po zaroślach i wąwozach czatowano i ubijano.

Wszyscy byli zrażeni i zniechęceni, żywności za-

czyniało braknąć, a tu nadchodziła zima, srogie wiatry a śloty.

We Lwowie już ci, co królowi sprzyjali, o jedno Pana Boga prosili, aby wyszedł cało z tej imprezy, którą mu wszyscy naówczas odradzali, a wywiódł wojsko z tego kraju, którego zawojować nie było tak łatwo, jak się spodziewał.

Wołoszyn, zamiast przeciwko Turka z nami iść, miał go za sobą i posiłki nawet od niego otrzymywał.

Jeden z pisarzy królewskich przywiózł naostatek pocieszającą wiadomość, że za pośrednictwem Węgrów ze Stepankiem miał być zawarty pokój i przymierze, poczem zaraz wojska zamierzały puścić się naprost przez bukowińskie lasy nazad do domu.

Wszyscy się wielce uradowali tem i lżej odetchnęli. Kazano się nam wrychle spodziewać króla do Lwowa, gdyż chory powracał i przez czas dłuższy miał tu wypocząć. Przyszedł więc do mnie burgrabia Trzeciak, dobry człek, wielce mi przyjazny, aby się naradzić, co czynić wypadało w przewidywaniu królewskiego powrotu. Nie wypędał on mnie, bo jako sługa pański miałem prawo pozostać na zamku, lecz szło o matkę, która z ludźmi potrzebowała kilka izb, stajen i wozowni dla koni i ludzi.

Nie życzyłem też ja sobie, aby Kinga pozostała tu aż do przybycia króla i dworu, a od matki nie chcąc się oddzielić, sam wniosłem, abyśmy kamieniczkę jaką w mieście najęli, dokądby i mnie na rękę lub z łóżem bodaj przeniesiono.

Matce też to lepiej się podobało, niż na łasce burgrabiego gospodą na zamku mieszkać, zawsze nie jak u siebie, ale gościńą. Natychmiast więc najęto dwór od Żurowiczów z ogrodem i stajniami, drewniany prawda, niewytworny, ale ciepły i przestronny. Na jednej stronie było trzy dużych izb z alkierzem, z drugiej tyleż dla czeladzi na kuchnię. A że się powrotu królewskiego lada dzień można było spodziewać i nie chcieliśmy, aby nas tu zastał, jak tylko izby umieciono i ogrzano, matka się natychmiast wyniosła pierwsza. Mnie, jakem leżał, okrywając obręczami skórą obleczonemi, sześciu najętych drabów poniosło, tak, że oprócz trochy chłodu niewiele co poczuł tych przenosin.

Matka zawczasu opatrzyła mi najlepszą izbę we dworku, tak, żem przybywszy, aż się weselszym poczul, więcej widząc światła bożego i około siebie weselszego coś, niż w murach zamkowych. Była tuż i komórka dla pacholęcia i wszelkie wygody, a gdybym wstać i chodzić mógł, dosyć miejsca, aby się swobodnie poruszać.

Pierwszy to był dzień od okaleczenia, żem się mógł śmiać, żartować i weselszą myśl okazać... a że nadzieja powrotu króla i naszych ożywała, byliśmy dobrej myśli wszyscy.

Niestety trwało to bardzo krótko i przyszło jakby dlatego tylko, aby po tym dniu jasnym, żaloba nasza czarniejszą się wydawała.

Mówiłem już o Sropskim, tym proroku, z którego się wszyscy naśmiewali. Sropski ten, pomimo iż się najgorszego spodziewał, gdy wojsko się ruszyło, poszedł z nim razem. Pamiętam, że mu naówczas mówiono, naigrasząc się.

— Jeżeliś prorokiem, Sropski, a Pan Bóg z tobą w takiej komitywie, że ci naprzód objawia swe wyroki, wiesz tedy, że na zgubę idziemy... no to wracaj do domu!

— A gdzież się to? — odparł naówczas. — Niel Gdzie wszyscy idą, tam musi kto ze swymi trzyma, choćby w przepaść, bo się od braci odstawać nie godzi, ale zakon nasz, ginąć z nimi! Wiemci, że nas tam zguba czeka. Kto głowę wyniesie całą, Bogu tylko wiadomo; ja tam może moją położę, ale ponieść ją muszę.

Poszedł tedy Sropski z innymi, wzięwszy z sobą tylko pasek Ś. Franciszka i poświęcony różaniec.

Zrana była może na półzegarzu godzina dziesiąta, na dwie przed południem, leżę sam jeden w mojej izbie świeżo smółką wykadzonej, słońce zimowe świeci wesoło, wróble jakby na wiosnę ćwierkają, w duszy mi było błogo jakoś niewypowiedziane. Wtem słyszę kroki, szłapanie jakieś raczej powolne i jęki przytłumione. Poznałem po chodzie, że to nie mógł być nikt z domowych.

W sieni, słyszę, ktoś przystanął i po drzwiach jak ślepy skobla szuka, ręką wodząc. Podniosłem się nieco na łokciu. Otwierają się drzwi zwolna i ukazuje się postać — nie wiedzieć, zebrek, włóczęga — drab czy widmo.

W różnych krajach i przygodach dosyć się ludzi napatrzyłem, zdało mi się, że już mnie żaden nie zdziwi i nowym nie będzie. Począwszy od trędowatych, chromych i paralityków pod kościołami we Włoszech, aż do naszej nędzy po lasach i wioskach widziałem wszelką ludzką potworność i niedolę. Ale człowieka takiego, jaki stanął przed moimi oczyma teraz, nie oglądałem nigdy, anim mógł przypuścić, że on mi się zjawi kiedy.

Twarz trupia, żółta, wyschła, z oczyma wytrzeszczonemi jakby nieprzytomnie. Ponad nią włosy rozczochrane okropnie, przez czoło zakrwawiona chusta ze krwią zczerniałą, zaschlą i zabłoconą. Szyja naga sińcami i plamami okryta, ciało napół osłonięte szczątkami, łachmanami, powrozami, gałganami poobwiązywane, na nogach onuczki, zdarte obuwie, kawalki kory, bosa rany, skorupy błota. W jednym ręku ogromny kostur jakby świeżo wyłamany, przy którym sterczały jeszcze gałązki. A wszystko to nic przeciw twarzy i postawie — wpół obłąkaney, jak nieprzytomnej i dyszącej gorączką.

Patrzę osłupiały, patrzę — zdaje się wkońcu, iż mi się Sropski ochapia, ale nie jestem pewny. On? nie on... Zwaryował, obłąkał się!!

Złąkleń się go! Nuż wściekły szaleniec, a ja tu bezbronny. Ale widzę, wszedł, drzwi za sobą zamknawszy, w pośrodku izby stanął, usta mu się otwarły, oczy patrzą nie na mnie a na ścianę, i chrypliwy głos poczyną mu się z gardła dobywać... ale tak nieprzymierzając, jak gdyby ciasnym otworem woda prądem naciśnięta. Wtem wybuchnął, poburczawszy niezrozumiale:

— Wziął Bóg pomstę za grzechy... i stała się rzeź wielka, mord okropny... padli winni i niewinni. Oczy moje patrzyły na to, i jeszcze krew mam w nich... krwawo widzę wszystko, okrzyk i jęki dogorywających słyszę. Niema rycerstwa polskiego... chłopstwo wołoskie wygniotło je i wybiło. Nie będzie domu bez żaloby... nie będzie rodu bez mogiły... Wdów i sierot tysiące!

Załamał ręce i płakać zaczął okrutnie z taką boleścią, że chociażem go za obłąkanego miał, serce mi się ścisnęło.

— Sropski! — krzyknąłem — opamiętaj się! Co ci jest? przeżegnaj się!

I począłem wołać na pacholika. Wtem matka moja z Kingą, usłyszawszy krzyk, nadbiegły ale ukazania się ich płaczący ani spostrzegł nawet.

Tak jak ja, niewiasty go wzięły za obłąkanego, zlekły się i Kinga pobiegła po służbę.

Tymczasem Sropski, splakawszy się, otarł łzy zwolna i obrócił się do mnie.

— Bóg cię ocalił — rzekł; — mało, że życie, ale pobłogosławił tem, iż widoku dnia tego nie miałeś na oczach i nosić go nie będziesz aż do śmierci, jako ja. Ach! kto patrzył na ten dzień pomsty, ten i na jedną chwilę do zgonu wolen od niego nie będzie. Wyrzył się ten obraz krwawy tym, co w bukowińskim lesie nie położyli kości swych, i pójdzie z nimi, i wypiętnuje się im na piersi, na czole, na uchu, na ustach, na oczach, aby się kajali do śmierci.

Słuchaliśmy go ciągle jak obłąkanego jeszcze, nie rozumiejąc, ale mnie tknęło to, że lasy bukowińskie wspominał. Serce mi w piersiach zakolało.

Wtem słyszę rumor, chód i na progu zjawia się burgrabia zamkowy Trzeciak. Gdym go zobaczył bladego, pomieszanego, z męską jego twarzą niemal po niewieścemu boleścią łzawą skrzywioną, uczułem dopiero, że dotknąć nas musiała klęska jakaś, która i Sropskiemu zmysły odjęła.

Wpadł Trzeciak i załamał ręce.

— Wicie już zgubę naszą! — krzyknął.

— Nie wiemy nic — zawołałem. — Cóż się stało?

— Rycerstwo nasze, kwiat naszego wojska, nadzieje rodzin... to, cośmy mieli najlepszego, najdroższego, marnie w zasadzce chłopskiej padło ofiarą zbójców. Cały las podrąbany zwalili na wojsko nasze, aby je potem bezbronne, spłoszone mordować, wieszać za włosy i zarzynać...

I Trzeciak zakrył sobie oczy; wtem Sropski począł głosem grobowym:

— Język na to słów nie ma, aby opowiedzieć klęskę

tę naszą, którą wieki pamiętać będą... Stamtąd idę, ja nie żyw, ale upiór, bom sto razy poledz tam był powinien.

— Trzeciaku, miły bracie — przerwałem — mówcież, mówcie tak, abyśmy wiedzieli, co oplakiwać mamy. Gdzie król? Został-li żyw? Co się stało z Zygmuntem? kto napadł... przecież z Wołochem pokój był zawarty...

Gdym to mówił, Sropski, któremu sił zabrakło, zatoczył się i pod ścianę obalił — runął na ziemię jak kłoda. Kostur mu wypadł z rąk, jęknął, głowę pochylił i dysząc, pozostał na ziemi.

Trzeciak trochę ochłonął.

— Dziś — rzekł — nie jeden, ale już z dziesięciu odrapanych i pokaleczonych przybiegło... Co było najlichszego, to ocalało, biejąc; co najlepszego było, zginęło. Za sto lat tego Polska nie odboli. Mówią wszyscy, że sam Stepanek królowi odradzał, aby na bukowińskie lasy nie wracał.

Król był i jest chory, na wozie go wieziono. Zygmunt dowodził. Ale pokój zawarłszy, nasi znużeni obleganiem, radzi, że do domu powracają, rozprzęgli się i luźnie ciągnęli, tak, że połowa nawet broń na wozach miała. Nikt się nie obawiał niczego, gdy w tę przeklętą Bukwinę wkroczyli.

Tam ono chłopstwo, któremu żołnierz nasz dojadł najazdem, łatwej zemsty szukając, zasadziło się. Drzewa popodrąbawali, zasieki ogromne zapierały drogę. Ze wszystkich stron opadła Wołosz naszych, ze wściekłością okrutną... Król zaraz na koń wsiadł, Zygmunt zebrał ludzi, wszczęła się walka straszna — ale co naszych poległo marnie i jak... tego nikt nie zliczy. Dopiero, gdy niedobitki tu przyciągną, obrachujemy kogo nie stało... kto tam bez grzechu zawisł na gałęzi, lub rozszarpany został przez zbójów.

Od tego dnia, słyszę, aż do samego Prutu nie dali pokoju wojsku. Król chory musiał na koń siąść i ze swoją jazdą obóz osłaniać. Palili się lasy i pola dokoła, aby drogę

tamować, tak, że od płomieni i dymu dusili się ludzie i konie. Pod Czarnowicami z tym motłochem ścierać się nasi musieli o przeprawę.

I gdyby nie Zygmunt i nie królewskie pułki, Wielkopoleanie byliby się rozproszyli, zbiegli i padli ofiarą; ledwie ich Olbracht zdołał tem wstrzymać, że ich tam porzuci i uciec.

Niema wojska naszego! niema rycerstwa!

I Trzeciak płakać zaczął, a leżący pod ścianą Sropski zaczynał głosem dzikim:

— *Dies irae, dies illa!* Był dzień gniewu Bożego, a czyje oczy nie patrzyły nań, czyje ucho nie słyszało jęku konających... ten niech milczy o tym dniu sądu... Kwiat nasz ścięła kosa tego chłopstwa podłego, krwią szlachetną mordercy podleli swoje pola, na stos nas powiedli...

Słuchaliśmy wszyscy przejęci i przerażeni, tak, iż wypowiedzieć niepodobna, co się działo z nami. Płakały niewiasty, od zmysłów odchodząc... jam też, jak bóbr, lży łał, bo tu już nad nie nic więcej nie zostało. Cóż gniew nasz mógł przeciwko Bożemu?

Pocziwy Trzeciak wziął się zaraz do Sropskiego, którego trzeba było opatrzyć, odziać, położyć... ale już w nim tyle tylko życia pozostało, że się wypowiadawszy i do końca wyrzekając a krzycząc, nazajutrz nad wieczorem skonał.

Co się potem działo w mieście całem, gdy niemal co godzina ktoś nadbiegał i nowe przywoził szczegóły o bukowińskiej klęsce... jaki lament powszechny po kraju całym i narzekania na Olbrachta, wypowiedzieć tego niepodobna.

Król wprawdzie, choć chory mocno, mężnie stawał, nie opuścił swoich, na koniu dosiadywał, nie stracił ani na chwilę odwagi i przytomności, lecz wszystko to przychodziło za późno. Strasznej klęski nic powetować nie mogło. Wielkie owe wojenne zamysły wszystkie w puszczy bukowińskiej razem z rycerstwem naszym pogrzebione zostały.

Więc ci, których to boleło najwięcej, bo potracili

ojców, braci, mężów, przypominali teraz rady Kalimachowe, aby szlachtę powściągnąć, i mówili głośno, iż król umyślnie dał ją na rzeź w Bukowinie, aby się jej zbył... Stąd większa jeszcze do Olbrachta nienawiść, który i przedtem nie miał u ludzi miłości.

Jeszcze przed powrotem królewskim, widoczną łaską Bożą, noga mi się tak dobrze zrosła, że naprzód o kulach zaczął po izbie się przechadzać.

Jak tyłkom mógł się już poruszać, matka nastawać zaczęła wielce, abym w kolebce jej powoli do Krakowa z nią wracał.

Prawda, że pobyt we Lwowie nie obiecywał mi się wcale miłym, bo tu wszystkie owe nieszczęsne niedobitki nasze, jeżeli nie stale, to przychodem gościły i przynosiły z sobą ból, narzekanie i przekleństwa. Ze wsi zaś, z różnych ziem, rodziny tych, co z królem szli na wojnę, gdy powracających się nie mogły doczekać, a słyszały o pogromie, przybiegały, szukając swoich. Tu grobową wieść znajdując, miasto napępniały narzekaniem. W kościołach, po ulicach jęki tylko i płacze słyszać było. Serce się krajało... Niewiasty w rozpacz publicznie króla przeklinały. Przybył Olbracht na zamek, ale tak chory, że go na wozie wysłanym i okrytym musiano nogą za nogą prowadzić, a tu wnet po doktorów do Krakowa śłać i ratować.

Choć o kulach i niebardzo dobrze chodziłem, żal mi się taki zrobiło pana mojego po tej klęsce, że spokoju nie miał, ażem się u matki wyprosił, aby mi pozwoliła dostać się na zamek i pożegnać go a pocieszyć.

W kolebcem jechać musiał.

Na zamek przybywszy, com się tu spodziewał wszystkich zastać we łzach i utrapieniu, zgłupiałem, od progu spotykając dworaków i urzędników tak jakoś spokojnego umysłu i równej myśli, że zwątpiłem o tem, co dotąd na uszy własne od świadków o klęsce słyszałem.

Króla zastałem w koszuli jednej i kożuchu na nią wdzianym, powolnym krokiem przechadzającego się po izbie, z której doszedł mnie od progu śmiech. Rozmawiał ze swoimi komornikami, jak niegdyś, drwiąc sobie. Na

twarzy chorobę wprawdzie widać było i zmizerowanie, ale troski na niej próżnom szukał...

Zobaczywszy mnie wchodzącego na kulach, stanął, popatrzał i odezwał się:

— Cóż ty? Takżeś na Bukowinie bywał?

Uśmiechnąłem się. Westchnąłem głośno!

— Okropna klęska...

— Wojna — odparł; — nic tam nie było okropniejszego nad to, co się na wojnach trafiać zwykło. Pocóż się beżładnie rozprzegli, a przednich straży i języka zaniedbali?

Zacząłem ubolewać; przerwał mi Olbracht niechętnie.

— Więcej teraz mówią, niż było, aby narzekać mogli i wyklinać za swoją winę drugich!

Ręką rzucił.

— A ty? — dodał — rychło-li te kije porzucić będziesz mógł?

— Spodziewam się, miłościwy panie, iż długo ich już nosić nie będę.

— Będiesz mi potrzebny — rzekł; — odpoczywaj póki można. Ja też zachorzałem niepotrzebnie, a doktorom się w ręce dostawszy, niełatwo z nich wydobyć. Muszę też we Lwowie się wynudzić, bo tu mieszczek ładnych niema, a to, co jest, dzikie...

Nigdy się nie spodziewałem, ażeby król po tej klęsce o czem innem, jak o niej, o pomście i o zgojeniu ran myślał. Tymczasem ani mówić o tem, ani wspominać nie dawał i płochy umysł powracał mu już cały, jak był. Nudziło go i niecierpliwiło przypomnienie Bukowiny; z niektórych żalościwszych wprost się wyśmiewał...

Rozmowa ze mną taki zaraz obrót wzięła, że ja, com go chciał pocieszać, musiałem zasmucony zamilknąć i co najprędzej pożegnać.

W duszy mi wstyd było za niego, choć płochosć tę tłumaczyłem sobie nie inaczej, tylko udaniem, abym nią mógł pokryć boleść, jakiej doznałem. Ale też tak ją umiał dobrze kryć, że jej wcale czuć nie było.

Służba zaś i dwór, widząc to usposobienie pana, stosowała się do niego, nie śmiejąc okazać, co czuła i myślała.

To prawda, że król przychodzącym z prośbami i rodzinom poległym bardzo wiele i szczerze świadczył, ale do siebie nie przypuszczał i żalów niechętnie słuchał.

Przedemną samym jeszcze, gdy coś napomknął o poległym jednym z naszych, wyrwało mu się:

— To niepowrotne! Pocóż nadaremnie wznawiać i pieścić się tem, gdy tylko boli! Można poratować... dobrze, a co zginione, powinno pójść w niepamięć.

A skończył, śmiejąc się.

— Lena się do Krakowa wyrwała! Ale tej już niema co pilnować,... zestarzała i zwiędła. Niechby się z nią jaki kupczyk ożenił, wiano sobie zebrać musiała... Ja teraz potrzebuję młodszych...

Powróciwszy do matki, gdy mnie o króla rozpytywać zaczęła, tak mi wstyd było całą prawdę powiedzieć, że mój zbył, mówiąc tylko o chorobie i o tem, co przecierpiał.

Niebawem więc, jak skoro pozwoliła droga i doktor, nogę moją opatrzywszy, przeciwko podróży nie miał nic, pociągnęliśmy, bardzo powoli do Krakowa, dokąd nas wyprzedziła część dworu matki.

Miało się już ku wiośnie. Jak we Lwowie, tak w stolicy panował smutek. Czuliśmy wszyscy, że to, co przeszło i spadło na nas tak ciężko, było nie końcem, ale początkiem, tego, co nas czekało. Stepanek Wołoszyn, Turek, Tatarzyn a Litwie Moskwa teraz nie mogła dać spoczynku widząc słabość naszą. Aleksander się odsuwał albo go odciągali Litwini, Władysław czeski opieszale nam i niechętnie pomoc swą obiecywał, jakże nie miano korzystać.

Król zaś niezrażony, jak dawniej tak i teraz do wielkiej wojny przeciwko Turkom się sposobił.

Z Pragi i z Budy jeździli do nas posłańcy, a królewscy do Władysława; obiecywano skuteczne przymierze, tymczasem Stepanek najeżdżał i łupił Pokucie i Ruś.

Wszystko to pan nasz tak lekko znosił, jakby był najpewniejszym szczęśliwego końca.

My, dojechawszy do Krakowa dosyć pomyślnie, ponieważ jeszcze noga dolegała, a do podkomorskiej

służby nie było co śpieszyć, nie rozdzieliliśmy się z matką. Zostałem u niej w domu i mogę powiedzieć, że ten czas był jednym z najszcześniejszych w życiu mojem.

Król nareszcie powrócił, lecz że mnie nie powoływano na zamek, zostałem pod Złotym Dzwonem. Trochem zleniwiła, i od matki a pocziwej Kingi już mi się odstać nie chciało.

Tymczasem, jak tylko Olbracht ozdrowiał a poczuł się na siłach, począł to życie, do którego był nawykłym. Mało mu tego było, że co kilka dni u kardynała brata uczty i biesiady wesole a pijackie odprowiał, z których najczęściej nad rankiem dopiero powracał. Ze swoimi dworzanami robił wycieczki na miasto po nocach do takich domów, pożał się Boże, w których nie tylko król, ale noga jego czeladzi postać nie była powinna.

Mówiono mi o tem, a nie jeden raz słyszałem sam w nocy hałasy w rynku, w których rozpoznawałem znajomy mi dobrze śmiech króla.

Ci, co mu raili niegdyś Kingę i piękność jej zachwalali, musieli znowu, przez złość do mnie, podbudzić go do zwrócenia się ku niej. Doszło mnie to, że idąc do kościoła tuż niedaleko do Panny Maryi, królewscy wysłańcy parę razy zaczepiali. Wśliznęła się do domu stara kobieta, która ją bałamucić próbowała, wielkie skarby obiecując, jeżeliby się uprowadzić dała. Otwarcie mówiono jej o królu.

Kinga ze wstydu, nie śmiała się na to uskarżać przed nikim, i dopiero się później wszystko wydało.

Niedołężny, zgrzybiały Slizak więcej wiedział, niż ja; mnie nic nie mówiono o tem.

Pamiętna będzie dla mnie do zamknięcia powiektą noc wiosenna, która znowu o losie moim rozstrzygnęła.

Z wieczora rozeszliśmy się wszyscy spokojnie spać, matka z Kingą na górze, ja na dole. Dziewczę zajmowało izdebkę w narożniku, wychodzącą na ulicę. Była północ może lub więcej, gdy z pierwszego głębokiego snu zostałem zbudzony głuchym szelestem, a potem hałasem, którego sobie nie umiałem wytłumaczyć. Strach jakiś mnie wziął i zerwałem się na równe nogi, a że nigdy nie

sypiał, szabli przy sobie nie położywszy, chwyciłem za nią zaraz.

Jedno okno, opatrzone kratą żelazną, nie miało okienic, mogłem więc przez nie wyjrzeć na ulicę i dostrzegłem kupę ludzi, poruszającą się w ulicy, pod samym narożnikiem, w którym spała Kinga.

Zdawało mi się, że zobaczył i drabinę przystawioną, i ludzi, co się po niej spinali. W domu było cicho.

W pierwszej chwili pomyślałem o złodziejach, lecz tuż dał się słyszeć krzyk stłumiony i nagle się urwał, jakby usta, co go wydały, gwałtownie zamknięto.

Sam nie wiem, jak naówczas, wypadłem z kamienicy w ulicę, rzuciłem się z szablą podniesioną na gromadkę tę, która się nie spodziewała napaści i znalazłem twarz w twarz naprzeciw człowieka, który omdlał Kingę z zawiązanemi chustą ustami trzymał na rękę. Podniosłem do góry szablę i ciąłem go przez głowę.

Dał się słyszeć krzyk... napastnik rzucił porwane dziewczę, które padające podchwyciłem. Stało się zamieszanie wielkie... i wszyscy pierzchnęli.

Miałem czas jednak po głosie, po postawie i ze stroju poznać Olbrachta. Krew jego obryzgała dziewczę i mnie; był więc rannym.

Lecz przedewszystkiem musiałem ratować Kingę i na ramiona ją wzięwszy, wniosłem do dworu, gdzie już przestraszone dziewczki, matka, służba wszystko było na nogach.

Zapalono światło, ocuciliśmy przełęczoną, która chwylała mnie jeszcze, jakby się lękała, aby ją znowu nie porwał napastnik. Miałem zaledwie czas szepnąć jej, aby imienia jego nie głosiła.

Nikt się go nie domyślał, nawet moja matka.

Co do mnie, jakkolwiek czułem się niewinnym, a ciąższy Olbrachta, nie wiedziałem kogom uderzył, zawsze w oczach jego i ludzi popełniłem kryminal, który bezkarnie ująć mi nie mógł. Sądu na mnie głośnego zwoląć nie mogli, lecz wrzucić do więzienia, jako sługę król miał prawo i żywa dusza-by się za mną nie ujęła. Nie pozostawało mi więc nic do czynienia, tylko uchościć.

Gdy Kingę położono na łóżku w innej izbie i uspokojono, dałem matce znak, aby szła za mną.

— Matusiu — rzekłem — sądy i zrządzenia Boże są nieprzeniknione. Nie uczyniłem nic złego, ratując biedną Kingę, a jak zbrodniarz uciekać muszę.

— Ty? dlaczego? — krzyknęła matka.

— Wiecie, kogom ranił? — zapytałem — a rana ciężka może być, bo ciąłem z całych sił. Wiecie?

Matka stała milcząca.

— Króla — rzekłem jej.

Zastłoniła sobie oczy.

— Możeż to być?

— Jak mnie żywego widzicie! Dopóki czas a na zamku się nie rozpatrzą i przeciwko mnie nie spikną, muszę na koń siadać i skoro bramy otworzą, uchodzić.

— Dokąd? na Boga!

— Nigdzie indziej, jak na Litwę, na dwór Aleksandra — odpowiedziałem.

Nie miałem u niego łask tak wielkich, jak Ciołek i inni, to prawda, ale zawsze mi był życzliwym i dobrym. Pomnę nawet, że mi parę razy to powtórzył, krótkimi słowy, jak to on zwykł: — że ci tam będzie, przychodź do mnie!

Matka ulękła się ucieczki. Miała myśl inną. Chciała, abym zaraz szedł do kardynała, jemu wszystko szczerze i otwarcie wypowiedział i prosił o opiekę. Lecz Fryderyka znałem, nigdyby przeciwko bratu nie wystąpił, a nadto był królewską krwią dumny, aby zniewagę jej, choć mimowolną, mógł przebaczyć.

Nie wiem, dlaczego, obawiając się Litwy i wielkiego oddalenia, matka radziła mi potem zbiedz do Zygmunta na Śląsk, alem ja tam nikogo życzliwego nie miał, a księcia znałem mało. Naostatek myślała, że gdybym do królowej matki rano szedł, do nóg jej upadł, odkrył wszystko, onaby może u Olbrachta wymogła, aby się nie mścił nade mną. Lecz do królowej matki ani było myśleć się udawać. Jeżeli kto, to ona, rzucenia się na syna, potomka wielkich cesarzów i królów, darować nie mogła. Najlepsza z matek, zacna i rozumna niewiasta, była tak dumna

krwią swą, iż ją za nadludzką niemal uważała... Przy najlepszem sercu, byłaby mi to doradziła tylko, co ja sam czułem nieuchronnem — ucieczkę.

Uciekać zaś najłatwiej i najbezpieczniej mi było na Litwę.

Matka wreszcie sama się o tem dała przekonać i zamiast wstrzymywać mnie, niespokojna, żądała, ażebym jak można najrychlej wydobył się z miasta.

Stało na tem, że wprost do Wilna, do Aleksandra uchodzić muszę. Lecz i Kingi tak zostawić nie mogłem, ani matki odjechać. Dniało już jasno, gdy umówiwszy się o drogę i o to, aby matka moja z Kingą zaraz nazajutrz we dnie z orszakiem jak najliczniejszym udała się za mną, wyjechałem, twarz przysłoniwszy kapturem, za Floryańską bramę.

Gdy się potem obejrzałem na to śliczne miasto moje, oblane ciepłym światłem poranka, jakby usypiające jeszcze wśród rozkwitłych ogrodów i zielonych drzew, lży mi się polaly z oczów. Zdawało mi się, że go już nigdy nie zobaczę i tych rozlicznych głosów jego nie usłyszę. A właśnie jakby na pożegnanie odzywały się z niewymowną słodyczą poranne dzwonki i wesole głosy budzących się do pracy ludzi.

Ucieczka moja pośpieszna, która mogła się wydawać tchórzostwem, okazała jednak potrzebną. Dowiedziałem się później, iż tegoż dnia trzy razy przychodzono z zamku po mnie, powołując do króla. Ci, co z Olbrachtem byli, instygowali na to koniecznie, aby mnie przybywającego, nie dopuściwszy do ganku, wzięto i do wieży rzucono. I byłoby się to dokonało, a jeden Bóg wie, czybym się żyw z niej mógł wydobyć.

Przygoda królewska nie mogła się utaić, gdyż nocą zaraz przywołane doktora Macieja z Mnichowa, aby opatrzył ranę, która, jak się okazało, była głęboką, a że Olbracht miał krew popsutą i na twarzy od niej trąd zjadliwy, długo się potem goić nie chciała.

Nie wchodził nikt w to, jakim sposobem król tej rany napytał i że sam po nią szedł, a oburzyli się wszy-

scy na onego zuchwalca, co śmiał rzucić się z mieczem na namaszczonego.

Nie byłbym ja śmiał pewnie podnieść na niego ręki, ale któż w nocnym napastniku mógł się króla domyślać?

Wyjechawszy z Krakowa, choć w nodze boleści srogich i rwania doznawałem przez cały czas, biegłem, nie stając, mil kilka, więcej na konia się oglądając, niż na siebie.

Szkapa była niepozorna, ale dziwnej wytrwałości, z tych naszych nieoszacowanych koni, co gdy paszy nie stanie, zgniłą strzechę gotów gryźć i byle wodę miał, trzyma się a sił nie traci. Soliłem mu obrok i z ręki prawej karmiłem, chleb mu w wodzie rozmięczałem, aby się dobrze posilił, i tak dwa całe dni z małemi wypoczynkami biegłem, nie przystając prawie, aż do mieściny, w której z matką się mieliśmy spotkać.

Tum dopiero leżał, a ległszy poczułem się tak złamanym i osłabłym nagle, iż sądziłem, że nie powstanę. Przez całe dwa dni czekałem napróżno przybycia matki i już zaczynałem wątpić, czyśmy się nie rozminęli, gdy trzeciego ukazała się kolebka znana i orszak jej towarzyszący. Miałem znowu tyle sił, że naprzeciw wyszedł witać i nogi jej całować.

Dowadywałem się, czy pogoni za mną nie wyprawiono, lecz matka mnie upewniła, iż na zamku przepytwać kazala, ale o ściganiu mowy nie było.

Wszystkie tylko sprzęty, zbroje i co miałem na Wawelu przechowanego, rozchwyтали zaraz dworzanie, pewni tego, że ani powrócę nigdy, ani się upomnieć mogę.

Jechaliśmy więc w imię Boże do Wilna. Tu, jak dawniej, matka już do Gastoldowego dworu zajechać nie mogła, bośmy wiedzieli, że go hetman Biały zajmował. Puściliśmy się przodem, aby dwór jaki znaleźć, o który teraz w Wilnie trudniej było, bo od czasu jak Aleksandra ogłoszono wielkim księciem, miasto wprzód puste, nappełniło się gośćmi, wojskiem i panami z dalekich stron przybywającymi.

Nie poznać było Wilna, naprzód dla samego dworu Aleksandrowego, który nietylko zamek, okoliczne dwory,

ale w mieście gospód wiele zajmował, potem dla nowo pobudowanych domostw panów litewskich, otaczających wielkiego księcia swojego.

Rychło tu poznano dobroć wielką, powolność jego i tę jakąś obojętność, z którą dla spokoju dawał się powodować tym, co go otaczali. Korzystali z tego najśmielsi, najzuchwalsi, a umiejący mu się przypodobać.

Pod ten czas właśnie, po niedawno zawartem małżeństwie z księżną Heleną, córką wielkiego księcia moskiewskiego, cieszone się tem, iż pokój z Moskwą zachowanym być może, a kto wie, czy między Litwą nie byli i tacy, co razem z nią i Wołoszyinem potajemnie przeciwko Polsce spiskowali?

Wpadłszy naówczas do Wilna, zupełnie się tu uczulem obcym, tak okrutnie mi się ono od czasu, jakem go nie widział, odmieniło. Ludzie, ulice, domy, obyczaje... a choć na samym dworze około księcia czuć i widać było, że Aleksander się wychowywał w Polsce, niemal to zacierał obyczaj, mowa i strój ruski.

Przy księciu oprócz ulubieńca Ciołka i kilku pisarzy Polaków, na dworze młodzieży naszej dość było, ale przy księżnej niewieścia jej służba, duchowieństwo, czeladź cała była moskiewska.

W pierwszych dniach, wpadłszy tu, anim się umiał rozpatrzeć, anim rozumiał, co się dzieje; dłuższego potrzeba było czasu, by języka dostać i ludzi poznać.

Szczęściem dla matki mojej dowiedziałem się, iż Stanisław Gastold, starosta żmudzki, właśnie był przy księciu, a miał tu swój dwór, w którym rzadko przemieskiwał.

Szedłem więc do niego z pokłonem, bo to był pan wielki i nietylko możny, ale znaczenia niepośledniego. Trudno się do niego było dostać. Wreszcie gdy mnie przypuszczono i do kolan się pokłoniłem, opowiedziałem, że jestem sługą Nawojowej, która się musiała na czas jakiś schronić do Wilna i prosiłem o opiekę a najpierw o wyznaczenie gospody, aby gdzie spocząć miała.

Starosta żmudzki pono jako żyw matki mojej

nie widział, lecz dobrze znał jej losy. Okazał się dosyć uprzejmym.

— Co mam, tem się podzielę — rzekł — ale na początek nie będzie mieć wiele pociechy. Dworu mego połowę oczyścić jej każe, a gdy za dni dziesiątek odjadę do Szawel, cały wam oddać mogę.

Musiał dwór starosty zaraz się wynosić i obozować pod gołem niebem, a ja matkę pod dach ten bezpieczny wprowadziłem.

Miałem zamiar co rychłej szukać jeżeli nie służby u księcia, to opieki i dostać się do niego, lecz postrzegłem się zaraz, że nie popróbowawszy gruntu pod nogami, nie nie uczynię, albo i gorzej, niż nic, gdy krok postawię fałszywy. Musiałem więc zacząć od tego, aby się rozpoznać, rozsluchać i między Polakami, którzy tu byli, nowe znajomości robić, stare odnawiać.

Choć Ciołka, który już podówczas wysoko stał, niegdy znałem, nie chciałem się do niego uciekać; wolałem do młodego Łaskiego, bo ten przystępniejszym był i nie tak z góry na drugich patrzył. Lecz Ciołek tą dumą zasłaniał się, jak tarczą, aby go szewckim synem nie przezywano, a Łaski takiego rodu był, iż jemuby nikt nie śmiał zadać ladażakiego pochodzenia.

Wybrawszy więc dzień i dowiedziawszy się, kiedy Łaskiego zastanę w jego izbie na zamku, zastukałem do niego. Był on już naówczas przedwcześnie, powiedzieć można, a dobrowolnie stary, choć wiekiem połowy żywota ludzkiego nie doszedł; twarzy surowej a poważnej, statury silnej i rosłej, małomówny, lecz doświadczonego rozumu i rozważnego słowa. Szanowali go wszyscy, choć nie wszyscy lubili może, bo niepocziwym stawał mężnie na drodze.

Księżę go potrzebował, Ciołek znosił, ale się obawiał, a że czuł w nim ród, którego sam nie miał, za to go może nienawidził.

Jużem to wiedział o nim od ludzi, iż na dworze, który się na obozy dzielił i wojnę z sobą cichą prowadził Łaski się wcale do tych pokątnych spisków i konszachtów nie mieszał.

Znalazłem go, jakby nieboszczyka, dobroczyńcę mego, Długosza, otoczonego księgami, przy pulpicie, z piórem w ręku. Choć widywał mnie zdala, lecz poznać ani sobie przypomnieć nie mógł.

Ucałowawszy rękę jego, począłem od tego, że dla pewnych okoliczności, których nie mogę wyjawić, ale nie czyniących ujmy czci mojej, zmuszony byłem zbiedz z Krakowa i służbę Olbrachta porzucić.

Złęć to było polecenie, com sam czuł, a Łaski zmierzyl mnie okiem badającym i zbył zrazu bardzo zimno. Okazał mi jawnie, że nie ma ufności do mnie. Zakławszy go więc o tajemnicę, byłem zmuszony jak na spowiedzi wyznać wszystko.

Zalał biedny ręce i oczy spuścił na ziemię.

O chorobie króla już tu miano wiadomość, lecz przyczyny jej nie wiadano.

Tłumaczyłem winę moją, jakom mógł. Milczał.

— A cóż tu myślisz poczynać? — spytał.

— Królewicza, a dziś wielkiego księcia znam od dziecka — rzekłem — zna on mnie też. Służby nie potrzebuje, ale pod opiekę jego radbym się dostać. W ostatku, choć trochę się zaniedbałem, w kancelaryi też pracować mogę jako skryptor.

— Toby się przydało — odparł, — bo Rusinów diaczków mamy dosyć, ale do spraw z Polską brak nam ludzi.

Ośmieliłem się rzec wówczas, iż mi się widzi, że spraw tych coraz to mniej będzie pono, gdy jak ze wszystkiego widać, Litwini i Rusini odrywają się gwałtem od Polski.

— Takci to było — odezwał się Łaski — ale inaczej pono będzie wkrótce, bo się Moskwie księżę ani nawet małżeństwem obronić nie zdola. Związała się ona z Wołoszą, a znajdzie bodaj i innych sprzymierzeńców i ruskie ziemie chce oderwać od nas. My sami się nie obrońimy, Kijów razem i Litwę zmuszeni od nawały tej zasłaniać. Ci nawet, co wprzód się tak Polski wyrzekali, jakby się obawiali, że ona ich pochłonie, zaczynają pożądać sojuszu nowego i unii,

Po chwili rozmowę Łaski zakończył tem, iż pogodnej chwili z księciem o mnie mówić się postara.

A tu miejsce może, abym coś napomknął o tem małżeństwie Aleksandrowem, o którym zdala inaczej słyszeliśmy, a dopiero tu patrząc na nie, serce się ścisnęło nad tem, że je dla w. księcia wymodlono i wyjednano. Nie przyniosło ono bowiem szczęścia ani w. księżnie Helenie, pani pobożnej, łagodnej, dobrego serca, ale bojaźliwej i przybitej obawą ojcowskiej władzy i woli, ani naszemu panu, który wychowanym był nie tak, aby niewiastę prostą, obyczajną niemal zakonnego, mógł zrozumieć i z nią się miłością połączyć.

Na straży też, około w. księżnej Heleny, stał na-przód niechętny wszystkiemu, co rzymskie i polskie było, ojciec jej duchowny, potem służba i niewiasty. Stąd nieustanne nieporozumienia i waśnie. Donoszono fałszywie ojcu o ucisku, jaki córka cierpieć miała, a Aleksandrowi serce psowano, wskazując mu nieprzyjaciół w tych ludziach, najbliżej żony stojących.

Więc choć się oboje serdecznie do siebie zbliżyć i pokochać chcieli, nie dopuszczano.

Ukazał się-li, uchowaj Boże, ksiądz nasz na dworze, czasu, gdy księżna występowała, a przemówił co do niej, choćby najniewinniejsze słowo, wnet skarżono o gwałtowne namowy i nawracanie, i przychodziły listy piorunujące od ojca... Napróżno księżna, odpisując na nie, poprzysięgała, iż jej nie czyniono żadnego gwałtu, żadnym przymusem nie nęcano, złośliwe doniesienia sług więcej ważyły.

Ten zaś dwór moskiewski, od ojca duchownego począwszy, diaczków, pisarzy, aż do ostatniej służebnej, taką tchnął nienawiścią do wszystkiego obcego, iż jej niczem przejednać nie było można. Odosobniali się dobrowolnie, kryli, zamykali, i niemal dotknięcia i spojrzenia obawiali, a wszystko na złe tłumaczyli.

Na samym więc dworze było jakby rozpalone ognisko, nie gaszące nigdy, które podsycalo wzajemną niechęć. Aleksander zaś nie był człowiekiem, coby mocnem słowem i okazaniem woli swej poskromił niechętnych

i zmusił do uległości. Łagodny, dobry, ramionami poruszał, żonę cieszył, jak umiał; gdy płakała, szukali dla niej zabawek i rozrywek, ale wkońcu zeszło na to, że oboje oddychali dopiero, gdy sami pozostali: w. księżna, w swej kaplicy i teremie, Aleksander z Ciołkami, muzyką i starymi dworzanami.

Już podówczas marszałkował u niego książę Michał Gliński, Rusin, mąż postawny, wymowny, zuchwały, a ambicyi wielkiej. Mając to właśnie, czego Aleksandrowi brakło, śmiałość wielką, prowadził go, jak chciał.

Koso już naówczas spoglądali na niego inni ludzie pomiarkowańsi, szczególniejsz Krzysztof Ilinicz, starosta lidzki, Jan z Zabrzezia, wojewoda trocki, Stanisław z Żarnowic, żmudzki starosta i wielu innych. Ci wszyscy więcej wychowaniem, obyczajem, wiarą zbliżali się do Polski, Gliński ciągnął do Rusi i gromadził około siebie Rusinów zapamiętałych. Nie było jeszcze otwartej wojny, ale się już na nią zanosilo...

Gliński zatem głosował, aby od Polski stać zdala i obchodzić się bez niej, tamci trzymali, iż się Litwa nie ostoi sama i Moskwa ją pochłonie.

Co do Aleksandra, pewnie, że w duszy jego więcej było skłonności dla Polski, z którą zrywać nie chciał, ale żadnej mocy nie miał. Patrzeć było na niego, na męską postać, wzrost, siłę i oblicze, zdalo się, iż w tem musi mieszkać potęga wielka, bo majestat miał, lecz do walki żadnej stworzonym nie był, a gdy mu się tylko zapowiadała, ulegał pierwszemu, co mu pokój przynosił.

Po widzeniu się mojem z ks. Łaskim, mając do czynienia około umieszczenia matki mej, przed i po wyjeździe Gastolda na Żmudź, nie chodziłem się dowiadywać o siebie.

Lecz z rana dnia jednego, wychodząc ze mszy świętej, gdy się rozglądał około chorągwi Witoldowej, u grobu jego wiszącej, uczułem, że mnie ktoś po ramieniu uderzył, i, obejrawszy się, zobaczyłem Łaskiego z książką w rękę.

Dobrotliwie mnie powitał.

— Mówiłem o was w. księciu — rzekł — przypominał

sobie bardzo dobrze i uradował nawet, że was zobaczy, ale tego nie mógł zrozumieć, jakeście Olbrachta opuścili, który was pono szczególnie miłował.

Spuściłem oczy.

— Księciu nie mogę powiedzieć, co mnie tu przypędziło,—rzekłem—a kłamać, zaprawdę, bym nie chciał.

Ks. Łaski ramionami ruszył.

— Nigdy kłamać nie trzeba — rzekł — ale nie zawsze człowiek jest obowiązany mówić wszystko. Jeżeli chcesz, pójdz do księcia wieczorem, gdy sam jest, a pokłoń mu się. Skryptora miejsce przy mnie dla was gotowe, jeżeli chcecie.

Pocałowałem go znowu w rękę.

— Przyjmuję z wdzięcznością — rzekłem, — bo tym sposobem się zaliczyć będę mógł do dworu, a na przypadek znajdę opiekę.

— Nie sądzę, żebyś jej potrzebował — odparł Łaski. — Olbracht mściwym nie jest, zapomina łatwo, a gdy się rana zagoi, gniew przejdzie.

Tegoż wieczora, znalazłszy pomocnych dworzan, w tej godzinie, gdy książę sam był i zabawiał się zwykle tem, że mu śpiewano, opowiadano coś lub wpuszczano błazna Szyrkę, aby go rozrywał, i ja się dostałem do komnaty osobnej, do której tylko poufałych dopuszczano.

Książę chodził milczący, jak zawsze, orzechy gryząc, a w kącie cytarzysty mu grał i piosnkę nucił. Kiedy niekiedy stawał przy nim, patrzył, jak mu palce po strunach chodziły, uśmiechał się, sam nucił po cichu i przechadzał się znowu. Patrzył na wsze strony, ale tak jakoś dziwnie, jakby nic nie widział.

Gdy mnie spostrzegł, potrzebował jakiś czas namysłu, nim mu śnać imię moje na pamięć przyszło, potem nagle się rozśmiał, przystąpił żywo i nic nie mówiąc, głośnym już śmiechem mnie witał.

Wiedziałem, że nie rad rozmawiał, choć chętnie słuchał. Więc zacząłem rozpowiadać, że mi się znudziło w Krakowie; a jako urodzony na Litwie, przybyłem tu spocząć... a że ks. Łaski skryptora potrzebował, radhym uzyskać pozwolenie pańskie, aby mu służyć.

Książę na to obie ręce w górę podniósłszy, zamruzczał coś niewyraźnego i nagle rzekł głośno:

— A jakże!... dobrze! dobrze!

Rozmowy tej już mu jednak było za wiele, zwrócił się do cytarzysty, kiwnął mi głową i poszedł.

Posiedziawszy czas jakiś, *gdy niektórzy się wymykali, a w. książę miał do teremu żony przejść, poklonilem mu się zdala i odszedłem.

Nazajutrz rano ledwie wstał, na podwórzu słyszę gwałtowne o mnie dopytywanie i wołanie.

Na złodzieju czapka gore; zląkłem się więc z razu, lecz napróżno. Było to obyczajem Aleksandra, że nigdy sługi ani przyjął, ni odpuścił, nie obdarzywszy go... podskarbi więc jego szukał mnie z szablą, sztuką sukna i kilkudziesięciu grzywnami, które na powitanie jako gościniec otrzymałem.

Wszyscy królewicze tak szczodrzy być lubieli, jak ojciec, a więcej jeszcze dziad, lecz Aleksander innych przechodził. Zdawało się, że nie mógł się uspokoić, nowego człowieka spotkawszy, dopóki go nie obdarzył. Szły tak nie tylko sobole i sukno, ale całe włości i ziemie, i wszystko, co tylko miał.

W kancelaryi przy ks. Łaskim nie miałem wiele zajęcia, ale się można było nauczyć od niego niemało rzeczy, dotyczących spraw Polski i Litwy i wzajemnych ich stosunków.

Jak on przepowiadał, spełniło się wszystko, gdyż najzaciętsi Rusini, co chcieli koniecznie starą unię horodelską zerwać, — teraz, gdy Moskwa coraz bardziej zagrażała, zmiarkowali, że sami sobie pozostawieni, padną jej ofiarą. Biskup Marcin żmudzki i wojewoda trocki wysłani zostali dla wznowienia sojuszu, i na zjeździe w Wilnie latem po staremu do unii powrócono.

Moskiewski kniaź choć był teściem Aleksandra, wcale się na to nie oglądał. Myśmy na tem zyskali tylko, że co się u nas działo, a nawet o czem nikt nie myślał, donoszono Iwanowi, a miał na dworze swoich i nawet przy boku króla.

Czernichowski i ryłski kniaziowie oderwali się od Litwy dla bezpieczeństwa i spokoju i przeszli do mo-

skiewskiego. Wojna okrutna groziła tem, że i drudzy ruscy kniaziowie mogli Aleksandra zdradzić. Wojska w pogotowiu było mało, czasu nie stało, aby je brać, a i skarb tą rozrzutnością Aleksandrową był wyczerpany.

Pisała w. księżna Helena listy po listach ojcu, zaklinając, aby zięciowi folgował, bo mówiono, że Tatarów perekopskich w pomoc sobie zaciągał, lecz listy wcale nie skutkowały. Słano więc do Polski na gwałt, prosząc pomocy u Olbrachta. Tymczasem co było najlepszych hetmanów, książę Ostrogski, Ostyg, Citawor, Hlebowicz poszli na granicę z garstką ludzi.

Co podówczas działo się w Wilnie i po całej Litwie z obawy najazdu, opisać trudno. Niepokój panował największy i na dworze, gdzie jedni drugim na oczy wyrzucali, iż z rady ich i nieopatrności kraj został prawie bezbronnym, zaufawszy małżeństwu i przynierzmu moskiewskiemu.

Stało się to, czego się można było spodziewać — wojsko litewskie, na które dziesięć razy liczniejszy Moskal wystąpił, na głowę pobito, a hetmani najlepsi wszyscy poszli w niewolę.

Przez ten czas, gdy się to przygotowywało i działo, patrzałem często na w. ks. Aleksandra, i nie mogłem zrozumieć, co się w nim i z nim działo. Chodził milczący, to zdając się zapominać o wszystkim, to nagle niepokojąc się, wołając z kolei do siebie wszystkich, rozkazując opowiadać, śląc po język. Gdy się tak żywo poruszył, ludzie porozpędzał, gońców powyprawiał, namruczał, nakrzętał, zdawało mu się, że wszystko zrobione i, orzechy gryząc, chodził już spokojny, cytarzystom śpiewać rozkazując.

Wielu rzeczy księciu nie mówiono, rządził się poza plecami jego wszyscy. Gliński sobie, Zabrzeziński sobie, Ilinicz na swą rękę, a hetmani, jako ich duch święty natchnął. Ładu i składu nie było.

Łaski czasem, gdy go to nacisnęło, wdychał, mówiąc:

— Jeżeli nas co ocali, to chyba moc i Opatrzność Boża.

Glińskiemu w oczy raz rzekł:

— Chcieliście zerwać z Polską unię, obrabialiście sobie w. księcia na to, macie skutki: Brańsk, Putywl, Drohobuż, aż po Toropiec przepadły... a z Iwanem unia taka, że was zje...

Gliński naówczas złośliwie się uśmiechał, ruszał ramionami i pomrukiwał:

— Toć nie koniec... zobaczymy.

Tak się to ciągnęło do połowy 1501 r., a w mojem życiu prawie żadna nie zaszła zmiana. Jejmość pani matka moja nabyła od Hlebowiczów wielki dwór na Snipiszkach z ogrodami przestronnymi i szopami. Tuśmy się już zupełnie zagospodarowali, iż nam na niczem nie zbывało. Na parę godzin szedłem do kancelaryi do ks. Łaskiego i do dworu na zamek, aby się dowiedzieć, czy nie przyszły wieści jakie, potem powracałem do matki, i z nią a z Kingą spędzałem resztę czasu.

Śmieszno się do tego przyznać, ale ogród około domu, grzędy i rośliny różne lekarskie, których się nauczyłem rozpoznawać dawniej, zajmowały mnie mocno. Sadziłem, siałem, a nawet sam bywało rydla się nie wstydzilem, za co matka na mnie krzyczała, żeś godności własnej poszanować nie umiał. Ludzie prości dziwowali się też temu, bom miał się kim wyręczyć.

Zrana na zamek koniecznie było potrzeba zajrzeć, bo nie było dnia, żeby tam coś nowego nie przyszło, albo z Polski, lub od Moskwy i granic.

Na wiosnę dowiedział się ks. Aleksander, że Olbracht wybierał się do Prus, aby zmusić nowego mistrza do hołdu; była nawet mowa o tem, aby bracia się z sobą spotkać i widzieć mogli. Życzył sobie tego Aleksander, a Olbracht pewnieby chętnie na pół drogi zjechał.

Posłano z zaproszeniem do Torunia Olechnowicza młodego.

W. ks. na wypadek podróży i ks. Łaskiego z sobą chciał wziąć, ale ja oczywiście towarzyszyć mu nie mogłem. Byłem pewien, że król, gdy się rana zagoiła, choć mówio-

no, że długo się z nią nosił, przebaczył mi i zapomniał; za to byli koło niego ludzie, co mi zabyć tego nie chcieli. Lepiej więc było na oczy im się nie nastroć. Wiedzieli oni, gdzie był, ale tu w spokoju pozostawiali.

Czekaliśmy powrotu Olechnowicza z Prus, gdy w wigilię ś. Jana, przybywszy rano do ks. Łaskiego, zastałem go na klęczkach odmawiającego modlitwę, z twarzą wielce poruszoną i łzami na oczach. Nie była to zwykła godzina jego modlitwy. Stałem w progu... Wtem z klęcznika się poruszył i głośno zawołał:

— *Et lux perpetua luceat ei.*

Patrzałem zdziwiony, pytać nie śmiejąc.

— Nikt o tem nie wie jeszcze — odczwał się do mnie pocichu — przybiegł do mnie goniec z Torunia... Olechnowicza też tylko co nie widać. Król umarł!

Nigdybym pewnie obojętnem sercem wiadomości tej nie przyjął, lecz teraz, gdy mam przebaczenia od niego otrzymać nie mógł, a posłyszał, że nie żyje, załamałem ręce...

Wszystko dobre, jakiego doznałem od niego i wielkie jego przysięgi przyszły mi na pamięć, a złego i płochego zapomniałem. Wiek też obiecywał większy statek, przy tym rozumie, jaki miał, mogący go monarchą uczynić potężnym.

— Łat miał zaledwie czterdzieści! — zawołałem, — silny był i zdrów... możeż to być? Nie struli go Krzyżacy?

Łaski poruszył ramionami.

— Powietrzem nagle ruszony, życie skończył — rzekł. — Jaka przyczyna śmierci, Bóg wie jeden. Miałci lekarzów przy sobie; ci powiedzą chyba, jak w sile wieku mógł tak nagle życie stracić.

Ledwieśmy tak rozmowę smutną poczęli, gdy wpadł dworzanin książęcy, Łaskiego powołując do pana.

Opowiadał mi później, iż zastał tu już zgromadzonych wszystkich urzędników przedniejszych dworu: Glińskiego, Radziwiłła, biskupa Tabora.

Aleksander niemym był z boleści i płakał. Niepokój też ogarnął go o własny los, o bezkrólewie, które nastąpić

miało w niebezpiecznej godzinie i o usposobienie umysłów w Polsce.

Wyrazić mi trudno, co, od tej chwili poczynszy, u nas się działo. Około księcia wpływy się krzyżowały różne, bo jedni nie chcieli go widzieć na tronie polskim drudzy sobie właśnie życzyli. Co w Krakowie myśłano o tem, nie wiedział nikt i przewidzieć nie było można.

Udało się ks. Łaskiemu, do którego po raz pierwszy we własnych widokach przyłączył się Erazm Ciołek, wmówić Aleksandrowi, iż i prawo miał do korony i koniecznie się o nią starać był powinien, dla samej nawet obrony od Moskwy.

Leniwy trochę umysł księcia z początku zdawał się obawiać nawału spraw i trudności rządzenia krajami obu. Poruszył ks. Łaski ambycję, wskazał korzyści, dowodził, że większą siłą rozporządzając, łatwiej rządzić potrafi.

Gdy raz myśl tę zaszczepił, już jej odjąć nawet ulubieniec Gliński nie potrafił. Być też może, iż książę Michał spodziewał się, gdy Aleksander do Krakowa się przenieść będzie zmuszony, że jemu wielkorządy na Litwie powierzy. Nie nastawał więc przeciw temu.

Szło o to, aby wiedzieć, co myśli królowa matka i kardynał Fryderyk, a za kim oni stać będą, bo już chodzili wieści, że Władysława jedni prowadzić mieli, drudzy Zygmunta.

Trzeciego dnia po otrzymaniu wiadomości o zgonie króla, już mnie ks. Łaski zawołał do siebie z tem, iż do Krakowa w skok jechać muszę, na dwór się dostać i spenetrować, na co się tam zanosi.

Niebezpieczeństwo mi nie groziło żadne, ale właśnie na ten czas zachorowała mi matka, na wiosnę, jak to było we zwyczaju, obficie sobie krwi upuścić kazawszy, poczem zesłała mocno i w łóżku obiegła.

Nie chciałem jej opuszczać w tym stanie, ale nalegał ks. Łaskiego, a potem rozkazowi Aleksandra opierać się nie było sposobu. Nie mieli ludzi zaufanych, którzyby łatwo i do kardynała, i do królowej, i do znaczniejszych urzędników przystęp znaleźli.

Musiłem więc, choć z wielkim w sercu niepokojem, natychmiast w podróż się wybierać. Książę sam ludzi, poczet, konie i pieniądze na drogę natychmiast mi wyznaczył.

Matka też widząc, że o ważną szło sprawę, nie zatrzymywała mnie, a pocziwa Kinga dla uspokojenia zaklinała się, że od łoża jejności nie odstąpi na chwilę i najtroskliwiej strzedz będzie. Przyczem pana Macieja z Blonia, doktora, uprosiłem, aby nawiedził chorą i niczego nie żałował, choćby driakwie na wagę złota płacić przyszło.

Powierzywszy Kindze jeszcze matkę moją i ostatnią ją w ganku pożegnawszy niemal rodzicielskim uczuciem, przyczem płaczu było niemało — w imię Boże ruszyłem do Krakowa.

Jakom tam zastał, w początku wyrozumieć było trudno. Krakowianie przebąkali o Władysławie, chcąc na głowie jego trzy korony połączyć, może nie bez chytrości i skrytej myśli, że sam w Polsce rządzić nie mogąc, będzie się tu wielkorządcami wyręczał. Nikogoby zaś łatwiej nie naznaczył, jak Fryderyka, który już dał dowody, że rządzić umiał i lubił go wszyscy.

Poszedłem sam do kardynała na dwór jego, kędy jak około monarchy znalazłem wielki ścisk różnego rodzaju ludzi. Zajęty był i czynny bardzo, co mu jak Olbrachtowi nie przeszkadzało ucztować. Otwarte stoly teraz po całych dniach trzymał, karmiąc i pojąc, a wieczorami w kółku swych ulubieńców dzień kończył tak wesoło, jak poczynął. Była jednak ta między nim a bratem różnica, że wśród biesiadowania, a nawet gdy zdawał się podchmielonym, spraw ważnych nigdy z pamięci nie tracił, małymi ludźmi i rzeczami zrecznie się umiając posługiwać.

Gdy mu od w. księcia Aleksandra ukłon przyniósł, spojrzawszy mi bystro w oczy, rzekł:

— Cóż brat myśli? nie dosyć mu Litwy? Są ludzie, co go do korony prowadzić zechcą. Będzie się on starał o nią?

— Sądzę, że ona mu z prawa przypada — rzekłem.

— A Władysław? — wtrącił kardynał.

— Zrzekł się przecie swoich praw do Polski niejednokrotnie, a jeśli komu, to jemuby trzecia korona zaciężyła.

— Często trzy łatwiej nosić, niż jedną — odparł Fryderyk.

— Zresztą — dodałem — sprawa to tych, co wybierać będą; sądzą jednak, iż Litwę ratując, aby nie odpadła, życzyć należy wyboru Aleksandra.

Kardynał mi nic na to nie odpowiedział, i zwróciwszy rozmowę, pytał o w. ks. Helenę, o stronnictwo na dworze, o stosunki z Moskwą, nie potrącając już o wybór przyszły.

Około królowej łącznie mi było wybadać, że z kardynałem za Władysławem trzymała, tłumacząc się tem, iż powolny Aleksander wielkim trudnościom, jakie w spadku po Olbrachcie pozostały, nie mógłby podołać.

Piotr Kmita, marszałek koronny, za wiadomością i z naprawy królowej matki i kardynała, choć widomie się do tego nie wtrącających, wysłali już byli do Pragi z wezwaniem do Władysława, wojewodę łęczyckiego, Piotra i Mikołaja, kanonika krakowskiego. O czem gdy mi się dowiedział, postanowiłem doczekać, ażby przyszła odpowiedź od Władysława.

Na tem nie dosyć; drudzy za Zygmuntem silniej jeszcze obstawali, twierdząc, iż ze wszystkich braci najzdolniejszym był, umysłu najpoważniejszego, statku wielkiego, a na małym swym Śląsku okazywał dowodnie, jakby znacznem państwem rządzić potrafił. Przyznawano mu obok dobroci, wszystkim im właściwej, silną wolę i energię, na której innym Jagiellonom zbywało.

Lecz Zygmunt, jakem się mógł tu przekonać, wcale nie czynił zabiegów o koronę, przyjaciół nie jednał, stronnictwa nie zbierał i okazywał obojętność zupełną. Tego więc Aleksander nie miał się co obawiać, gdy Władysława, popieranego potajemnie przez matkę, brata i Krakowian, lękać się było potrzeba.

Przeciwko Aleksandrowi tylko duchowieństwo miało to, iż poślubił królową greckiej wiary i musiał z nią wprowadzić się do Krakowa. Zapowiadano, iż dla tej różnicy nawet koronowanaby być nie mogła. Stąd musiałby wybuchnąć gniew ojca, w. ks. Iwana i nowa wojna.

Rozsłuchawszy się tu i rozpatrzywszy, gdy poszły od Władysława wróciły z obojętną odpowiedzią, wielkiej żądzy posiadzenia korony nie obiecującej, jeszcze raz szedłem z pożegnaniem do kardynała.

Trafiło się, że pod wieczór dopiero przypuszczony został, po całym dniu na niezwykle spędzonym zabawie, gdy Fryderyk już musiał się położyć do łóżka.

Po raz pierwszy uderzyło mnie w nim to, iż mimo młodego wieku, w twarzy, w oczach i całej postawie jakby choroba jakaś i okrutne znużenie się malowało. Oddech miał ciężki, oczy podbite, ruchy niespokojne, plamy po obliczu, na rękach i szyi czerwone jakieś i sine. Nie zważając jednak na to, jakim się dowiedział potem, życie prowadził takie, któreby najzdrowszego mogło z nóg zwalić. Doktorów nie słuchał, wyśmiewał się z nich i osłami ich zwał, dowodząc, że mu żaden z nich nie pomógł nigdy, a to, co z porady ich czynił, coraz więcej szkodziło.

— Wracasz na Litwę — rzekł mi — zanieś pokłon Aleksandrowi, i powiedz mu, niech o tem pamięta, aby na szerokie, prawda, i silne ramiona zbyt niego nie brał ciężaru. Tutejsi panowie Władysława ciągną, drudzy o Zyguncie mówią, nie godzi się braciom ze sobą wojować nawet o koronę.

— O ilem ja tu zbadać mógł — odpowiedziałem — nie mało też głos da za Aleksandrem, bo mu ta korona i z prawa należy się i z nim idzie Litwa, a tak się ona może znowu odczepić.

Kardynał się skrzywił nieco.

— Ja się w te sprawy czynnie mieszać nie będę — odparł; — braciom życzę dobrze, niech się między sobą porozumieją.

I z tem mnie odprawił, gdyż boleści go jakieś nagle chwyciły i na czeladź wołać zaczął, aby mu leki do okładania ciała przyniesiono. Szerzyła się już naówczas po mieście wiadomość, jakoby choroba kardynała była straszną, nieznaną, a do uleczenia trudną, z obcych krajów przyniesioną, której najlepsi doktorowiecale nie rozumieli.

Z takimi wiadomościami pośpieszyłem w początku sierpnia z powrotem do Wilna, mało po drodze wczasu zażywając, bo do zjazdu w Piotrkowie i przygotowania się do wyboru niewiele nam zostawało.

Czekała mnie tu najboleśniejsza w życiu mojem strata: nie zastałem już matki przy życiu. Dowiedziawszy się o tem na samym wstępie, ledwie miał siłę ks. Łaskiemu sprawę zdać z mojej podróży i pobiegłem do osieroconego dworu. W trzy dni po wyjeździe moim skończyła życie, błogosławiąc mi do ostatniej godziny...

W progu domu spotkałem w czerni, zapłakaną, naprzeciwko mnie wychodzącą Kingę, która naprzód ze łkaniem do nóg mi się rzuciwszy, gdy ją podniosłem, na szyję mi padła i nawpół omdlała, na rękach ją musiałem wnieść do izby.

Tuśmy oboje długo, prawie nic nie mówiąc, płakali.

We dworze zastałem wszystko nieporuszonem tak jak za życia matki mej było, jej tylko jednej tu brakło.

Umierając, jak mi mówiła Kinga, wszystko czem rozporządzać mogła, mnie przekazała.

Los Kingi niemal mnie więcej teraz, niż własny obchodził. Gubiłem się w myślach, jak go jej zapewnić, gdzie schronienie znaleźć. Odezwałem się więc do niej, jako ojciec:

— Powiedz, dziecię moje, co chcesz, abym uczynił dla ciebie? Jak mam los twój na przyszłość zabezpieczyć? Gdzie chcesz pozostać?

Wtem do nóg mi padła, obejmując je.

— Nie odpychaj mnie od siebie. Gdzież ja lepsze i bezpieczniejsze znajdę schronienie, w czyjem sercu lepszą opiekę?

— Jakkolwiek stary jestem — odezwałem się —

przecież, dziecko moje, gdybyśmy z sobą mieli pozostać, ludzkie języki czci twojejby mogły uwłaczać. Nie godzi się to.

Kinga mocno płakać zaczęła.

Siedziałem, wielką litością zdjęty, a i mnie też rozdzielenie się z nią jakby żelazem serce przeszywało. Wtem ona, oczy otarłszy, z jakąś odwagą, której w niej nie znałem, poczęła.

— Ocaliłeś mi cześć, a może i życie — rzekła — przywiązałam się, jako pies do was... godziź się, abyście mnie precz odpędzili. Czym ja nie zasłużyła, abym przy was pozostać mogła!

— Boże wszechmogący! — zawolałem — gdybym młodszym był, ach! Kingo moja...

A ta mi się na szyję rzucając, poczęła wołać:

— Dla mnie starym nie jesteście, panie mój, nie odpychajcie mnie!

Jednemu Bogu wiadomo, jak się to naówczas dokonało, żem się dał skłonić do poślubienia jej. Żądała tego po mnie, a ja większego szczęścia nigdy na świecie nie pożądał i pod siwym włosom już się go nie spodziewałem. Oszalałem właśnie.

Gdym potem ochłonawszy, rozważył, co miałem uczynić, i wstyd i strach mnie ogarnął, ale Kinga mi nie dała się tem gryźć, wesołością swą i wielkiem sercem utrzymując w tym szale jakimś, z którego wyjść nie mogąc, czułem tylko, że się on z każdą powiększa godziną.

Nowe więc rozpocząć miałem życie. Trzeba było dać wiedzieć rodzinie, do wesela przygotowania czynić, wreszcie i przed moimi łaskawymi przyznać się do tego, że na starość rozum straciłem. Bom pewien był, że inaczej tego nie nazwą.

Stało się wszakże, że nikogo to nie zdziwiło bynajmniej, bo małżeństw takich naówczas siła się trafiało. Winszowano mi, a wszyscy niemal dodawali, iż słusznem czynił, towarzyszkę sobie, choć późno biorąc na resztę życia.

Przypadało to właśnie o tym czasie, kiedy się losy Aleksandrowe rozstrzygać miały, gdy mnie Łaski za sobą

do Piotrkowa ciągnął, dokąd Tabor, biskup żmudzki, Radziwiłł podczaszy, Jan z Zabrzezia, trocki wojewoda i Olechnowicz, starszy kuchmistrz, wysłani być mieli do popierania wyboru.

Chciałbym był pozostać w Wilnie, ale sam w. książę przywoławszy, obdarzywszy, tak łaskawie przemówił, jechać polecając, żem i wesele odłożyć musiał i Kingę moją porzucić, choć mi dziś jednej godziny, bez niej spędzonej, żal było. Uprosiłem tylko daleką Gastoldów pokrewną, podżyłą niewiastę, wdowę po Korniakcie, aby na czas niebytności mej przy Kindze pozostała. Zgrzybiały i niedołężny Sliziak, który panią swą przeżył, także przy dworze moim zostawał. Miałem służbę liczną i pocziwą, na którą straż tego skarbu mojego zdać mogłem.

O Piotrkowie mało powiedzieć mogę, bom wiele pisał i ks. Łaskiemu służył, ale sam przez się czynnym nie byłem, ale przybywszy na miejsce, zrazu to można było przewidzieć, że ani ci, co Zygnunta prowadzili, ani Władysławowi nie utrzymają się przeciw Aleksandrowi. Prosta rachuba dzieło Jagiełły i Kazimierza utrzymać i umocnić kazała, a nie burzyć je.

Wybór posłów litewskich, których na zjeździe polskim bodaj pierwszy raz oglądano, bardzo też był szczęśliwy. Powaga biskupa Tabora, pańskie wystąpienie Radziwiłła, i zrzeczność a żywy umysł wojewody Trockiego zaraz Polaków ujęły. Olechnowicz kuchmistrz niby poufałe się z tem odzywał, że Aleksander bodaj siłą gotów jest prawo swe do korony popierać.

Kardynał jak skoro tylko zmiarkował, iż na stronę Aleksandra szala się przeważała, natychmiast się za nim oświadczył. Zygmunt żadnych starań nie czynił.

Stanęło więc wszystko na wzajemnem porozumieniu Litwy i Polski, z utrzymaniem starego związku i powszechnem uradowaniem, którego może tylko panowie krakowscy nie podzielali. Lecz i ci przycichli, sami pozostawszy.

Zaledwie się tu sprawa zakończyła, wyprosiłem się u ks. Łaskiego do Wilna z powrotem, a nigdy za mło-

du tak nie pędził dniem i nocą, ani się czuł tak rzeźwym i niezmordowanym, jak teraz.

Późno, późno nad zachodem uśmiechnęło mi się życie.

W Wilnie, dzięki Bogu, zastałem wszystko tak, jak pragnąć mogłem, a przygotowania weselne, powierzone Śliziakowi, mimo jego niedołęstwa, nie zostały zaniedbane.

Ponieważ koronacja królewska do pierwszych dni ostatniego miesiąca, na adwent odłożoną być musiała, gody moje ją poprzedziły.

Miałem do wyboru dwa dwory, do mnie należące: krakowski i wileński, nie chciałem sam rozstrzygać, gdziebyśmy pobrać się mieli i zamieszkać. Prosiłem Kingę, aby wedle własnego serca postanowiła.

Dwór wileński żałobę nam naszą przypominał, był on i dla mnie jakby wygnaniem, ona i ja woleliśmy do Krakowa powracać. Później zaś zamieszkać chciałem albo w Lidzkiem, lub choćby nie opuszczać Krakowa, gdzie miałem wielu przyjaciół, życzliwych i znajomych. Pusciliśmy się w podróż, panią Korniańską biorąc z sobą, jesienią, ale nimi się jeszcze drogi popsuły, i trafiliśmy na babie lato tak piękne, że niemal wiosnę przypominało.

W Krakowie, gdy do wesela już przychodzić miało, suknię z sobą zwieść musiałem wielką. Chciało mi się gody sprawić wspaniałe i głośnie, czemu Kinga się sprzeciwiała. Nie byłbym kilkuset grzywien żałował, aby je ludziom uczynić pamiątkami.

Skończyło się więc na tem, że ze dworu co było w Krakowie dawnych towarzyszków i druhów pozapraszał na wieczerzę dnia tego, wyrzekłszy się trefniśiów, muzyki i wszelkiego hulaśliwego występu, kilka niewiast, które Kinga czasu pobytu swego znała, kilku starszych kupców, co mi życzliwi byli, zasiedli z nami do stołu i spędziliśmy godzin parę do wieczora.

Tymczasowo postanowiliśmy pozostać w Krakowie w domu naszym, cichego szczęścia zażywając. Tak doczekaliśmy się tu i przybycia króla a koronacyi, którą

brat Fryderyk odbył w towarzystwie innych biskupów, przytem nowy pan względem Krakowian i wszystkich wogóle co się do niego zbliżali, okazał się na podziw szczerym aż do rozrzutności, dobra, starostwa, majątności rozdając obficie, niezawsze godnym tej łaski królewskiej.

Choć napozór się wszystko niby składało dosyć pomysłnie dla nowego pana, z boku patrząc i rozsluchując się, wiele mu dobrego wróżyć nie było można. W zawieszeniu była wojna z moskiewskim, który na zięcia nie zważał, domagając się ziem ruskich i nie chcąc ustępować. Układy z nim szły twardo, a oprócz niebezpieczeństwa tego, zagrażali nieustannie Tatarowie! Król sam będąc na Litwę i na Polskę, tu i tam rozrywać się musiał, bo go odwoływano.

Kardynał tymczasem czynnie i rozumnie w Krakowie go zastępował. Ale i na tego niewiele można było rachować, bo naówczas już doktor Maciej z Miechowa długiego życia mu nie obiecywał, dla srogiej i okrutnej choroby, której było trudno leczyć, więcej zaś dla życia niepomiarowanego i zbyt, od jakich go powstrzymać nie było podobna. Zaledwie lepiej cokolwiek się czuł, jadł i pił bez miary, nie chcąc się szanować, a z doktorów się namiewając.

Miałem z ręczność widywać go naówczas, a za każdym razem wydawał mi się mizerniejszym, starszym i jakby w oczach wędniejącym, choć wiekiem był najmłodszy.

W czasie napadu Tatarów, gdy ich odpierać było potrzeba, pomimo choroby już się gotował na koń sięść z pospolitem ruszeniem, gdy dzicz ta swoim obyczajem z łupieżą pierzchnęła.

Niewątpliwa to rzecz, że gdyby statek w nim był, ani na rozumie, ni na męstwie mu nie zbywało. Nauki sam miał wiele i uczonych ludzi lubił, w pięknych i kunsztownych rzeczach, obrazach, rzeźbach i złotych wyrobach się kochał, a zbierał je; około siebie wytworność i wspaniałość chciał mieć królewską, dla ludzi był dobrym, ale też podczas i surowym być umiał. Pamiętano mu to, że brata Krzesława z Kurozwęk biskupa, kujawskiego i kan-

clerza Mikołaja Lubelczyka, Wrzodem zwanego, za uderzenie kleryka bez litości osądził.

Mimo to u szlachty, jak miał mir zawsze, tak go zachował do końca.

W miesiącu marcu tego roku, kardynał coraz mocniej chorować zaczął. Nie wiem czy on sam się spodziewał tak rychłego zgonu, trzydziestu pięciu zaledwie lat doszedłszy, ale doktorowie wiedzieli, że mu nie poradzą nic.

Leżał już w wielkich boleściach, gdy na godzin kilka przed zgonem jego, ulubiony mu sufragan Maryanus, jak mówiono, niepomrotnie się objadłszy, zmarł nagle.

Gdy mu Michał Krzycki, który go nie odstępował, znać dał o tem nieopatrznie, wziął to jako hasło jakiegoś, że i jemu za nim iść było potrzeba.

— Maryanus mi poszedł zamawiać gospodę! — odezwał się wzdychając, i teje nocy w ciężkich boleściach Bogu ducha oddał.

Pewnie nikomu więcej go nie zabrakło, jak królowi, a i matka zgon najmłodszego z synów oplakiwała długo.

Tak z liczного potomstwa męskiego Kazimierza, młodzieży, która się pięknnością, zdrowiem, siłą odznaczała, z kolei Bóg powołał do siebie naprzód najczystsze go i najświętszego z nich w kwiecie wieku młodzieńca Kazimierza, po nim Olbrachta i Fryderyk, tak, że z Aleksandrem licząc, trzech pozostawało jeszcze. Wszyscy oni zmarli bezpotomnie, a i po Aleksandrze dotąd potomstwa z oplakanego małżeństwa się nie spodziewano. Zygmunt też do ożenienia się nie kwapił.

Gdyśmy o tem z doktorem Maciejem z Miechowa, którego widywałem często i obcowałem z nim rad, rozmawiali, przypominał mi, że Olbrachtową śmierć zawczasu wiele znaków przepowiadało. Ukazała się na niebie kometa z miotłą wielką ognistą. Mało co potem ta część zamku, którą zwano Kurzą Nogą, spłonęła, iż ledwie ogień powstrzymano, aby się dalej nie szerzył. W lutym gałka na ratuszu, którą tylko co nową zaciągnięto i umocowano nocą spadła, choć wiatru nie było, potoczyła się na dach i rozbiwszy go, roztrzaskała sama. Doktorowi Miechowi-

cie, naówczas z Krakowa jadącemu, w Piotrkowie dla podwód zbuntowane mieszczaństwo, które już o śmierci króla wiedziało, o mało na gardło się nie usadowiło.

O czem rozповідаjąc rozumny mąż, choć niewyraźnie i niejasno, z bólem serca, bo był do rodziny królewskiej przywiązany, Aleksandrowi też nie obiecywał panowania długiego.

A był to pan, do którego ci, co się zbliżali i obcowali z nim, przywiązywali się wielce, dla wielkiej dobroci jego. Sam on gniewu nie znał, a do surowszego wystąpienia chyba go ulubieńcy skłonili.

Na czele ich stał oddawna książę Michał, o którym mówiliśmy już, że umysł królewski opanował. Ten Aleksandra-by rad widział samowładnym na Litwie, dlatego, iż w jego imieniu rządził.

Tymczasem przykład Polski, ciągle ocieranie się o szlachtę, mającą przywileje wielkie, zjazdy, na które patrzyli i słyszeli o nich Litwini, Litwinom też wielu w moc unii do tych przywilejów, co Polacy, ochoty dawało. Nie chciano Aleksandra i na dziedzictwie widzieć rządzącego bez rady panów, bez sejmów i zjazdów. Starosta lidzki Ilinicz, trocki wojewoda, starosta żmudzki i wielu innych, których tu obliczać trudno, odzywali się głośno, że litewska szlachta miała też prawa, co i polska.

Nie mogło to być w smak kniaziowi Michałowi, bo gdyby się wytaczało wszystko przed zjazdy, onby swej woli nie miał. Gardłował więc za tem, iż spiski knują i bunt zamierzają ci, co polskich chcą rządów, a umiał to królowi wmówić tak, iż gniew jego obudził przeciwko Iliniczowi i wojewodzie trockiemu.

Gliński stał przy tem, że Litwa inny obyczaj miała, a od nieprzyjaciela zagrożona, po hetmańsku, surowo musiała być trzymaną, na sejmy czasu nie trwoniąc daremnie, gdy granic strzedz było potrzeba.

Z polskich panów większość trzymała z Iliniczem, za którym i ks. Łaski też był.

Sądziłem naówczas, przy młodej żonie zleniwiawszy, iż się już wszelka służba moja dworska skończyła, bom

się nikomu nie zdawał potrzebnym. Król mnie nie powoływał, a ci, co przy nim byli, obficie z łask jego korzystając, niebardzo byli chętni pomnożeniu służby. Od czasu do czasu spotykałem się to z ks. Łaskim, zawsze na mnie łaskawym wielce, to z doktorem Maciejem, zdala króla widywałem i błogiego zażywaliśmy wczasu.

Pogrzebałem tego roku i starego Sliziaka, do którego od czasu pojednania z nieboszczką matką moją przywiązałem się szczególniej dlatego, że go widział wiernym jej sługą. Nawet, gdy mu się już z łoża podnieść trudno było starowina jeszcze o wszystkim pamiętał i w domu starał się ład utrzymać. Ile lat miał, sam on nie wiedział, licząc je jednak z tego, co o swem życiu powiadał, musiało mu sto dochodzić, gdy się sam poczuł już na schyłku.

Nie jeden raz to w ludziach, co późnego dożyli wieku, uważałem, iż sobie śmierć nadchodzącą przepowiadali. Tak było i ze Sliziakiem, który mnie przywoławszy, naprzód księdza zażądał, potem spokojniejszy już objawił mi, że za żywota uciułał trochę grosza, który znajdzie zakopany w garnku pod tapczanem. Z pieniędzy tych trzecią część chciał mieć na msze święte za duszę swą obrócone, a dwie żonie mojej przekazał.

Gdy zmarł i pochowaliśmy go u P. Maryi przy boczej kaplicy, jak sobie życzył, dopiero sobie przypomniałem ów garnek, wiele się zaprawdę po nim nie spodziewając.

Kazałem tedy łożo znieść i podłogę ceglana opatrzywszy, znaleźliśmy pod jedną płytą garnek wistocie pełny, gruby i wielki. Nie było w nim nic krom samego złota, portugalów różnych i sztuk ciężkich tyle, żeśmy je ważąc na złotych węgierskich dwa tysiące przeszło naliczyli.

Na owe czasy i człowieka dziw to był wielki, że tyle zebrać mógł, na lichwę nie dając i trzymając je zakopane. Z tych siedemset zaraz zapisałem wikaryuszom P. Maryi na msze święte za duszę nieboszczyka, a resztę zachowałem na złą godzinę w gotowiznie, abyśmy nie zaznali niedostatku, gdyby nam z litewskich posiadłości nie przyszło, co było powinno.

Gdyby nie to, co się naówczas każdego dnia nasłuchiwać przyszło, to o Moskwie, to o Tatarach to o Wołoszy, to o knowaniach Glińskiego i rozterkach na dworze Aleksandrowym, lata-by były pewnie z całego mojego żywota najszczęśliwszymi. Powrócił mi smak do ksiąg, o które teraz dziwnie łatwo być poczynano i stawały się one jeśli nie dla wszystkich, to dla wielu dostępne, gdy dawniej mało kto mógł je opłacić.

Część dnia spędzałem nad temi, które z Niemiec i z Wenecyi do nas przywożono, rad sam kupując, lub od panów kolegiatów pożyczając, którzy na mnie łaskawi byli, odwiedzali i z rozumnych swych rozmów korzystać mi dopuszczali.

Tego to czasu po raz pierwszy mi się do rąk dostała pieśń jakaś, sądzę husycka, po polsku złożona, która w kościele wielkie zmiany i oczyszczenie zapowiadała. Nie domyślałem się tego nawet, aby kacerstwo to dotąd u nas przetrwać mogło, bo go ani widać, ni słyszeć o niem nie było. Dowód przecie w pieśni tej miałem, że słowo zuchwałe a gorące nie zostało zagubione i że domagali się kacerze takich odmian, któreby całym Kościołem wstrząsnąć mogły.

Potajemnie się to szerzyło, bo choć u nas inkwizycyi nie było surowej w rzeczach wiary, a wiele mimo uszu puszczano, jako to z Morsztynową, czuwało przeciw duchowieństwu i odgrażało się przeciw heretykom.

Po nitce do kłębka idąc, a ciekaw będąc tej wiary poprawnej, doszedłem, że nawet nieopodal od kolegiów, w domu mieszczanina jednego, mieli ci ludzie, którzy się jakiegoś Wiklefa uczniami mienili, potajemne schadzki. Spalonego też Hussa owego mieli za świętego prawie i męczennika.

Nie mojego to rozumu rzecz w takich sprawach rozstrzygać, lecz widzi mi się, że gdyby go nie było spalono, nie rozrosłaby się i nie rozszerzyła nauka jego, bo niema jak krew i ogień do użyżnienia pola wszelkiego.

Z pomiędzy mieszczan wielu, którzy z różnych powodów do duchowieństwa ząb mieli, garnęli się do tych wiklefów i na ich obrzędku chodzili, pod dwiema posta-

ciem przybijając sakramenta, obrazy z kaplicy wyrzucając, dzwonienia i świec zaniechawszy. Mówiono, iż zebrawszy się do gromady, pieśni razem śpiewali, a jeden z nich potem na kazalnicę wchodził i nauczał.

Duchowieństwo nasze mało co o tem wiedziało. Pomimo ciekawości mej, nie ważyłem się do nich iść, gdyż nie przypuszczali pono, tylko tych, którzy z nimi za jedno trzymać się obowiązywali.

Rósł w łaskach Aleksandra ks. Łaski, a Ciołek już był szlachcicem ogłoszony, mimo wszelkich niechęci ku niemu, do Rzymu posłany od króla. Duchowieństwo całe bardzo krzywo na to patrzyło, gdyż Ciołek jawnie z nim wojował i nie miał prawie przyjaciół między nimi.

Sądziłem, że w domu swym razem z jejmością tak spokojnie żywota dokonam, patrząc zdala na to, co się dzieć na świecie będzie, gdy jak to ze mną nieraz bywało, kleryk przybiegł do ks. Łaskiego mnie wzywając.

Tu muszę się pochwalić tem, że pewno nie dla kaligrafii mojej, ale dlatego, że do milczenia wypróbowany byłem, zachowanie zyskał u niego.

Nie był to już ów Łaski, jakiego początkowo pamiętałem w Wilnie. Nie zmienił się w charakterze swym, lecz ze znaczeniem powaga urosła i wszyscy się na niego oglądać musieli. Miał też i kancelaryę swą liczną i dwór dostatni.

Nie mogłem wcale sądzić, iżby mnie na co potrzebował. Powitawszy uprzejmie naprzód, odezwał się:

— Słyszałeś waszmość, co się to na Litwie dzieje?

— Mało co wiem — odparłem — bom się domatorem stał, a niewielu widuję.

— Nie powiadano ci więc, do czego ten nieszczęsny Gliński króla skłonił? — ciągnął dalej Łaski. — Iluż do więzienia rzucony, grozi toż samo wojewodzie trockiemu i kilku innym... Książę się odgraża, iż na Litwie nie będzie póty dobrze, dopóki ze trzy głowy z karków nie zleją.

— Lecz na Boga — przerwałem — surowość ta do Aleksandra nie jest podobną, ani dziełem jego być może!

— Niema straszniejszej rzeczy — odparł Łaski —

nad słabość i brak woli, bo one dadzą się wieść na bezdroża. Dał Bóg panu naszemu najlepsze serce, ale siły poskapił. Opanował go warchoł ten, książę Michał, któryby z drogi wszystkich chciał uprzątnąć i miota nim, niestety.

Ks. Łaski ręce załamał.

— Panie starosto — rzekł do mnie, bo nazwisko to dawali mi niektórzy od Kazimierzowego daru ziemi — wybyście mnie i królowi na dworze jego potrzebni byli, dopóki się ta sprawa gardłowa nie skończy. Macie u króla ucho i zaufanie, a was się Gliński obawiać nie będzie. Zaradzilibyście może złemu, a przynajmniej nie dopuścili tego ścinania głów, którem grożą, dopóki się przyszedł sejm w Radomiu nie zbierze.

— Ojciec mój — odezwałem się — radbym z duszy być wam posłusznym, lecz sądzę, że zawiele o mnie trzymacie. Za małym jest, aby mnie kto miał słuchać.

— Około króla dziś najwięcej tacy mogą, na których oczy nie są zwrócone — rzekł Łaski; — jedźcie na dwór, następcie się panu. Nie wątpię, że was przy sobie mieć zażąda. Życzy sobie tego królowa, ja was proszę. Rzucicie słowo, możecie zapobiedz złemu; naostatek przez was i my lepiej będziemy oświadczeni, aby wiedzieć, co czynić.

Dusznie mi się podejmować nie chciało teraz tego, co po prostu włożeniem palca między drzwi nazwać było można. Spokojne życie nagle zmienić na togniazdo osie, jakim był dwór Aleksandra, narazić się Glińskiemu nie miałem wcale ochoty. Prosiłem o czas do namysłu.

Gdy potem do Kingi wrócił, ostrożnie zwiastując jej, co mnie czekało, załamała ręce, zaklinając mnie, abym w ogień nie szedł.

Musiałem tem jednym odpierać, co jej troskliwość o mnie następczała, że królowi i Litwie naszej służyć do zdechu byłem obowiązany, ani mi się godziło dla własnego spokoju poświęcić ważne sprawy. Wprawdzie nie ufałem, abym się tam przydał na co, lecz ks. Łaski stał twardo przy tem, że iść byłem powinien.

Kilka dni trwał opór ze strony mojej, a z jego nalegania — zwyciężył wreszcie.

Król był jeszcze na Litwie. Jak skoro jechać przyrzekłem, wskok musiałem to wykonać. Czeladzi z sobą ledwie kilkoro wzięwszy, pod pozorem, iż do mojego starostwa jadę, ruszyłem na Litwę.

Po drodze już z tego, com słyszał, przekonałem się, że wistocie Iliniczowi, Zabrzezińskiemu, Kiszce i kilku innym stał Rusin na gardło. Król ulegał, Gliński kłamliwie dowodził, że spiskowano przeciw władzy w. książęcej z Polakami i powtarzał nieustannie, że dla grozy i postrachu głów kilka trzeba strącić.

Król był na Litwie, oczekując, gdy go na zjazd do Radomia powołają. Przybyłem tu, jak mnie przystało, cicho i skromnie do naszego dworu na Snipiszkach. Miałem pomiędzy dworzanami królewskimi młodego Szyszłę, którego lubiłem bardzo, on też się do mnie przywiązał. Różnica wieku między nami była taka, że ojcem-hym jego mógł się nazywać, ale chłopak niezwyklej był bystrości umysłu, przebiegłości, oka takiego, że mu nic nie uszło, a serce miał złote.

Prawy Litwin, poczciwy, dobrej woli, miał jednak to do siebie, że się nikomu nie dał zjeść w kaszy. Na oko spokojny, cichy, nie zdawał się na nic patrzeć, a widział wszystko, niczego słuchać, a ucha jego nic nie uszło.

Posłałem mojego Staszka naprzd po niego. Jakom się spodziewał, nadbiegł natychmiast.

O tem, co się na dworze działo, nikt na świecie lepiej nad niego nie mógł być uwiadomiony, a dla mnie tajemnic nie miał. Dorzucić muszę, że chłopak był nie-bogaty, a jam mu pomagał chętnie, bo upodobanie miał w pięknych koniach i sukniach. Trochę więc wdzięczności mi się należało.

Dowiedziawszy się, iż do Wilna przybyłem, Szyszło na konia siadł dla pośpiechu i przyleciał na Snipiszki.

Przywitał mnie jak ojca. Nie powiedziałem mu z czem i dlaczego przyjechałem, ani na jak długo; lecz zaledwie chwila upłynęła, gdy mu się gęba rozwiązała.

— Nie chciało się wierzyć, co u nas rozpowiada-

ją — odczuwałem się, — bo pan dobry jest... Mówią o uwiezionych, o zbiegłych, o kacie i dekretach.

P dniósł ręce Szyszło do góry.

— Wszystko to prawda — odparł. — Nasz pan nieszczęśliwy jest, zgnębiony, zahukany przez kniazia Michała. Ten wymyśla spiski na drugich, a sam bodaj najgroźniejszym jest. Ilinicz zgubiony, bo po nim Drodzowi swemu chce zagrabić spuściznę. Tak samo na Trokach, na Żmudzi, na Smoleńsku chce mieć ludzi ze swego ramienia, więc opróżnić musi, co zawadza.

— Lecz król nasz nigdy okrutnym nie był — przerwałem, — nie może to być, ażeby przelew krwi dopuścił, i to jeszcze tak zacnej.

— To też król męczy się niewymownie — mówił Szyszło, — a wiemy to najlepiej my, którzy na niego patrzymy! Dopóki kniaź przy nim jest, a stara się go jak najmniej odchodzić, daje sobie wmówić, co tamten chce, wzdycha, ale godzi się; zostanie potem sam, naówczas niemal krwawym potem się oblewa, rozważając, co mu grozi. Gdyby nie jemu nawet, ale komukolwiekby codzień od rana do wieczora nieustannie tem nabijano głowę, że wszyscy na życie jego czyhają, że potajemnie się sprzysięgają, że mu grozi zrzucenie z tronu lub gorzej jeszcze... wkońcu-hy musiała go ogarnąć trwoga. Po nocach król ze snu się zrywa, krzycząc, bo mu zda się, że nie jest bezpiecznym. Wyjedzie na lowy, wyjedzie na zamek, każdy człowiek mu podejrzany. Strażami się otacza, jak nigdy. W tej obawie ciągle go chcąc utrzymać, Gliński zmyśla niebywale rzeczy; każe swoim mówić i zeznawać, co ich nauczył. Nie może sam stać na straży, stawia Drodza, który jest jego prawą ręką. Nawet biskupowi naszemu, Taborowi, którego król szanuje i ufa mu, przystępu bronią, nie dopuszczają go, bo wiedzą, że przeciwko nim jest. W tym strachu, niepewności, pan stracił zdrowie, wesołość, spokój umysłu; litość bierze patrzeć na niego.

— Jakże się to skończy, sądziecie? — zapytałem Szyszłę.

— Najgorzej — odparł, — bo osaczono biednego

króla tak, że im ująć nie może. Gliński, ponieważ zreżymny i czynny jest, króla wyreżyma we wszystkim, zasłużyć mu się umie, a tak się stawia, że bez niego-by sobie rady nie dał, stał się niezbędnym. W każdej sprawie, nim się ona rozstrzygnie, powołują kniazia Michała, nie czyni się bez niego nic. Czuje się potrzebnym, a tak kieruje wszystkim, aby nim był. On wódz, jeżeli wojna, on doradca, gdy trzeba się układać, on posłem, on sędzią, on wszystkim.

Mniej więcej w ten sposób odmalował mi położenie Szyszło, na co nie było nawet co odpowiedzieć. Spytałem go, czy się choć dawnemu panu pokłonić mi będzie wolno.

— Jeżeli kniaz dopuści—rzekł Szyszło,—bo i w tem go pominąć nie można. Jakże dawniej dla was był?

— Ani źle, ni dobrze — odparłem, — za małym jestem dla niego, aby na mnie patrzył.

— Przybywacie z Krakowa — odezwał się Szyszło— to dosyć dla obudzenia nieufności, bo co tylko z Polski idzie, podejrzane kniazowi. Wie, że krom Ciołka, samych tam ma nieprzyjaciół. Lecz — dodał — wiecie co? król codzień, gdy pora piękna, zrana idzie na mszę do katedry... stańcie na drodze. Jeżeli podniesie oczy, a zobaczy was... powoła pewnie.

Spisywać trudno, co mi potem jeszcze o biednym królu małych rzeczy naopowiadał. Z tego jawne było, iż nieszczęśliwym się czuł bardzo i że na zdrowiu na wet, mimo wielkiej siły i krzepkiej budowy, szwankować zaczynał.

Rad więc, przez samą miłość dla krwi panów moich, pragnąłem się przyczynić do tego, aby wyrwać króla z tej niewoli Rusina.

Szysze nie przyznając się do niczego, nazajutrz czaty na drodze do kościoła rozpocząłem. Poszczęściło mi się wielce. Aleksander zobaczywszy mnie, skinął, abym się przybliżył.

— Z Krakowa?—spytał.

— Na wsi u siebie — byłem (musiałem skłamać)— a tu dom mam. Nie chciałem Wilna opuścić, nie pokłoniwszy się panu memu.

To mówiąc, do nóg mu się pochyliłem.

Uśmiechnął się dobrotliwie, lecz natychmiast, ni-by sobie coś przypomniawszy, trwożliwie się obejrzał, dał znak i pośpieszył do kościoła.

Wieczorem zawołano mnie do króla. Uważałem idąc nowych ludzi, Rusinów, Drozda, i kniazia Michała, około Aleksandra się uwijających.

Gdym przyszedł, a niewielu było, król obejrzawszy się znowu, z obawą mi szepnął:

— Słyszałeś?

Udałem, iż nie wiem, o co pytał.

— Spiski na życie moje? Kto... Litwini!

Tu począł głową poruszać boleśnie.

— Miłościwy królu, nigdy ja temu nie uwierzę...

Gorąco począł i szybko dowodzić, iż się nie mylił, ale płątał się w mowie. Zamilkłem.

— Gdyby nie kniaz Michał — dodał pocichu, — jużby po mnie było. Ten jeden mi wierny, na nim wszystko.

I podniósłszy dłoń ściśniętą do góry okazał mi jak-by... Michał siłę miał, a potem obejrzawszy się wkoło ostrożnie, palec do ust przyłożył.

Rozprawiać z nim o tem nie było sposobu, alem się mógł przypatrywać, co się działo, bo mało na mnie zważano. Umyślnie też chytróści zażyłem, wiedząc, że tu Polacy wszyscy i z Polski przybywający byli w podejrzeniu, więc wdziałem suknie takim krojem, jakim je na Litwie noszono, a wymowę miałem zawsze tutejszą.

Rozpatrując się około królewskiego otoczenia, łatwo mi było dostrzedz, iż na wsze strony sieci były porozpinane, strażę tajemne postawione tak, aby bez Glińskiego, Drozda i jego zauszniaków nikt do króla przystępu nie miał, szczególnie na osobności.

Aleksander jak zawsze powolnym był i dla spokoju słuchał tych, co stali najbliżej, a oszczędzali mu troski myślenia i mówienia, teraz stał się prawie bezwładnem w ich rękę narzędziem.

Wszystko na kniazia Michała zdawał, bez niego nie śmiał poczynać nic, a Gliński nim władał, jako chciał.

Ani się dziwować można, że taką przewagę pozyskał, bo człowiek był niepospolitego umysłu, bystry, energiczny, śmiały aż do zuchwalstwa, a przytem zręczny. Z oczów mu patrzyła niepomierna duma i ambicya, mimo to jednak, gdy było potrzeba, umiał się przed królem ułożyć, spłaszczyc, stać pokornym, czolobitnością go ujmować, miłość swą gorącą dla niego głosić, a drugich czernić i podejrzenia rzucać, aby od nich odstręczyć.

Daleko potężniejszy umysł, niż Aleksandrowy, dałby się być wziąć na te zręczne nastawione sidła. Przekonałem się jednak, z niemałą pociechą moją, rozpatrując i rozsluchując, że kniaź Michał pomiędzy pany i litewską starszyzną niewielu sobie pozyskał. Wszyscy nań z nieufnością patrzali, nie mówiąc już o tych, którzy mu zazdrościli. Biskupi, hetmanowie, wojewodowie ilu ich było, albo się od niego usuwali, lub wręcz się oświadczały, przeciwko niemu.

Śmielsi, jak Krzysztof Ilinicz, lidzki starosta, głównie Jan Zabrzeziński, Stanko z Żarnowic, Kiszka głośno zadawali Gliškiemu knowania zdradliwe. Inni mniej odważni, jak Olechnowicz, Ostrogscy i Radziwillowie, dalej stojący, czekali, co się wywiąże z tego, aby też przeciwko Gliškiemu wystąpić.

Przeciwko tym, których jako jawnych nieprzyjaciół swoich znał Gliški, Iliniczowi, Zabrzezińskiemu, Kiszce wprost na gardło godził, a królowi to nieustannie wmaśniał, że dopóty ładu i porządku Witoldowego nie będzie, dopóki głowy ich z karków nie spadną.

Z polskich panów przy królu nikogo nie miał Gliški za sobą, okrom potajemnie Ciołka, który głośno z nim trzymać nie śmiał. Kniaź Michał oświadczył się przeciwko wszelkiemu obyczajowi który na Litwę z Polski był przeniesiony; szlachestwa i herbów pobratymczych polskich nie chciał znać, ani sejmików, ani senatorskiej Rady, ani praw i swobód ziemiańskich. Powiadał to i wpajał królowi, że Litwa otoczona nieprzyjaciół, silnego rządu potrzebowała, a ten inny nie mógł być tylko Witoldowski, hetmański, stary, gdzie wola jednego stanowi wszystko. Tę władzę wrzekomo chciał mieć dla

Aleksandra, a wistocie dla siebie, zamiast sojuszu z Polską, zamierzając z Moskwą się połączyć.

Ale wszystko to naówczas jeszcze było pokryte i tajemne.

Ja miałem to szczęście wielkie, że powinienemu i zausznikowi kniazia, Drozdowi, nie starając się o to, wpadł w oko, i pozyskał łaskę jego, małą przysługą zjednawszy sobie, co mi do swobodnego na dworze obracania się wielką było pomocą.

Drozd zbierał naówczas woźniki jednej maści do kolebki dla powinowatej swej, a u mnie się znalazł właśnie wałach, który jak ulany przypadł do czwórki. Chciał go za drogie pieniądze kupić u mnie, ale natychmiast go darował co mi potem na dobre wyszło.

Ująłem go tem sobie i wstęp na dwór pozyskałem, mogąc się do króla zbliżyć, gdy chciałem. Drozd mając mnie za swego, z niczem się nie tał. Zawczasu więc ostrzedz mogłem, żeby króla stąd do Radomia na sejm ciągnęli, bo inaczej, jak tam wystąpić przeciw zamachom Gliškiego nie będą mogli jego przeciwnicy, których panowie polscy powinni byli popierać. Kniaź rad Aleksandra trzymał w Wilnie, a nam trzeba było go stąd wyrwać koniecznie i od jego wpływu ochronić.

Wiedział Gliški, że sprawa jego z Iliniczem i innymi wytoczy się, na jaw wyjdzie, wstrzymywał więc jako mógł, ale Laski z innymi ciągnęli, a Polski się wyrzec nie było podobna. Musiał więc Aleksander jechać tam, gdzie go niemiła czekała rozprawa.

Ja do Radomia potrzebnym już nie byłem, anim tam jechać chciałem, i korzystając z czasu, puściłem się co żywo do Krakowa nazad, wiedząc z jakim tam niepokojem oczekiwała na mnie Kinga.

Na tym sejmie w Radomiu król pierwszy raz paraliżem został ruszony, słuchając wyrzutów gwałtownych, jakie mu czyniono, nie będąc do nich nawykłym. Od tego zaczęła się choroba jego, która zapowiadała, że rządu biednego a słabego pana niedługo pociągną.

Wszyscy lekarze, jak Maciej z Blonia, Maciej z Miechowa i co ich było najuczestniejszych, źle zaraz wróżyli-

Nie miał Aleksander tej wielkiej a chwalebnej cierpliwości ojca swego, który nieraz spokojnie najgwałtowniejszych wyrzutów i gróźb słuchać umiał, oka nie mrużąc, twarzy nie mieniając, a potem na swoim, jako chciał, postawił. Miękki zawsze, bojaźliwy, pobytem na Litwie, do spokoju i uległości nawykły, bo tu mu czołem bijąc, złego słowa nikt rzecz nie śmiał — usłyszawszy wyrzuty publiczne z ust duchownych i senatorów, tak się niemi uczuł dotkniętym, że go zaraz z izby napoły bezwładnego wyniesiono.

Nie mógł tego wyrozumieć, że w Polsce, gdy się ludzie wygadali swobodnie, a z serca zrzucili, co mieli, potem z nimi zrobiłby mógł król powolnością co pragnął, gdy na Litwie, milczący i czołem bijący, na pozór niewolniczo posłuszni, zdradę knuli i nim władali po swej myśli.

Zaraz po tym nieszczęśliwym radomskim paraliżu królewskim, gdy go w czerwcu chorego do Krakowa przywieziono, albo raczej przyniesiono, bo z kolebki na nosze, a z nich do kolebki niecierpliw, ciągle się przesadzając kazał — pobiegłem na zamek, chcąc go widzieć na własne oczy.

Trudno się było dostać, tak go osaczono, a samych lekarzów gromada nie dopuszczała nikogo, bo każdy chciałby był króla ratować.

Wieczorem, napróżno w kruzgankach kilka godzin przestawszy, a języka nawet pewnego nie mogąc zyskać, poszedłem do pana Macieja z Miechowa, który pewnie ze wszystkich doktorów, jakich naówczas Kraków miał, najuczestniejszym był, chcąc od niego się coś dowiedzieć. Wiedziałem, iż niechybnie jego też do porady Maciej z Blonia wzywać musiał.

Znalazłem go bardzo zaszępionym, a na pierwsze pytanie moje, nim się odpowiedzieć zebrał, twarzą i ruchem rąk dał mi znać, jak małą miał nadzieję uzdrowienia.

— Z paraliżem ruszonych — rzekł nareszcie — mało kto potem władzę zupełną odzyskuje i do całkowitego zdrowia przychodzi. Długo jednak podczas nędzy

żywość ciągnąć mogą. Z temperamentu królewskiego wnószać, sądzę, że gdyby spokojnym był, pierwsze to ruszenie przebolełby może i dźwigał się. Ale na tronie spokojnego nie ma, tem trudniej o to, gdy, jak u nas, dwa różne państwa w jednych są rękach, a troska nie o te, to o drugie nieustanna. Dostyc jednej zlej od granic wiadomości, aby, co sejm nie dokonał... dopełniła. — Dodajcie do tego, — ciągnął dalej Miechowita nasz — że lekarzy około niego będzie siła, a z tych każdy swój sekret ma, radby leczyć po swojemu, chory zaś łatwowierny każdy, i chętnie coraz nowego się chwyta. Więc co jeden naprawi, drugi popsuje... A no, w rękach Bożych życie mocarzów! — dokończył, skłaniając głowę.

Radził pan Maciej, aby Aleksandra w Krakowie zatrzymano, na Litwę nie puszczając, gdzie zawsze zgryzot i umartwień poddostatkiem go czekało. Ale właśnie tam dla bezpieczeństwa od Moskwy i Tatarów najpotrzebniejszym był.

Z Zygmunta zaś, brata swego, tak jak niegdy z kardynała Fryderyka, pomocy nie było, bo ten w Głogowie, na Śląsku siedział, nie narzucając się, nie mieszając do niczego. I panowie go wzywać niebardzo mieli ochotę, bo się wówczas już silniejszej w nim obawiali dłoni.

Gdy potem w kilka dni przez znajomych i przyjaciół doprosiłem się, iż mnie do króla wpuszczono, znalazłem go prawda w krześle siedzącym, ale połowa ciała wcale się nie poruszała, a mówił z trudnością, bełkocąc, i jawna była, że cierpiał mocno.

Przyczyniało się do niepokojenia go to, o czem pan Maciej z Miechowa mówił i co przewidywał, że mu codzień ktoś nowego a cudownego lekarza rań, codzień inne leki. Więc umysł się poruszał, a na osłabionym panu czyniono eksperymenta, które mu coraz siły odejmowały.

Lekarstwa dawane nie pomagały. W Krakowie długo spocząć nie dano mu. Zaraz w początku następnego roku ciągnęli go jedni na sejm do Lublina, drudzy na Litwę dla przewidywanej wojny.

Tak smutnym, jak za pobytu Aleksandra, nigdy

nie bywał zamek krakowski, choć i za nieboszczyka ojca jego niewiele tu wesela zażywano. Teraz aptekę czuć było wszędzie, powietrze balsamami a lekarstwy było przejęte.

Pół zamku królowa ze swymi Rusinami, jakby w niewoli zamknięta dobrowolnie, zajmowała. Tu się potajemnie odbywały dla niej nabożeństwa, a żaden ksiądz łaciński nie śmiał stopą progu przestąpić, bo natychmiast okrzykiwano, że szedł nawracać. Między królową Heleną, tem duchowieństwem moskiewskiem, dworem pani, a drugą połową zamku królewską, niby między obozy nieprzyjacielskimi, stojącemi naprzeciw siebie, choć do walki nie przychodziło, niechęć i nieufność panowała. Spoglądano na siebie koso i nieufnie.

Królowę często widzieć było można przechodzącą z oczyma zapłakanemi, bo jej plotki diaczków chwili spoczynku nie dawały. Wyrwała się od nich do męża: i tu nie było się czem pocieszyć, bo się przed nią na tamtych skarżono.

Wpływ królowej nieznaczny był, albo prawie żaden; jednakże przez litość nad nią Aleksander w Krakowie długo nie mógł pozostać, bo Rusinom i jej w Wilnie zawsze lepiej i swobodniej, gdyż tu mieli swoich poddostatkami i czuli się nie tak obcymi.

Gdy król do Lublina na sejm wyruszył, miał koło siebie ludzi dosyć, i ja tam nie byłem potrzebny, a rad pozostawałem w domu, do którego mnie przywiązywało szczęście i miła moja Kinga, która właśnie czasu tego sejmku synaczka mi powiła.

Na kolanach za to błogosławieństwo Bogu dziękując, jak skoro ona podnieść się mogła, sprawilem w kamienicy naszej pod dzwonem chrzest narodzonemu, któremu imię Chryzostoma dano. Przy tej zrzeczności przyjaciół moich ugościłem, nie żałując na to, bom sam szczęśliwy był, jak nigdy w życiu, o to tylko jedno się modląc i Bogu prosząc, aby mi dał synaczka do lat rozumnych wychować na chwałę Jego i pociechę naszą.

Trafiło się tak szczęśliwie, iż stary przyjaciel mój i towarzyszy, Zadora, acz go wiek i zbytnia otyłość ocię-

żałym uczyniły, znalazł się podówczas w Krakowie, i na ojca chrzestnego mogłem go uprosić.

Gdyśmy potem za stołem siedli z kubkami w rękę, przeżyte i przebyte lata, panów, wypadki, ludzi przypominając, ewenta różne, losy moje—lzy mi się strumieniem z oczów lały do wina, a pocciwy Zadora rękawem je ocierać musiał.

Co się też z niego, z onego zwinnego i dzielnego jeźdźca łowca i szermierza teraz zrobiło, gdy bez pomocy z trudnością mógł powstać z siedzenia i przez izbę przejść niełatwo mu było, nie opierając się o coś, lub o kogo!

Ja zaś, dzięki Opatrzności za to, co przecierpiałem, sownie i nad miarę zostałem wynagrodzony przez Kingę. Choć siwy włos miałem na skroni, serce przez nią odmłodziło.

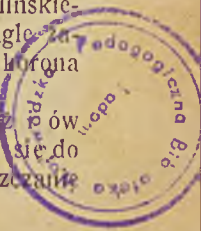
Co zaszło na sejmie lubelskim, niewarto zapisywania, bo się duchowieństwo z panami świeckimi senatorami przez czas cały ścierało o prawa swe, o miejsce w izbie, o dawną tę przewagę stanu, której odzyskać już nie mogło, bo ją król Kazimierz złamał, do słusznej doprowadzając miary.

Donoszono z Lublina, że król ciągle chorzał, pokładał się i jak do Lublina niemocen się włókł, tak go stamtąd wzięto na Litwę do Wilna, nie silniejszym, jak był.

Na rękę to właśnie było Głińskiemu, gdyż umysł strwożony chorobą, także osłabił i władać nim było łatwo.

Z naprawy to Głińskiego wezwano podówczas człowieka, o którym różnie po świecie mówiono, bo jedni go cudotwórcą głosili, drudzy mienili oszustem. Nikt naprawdę nie wiedział, co zacy był, bo on się sam Grekiem mienił z książęcego rodu Laskarysów, choć pono prostej abstrakcyi był i na naszej ziemi się rodził. Ten, niewiadomo skąd przybywszy do Olkusza, a potem do niejakiego Balińskiego, z córką się jego ożenił i u niego na wsi osiadł, nagle słynąwszy jako wielki doktor, któremu równego korona nie miała.

Sławny bęben za górami, powiadają, tak też ów Baliński w ustach ludzi łatwowiernych zasłynął, że się do niego z dalekich ziem, a szczególnie bogaci mieszcza-



z Krakowa cisnęli. Pielgrzymowali do niego, do Balina, w chlopskich chatach mizernie się tuląc, którym on lekarstwo i czarami wiele obiecywał, a gdy się ślepej kurze ziarnko trafiło, umiano z tego korzystać.

Płynęli ludzie i pieniądze, a doktor czarnoksiężnik od bogatszych nie brał mniej nad sto czerwonych złotych, skąd go setnikiem przezywano. Do Krakowa zaś, choć mu i dwieście kto dawał, ważyć się nie śmiał, boby tam inni lekarze prędko poznali, kim był.

O tym tedy Balińskim pono zasłyszawszy, książę Gliński na przekór panu Maciejowi z Błonia którego nie lubił, królowi go polecił, i natychmiast po niego wyprawiono, aby ratować przybywał.

Posłaniec, który jechał, musiał naprzód, nie mając z sobą tylą pieniędzy, na imię królewskie trzysta złotych pożyczyć, bo inaczej się ów cudotwórca ruszyć nie chciał. Oprócz tego trzeba mu było całej apteki królewskiej z Krakowa, którą na furze za nim wieziono.

Przybywszy do Wilna, kędy go książę Gliński wziął zaraz w osobliwą opiekę, gdy go do króla przyprowadzono, oświadczył zaraz, iż doktorowie nie rozumieli choroby, a pana wycieńczyli zlewni lekami, ale on to dopiero ma naprawić.

Musiał pan Maciej z Błonia znieść to a milczeć.

Nazajutrz izbę na dolnym zamku przerobiono dla króla na łaźnię, do której różnych ziół i korzeni w kotłach i garnkach ponanoszono, i nad tą parą zielska trzymano chorego, któremu, aby się mocniej poccił, wina mocnego, szczególniej malmazyi, poddawano.

Król, że już i tak słaby był, prawie omdlewał, iż go cucić musiano. Doktor Maciej pobiegł zaraz do kanclerza z tem, iż lekarstwo od choroby groźniejszem było, aby nie dawano pana katować, ale Gliński i sam król słuchać tego nie chcieli.

Szło więc tak dalej, a co dalej to i gorzej, na co nie zważano, bo może Glińskiemu pod ten czas trzeba było pozbyc się pana... i samemu pochwyć wszystko.

Silna tylko natura i wiek jeszcze nie podeszły, leki te, chorobę i zgryzołę, jakimi naówczas króla karmiono,

wytnienia mu nie dając, wytrzymać przez dość długi czas dozwoliły. Kanclerz Łaski, lekarz królewski, co było Polaków, nastawali na oszusta, widząc, że król się ma coraz gorzej, ale go Gliński bronił i osłaniał.

Tymczasem od Tatarów, których zdawna obiecywano i lękano się, wieści przychodziły, że wielkimi zastępy na Litwę ciągnęli, a nie było z kim, ani komu przeciwko nim iść.

Z hetmanów litewskich, oprócz samego Glińskiego, żaden prawie ludzi nie miał, drudzy się pochorowali lub rozpierzchli byli, uchodząc od prześladowania kniazia Michała, który sam wszystko pragnął zagarnąć.

Po chrzcinach mojego chłopaka siedziałem spokojnie w Krakowie, cale się ruszyć nie myśląc stąd, gdy od kanclerza Łaskiego listy mi przyniesiono, w których na rany Chrystusowe mnie zaklinał, abym natychmiast jemu w pomoc przybywał, nikomu o tem nie powiadając, dokąd i z czem jadę.

Przypadło mi to tak nie w porę i nie na rękę, kiedy bym był najmilej w domu siedział i na kołyskę spoglądał, żem włosów sobie mało z głowy nie wyrwał.

Ale wkońcu ten rozum przyszedł, iż człowiek nie dla siebie jednego żyje, krajowi posługę winien, a choćby przez długie lata służby sprawował, zawsze na zawołanie stawać musi, bo inaczej zdrajcą-by go zwać przystało. Rad nierad musiałem na koń siąść i w najgorszą porę przedzierać się do Wilna.

Com tu zastał, przeszło wszelkie obawy moje, choć po drodze dosyć się strachów nasłuchiłem i powieści o Tatarach, a nigdzie o wojskach naszych i przeciwko nim gotowości.

W Wilnie król w łaźni się parzył osłabły, a książę Michał z Drozdem niby się sposobili ciągnąć, kupy zacieżne zbierano, załogi z zamków, gdzie jakiego kto miał żołnierza. Jeden Gliński nie tracił męstwa i otuchy, reszta wszyscy głowy i serca potracili... królowa ręce łaniała, sierocą już przewidując rolę.

Kanclerz Łaski i garstka Polaków osamotniona, strzeżona, szpiegowana, ledwie jeszcze co mogła.

Kniaź naostatek, powiadano, przeciw pogaństwu chciał ciągnąć, ale nie inaczej, jak króla z sobą wlokąc, aby go samego z Polakami i ks. Łaskim nie zostawić.

Gdym przybył i na zamku się zjawił, a kanclerz poznał mnie, choć zawsze był chłodnym i poważnym, a sercu nad sobą mocy nie dawał, tym razem o mało mnie nie uściskał, błogosławiąc, iż posłusznym byłem rozkazom jego.

— Kiedy przybyłeś?—począł.

— Wczoraj—rzekłem.—Mam tu swoją chatę na Sni-piskach.

— Miałeś czas się rozszluchać—podchwycił Łaski;—na zgubę wszystko wymierzone. Króla życie na włosku, Tatarowie na karku, hetmanowie rozproszeni, na wszystko jeden Gliński, a ten o sobie pamięta. Pan Maciej z Błonia powiada, że królewskie dni i godziny policzone. Uchowaj Boże śmierci na niego, Litwę Gliński oderwie od nas i przepadła; jeżeli, póki czas, królewicza Zygmunta z Głogowa tu nie ściągniemy z jaką taką siłą. Mało jednak po niego słać i listy pisać, potrzeba było człowieka, któryby mu ustną relacyę zdał i nakłonił go do podróży. Ani w pięćdziesiąt, ani w sto koni jechać mu nie przystało, ale z taką siłą, jaką tylko zebrać może. Wiem to dobrze, iż się mieszać nie zechce, bo mu spokój miły; lecz zakłąć potrzeba na miłość tej ojczyzny, której dzieckiem jest, aby chwili nie tracąc, ratować ją przybywał... Na to, krótko mówiąc—dodał Łaski—mnie was było potrzeba. Łacnieby zaprawdę dla was przyszło wprost z Krakowa na Śląsk jechać, ale musieliście wprzód na własne oczy widzieć i króla, i co się tu dzieje, i nad jaką stoimy przepaścią. Tatarowie, albo już pod Kleckiem koszem leżą, albo niebawem tam będą, a dalej się ich i tu spodziewać, bo kto temu brudnemu potokowi drogę zamości?

Tak się poczęła pierwsza moja rozmowa z kanclerzem, a potrosze więcej się dowiedziałem jeszcze.

Na Balińskiego wielkie padało podejrzenie, iż w zmo-wie z Glińskim wprost na życie króla godził, ale chcieli to uczynić tak, aby ich o zabójstwo obwinić nie było moż-na.

Szedłem tedy nazajutrz, korzystając ze znajomości z Drozdem, abym mógł widzieć króla i onego szalbierza, co się doktorem zwał.

Trudno sobie wystawić człowieka więcej odrażają-cego a dziwniej się okazującego, jak był ów Łaskaris-Baliński. Wysokiego wzrostu, czarnego włosa i oczów, twarzy ponurej i nastrojonej zawsze, jakby nie z tego świa-ta był i ludzi miał za robactwo mizerne, w sukni długiej, w czapce kształtu biretu na głowie, niby zadumany, wiel-kie sprawy w sobie noszący, obracał się szalbierz, rozka-zy wydając opryskliwie, jakby tu sam był w prawie czy-nić, co chciał. Mało komu odpowiedzieć raczył.

Z oczów mu patrzyło oszustwo, które pokrywając, nadrabiał dumą i wyniosłością.

Gdym się do króla dostał potem, ja, com go młodym znał, silnym, jak żubr, zdrowym i wytrzymałym, nie mo-głem też powściągnąć. Leżał, dysząc, osłabiony, wycień-czony i wybladły, ledwie mało co po cichu mówić mogąc, tak, że go niełatwo zrozumieć było.

Prostaczek nawet mógł poznać, że tu niewiele ży-wota pozostawało w tem ciele, a tu go takim, jakim był, przeciw Tatarom chciano wieźć, aby choć rozgłos po-szedł, iż król sam przeciwko nim ciągnie. Trudno było so-bie inaczej tłumaczyć upór Glińskiego, bo chory cięża-rem tylko mógł się stać w ciągnienu.

Gdym, zbliżywszy się do łoża dla pocałowania ręki jego, odezwał się, iż w takim stanie z Wilna się ruszać było niepodobiestwem, mocno począł mi zaprzeczać, i beł-kocąc, zawołał:

— Muszę, muszę... choćby życie przyszło dać, choćby mnie leżącego niesiono.

Ani z nim mówić o tem było można. Gliński też z Ba-lińskim powiadali, że królowi podróż i zmiana powietrza nawet na zdrowie może być pomocną.

W ciągu dwóch tych dni, gdym tam był, a król co-dzień po łaźniach słabszym się okazywał, wpadł wkońcu pan Maciej z Błonia do kanclerza Łaskiego i tak go nastra-szył, że mimo Glińskiego postanowił mocą swoją, te-goż dnia wieczorem, Balińskiego wziąć do więzienia.

Niemala to była rzecz ośmielić się na to, ale Łaski nieustraszonym był. Nie dając po sobie nic poznać, ludzi naznaczył, komnatę zamczystą kazal zgotować, i wieczorem oszusta w kurytarzu zamkowym schwyciwszy, dał go pod klucz.

Ledwie się to stało, z czego między Polakami radość była wielka, gdy natychmiast Glińskiemu o kilka mil oddalonemu, gońca wysłano, o tem donosząc.

Nazajutrz wpadł do kanclerza jak burza, kniaź Gliński z wyrzutami i groźbami, ale Łaski, poparty przez Macieja z Błonia, murem stanął i ani chciał słuchać o uwolnieniu a dalszych lekach.

— Uchowaj Boże nieszczęścia—rzekł Glińskiemu—mało tego, że na Balińskiego padnie podejrzenie, ale i wy, miłościwy panie, nie obronicie się od niego. Macie i tak nieprzyjaciół siła, nie mnożcie ich.. Ja inaczej, jak przemocą szalbierza sobie wydrzeć nie dam...

Zmiarkował Gliński, że gra była niebezpieczna, poburczawszy więc, dał pokój, ale swojego faworyta umiał od kary uchować.

Czas jakiś siedział tu Baliński, to się odgrażając, to modląc, aby go z życiem puszczone; wkońcu jednak, pewnie za pomocą i rozkazem knazia, kraty żelazne w oknach potajemnie podpiłowano i nie stało go już jednej nocy. Zginął bez wieści.

Nierychło potem, przez Prusy się wyśliznąwszy, znalazł się w okolicy Krakowa, gdzie w Zwierzyńcu w klasztorze wraz z żoną mieszkał. Stąd do ks. Paulinów dostał się na Skalkę. Tu go wyszedziwszy Miedzielski, pisarz kanclerski, pochwycił i osadził w b. skupiem więzieniu, gdzie długo nędznie siedział, chor zał przez litość go nakoniec wypuszczono.

Nietylko lekarstwami się zajmował, ale alchemią i astrologią, i kunsztami różnemi, na które, jak powiadano, u bogatych mieszczan krakowskich, ludzi ich umiejac, wiele pieniędzy naściągawszy, w ostatku przepadł bez wieści.

Naostatek stało się, jak Michał Gliński chciał. Król, królowa, dwór, zaciężny żołnierz, Racowie i Czechy, wyru-

szyło wszystko ku Lidzie, a ja tegoż czasu gońcem od kanclerza potajemnym na Śląsk do Głogowa, po księcia Zygmunta.

Podróży opisywać nie warto, choć czasu jej niemało zażyłem biedy, bo mi i konie padały i ludzie chorowali po drodze dla pośpiechu i niewczasu, jam zaś, cudem łaski Bożej wytrzymał i cało przybyłem na zamek, a naprzód do gospody w miasteczku.

Pierwszy to raz mi przyszło rozpatrywać się na Śląsku i w tych krajach, nad którymi Zygmunt miał panowanie. Prawda, że tu Niemców zasiadłych znalazłem, jak mrowia, i że mi to kraj mierzilo, ale też porządek, ład i gospodarstwo lepsze, niż na Litwie.

Ponieważ mnie tu nie znano, ani kto wiedział, z czym przybywam, łatwo się było rozsluchać o królewiczu, o którym tu wszyscy mówili, jako o panu dobrym, sprawiedliwym, rządym, chwalać sobie, iż się pod jego moc dostał.

Szedłem zaraz na zamek, który mi się też wydał pańskim i cale okazałym, a dosyć obronnym. Tu dwór prawie książęcy, możność i okazałość pewną oznajmował, w której się kochał Zygmunt, ale zbytku w tem i marnotrawstwa nie było.

O czem w Polsce u nas cale słyhać nie było, na zamku już mi powiedziano, iż przybrawszy sobie Ślązaczkę, bardzo piękną i uczciwego obyczaju jakąś z nią już synaczką i córkę miał. Ta prawie, jako żona przy nim na zamku mieszkała, a chłopię po książęcemu się wychowywało.

Gdym do marszałka dworu się opowiedział, iż posłańcem byłem i listy od kanclerza wiozłem, dano znać zaraz Zygmuntowi, który wyszedł do mnie, jak zwykł był w szubie sobolami podbitej, z siatką na głowie, bo włosy nosił długie.

Znalazłem go w sile wieku, oblicza prawdziwie pańskiego, spokojnego, choć wejrzenie miał na pozór groźne, a dla mnie, którego sobie przypominał rychło, wielce uprzejmym.

Wziął list Łaskiego do ręki i sam go do okna szedł czytać.

Wiedziałem, iż tam nic innego nie stało, oprócz polecenia mnie, abym wiarę znalazł i chętne posłuchanie. Zwrócił się więc do mnie i, siadłszy spokojnie, mówić mi kazał, co mi nieść dano.

Począłem od tego, jakom Aleksandra bez nadziei porzucił, o czym Zygmunt dotąd nie wiedział, aby tak źle być miało. Musiałem mu wszystko, com wiedział i widział od Lublina począwszy, opowiadać, Balińskiego nie zanie dbując, a powtarzając, co mi na odjeźdźnym pan Maciej z Błonia oświadczył, iż dni króla są policzone.

— Na Litwie zaś—dodałem,—jeśli nie przyjdzie prędka rada i pomoc, książę Gliński wszystko zagarnie i, z Moskwą się pokumawszy, na wieki wszystkie te kraje, tylu ofiarami okupione, oderwie.

Śluchał Zygmunt, jak zwykł był zawsze, długo milczący, dając mi tylko znaki, ażebym wszystko mówił bez ogródki. Odmalowałem więc położenie, jak było wistocie, nic nie tając w imieniu kanclerza Łaskiego, zaklinając królewicza, aby jako jedyny spadkobierca, co rychlej przedsiębrał środki ku zachowaniu od upadku tego, na co wieki pracowały.

Jużem skończył i czekał odpowiedzi długo, nim Zygmunt usta otworzył, westchnąwszy ciężko naprzód.

— Niebłogą przywieźliście mi nowinę—rzekł.—Nie pragnąłem nigdy panowania nad rozległemi krajami, nauczysz się z małego księstwa, jak kunszt rządzenia trudny. Brzemieństwo jest, choć złoczone, ale ciężkie, od którego, kto je raz na barki weźmie, ani we dnie, ani w nocy nie jest wolnym, a nosi je aż do grobu. Chętniebyłem był z Głogowem i Opawą do żywota mego pozostał.

— Miłościwy panie—odparłem,—ależ to rodzica i dziada twojego dzieło... czyż je porzucić się wam godzi, gdy oni z grobów wołają, abyście mu nie dali w proch się rozsypać...? Wszystkie nadzieje w tobie, oczy na ciebie się zwracają. Jeśli ty nie uratujesz Polski i Litwy, rozsypie się ten gmach w gruzy.

Przerwał mi wtem Zygmunt.

— Co obowiązkiem jest, to się spełnić musi. Uczynię, com powinien, lecz czy podolał?

I nie dając mi odpowiedzi sobie, rozpytywać począł, jakimi siłami książę Gliński rozporządzał. Właśnie to było dla wszystkich tajemnicą, bo on się z tem ukrywał. Pochód przeciwko Tatarom sam kilku co najmniej tysięcy wymagał, i te zapewnione mieć musiał książę, gdyż się iść naprzeciw nich wybierał.

— Jeżeli na myśli ma już dziś Litwę oderwać — rzekł Zygmunt — a z Moskwą się porozumiał, cóż ja naprzeciw jego tysiącom postawić mogę, gdy w pośpiechu, jakiego po mnie wymagacie, nad paręset koni w pole z sobą wyprowadzić nie mogę.

— Aliści imię wasze, powaga jego i prawa, które są do niego przywiązane, starczą za tysiące — odparłem. — Byle wiedziano, że wzięliście w ręce sprawy i czynnie występujecie, siły wam przyplwać będą.

Chwilę pomilczał królewicz, patrząc w podłogę.

— A któż zaręczy za to — odezwał się, — że jak po śmierci Jagielly, tak po zgonie ojca mego, nie chcą znowu Piastów prowadzić i popierać?

— Gdyby nawet komu się to zamarzyło — rzekłem, — co się tylekroć nie udało i nie uda teraz, toć pozostaje miłości waszej Litwa, która waszem dziedzictwem niezaprzeczonem jest, i tej naprzód bronić potrzeba.

Nic mi na to nie mówił Zygmunt, wstał zadumany, poszedł do okna, popatrzył na list Łaskiego i, nie zwracając się ku mnie, cały w sobie się zatapiać zdawał.

Obawiając się, aby to dumanie nie osłabiło w nim postanowienia, przerwałem sam milczenie, przypominając, iż Aleksander był konającym prawie, że my go już pewno żywym nie zastaniemy, i że jednego dnia nie tracąc, ludzi zbierać i do pochodu się gotować było potrzeba.

— Wiem ci ja to — odezwał się, wysłuchawszy — idźcie spocząć i zostawcie mi o wszystko staranie.

Tak mnie pożegnawszy, polecił komornikom, aby izby na zamku w dole mi ukazali i wszystko, czego bym potrzebował, dostarczyli.

Dnia tego do stołu królewicza nie byłem wezwa-

ny, ugościł mnie pan Krupa, marszałek jego u siebie, rozpytując pilno, co się na Litwie działo. Nie wiedząc, czym miał tajemnicę strzymać, czy mówić otwarcie, pięte przez dziesiąte prawilem o chorobie królewskiej.

Miałem czas się potem, dnia tego i następnego, przypatrywać, co się na zamku działo, a podziwiać ład, i porządek, jaki tu panował. Szło wszystko na pozór zwolna, nie śpiesząc i nie chwytając, ale ludzie nie spali, karność była i posłuszeństwo wielkie.

Drugiego dnia Zygmunt mnie do siebie powołał. Czekał z listem w ręku, gdym przyszedł.

— Z Polski też od panów senatorów pismo przyszło, naklaniając mnie, abym na Litwę śpieszył i ratował od zguby to państwo nasze, da-li Bóg! — począł, przystępując do mnie. — Na dobrej woli i ochocie nie zhywa, ale siły wielkiej nie mam. Zaledwie w kilkaset koni rycerstwa wystąpić potrafię. Zarządzono już, aby się ludzie jutro ściągali, których opatrzywszy i podzieliwszy jak należy, wprędce w imię Boże ruszamy! Lecz że ja z oddziałem moim nie będę mógł pośpiesznie iść — dodał, — ażali nie lepiejby było, abyście wy, uprzedzając mnie, do Łaskiego jechali i o mnie oznajmili. Śląsk mój — mówił dalej — podczas wojny się żadnej nie obawia, a żołnierz wszelaki kosztuje wiele, nie mam go więc nad to, com na zamki potrzebował. Dwieście dobrych koni zbiorę, o więcej mi trudno.

— Wasza miłość — powtórzyłem — staniecie za tysiące.

Uśmiechnął się dwuznacznie a smutno.

— Na wielką miłość ku mnie nie rachuję — odparł, — bom ja na nią zasłużyć nie mógł. Nie znają mnie. Należała ona dziadowi, powinna była ojcu, a przedsię jej nie mieli, jakżebym ja mógł ją zyskać?

Z tem mnie odprawił, jam jednak w obawie, aby się królewicz nie opóźnił, pod różnemi pozory pody ściągał z wyjazdem, pókim go w zupełnej gotowości nie zobaczył z ludźmi i wozami do ciągnięcia.

Na zamku nic mojego oka nie uchodziło. Smutek był wielki między ludźmi, który pono owa Ślązaczka,

Katrynka, królewicza ulubienica, swojemi szlochami i biedowaniem wywoływała, czując, że teraz gdy na Zygmunta tron czekał pewnie się z nią rozstać będzie zmuszony.

A że dotąd była jakby księżną i panią, i dziatki jej nosiły się bardzo wysoko, spaść z tej wysokości wiele kosztowało. Zygmunt, jak powiadano, przesiadywał u niej. Janusika małego na kolanach trzymał, pocieszał, uspokajał, jako umiał ale i sam markotnym był.

Ani się temu dziwić było, — popatrzywszy, jak on tu żył pańsko, szczęśliwie, dostatnio i bez wszelkiej nie-mała troski, a miał z tego kąta cichego wyjść na teatrum, kędy godziny pokoju zażyć mu nie dadzą sprawy gorące.

Rycerstwo, które się zebrało do pochodu, oglądałem z wielką pociechą serca. Mało go było, to prawda, ale tak uzbrojonego, dobranego, dorodnego i pięknego a swornego, jeszcze nie widział.

Nie brakło do wyprawy już, gdym poszedł, na pożegnalne posłuchanie. Obdarzył mnie przy niem Zygmunt szubą dostatnią, pięknie okrytą i nielada jakim pierścieniem, zalecając, abym Łaskiego upewnił, iż po drodze spoczywać nie będzie i pośpieszy, o ile zdoła.

Ja tedy znowu z moją małą garsteczką, konie, które się słabsze okazały, pomieniawszy w Głogowie, naprost się ku Lidzie puściłem, gdzie już pewno króla zastać się spodziewałem, żywym czy umarłym — Bóg wiedział. Jechałem z taką niecierpliwością, że nie wiem, jakim cudem konie i ludzie wytrzymać mogli, a nie padła mi tylko jedna szkapa u wozu, bez której się obejść było można.

Co bliżej Litwy, podrodze gorsze wieści chwytałem, a jak to czasu wojny zwyczajna, chodziły takie bajki sprzeczne, że się z nich tylko niecierpliwość mnożyła, a w głowie zawracało. Mówiono o bitwach, o klęskach i zwycięstwach, a jedno się drugiego nie trzymało. Twierdzili niektórzy, że król umarł, inni, że go do niewoli Tatarowie pochwycili.

Nie wierzyłem niczemu, dopóki już w okolicach Lidy, od naocznych się świadków nie dowiedziałem, że Aleksander żyw, ale bardzo osłabły, razem z królową

i dworem na ludzkim zamku był, Gliński zaś ze wszystkimi siłami swemi naprzeciwko Tatarów, koszem pod Klekiem rozłożonym wyruszył. Opowiadano o wielkich a srogich spustoszeniach. Jedni kniaziowi zwycięstwo przepowiadali, drudzy klęskę niechybną.

Szczęśliwie naostatek udało mi się dostać do Lidy, i nierozdziawszy nawet, wprost szedłem do kancelarza, który, gdym mu blizkie przybycie Zygmunta zwiastował, ręce jak do modlitwy złożywszy, naprzód Bogu za to podziękował.

Na zamku w Lidzie, który zaledwie mógł pomieścić ludzi, dwór, wozy, które przy królu pozostały, nie było ani porządku, ani wygody. Naprędce go jako tako wyczyszczono i opatrzone. Ciasnota była, iż ja przy murze okólnym w komorze bez okien ledwie miałem znaleźć pomieszczenie, a konie musiały stać bez dachu.

Oprócz kancelarza przy królu pozostali Wojciech biskup wileński i Jan Zabrzeziński, a z polskiego dworu komorników i służby dosyć.

Zaledwie miał czas cokolwiek spocząć, i zamyślałem albo do blizkich Pacewicz zbiedz, lub do Krakowa wracać, gdy poczęły dochodzić coraz bardziej niepokojące wieści o Tatarach, a o Glińskim ani słychu.

Zabrzeziński począł nastawać na to, iż króla nazad do Wilna wieść było potrzeba dla większych wygod i dla bezpieczeństwa, bo Tatarowie i na Lidę mogli się rzucić, a do obrony murów ludzi było mało. Drudzy wierzyć nie chcieli, aby się pogaństwo to tak w głębi kraju ważyć miało.

Aliści jednego poranka żołnierz z tych, co ich za językiem wyprawiano, powrócił, okazując ranę na twarzy jakoby od tatarskiej strzały zadaną. Był to najemnik z Raców i wiary mu nie dano, choć się zaklinał, iż życie tylko szkapie rącej był winien.

Wysłał więc za poradą Łaskiego Zabrzeziński ludzi kilkunastu z tem, aby koniecznie dotarli tam, gdzie zagony tatarskie sięgały. Trzeciego dnia powróciło ich niespełna tylu, ilu wyprawiono, i przywieźli cztery głowy, ucięte Tatarom, których kędyś pochwycili.

Gdy te na zamek przyniesiono i położono w wielkich sieniach na ławie, zbiegowisko powstało, popłoch i lament nie do opisania.

Wojciech biskup z panem Łaskim natychmiast postanowili, bądź co bądź, nazad z królem do Wilna uchodzić, o co i królowa błagała. Król już mowę utraciwszy, oczyma tylko i rękami ukazywał, że tego pragnie, i wszyscy się godzili, iż ważyć Aleksandra na niepewne losy obrony zamkowej nie godziło się.

Więc jednej godziny poruszyło się, co żyło.

W kolebce króla wieść nie było podobna dlatego, że wstrząśnięcia nie znosił, napół ledwie żyw będąc. Zrobiono więc nosze jakby łoże wygodne, które między dwa konie zawiesić miano, a na tych co najlepszych z dworu komorników posadzić. Ofiarowali się do tego pan Mikołaj Roszczyc, co później był kasztelanem biechowskim, i Jan z Sobótka, oba pokrewni kancelarza, na których on liczyć mógł, że życie gotowi dać, a najcięższy rozkaz spełnić.

Pochód jakby pogrzebowy, boleściwy, przy jęku i płaczu królowej i jej niewiast wyruszył natychmiast ku Wilnu, a że mnie do Pacewicz się już dostać nie było podobna, bo tam już bodaj Tatarowie gospodarowali, przyłączyłem się i ja do królewskiego orszaku. Czasu do stracenia nie było, więc konie mieniano, spoczywano mało, a całą pieczę miano tylko około króla, przy którym tuż jechał, albo szedł pan Maciej z Błonia, to go trzeźwiąc, to pojąc, to otulając.

Pomiędzy nami w orszaku biskupa Wojciecha, kancelarza, Zabrzezińskiego często godzinami jednego słowa nie posłyszałeś. Jechali wszyscy milczący, ust nie otwierając, a duchowni tylko odmawiali modlitwy.

Radzi byli wszyscy pośpieszyć, ale dla króla, który nie znosił poruszeń gwałtownych, panowie Mikołaj i Jan konie noga za nogą prowadzić musieli. I tak nawet często stawano, bo coś ciągle poprawiać, maścić, wiązać było potrzeba.

Prawdziwą to krzyżową drogą było dla króla, bo świadom niebezpieczeństwa, osłabły, wszelkiego złego

się mógł spodziewać, a dobrego bardzo mało. Wiekami się nam wydało to ciągnięcie, które i pora czyniła nieznosnym. Każdy z nas liczył a liczył, ile nas jeszcze dzieliło od Wilna i ile na to czasu było potrzeba.

Z naszą garścią ludzi, gdyby Tatarowie się wazyli zaskoczyć, nawet pierwszego ich impetu nie byłoby czem odeprzeć.

W Lidzie na zamku zostawił Zabrzeziński małą czkę ludzi, którym zaleconem było, aby jeśli wieść jaka od Klecka przyjdzie, gońce od Glińskiego natychmiast, w pośpiechu za królem wyprawiać z tem, co przyniosą. Ale do samego Wilna żaden poselstwo nas nie napędziło, co wydawało się nam znakiem najgorszym i niepokoju przynosiło.

Gdy nareszcie o rannym brzasku z lasów się wydobywszy, zobaczyliśmy owo pożądane Wilno, niektórzy na kolana popadali, a biskup w głos się modlić zaczął, dziękując Bogu. Wszystkim nam ciężar wielki spadł z serca. Królowi przynajmniej Bóg dał bezpiecznie tu życia dokonać.

Nie będę tego opisywał, o czem szeroko potem rozpowiadano, jak niespodzianie cudownie przybyła od kniazia gońcem umyślnym do króla wiadomość o pobitych na głowę, rozproszonych i zgromionych okrutnie Tatarach. Zdało się to wistocie cudem łaski Bożej, aby królowi przed zgonem zesłał pociechę. Patrzyliśmy na to, jak słuchając opowieści o pogromie, choć mowy już nie miał, zapłakał z radości i ręce złożył, a oczy mu się otwały i zajaśniały. Ale ten wysilek i po wielkiem utrapieniu nagle radość pewnie mu zgon przyspieszyły, bo mało co przeżywszy ów tryumf, usnął na wieki.

Nieprzyjacielem nawet Glińskiego musieli mu natenczas przyznać, iż znał najlepiej sposób wojowania z tą dziczą i z małą siłą umiał ich tak osaczyć, ubiedz, że odniósł zwycięstwo ogromne. Wielu też zyskał tem sobie jako wódz zręczny, śmiały i szczęśliwy.

Zaraz po śmierci króla wzięła się sprawa pogrzebu jego, bo chciano do grobów na Wawel ciało prowadzić tak jak Jagiełły i Kaźmirzowe, ale czasu na to nie było i obawa zamachów Glińskiego zmuszała do pośpiechu.

Pierwszy to więc z rodu tego, który choć polską koronę nosił, w Wilnie przy bracie złożony został na wieczny spoczynek.

Jam pod ten czas, wyprosiwszy się u Łaskiego, hom potrzebny nie był, nie zaglądając do Pacewicz, musiał do Krakowa do żony pośpieszać. Wiem tylko, iż Gliński, jako wielce przebiegły był, widząc, iż na niego oczy zwrócone, czujność obudzona, nie wazył się niczem przeciw Zygmunutowi wypłacić. Owszem w sześćset koni podobno, gdy Zygmunt ich z sobą mało co nad dwieście prowadził, zajęchał drogę przybywającemu, pierwszy mu, jako wielkiemu księciu Litwy hold oddając. Sądził pewnie, iż tem sobie serce jego i zaufanie pozyskawszy, gdy Zygmunt się do Polski oddalić będzie musiał, albo naniestnictwo otrzyma, lub z opuszczenia Litwy będzie mógł korzystać. Ale znano go już nadto dobrze, aby mu zawierzyć miano. Wiadomem było, że choć sam obyczajem nie był Rusin, bo się po świecie ocierając, ogłady nabrał, ale z Rusinami trzymał i więcej ku moskiewskiemu patrzył, niż ku Polsce.

Nie czekałem na to, co w Wilnie spodziewanem i przewidywanem było, że Zygmunta Litwini, nie czekając na Polaków, bez ich narady, pomimo przyrzeczeń, na W. Księstwo posadzą.

Gdy pana kanclerza przyszedł żegnać, a szepnął, iż się tego obawiam, aby unia znowu naruszoną nie była, rzekł mi:

— Z dwojga złego mniejsze wybierać należy. Zgodzimy się później na Zygmunta, a lepiej jest, aby Litwę miał zapewnioną, niżby, czekając na zjazd z nami, dał się rozpościerać tu Glińskiemu i świeżem zwycięstwem ośmielonemu, ludzi sobie jednać.

Przyznaje, że mi naówczas z głowy i z pamięci wyszedł Władysław, który też do korony polskiej mógł rościć pewne prawa, choć się ich zaraz rzekł na Zygmunta. Ale w Polsce byli tacy, co by może woleli go, aby sami potem za nieobecnego się rzadzili.

Dawno już nie mając nic o Kindze, ani o dziecku naszym, z jakim niepokojem do Krakowa śpieszyłem,

opisać nie potrafię. Modliłem się przez całą drogę, abym odzyskał zdrowych i szczęśliwych tych, co dla mnie byli jedynym skarbem na ziemi. I dał mi Bóg, żem jejmość znalazł, dzięki Jemu, krzepką i z chłopackiem na rękę wychodzącą na powitanie moje. Ona też spędziła wiele nocy bezsennych, myśląc o niebezpieczeństwach, na jakie byłem narażony.

Musiałem naówczas dać jej słowo uroczyste, że się więcej do spraw publicznych mieszać nie będę, bo mi w tym wieku, po tylu przeprawach, słusznie należał spoczynek.

Z tą też podróżą życie moje czynne się zamknęło, nie poprzestałem jednak być świadkiem, często boleściwym, wszystkiego tego, co się u nas w Polsce i na Litwie działo, gdzie Gliński, który Zygmunтови taką werność poprzysięgał i służby mu swe zalecał, nie przestawał bródzić, knować i wojnę podżegać.

Za sprawą tych dwu braci, Michała i Wasyla, z moskiewskimi trwał zatarg nieustanny i wojna długo się przeciągająca, zaledwie zażegnana, wnet na nowo odradzająca, która pierwsze te lata panowania Zygmunto-owego zajęła.

W styczniu 1507 r. gdy go królem w Piotrkowie okrzyknięto jednogłośnie, jechali kanclerz Łaski z Drzewieckim podkanclerzem, aby go na koronację do Krakowa przywieśli.

Świetny orszak Litwy i Rusi towarzyszył Zygmunтови, ludu się zebrało dosyć, ale ów obrzęd acz wspinały, innym, które ludzie pamiętali, nie dorównał. Sam nawet zamek nasz krakowski, bardzo zaniedbany i opuszczony, smutnie wyglądał, potrzebując odbudowania i uporządkowania nowego, na które czasu nie stało. Jedne izby malowane przez Wielkiego ostały się jak były.

Ze wszystkich ziem i krajów niemałe było zbiegowisko tak duchowieństwa, jak przedniejszych ziemian. Były ucztę, okrzyki, muzyki różne, biesiady dla ludu, rzucanie pieniędzy, potem uroczyste przyjęcie hołdu od miasta w rynku na majestacie, igrzyska i turnieje

Krakowskie mieszczanstwo stało o to, aby nowemu.

panu przyniosło podarki, którychby się wstydzić nie potrzebowało i wszyscyśmy naówczas, co kto miał przedniejszego chętnie na to składali.

Przy stołach bratali się Polacy z Litwą i Rusinami, przepijali do siebie i braterstwo poprzysięgali, ale niechęci też wiele się tailo pod temi i nie wszyscy tak dobrymi byli, jak się okazać chcieli. Sama Litwa na dwa obozy była podzielona, z których jeden trzymał z Iliniczem i Zabrzezińskim, drugi z Glińskimi, a ci jak byli, tak pozostali z sobą nieprzyjaciółmi, wzajem zemsty pragnąc.

Gliński zaś, który długo Niemcom służył i stosunki z nimi zachował, nie tylko na Rusi i w Moskiwe szukał sprzymierzeńców, ale rachował na poparcie i Czechów i Austryaków.

Wszystko to zrazu nie tak jawnem było jeszcze, ale się później odkryło, gdy Gliński nadzieję tracił, że król Zabrzezińskich dla niego poświęci i Litwę mu da w ręce.

Sprawa między kniazem Michałem a Zabrzezińskimi, zwlekana i nierozstrzygnięta, ciągnęła się tak, bo król w początkach panowania ani jednych, ni drugich sobie narazić nie chciał, aż Glińscy naprzód się nadgrażawszy, gdy to nie pomogło, jawny bunt podnieśli.

Myśmy tego czasu z jejmością i synaczkiem przesiadywali w Krakowie pode Dzwonem, chociaż ciągle o tem prawiąc i zbierając się, aby, jak ziemianom przystało, na wieś jechać ziemi pilnować, na cudze ręce najemne jej nie zdając. Aleśmy za długo w mieście i przy dworze siedząc, potrochu zgnuśniali, odwykli od wiejskiego obyczaju, i choć obowiązek powoływał, nałóg wstrzymywał. Odkładało się jechanie z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, a życie tymczasem swoim nawykłym trybem płynęło. *Ręcawicze i wszystkie majątności nasze w garści dzierżawców i rządców, jak dojne krowy więcej nileka im, niż nam dawały. Posyłali nam lichej monety lada- jakich piorunków, co sami chcieli, to grado-

biciem, to suszą, to deszczem się składając; trzeba było brać, co łaskawie dali.

Jam wiedział jasno, że zmienić było potrzeba życie, na wieś powracać; choćby nie ręką, to okiem pracować i opuszczone majątki podźwignąć. Lecz tu mi się dopiero starość dała uczuć moja, w nalogu i potrzebie spoczynku, którego teraz zażywając, lękałem się utracić. Ale bo też, można powiedzieć, że lepszego i spokojniejszego żywota nad ten nasz w Krakowie nie mógł człowiek mieć, ani pragnąć.

Człowiek zrana, pod bokiem u Panny Maryi miał każdego czasu nabożeństwo. Tu Pana Boga pochwalwszy, chciało-li się mi rozerwać, szedłem na ratusz, do sukienic, między kupców, którzy ciągle z różnych stron świata napływali, gdzie zawsze coś do widzenia i do posłyszenia było, a często i do pokuszenia. Wyszedł człowiek i bez kalety pełnej i bez myśli aby coś kupić, a pomiędzy wozy, namioty, budki i sklepy wszedłszy, gdy się począł rozglądać w tych osobliwościach, które tu ze wschodu i zachodu napływały, mimowoli do mieszkania sięgał, i do domu znosił, co mu się zdawało potrzebnem, choć wczora o tem ani myślał.

Rzadki też dzień wypadł, aby na rynku i około ratusza nowiny jakiejś nie było, albo miejskiej lub z dalszych stron przyniesionej. Kupcy odbierali posłów i listy, a donoszono im, co się gdzie na świecie działo, bo musieli wiedzieć, kędy drogi były bezpieczne. Tu około piwnicy w ratuszu, choć ja rad do niej nie uczęszczałem, bom w domu miał, czego dusza zapragnęła, spotykało się znajomych; potem ciągnęło nieraz pod zamek i na zamek, gdzie nie brakło dawnych sodalisów, albo też ku collegium i św. Annie.

Odwiedzałem moich przyjaciół i znajomych, do których w pierwszym rzędzie zaliczyć muszę pana Macieja z Miechowa i pana Bonera, który Zygmunutowi tak służył, jak niegdy Wierzyński Kazimierzowi.

Doktór Maciej mało tego, że leczył chorych, że o lekach pisał i około akademii był czynnym, zajęty był naówczas historią narodu naszego, którą chciał

dać cisnąć w Krakowie, tak jak kanclerz Łaski Statuta swe, w których widzieć było można konterfekt Aleksandra i panów a senatorów wedle niego.

Wszystkich tych mądrości człowiek ciekaw był podsłuchiwać i podpatrywać. Szczególniej z Miechowitą, gdy czas miał, rozmowa była nauczająca i pożyteczna.

Nikt też pewnie w Krakowie nade mnie lepiej nie był świadom, co się działo u dworu naszego, na Litwie, w obozach, na granicach, ba, i za granicami.

Chociaż człowiek, ożeniwszy się, nierad za mury i bramy wyruszał, a mało kiedy na Łobzów i za Skalkę wyciągnął, było dosyć w samem mieście na co patrzeć i mówić o czem. Gdy się doma siedziało, nie upłynął dzień, żeby ktoś nie nawiedził mnie, lub Kingi, która miała wielką miłość i respekt u ludzi.

Alem też ja niewiasty drugiej takiej, jak ona, w życiu nie spotkał, uprzejmej dla wszystkich, dla ubogich dobroczynnej, w mowie powściągliwej, lepszego serca, jak ona. Żyliśmy jak przystało z panami ziemian, szczególnie Litwą, która tu zajeżdżała, mieszczany też nie gardząc, między którymi ludzie byli, coby i szlachcie zakaly nie czynili.

Podówczas już mieszczanin, szczególnie krakowski, wcale się od panoszków i ziemian za gorszego nie miał. Wielu z nich herby sobie i szczyty, jak szlachta, malować kazali i onych zażywali, niektórzy je od obcych monarchów wyjednywali, dobra ziemskie nabyli, ze szlachtą przez małżeństwa łączyli. W powszedniem życiu niemało ich z całą wspaniałością występowało, tak się nosiło, jeździło, takim dworem otaczało, jakby z panami o lepszą iść chcieli.

Próbowano *leges sumptuariæ* stanowić i obwoływać, ale to się na nic nie zdało, bo ani futra, jedwabów, ani klejnotów, ani kolebek i woźników przez to sobie kupcy i kupcowe nie odmawiały, a na weselach mis i stołów i liczby trefniów nie sprawdzano.

Z tych potem możliwych rodów mieszczańskich i kupieckich w Krakowskiem, Wieliczce, Bochni, nowej się szlachty natworzyło, która starej wstydu nie czyniła.

Bylbym ja wreszcie, jak Pan Bóg przykazał, w końcu z tej kamienicy na wieś wyciągnął, ale na Litwie niepokój był ciągły, wojna grożąca, niebezpieczeństwo dla żony i dziecka, więc odkładało się aż do uspokojenia, ażeby ład powrócił, bom ani z Glińskimi, ni z Zabrzezińskim trzymać nie chciał, jeno z królem.

Nierychło wszakże pokój ten pożądanym mógł nastąpić, bo Glińscy nie spali, drugim też zasnąć nie dając. Napróżno słano do Moskwy dla układów i zawarcia pokoju, o który i królowa Helena wdowa u brata się dopraszała. Gliński tam skuteczniej motał i obiecywał już bodaj całą Ruś naszą oddać moskiewskiemu.

Przyszło aż do tego, że ciągle Zabrzezińskiemu na gardło nastając, książę Michał naprzód kupą zbrojną, kilkaset ludzi zgromadził i z nią już jawnie na nieprzyjaciela godził, gdzie by go bezbronnym pochwycił. Włóczęg się tak w okolicy Grodna, bo Zabrzeziński tam w jednym ze swych dworców przebywał, traf chciał, że pochwycił miłośnicę marszałka, o której wiadano, iż dla niej tajemnic nie miał. Tę ujawszy na drodze, na męki wzięto, aż wyśpicwała, gdzie Zabrzezińskiego szukać mieli.

Wpadł Gliński z kupą swą na dwór, w pierwszospę z łózka wyciągnąć kazał marszałka i Tatarzynowi dał mu łeb ściąć, sam sobie czyniąc sprawiedliwość.

Cztery mile potem jechał, dwór złupiwszy, rozkazując przed sobą na kopii wieżę utkwioną głowę nieprzyjaciela, którą nierychło potem w bagno rzucono.

Było to wypowiedzeniem wojny królowi i wszystkim, co z nim trzymać nie chcieli, bo się puścił potem Gliński pustoszyć majątności swoich nieprzyjaciół, których siła naówczas padła bezbronnych.

Moskiewskiemu to było na rękę. Zawichrzyło się na całej Litwie i Rusi, Glińscy już o zdobycie Kijowa kusić się chcieli. Rogi im rosły. Michał sobie jakiegoś prawa do krajów litewskich szukając, zapragnął wdowę po Szymonie Olelkowiczu poślubić, synowi jej obiecując panowanie, ale rozumna wdowa nie chciała go i nie dała przystępu ani do siebie, ani do Słucka.

Poszedł więc, plądrując Owruć, Mozyrskie i sąsiednie ziemie, postrach w nich siejąc. Druckich i Mściwskich książąt pozyskawszy sobie, kusił się znowu o Słuck i księżnę Anastazję, lecz ta mu się opierała... Posuwał się aż pod Wilno zuchwały Gliński, dopóki król z wojskiem nie nadciągnął. Natenczas nie było już co czynić: zbiegł do Moskwy i oddał się jej w ręce.

Lepszego narzędzia przeciwko Polsce nie mógł mieć Wasyl moskiewski nad tego człowieka, który miał swych zauszników, przyjaciół i pomocników nie tylko na Litwie w Polsce, ale jakem mówił, i w Niemczech. Człowiek był zręczny, który tym zawsze się okazywał, kim pożywał, z Niemcy obcował, jako jeden z nich, z Polakami też gładko się umiał obchodzić, z Rusią jako brat się rozumiał, a z Moskwą też łatwo mu było się godzić. Myślę, że i z Tatarami-by sobie radę dał, gdyby mu oni co obiecywali.

Wojny tej nieszczęśliwej, która potem wybuchła z naprawy Glińskiego, opisywać nie chcę, bom o niej tylko z posłuchów coś wiedział. Opowiadano, iż tak król Zygmunt sam, jak i wojska jego walecznie bardzo występowały, popłoch szerzyły, a Wasyla żołnierz nie tak dobrze zbrojny nigdzie prawie się w bitwie mierzyć z niemi nie ważył, i mieli hetmanowie poleconem, aby placu nie dostawali, a o zameczki się kusili tylko.

Królowi w tej wojnie sławy rycerskiej wiele przybyło, ani też siebie żałował.

Z tych, co się naówczas wsławili, należy zapisać kniazia Konstantego z Ostroga, którego Moskwa wzięła była do niewoli pod Wiedroczą. Zmuszono go wojskom moskiewskim hetmanić przeciwko Tatarom, ale wielkiego ducha mąż, jak się tylko wyzwolić mógł, życie ważył, aby do swoich powrócić. Co gdy mu się powiodło, pomocnym był wielce królowi, gdyż nieprzyjaciela znał lepiej i sposób jego wojowania i siły.

Dopiero po odniesionych klęskach nierychło skłonił się Wasyl do zawarcia pokoju, który i Zygmuntowi był wielce pożytecznym, bo od wstąpienia na tron czasu odetchnąć nie miał.

Glińscy pozostali w Moskwie, ale choć ich tam wyposażono, nadano, zawsze ambicyi ich to nie starczyło i wkrótce zdradę też knować zaczęli.

Pokój z Polską kruchy też był. Znalazły się rychło do zerwania go powody, o czem wszystkim historycy obszerniej pisać nie omieszkają.

Następnego lata my w Krakowie popłoch od ognia mieliśmy niemały. Król był na sejmie w Piotrkowie. Stradom naówczas wygorzał cały prawie, krom kilku kościołów, które ocalić się udało, a miastu wielkie groziło niebezpieczeństwo dla dachów drewnianych, które lada iskra zażęgała.

Zaledwie się nieco od Moskwy uspokoiwszy, zagrożonym król został od Wołoszna, właśnie w porze, gdy dla niego o małżeństwie myślano.

I tu się orężowi naszemu poszczęściło, gdy dnia 4 października, w sam dzień św. Franciszka Wołochów na głowę porażono, których wielu znacznych padło i pościąć dano, pobrawszy w niewolę. Poczem stanął pokój za pośrednictwem króla Władysława.

I tu nie od rzeczy będzie coś rzec o małżeństwie królewskiem, o które już na niego od lat kilku nalegano, aby państwo na obce ręce nie przeszło przez bezpotomność.

Wspominałem już o tem, pisząc o poselstwie mem od Łaskiego do Głogowy, jakom tam na zamku widział Katrynę Słazaczkę, z którą Zygmunt przystojnie żył i synaczka a córkę z niej miał. Była ona w wielkiej uczciwości trzymana, a Janusik się chował jak książętko, ale nie przetoż na tron mogła z nim wstąpić, gdyż bodaj nawet szlacheckiego pochodzenia jej nie przyznawano.

Ukoronowanym będąc, musiał jej zawczasu los pewny obmyśleć, syna przyznawszy za swego, którego do stanu duchownego przeznaczył i przysposobić kazał.

Z ową słomianą wdową, czy to dla widoków łaski królewskiej, czy dla piękności jej, ożenił się potem Andrzej z Kościelca, starego rodu szlacheckiego mąż, Ogończyk, któremu ja dobrze znał. Mąż był wielkiego serca i męstwa, przeto na ludzkie języki niewiele dbał i raz postanowiwszy się żenić, choć mu rodzina rozbratem wiecznym groziła, choć bracia rodzeni wypowiadali mu

družbę, na swem postanowił i Telniczankę poślubił. Nicmało go potem żółcią pojono, palcami wytykając, u stołu obrusy rzeżąc, z senatu wychodząc, aby z nim na jednej nie siedzieć ławie. Znosił on to wszystko mężnem sercem, ale bolał i bodaj mu prześladowanie życia ukróciło. Ani królewska opieka, ani pośrednictwo niczyje nie pomogło, tak się za ową hańbę rodu swojego wzięli gorąco Kościellicy i do końca żywota brata znać nie chcieli. A zaprawdę mąż był godzien losu lepszego, bo ani męstwem, ani rozumem, ani poczcziwością żadnemu nie ustąpił.

Telniczanka, nim zamaż wyszła i nim król się żenić zamyślał, przybywszy za Zygmuntem do Krakowa, w kamienicy, którą dla niej z polecenia króla kupił pan Boner przy Brackiej ulicy od spadkobierców Karła, zamieszkała. Córkę jej poślubił starosta chęciński, Szafrańiec z Pieskowej Skały, przeciwko czemu nie sarkano i rodzina się jej ani jego nie zapierała.

Widywaliśmy Telniczankę nie mało razy do kościoła idącą lub jadącą z dziećmi, około której dwór był nieliczny, przepychu zasię wielkiego nie okazywała, ale dostatnio i przystojnie a skromnie występowała. Jeszcze naówczas widać w niej było ślady wielkiej piękności, oblicze miała pańskie, płeć delikatną, oczy czarne, postawę na podziw udatną, ale wyraz wzroku i twarzy srogi i jakby nadąsany, a wesela nigdy u niej nikt nie widział. Niechętnie z kim zabierała znajomości, a więcej stroniła od ludzi, niż ich szukała.

Małżeństwo króla, o które naglono, naprzód z powodu wojny z Wołoszą, odroczone być musiało. Swatano mu naówczas meklemburską księżniczkę, a później brat Władysław naraił daleko młodszą, choć kondycyi pośledniejszej, Barbarę Żapolli, córkę pana na Trenczynie, wojewody siedmiogrodzkiego.

Ta miała lat zaledwie siedmnaście i głoszone ją piękną bardzo; ale przeciw niej z początku wszyscy to mieli, że wielkiego rodu nie była. Na co jednak nie zważano, a wybór za łaską Bożą później okazał się bardzo szczęśliwym,

Cesarz Maksymilian stręczył od siebie księżniczkę z rodu Gonzagów, ale za późno, gdy już wyprawiono po Barbarę posłów: Lubrańskiego biskupa poznańskiego, Szydłowieckiego, sandomierskiego kasztelana, i Łukasza z Górki poznańskiego.

Na przyjęcie młodej małżonki zaproszono co przedniejsze panie, żony senatorów, kasztelanową poznańską, krakowską, wojewodzinę ruską i inne poważne niewiasty. Towarzyszyła córce swej matka, Jadwiga, brat i wuj, książę na Cieszynie, którzy z nią mil dwie od Krakowa do Morawicy przybywszy, tam przez dzień i noc spoczywali.

Mrozy i śniegi srogie były. Wyjechał król na spotkanie w kolebce i czekał na narzeczoną pod Łobzowem w namiocie. Tu witał ją polską mową ks. kanclerz Łaski, poczem oboje z królem do miasta wjazd odprawili, po drodze wszędzie radośnie przyjmowani.

Wszystkim zaraz naówczas skromna, piękna i łagodnego wyrazu młoda pani wielce się podobała i rokowano małżeństwu szczęście.

W następną niedzielę odbył się ślub i koronacja, przy wielkich potem festynach, biesiadach, turniejach, którym tylko ostre zimowe powietrze cokolwiek na przeszkodzie stało.

Jakie pożycie ich było przez ten krótki czas, który królowa miała na świecie pozostać, mówić nie potrzebuje, bo wszyscy byli świadkami tego szczęścia, jakiego Zygmunt z nią zażywał. Ale ziemskich to rzeczy obrót zwykły, że tu nic trwać nie może, a co najwdzięczniejsze, jako kwiat, prędko więdnije.

Obwiniano lekarza królowej o niedbalstwo, iż po narodzeniu córeczki należnego spoczynku i ostrożności zwykłych zaniedbał. Zmarła zaledwie lat dwudziestu doszedłszy, w kwiecie wieku, z niewymownym żalem króla i wszystkich, co ją znali i do niej się zbliżyli.

Powszechne było mniemanie, że jej modlitwom i postom winniśmy byli sławne zwycięstwo pod Orszą... Jalmużniczką była wielką, a pokorą i dobrocią swą serca sobie ujmowała. Pogrzeb chciano odprawić jak naj-

wspanialszy i listy zapraszające rozesłano szeroko, ale naówczas grasujące powietrze wielu przybyć nie dozwoliło.

Na tem się kończy przerwany nagle rękopis Jaszka Orfana.

Kartę jedną jeszcze zajmują ornamenta, piórem od niechcenia kreślone, w rodzaju tych, jakie manuskrypta XV w. zdobić zwykły, ale wykonane niedbale. Wpółśród nich tu i owdzie sentencje łacińskie: *Meminisse juvabit. Scripta manent* i t. p. Na odwrocie tej karty, ręką i atramentem odmiennym dopisano:

„Roku Pańskiego 1518, w miesiącu maju, jechaliśmy wraz z najdroższym małżonkiem moim i synaczką dla oglądania majątności na Litwie, opatrzenia, co tam nie dostawało, abyśmy przenieść się mogli i zamieszkać w którymkolwiek ze dworów. O wszystkich nam bowiem donoszono, że są nieomal w ruinie i że z gruntu by nowe budowanie przystało, jeśli zamieszkać zechcemy, co długiego czasu potrzebowało.

Chciał starosta sam, własnymi oczyma przekonać się ile w tem było prawdy, a zarazem i obrać miejsce dogodne na przyszłą rezydencję, środkowe i dla oka też miłe.

Podróż naszą, w ciągu której zdrów był, jak nigdy rzeźwy, wesół, a niezmiernie czynny, odbywaliśmy bez pośpiechu, ja z synaczką w kolebce, mąż prawie ciągle na koniu, na którego podczas i Chryzia bierał, aby zwolna nawykał do siodła, z czego dla dziecka radość i uciecha była niewymowna.

Przodem wysłany do Pacewicz Staszko miał na pierwszy czas nam jakiegokolwiek zgotować przyjęcie.

Nie spodziewaliśmy się tu znaleźć ani wygod wielkich, ani szczególnych przygotowań ze strony dzierżawców i tenutorów, ale na wozach z sobą wieźliśmy namioty i cokolwiek potrzeba było, a o co na gruncie mogło być trudno.

W Pacewiczach dwór nowy, mały i lichy sklecony wśród borów jodłowych, piasków i pustyni, niebardzo się podobał panu staroście. Ale tu główny obóz nasz rozłożywszy, musieliśmy z niego czynić wycieczki do innych wsi i dworów naszych dla opatrzenia ich i wyboru miejsc na rezydencję, którą chciał mieć acz z drzewa, ale obszerną i dogodną. A że się w ogrodach, drzewach, kwiatkach i wirydarzach wszelakich pan mój kochał i chciał je mieć u siebie, gruntu też patrzeć było potrzeba, aby praca marnie nie poszła.

Ze wszystkich się wydał najdogodniejszym stary dworzec w Kalniszkach, gdzieśmy znaleźli trochę drzew pięknych, jezioro i pagórek, na którym zabudować się można było szeroko i dostatnio.

Tu więc zaraz pan mój kazał drzewo zwozić i zakładać fundamenta z takim pośpiechem i gorącością że spoczynku sam nie miał i nikomu nie dał, aż się kamień na pokłady i belki, a tramy zwozić zaczęły. Przy tem niemal sam stał, jak dozorca, ludzi karmiąc i pojąc, a zachęcając, aby żywo się brali do roboty. Cieślów co najlepszych i murarzów zamówiwszy, dla pilności około budowli osobnego wzięwszy oficjalistę, pieniądze na wydatki odłożywszy, w początku lipca chciał już pan starosta stąd nas do Wilna prowadzić, gdzieśmy we dworze na Snipiszkach spocząć mieli.

Wszystko znowu było do podróży przygotowanem, gdy dnia dziesiątego wieczorem powróciwszy z Kalniszek późno, uskarżać się począł na boleści w krzyżach i znużenie. Dziwnem to nie było, bo się niepomniernie krzątał, trudił, nie dosypiał i po całych dniach z konia nie zsiadał. Po wieczery, której mało co skosztował, położył się na spoczynek i wkrótce usnął twardo.

Ale ze snu tego już mu się Pan Bóg nie dał przebudzić. Nazajutrz rano znaleźliśmy go ostygłym, z rękami na piersiach złożonemi, jakby do modlitwy, a twarzą tak spokojną i pogodną, iż się zdawał szczęśliwość wieczną oglądać.

Jakom ja ubożuchna, nieszczęśliwa sierota, cios ten okrutny przeżyła, a że mi we łzach życia mizernego

reszta nie spłynęła, Bogu jednemu zawdzięczam, który dla synaczka matkę zachować raczył.

Grób na cmentarzu w Kalniszkach dla niego i dla siebie zmurować kazawszy, w nim zwłoki jego złożyłam przy pogrzebie, na który ziemian i duchowieństwa zebrało się dosyć.

Chciałabym była pozostać tu, przy grobie nieboszczyka, ale ani dworu ani nauczycieli dla Chryzia, jakich starosta żądał, nie mając podczas, musiałam do Krakowa powracać, nimby w Kalniszkach stało budowanie wedle woli Jaszka i po jego myśli.

Bożej opiece jedyne losy moje i dziecka zlecam, sieroce życie dalej wiodąc, dopóki się nie połączę z panem moim."

Pau, Drezno 1883.



58452



180
31/5/8284

NO. WYDANE II. SŁOWIAŃSKI

I. KRASZEWSKIEGO

PIESCI HISTORYCZNE

OBIEKTOWA HISTORIA

WYDANE II. SŁOWIAŃSKI

1. a. Rask...	2. a. Rask...
3. a. Rask...	4. a. Rask...
5. a. Rask...	6. a. Rask...
7. a. Rask...	8. a. Rask...
9. a. Rask...	10. a. Rask...
11. a. Rask...	12. a. Rask...
13. a. Rask...	14. a. Rask...
15. a. Rask...	16. a. Rask...
17. a. Rask...	18. a. Rask...
19. a. Rask...	20. a. Rask...
21. a. Rask...	22. a. Rask...
23. a. Rask...	24. a. Rask...
25. a. Rask...	26. a. Rask...
27. a. Rask...	28. a. Rask...
29. a. Rask...	30. a. Rask...
31. a. Rask...	32. a. Rask...
33. a. Rask...	34. a. Rask...
35. a. Rask...	36. a. Rask...
37. a. Rask...	38. a. Rask...
39. a. Rask...	40. a. Rask...
41. a. Rask...	42. a. Rask...
43. a. Rask...	44. a. Rask...
45. a. Rask...	46. a. Rask...
47. a. Rask...	48. a. Rask...
49. a. Rask...	50. a. Rask...
51. a. Rask...	52. a. Rask...
53. a. Rask...	54. a. Rask...
55. a. Rask...	56. a. Rask...
57. a. Rask...	58. a. Rask...
59. a. Rask...	60. a. Rask...
61. a. Rask...	62. a. Rask...
63. a. Rask...	64. a. Rask...
65. a. Rask...	66. a. Rask...
67. a. Rask...	68. a. Rask...
69. a. Rask...	70. a. Rask...
71. a. Rask...	72. a. Rask...
73. a. Rask...	74. a. Rask...
75. a. Rask...	76. a. Rask...
77. a. Rask...	78. a. Rask...
79. a. Rask...	80. a. Rask...
81. a. Rask...	82. a. Rask...
83. a. Rask...	84. a. Rask...
85. a. Rask...	86. a. Rask...
87. a. Rask...	88. a. Rask...
89. a. Rask...	90. a. Rask...
91. a. Rask...	92. a. Rask...
93. a. Rask...	94. a. Rask...
95. a. Rask...	96. a. Rask...
97. a. Rask...	98. a. Rask...
99. a. Rask...	100. a. Rask...